



A woman with reddish-brown hair is lying on her back in a lush green field, her eyes closed and a peaceful expression on her face. Sunlight filters through the trees in the background, creating a soft, ethereal atmosphere. The title 'Miłość w Burzaniach' is written in a white, elegant cursive font across the middle of the image. Below the title, the author's name 'KATARZYNA ARCHIMOWICZ' is written in a smaller, gold-colored serif font, flanked by decorative horizontal lines with circular end caps.

# Miłość w Burzaniach

◉◉ ————— ◉◉  
KATARZYNA ARCHIMOWICZ  
◉◉ ————— ◉◉



Katarzyna Archimowicz

Miłość w Burzanach

Wołowiec 2014

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki MAGDALENA PALEJ

Fotografia na okładce © STOCKPHOTO MANIA / SHUTTERSTOCK

Fotografia na okładce © ALESHYN\_ANDREI / SHUTTERSTOCK

Projekt typograficzny ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Copyright © by KATARZYNA ARCHIMOWICZ, 2014

Redakcja JOANNA MIKA-ORZAŁA / D2D.PL

Korekta ANNA WOŚ / D2D.PL,

MAGDALENA ADAMEK / D2D.PL

Redakcja techniczna i skład ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-776-8

Black Publishing jest marką wydawniczą Wydawnictwa Czarne sp. z o.o.

Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

# Spis treści

Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Przypisy

## Rozdział 1

Grafitowy jeep z dużą prędkością zjechał z szosy w szeroką polną drogę. Spod kół wypuszczał ogromne tumany wysuszonego kwietniowym słońcem pyłu nadbużańskiej ziemi.

Mężczyzna kierujący autem spojrzął kolejno we wszystkie lusterka, po czym zdjął nogę z gazu. Wyraźnie szukał miejsca do postoju.

– Dlaczego zwolniłeś? – spytała siedząca obok kobieta.

Na oko mogła mieć około trzydziestki. Jej naturalnie rude włosy ślicznie lśniły w promieniach wiosennego światła, a zielone oczy promieniały radością.

– Musimy porozmawiać – odezwał się po chwili.

– Grześ... Nie znoszę, kiedy w ten sposób zaczynasz rozmowę.

On tymczasem zjechał na pobocze i zaparkował w cieniu starych brzoź. Dookoła, jak okiem sięgnąć, rozpościerał się ogromny, piękny brzozowy las.

Mieli za sobą kilka godzin jazdy, oboje czuli zmęczenie i nasza ich ochota na krótki odpoczynek.

– Skoro się zatrzymaliśmy, to rozprostujmy trochę kości – odezwała się po chwili kobieta i nie czekając na jego reakcję, wyskoczyła z auta.

Kwiecień pięknie obudził w tym roku przyrodę. Otulił ją świeżą zielenią i pieścił gorącym powietrzem.

Nad ich głowami, gdzieś wysoko, pod niebem, rozlegał się radosny trzask drozda. Wtórowały mu z gałęzi drzew inne ptasie głosy, wspólnie tworząc symfonię przepięknych dźwięków.

– Boże, jak mi tego brakowało – powiedziała jakby do siebie kobieta.

Jednocześnie leciutko rozchyliła usta i przymknęła zielone oczy. Końcem języka przesunęła po wargach, wzięła głęboki oddech i oparła się plecami o pień brzozy.

– Jest pięknie – szepnęła, nie unosząc powiek.

On tymczasem stał oparty o samochód i przyglądał się jej zachłannie. Jak zawsze zresztą. Nie mogła widzieć jego wzroku, więc nie zauważyła, że nerwowo zaciska pięści, a jego klatka piersiowa unosi się i opada pod ciasnym T-shirtem znacznie szybciej niż do tej pory. Myślał o czymś przez chwilę, ale już za moment odetchnął z ulgą. Podjął decyzję: „Potem – uznał. – Potem jej powiem. Teraz się nią nacieszę”.

Po cichu podszedł do brzozy, o którą opierała się dziewczyna. Usłyszała go lub wyczuła, bo lekko uniosła powieki i uśmiechnęła się zachęcająco. Nie zrobiła nic ponad to. Ani drgnęła.

On przeciwnie. Ta kobieta rozpaliała go do białości. I choć od pewnego czasu było między nimi jakieś nieopisane napięcie czy nieporozumienie, on wciąż jej pragnął. Szaleńczo i zachłannie. Zawsze i wszędzie.

Stanął teraz za nią. Bezpośredniego dostępu do niej bronił mu gruby pień. Przechylił się lekko do przodu i ignorując drzewo, szepnął jej do ucha:

– Szaleję za tobą, dziewczyno.

Nie odezwała się ani nie odwróciła. Poczula tylko, jak ten jego gorący szep sływa po jej szyi na ramiona. Chwilę potem mężczyzna dotknął jej brzucha, obejmując ją wraz z drzewem. Sunął palcami to w dół, to w górę, kreśląc na jej ciele ósemki i inne kształty. Podziało to na jej zmysły.

Od dawna nie była tak rozluźniona. Ostatnio apatyczna i zmęczona, teraz poczuła przypływ nowych sił.

Odwróciła się do niego i ominąwszy starą brzozę, przywarła do jego ciała.

– Chciałeś mi coś powiedzieć – szepnęła, oddychając prosto w jego kark.

– Potem – odpowiedział równie cicho.

I nic już nie zakłócało kolejnych chwil. Zajęli się wyłącznie własnymi ciałami, wszystkie inne sprawy odkładając na później.

Tymczasem jego dłonie błędziły, szukając czegoś pod ubraniem dziewczyny. Wyczuwał szybkie bicie jej serca, krótki oddech i – odczuwając to samo co ona – nie przestawał dotykać jej ciała. Dziewczyna oddawała mu uściski i pocałunki, od czasu do czasu cicho wzdychając z zadowolenia.

Zgodni w tym akcie, niczym dobrze zestrojone ze sobą mechanizmy, osunęli się na miękką trawę. Nie przestając całować dziewczyny, Grzegorz przesunął dłonie w dół i delikatnie uniosł rąbek sukienki ku jej udom. Po chwili przywarł do kobiety całym ciałem.

Resztką świadomości i sił pomogła mu zsunąć spodnie. Oboje szarpali się w płataninie ubrań, które krępowały ich ruchy. Na moment ustali, lecz zaraz potem na nowo rozpoczęli walkę płci. Ich ruchy stały się łagodniejsze, bardziej rytmiczne i spokojne. On cały czas szeptał jej coś do ucha, ona milczała. Jedyne, po czym mógł poznać, że jest zadowolona, to jej pomruki, westchnienia i mocne uściski będące zachętą do dalszych poczynań.

I tak trwali w miłości mężczyzna z kobietą, aż przyszedł ten błogi czas tuż po ekstazie, kiedy to wraca przytomność umysłu, ale odchodzą wszystkie siły.

– Greta – szepnął. – Kocham cię.

– Ja ciebie też – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Podniosła na moment głowę, rozejrzała się dookoła i znów opadła zmęczona na trawę.

Leżeli oboje w milczeniu. On nadal obdarzał ją pocałunkami, tyle że tym razem bardzo spokojnymi i leniwymi, a ona podciągnęła się wyżej i ułożyła na jego piersi. Nie zadali sobie nawet trudu, by się okryć.

W powietrzu czuć było elektryzującą energię. Uważny słuchacz zarejestrowałby ją w cichym szmerze wiatru, delikatnym popiskiwanii zwierzyny ukrytej gdzieś w zaroślach, a przede wszystkim w tych dwojgu spoczywających na trawie.

– Dobrze mi z tobą – odezwał się wreszcie Grzegorz.

W odpowiedzi Greta uśmiechnęła się lekko i cmoknęła męża w policzek. Ona także dobrze się z nim czuła, ale nie powiedziała mu tego teraz wprost, bo nie przepadała za taką formą dialogu, która narzuca rozmówcy odpowiedzi.

A Grzegorzowi nawet do głowy nie przyszło, że jego wyznania choćby w najmniejszym stopniu wymuszają na żonie ich odwzajemnienie. Greta była po prostu mniej wylewna niż on i zapewne dlatego nie do końca rozumiała jego potrzebę nieustannego komunikowania wszem i wobec swych odczuć i przemyśleń. Poza tym nie było wątpliwości, że ich małżeństwo mieściło się we wszelkich normach, to znaczy że na ogół byli zgrani i zadowoleni ze wspólnego życia. Etap młodzieńczego zauroczenia mieli już co prawda za sobą, ale ogień, który rozpałał ich przed laty, wciąż płonął sporym płomieniem, zaś bagaż kilku lat przeżytych w małżeńskim tandemie mógł stanowić całkiem solidny fundament pod ten czas, który jeszcze wciąż był przed nimi.

Dopóki dwoje ludzi zmierza do jednego celu, dopóki są zgodni co do swej przyszłości, dopóki mają ochotę i siłę budować jeden wspólny dom, dopóty nie widać między nimi różnic. Ale wystarczy, że jednemu z nich choć przemknie przez myśl coś, z czym to drugie się nie zgadza lub co inaczej postrzega, a już cieniem zarysować się może przed nimi ta ich wspólna przyszłość, którą tak mozolnie budowali.

Podobnie też rzecz się miała z Gretą i Grzegorzem. Wszystko było w porządku aż do momentu, kiedy on zaczął wspominać o dziecku. Najwyraźniej dojrzał do roli ojca znacznie szybciej niż ona do roli matki. W każdym razie był to pewien przełom w ich małżeństwie, pierwszy poważny zgrzyt i niemożliwość osiągnięcia zadowalającego obie strony konsensusu. I choć przekonywali się nawzajem do swych racji długo, to jednak bez skutku. Grzegorzowi nie mieściło się w głowie, że kobieta może nie chcieć zostać matką. Greta tymczasem wcale się nie wzbraniała przed macierzyństwem, jednak zamierzała odłożyć je nieco w czasie, twierdząc, że przyjdzie kiedyś pora i na dziecko.

Poza tą kwestią większych niezgodności między nimi raczej nie było, ale odkąd poróżnili się w sprawie dziecka, coś się między nimi zmieniło.

Bezpośrednio po ślubie Greta była Grzegorzem zauroczona. Zachowywał się nienagannie, bardzo się starał, kupował kwiaty i okazywał sporo czułości. Ale z czasem namiętność słabła, a ją



zaczęło drażnić jego gadulstwo i materializm. Coraz bardziej zaczęła dostrzegać dzielące ich różnice.

Wciąż miała nadzieję, że dojdą do porozumienia i odbudują swe relacje, bo kiedyś przecież połączyła ich miłość i naprawdę znakomicie czuli się w swoim towarzystwie. Lubiła też po prostu być obok niego, lubiła, kiedy wspólnie wykonywali zwykłe prace domowe. Ot, choćby kładzenie tapet na ściany. Wtedy wszystko było w porządku, czuli łączącą ich więź. Robota paliła im się w rękach, ale im dłużej pracowali, tym większa w nim narastała potrzeba rozmowy. Bo ileż można wytrzymać w milczeniu? I po co? Więc zaczynał swój monolog z nadzieją, że przemieni się on wkrótce w dialog. Opowiadał, jak to im fajnie wyszło, jak przycinał i smarował klejem paski tapety, jak się przy tym ubrudzili. I w trakcie tej paplaniny nakręcał się do granic możliwości, i mówił, mówił, mówił... Jakby jej tam z nim nie było, jakby nie widziała przed chwilą, jak kładzie się tapetę. Kiedy popadał w ten swój huraoptymizm, bywał taki niedojrzały. Początkowo Greta reagowała na to uśmiechem, ale z czasem ta cecha mężowskiego charakteru zaczęła ją lekko irytować, choć wiedziała, że jak do wszystkiego, tak i do tego potrafi się przyzwyczaić.

Słońce dawno już minęło zenit, kiedy znudzona, ale i wypoczęta Greta leniwie podniosła głowę z ramienia męża.

– No – odezwała się cicho – czas wstawać.

Grzegorz uniósł się równie opieszale jak ona. Obserwował, jak zakłada i poprawia na sobie wymiętą sukienkę i czesze włosy, przeglądając się w bocznym lusterku samochodu. Znów miał ochotę się z nią kochać. Nęciła go każdym swym ruchem. Był pod absolutnym jej władaniem. Znał ją od dzieciństwa, ale odkąd dostrzegł w niej kobietę, oszalał na jej punkcie. A ona coraz częściej zupełnie zdawała się tego nie zauważać.

Kilka minut później znów siedzieli w aucie. W pomiętych ubraniach sprawiali wrażenie, jakby mieli za sobą bardzo długą drogę. A w podróży byli zaledwie od czterech godzin.

Oboje pochodzili z tych stron. Od kilku lat żyli w Warszawie, ale każdą wolną chwilę spędzali nad Bugiem. Tutaj były ich korzenie i tu mieszkała najbliższa rodzina. Jego rodzice i jej wuj. Ukochany wuj Michał.

Las się przerzedził, spoza drzew widać teraz było łąki i wielkie pustkowia. Dojeżdżali właśnie do rozdroża, przy którym, w cieniu starej lipy, stała rzeźbiona w pniu kapliczka. Kult maryjny był w tych okolicach mocno rozpowszechniony, więc rzadko spotykało się przydrożne krzyże, często zaś ukwiecone kapliczki, które przeważnie chyliły się ku drogom, przygniatane ciężarem czasu, a może i ludzkich grzechów.

Skręcili w prawo. Po kilkudziesięciu metrach rozpostarła się przed nimi szeroka, usypana zwirem droga, a po jej obu stronach rosły ogromne lipy. Nie dwie, nie trzy, lecz całe długie ich szeregi, które od lat kłaniały się przyjezdnym. Drzewa te pamiętały doskonale minione epoki i rody. Rosły bowiem wzdłuż traktu prowadzącego do starego dworku w Burzanach. Dworek ten, jak i rozłożyste lipy, niejedno przetrwał, przemilczał i zdzierzył. Ostatnio znosił z pokorą rządy pewnego cholerycznego proboszcza. Był nim nie kto inny jak Michał Burzański, ukochany wuj Grety.

– Idź, pijaczyno!

Nikogo nie było widać zza muru, ale wyraźne krzyki wskazywały na obecność co najmniej dwóch ludzi.

– Ale, dobrodzieju... – prosił czyjś głos – ja nie mam już czasu...

– Jeszcze zdążysz! – odpowiedział głośny męski krzyk i zaraz potem dało się zauważyć szybko wyłaniające się zza domu sylwetki: zamasyżycie biegnącego mężczyzny w sutannie i podążającego za nim, przygarbionego pijaka.

– Ale ja muszę – jęknął chłop, ustając trochę w tym pędzie, bo nie nadązał za krzepkim księdzem. – Już nawet nie mogę księdza dogonić, na pewno umieram.

– Boś się nachlał, to i nie możesz dogonić! – krzyknął ksiądz i nawet się nie obejrzał na chłopca, tylko machał rękami, jakby się od czegoś odganiał. – Wynoś mi się stąd! Przyjdź jutro, inaczej pogadamy.

– Nie doczekam – odparł zasapany pijaczyna. – Mnie dziś już czas – stęknął, ściskając

nieporadnie czapkę w dłoniach.

– Tobie czas co najwyżej trzeźwieć, a nie umierać – odparł nieco udobruchany ksiądz. – Po pijaku nie będę cię spowiadał.

– To ksiądz też pił? – spytał szczerze zdziwiony chłop.

Na te słowa w księdza jakby nowe siły wstąpiły, odwrócił się gwałtownie na pięcie i z tego rozmachu ręką przykrótkiej sutanny uderzył chłopą po łydkach.

– Nawrocki! – Uniósł zaciśniętą pięść i pogroził mu przed nosem. – Jak ci tak bardzo zależy na tej spowiedzi, to niech już będzie. Ale na rozgrzeszenie dziś nie licz.

Chłop chwilę pomyślał, jeszcze intensywniej międląc czapkę w tej zadumie.

– E... To w sumie mi się dziś nie opłaca... – Podrapał się za uchem. – Przyjdę jutro.

I żeby nie stracić księdza z oczu, nie odwracając się, zaczął wycofywać się z podwórza. Bywali już tacy w tej parafii, co to nie przewidzieli, że ksiądz choleryk, i zdarzyło im się po nieudanych negocjacjach odejść z niczym i jeszcze do tego na przykład z wymierzonym przez księdza szturchańcem pod żebro czy choćby z siarczystem przekleństwem.

Ale z proboszcza dobry był mimo wszystko człowiek. Choć furia i choleryk, serce miał na dłoni. Lubił krzyżeć, narzekać, prawdę w oczy bez ogródek walił, klął jak szewc, ale rozumiał się jak mało kto na tym, co dobre i złe. Wiele miał ludzkich przywar, lecz głęboka wiara i gołębie serce sprawiały, że ludzie cenili ten diament rzucony przez Boga w nadbużańskie piachy.

Taki to mniej więcej widok napotkali młodzi ludzie, jadący lipową aleją w stronę dworku. Ksiądz, usłyszawszy warkot silnika, odwrócił się znów gwałtownie, stracił z oczu Nawrockiego, ale za to ujrzał drogą swemu sercu dziewczynę.

– Ho, ho! – zawołał, a na jego obliczu pojawił się szczery uśmiech. – Święta Panienska wysłuchała prośb starego grzesznika!

– A gdzie ten grzesznik?! – zawołała, wysiadając z auta, równie uradowana Greta.

– Czyżby tak zmizerniał, że go już nie widzisz? – odparł ksiądz. – A może ja już umarłem i tylko mi się zdaje, że chodzę po tym świecie?

– Ech, ty jak zwykle w dobrym humorze – rzuciła dziewczyna. – Jak widzę, jesteś w doskonałej formie, wujku.

– Tak, tak – wtrącił na to z za płotu Nawrocki – ksiądz to ma się dobrze, ale ja...

– Idzie mi stąd! – uniósł się ksiądz. – Gości mam, nie widzi?! –

– Widzi – odpowiedział chłopina i naciągnąwszy na uszy czapkę, ruszył zrezygnowany przed siebie.

Ksiądz jakby poczuł, że za bardzo się zagalopował, rzucił za odchodzącym pijaczkiem:

– Jutro przyjdź, Nawrocki, to pogadamy!

Ale, nie wiedzieć czemu, chłop nic nie odpowiedział – może nie słyszał, a może się obraził.

Teraz dopiero wysiadł z auta Grzegorz. Greta zdążyła już się uwiesić u szyi wuja i wycalować go siarczyście, a jej mąż tymczasem nieśmiało przystanął obok.

Michał obrzucił ich szybko swym bystrym wzrokiem i natychmiast za tymi oględzinami wyrwał się jego język:

– Wyglądacie, kochani, jakbyście z tydzień tu jechali. – Mrugnął okiem raczej do Grzeška niż do Grety. – Jacyś niechlujni jesteście.

Młodzi spojrzeli po sobie ukradkiem. Rzeczywiście – pomięte ubrania i rozwichrzone włosy mogły dawać do myślenia.

Speszeni uwagą księdza, nie odezwali się. Ale Michał wcale nie miał zamiaru ich umoralniać.

– Ech, ta młodość! – odezwał się wreszcie, by złagodzić zmieszanie. – Musi się wyszumieć!

Na twarzy Grzegorza pojawił się wyraz zdumienia: co ksiądz może na ten temat wiedzieć?

Michał zorientował się w niezręczności swego stwierdzenia i szybko postanowił się poprawić:

– Po prostu po tobie widać, że masz kosmate myśli – odezwał się do Grzegorza. – Przecież mówię, że młodość musi się wyszumieć, nie Greta.

Zamyślił się na chwilę, po czym dokończył:

– Chociaż Greta pewnie też, sądząc po twoim skrępowaniu! – zaśmiał się rubaszenie, wprawiając Grzegorza w jeszcze większe zakłopotanie.

Greta doskonale znała cięty język i chwilami sprośny humor wuja, więc ani jej przez myśl nie przeszło, żeby się obrażać czy bulwersować. Wiedziała także, że jeśli Michał miałby im coś do zarzucenia, zrobiłby to natychmiast.

Grzegorz jednak nie do końca chwycił żarty księdza, nad czym i dobrodziej, i Greta trochę ubolewali.

Tymczasem Michał wreszcie spoważniał i gospodarskim gestem zaprosił gości do środka.

– Chodźcie, chodźcie – ponaglił.

Już po chwili znaleźli się w pięknym stylowym saloniku. Greta z lubością wciągnęła powietrze, przymknęła oczy i miękko opadła na kanapę z początku ubiegłego wieku. Na jej ustach odrysował się błogi uśmiech.

Grzegorz zajął fotel obok. Sprawiał wrażenie spiętego, czoło przecięła mu głęboka bruzda, jakby intensywnie nad czymś myślał. Greta już zamierzała spytać o powód tego zamyślenia, ale przeszkodził jej w tym powrót księdza z kuchni.

– No – zagadnął. – Za moment będzie kawa. I rogaliki... – zaciął się trochę, spojrzawszy na gości, z których jedno wyglądało na szczęśliwe, a drugie wprost przeciwnie.

W całym salonie unosił się nęcący zapach świeżo pieczonego ciasta drożdżowego. Michał dokonywał w kuchni cudów – gotował, piekł, smażył i robił nalewki oraz likiery po stokroć lepsze niż niejedna pani domu. Ubolewał jedynie nad tym, że nie ma komu dogadzać swymi specjałami, dlatego tym bardziej radowały go wizyty bratanicy. Miał wtedy kogo porozpieszczać. Nie bez znaczenia był także fakt, że Greta zawsze zjadała wszystko ze smakiem i jeszcze na koniec z wdziękiem mu dziękowała. A łasy był ksiądz na pochwały.

Czajnik właśnie głośno się rozgwizdał i Michał znów zniknął w kuchni. Greta powoli otworzyła oczy, rozejrzała się dookoła i zawiesiła wzrok na mężu. Grzegorz siedział niemal nieruchomo, od czasu do czasu tylko zerkał za okno.

– Grześ, uszy do góry – zareagowała na wyraz jego twarzy.

Energicznie wstała z kanapy i niemal pognała w stronę kuchni, po drodze musnąwszy policzek męża. Grzegorz drgnął lekko pod dotknięciem, ale ona tego nie zauważyła, już była przy wuju.

– Pomogę ci – zaszczebotała. – Gdzie masz te rogaliki?

Nie czekając na odpowiedź, zabrała się do przeglądania półek w sosnowym kredensie księżowskiej kuchni. Sięgnęła po talerz i wiedziona zapachem otworzyła żeliwne wrota pieca chlebowego. Czas był najwyższy wyjmować blachę, bo żar zaczynał już mocno przyrumieniać posmarowane rozmąconym białkiem pękate brzuszki wiśniowych rogalików. Greta zakrzętnęła się jak u siebie – wciągnęła rękawice ochronne, chwyciła gracę i zamaszystym, pewnym ruchem przygarnęła blachę do siebie. Wokół rozszedł się szybko uwolniony z pieca obłędny zapach wiśni i gorącego ciasta. Chrupiące różki napchano do granic możliwości najlepszymi owocami z sadu na plebanii. Rogale pięknie napęczniały i wypuściły gdzieś czerwone strumyczki wiśniowego soku, który skwierczał na rozgrzanej blasze. Greta zręcznie przełożyła sporą część na talerz, napawając się zapachem. Mrużyła przy tym oczy i z lubością pomrukiwała.

– Ruda, gościem jesteś, wracaj na kanapę – zarządził Michał, rad w duchu, że Greta przysłała mu z pomocą.

Odkąd dziewczyna sięgała pamięcią, zawsze była pomiędzy nimi szczególna nić porozumienia. Kiedy była dzieckiem, Michał był dla niej świetnym towarzyszem zabaw, gdy z dziecka przekształciła się w podlotka, brzydkie kaczątko o zbyt długich kończynach i płaskiej piersi, jego dworek-plebania stał się dla niej azylem, gdzie znajdowała wytchnienie w okresie młodzieńczego buntu, a sam Michał zdawał się świetnie koić jej wybujałe emocje. Kiedy wreszcie nabrała kształtów pięknego łabędzia i wyrosła na ładną kobietę, on wciąż ją rozumiał jak nikt inny na świecie.

Taka to była dziwna przyjaźń ekscentrycznego księdza z dziewczyną, która w innych

okolicznościach mogłaby być jego córką. Ona od dawna zazwyczaj mówiła mu po imieniu, a on często nazywał ją po prostu Rudą. Niekiedy zwracała się do niego „wujku”, choć nie było to poprawne, bo był on bratem jej ojca. Oboje jednak nie przepadali za słowem „stryj”. Lubił, kiedy mówiła mu po imieniu. A ją bawiła jego „Ruda”.

Po krótkiej chwili wspólnego krzątania w kuchni przynieśli kawę i ciepłutkie rogaliki do salonu.

Grzegorz jakby odetchnął z ulgą.

Po kilku godzinach spędzonych w aucie organizm przyjął solidną dawkę kofeiny jak wybawienie. Grzegorz z Gretą zajadali się także rogalikami.

– Świetne są – zachwycał się Grzegorz. – Choćby dla nich warto tu przyjechać.

Niewątpliwie masz talent.

– I to niejeden – bezkrytycznie odpowiedział Michał, po czym dodał, szczerze się uśmiechając: – Większość z nich przekształca się w grzechy.

– Ale talentem kulinarnym grzeszysz najbardziej... – dokończyła, jakby za Michała, Greta.

– Otóż to – mrugnął do niej.

Michał nie był modelowym przykładem obrazu księdza – już przez swój temperament sporo się poza jego ramy wychylał. Był człowiekiem gwałtownym w czynie i mowie, niemal zawsze działał pod wpływem impulsu i często kierował się w życiu bardziej sercem niż rozumem. Słowa płynęły u niego zwykle o krok przed myślą, co bywało czasem kłopotliwe, bo zbyt szczerość nie zawsze jest mile widziana. Czy to przez wieś, czy przez własny dom lub ogród – przemieszczał się zwykle w pośpiechu, jakby go kto gonił.

Szybko także odprawiał msze, ku utrapieniu niektórych parafianek raczej niż parafian. Czy godzi się w pośpiechu i jakby od niechcienia sprawować Najświętszą Ofiarę? Różnie ludzie to widzą i dlatego do dziś nie rozstrzygnięto w Burzanach, czy dobrodziej nie grzeszy aby swym postępowaniem, czy też słowa jego, myśli i czyny ku dobremu prowadzą całą parafię. A po prawdzie to tak było z tym Michałem, że zawsze był po prostu ludzki. Ludzki, czyli ze wszystkimi przywarami, a przede wszystkim z ogromnym sercem i taką samą porcją dobroci. A że gębę miał niewyparzoną... Ano miał. I co kto na to poradzi? Wyjścia były dwa: albo się do tego przyzwyczaić, albo z tym walczyć. Byli i tacy, i tacy. Ci, co walczyli – już zaprzestali. Na Michała żadne sposoby poskromienia nie działały.

Michał Burzański w Burzanach się urodził. Jego przodkowie to stary szanowany ród szlachecki, którego ziemie i dwory rozciągały się w pasie od Polesia aż po Wileńszczyznę. Wraz z historyczną zawieruchą, w ślad za zmieniającymi się wciąż granicami Rzeczypospolitej ocalali członkowie rodu Burzańskich, przetrzebieni i nękani przez zaborcę, uciekali coraz bardziej na południe, aż wreszcie na stałe już osiedli w ostatnim swym dworze, jaki im został – w Burzanach. I tak to dotrwali niektórzy Burzańscy aż do połowy dwudziestego wieku. Dwór po raz kolejny zniszczyła wojna, majątek dawno przepadł, a co zostało – przejęła nowa władza. W dworku powstała szkoła podstawowa, Burzańscy zaś z trojgiem małych dzieci osiedlili się w opuszczonej chałupie na drugim końcu wsi.

Michał miał dwóch starszych braci: Antka i Stacha. Dzieciństwo wszyscy trzej spędzili na wsi, żyjąc ze sobą mniej lub bardziej zgodnie. Jak to z dziećmi – dziecka i kury nie upilnujesz. Jakoś to życie im się kołatało, dzielone pomiędzy naukę – albo jej pozorowanie – i prace polowe. Tak to trwało do końca lat sześćdziesiątych, kiedy Antek, najstarszy z rodzeństwa, obwieścił, że zostanie księdzem. Dziś nosił biskupią purpurę, ale zanim do niej doszedł, rodzinę Burzańskich często inwigilowano. Rodzice jego obmyślili zatem chytry ich zdaniem plan, oparty poniekąd na zasadzie okien w karaimskich domkach: jedno dla gospodarza, drugie dla gościa, a trzecie dla Pana Boga. Tak też miało być z ich chłopcami: skoro jeden będzie „dla Pana Boga”, to drugi – dla równowagi – będzie „dla władzy” (zrobmy z niego przykładowego towarzysza). Trzeci, oczywiście, będzie „dla gospodarza”, czyli po prostu zostanie na roli.

Plan był może i niegłupi, tylko nie wypalił. Stach, średni z synów, miał zdecydowaną smykałkę do wszelkich robót gospodarskich. Tak więc, chcąc nie chcąc, na Michała padło bycie towarzyszem. Zapędów w tym kierunku nie miał żadnych, a że poczuł się przymuszany do roli

partyjniaka, obudziła się w nim ogromna przekora. Trochę to trwało, trochę walczył, z rodziną, i z władzą, trochę się opierał, aż w końcu zdecydował – pójdzie do seminarium. Na rodziców padł blady strach. Jak to? Drugi syn księdzem? A nie mógłby on być jakimś pocziwym urzędnikiem Polski Ludowej?

Oczywiście, mógłby. Tyle że Michał nie znosił żadnych reżimów. Nie tolerował komenderowania i manipulowania swoją osobą mniej więcej od kiedy zaczął wypowiadać „r”.

Nie bardzo wiedział biedak, co ze sobą zrobić. Po solidnym namyśle stwierdził, że ma w sobie na pewno więcej wiary w Boga niż w system komunistyczny. A że rzadko robił coś wbrew sobie, to – nie mając lepszego pomysłu – faktycznie wybrał seminarium.

I tak Antek i Michał mieli zostać kapłanami.

Skoro dwaj synowie poszli swoją drogą, to przynajmniej ze Stacha rodzice chcieli być zadowoleni. Tak sobie myśleli, siadając wieczorami na przyzbie. Całe gospodarstwo zostawić mieli Stasiowi. I pewnie tak by się stało, gdyby ten zechciał tylko pozostać w Burzanach. Początkowo wszystko na to wskazywało – praca jakoś szła, Stach gospodarzył. Ale przyszedł dzień, kiedy wyruszył do Włodawy zakontraktować pomidory. Wrócił, a jakże. Gospodarka dalej szła. Tylko Stasiu coraz częściej bywał we Włodawie. Po co? Chyba raczej: dla kogo? Dla ślicznej miedzianowłosej Jadzi. Panna Jadwiga tak zawróciła mu w głowie, że wkrótce odechciało mu się gospodarzyć i nic, tylko mówił o żeniactwie. W końcu się ożenił, ku utrapieniu rodziców. Niedługo Stasiu z małżonką pogospodarzyli na wsi, bo dość szybko zauważyli, że nie tylko z ziemi można żyć. Ba, z ziemi wyżyć jest przecież dość ciężko. Za to praca w państwowym przedsiębiorstwie, a i owszem, znośna była, czysta i lżejsza niż na roli. Jego rodzice nie mogli tego pojąć za nic w świecie.

I tak starzy Burzańscy zostali sami na roli w Burzanach, a młodzi rozjechali się po, choć nie dalekim, ale jednak, świecie.

Jak to trudno jest kierować drugim człowiekiem. Popychasz go do przodu, a on jakby instynktownie ucieka spod tej kurateli. Jakby nie dowierzał, że chcesz dla niego dobrze. Tylko, co to znaczy: dobrze?

Upłynęło trochę czasu, Antek został wikarym, Michał – z trudem bo z trudem – kończył nauki seminaryjne, a Stasiu tulił do piersi maleńką ryżą głowinkę, i to bynajmniej nie swojej żony: mała Greta zjednała sobie miłość dziadków i obu stryjów. Mijały lata, Greta rosła, bracia Burzańscy robili mniejsze lub większe kariery. Antek był z całej trójki najbardziej ambitny i poważny. Zauważyła to ówczesna władza i miała na niego szczególne baczenie. Niczego mu co prawda nie zabraniano, ale wyczuć w Antku można było skłonności do czynów większych niż odprawianie niedzielnej mszy. Kto uważnie mu się przyjrzał, odnajdował w nim zdolności przywódcze oraz duże poczucie sprawiedliwości i uczciwości. A takich ludzi władza się bała. Nikt nigdy do tego się nie przyznał, ale obawiano się, że Antek mógłby zostać charyzmatycznym przewodnikiem duchowym dla wielu grup społecznych.

Obserwując Antka, towarzysze mieli jednocześnie baczenie na Michała. Ten jednak niczym nie wzbudzał ich podejrzeń. Nie miał w sobie żadnych zapędów politycznych, był dla systemu absolutnie niegroźny. A nawet niechcący mógł mu pomóc, gdyby zaszła taka potrzeba, w zahamowaniu kariery Antka. Ponieważ Michał stale pakował się w jakieś kłótnie, lubił ogólnie rozumianą turystykę, chętnie zaznajamiał się z ludźmi, jednym słowem – wszędzie go było pełno, władzy było to na rękę, bo często zasługi jednego Burzańskiego mieszały się z awanturkami drugiego i nie wiadomo już było, co komu przypisać. Zupełnie jak u Dołęgi-Mostowicza: Marmurek zawinił, a wylali Murka – przecież nieważne: Murek czy Marmurek.

Antek nie miał nigdy o nic do brata pretensji. Znał go doskonale i wiedział, że Michał jest po prostu temperamentny i szczerzy we wszystkim, co robi, a to przecież nic złego.

Później, gdy Antek piął się coraz wyżej w hierarchii kościelnej, niejednokrotnie ratował Michałowi skórę. Tłumaczył brata przed zwierzchnikami (jakoś innym księżom trudno było zrozumieć Michałową naturę). Powiedzmy sobie szczerze: był to rodzaj protekcji. Takiej jednak, która tylko pozwalała pozostać Michałowi w stanie kapłańskim, a nie dawała żadnych profitów materialnych. Michał zresztą nigdy materialistą nie był. Ani Antek.

Koniec końców: kto jak pracował, tyle miał. Antek dochrapał się biskupstwa, a Michał zaledwie otrzymał probostwo na zapyziałej wsi nad Bugiem. Zdawać by się mogło, że władze kościelne chciały go wysłać możliwie najdalej. Już bardziej na wschód się nie dało.

Zanim ostatecznie Michał osiadł znów w Burzanach, był przez kilka lat wikarym gdzieś pod Cisną. Dość szybko złapał wspólny język z bieszczadzką ludnością, ale nijak nie mógł się porozumieć z księdzem proboszczem. Ten miał do niego ciągle pretensje. Największe o cięty język, a także o spóźnianie się na poranne msze. A spóźniał się Michał z bardzo prostej przyczyny: nie zawsze zdążył na czas zejść z górskiej wędrowki. Bo czy to w drodze człowiek wszystko przewidzi?

Góry, szczególnie Bieszczady, były jedną z miłości Michała. W latach siedemdziesiątych, gdy zaczynał tam swoją posługę, nie były zadeptywane przez tłumy turystów, a ludność tamtejsza nie wiedziała jeszcze, jak te góry przekuć w zysk. Od kilku lat istniała już zaporą na Sanie i śliczne Jezioro Solińskie, ale jeszcze nie umiało ono na siebie zarobić. Dziś jest całkiem inaczej, ale coś z tamtej magicznej dziczy na szczęście jeszcze pozostało.

Tak to Michał bieszczadował, aż jego proboszczowi ze złości wychodziły żyły na czoło i kark. Obaj jednak jakoś ze sobą przetrwali.

Aż któregoś dnia Antek wpadł na bardzo dobry, jak sądził, pomysł i podszeptał w kurii, ażeby Michałowi dać probostwo w rodzinnych stronach. Właśnie zwolniło się miejsce w Burzanach. Kuria pomyślała, pomyślała i... się zgodziła. I tak od lat około trzydziestu Michał szarogęsił się nad Bugiem.

Nie od razu zamieszkał w starym rodzinnym dworku. Na kilka lat przed jego powrotem szkoła podstawowa co prawda zmieniła siedzibę na nowo powstałą tysiąclatkę, ale dwór pozostał opuszczony i przez nikogo niezamieszkaany. Plebania mieściła się wtedy w zupełnie innym miejscu, jak to zwykle bywa – przy kościele. Była to zwykła dwuizbowa chałupa pamiętająca jeszcze czasy wojny. Michał wprowadził się tam, ale szybko zaświtał mu pomysł powrotu na rodzinne włości. Minęło kilka lat, zanim udało mu się tego dopiąć. Znów z pomocą przyszedł Antek, który tu i tam szepnął słówko. Na czas pewien Michał spokorniał i się uspokoił – tyle miał pracy przy remoncie. Zakasał rękawy i harował w pocie czoła przez wiele miesięcy, nie wołając z ambony o żadne datki. To uspokoiło nieco parafian, którzy widząc zapędy księdza do remontu, sądzili, że zechce on postawić sobie dom ich kosztem. Ale Michał głupi nie był, próżny i leniwy również. Pracując na gospodarstwie rodziców, poznał ciężar pracy fizycznej i wcale się go nie bał. Zresztą był silnym chłopem o mocnych ramionach. Ile mógł, robił sam, a gdzie potrzebował fachowej pomocy, pomoc tę najmował i płacił uczciwie za uczciwą pracę. To było najlepsze, co mógł zrobić dla zyskania szacunku – pokazać, że potrafi ciężko pracować i nie wyzykiwać ludzi.

Ale do całkowitego zaufania parafian było jeszcze daleko. Michał zupełnie nieświadomie dążył do tego jak w grze planszowej: co szedł parę kroków do przodu, to znów musiał się cofać, bo nadwyrężył kruche zaufanie w jakiś banalny sposób: a to kogoś skłął, a to po łataniu dachu częstował chłopów nalewką, za co baby się wściekały, a to znów wesoło podśpiewywał czy nadużywał imienia Najświętszej Pani – oczywiście w mniemaniu wiernych.

Oj, budził ten Michał wiele kontrowersji, budził. Do dziś budzi. Ale z czasem się z nim parafianie oswoili i pewnie by go już nie oddali.

Parafia miała wielkość całkiem przeciętną i aż dziw bierze, że przy tempie wykonywania wszelkich prac przez Michała prawie co roku kolęda kończyła się dopiero koło kwietnia. Niby uwijał się proboszcz jak w ukropie, będąc w ciągłym biegu, a i tak kolędowanie kończył tuż przed Wielkanocą. Do tego też już jednak wszyscy przywykli. Widać w Burzanach inaczej nie można było. W tym roku Wielkanoc była dość wczesna, więc kolęda zakończyła się w Wielkim Tygodniu. Pędził Michał z tą kolędą, jak tylko mógł, a i tak ledwo zdążył. No ale jak tu wyjść od ludzi w połowie opowieści czy obiadu albo naleweczki? A częstowali chętnie i prawie wszędzie. Przy śnieżnych zimach kolędował Michał konno, w saniach powożonych przez kościelnego. We dwóch jeździli od chałupy do chałupy, częstowani byli „obiadkami”, aż pod wieczór to już Michał powoził, bo kościelny Skrętek spał w saniach opity burzańskimi trunkami, a za lejce łapał ten, który mógł je bardziej utrzymać. Nazajutrz wszystko zaczynali od początku. I tak aż do wiosny.



## Rozdział 2

– Wikary! – krzyknął przeraźliwie Michał. – Poszedł mi stąd!

Na księżowskie włości wtargnął z ogromną radością kosmaty, czarny jak smoła, wielki pies berneński. A w każdym razie był on wielce podejrzany o bycie psem berneńskim. Wziął się właściwie nie wiadomo skąd, po prostu któregoś dnia, otwierając rano drzwi, Michał dojrzał na werandzie małe kudłate coś. Nie była to dla niego pierwszozna – od lat znajdował na swoim podwórzu niechciane psy. Bywały też i koty, ale te jakoś same dawały sobie radę – pokręciły się trochę wokół obejścia i wcześniej czy później gdzieś przepadały. Z psami było inaczej – nie chciały nigdzie przepaść. Najwyraźniej psy nie mają w naturze włóczęgostwa. Michał nigdy nie pozostawał na ich niedolę obojętny. Zawsze miały u niego zapewniony byt, choćby najskromniejszy. Żeby jednak nie stać się opiekunem hordy podrzutków, czasem grzmiał z ambony przy okazji ogłoszeń duszpasterskich:

– W kancelarii zgromadziliśmy dla potrzebujących kasze, ryże, makarony i takie tam różne produkty. Jest to dar od gminnego ośrodka pomocy społecznej. Panie stamtąd kazały rozdawać te artykuły tylko najbardziej potrzebującym, po okazaniu dowodu i podpisaniu listy. Ale wy po prostu przyjdźcie, weźcie sobie, co komu potrzebne, nie będziemy was przecież spisywać. Nie wstydźcie się, ja też będę zadowolony, jak mi miejsce w kancelarii zwolnicie.

Wiedział Michał, jak mądrze rozdać dary. Wieś, choć niebogata, to jednak mieszkańcy pełni byli godności, po jałmużnę nikt by nie przyszedł. A skoro dobrodziejowi zawadzały te produkty, to jakże ich było nie zabrać?

– A, i jeszcze jedno – ciągnął ksiądz. – Jak kto może, to niech weźmie ode mnie psa, jest kilka do wyboru, wszystkie ładne, młode, będziecie z nich zadowoleni.

Rozchodzili się ludzie po takich mszach do domów niby bez echa, ale w ciągu kolejnych kilku dni rozchodziły się także i psy – jeden człek wziął zwierzaka do siebie, zaraz za nim drugi... i tak od lat trwał w Burzanach ten dziwny ni to proceder, ni to rytuał.

Wikary też był z początku przeznaczony „do ludzi”, ale jakoś nie było na niego chętnych. Pewnie ludziska się bali, że wyrośnie z niego duże bydlę, a wiadomo – każdy chce mieć małego pupila. Duży pies to dużo żarcia i trudniej takiego upilnować. A jak się okaże agresywny albo nieposłuszny? Na co komu taki kłopot?

No i został Wikary u Michała. Imię zawdzięczał swoistemu poczuciu humoru księdza.

– Teraz nas dwóch na tej parafii – mówił pan do psa. – Ja jako proboszcz, a ty trochę jakby wikary, bo dopiero tu nastałeś.

I tak to już zostało. Wikary wcale nieźle miał się u proboszcza, co złośliwsi mówili nawet, że proboszcz to u Wikarego jest w posługach, a nie odwrotnie. Bo i Michał kochał tego swojego Wikarego i w ślepej miłości serwował mu frykasy i poklepywał kanapę na znak, by psisko wygodnie na niej sobie zasiadło.

Pewnego razu kościelny Skrętek opowiedział komuś we wsi, co widział, a ten z kolei przekazał to dalej i poszła w Burzany mniej więcej taka wieść: proboszcz sypia z Wikarym. We wsi święte oburzenie, niejeden beret nastroszył swe włosie, co odważniejsi podpytywali u źródła, o co chodzi. Dość szybko ludziska się zmiarkowali, że Skrętek niegodny zaufania, i do dziś się z tej historii śmieją. Ale fakt pozostaje faktem: księdzu zdarza się sypiać z Wikarym. Pies wie, który kąt łóżka najwygodniejszy, i tam zawsze się mości, czyli po prostu sypcha Michała z poduszek. A że rzecz się dzieje podczas snu, poza świadomością księdza – budzi się proboszcz na skraju wyrka, a na poduchach, jak pan na włościach, rozciąga swe kudłate cielsko Wikary.

Teraz właśnie Wikary wtargnął do salonu, korzystając z otwartych drzwi wejściowych.

– Wikary, ty brudasio! – zakrzyknął Michał. – Wynocha stąd!

Ale Wikary już ochoczo witał się z Gretą, mielił ogonem powietrze i radośnie popiskiwał, wyraźnie się przy tym uśmiechając. Co ciekawe, całkowicie zignorował Grzegorza – zupełnie jakby



go ani nie widział, ani nawet nie wyczuł swym psim nosem. Ot, po prostu – nie ma człowieka. Czy ktoś tu widzi jakiegoś człowieka? Ależ skąd!

– Wikary, łobuzie – Greta rozpyływała się w zachwytach nad wciąż radującym się psem. – Hej, cudna mordo, jak się masz?

Pies wyraźnie garnał się do dziewczyny, przestępował niecierpliwie z łapy na łapę, skomlał i radośnie poszczekiwał.

– On też się za tobą stęsknił – mruknął Michał jakby do samego siebie.

– A ktoś jeszcze tęsknił? – spytała zaczepnie Greta.

– Ruda – odpalił Michał – nie było cię tu z pół roku. Chyba mogłem się stęsknić, nie? –

Puścił oko do Grzegorza.

– Ja też tęskniłam – z rozrzewnieniem wyznała Greta.

– Opowiadajcie co u was, dzieci – ksiądz, próbując wciągnąć w rozmowę Grzegorza, zwrócił się właśnie do niego.

Grzegorz jednak zbyt rozmowny dziś nie był. Albo może po prostu nieco spóźnił się z odpowiedzią, bo kiedy otwierał usta, Greta już paplała:

– Taka piękna pogoda, Misiu – mówiła do księdza, wciąż tarmosząc Wikarego. – Udało nam się dostać w jednym terminie urlop, więc chcielibyśmy posiedzieć parę dni u ciebie i naładować akumulatory.

– No, a niech to – zakrzyknął wesoło Michał. – Święta Panienska wysłuchała moich próśb.

– Prosiłeś o nasz przyjazd?

– No pewnie – odpowiedział ksiądz. – Nudno na tych moich kresach. A z wami będzie weselej.

– Oj, będzie. – Greta zaczepnie puściła do niego oko i przesłała mu piękny uśmiech.

– A z pracy to was tak bez problemu wypuścili? – spytał Michał, znając trudne realia rynku.

– Ja kilka dni urlopu dostałem od razu, ale Greta to musiała się trochę naprosić – Grzegorz wreszcie włączył się do rozmowy.

Był zawodowym żołnierzem, służył w armii od dziesięciu lat i bardzo sobie swój zawód chwalił. Greta natomiast – absolwentka finansów i rachunkowości na warszawskiej SGH – od siedmiu lat pracowała w banku. Zaczynała jako doradca klienta, a potem przeniesiono ją na obsługę kredytów. W czwartym roku pracy awansowała do działu analiz biznesowych. Jako osoba o ścisłym umyśle czuła się tam jak ryba w wodzie. Siedziała w ciepłym gabinecie przy własnym komputerze obłożona mnóstwem papierów, które bez znużenia potrafiła analizować całymi dniami.

Miała w sobie wiele z introwertyka, toteż samodzielne stanowisko pracy charakteryzujące się minimalnym kontaktem z ludźmi stanowiło dla niej idealny wręcz azyl. Satysfakcję potęgowały całkiem niezłe zarobki, które dawały dodatkowe poczucie bezpieczeństwa i stabilności. Przy dzisiejszej fali bezrobocia wśród młodych ludzi Greta mogła się czuć szczęściarą.

Od rana do późnego popołudnia była odzianym w paskudny szary kostium urzędnikiem i właściwie to był jedyny minus jej pracy. Jak ognia unikała bieli, czerni i szarości, a to właśnie były jedyne akceptowane kolory w jej firmie. Nie było wyjścia – co dzień wkładała więc ugrzecznione szare spódniczki i żakiety, białe bluzki z idealnie wyprasowanymi kołnierzymi i klasyczne czarne szpilki. Jedyne kolorowymi apaszkami przewiązаныmi wokół długiej szyi przełamывała czasem monotonię barw, której szczerze nie znosiła.

Za to po pracy wskakiwała w ulubione dżinsy, kolorowe koszule w kratę i obwieszała się naszyjnikami z prawdziwych kamieni. W jej uszach często błyszcząły spore srebrne kolczyki, a na palcu malachit albo czarait.

Prawie każdą wolną chwilę w Warszawie spędzała na czytaniu książek, a gdy była w Burzanach – na malowaniu olejnych pejzaży. Była malarką amatorką, wielce rozkochaną w poleskich krajobrazach, które starała się uwiecznić na płótnie tak dokładnie, jak tylko pozwalały na to jej zdolności. Najwierniejszym fanem jej twórczości był Michał. Od lat zbierał jej obrazy, oprawiał w stare drewniane ramy i zawieszał na ścianach swego dworu.

Grzegorz wstał z kanapy i sprawdzając zawartość kieszeni w spodniach, wyszedł na

zewnątrz. Drzwi wejściowe w dworku były szerokie, dwuskrzydłowe i przeszklone, więc z salonu dobrze było widać, jak stoi oparty o kolumnę. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę, przez chwilę poobracał nimi w dłoniach i wreszcie zapalił. Zaciągnął się tak głęboko, że Greta dostrzegła na jego szyi nabrzmiałe żyły. Przez moment wstrzymał powietrze w płucach, jakby zapomniał o oddechu, zapatrzył się gdzieś przed siebie i wreszcie odetchnął z wyraźną ulgą. Wokół jego twarzy zakłębił się szary dym.

– Problemy? – zapytał spostrzegawczy Michał.

Greta oderwała wzrok od męża i przeniosła go na wuja. Przymrużyła swe szmaragdowe oczy tak, że dało się w nich dostrzec coś na kształt uśmiechu. Niesforny rudy lok opadł jej na czoło.

– Nie, Misiu – odpowiedziała cicho. – Już wszystko w porządku.

– Opowiesz mi o tym?

Michał potrafił wyciągnąć z człowieka każdą informację, zachowując się przy tym niezwykle taktownie. Jak sobie raz coś postanowił, nie było zmiłuj – zawsze dopiął swego. Ludzie czasem żartowali, że nie zawsze osiąga swoje cele ludzkimi siłami. Mówili, że czort mu w tym pomaga. Może i pomagał – Michał miewał różne dziwne znajomości.

Greta nie zamierzała przed księdzem niczego ukrywać. Częściowo po to tutaj przyjechała, żeby się przed nim wygadać, jak przed najlepszą przyjaciółką. Poza tym nie było tajemnicą, że ostatnio jakoś drogi jej i Grzegorza coraz bardziej się od siebie oddalały. Widzieli to wszyscy: Grzegorz, Michał i ona sama. Coś po prostu przestawało grać, jak to mówią: było nie halo.

– Grzegorz jakiś czas temu zgłosił chęć wyjazdu na misję do Afganistanu – zaczęła. – Przewalkowaliśmy temat dokładnie wzdłuż i wszerz. Od początku nie podobał mi się ten pomysł. Nie chcę, żeby mój mąż walczył na wojnie. Nie zgadzam się, żeby narażał swoje życie dla pieniędzy, i nie chcę się w ten sposób dorabiać.

– Taki kontyngent ma przecież szczytne cele do zrealizowania – Michał starał się zrozumieć także punkt widzenia Grzegorza. – Wiesz, Ruda, zapewnić bezpieczeństwo wsi i miast, wyszkolić afgańskich żołnierzy to chyba ważna rzecz, nie sądzisz?

– Sugerujesz, że powinnam być z niego dumna? – Spojrzała przez ramię na męża. – Michał, tam jest wojna, trwają walki i w każdej chwili może mu się coś stać. Ja się o niego boję, nie rozumiesz tego?

Michał położył swoją dużą dłoń na jej małej zgrabnej ręczce.

– Uszy do góry, Ruda – powiedział. – Grzegorz to mądry facet i na pewno wie, co robi. On czuje potrzebę opieki nad tobą, to dla ciebie chce wyjechać.

– W nosie mam taką opiekę – oburzyła się Greta. – Lepiej by się mną zaopiekował, gdyby pozostał na miejscu. Naprawdę nie ma potrzeby nigdzie emigrować, oboje przecież pracujemy i nasze zarobki są całkiem przyzwoite.

Rzeczywiście, finansowo radzili sobie zupełnie dobrze. Pieniądzy zawsze wystarczało na spłaty rat kredytu za ich niewielkie mieszkanko na warszawskim Ursusie, od czasu do czasu jadali kolacje na mieście, bywali w kinie i robili zakupy w galeriach handlowych. Słowem, żyli na całkiem przyzwoitym poziomie i jak dotąd nie narzekali na swój byt. Poza prozą dnia codziennego znajdowali także czas i pieniądze na swoje małe przyjemności. Grzegorz wychodził z kolegami do pubu obejrzeć mecz w dobrym towarzystwie z kuflem piwa w dłoni, a Greta, poza babskimi wieczorkami przy lampce wina, kupowała sporo książek i od czasu do czasu jakieś minerały, których urokowi nie mogła się nigdy oprzeć. Czasem była to podstawka pod kubek wykonana z plastra agatu, a częściej po prostu jakaś biżuteria.

Ostatnią rzeczą, na którą Greta i Grzegorz wydawali pieniądze, były niedalekie podróże. Owszem, zdarzało im się odwiedzić Egipt czy Grecję, ale oboje woleli choćby krótki wypad w Bieszczady kilka razy do roku. Weekend z powodzeniem wystarczał, by zaspokoić ich potrzebę obcowania z naturą. Wycieczki takie do drogich nie należały – najdroższe było tankowanie jeepa, poza tym dało się niekiedy przenocować pod chmurką lub w tanim hoteliku Biały w Ustrzykach Górnych. A jedzenie się nie liczyło, bo przecież czy w Warszawie, czy w Bieszczadach – i tak trzeba było na nie wydawać. To już lepiej jeść w pięknych górach.

Na razie wystarczało jej życie, jakie prowadzili dotychczas. Nie czuła potrzeby

wprowadzania jakichkolwiek zmian. Mimo to coraz wyraźniej widziała, że Grzegorzowi już to ich życie nie pasuje. Do tego doszły jeszcze te plany wyjazdu na misję i właśnie chyba to, że poróżnili się w dwóch tak istotnych kwestiach, spowodowało pewne oziębienie ich relacji.

Temat Afganistanu przegadali wielokrotnie już dawno, Greta myślała, że ostatecznie, ale jednak powrócił kilka tygodni temu. Grzegorz napomknął, że ma okazję załapać się na ostatni w tym roku kontyngent, ale po tym, jak napotkał silny opór ze strony żony, zawiesił jakiegokolwiek próby negocjacji.

Minęło parę tygodni, Greta zaczęła znów łapać wewnętrzną równowagę i spokój. Namówiła męża na kilka wolnych dni, wzięli urlopy i przyjechali do Michała. Widziała, co prawda, że męża coś gryzie, ale błędnie to zinterpretowała jako żal, że z jego planów nic nie wyszło. „Posiedzi trochę na wsi, to wróci do siebie” – myślała.

On z kolei myślał teraz, stojąc oparty o kolumnę, coś zgoła innego: „Jak jej to powiedzieć?”.

Tak to już w życiu bywa, że gdy dwojgu ludziom zależy na czymś innym, to choćby nie wiem jak bardzo chcieli, czasem wspólnego wózka razem nie pociągną. Bo i jak tu ciągnąć, kiedy dyszel jeden, a kierunki dwa?

Resztę dnia spędzili we troje na niezobowiązujących pogaduchach, nadrabiając zaległości w ploteczkach miejsko-wiejskich. Przy czym, trzeba przyznać, że wieści gminne były zdecydowanie ciekawsze od stołecznych. Wieczorem Michał zaczął się krzątać po kuchni, wyciągając zastawę i szykując kolację. Dworek w Burzanach zawsze przesycony był zapachami. Mieszały się tu wonie dobrego wiejskiego jedzenia z aromatami świeżych lub suszonych ziół, które przez okrągły rok zwisały z belki u sufitu, susząc się tam i czekając, aż przyjdzie czas na ich wykorzystanie. Kto nie lubił smaku i zapachu ziół, ten nie mógł rozsmakować się w księżowskiej kuchni. Michał dodawał je do większości potraw. Jego pierogi często bywały z miętą, pyzy z mięsem przetykał majerankiem, zupy pachniały lubczykiem, a kiełbasy jałowcem. Burzański dwór niemal nasiąknięty był woniami roślinności.

W ślad za księdzem do kuchni poszła Greta, a za nią Grzegorz. Wszyscy troje, gawędząc przyjaźnie, zabrali się do przygotowania kolacji. Grześ zajął się najprostszą czynnością – nakrył duży sosnowy stół i zaparzył herbatę. Greta tymczasem otworzyła lodówkę i szybko przejrzała jej zawartość. Wszystkie półki szczelnie zapełniały wędliny i nabiał. Na niewielkiej szklanej salaterce leżały małe jak piąstki osełeczki żółtego masła. Michał zawsze sam je robił ze śmietany, którą dostawał lub kupował od kobiet we wsi. W starej drewnianej maselnicy ubijał tłustą śmietaną tak długo aż najpierw, rozchlapując się na boki, wypływać z niej zaczynała maślanka, a na końcu pojawiały się coraz to większe kawałeczki żółtego masła. Uklepywał je w maleńkie osełki, by potem bez trudu brać taką jedną i ucierać z żółtkiem, posypując garścią posiekanej pietruszki, koperku, liśćmi lawendy lub szałwii. Puszystą masę skrapiał niekiedy sokiem z cytryny lub dosalał, po czym smarował na ciepłym chlebie dopiero co wyjętym z pieca.

– Na co masz dziś ochotę? – spytał, widząc, że Greta przygląda się masłu i zastanawia się, jak je doprawić.

– Chyba na rozmaryn – odparła po namyśle. – Grześ, przyniesiesz mi garść? – Odwróciła się do męża z prośącym uśmiechem na twarzy.

Grzegorz bez szemrania wyszedł do ogródka, gdzie przy pięknej ciepłej wiośnie zioła i kwiaty zdążyły już pokaźnie wyrosnąć.

Greta zabrała się do ucierania masła z żółtkiem. Posypała je solą i pieprzem, wyjęła z lodówki trochę twardego żółtego sera, szybko starła niewielką ilość nad salaterką. Jej mąż wrócił już z garścią aromatycznego rozmarynu i fachowo siekał jego drobne gałązki. Greta podniosła do ust małą drewnianą pałkę, którą ucierała masło, i najpierw zaciągnęła się zachłannie maślano-ziołowym zapachem, a potem polizała ją, delektując się gorzkawo-słodkim smakiem rozmarynu.

Michał tymczasem zajmował się krojeniem wędlin własnego wyrobu. Był wyśmienitym kucharzem, cukiernikiem, wytwórcą alkoholi i masarzem. Dziś w lodówce miał smakowitą szynkę, różowiutką w środku i z cieniutką warstwą tłuszczu po brzegach, soczysty baleron poprzecinany białymi żyłkami tłuszczu oraz cienką kiełbasę owiniętą wokół kijka wystruganego z jabłonki. Wszystko to powoli wędzone w starej wędzarce, na owocowym drewnie, z domieszką gałęzi

jałowca.

Zapachy rozchodzące się po całej kuchni nęciły nosy i pobudzały soki trawienne, także Wikarego. Pies niecierpliwie poszczekiwał, drepcząc w miejscu przednimi łapami. Była to jego zwykła taktyka służąca wyzebraniu niezłych kąsków. Wreszcie wszyscy zasiedli do stołu i ze smakiem rozpoczęli ucztę. Co chwilę ktoś rozpływał się w zachwytach nad jedzeniem, a księdzu aż się oczy śmiały, że tak szybko znika ono z półmisków. Ubywało również złocistego trunku z kryształowej karafki – Michał co rusz uzupełniał kieliszki. Było to słodkie wino z mniszka lekarskiego, który ksiądz rok temu, w maju, zbierał po okolicznych niekoszonych łąkach. Siedział potem nad pełnymi żółtych kwiatów koszami i skubał ich płatki, aż dłonie zupełnie zabarwiły mu się od mleczu, a w opuszkach zabrakło czucia. Potem przez kilka tygodni z kaflowego pieca, na którym ustawił gąsior pełen płatków kwiatów zalanych wodą i zasypanych cukrem, dochodziło ciche bulgotanie drożdży. Teraz pili gotową miksturę – wino słodkie, mocne, pachnące miodem, w kolorze najczystszej bursztynu. Wszyscy byli zadowoleni i najedzeni.

Po kolacji Greta wstała leniwie od stołu, włożyła ręce do kieszeni sukienki i zamknąwszy oczy, wciągnęła mocno powietrze.

Obaj mężczyźni obserwowali ją w skupieniu. Na twarzy Grzegorza malowało się ogromne uwielbienie.

– Jak cudnie – westchnęła. – W powietrzu czuć wodę i trawę.

Rzeczywiście, powietrze było rześkie, wilgotne od mgieł rozciągniętych na nadbużańskich łąkach i silnie pachnące świeżą zielenią. Wieczór był bardzo przyjemny, niebo bezchmurne i mocno rozgwieżdżone. Dodatkowego blasku nadawał ziemi ogromny księżyc zawieszony nisko nad dworskimi lipami. Gdzieś w oddali słychać było nieustanny rechot żab, a zdawało się, że niemal pod stopami rozbrzmiewa koncert świerszczy. W świeżej zieleni drzew ptaki wciąż wyśpiewywały swe trele. Cały świat dookoła tętnił życiem.

Drzwi do ogródka nadal pozostawały otwarte, stąd też Greta mogła chłonąć wszystkie dźwięki i zapachy, przebywając w środku. Ale jakby jej tego było mało, zaproponowała mężowi:

– Przejdźmy się – i nie czekając na reakcję, wyszła na werandę.

Ptaki, żaby i świerszcze jeszcze głośniej grały swą muzykę, a trawy jeszcze intensywniej kusiły aromatem.

Znów zamknęła oczy i zaciągnęła się tą wonią. Grzegorz zbliżył się do niej, narzucił jej na ramiona szeroki szal i z czułością objął ją w pasie.

– Kocham panią – szepnął w jej kark.

Takie chwile zawsze budziły w nim romantyka.

– I ja pana – odparła Greta.

Odwzajemniła jego uścisk, obróciła się na pięcie i złożyła na ustach męża namiętny pocałunek.

– Chodźmy stąd – szepnęła po chwili – bo staruszek się zgorszy.

Michał rzeczywiście stał przy oknie w salonie i z radością przyglądał się bratanicy i jej mężowi. Wyglądali na szczęśliwych. Greta chyba miała rację, że najgorsze już za nimi. Kamień z serca... Tak myśląc, zabrał się do sprzątnięcia ze stołu. Pod nogami radośnie plątał mu się Wikary.

Kilkaset metrów za dworkiem rozciągał leniwie swe zakola dziki Bug. Dostępu do rzeki strzegły stare, chylące się ku wodzie drzewa, wysokie trawy, sitowia i krzewy. Kto jednak wiedział, w którym miejscu należy przedrzeć się przez tych wartowników, mógł cieszyć oczy przepięknym widokiem. Woda płynęła z lekkim szumem i była krystalicznie czysta. Brzegi, niekiedy urwiste, niedostępne, przechodziły miejscami w łagodnie wynurzające się z wody jezory piaszczystej plaży. Bug był w tym miejscu dość płytki, w połowie jego szerokości leżało ogromne zwalone przez burzę drzewo. W jego suchych gałęziach wodne ptactwo uwiło gniazda, a woda naniósła wokół kamieni i piasku, tak że utworzyła piękną wysepkę.

Greta z Grzegorzem udali się właśnie w te okolice. Zнали to miejsce od zawsze, tu każdy mieszkaniec Burzan przychodził na randki. W mieście są eleganckie restauracje, a w Burzanach musiał wystarczyć ten skrawek ziemi nad Bugiem. Dla Greta z pewnością było to najpiękniejsze miejsce na świecie. To tutaj, pod burzańskim niebem, czuła się najbardziej u siebie. Grzegorz też

lubił tę okolicę, ale było na świecie kilka innych miejsc, gdzie czuł się równie dobrze – choćby Warszawa.

Greta zdjęła buty i stanęła bosą stopą na wilgotnym piasku. Po raz kolejny zaciągnęła się rześkim powietrzem i przymknęła oczy. W blasku księżycy jej włosy migotały złotem. Grzegorz otworzył usta, jakby szykował się do przemowy. Miał jej coś ważnego do zakomunikowania, ale zabierał się do tego nieudolnie już od kilku dni. Jeszcze w Warszawie postanowił, że dziś ostatecznie jej powie, ale kiedy już zamierzał to zrobić, zjeżdżając w polne drogi przed Burzanami, ogarnął go paniczny lęk przed jej reakcją. I wtedy postanowił sobie, że powie jej wieczorem. Tak, teraz musi jej wreszcie powiedzieć. Ona jednak niespodziewanie odwróciła się do niego.

– Tego mi było trzeba – zaczęła zalotnie. – Tego i ciebie – dokończyła.

Objęła go ręką za szyję i wspinając się na palce, musnęła wargami jego policzek. I w tym momencie jego plany wzięły w łeb.

„Za chwilę jej powiem” – przemknęło mu przez myśl, po czym zajął się żoną.

Piękny wieczór niepostrzeżenie przeszedł w piękną noc.

– Chcę tu kiedyś wrócić – odezwała się Greta.

– Kiedy tylko zechcesz – odparł Grzegorz dość bezmyślnie.

Greta podniosła się lekko z piasku, podpierając głowę na rękę. Skierowała swój wzrok na męża.

– Chcę tu kiedyś zamieszkać – uściśliła. – Nie nadaję się do życia w mieście. Warszawa mnie przytłacza.

Grzegorz poczuł się nieco zaskoczony. Według niego prowincja, owszem, była fajna, ale tylko od czasu do czasu. Na stałe nie bardzo widział siebie na wsi. Oboje pracowali przecież w mieście, dojazd byłby uciążliwy. Domek letniskowy gdzieś na odludziu, czemu nie, ale cały rok na wsi – wykluczone.

Teraz jednak miał ważniejszą rzecz do uzgodnienia, niż mieszkanie na wsi. Musiał wreszcie jej powiedzieć. Ale znów Greta go uprzedziła i odezwała się pierwsza:

– Grześ, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że już nie ma mowy o twoim wyjeździe. –

Cmoknęła go w policzek. – Mam nadzieję, że już nigdy nie będziemy do tego wracać.

Grzegorz uniósł się na rękę i z ciężkim sercem wydukał:

– Greta... muszę ci coś powiedzieć... – zatrzymał się, bo zabrakło mu znów odwagi.

– No... – Kobieta uniosła brew.

Wziął głęboki oddech i szybko z siebie wyrzucił, jakby się bał, że jeśli nie zrobi tego teraz, to nie zrobi już nigdy:

– Jadę w przyszłym miesiącu.

Zapadło długie, męczące milczenie. Greta świdrującym spojrzeniem przesywała jego postać.

Grzegorz poczuł się jak złoczyńca. Ona zaś nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Czowała się oszukana jak nigdy dotąd. Podniosła się z piasku, otrzepała ubranie, wzięła buty w rękę i boso weszła na wilgotną trawę. Nie miała mu nic do powiedzenia. Udała się w drogę powrotną, a łzy spływały po jej policzkach.

Grzegorz, pełen poczucia winy, zerwał się z piasku i próbując się tłumaczyć, pobiegł za nią.

– Kochanie, to tylko pół roku – przekonywał. – Jedno pieprzone pół roku, a potem już zawsze razem. Greta, zrozum, potrzebujemy pieniędzy. Po takiej misji będziemy ustawieni. – Widząc, że żona nie reaguje, spróbował z innej strony: – Chcesz, to wrócimy na wieś. Wybudujemy dom, jaki tylko zechcesz i gdzie zechcesz. Greta, kocham cię. Dla ciebie to wszystko! Jasna cholera!

Nie znosił jej milczenia. Już wolałby, gdyby na niego nawrzeszczała czy nawet rzuciła się z pięściami. A przy takiej wymownej ciszy nie mógł się w żaden sposób bronić. Był przekonany, że jego plan wcale nie jest zły. Owszem, łączył się z pewnym ryzykiem, ale zginąć można i pod własnym domem. Gdyby zawsze myśleć kategoriami bezpieczeństwa, nie wychodzilibyśmy z domów. Jedno cholerne pół roku, a potem już tylko z góry. Co jest, do licha? Dlaczego ona tego nie rozumie?

– Greta, powiedz coś, do cholery! – zawołał za nią bezradnie.

Dziewczyna przystanęła, odwróciła zapłakaną twarz i spokojnie powiedziała:

– Dziękuję, że tak bardzo liczysz się z moim zdaniem.

– To przecież nie tak...

– Od kiedy wiesz, że jedziesz?! – mówiła teraz głośniej, podniesionym tonem.

– Co? – Grzegorz był zupełnie ogłupiały. – Nie wiem... jakiś tydzień, może dwa... Jakie to ma znaczenie? Greta, zrozum, robię to dla ciebie... dla nas... – poprawił się, dostrzegając grymas na jej twarzy.

– Dla mnie?! – krzyczała już z całych sił. – Ja wcale nie chcę, żebyś tam jechał! Tam giną ludzie! Ty też możesz zginąć albo kogoś zabić!

– Kochanie, nie jadę na wojnę – próbował ją przekonać.

– Nie?! – Greta zrobiła krok ku niemu i stali teraz bardzo blisko siebie. – A co to, do cholery, jest?! Wczasy?! Misja! – sarknęła po chwili. – Trafne określenie! Tam ludzie ludziom zadają śmierć i ty będziesz miał w tym swój udział! A ja się na to nie godzę, rozumiesz?! Rozumiesz? – powtórzyła już ciszej i opuściła wzrok na ziemię, a skulone ramiona nadały jej sylwetce wyrazu obezwładniającej bezsilności.

Grzegorz wyciągnął ręce przed siebie i zamknął ją w czułym uścisku. Wciąż łkając, złożyła głowę na jego ramieniu.

– Nie jedź, proszę.

– Greta, kochanie, to tylko pół roku. – Wciąż ją obejmował, ale poczuł, jak pod wpływem jego słów zaczyna mu się wyrwać i zaciśniętymi pięściami próbuje go na oślep okładać.

Instynktownie zwiększył uścisk, ale ona i tak mu się wyrwała i, gdyby tylko starczyło jej sił, to rzeczywiście by go pobiła. Były to ciosy bezradności. Wobec niemocy powstrzymania męża prośbą pozostał jej jedynie atak siłowy, ale Grzegorz prawie natychmiast pochwycił ją za nadgarstki i znów próbował przytulić i uspokoić. Zrobiła unik, jakby jego dotyk zaczął ją nagle parzyć.

– Greta... – jęknął, nie mając już żadnych argumentów do wykorzystania. – Kocham cię – dorzucił błagalnie, ale rozwścieczył ją tym jeszcze bardziej.

– Zamknij się! – warknęła i ruszyła w kierunku dworku.

Gdy znalazła się na lipowej alei, nie czuła się na siłach, by wejść do środka. Przystanęła na chwilę. Żwir chrząścił pod jej stopami. Oparła się bezwiednie o stare drzewo i spłynęła po nim na ziemię. Przesiedziała tak długą chwilę, w poczuciu wielkiej krzywdy.

Z oddali dało się słyszeć chrzęst kamieni. To Grzegorz wracał. Widać i on musiał trochę gdzieś przystanąć, skoro szedł dopiero teraz. Siedzącej w ciemnościach Greta nie sposób było zauważyć. Tkwiła bez ruchu – nie chciała, by mąż ją zobaczył. Jego sylwetka, słabo oświetlona blaskiem księżyca w zacienionej alei, była nieco przygarbiona. Szedł z opuszczoną głową, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie spodni. Sprawiał wrażenie ociężałego i przegranego. Jeśli coś mogło go w tej chwili pocieszyć, to chyba jedynie fakt, że wreszcie ma to za sobą. Nie będzie się już dłużej męczył i zbierał na odwagę, by porozmawiać z żoną. Teraz nie pozostawało mu już nic innego, jak tylko czekać, aż Greta pogodzi się z faktami.

Ona także wyglądała kiepsko: przykulona, zapłakana, z głową wciśniętą w ramiona – bezradna i bezsilna, jak nigdy dotąd. Grzegorz, wchodząc do domu, nieświadomie wypuścił Wikarego. Tym razem tak jakby to on nie zauważył psa, który wypadł na zewnątrz, machnął ogonem i zaczął węszyć. Złapał widocznie jakiś trop, bo puścił się pędem przed siebie. W kilka sekund przypadł do siedzącej pod lipą Greta i skomląc z radości, ocierał się swym cielskiem o jej kruchą postać. Dziewczyna przygarbiona go do siebie.

– Chodź, sierściuchu – powiedziała łagodnie. – Pora iść spać.

Poczłapali do domu. Po Grzegorzu nie było śladu. „Dobrze – pomyślała – pewnie już śpi”. Nie miała najmniejszej ochoty go oglądać. Przeszła do kuchni, otworzyła kredens i wyjęła z niego kryształowy kielich i karafkę ze złotym płynem, ale nie był to ten sam napój co do kolacji. Trunek był gęstszy niż wieczorne wino, choć kolor wskazywał również na mlecz. Nie wiedziała jeszcze, co to, ale w kwestiach alkoholu Michałowi można było zaufać.

Nie pomyliła się – cierpko-słodki płyn powoli rozlewał się po jej podniebieniu, dając po

chwili uczucie przyjemnego rozluźnienia. Likier z mniszku lekarskiego, cudowny smak.

Zabrała karafkę ze sobą na górę. Po cichu wspięła się po starych schodach i skierowała na poddasze. Grzegorz pewnie był w pokoju na piętrze, może nawet na nią czekał. Ale ona dziś chciała posiedzieć na poddaszu.

Było to przytulne miejsce, odrestaurowane, jak cały dworek, ręką Michała. Małeńka antresola z twardym materacem tuż pod ukośnym sufitem, a pod nią miły kąt z kanapą i baranią skórą na podłodze. I jeszcze równie małeńka łazienka z prysznicem.

Poddasze było ulubionym miejscem Greta w całym domu – azyl jak znalazł na dzisiejsze smutki. Wikary wślizgnął się do środka i ulokował na środku skóry, zwijając się w kłębek. Greta tymczasem wzięła szybki prysznic. Karafkę z likierem zabrała do łóżka i nakryła się cienkim kocem. Michał miał fantastyczny patent na łóżka: pod prześcieradła wkładał cienką warstwę słomy przemieszanej z pachnącym sianem. Woń suszonej koniczyny rozchodziła się po całym pokoju przy najmniejszym nawet ruchu, a twarda słoma przyjemnie masowała ciało. Greta kochała takie sienniki. Czasem wkładał tam też lawendę albo len – cudnie pachnące i ńęczące zmysły.

Sen, który przyszedł, był mocny, zdrowy, regenerujący. Greta tego właśnie potrzebowała.

Piętro niżej Grzegorz przewracał się z boku na bok. Z początku miał nadzieję, że żona do niego przyjdzie, że sobie wszystko wyjaśnią, że zrozumie jego decyzję. Potem usłyszał, jak się przemyka na poddasze, jakby chciała, żeby jej nie zauważył. W końcu opuściła go nadzieja – doszedł do wniosku, że jednak dzisiejszą noc spędzi sam. Otworzył drzwi i wyszedł z pokoju. Stał cichcem pod jej drzwiami i usłyszał szum wody spod prysznica. Powziął zamiar zaskoczenia jej w kąpielni – skapituluje, kiedy się do niej wkradnie. Musi mu wybaczyć. Taki plan wydawał się doskonały. Ale Grzegorz nie przewidział jednego: drzwi do pokoju były zamknięte od wewnątrz. I to by było na tyle.

## Rozdział 3

Ranek przyniósł Grecie ukojenie. Obudziła się spokojna i nie rozpamiętywała już wczorajszych wydarzeń. Trzeźwo przeanalizowała sytuację: uświadomiła sobie, że tak naprawdę nic nie wie o wyjeździe Grzegorza. Nie powiedział jej ani dokąd konkretnie się wybiera, ani kiedy dokładnie wyjeżdża. Miała jedynie pewność, że na pół roku znika z jej życia. To jej jednak wystarczyło, by zacząć przyzwyczajać się do sytuacji. Nie była wprawdzie zadowolona z obrotu spraw, ale skoro nie miała na niego wpływu, to nie zamierzała sobie rwać włosów z głowy.

Kiedy dziecko potknie się i upadnie, wszyscy wokół krzyczą: „oj, trzeba uważać!”, mimo że w tym momencie jest już po zawodach i żadne uważanie niczego nie zmieni. Greta w takich chwilach zawsze mówiła: „wszystko w porządku?”. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

Tego ranka już nie płakała. Wszystkie swoje frustracje wyrzuciła z siebie wczoraj, dziś zaczynała się powoli oswajać z myślą o półrocznej samotności. Było jej tylko bardzo przykro, że Grzegorz nie wziął pod uwagę jej zdania i samodzielnie podjął tak ważną decyzję. Czuła się okłamana tym bardziej, że kłamstwo to nadeszło z najmniej oczekiwanej strony. O jej najbliższej przyszłości zdecydowano pokątnie, bez jej wiedzy i przyzwolenia, a ona mogła jedynie pokornie to przyjąć. No to przyjęła, choć z niemałym bólem i poczuciem zdrady.

Grzegorzowi ranek wcale nie przyniósł ukojenia. Obudził się zmęczony i niewyspany. Dręczyła go niepewność zachowania żony. Spotkania z nią oczekiwał jak skazaniec. Znał ją na tyle dobrze, że mógł przewidzieć, iż zachowa się rozsądnie, ale nie miał pewności, czy nie będzie na niego obrażona. A przebłagać pragmatyczkę wcale nie jest łatwo. Co innego romantyczkę: bukiet i czułe słówko zrobiłyby swoje, ale na Gretę zawsze działały wyłącznie solidne argumenty. Jej nigdy nie dawało się przekupić. Zdobywało się ją jedynie rozsądnym działaniem, nigdy komplementem.

Spotkali się przy śniadaniu. Greta już od dawna krzątała się po kuchni. Michał, który wrócił do domu z porannej mszy, właśnie nakrywał do stołu. Na drewnianym blacie kredensu stały już parujące kubki z kawą: dla Michała mocna czarna, dla Grety nieco słabsza z ogromnym kleksem utartego do białości wściekle słodkiego kogla-mogła.

– Jak tam, Ruda – zagadnął ksiądz – wieczór się udał?

– Jak cholera – odpowiedziała kąśliwie.

– Za młodymi nie nadążysz – roześmiał się Michał. – Zmienne to jak kwietniowa pogoda.

– A, no widzisz, Misiu – odparła już łagodnie Greta – z nami to jak w tyglu: nie zgadniesz, w którą stronę się kręci ani kiedy wybuchnie.

– Dobrze, że iskrzy, skarbie – zauważył. – To znaczy, że wam jeszcze zależy.

„Tylko nie wiem, czy na sobie...” – pomyślała Greta.

Do kuchni przyczłapał przygarbiony Grzegorz.

– Dzień dobry – powiedział.

– Witamy, witamy – radośnie odparł Michał.

Greta pozwoliła się cmoknąć w policzek i Grzegorz wziął to za dobrą monetę. Troszkę podniesiony na duchu zasiadł weselszy do śniadania. Najpierw zrobił sobie kawę, dolał do niej wiejskiego wysokoprocentowego mleka, a potem sięgnął po ciepłutkie, złociste i chrupiące tosty i drewnianym nabierakiem zaczął na nie nakładać skryształizowany miód gryczany. Greta też jadła tosty z samym miodem, Michał zaś na ciepłej kromce położył najpierw cienki plasterzek tłustego twarogu i dopiero potem odrobinę ciemnego złota z gryki. Wszyscy mieli w ustach ostry, lekko piekący smak tego najpóźniej podbieranego pszczołom miodnym przysmaku. Kuchnia znów pachniała tak bardzo, że aż ślinianki zaczynały pracować na zwiększonych obrotach, podkręcane jeszcze silnym aromatem świeżej kawy.

– Opowiesz nam o swoich planach? – spytała Greta.



Grzegorz nie był zadowolony, że będzie musiał spowiadać się też przed Michałem. Wolałby porozmawiać z żoną sam na sam, ale czuł, że nie może wybrzydzać.

– Jakich planach? – zagadnął ksiądz z zainteresowaniem.

– Nic wielkiego. – Greta spojrzała na męża, a potem na Michała. – Grześ wyjeżdża na misję.

Michał przestał przeżuwać. Coś mu tu nie pasowało do tego, co mówiła zaledwie wczoraj. Spojrzał na Grzegorza w oczekiwaniu wyjaśnień. Greta też czekała na wieści.

– To prawda – zaczął niepewnie Grzegorz. – Podpisałem kontrakt na pół roku. Jadę do Afganistanu. Potrzebujemy pieniędzy.

Michał popatrzył zdziwiony na Gretę. Dziewczyna przecząco pokręciła głową.

– Ty potrzebujesz, kochanie – powiedziała z przekąsem. – Ja nigdy nie narzekałam na stan naszych finansów.

– Skarbie – bronił się Grzegorz – to nam pozwoli spokojnie żyć.

– Być może – powoli odparła Greta. – Ale dopiero za pół roku, bo przedtem wszystko może się zdarzyć.

– Nic się nie zdarzy – tłumaczył się. – Tam są tysiące naszych żołnierzy.

– Ale nie wszyscy wracają – wtrącił Michał. – To znaczy, wszyscy – poprawił się – ale niektórzy w blaszanych pudłach.

– Ryzyko jest niewielkie – brnął w tłumaczenia Grzegorz. – Wszystko będzie w porządku...

– Grzegorz – przerwała mu Greta – przestań już. Podjąłeś decyzję, a mnie pozostało jedynie się z nią pogodzić. No to pogodziłam się – syknęła. – Ale nie mam ochoty zostać wdową, a, jak widzę, ciebie to niewiele obchodzi!

Temat był skończony. Michał przezornie wolał nie wkładać kija w mrowisko, sercem brał w tej sprawie stronę dziewczyny. Grzegorz też już nie znajdował rozsądnych argumentów, a i sama Greta miała dość tej gadaniny.

Przedpołudnie minęło nieco nerwowo, a długie chwile milczenia najbardziej męczyły Grzegorza. Rozmowa się nie kleiła, nie zadziałało nawet najlepsze spoiwo świata – nalewka. Rozeszli się więc do różnych zajęć.

Michał zaszył się w ogrodzie, Greta wygrzebała ze strychu swoje stare sztalugi i oleje, a Grześ pozostawał, biedak, bez zajęcia, za to z ogromem ciężących mu myśli. Obserwował żonę, która krzątała się przed dworkiem, szukając dobrego obiektu do malowania. Lubił tę jej pasję. Malowała, jego zdaniem, nieco kiczowato, jak na jego gust zbyt impresjonistycznie, ale uwielbiał widok jej postaci przy sztalugach. Podniecała go w wielu życiowych sytuacjach, najbardziej wtedy, gdy w coś się zapamiętywała.

Włożyła stare obcisłe dżinsy i równie starą, pomazaną farbami flanelową koszulę Michała. Była na nią za duża, ale poradziła sobie z tym, obcinając rękawy i seksownie wiążąc jej poły na brzuchu. Tak zawiązana koszula i ciasne spodnie doskonale uwydatniły jej kształtne, jędrne pośladki. Grzegorz obserwował ją spod lip i już zaczynał tracić głowę. Znow chciał się z nią kochać. Chciał ją mieć tu, natychmiast, na tym żwirze. Chciał mieć z nią dzieci. Już dawno powinni je mieć. Ale Greta nie chciała, jeszcze nie teraz.

Doskonale wiedziała, że rozpalala jego zmysły. Znała go świetnie i czuła, że obserwuje każdy jej ruch. W normalnych okolicznościach już by przy niej był i się przymilał. Ale dziś brak mu było odwagi, bał się odrzucenia. „Niech się pomęczy i potrudzi – stwierdziła w myślach – niech wie, ile może stracić”. Kusząco wygięła się w łuk, sięgając po pędzel, i energicznie odrzuciła włosy znad oczu. Ponieważ wciąż była na niego trochę zła, to chętnie bawiła się jego męką.

Nie wytrzymał tak długo. Podeszedł do niej i spróbował ją objąć w pasie. Pozwoliła. Przytrzymał ręce na jej biodrach, przytulił się do niej. Wsunął rękę pod ciasno związaną koszulę i wyczuł przyspieszone bicie jej serca.

– Kocham panią... – szepnął po swojemu.

To ją otrzeźwiło na tyle, że machnęła mu pędzlem przed nosem, ochlapując go błękitem. Czar prysł razem z farbą, co było Grecie bardzo na rękę, bo zamierzała winowajcy dozować

rozkosze i podręczyć go, uszczuplając mu znacząco to, za czym tak przepadał. Jak Rosjanie przykręcą niektórym kurek z gazem, tak Greta przykręcała mężowi kurek z seksem i od razu dopinała swego. Tak się zdobywa świat: jednym małym pokrętełkiem. Jak to szło? – „Głodnym rządzi zupa, a pijanym flaszka, chłopem rządzi baba, światem – gaz i nafta”. No, coś faktycznie w tym było.

Pokonany Grzegorz wycofał się do stołu wystawionego na werandę. Zajął się kawą i ciastem – jedyną słodyczą, jaka była mu na dziś łaskawie darowana.

Greta pracowała w uniesieniu. Zamierzała na obrazie uchwycić Michała w jego grządkach. Ubrany będzie w swą przykrótką sutannę i stary słomkowy kapelusz, a jego postać pochyli się z gracją nad kępką traw. Na razie jednak na zagruntowanym płótnie pojawiał się dopiero zarys sylwetki schylonego mężczyzny.

Greta używała zazwyczaj ciepłych barw, lubiła dość wiernie odtwarzać rzeczywistość. Grzegorz miał rację, nazywając jej prace impresjonistycznymi. Nie lubiła nowoczesnych bohomasów, uważała, że namachać coś bez sensu to każdy potrafi. Ceniła prace Gieryskiego i Wyczółkowskiego. Sama była artystką domorosłą – malowała dla przyjemności, dla przyjaciół. Lubiała to ogromnie i nie zastanawiała się wcale, czy ma talent. Trzeba było przyznać, że jej obrazy były przyjemne dla oka. Jakiś rodzaj uzdolnień reprezentowała na pewno. A czy był on na miarę dzieł w Ermitażu – nikt nigdy tego nie sprawdzał.

Dzień mijał leniwie. Popołudniową kawę wypili we troje, rozmawiając o rzeczach lekkich i skrętnie omijając to, co ich gryzło. A gryziółka mieli wspólnego: misja, kontyngent, Afganistan – jak zwał, tak zwał – w każdym razie nękał ich dusze dotkliwie.

Późnym popołudniem Grecie skończyło się dobre światło, odstawiła więc sztalugi i rozejrzała się dookoła. Michał nadal pracował w ogródku, a Grzegorza nie było w zasięgu wzroku. Znużony dzisiejszym lenistwem i przygnieciony ciężarem swych win poszedł do salonu i zaległ przed telewizorem.

Osamotniona Greta oplukała farbę z rąk i nie zastanawiając się zbyt długo, przecięła zwirową aleję w poprzek i ruszyła za dwór. Nie musiała się namyślać, dokąd pójść. Nogi same niosły nad Bug, który w tej okolicy był po prostu urzekający.

Rozłożyła się wygodnie w pobliżu miejsca, gdzie wczoraj spędzili z Grzegorzem kawał nocy. Pogoda była wyśmienita: słońce wciąż grzało mocno, choć czuć już było w powietrzu zbliżający się wieczór.

Niemal w bezruchu przeleżała sporo czasu, delektując się zapachem i dźwiękami natury. Upajało ją to bardziej niż cokolwiek innego. Po jakimś czasie z leniwego wylegiwania się wyrwał ją hałas przejeżdżającego niedaleko auta. Uniosła lekko głowę znad trawy i zobaczyła samochód parkujący kilkaset metrów dalej. Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę i nie dostrzegając nic ciekawego, opadła z powrotem na ziemię. Sięgnęła ręką do pobliskiego źdźbła, zerwała je i wsunęła w usta. Przegryzła trawkę i wysłała młode soki.

Hałas, który na chwilę przerwał jej odpoczynek, ustał już zupełnie i znów mogła zapaść w błogi stan lenistwa. Wyrwał ją z niego jednak coraz głośniejszy monolog. Głos najpierw tylko nieznacznie docierał do jej uszu, ale mówiący zbliżał się w jej stronę, bo słyszała coraz wyraźniej podniesiony nerwowo ton przechodzący w krzyk. Otworzyła z zaciekawieniem jedno oko, ale nie chciało jej się podnosić głowy. Słońce oślepiło ją, więc opuściła powiekę i już miała znów zapaść w przyjemny marazm, gdy usłyszała, jak tuż obok niej jakiś mężczyzna, zdecydowanie niezadowolony, wrzeszczy z wyraźnym wschodnim akcentem:

– *I don't care! I don't give a shit!*<sup>1</sup>

Odrobinę się przestraszyła, ale bez ruchu pozostała na miejscu. Facet nie był zadowolony, ale to jeszcze nie oznaczało, że jej zagraża.

– *So what?! – grzmiał nadal. – You have to do it, do you understand?!*<sup>2</sup>

Greta nadal tkwiła nieruchomo na trawie, mężczyzna był już tuż obok niej, ale najwyraźniej jeszcze jej nie dostrzegł. Usłyszała trzask zamykanej klapki od telefonu i uznała, że rozmowa jest zakończona. Już zamierzała odetchnąć z ulgą, gdy mężczyzna zaklął siarczyście sam do siebie:

– Cholera jasna! – Rosyjski akcent jak nic.

I wtedy Greta uniosła się na łokciach, a facet właśnie ją zauważył. Zapanowała długa cisza, oboje się obserwowali, tylko że ona była w gorszym położeniu – patrzyła wprost pod słońce, leżąc u jego stóp. Okropna pozycja, niedobra ze strategicznego punktu widzenia. On z kolei widok miał zdecydowanie lepszy: tuż pod jego stopami leżała kobieta, której włosy pięknie błyszcząły złotem, a spodnie sprawiały wrażenie o wiele za ciasnych. Do tego karminowa plama farby na prawym policzku... Piękny widok.

Greta poderwała się i natychmiast napotkała wyciągniętą w jej kierunku dłoń.

– Ostrożnie – odezwał się mężczyzna. – Pomogę pani, proszę się mnie przytrzymać – jego polski był jak najbardziej poprawny, choć z przyjemnym dla ucha akcentem.

Przytrzymała się jego dłoni, po czym natychmiast odsunęła się o krok. Trochę dla bezpieczeństwa, a trochę by lepiej mu się przyjrzeć. Instynkt podpowiadał jej, że powinna zachować dystans, bo jest sama w towarzystwie obcego i rozłoszczonego faceta. Było to co prawda znane ludziom miejsce, ale jednak przebywali w odludnej okolicy.

Widok tego mężczyzny przyjemnie polechtał zmysły Grety. Oceniała go na jakieś czterdzieści lat, może ciut więcej. Wysoki, w dobrze skrojonej, jasnej marynarce. Pod żółtawą koszulą rysowały się pięknie wyrzeźbione mięśnie brzucha. Spodnie miał dżinsowe, dość opięte, o strukturze tkanego jak len materiału. Jasne, eleganckie mokasyny dopełniały całości, słowem: facet niezwykle *comme il faut*. Greta przeniosła wzrok na jego twarz. Bardzo męskie rysy, nic z chłoptasia, włosy półdługie, gęste, falujące, czarne, niesfornie opadające na kark, śniada karnacja i do tego spojrzenie ciemnobrązowych oczu. Widok ten zaparł Grecie dech w piersiach. Zawstydzona, że tak bezczelnie mu się przygląda, spuściła wzrok na jego dłonie. Prawą trzymał w kieszeni spodni, a w lewej obracał komórkę. Na serdecznym palcu miał niewielki sygnet z zakutą drużą czarnego agatu. Greta wlepiała w nią oczy.

– Jaka piękna druza – wyrwało się jej.

– Agat – odpowiedział.

– Przecież widzę, że nie melanit – zripostowała.

Zaskoczony znanstwem dziewczyny mężczyzna postanowił skierować rozmowę na inny tor.

– Ależ ze mnie gbur. – Uśmiechnął się pięknym kompletem śnieżnobiałych zębów. – Nie przedstawiłem się: Oleg.

Wyjął rękę z kieszeni i wyciągnął dłoń w powitalnym geście.

– Greta. – Po chwili wahania odwzajemniła jego uścisk.

Mężczyzna wciąż tylko jej się przyglądał. Speszona spuściła wzrok i niezdarnie wzięła odwrot.

– Muszę już wracać – powiedziała cicho i zaczęła iść przed siebie, oddalając się od Bugu.

Stał jak wykuty w kamieniu, przyglądając się odchodzącej Grecie. Zdołał jeszcze tylko za nią krzyknąć:

– Czy pani jest malarką?!

Greta odwróciła się do niego i z uśmiechem zawołała:

– Nie!

Dziwne, jej umazana koszula i ślady na policzku wskazywały na artystkę. Teraz, kiedy już sobie poszła, Oleg zaczął się zastanawiać, ile mogła zrozumieć i wywnioskować z jego rozmowy telefonicznej.

„Jest OK – uznał. – Ale na przyszłość, cholera, trzeba uważać”.

To myśląc, podszedł do swojego czarnego hummera. Oparł się o tylne drzwi i wyciągnął z kieszeni marynarki srebrną papierośnicę. Zapalił papierosa i z namaszczeniem się zaciągnął. W tym momencie zadzwonił telefon. Sprawdził, kto dzwoni, i szybko odebrał.

– *Good job*<sup>3</sup> – odpowiedział po chwili, najwyraźniej w reakcji na słowa mówiącego. Potem się rozłączył.

Wrzucił telefon na przednie siedzenie auta, a sam spokojnie dokończył papierosa. Rozejrzał się dookoła.

„Ładnie tu – pomyślał. Opuścił wzrok na ziemię i dojrzał wygniecioną trawę w miejscu,

gdzie jeszcze przed chwilą leżała Greta. – Ona też ładna – przemknęło mu przez głowę. – Nic to, czas na mnie”.

Wsiadł za kierownicę, przekręcił kluczyk, wrzucił D na automatycznej skrzyni biegów i ruszył w stronę szosy. Ze dwa kilometry dalej wjechał w niezbyt gęstą wieś – nic nadzwyczajnego, ot, zwykły polski zaścianek. Domy były stare, niektóre odremontowane. Ogólnie wieś sprawiała wrażenie ospałej i ubogiej. Gdzieś przy jej końcu stał sklep, a za jego dużą witryną mignęła Olegowi jakaś ruda burza włosów. Przejechał już, ale spojrzął w lusterko i wrzucił wsteczny. Ujechał tak kilkadziesiąt metrów i zaparkował przy drzwiach budynku. Nie musiał niczego kupować, wszystko, czego potrzebował, miał w aucie, ale nie potrafił odmówić sobie przyjemności powtórnego ujrzenia rudej panny – o ile to oczywiście ona przemknęła mu przed chwilą przed oczami. Wszedł do sklepu i szybko się rozejrzał. Chyba miał dziś szczęście, bo dziewczyna faktycznie tu była. Podszedł do niej i zagadnął:

– Znów się spotykamy.

Greta odwróciła głowę, lekko się do niego uśmiechając.

– No, cóż – odparła. – Świat jest mały, jak widać.

Stała przy półce z alkoholami i próbowała wybrać piwo. Sięgnęła po imbirowe i podeszła do kasy. Oleg szedł za nią, ale nic nie kupując, musiałby wyjść ze sklepu, bo przecież nie będzie się jej tak bezczelnie przyglądał. A przyglądać się chciał, więc wrócił szybko do alkoholi i wziął to samo co ona. Ulokował się za nią w kolejce i teraz wpatrywał się w jej kark. Trochę ją to krępowało – czuła na sobie jego wzrok – ale też i polechtało mile jej próżność.

– Cześć, Greta – odezwał się młody chłopak przy kasie, kiedy przyszła jej kolej zapłaty. – Na długo do nas przyjechałaś? – Przejechał butelką po czytniku i dodał: – Trzy sześćdziesiąt.

Greta sięgnęła do kieszeni, ale nie znalazła tam ani grosza.

– Cholera – mruknęła, po czym zwróciła się do kasjera: – Jurek, założysz za mnie? Zapomniałam pieniędzy.

– Nie ma sprawy – zaczął chłopak, ale w tym momencie wszedł mu w słowo stojący za Gretą Oleg:

– Ja za tę panią zapłacę. Proszę doliczyć do moich zakupów.

– O, na pewno nie! – krzyknęła zawstydzona Greta.

Kategorycznie wzbraniała się przed takim gestem ze strony nieznanego, Oleg się jednak upierał. A kasjer zgłupiał. Zza sklepowych półek wyłoniła się tymczasem żona kościelnego Skrętka. Zlustrowała tłoczących się przy kasie ludzi i przepchnąwszy się do lady, odezwała do Jurka, wskazując na piwo:

– Dolicz to do mojego rachunku.

– Dziękuję, pani Zosiu. – Greta odetchnęła z ulgą. – Zwrócę dług przez wuja.

Skrętkowa uśmiechnęła się lekko, mruczając coś niezrozumiale pod nosem, zapłaciła za zakupy i opuściła sklep, wcześniej oddając Grecie piwo. Zaraz potem ze sklepu wyszła i Greta, a niemal równocześnie z nią Oleg.

– Ależ z pani uparciuch – rzekł z uznaniem.

– Tak mówią – odparła.

– Mogę panią odwieźć do domu? – zaryzykował, nie chcąc się z nią tak szybko żegnać.

– Dziękuję – odmówiła. – Mieszkam niedaleko. Przejdę się.

Skapitulował, nie zamierzał być nachalny. Postanowił jednak, że tak łatwo się nie podda. Wytrawny łowca nigdy się nie spieszy. On też miał czas.

Pożegnał się grzecznie i rozeszli się w swoje strony: Greta do dworku, on do samochodu. Wrzucił butelkę z piwem na siedzenie obok komórki i ruszył przed siebie. Niebawem minął tablicę z nazwą miejscowości. Przejechał kilka kilometrów i sięgnął po komórkę.

– Irmina, kochanie, mam dla ciebie zadanie specjalne – tym razem mówił przez telefon po polsku. – Znajdź mi wszystko na temat dziewczyny o imieniu Greta... Tak, Polska, jakieś Burzany, jestem niedaleko granicy białoruskiej. Cholera – zaklął. – Gdybym wiedział, tobym ci głowy nie zawracał! Jest ruda. Nie, raczej nie farbowana. Nic więcej nie wiem.

Najwyraźniej Irmina przyjęła zlecenie, bo za chwilę rozmowa się zakończyła. Oleg

odetchnął z ulgą. Był z siebie zadowolony: interesy, które właśnie przywiodły go do Polski, szły po jego myśli, a co do roboty, o którą tak się złościł, także przekazano mu, że poszła sprawnie, zaś na koniec tego dobrego dnia spotkał jeszcze ładną polską dziewczynę, na której wspomnienie usta rozchyłały mu się w uśmiechu. Oleg był typem myśliwego, lubił polować. Tym razem padło na Gretę. Jutro, najpóźniej za dwa dni powinien już sporo o niej wiedzieć. Nie na darmo pracuje z takimi fachowcami jak Irmina. Teraz spokojnie zaczeka.

Tak myśląc, sięgnął po butelkę, wyjął ze schowka brelok z otwieraczem i szarpnął kapslem. Wzburzone piwo podeszło pianą pod wierzch. Oleg pociągnął łyk. Potem drugi.

– Okropne – skrzywił się i odstawił butelkę do cup holderu z zamiarem pozbycia się jej przy pierwszym postoju. – Mam nadzieję, że sama panna będzie lepiej smakować – mruknął.

Greta tymczasem dotarła już do domu. Rozsiadła się wygodnie na werandzie, założyła nogi na stół i łyżeczką podważyła kapsel na butelce. Pociągnęła łyk i z uznaniem mruknęła:

– Pyszne.

Analizowała w głowie dzisiejszy dzień. Zgoła nudny, nic dobrego się nie wydarzyło, a jednak uznała go za udany. Bardzo pozytywnie wpłynęły na jej nastrój chwile z dziwnym nieznajomym. Zdecydowanie poczuła się przy nim ładną i pożądaną. Potrzebowała takiego dowartościowania. I tyle: to jej w zupełności wystarczało.

Znów upiła trochę piwa. Spojrzała w stronę porzuconych przez siebie sztalug, ale myśli nie chciały powrócić do malowania. W głowie miała obraz czarnych falujących włosów i ciemnych oczu.

– O czym tak intensywnie myślisz, Ruda? – zagadnął ją Michał wychodzący z salonu.

Niósł tacę ze szklankami i dzbanek z sokiem.

– O niczym istotnym – odpowiedziała.

Michał rozlał do trzech szklanek sok malinowy z miętą. Wokół rozniósł się przyjemny orzeźwiający zapach. Greta była fanką tego napoju. Ksiądz co roku robił sok z własnych malin i zanim zaczynał przelewać go do butelek, wrzucał do sokownika ogromną garść świeżych listków mięty. Sok zawsze wychodził wyśmienity.

– Poezja – szepnęła Greta, spróbowałszy napoju. – Kocham cię, Misiu.

– O, ty wredna! – krzyknął z rozbawieniem ksiądz. – Jakaś ty interesowna. A jakby nie sok?

– A jakby nie sok... – zamyśliła się – to kochałabym cię za ten dwork.

– A mnie? – wtrącił z nadzieją w głosie nadchodzący z domu Grzegorz.

Greta spojrzała na niego spode łba, zachmurzyła się i opryskliwie odparła:

– Nie chce mi się z tobą gadać.

Jakoś faktycznie straciła ochotę na rozmowę. Choć przetłumaczyła sobie decyzję męża o wyjeździe i próbowała ją zaakceptować, to jednak w gruncie rzeczy nie mogła się z nią pogodzić. Najbardziej bolało ją, że Grzegorz zrobił to za jej plecami. Poczuła się zdradzona i oszukana.

Wieczór dobiegał końca, z dalszej rozmowy wyszły nici, Grzegorz wziął więc odwrót przed telewizor. Ksiądz szykował się właśnie na nieszpory.

– Poczekaj, Michał! – zawołała Greta, zrywając się z krzesła. – Jadę z tobą.

Dopadła nivy w ostatniej chwili, bo wuj już odpalił silnik i był gotów do jazdy.

– Brudno tu u ciebie – powiedziała, sadowiąc się w środku.

– Biskupa nie wożę, to i sprzątać nie muszę – odparł ze śmiechem.

Kościół oddalony był o jakieś trzy kilometry. Do posług duszpasterskich nie była to komfortowa odległość, ale Michał wołał w swoim dworku mieszkać i do kościoła dojeżdżać. Typowy ksiądz powinien żyć przy kościele, ale że ksiądz był nietypowy, to i taki stan rzeczy nikogo już nie dziwił. Technika przyszła tu ludziom i księdzu z pomocą – w razie nagłej potrzeby były przecież telefony i samochody. Prawdziwą plebanię tuż przy kościele zamieszkiwał organista z rodziną, zadowolony, że ma do pracy kilka kroków i na świątynię przy okazji stałe baczenie.

Kościół był mały, drewniany, bardzo przytulny. Postawiony w roku trzydziestym dziewiątym przez świetnego fachowca, Lamorskiego czy też może Zamorskiego, którego ludzie z trudem przypominali sobie z nazwiska; nad imieniem jego od dawna już się tu nikt nie

zastanawiał. Przywędrował on do Burzan wraz z przedwojenną zawieruchą nie wiadomo skąd. Cieśla z niego był doskonały, ale opój jeszcze większy. Pił i solidnie pracował, zagrzewany do tej pracy przez miejscową ludność. Na koniec tak się splukał, że zgrał ostatnią parę butów i byłby boso do swoich poszedł, ale się ludziska zlitowali i sprawili mu sandały. Tak przynajmniej opowiadają najstarsi mieszkańcy wsi.

Greta uwielbiała klimat tego kościoła. Przypominał nieco maleńkie drewniane bieszczadzkie cerkiewki, gdzie czuć specyficzny zapach, panuje półmrok, ciepło bije od drewnianych ścian i ław. Dzisiejsza msza była niedługa, większość miejsc w kościele pozostawała pusta. W środku znajdowało się zaledwie kilkanaście osób. Pod koniec nabożeństwa z zewnątrz dobiegły jakieś dziwne hałasy: jakby dziecko toczyło fajerkę po asfalcie lub jakieś krzywe koło poturlało się w dal.

Msza się skończyła, ludzie wychodzili z kościoła. Michał opuścił miejsce przy ołtarzu, zdmuchnął świecę i podszedł do Greta siedzącej w ostatniej ławce.

– Idziemy, Ruda. – Podał jej ramię, o które ona natychmiast się oparła.

Zatrzymali się przed kościołem i usiedli na murku okalającym dziedziniec. W powietrzu znów słyhać było ten sam hałas co podczas mszy.

– A to co, Nawrocki znów jeździ? – spytała zdziwiona dziewczyna.

Zbliżał się do nich mężczyzna pchający przed sobą zdezelowaną taczkę. To jej koło tak turkotało, tocząc się po dziurawym asfalcie. Nie byłoby w tym widoku nic nadzwyczajnego, gdyby nie jej zawartość. Otóż w taczce, w pozycji półleżącej, znajdowała się kobieta. Wyglądało na to, że jest zalana w trupa.

Greta ze zdziwienia aż otworzyła usta. Michał nie wyglądał na zaskoczonego.

– Szczęść Boże – przywitał się mężczyzna.

– Szczęść Boże – odpowiedział Michał. – Coś to często ostatnio tak kursujecie, Nawrocki.

– Co zrobić, takie życie... – odpowiedział chłop filozoficznie i pojechał dalej.

Każdy w Burzanach wiedział, że ten hałas podczas mszy to taczka Nawrockiego, który jedzie właśnie w wieś w poszukiwaniu żony. A to, co teraz widzieli ksiądz z bratanicą, było kursem powrotnym do domu: Maryśka zasiedziała się w którymś obejściu, Nawrocki ją namierzył i odholował do taczki, bo tak najłatwiej dotransportować ją było do chałupy.

Oboje Nawrocky lubili sobie wypić, ale on miał w sobie więcej klasy, jak mówił, i wiedział, kiedy przestać, a ona jak już zaczęła pić, to na umór. Zbierać ją czasem przez to musiał, a że taką bezwładną kłodę nie wiadomo jak do domu zatargać, wymyślił, że taczka całkiem dobrze będzie. Często się zdarzało, że prowadząc ten wehikuł, sam był pod wpływem. A niekiedy Maryśka jego w taczkę kładła i jechała przez wieś. I tak to miały Burzany swój rydwan ognisty – zwany tak od ognistej wody.

– Widzisz – odezwał się Michał do Greta – wczoraj była jego kolej na picie, umierać już chciał, a dzisiaj jej kolejka. No popatrz, jakie zgodne małżeństwo.

– I nikt nic z tym nie próbował robić? – zdziwiła się Greta. – Trzeba im przecież jakoś pomóc. Jeżdżąc tak po nocy, są zagrożeniem dla innych.

– Można by im taczkę zabrać – podsunął Michał – ale wtedy namęczą się mocno, prowadzając się na piechotę.

– To może chociaż dajcie im odblaski – zaproponowała, a po chwili się rozmarzyła: – Ech, cudna jest ta wieś.

Huk taczki ucichł już całkiem. Greta z wujem nadal siedzieli na murku. Wieczór zapadł i znów było ciepło, wilgotno, księżycowo i bardzo głośno od żabiego rechotu i cykania świerszczy.

– Ruda... – odezwał się po chwili Michał. – Jak się wam układa?

Greta podniosła na niego wzrok. Spodziewała się podobnego pytania. Michał był bardzo uważnym obserwatorem, poza tym niezwykle się o nią troszczył. Wiedziała doskonale, że jest jego oczkiem w głowie. Nic dziwnego, że się martwił. Przed wujem nie było sensu oszukiwać i udawać, że jest dobrze, kiedy jest źle. Miał niezwykłą zdolność wyciągania z ludzi prawdy.

– Trudne pytanie – zaczęła Greta – ale chyba nie najgorzej.

Michał w milczeniu czekał na dalszy ciąg. Po chwili rzeczywiście się odezwała:

– Kiedy jest przy mnie, nie nudzę się w jego towarzystwie. Ale kiedy go nie ma, wcale na

niego nie czekam. Umiem z nim żyć, ale coraz częściej go nie rozumiem. Chyba mamy inne priorytety.

Znów na moment zamilkła.

– Grzegorz coraz częściej naciska na dziecko. Przeraza mnie to. Ja nie chcę jeszcze mieć dzieci. Kiedyś z pewnością tak, może za kilka lat... Teraz jeszcze ta wiadomość o misji. Czuję się, jakby mnie oszukał.

– Boisz się o niego – zasugerował Michał.

– No pewnie – odparła. – Ale boję się też trochę o siebie. Nie chcę zostać sama.

– To tylko kilka miesięcy.

– Nie o tym mówię. Nie chcę zostać wdową. Ale ze mnie egoistka, co?

– Nie myśl tak – pokręcił głową Michał. – Greta, zawsze bądź ze sobą szczerą. Tak jak teraz. Nazywaj rzeczy po imieniu, tylko w ten sposób będziesz mogła być szczęśliwa. Nie próbuj się oszukiwać, bo na dłuższą metę tak się nie da.

– A, toś mi dał radę – stęknęła. – I co ja mam z nią zrobić?

– Co tylko zechcesz – skwitował. – Chodź, wracamy do domu.

Grzegorz czekał na nich z kolacją. Pozwolił sobie pogrzebać w spizarce – postawił na stole pyszną dereniówkę i zrobił powtórkę z wczorajszej uczy. Na stole znów stały wędliny, masło pachnące tym razem czosnkiem i kubki pełne ciepłego mleka podgrzanego z miodem i cytryną. Aromaty ponownie przepelniały całą księżowską kuchnię.

– Czy potrzebuje pani towarzystwa? – przymilał się potem Grzegorz do żony w nadziei, że wpuści go dziś do swojej sypialni.

– Raczej nie – odparła oschle Greta.

Nadal miała do niego żal, którego za nic nie mogła się pozbyć. Wyrósł między nimi trudny do przeskoczenia mur. Uczucia rozżalenia i zawodu tak łatwo nie mijają.

Posiedzieli u Michała jeszcze dwa dni. Greta spędziła ten czas przeważnie przy sztalugach, wędrując z nimi nad Bug lub ustawiając je w księżowskim sadzie, a Grzegorz łąził smętnie po obejściu, nie mogąc sobie znaleźć zajęcia, które pozwoliłoby mu wrócić do równowagi i zaznać całkowitego spokoju.

Ksiądz w tym czasie dogadzał ich podniebieniem, pichcąc swoje przysmaki i ustawiając na stole rozmaite nalewki. Nastroje między młodymi bywały różne. Greta wciąż się na męża boczyla i miała w sercu spory niepokój, a i on sam nie był spokojny. Osiągnęli wreszcie jednak jako takie porozumienie – nie skakali sobie do gardeł, ale relacje ich uległy sporemu ochłodzeniu. Byli wobec siebie kulturalni i całkiem uprzejmi, choć daleko im było do tej czułości, która łączyła ich, gdy tu przyjechali. W takich nastrojach powrócili do Warszawy.

\*

Minął kwiecień i połowa maja. Grzegorz zaczynał się szykować do wylotu, a Greta postanowiła, że czas jego nieobecności spędzi w Burzanach. Nie lubiła miasta i nie miała najmniejszej ochoty siedzieć tam sama. Zaczęła tak układać swoje sprawy w pracy, by jak najwięcej obowiązków wykonać jeszcze przed wyjazdem męża, a później wziąć urlop. Może nawet bezpłatny. Perspektywa spędzenia lata u Michała poprawiła nieco jej podły nastrój i zaczęła spoglądać na Grzegorza nieco bardziej łaskawie. Wiedziała, że odpocznie sobie od zgiełku miasta, z przyjemnością popracuje w plenerze przy płótnach i po prostu spokojnie poczeka na powrót męża.

Greta dotychczas należała do tych szczęśliwców, którzy nie doświadczyli jeszcze w życiu poważniejszych problemów. I chyba właśnie dlatego, gdy przyszedł pierwszy kryzys, słabo sobie z nim radziła. Widząc, że argumenty, których używała, nie są w stanie przekonać Grzegorza do zmiany decyzji, poczuła się po prostu bezsilna wobec jego uporu i jedyne, czego teraz chciała, to odrobina spokoju. Miała już dość wysłuchiwanie, że powinni wreszcie zdecydować się na dziecko oraz że zbliżająca się misja jest dla nich szansą na lepsze życie. O ile jeszcze w kwestii dziecka była w stanie częściowo się z nim zgodzić – w przyszłości przecież nie wykluczała macierzyństwa – o tyle w kwestii Afganistanu pozostała nieprzejednana. Przyszedł dzień odlotu Grzegorza. Stosunki między nim i Gretą były poprawne, ale inne niż wcześniej. Byli dla siebie po prostu grzeczni

i uprzejmi. Po przyjacielsku pożegnali się w domu – na lotnisku nie było miejsca na takie rzeczy, bo odlotowi towarzyszyła ceremonia wojskowa i najbliżsi żołnierzy pozostali poza płytą lotniska. Łza w oku mimo wszystko się Grecie zakręciła.

Wytrzymała w Warszawie jeszcze tylko jeden dzień. Nazajutrz spakowała walizki i z niemożliwie zapchanym bagażnikiem jeepa wyruszyła w drogę do Burzan.



## Rozdział 4

Prospektem Swobody, od placu Mickiewicza do Teatru Opery i Baletu, szedł wśród tłumu ludzi elegancki ciemnooki mężczyzna. Droga była niezwykle przyjemna – kwietniowy wieczór lekko chłodził jego zmarszczone czoło, a widok pięknych starych kamienic był miły dla oka. Mężczyzna zatrzymał się na chwilę tuż przed gmachem opery i rozejrzawszy się dookoła jakby w poszukiwaniu czegoś, wszedł do środka. Przez moment jego źrenice przyzwyczajały się do panującego w przedsionku półmroku, ale już po chwili wkroczył do przestronnego, ociekającego złotem i wszelkim przepychem holu. Kłębili się tu ludzie, którzy przyszli zobaczyć przedstawienie. Byli równie eleganccy i dostojni jak cały budynek teatru.

Oleg rozejrzał się po tłumie i nie dostrzegłszy nikogo znajomego, ruszył paradnymi marmurowymi schodami na piętro. Tu znów zlustrował zebranych i w pobliżu popiersia Salomei Kruszelnickiej dostrzegł swojego gościa. Mężczyzna stał z rękami w kieszeniach i z zadartą głową. Sprawiał wrażenie, jakby był tu po raz pierwszy – z niekłamanym podziwem oglądał te kilogramy złota spływające ze ścian i sufitów.

– A ty jak zwykle oczarowany – powiedział Oleg z uśmiechem. – Jak mały chłopiec...

Mężczyzna odwrócił się gwałtownie i rozpoznawszy Olega, wyciągnął dłoń. Przywitali się jak serdeczni przyjaciele.

– No, to czym mnie dziś będziesz katował? – Oleg nie był fanem opery, ale Jan, ilekroć był we Lwowie, nie mógł się powstrzymać i po prostu musiał przyjść na spektakl.

– *Traviatą* – odpowiedział.

– Znowu? – mruknął niechętnie Oleg. – Może byśmy poszli na drinka?

– Stary – uniósł się Jan. – Ty masz tę wielką sztukę na co dzień, a ja tylko wtedy, gdy do ciebie przyjeżdżam, więc nie marudź i nie przeszkadzaj. To ty masz do mnie interes, nie ja do ciebie. Jak chcesz, to możesz iść. Droga wolna.

– Wielka mi sztuka. Chyba nigdy nie pojmę tej twojej fascynacji. Czy wy tam u siebie nie macie opery?

– Owszem, mamy – przyznał Jan – ale bez tego lwowskiego klimatu.

W powietrzu rozniósł się dźwięk pierwszego dzwonka.

– Idziemy – zdecydował Jan i skierował się ku łóżom.

Gdy rozległ się drugi dzwonek, siedzieli już na miejscach. Oleg próbował pokrótce opowiedzieć Janowi, w czym rzecz, ale ten zbył go tylko krótkim: „ciii...”

Nie było więc rady, należało wytrzymać do końca. Oleg łudził się, że może przy odrobinie szczęścia uda im się porozmawiać w antrakcie. Teraz światła już pogasły i ucichł gwar. Rozległy się oklaski i pierwsze dźwięki opery.

W antrakcie Jan faktycznie łaskawie pozwolił sobie na zainteresowanie osobą przyjaciela. Rozglądając się po sali przez lornetkę, zagadnął Olega:

– To o co chodzi z tą Maderą? Marnujesz wielką okazję.

– Być może – odparł Oleg. – Ale teraz nie mam do tego głowy. Po prostu zmieniłem zdanie.

– Stary, ta posiadłość to ogromny rarytas. I cena całkiem przyzwoita. Kup ją, a w każdej chwili będziesz mógł sprzedać z dużym zyskiem. Ja bym się na twoim miejscu jeszcze zastanowił.

– Zastanowiłem się – uciał Oleg.

Jan odłożył lornetkę na balustradę i spojrzał na przyjaciela.

– Zupełnie cię nie rozumiem. Taka okazja, a ty szukasz nie wiadomo czego w tej dziurze. Zdużniałeś, przedkładając Polskę nad Maderę. I to jaką Polskę? – zaśmiał się z niedowierzaniem. – Polesie... Stary, tam bida aż piszczy, nie ma mowy o żadnych interesach. Miejscowi mają za dużo czasu, nic nie robią, tylko piją i wścibiają nos w nieswoje sprawy. Mówię ci – zakończył z miną proroka – z tego mogą być tylko same kłopoty.

– A niby dlaczego? – spytał Oleg. – To nie można tak po prostu pomieszkać trochę choćby w Polsce?

– Można! Ale może wybrałbyś chociaż Sopot albo Zakopane. Ale nie, jasnie panu zachciało się zabitej dechami dziury na Polesiu! Zdechniesz tam z nudów.

Chwilowo temat był skończony, bo zaczynał się kolejny akt opery. Olega wyraźnie bawiła postawa Janka. W gruncie rzeczy wcale się nie dziwił, że przyjaciel nie może zrozumieć jego postanowienia, bo dotąd zawsze podejmował tylko racjonalne decyzje, takie, na których dawało się szybko i dobrze zarobić. Jego postępowanie zawsze było dla współpracowników jasne i klarowne. Tym bardziej teraz nie mogli się nadziwić, co taki światowiec może robić na Polesiu. Stać go było na najdroższe zakątki świata, mógłby sobie kupić cały apartamentowiec w Dubaju, a rozglądał się za jakąś rudera na odludziu.

Przydługa, jak dla Olega, opera wreszcie się skończyła i mogli wyjść na zewnątrz.

– Zapraszam do mnie – odezwał się Oleg. – Napijemy się.

Jan kiwnięciem głowy przystał na tę propozycję. Ruszyli w kierunku ulicy Kopernika, gdzie Oleg zajmował dwa piętra bardzo eleganckiej kamienicy – miejsca było tam za dużo nawet dla wielodzietnej rodziny. Nigdy nie załatwiał w mieszkaniu żadnych interesów, jego współpracownicy prawie tu nie bywali. Jan i Irmina stanowili wyjątek – czasem Oleg zapraszał ich na drinka, ale nie proponował noclegu. Zresztą Jan nie miał mu tego wcale za złe – kiedy tylko przyjeżdżał do Lwowa, zawsze meldował się w hotelu George. Uwielbiał to miejsce z jego doskonałą lokalizacją, dyskretną obsługą i komfortowymi apartamentami. Jedyne, do czego wciąż nie mógł przywyknąć, to zbyt tłusta – jego zdaniem – ukraińska kuchnia. Poza tym nie mógł na hotel narzekać.

Weszli teraz do wnętrza pięknie odrestaurowanej kamienicy i zatrzymali się przed malutką zabytkową windą. Mieszkanie Olega znajdowało się na dwóch ostatnich piętrach. Rozciągało się na ponad dwustu metrach kwadratowych i całe urządzone było z niezwykłym smakiem i pietyzmem. Pięknie rzeźbione komody, szafy, kredensy, bieliźniarki w stylu eklektycznym oraz fotele i kanapy objane wspaniałymi wzorzystymi tkaninami prezentowały swe wdzięki na tle kwiecistych tapet. Całość tchnęła duchem dziewiętnastowiecznej burżuazji. Pomieszczenia były słoneczne i niezwykle wysokie, na sufitach wokół ogromnych starych żyrandoli widniały bogato zdobione sztukaterie. Wszystkie nowoczesne sprzęty były rozmyślnie poukrywane, by nie zaburzać harmonii stylu.

Oleg od prawie dwudziestu lat posiadał dyplom architekta. Miał dość niezwykły, a z pewnością nieprzeciętny zmysł artystyczny. Kompletnie nie potrafił się wpasować w kanony i nurty dzisiejszej architektury, dlatego po spróbowaniu pracy w zawodzie znalazł sobie zupełnie inny sposób na życie – jak na współcześnie panujące w architekturze trendy był zbyt staromodny.

Jan rozsiadł się wygodnie na ludwikowskiej kanapie i czekał, aż przyjaciel przyniesie alkohol i przekąski. Już po chwili sączyli wódkę z grubych niskich szklanek i przegryzali kiszoną kapustą, rwaną palcami prosto z talerza.

Dziś obaj wiedli takie życie, że stać ich było na najdroższe delikcje świata, i często też się nimi raczyli, ale w każdym z nich drzemały jakieś ukryte wspomnienia smaków i zapachów z dzieciństwa, które powodowały, że widok najprostszych potraw potrafił ucieszyć ich wcale nie mniej niż wykwintne danie. Zdarzało się, że spacerując uliczkami starego Lwowa, Oleg przystawał na chwilę przy jakiejś handlarce i nie mogąc oprzeć się zapachowi kiszonych ogórków wydobywającemu się z pękających kamiennych garnków, kupował kilka i zajadał się nimi podczas wędrówki przez miasto. Jan miewał podobnie: również dawał się skusić na sprzedawane w różnych częściach miasta przekąski. Czasem były to ogórki, a czasem garść prażonych, ciepłych migdałów czy orzechów w chrupiącej cukrowej skorupce.

– Wracam na Ukrainę – jęknął Jan pod wpływem zachwyty nad wódką z kapustą.

– Na emeryturze będziesz mógł wracać, gdzie tylko zechcesz – odparł Oleg. – A teraz potrzebuję cię w Polsce.

– Stary, odpuść wreszcie. Wszyscy stamtąd uciekają, a tyś się na nią uparł. Tam przecież niczego nie ma! Klimat lepszy macie tu, na Ukrainie. A w Polsce ani morza ciepłego, ani gór zbyt wysokich – Jan zawahał się przez chwilę. – Zaraz... A może to dla tej baby tak cię tam ciągnie? Tak? To jeszcze ci nie przeszło? Ty serio mówiłeś z tą rudą?!

Jankowi co nieco zaczęło układać się w całość.

– A niech to! – zawołał uradowany. – Ty już do reszty zdurniałeś! Gonisz jakąś mrzonkę, która nie wiadomo, kim jest ani co robi. A chociaż Irmina dowiedziała się o niej czegoś? Znalazła ją w ogóle?

– Człowiek to nie igła w stogu siana – odpowiedział Oleg. – Każdego można znaleźć, trzeba tylko dobrze poszukać. Kto jak kto, ale ty powinieneś o tym wiedzieć. *A propos*: dobra robota.

– E tam – zbył go Jan. – Nie wracajmy już do tego. To co mam robić z Maderą?

– Nic. Absolutnie nic. Nie jedziesz tam już i po sprawie.

– Ale tam już wszystko jest dograne. Tylko złożyć podpis.

– Czy ty mnie nie rozumiesz, wyrażam się niejasno?! – uniósł się Oleg. – Nie interesuje mnie Madera! Chcę trochę odpocząć. Interesy idą dobrze, więc mogę chyba zająć się sobą.

– Jasne – burknął Jan. – Jak sobie zyczysz.

Nie rozumiał, co takiego mogło tak nagle zmienić Olega. Dotychczas był on żądnym władzy i luksusu facetem, który sobą najchętniej zajmował się na plażach ciepłych krajów w towarzystwie pięknych dziewcząt. Aż tu nagle zwariował na punkcie jakiegoś polskiego zadupia. Zasyje się pewnie w jakichś borach, będzie zbierał jagody, a czarną robotę zleci jemu.

Jan nie mógł wyzbyć się poczucia, że w przyjacielu właśnie budzi się ułańska fantazja, typowa zresztą dla niespokojnych słowiańskich dusz. W końcu Oleg, temperamentny Ukrainiec, do takich właśnie należał.

Właściwie to prawie nikt nic o nim nie wiedział. Nie miał rodziny, przyjaciół jedynie dwoje, nikogo nie kochał. Nikomu też o sobie nie opowiadał. Najlepiej znał go Jan. Poznali się na studiach w Odessie. Byli równolatkami, spotkali się w klubie studenckim. Jan studiował prawo, Oleg architekturę. Życiorys Olega od chwili studiów aż do dziś był Janowi znany – wiedział, że jego rodzina pochodzi z Jałty – ale co Oleg robił, zanim poszedł na studia, w to nie wnikał. Zresztą chyba niewiele mogło być osób, które taką wiedzę o Olegu posiadały.

Jako studenci spędzali razem dużo czasu na mało wyszukanych rozrywkach. Całonocne imprezy w klubach lub akademikach, sporo alkoholu, tańców i śpiewów, trochę kobiet kręcących się raczej wokół Olega niż Jana. Jan był pilniejszym studentem niż Oleg, zazwyczaj najpierw wykonywał swoje obowiązki, a dopiero potem znajdował czas na rozrywki. Dzięki temu zawsze zaliczał sesję w terminie i miał całe wakacje dla siebie. Oleg z kolei przedkładał dobrą zabawę nad naukę, przez co sesja trwała u niego niezwykle długo. W chwilach wolnych od nauki obaj imali się różnych zajęć, by związać koniec z końcem, bo każdy z nich liczyć mógł jedynie na siebie. Ich przyjaźń zrodziła się w surowych warunkach i pewnie to właśnie uczyniło ją tak trwałą. We dwóch łatwiej pchać ten wózek...

Czasem wyjeżdżali na Węgry i do Rumunii albo do Turcji, by sprzedać kilka par dzinsów i przywieźć jakiś deficytowy towar. Od pary portek się zaczęło i niespodziewanie na diamentach skończyło. Dosłownie.

Oleg zawsze miał łeb na karku i dryg do interesów. Do tego był cierpliwy i konsekwentny. Raz trafił im się wyjazd na praktyki studenckie do Brazylii. To znaczy Oleg był praktykantem, a Jan wcisnął się do składu w ostatniej chwili, po wielu trudach zbierania kasy na bilet lotniczy. Praktyki odbywały się w Belo Horizonte w stanie Minas Gerais. Miasto leżało w zagłębiu górniczym i już niedługo po przybyciu Oleg zatrudnił się w kopalni diamentów. Miał fart, bo akurat zaczynał się jego krótki, ale gorący romans z piękną Julieta, narzeczoną sztygara z kopalni. Dziewczynie po długich prośbach udało się wyzebrać u narzeczonego, by zatrudnił na nocnych zmianach młodego Ukrainca, aby ten mógł sobie dorobić do skromnego stypendium. Do żadnych kamieni Olega oczywiście nie dopuszczono, nie bardzo nawet wiedział, jak wygląda diament. Jego zadaniem było pchanie ciężkich wózków załadowanych wydartą ziemią skałą, którą przesiewano w poszukiwaniu cennego urobku.

Po trzech miesiącach pracy w Brazylii Oleg wrócił do Odessy bogatszy o wiele doświadczeń, sporo znajomych wśród brazylijskich górników i jeden niewielki kamyczek jakimś cudem wyniesiony potajemnie z kopalni w Belo Horizonte.

Janek pobyt w Brazylii przeleżał z żółtą febrą. O przemyconym kamyczku Oleg powiedział mu dopiero w domu. Był to niejako kamień węgielny pod mający dopiero powstać ich wspólny biznes.

Po skończeniu studiów na krótki czas ich drogi się rozeszły. Oleg próbował swych sił w zawodzie, a Janek robił aplikację sędziowską. Spotkali się ponownie w Warszawie, zupełnym przypadkiem. Obaj byli tam służbowo. Jednego solidnie gniotła już architektura, a drugiego równie mocno uciskało wielce naciągane prawo.

Olega nie bardzo martwiło to, że nie pasuje do świata zblazowanych architektów, bo już mu w głowie świtał pewien intratny interes. Nie do końca jeszcze wiedział, jak zabrać się do sprawy, ale wierzył w siebie. Słowem – miał dużą dozę optymizmu i nadziei na skuteczne przekwalifikowanie się.

Janek natomiast zaczynał przeglądać na oczy i rozumieć, że prawo nie zawsze broni obywatela i często stoi niestety po stronie wielkich korporacji i zwyczajnych kombinatorów. Po prostu się rozczarował i czuł wypalenie. Kiedy więc obaj panowie spotkali się w Warszawie, postanowili spróbować wejść razem w interes, o którym od jakiegoś czasu myślał Oleg.

Obaj byli zainteresowani robieniem dużych pieniędzy, ale wiedzieli, że zanim uda im się to osiągnąć, najpierw muszą włożyć wiele wysiłku w zbudowanie solidnej pozycji w tej branży. Miał to być rynek kamieni szlachetnych. Pierwszy plan zakładał ich wydobywanie i sprzedaż klientowi. Olegowi marzyło się wejście w świat możliwie najbogatszej klienteli – nie interesowała go żadna drobnica, od razu zamierzał obracać najszlachetniejszymi kamieniami wśród najpoważniejszych nabywców, a za takich uważał jedynie wielkich biznesmenów. Mgliste miał pojęcie o kamieniach i bogaczach, ale był tak zdeterminowany, że jego wątki wówczas plan miał szansę na realizację. Nie był przy tym głupi i zdawał sobie sprawę, że działalność taka może być niebezpieczna i ryzykowna. Słyszał przecież o istnieniu czarnego rynku kamieni, ale był jeszcze wówczas na tyle naiwny, że wierzył, iż właśnie jemu może się udać, a przy odrobinie szczęścia nie będzie musiał przekraczać granicy prawa. Znał siebie i wiedział, że sił i uporu mu nie zabraknie, a odrobina wiary w swoje szczęście pozwoliła mu mieć nadzieję, że rozkręci ten interes, zarobi na nim, osiągnie zadowalającą pozycję na rynku i uniknie schodzenia do podziemia.

Jan długo zastanawiał się nad propozycją Olega. Nie był to co prawda świetnie napisany biznesplan, raczej garść marzeń popartych pewną ilością wyczytanych gdzieś faktów, ale to wystarczyło, by podjął ryzyko.

Na początku obaj uważnie siebie obserwowali, gdyż nie ufali sobie w stu procentach. Pierwsze wspólne działania były wielce niepewne i raczej niedochodowe, ale najważniejsze dla nich było to, że zdobywali doświadczenie, eksplorowali coraz to szersze tereny oraz poznawali tajniki branży i rządzące nią zasady. Nie bez znaczenia było także to, że istniał zbyt dla ich urobku. Zaczęli od, na początku dość nieporadnego, poszukiwania nabywców i wcale w niedługim czasie pozyskali takich klientów, o których im chodziło. Wydobywali kamienie na coraz większą skalę i mogli sobie pozwolić na to, by zaspokajać potrzeby wyrafinowanych kolekcjonerów i kochanków, którzy byli gotowi zapłacić krocie za klejnoty dla swoich kobiet czy też dla zaspokojenia własnych zachcianek. Z czasem wspólnicy nabrali do siebie zaufania, tworząc naprawdę zgodny tandem. I tak oto architekt i prawnik prowadzili bardzo dochodową spółkę, która pozwalała im wieść dostatnie życie. Było to spełnienie marzeń z czasów studenckich.

Teraz przyszedł na Olega czas refleksji. Doszedł do wniosku, że osiągnął już taką pozycję, że mógłby swój interes nawet na jakiś czas zawiesić albo w ogóle zwinąć, na razie jednak postanowił o tym nie wspominać. Pod wpływem nagłego impulsu spowodowanego widokiem rudowłosej dziewczyny naprawdę zamierzał wyjechać do Polski. Ani myślał, by się wynieść tam na stałe, chciał po prostu zwyczajnie zabawić się z tą małą. Spędzi tam może parę dni albo tygodni, zdobędzie, co chce, i wróci. Taki to miał właśnie plan, ale trochę wstyd było mu przyznać przed Janem, że owładnęła nim jakaś nieznana dziewczyna, dlatego udał, że po prostu potrzebuje urlopu.

– Oleg – zagaił rozmowę Jan. – Czy ty się aby w nic nie pakujesz?

– Durny.

– Pomyśl tylko – ciągnął przyjaciel. – Nie jest źle, jesteśmy ustawieni na życie. Szkoda

byłoby to zmieniać...

– Janek, ja tylko chcę posiedzieć w głuszy. Położę trochę nad tą ich rzeką, zobaczę, czy dziewczyna jest warta mojego czasu, i pewnie zaraz wrócę.

– Jednak dziewczyna? – spytał Jan.

– Chyba nie. To tylko taki pretekst, tak przy okazji...

– Rób, jak uważasz. Mam nadzieję, że nas nie zostawisz samych z robotą...

– Ani mi się śni – odparł Oleg zdecydowanie. – Ja też lubię tę naszą pracę. Nie zamierzam niczego zmieniać. Chcę tylko małej przyjemnej przerwy.

– OK, stary – poddał się Jan. – Ty tu rządzisz.

Na początku maja Oleg spakował najpotrzebniejsze rzeczy i wsadził je do czarnego hummera. Irmina wykonała jego wcześniejsze polecenie i dowiedziała się co nieco o rudej dziewczynie. Oleg nie potrzebował wielu informacji – na razie nie miała ona dla niego większego znaczenia poza tym, że wspaniale rozbudziła jego naturę łowczego. I był jej za to wdzięczny, bo znalazłszy kolejny cel w życiu, poczuł przypływ nowych sił... I bez Irminy wiedział, że dziewczyna jest z Burzan, bo w sklepie zwracano się do niej po imieniu. A jeśli jest stamtąd, to wcześniej czy później na nią trafi. To nie stolica, nie namęczy się w poszukiwaniach. Poza tym nosi rzadkie imię, więc gdy będą o nią pytać w okolicy, nie pomylą jej z nikim innym.

Irmina wysłała kogo trzeba do Burzan i tam rozpytywali o rudą Gretę. Jej ludzie szybko dowiedzieli się, że Greta mieszka w Warszawie, ale w Burzanach często bywa, bo przyjeżdża do wuja. Zadali sobie nawet trud, by przy okazji podpytać trochę miejscowych o osobę księdza. Ludzie opowiadali chętnie, bez większych oporów i podejrzeń. O samej Grecie wiedzieli niezbyt wiele, zaledwie parę faktów, natomiast o swym proboszczu mieli do powiedzenia znacznie więcej.

Oleg wysłuchał uważnie wszystkich zebranych przez Irminę informacji, by w razie potrzeby uczynić z nich użytek. Od tego momentu interesowała go już nie tylko Greta, ale poniekąd i Michał – sądził, że spotkanie agnastyka z księdzem może być wielce ciekawe.

– O cholera! – zawołał, usłyszawszy wieści. – Ja nie mogę! Wujaszek klecha i piękny rudzielec. Wchodzę w to, nieźle się zabawię.

Teraz siedział już w aucie i czekał na odprawę celną w Hrebennem. Ze Lwowa do Burzan nie było daleko, jakieś trzysta kilometrów. Mógł przeprować się przez granicę w Jagodnem, ale wtedy większą część podróży przebyłby po stronie ukraińskiej, a tamtejsze drogi były koszmarnie. Hummer co prawda bez wysiłku by je pokonał, ale przejazd przez Hrebenne wydawał się Olegowi lepszym pomysłem. W końcu jadąc, będzie mógł się porozglądać po polskich wsiach i spróbować poczuć ich klimat.

Dawno minął Włodawę i piał się dalej na północ w kierunku Kodnia. Potem odbił w lewo i po półgodzinie wjechał do Burzan. Majowy dzień pachniał bzami, które gęsto rosły w przydrożnych rowach. Były to pozostałości po ludzkich siedliskach – opuszczonych chałup dawno już tu nie było, rozebrano je lub spalono, pozostały jedynie te bzy, wygięte w stronę ziemi zmurszałe studnie, a w głębi stare drzewa owocowe, które niegdyś tworzyły przydomowe sady.

Odnalezienie kościoła w Burzanach nie sprawiło Olegowi żadnego problemu. Przejechał po prostu przez wieś, aż na jej końcu zobaczył dzwonnice małego drewnianego kościółka. Tuż obok stał niewielki budynek, pewnie plebania. Zbliżył się doń, ale nie wysiadł z auta. Wiedział, że księdza tu zapewne nie spotka, bo mieszka gdzie indziej. Najpierw zrobi rozeznanie po okolicy. Ma czas. Nie będzie na razie nikogo niepokoił. Nie zajdzie do księdza, bo i co miałby mu powiedzieć: „Dzień dobry, ja do Grety”? Nie, tu potrzebna jest strategia. Trzeba obmyślić jakiś plan. Najpierw więc postanowił rozejrzeć się za noclegiem.

Zatrzymał auto przed tym samym sklepem, w którym poprzednim razem zobaczył Gretę. Wszedł do środka, wziął koszyk i wybrał różne produkty, które wydały mu się odpowiednie na kolację. Przeczynał, że ani kolacji, ani śniadania nie dostanie tu nigdzie na zamówienie, więc postanowił się zaopatrzyć w niezbędny prowiant. Aż się zdziwił, że w takiej dziurze sprzedają całkiem niezły towar: włożył do koszyka różowe wino Côtes du Rhône, ciemne pieczywo i tuńczyka w puszcze, bo tylko taką rybę znalazł. Na najwyższej półce chłodziarki dostrzegł także żętycę. Wrzucił ją do koszyka i poszedł do kasy. Stojąca tam kobieta aż gwizdnęła na widok jego

zakupów.

– Olala... – powiedziała z uznaniem. – Będzie imprezka. Bon ton pierdon. Nareszcie mi to cholerstwo zejdzie z półki – dorzuciła, otrzepując ręce z kurzu, który zgromadził się na butelce wina.

Oleg zignorował ten monolog, na wszelki wypadek sprawdził tylko daty przydatności do spożycia. Uregulował rachunek i zapytał jakby od niechcenia:

– Czy tu w okolicy można gdzieś przenocować?

Ekspedientka, usłyszawszy jego akcent, zawahała się, jakby rozważając, czy go posłać w diabły, czy polecić coś z tutejszej agroturystyki.

– E... – odezwała się po chwili. – Taki elegancki pan to chyba w stolicy powinien czegoś poszukać...

– A może jednak znajdzie się coś bliżej? – nie odpuszczał Oleg.

„Mafia, jak nic – pomyślała sklepowa. – Chociaż... może nie...”

Po chwili wskazała Olegowi kierunek na kwatery starego Wrońskiego. Grzecznie podziękował, zabrał zakupy i ruszył we wskazane miejsce. Ujechał kawałek i nie bardzo wiedział, w którą stronę jechać dalej. Żaden dom nie przypominał pensjonatu ani w ogóle niczego, co jest w stanie przyjmować turystów. Oleg skręcił w jakąś polną drogę i ruszył przed siebie. Słońce było coraz niżej nad horyzontem, nadszedł czas, by gdzieś już zakotwiczyć. Dojechał do rozdroża, przy którym stała kapliczka z rzeźbą Chrystusa Frasobliwego. Drewniana postać siedziała z podpartą głową, zamyślona, spoglądając smutno przed siebie, i sprawiała wrażenie, jakby na coś czekała. Oleg spojrzął na nią i dodając gazu, ruszył dalej. Krajobraz zaczął się zmieniać. Stał się odludny, w całości zdominowany przez naturę. Jedyne po wstędze polnej drogi poznać można było, że człowiek jednak czasem się tu zapuszczał. Poza tym w obu kierunkach rozciągały się krzewy, drzewa, a gdzieniegdzie wokół nich srebrzyła się tafla wody. Były to miejscowe źródła leniwie wypuszczające swe wody cienkimi, krętymi meandrami. Oleg do tego stopnia zapatrzył się w tę przestrzeń wokół siebie, że nie zauważył wyłaniających się spośród drzew zarysów jakiejś budowli. Po chwili dostrzegł ją i czym prędzej tam pojechał. Droga prowadziła wprost do bardzo starego dworu. Budynek okazał się drewniany i straszliwie zaniedbany, sprawiał wrażenie chylącego się ku upadkowi, ale Oleg swym fachowym okiem już dostrzegł jego piękno.

– Niesamowite – skwitował.

Z pobliskich zarośli wyłoniła się jakaś schylona postać, widocznie zwabiona tu warkotem silnika. Oleg spojrzął na mężczyznę, który był w podobnym stanie jak ten dwór – w opłakanym. Do tego na plecach dźwigał solidny garb, a na jego twarzy dostrzec można było kilkudniowy siwy zarost. W dłoni dzierżył siekiere. Ubrany był w długie walonki, brudne spodnie i dziurawą kufajkę. Z zainteresowaniem przyglądał się przybyszowi.

– Dzień dobry – odezwał się Oleg.

Jego wyraźnie obcy akcent obudził w mężczyźnie pewien niepokój, ale szybki rzut oka na siekiere przywrócił mu rezon.

– Dzień dobry – odpowiedział stary z kresowym zaśpiewem. – Pan musi pobłądził.

– Właśnie nie wiem – Oleg nie miał ochoty o tym mówić. Chciał jak najszybciej sprowadzić rozmowę na ten dwór. – Czy to pański dom?

– Panie, jaki to dom – odparł chłop z rozpaczą w głosie. – Toż to wrzód na dupi. Jak tu miszkać, kędy tu wszystko rozkradli? Żal patrzeć, jak to marnieje. Zysku z tego ni ma, a podatki zżerają.

– A nie próbował pan tego sprzedać? – zainteresował się Oleg.

– Phi... – zaczął chłop. – Panie, tu takich ruin na sprzedaż pełno naobkoło. Tylko stojo i straszko, a nikogo nie obchodzi.

– Jak to?

– A tak to. – Chłop machnął rękami. – Tu pełno takich. Tera to my tu pany na włościach, psia jego mać! Dwory se mamy, a z nimi szczury, myszy i mole. O, i jeszcze niektóre, jak jo, bobry majo. Wychodzi tera na to, że jo bogatszy od innych, bo bobra mam. A przez tego łachudre tylko szkoda coraz większa!

Chłop w tej swojej trosce złapał się za głowę i dawaj drapać się w czuprynę.

– A może wielce szanowny pan by zekciał tak se tu pogospodarzyć? – zaproponował Olegowi w sumie bez większej nadziei.

A temu już świtała pewna myśl. Tylko nie za bardzo chciał chłopu pokazać, że mu na tej ruinie zależy.

– To macie to na sprzedaż? – spytał od niechcienia.

– Oho, pewnie, że na sprzedaż. Przeszło sześć lat już szukam frajera – zaśmiał się chłop, nieświadom, że nieznajomy zaczyna tę rozmowę traktować coraz poważniej.

– A ile tu ziemi wokół? – zaczął dociekać Oleg.

– Panoczku, tu i wody, i lasy, i ten dwór, i czworaki. Razem to dwadzieścia hektarów bedzi.

A jak pan kupisz, to zwierzyne dziko dołóże do tego darmo – chłop nadal nie przypuszczał, że właśnie mógł mu się trafić ten frajer, co go tak szukał.

– No, a jaka cena tego wszystkiego?

Chłop znów podrapał się w łepetynę. Przyszło mu zaraz na myśl, że Oleg z niego drwi. Skoro se skurczybyk jaja robi, to zaraz mu się odechce tych żartów, niech no tylko cenę usłyszy.

– Czteryście tysięcy – wypalił chłop, sądząc, że zbije gościa z pantałyku. Ale, o dziwo, ten się wcale nie przeraził.

– Dwadzieścia hektarów, mówicie? – upewniał się Oleg. – A tych lasów to dużo?

– Połowa z tego to lasy – odparł chłop. – Ale, panie, coś pan, zdurniał? Nikt tego nie kce, to jak to tak pan miałby kcieć?

– Mogę zajrzeć do środka? – spytał, wskazując na dwór.

– A pewnie. Idź se pan, oglądaj. Jo bede przy źródle, o tam. – Wskazał ręką przed siebie, gdzie pochylona wierzba płacząca kładła się nad taflą wody. – Idź pan.

Oleg szybkim krokiem poszedł w stronę drzwi frontowych. Cały budynek przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy. Elewacja prawie w całości pozbawiona była tynku, podstawowy budulec dworu stanowiło drewno i kamień. Drzwi wejściowe wielkie, dwuskrzydłowe, kiedyś z pewnością prezentowały się okazale, dziś jednak zmurszałe drewno porośnięte było mchem. Oleg pchnął je ostrożnie, zawiasy zaskrzypiały i jego nozdra uderzył silny zapach stęchlizny. W środku było ciemno, bo otwory okienne pozabijano deskami albo pozamykano okiennicami tam, gdzie jeszcze okiennice były. Oleg zostawił otwarte drzwi, żeby wpuścić do środka resztkę dziennego światła. Przeszedł przez ogromne pomieszczenie, kierując się ku oknu, pchnął okiennicę i tędy też wpuścił snop światła i odrobinę powietrza. Teraz mógł już co nieco zobaczyć – na elektrykę nie było co liczyć, w ścianach były wprawdzie kontakty, ale z sufitu zwisały pordzewiałe żyrandole, w których nie było żarówek.

Pokój, w którym znajdował się Oleg, był wielki, na ścianach miejscami widniały resztki wyblakłych i obszarpanych tapet, gdzie indziej przezierał tynk, a jeszcze dalej pozostałości farby. Na podłodze wały się mniejsze lub większe fragmenty drewnianych mebli. Oleg uznał, że część z nich da się jeszcze uratować lub sprytnie wkomponować w nowe. Pod ścianą stał i jakby ją podpierał ogromny piec kaflowy. W tym świetle nie sposób było dokładnie określić jego koloru, ale kształtów był imponujących. A jakie piękne miał drzwiczki do paleniska, też dwuskrzydłowe, jak drzwi wejściowe do dworu.

Oleg obszedł powoli wszystkie pomieszczenia – każde niemiłosiernie zdewastowane, ale z szansą na uratowanie jego charakteru i duszy podczas remontu. Obudził się w nim dawno uspijony zmysł architekta. Właśnie postanowił, że to będzie jego dwór. Jego Zacisze.

Na zewnątrz garbaty z siekierą siedział na zwalonym pniu i czekał na nieznajomego, którego zaczynał już postrzegać jak natręta, co to nie daje mu pójść do domu.

– Czy posiadłość nie jest obciążona? – spytał Oleg, wrywając chłopu z zamyślenia.

– Panie, przez nio to jo żem obciążony. A ona nie. Wszystkie papiry porządne, można sprawdzić.

– Mogę dać trzysta pięćdziesiąt – powiedział Oleg.

– Co? – nie zrozumiał chłop.

– No, sam pan widzi, że to bardzo wielka ruina – zaczął wyjaśniać, sądząc, że chłop nie

zgadza się na taką kwotę, uważając ją za zbyt niską. – Remont pochłonie ze trzy razy tyle. Czteryście nie dam.

– Poważnie mówi? – nie dowierzał chłop. Aż mu się w głowie pomieścić nie chciała taka suma.

Pół godziny później Oleg zadzwonił do Jana.

– Halo, stary – zaczął. – Jesteś mi tu natychmiast potrzebny. Poprzestawiaj sobie grafik tak, żebyś jutro u mnie był.

– Coś ty tam już nawywija?! – wrzasnął do słuchawki Jan. – Dzisiaj wyjechałeś i od razu potrzebujesz prawnika?!

Janowi faktycznie przemknęło przez myśl, że Oleg w coś się wpakował, i wyobraził sobie, że będą z tego problemy. A tych nie potrzebował.

– Spokojnie – odparł Oleg. – To nie to, co myślisz. Jutro sam zobaczysz.

Noc Oleg spędził kilkadziesiąt kilometrów dalej, w motelu przy stacji benzynowej.

A nazajutrz Jan na własne oczy zobaczył, po co został tu wezwany w trybie pilnym.

– Nie wierzę – stęknął, stojąc przed zrujnowanym dworem. – Nie wierzę. Co ty z tym zrobisz? A mogłeś się wygrzewać na Maderze...

– Pięknie tu, nie sądzisz? – zagadnął Oleg z entuzjazmem. – I nie marudź, tu też bywa ciepło.

Janowi nie pozostało nic innego, jak tylko wykonywać polecenia Olega. W ciągu dwóch dni przeanalizował wszystkie papiery w wydziale geodezji starostwa powiatowego sprawdził dane z ewidencji gruntów, kazał się chłopu obwieźć po całym sprzedawanym terenie i upewnił się co do drzewostanu w lasach. Kombinował, czy z tej ziemi da się coś udoić, ale doszedł do smutnego wniosku, że raczej trzeba w nią wiele wpompować. Zysków żadnych tu nie dostrzegął. Próbował jeszcze Olegowi przemówić do rozsądku, ale ten o niczym nie chciał słyszeć.

– Janek – odpowiadał – o co ci chodzi? Dlaczego tak ci zależy, żeby nie miał tej ziemi? Czy to cię boli? Słuchaj, ten chłop mówił, że takich dworów jest tu mnóstwo, może też sobie jakiś wybierzesz?

Mówił całkiem poważnie, ale Janek wcale tak tego nie odebrał. Decyzję przyjaciela nadal uważał za absurdalną, wiedział jednak, że musi się z nią pogodzić.

Po upewnieniu się, że nic nie stoi na przeszkodzie w zakupie ziemi, Janowi pozostało jedynie znalezienie kancelarii notarialnej, która zajęłaby się sfinalizowaniem transakcji. Pod koniec drugiego dnia Oleg, Jan i właściciel dworu stawili się we Włodawie, by podpisać umowę kupna ziemi wraz z posiadłością. Notariusz przygotował dokumenty, Jan prawniczym okiem wnikliwie przestudiował ich treść, a Oleg wraz z garbatym chłopiną ubranym na tę okazję w swój jedyny garnitur złożyli podpisy i Oleg oficjalnie stał się panem na włościach. Kosztowało go to trzysta pięćdziesiąt tysięcy złotych, ale wcale nie uważał, że te włości były zbyt drogie.

– Rany... – jęknął jeszcze Jan. – Ludzie całymi miesiącami chodzą i oglądają domy, zanim coś kupią, a ty zrobiłeś to w dwa dni. Jesteś teraz panem ruiny.

– Moje Zacisze – szepnął do siebie Oleg.



## Rozdział 5

„Skoro jestem już tutejszy – pomyślał Oleg jakiś tydzień później – to chyba mogę wpaść z sąsiedzką wizytą do księżulka”.

Był wytrawnym graczem, we wszystkim, do czego się zabierał. Nigdy, aż do teraz, nie podejmował pochopnych decyzji. Kupno Zacisza było jego pierwszą w życiu fanaberią, kaprysem chwili. Pamiętał doskonale, z jakim zamiarem tu przyjechał. Obraz rudej Polki wciąż zaprzętał jego myśli, ale Oleg na razie nie zapuszczał się w pobliże burzańskiego kościoła. Uznał, że ma jeszcze czas – pośpiech jest wskazany przy łapaniu pcheł, a tutaj potrzeba było mądrej strategii. Najpierw zapoznawał się ze swymi włościami, potem przejechał się parę razy do sklepu i przeszedł po wiejskich ścieżynach. Słowem: pozwolił, by miejscowa ludność opatrzyła się z jego widokiem, by z ust do ust poszła wieść o dziwnym, bogatym przybyszu. Wyglądało na to, że taktyka ta okazała się ze wszech miar trafiona. Wystarczyło kilka dni, by wieść huczeć zaczęła o nowym właścicielu dworskim. Opowiadano sobie o wielkim niczym czołg samochodzie, o rosyjskim akcencie, wreszcie – o nieprzeciętnej urodzie. Poszła także w wieś informacja o pieniądzach, kradzieżach, rozbojach i mafiach. Ludzie pletli trzy po trzy, prześcigając się w wygłaszaniu głupot. W tej ubogiej krainie nikt nie wierzył w uczciwe zarabianie dużych pieniędzy. Większość była więc zgodna, że ten wielki pan nie mógł się dorobić w sposób zgodny z prawem. Część przeczuwała nadciągające nieszczęście. „Żeby tylko nas tu nie powystrzelali” – mówiono. Inni roili sobie nadzieję na wyciągnięcie wsi z biedy. W każdym razie: w Burzanach i okolicy aż huczało od plotek. Wśród tych wszystkich rewelacji jedna bodaj tylko była prawdziwa: dwór w Ordach zmienił właściciela.

Jak na razie wszystko szło po myśli Olega, plotki samosiejki prawdopodobnie już dotarły do burzańskiego dworu. Zatem pora iść ich śladem.

Burzany i Ordy sąsiadowały ze sobą. Setki lat wstecz Burzany należały do rodziny Burzańskich, a Ordy były własnością rodziny Ordów. Oba rody były wielce znaczące dla tych ziem – oba zacne, gospodarne, jednym słowem: dobre pany. Dziś nikt już prawie ich historii nie zna, nieliczni tylko przekazywali je sobie z ust do ust.

Przechadzając się przez cały tydzień po okolicy, Oleg zagadywał okolicznych mieszkańców. Donieśli mu już, o czym wiedział od Irminy, że ksiądz nie mieszka na plebanii, ale w starym dworze kilka kilometrów od kościoła. Oleg jechał teraz z sąsiedzką wizytą do księdza, licząc po cichu, że zastanie tam miedzianowłosą pannę. Z trafieniem tu nie miał najmniejszych kłopotów – już ludzie się o to postarali, by jak najdokładniej wytłumaczyć gościowi drogę. Zjechał w zwirową aleję i teraz prowadził go szpaler lip.

Zatrzymał hummera w cieniu niedaleko księżowskiej werandy, podszedł do drzwi i zastukał kołatką. Odpowiedziało mu tylko szczeknięcie psa dochodzące gdzieś spoza budynku. Nikt nie otwierał, a szczekanie stawało się coraz głośniejsze. Wreszcie zza domu, wściekle ujadając, wyskoczył wielki czarny pies i ruszył w stronę gościa. Przerażony Oleg wykrzyknął z determinacją i stanowczością:

– Siad!

Czarne psisko zatrzymało się tuż przed nim, nie przestając ujadać. Szczekanie wstrząsało całym jego ciałem.

– Siad! – powtórzył stanowczo Oleg.

O dziwo, zwierzę spuściło nieco z tonu. Zajadłe ujadanie ustąpiło miejsca przeraźliwemu warczeniu. Pies szczyrzył kły, a z pyska kapała mu ślina.

To wystarczyło Olegowi, by uznać, że uzyskał przewagę nad bestią.

– Przekłete psisko. – Tupnął w jego stronę. – Niech cię szlag!

Uspokoiwszy się nieco, rozejrzał się dookoła. W domu z pewnością nikogo nie było – gdyby był, musiałby usłyszeć taki hałas i otworzyć drzwi. „Nic to – pomyślał Oleg. – Skoro już tu jestem, poczekam trochę”. Spojrzał w kierunku lip i dostrzegłszy pod jedną z nich ławkę,

pomaszerował w jej stronę, obserwując jednocześnie zachowanie psa.

Wikary także nie spuszczał z niego swych wielkich brązowych oczu. Nadal powarkując, szedł za nim do ławki. Tam obaj usiedli – Oleg na ławce, pies przy jego nogach.

– Pilnuje mnie, drań – mruknął Oleg, po czym spojrzał z uwagą na psa. – Coś mi się zdaje, że się często będziemy widywać.

Michał wracał właśnie pieszo spod kapliczki. W tych okolicach pełno ich było przy szosach, polnych drogach, wisiały nawet na leśnych drzewach. Lud był tu silnie rozmodlony, niewierzący w swe własne siły i uciekający się w związku z tym do Najświętszej Pani. Prób i modlitw wiele tu było, nie dziwota więc, że i kapliczek mnóstwo – jakże to tak wszystko w jedno miejsce zanosić, jedną Panię obarczać? Większość tych kapliczek wyszła spod rąk tutejszych. Dłubiąc kozikiem w lipowym drewnie, strugali te swoje Madonny. Matczyne serce z pewnością bardziej miękkie niż męskie, toteż do niej w większości zanosili błagania. Kto ma wysłuchać, jeśli nie kobieta? Chrystus był dla nich sacrum, którego się bali ze względu na jego mękę, obawiali się dokładać mu swych grzechów i prośb. A matka... cóż... jak to matka – na pewno utuli. Do niej mieli większą śmiałość. Kapliczki te rosły jak grzyby po deszczu, przeważnie były koślawe, ale wszystkie jednak z pietyzmem poświęcone ręką Michała.

Niewielką część tych poleskich kapliczek stanowiły rzeźby przedstawiające Chrystusa Frasobliwego. Wszystkie one wyszły spod dłuta tutejszego rzeźbiarza – samouka Daniła. Jego Chrystus oczy miał duże, wzniesione ku niebu, dłonią podpierał głowę w koronie cierniowej, a usta zawsze rozchyłał, jakby wzdychał nad tym ubogim ludem.

Danił był około trzydziestoletnim mężczyzną o błękitnych oczach z burzą pszennozłotych włosów. Typowa słowiańska uroda. Jego edukacja skończyła się na szkole podstawowej. Miał ogromne problemy w nauce, ale nie był chuliganem. Pochodził z ubogiej rodziny, w której nikomu nie przyszło do głowy objąć chłopca fachową opieką pedagogiczną. Rodzice spisali go na straty – po prostu uznali, że trafił im się nieuk. A tymczasem Danił miał niezwykle wyczucie smaku, zmysł estetyczny i zdolności artystyczne. Od maleńkiego strugał drewniane kołki, nadając im przeróżne kształty, i brzdąkał na starych skrzypcach dziadka. Nikt nie zauważył jego talentu – nie wiadomo kiedy nauczył się grać ze słuchu i rzeźbić cuda. Ludzie ignorowali jego zdolności, bo nikt nie widział w tej jego robocie perspektyw na życie. Wieś przyzwyczaiła się, że Danił to safandula i darmozjad, bo ileż można żyć na garnuszku u rodziców?

Dziś właśnie Michał obejrzał kolejnego Chrystusa spod dłuta Daniła. Jak każdy, tak i ten lekko otwierał usta, jakby chciał powiedzieć: „Oj, ludzie, ludzie... cóż wy się tak zżymacie? Toż tu tak pięknie... Zatrzymajcie się na chwilę”.

Idąc zwirową aleją, dostrzegł Michał w pierw potężnego hummera, a dopiero podszedłszy bliżej, zauważył siedzącego na ławce mężczyznę. Tuż obok niego warował Wikary. „Oho, ludzie nie kłamali – pomyślał ksiądz. – To faktycznie jakiś wielki pan”.

Zbliżył się do ławki. Gość siedział z przymkniętymi powiekami i chyba drzemał. Michał chrząknął i Oleg otworzył oczy. Jednocześnie Wikary znów zaczął groźnie na niego warczeć, jakby chcąc pokazać swojemu panu, że intruz jest niepożądany.

– Wikary, spokój! – zareagował Michał, po czym zwrócił się do gościa: – Szczęść Boże.

– Dzień dobry – odpowiedział Oleg i zerwał się z ławki.

Wikary był już spokojny, oddał przywództwo swojemu właścicielowi.

– W czym mogę szanownemu panu pomóc? – spytał Michał, a następnie wskazał na dworek. – Zapraszam do środka.

– Bardzo dziękuję – odparł Oleg i wyciągnął w stronę Michała rękę. – Jestem Oleg Hawryło.

– Bardzo mi przyjemnie. – Michał odwzajemnił uścisk. – A ja Michał Burzański.

– Wiem – skwitował Oleg. – Ludzie powiedzieli.

– A, o panu też mi już donieśli – uśmiechnął się ksiądz. – Podobno jest pan z mafii... – ściszył głos, by nadać mu żartobliwego tonu.

Olega ubawiło to, co usłyszał, i postanowił pociągnąć temat.

– Tak? – spytał. – A z jakiej, jeśli można wiedzieć?

– A no tego jeszcze nie ustalili – zaśmiał się ksiądz. – Najpierw muszą sobie z filmów przypomnieć, jakie mafie mogą znać. Niech pan spokojnie czeka, wszystkiego się pan o sobie dowie, ludzie doniosą.

Zostali na werandzie. Wikary usadowił się w pobliżu Olega i miał na niego baczenie. Wyraźnie nie polubił nowego sąsiada. Michał zaproponował kawę, przyniósł także ciasto. Mężczyźni siedzieli teraz naprzeciw siebie i przez moment wnikliwie się obserwowali.

– Słyszałem, że kupił pan dwór w Ordach – zaczął rozmowę Michał.

– Owszem – odpowiedział Oleg. – Choć to bardziej ruina niż dwór.

– Co pan zamierza? – dopytywał ksiądz. – Naprawdę chce pan tu osiąść?

– Nie mam pojęcia, na razie nie mam gdzie. Posiadam co prawda kawał ziemi, ale nawet nie mam gdzie przenocować. Wszędzie syf i malaria. Ludzie powiedzieli mi, że ksiądz mieszka w dworze, który też wymagał remontu, i pomyślałem sobie, że może zechce mi ksiądz doradzić, od czego powinienem zacząć.

Tak to sobie Oleg sprytnie wymyślił: pod pretekstem rozmów o restaurowaniu dworu podpyta przy okazji o to, co tak naprawdę go interesuje.

– Chyba niewiele panu pomogę – odparł Michał. – Pański jest w o wiele gorszym stanie niż był mój, kiedy się tu wprowadziłem. Gdyby tutaj było jak teraz u pana, to nie miałbym szans na doprowadzenie tego miejsca do stanu używalności. Za drogo. Nawet bym nie zaczynał.

– Rozumiem – odparł Oleg. – Ale gdybym się zdecydował na remont, to może chociaż mógłby mi ksiądz polecić ludzi do pracy?

– A, to inna rozmowa – ożywił się Michał. – Jasne, pomyśli się i coś z tego może wyjść. Ale pan to mi nie wygląda na wielbiciela wsi – zmienił temat.

– Też tak o sobie myślałem – przyznał gość. – Cenię sobie jednak ładne widoki i spokój.

– Skąd pan pochodzi? – spytał proboszcz wprost, widząc, że inaczej niczego się nie dowie.

– Z Jałty.

Informacja ta zrobiła na księdzu spore wrażenie. Jałtę mgliście kojarzył jako egzotyczne miasto nad Morzem Czarnym. Po co komu jechać z ciepłych krajów na Polesie?

– To kawał drogi. Co pana tu sprowadza? I jak pan nas tu znalazł?

– Przypadkiem – odparł Oleg. – Przejeżdżałem tędy po prostu.

– Ciekawe... – zamyślił się Michał. – A ja przejeżdżałem kiedyś przez Paryż, ale nie przyszło mi do głowy, żeby tam zamieszkać – zaśartował.

Oleg lekko się uśmiechnął.

– Przepraszam, jakie ma ksiądz ogrzewanie w domu? – spytał, mając nadzieję, że Michał wprowadzi go do środka. Mógłby się rozejrzeć, może znajdzie jakiś ślad po rudej dziewczynie. – U mnie są piece kaflowe. Niepraktyczne, ale bardzo piękne. Zastanawiam się, co z nimi zrobić. Żal wyburzać.

– Nie radzę – odparł ksiądz. – Chyba że nie zależy panu na utrzymaniu charakteru swego domu. Ja założyłem centralne ogrzewanie, ale piece zostawiłem. Pięknie zdobią dom. A ten w salonie pełni funkcję kominka. Zapraszam do środka, będzie się pan mógł przekonać.

Bingo. I o to chodziło.

W salonie, pod ścianą Oleg zobaczył ogromny piec w kolorze oliwkowym. Kafle były błyszczące i bogato zdobione kwiecistymi ornamentami. W dolną część pieca wmontowano duże przezroczyste drzwiczki z hartowanego szkła. Teraz piec nie działał, ale zimą z pewnością pięknie buzował w nim ogień. Oleg – esteta – natychmiast docenił walory estetyczne.

– Pięknie tu – powiedział do księdza, gdy ten oprowadził go już po całym domu.

Znów stali teraz w salonie. Oleg jeszcze raz spojrzął na piec, a potem przeniósł wzrok na ścianę nieopodal. Wisiał na niej obraz olejny średnich rozmiarów przedstawiający krajobraz wraz z ogrodzeniem z drewnianych bali. Jawiło się na tym obrazie błękitne niebo i rozciągająca się aż po horyzont łąka, której zieleń przetykały polne kwiaty. No i to krzywe ogrodzenie. Z malowidła aż biła sielskość. Całość oprawiona była w rzeźbioną ramę w kolorze starego złota.

Michał dostrzegł zainteresowanie gościa i zagadnął:

– Podoba się panu?

– Przyjemny pejzaż – szczerze przyznał Oleg.  
– To dzieło mojej bratanicy – powiedział dumny jak paw Michał.  
Oleg nastawił uszu, ale Michał nic już nie dorzucił.

– Księża bratanica jest artystką? – spytał niby od niechcienia.

– Tylko z zamiłowania – odpowiedział ksiądz. – Jak ją pan ładnie poprosi, to może panu coś namaluje.

„Z pewnością poproszę” – pomyślał Oleg.

Wizyta dobiegała końca.

– A nie będzie się pan bał zamieszkać w Ordach? – spytał jeszcze na koniec Michał. – Ludzie mówią, że kupił pan dom z duszą.

– Chyba z d u żą – odparł Oleg. – Z dużą ilością brudu i zapuszczenia.

– To też – odpowiedział z uśmiechem ksiądz – ale wieś od lat sądzi, że ten dwór kryje gdzieś w swych murach skarby. Byli tacy, co szukali, ale co który poszedł na szaber, to wracał z podkulonym ogonem i nie chciał potem nic opowiadać. Wierzą ludziska, że tam naprawdę skarb jest ukryty, tylko że go licho strzeże.

Oleg nadstawił uszu na tę opowieść i uśmiechnął się pod nosem.

– A mówią, co to za skarb?

Ksiądz machnął ręką.

– E, tam – skwitował. – Nie warto gadać. Ludzie tu za dużo czasu mają i z nudów przeróżne historie plotą. Podobno bogactwa tam wielkie ukryte, ale diabeł broni dostępu do nich.

Olegowi bardzo się ta wiejska legenda spodobała. Nie pomyślał ani przez moment o bogactwie, ale wieść o diable go rozbawiła.

– Wierzą tu u was w diabły? – spytał.

– Tu we wszystko są w stanie uwierzyć – odparł Michał.

– A ksiądz? – dopytywał Oleg. – Wierzy ksiądz w diabły?

Michał zastanowił się przez chwilę, a potem odpowiedział pytaniem:

– A bo to wiadomo, czy ich nie ma? Jak czego nie widziałem, to czy pewne, że to nie istnieje? W naszej kulturze i religii diabeł to po prostu zło. A wiara w diabła to jeszcze nie modlitwa do niego.

Słowa księdza nieco Olega zdziwiły. Spodziewał się raczej jakiegoś pouczenia lub całego wręcz kazania, a tu się okazało, że ksiądz całkiem swobodnie porusza te sprawy.

– A co na takie ideologie mówią księża zwierzchnicy?

– Hehe... – zaśmiał się Michał. – Nie bez powodu siedzę w tej głuszy od trzydziestu lat.

– Banicja? – spytał z podziwem Oleg.

– Ależ skąd. Świadomy wybór, ale jakże wygodny dla przełożonych – słowa Michała były raczej dowodem jego poczucia humoru niż odzwierciedleniem prawdy, bo rzeczywiście wcale nie był tu za karę.

Ludności zamieszkującej te okolice nie dziwiły wiara w gusła, zioła czy nawet licho. Ludzie od pokoleń wśród tego wzrastali i niejednemu coś z tej wiary pomogło: nie wiadomo czy gusła, zioła czy też może licho. Michał już dawno zdążył się przekonać, że nie warto lekceważyć ludzkich wierzeń, bo mają one niejednokrotnie siłę większą niż rozum. Bowiem tam, gdzie rozum przestaje sobie radzić, wiara zawsze jakoś pomoże i chociaż na chwilę robi się lżej. Bo rozum jest tak logiczny, że aż odechciewa się żyć, a wiara bywa tak ogromna, że popycha do życia tam, gdzie rozum dawno już by się poddał.

Oleg podziękował za gościnę, pożegnał się i odjechał.

Gdy wrócił na swoje włości, położył trochę wśród stuletniego brudu. Nadal nie miał sprecyzowanego planu działania. Pomyślał, że może Jan ma rację, może trzeba stąd uciekać. Na dłuższą metę musi tu być bardzo nudno.

Wyszedł przed dom, otrzepał ręce z kurzu i powolnym krokiem poszedł pod pochyłe drzewo, do źródła. Przemył ręce w lodowatej wodzie i przyjrzał się, jak wąski strumyczek wije się leniwie między trawami, spływając po pochyłej ziemi.

„Jaka przyjemna moja własna dzicz – pomyślał. – Moje Zacisze”.

Tak naprawdę wciąż nie podjął żadnej wiążącej decyzji co do przyszłości tego miejsca. Chwilami wyobrażał już sobie, jak stoi przed pięknie odrestaurowanym dworem, i niemal czuł dumę z wysiłku, który włożył w tę pracę. Innym znów razem nachodziły go wątpliwości co do remontu i sam już nie wiedział, co robić. Rzadko zdarzało mu się w życiu uczynić coś tak pochopnie, jak tym razem, a jeśli już – bywały to rzeczy mniejsze, nigdy nie tak duża inwestycja jak kupno posiadłości ziemskiej. Aż się sobie dziwił, że tak bardzo dał się ponieść emocjom. Sam już nie wiedział, czy jego decyzja była słuszna. Gdzieś podświadomie miał ogromną ochotę zabrać się od razu za remont, ale hamował go własny pragmatyzm, który kazał mu dokładnie wszystko skalkulować. Wyniki niestety uparcie wychodziły *in minus*. A może by jednak chociaż raz w życiu zrobić coś bez sensu i bez widoków na zysk? Nigdy dotąd nie targały nim tak ambiwalentne uczucia.

Tak, miał wielką ochotę spróbować, ale wstyd mu było się do tego przyznać. Gdyby znalazł choć jeden dobry pretekst... Tak pro forma, żeby nikt nie dociekał... Jak to tak, przyznać się przed sobą samym, że to przez kobietę, bo i ona ładna, i całe to miejsce niczego sobie? Nie bardzo to pasowało do wizerunku twardego człowieka interesu. „Chyba jednak wezmę się do tego remontu, a potem się zobaczy, co dalej” – zdecydował.

I od tego momentu wszystko zaczęło mu się układać w całość. Snuł plany: najpierw uprzątnąć cały nieporządek ze środka, zostawić, co się jeszcze może nadawać do użytku, poszukać ekip do ścian i dachów, kupić niezbędne materiały, deski, farby, tapety, gwoździe, cement, cegły, kamień, tynki. Ale na początek chociaż jeden kąt doprowadzić do takiego stanu, by nie wracać już do motelu. „No – pomyślał. – Od jutra zaczynam. Trzeba tylko znaleźć kogoś solidnego do pomocy”.

Odkąd sobie uświadomił, że jednak podejmie to wyzwanie, ulżyło mu. Poczul się bardzo uspokojony na myśl, że być może kiedyś tu zamieszka.

Decyzja o podjęciu restauracji Zacisza tak go zmobilizowała, że jeszcze raz tego dnia pojechał do księdza, żeby ten skontaktował go z okolicznymi fachowcami. Przez chwilę zamierzał sprowadzić tu najlepszych budowlańców z Ukrainy, ale po namyśle doszedł do wniosku, że jeśli tutejsza ludność nie okaże się bandą nierobów, to obie strony mogą być z tego tylko zadowolone: on będzie miał robotników pod ręką, na każde zawołanie, odpadną więc koszty zakwaterowania, a oni na pewno będą zadowoleni z wynagrodzenia, bo Oleg nie był sknerą. Szanował swoich pracowników, otaczał się jedynie ludźmi godnymi zaufania, wymagał wobec swojej osoby lojalności graniczącej niekiedy z psią wiernością, ale za to dobrze płacił.

Michał rozważył dokładnie propozycję Olega, podał mu kilka nazwisk i adresów (a raczej opisów, jak i którą drogą do kogo trafić) i na koniec doradził od siebie, by kierownictwo nad całym przedsięwzięciem zlecił Nawrockiemu. Z pełną świadomością polecił tego człowieka, bo od lat znał jego pracowitość i rzetelność. Był on świetnym budowlańcem, taką złotą rączką, co to żadnej pracy się nie boi i wystarczy za pięciu innych fachowców. Przy tym miał spory zmysł organizacyjny i cieszył się dużym uznaniem wśród miejscowych, co gwarantowało, że ekipa pracować będzie solidnie i bez ociągania. O zamiłowaniu jego do alkoholu Michał nie wspomniał, bo też i nie było takiej potrzeby. Nawrocki kiedy był w pracy, to pracował, a kiedy miał wolne, to pił. Na koniec ksiądz wspominał także, że być może Olegowi przydałby się do pomocy Danił.

– Jeśli zależy panu na pięknej, ręcznej robocie przy obróbce drewna, to niech pan weźmie tego chłopca. Myślę, że będzie pan z niego zadowolony.

## Rozdział 6

Kolejnych kilka dni okazało się dla Olega sporym wyzwaniem. Niełatwo mu było zbywać wszystkie wścibskie pytania. Każdy z miejscowych próbował się czegoś o nim dowiedzieć. Zagadywali go o wszystko, co przyszło im do głowy: o żonę, dzieci, Lwów, o to, jakie interesy robi na Ukrainie, skąd się tu wziął lub też czy nie boi się duchów w swoim dworku. Na większość pytań Oleg starał się grzecznie, choć krótko odpowiadać, nie chciał nikogo do siebie zrazić. To było trochę jak obwąchiwanie się dwóch psów na spacerze – znakowanie terenu, rozpoznawanie wroga, a jednocześnie budowanie strategii.

Po szybkich, acz intensywnych negocjacjach Oleg miał w swej kadrze kierownika i dwóch innych budowlańców. Nawrocki obiecał, że w miarę potrzeb z pewnością skompletuje odpowiednią ekipę.

Z pracami można było ruszyć niemal natychmiast, ale najpierw należało uzgodnić, jaki ma być efekt. Oleg chciał odtworzyć wnętrza i atmosferę starych dworów, zobowiązał się dostarczyć Nawrockiemu różne zdjęcia i konkretne plany oraz zlecił mu możliwie najszybszy zakup niezbędnych materiałów.

Robota ruszyła z kopyta. Nawrocki jako kierownik okazał się doskonały: solidny, zdyscyplinowany, fachowy w tym, co robił, a poza tym miał dryg do ludzi. Co prawda do kielicha zajrzeć mu się chciało w każdy dzień tygodnia, a im bardziej czuł, że napić się nie może, tym większe miał pragnienie. Tak to jakoś w życiu bywa, że najbardziej nas bierze ochota na to, czego nam nie wolno. Ogromnym wysiłkiem dotrwał jednak do sobotniego wieczoru, a potem cała noc należała już tylko do niego, jego żony i ich taczki. Ludzie w Burzanach i Ordach nad ranem jeszcze słyszeli turkot krzywego koła – tak się woził pan kierownik robót w Zaciszu.

W poniedziałek było Nawrockiemu ciężko, ale powoli wszedł w sześciodniowy rytm pracy i sobotnio-niedzielnymi baletów. I wszystko już zaczęło iść gładko.

Oleg tymczasem wybrał się na kilka dni do Lwowa. Kiedy wyjeżdżał z Burzan, jego czarny hummer minął się z nadjeżdżającym z przeciwka grafitowym jeepem.

Dotarłszy do swojego lwowskiego mieszkania, Oleg legł na sofie. Odkąd zamieszkał w motelu, brakowało mu komfortu i, co tu dużo mówić, luksusu, w którym pływał się od dawna. Leżał teraz ze wzrokiem utkwionym w wysokim suficie, trzymał w dłoni opartą o brzuch szklaneczkę z koniakiem i głęboko nad czymś dumał. Szykował sobie plan działania na najbliższy czas. Nadal będzie nad wszystkim czuwał, ale Jan będzie musiał przejąć część jego obowiązków. Nie powinno być z tym żadnych problemów.

Zadzwoił dzwonek. Oleg odstawił szklankę na ławę i podniósł się z sofy. Szybkim, sprężystym krokiem podszedł do drzwi, spojrzął przez wizjer, po czym przekręcił klucz i wpuścił przyjaciela do środka.

– Jak tam wiejskie klimaty? – roześmiał się gość na przywitanie.

Oleg gestem zaprosił go do salonu. Sięgnął po karafkę i nalał koniaku do drugiej szklanki. Podał ją Janowi i stuknęli się szkłem w symbolicznym toaście.

– Chyba zostaną tam na dłużej – odezwał się wreszcie Oleg i spojrzął na przyjaciela.

– Przetrwaliśmy inne twoje kaprysy, przetrwamy i ten – odparł Jan.

W ostatnim czasie przemyślał sytuację i stał się znacznie spokojniejszy. Nie wierzył w żadną stałość uczuć Olega. Znał go nie od dziś i doskonale pamiętał, z jaką siłą wybuchają jego emocje i jak gwałtownie gasną, przemijając bez echa. Widział już niejedną jego fascynację i towarzyszący jej błysk w oczach. Każda miłośćka miała być na zawsze, a była na chwilę. Ta sprawa z Polesiem na pewno miała jakieś drugie dno, tu nie mogło chodzić o stary dwór, tylko kobietę. A skoro rzecz szła o kobietę, to najdalej za miesiąc Oleg znajdzie sobie inny obiekt pożądania. „Nazawraca nam tylko głowy jakąś ruiną i zapomni o niej – pomyślał – a ja zostanie w papierach i hipotekach”.

– Uważasz, że to kaprys? – zagadnął Oleg.

– A niby co innego? – odparł szczerze Jan. – Będzie jak zwykle: chwila zabawy, a potem sprzątał będę ja.

– Co zamierzasz sprzątać? – z uśmiechem spytał Oleg.

– Jak to: co? A kto dostanie polecenie znalezienia frajera na twój dwór? Może Irmina? Nie, jak zwykle ja! – drwił Jan. – Stary, dorosnij wreszcie. Siądź na dupie i obracaj te swoje panienki tu, na miejscu. Po jaką cholere pchasz się do Polski?

Janek naprawdę nie rozumiał, co powodowało Olegiem. Przyzwyczyił się już do tego, że wszystko, co najlepsze, jakoś samo lgnęło do przyjaciela. Nigdy o nic specjalnie nie zabiegał, ledwo skinął palcem, a już miał, czego chciał. Więc za czym, do diabła, teraz tak goni? Jaką uludę znalazł, za jaką biegnie mrzonką i kiedy się nią znudzi? Bo że się znudzi – to było akurat pewne.

– Wyluzuj, chłopie – Oleg się roześmiał, czym tylko bardziej rozdrażnił kumpla. – Lepiej opowiedz, jak tam stoją nasze sprawy.

– A jak mają stać? – Jan nieco złagodniał. – Wszędzie cisza, wszystko dobrze.

– To świetnie – skwitował Oleg.

– Gdybyś siedział we Lwowie, tobyś wiedział co i jak.

– Dobrze już, dobrze. – Oleg dolał do szklanek i pociągnął łyk. – Wiesz, że ci ufam. Teraz na trochę wrócę do zawodu, więc liczę na ciebie tutaj. Dasz sobie radę?

– Cholerny dekorator wnętrz – parsknął Jan.

Poczuł, że dotychczas dzielona na troje odpowiedzialność za cały interes zaczyna spadać wyłącznie na niego i Irminę. No cóż, Jan wiedział, że dyskusje z Olegiem na nic się zdadzą. Jak tonący brzytwy, tak i on próbował jednak chwycić się jakiegokolwiek sposobu perswazji, ale z góry wiedział, że będzie tak, jak chce przyjaciel.

Oleg zawsze był apodyktyczny, co nie przysparzało mu przyjaciół, za to bardzo przydawało się w biznesie. To głównie dzięki tej cesze jego charakteru ich interesy od wielu już lat szły gładko. Oleg był w tym tandemie głównodowodzącym, a Jan zawsze tego główkował, jak znaleźć kopalnię kamieni, potem zejść tam z ludźmi, wyjść z dużym urobkiem, a na końcu sprzedać za krocie te bogactwa, tak by wszystko odbywało się bez zastrzeżeń i naginania prawa. Rynek kamieni był twardy i niezwykle łatwo było się na nim potknąć. Stanowił branżę dużego ryzyka, w której nie zawsze szanowało się ludzkie życie, a nawet jeśli samo wydobycie kamieni było legalne i nie opierało się na wyzysku, to często bywało, że ich nabywca pochodził z szemranego towarzystwa. I choćby w ten sposób, chcąc nie chcąc, miewało się dziwne znajomości, z których czasem trzeba się było gęsto tłumaczyć.

W tym biznesie obaj siedzieli od niemal dwudziestu lat. Początki były trudne i raczej sunęły do przodu siłą rozpędu niż dzięki jakiegokolwiek biznesplanowi.

Z niezłe działającego tandemu po kilku latach przekształcili się w jeszcze lepsze trio. Dołączyła do nich Irmina, która okazała się świetnym kumplem i jeszcze lepszym organizatorem. Pochodziła z NRD i była daleką kuzynką Jana. Ich babki były rodzonymi siostrami, ale na początku lat trzydziestych babka Irminy poznała Niemca mieszkającego w tej części Śląska, która przed dekadą przyłączona została do dopiero odrodzonej Polski, tam wyszła za niego za mąż i się osiedliła. Niespokojne lata trzydzieste i groźba wiszącej w powietrzu wojny spowodowały, że młode małżeństwo przeniosło się do Drezna i tam już pozostało. Babka Jana z kolei wyszła za polskiego kolejarza i zamieszkała w jego rodzinnym domu pod Warszawą. Obie siostry utrzymywały ze sobą kontakt, ale raczej listowny niż osobisty. Zaledwie kilka razy doszło do spotkania obu rodzin, poza tym więzy rodzinne podtrzymywane były przeważnie poprzez okolicznościowe kartki świąteczne, tudzież wysyłane do siebie od czasu do czasu paczki z prezentami. Gdy nestorki rodu poumieraly, ich potomkowie kontaktowali się ze sobą jeszcze rzadziej.

Jako dziecko Jan wiedział o istnieniu kuzynki, prawie rówieśnicy, mieszkającej w Niemczech, ale osobiście poznali się dopiero, gdy byli już niemal dorośli. Popularne było wówczas posiadanie listowego przyjaciela, z którym utrzymywało się regularny kontakt w celu wymiany młodzieńczych poglądów i poszerzania horyzontów myślowych, i właśnie taką przyjaźń

zadzierzgnął Jan z Irminą. Dla niego był to dobry powód do nauki niemieckiego, a ona chętnie szlifowała język swoich przodków. I tak przez kilka lat wędrowały polsko-niemieckie listy na trasie Warszawa–Drezno.

Intensywniej i regularniej Jan zaczął odwiedzać Irminę, kiedy coraz częściej podróżował po świecie podczas pierwszych lat pracy w biznesie kamieni szlachetnych. Jeśli tylko trasa mu na to pozwalała, wstępował do kuzynki, z którą całkiem dobrze się dogadywał.

Bywały także i rewizyty. Irmina z wielką ochotą przyjechała najpierw do Warszawy, a kiedy indziej, po kilku miesiącach, do Lwowa. Tam Jan przedstawił jej Olega, a ona z miejsca się w nim zakochała, co zresztą Jana wcale nie zaskoczyło. Zadurzyła się w nim po uszy, jak pensjonarka, robiła do niego maślane oczy i gotowa była spełnić każdą jego zachciankę, ale tak się wówczas złożyło, że Oleg był poważnie zafascynowany uczuciem do niej i na Irminę ledwo spojrział. Gdyby był wtedy sam, pewnie nie omieszkałby odwzajemnić jej uczuć, co skończyć by się musiało z hukiem po niedługim czasie, jak wszystkie jego dotychczasowe związki. Zadurzona w przystojnym Ukraińcu Irmina zabiegała o jak najczęstsze spotkania. Początki były niezobowiązujące, panowie oprowadzali ją po Lwowie i rozlicznych lokalach, prowadzili dysputy nie tylko o muzyce i innych rozrywkach młodych ludzi, ale także o cennych kamieniach. Z upływem czasu Irmina ochłonęła nieco z zauroczenia Olegiem, dostrzegła, że ma on w sobie wiele z narcyza i zależy mu jedynie na zaspokajaniu własnych potrzeb. Dotarło do niej, że przy takim mężczyźnie czułaby się ciągle niespokojna. Przetłumaczyła sobie zatem, że z tej mąki chleba nie będzie, i przy którejś kolejnej wizycie we Lwowie całkowicie pogodziła się z tym, że Oleg nie jest dla niej. Po roku z jej zauroczenia nie pozostało ani śladu.

Irmina skończyła ekonomię w Dreźnie i może nawet próbowałaby znaleźć zatrudnienie w zawodzie, ale odkąd miała troszkę wiedzy na temat działań Jana i Olega, bardziej skłaniała się ku pracy w jakimś kreatywnym przedsięwzięciu niż za urzędniczym biurkiem. Mając ciągły już kontakt z kuzynem i jego współnikiem, wiedziała, że jeśli tylko zechcieliby ją zatrudnić, to pewnie by tego nie pożałowała. Gotowa była w pięć minut spakować walizki i przenieść się na stałe do Lwowa. Kiedy nieśmiało spytała Jana, czy nie miałby dla niej jakiegoś zajęcia, w pierwszym odruchu zaprzeczył, ale omówił temat z Olegiem i wspólnie doszli do wniosku, że może i by się na coś przydała – po czym zapędzili ją w papiery. Stała się sekretarką, szukała zbytu dla towaru, umawiała ich z klientami, organizowała spotkania, a z czasem przejęła obowiązki księgowy. Dzięki solidnej i uczciwej mrówczej pracy dziś była w tym interesie równie ważna jak oni i na równi z nimi inwestowała weń jako pełnoprawny współnik.

Wszyscy troje byli fantastycznie ustawieni w życiu. Mieli fortuny zdobyte mozolną pracą i spokojnie mogliby już wybrać się na emeryturę, ale cóż by mieli na niej robić? Pieniądze dziś już same na nich pracowały, a ogromne procenty od składanych w Szwajcarii kwot wystarczały na życie ponad stan.

Od kilku lat zaczęli nieznacznie zwalniać tempo. Nadal zajmowali się wydobywaniem minerałów, ale teraz robili to na skalę, można by rzec kolekcjonerską. Jakiś oligarcha składał zamówienie, Oleg robił rozeznanie i bez pośpiechu podejmował się zadania. Pracowali więc bardziej dla przyjemności niż z konieczności zarabiania na życie.

Oleg coraz częściej jeździł do Brazylii albo Urugwaju w celu poszukiwania agatów dla własnych potrzeb. Janek z Irminą czasem mu towarzyszyli. Olegowi spodobał się ostatnio nawet polski krzemień pasiasty. Na długie dni zaszywał się gdzieś w górach i rozgrzebywał skałki pod Ostrowcem Świętokrzyskim.

Nie gardził także bałtyckimi plażami. Po sztormach chodził wtedy boso po piasku i przesiewał go przez palce. Do Lwowa zwoził garście bursztynowego drobiazgu, który cudnie otaczał złotem i srebrem w swoim nowym nabytku – artystycznej pracowni jubilerskiej.

Otworzył ten zakład trzy lata temu. Zatrudnił dwóch zdolnych mistrzów jubilerstwa: starego z doświadczeniem i młodego z fantazją. Dostarczał im kruszcu i kamieni, a oni tworzyli cudeńka dla zblazowanych turystów i bogaczy. Z czasem interes się rozwinął i teraz robili już nie tylko biżuterię, ale byli w stanie spełnić każdą, najbardziej niewiarygodną zachciankę milionerów i ich kochanek. Onyksowe szkatuły czy białe ławy, hematytowe urny, labradorytowe żyrandole lub zegary



wysadzane rubinami, drobne agatowe podstawki pod kubki – kaprys milionera, wykonanie pracowni Olega.

Janek z Irminą nie prowadzili żadnej działalności hobbystycznej. Ich duchy były zupełnie spokojne, nie gonili za marzeniami, jak robił to, ich zdaniem, Oleg. Nie rozpraszała ich cała swą uwagę kierowali na prace wydobywcze w Ameryce Południowej. Mieli też spore zapędy do eksploracji Uralu, ale perspektywa natknięcia się na rosyjską mafię na jej własnym terenie skutecznie studziła te plany od kilkunastu już lat. Mimo to wizja samorodków złota i platyny, diamentów, szmaragdów, kwarców dymnych czy topazów nęciła ich wciąż z niesłabnącą siłą. Na razie pozostawała jednak wyłącznie w sferze marzeń.

Oleg zaś swoje marzenia realizował zawsze natychmiast, jak tylko się zrodziły. Do tej pory dotyczyły prawie wyłącznie kobiet. Niczego więcej nie pragnął. Zdobywał każdą, na którą właśnie miał ochotę. Tym razem zamarzyło mu się zostać wieśniakiem na głębokiej polskiej prowincji, więc kupił sobie dwór.

Teraz Oleg z Janem siedzieli, popijając wódkę w lwowskim apartamencie przy Kopernika.

– Jak sprawy w Boliwii? – spytał gospodarz po długim milczeniu.

– W porządku – odpowiedział lakonicznie Jan. – Był mały zawał w chodniku, ale już wszystko dobrze. Nic się nie stało.

Południowoamerykańskie kopalnie kamieni były bardzo niebezpieczne. Ludzi szanowano tam z rzadka, przepisy bezpieczeństwa praktycznie nie istniały, więc do wypadków dochodziło często.

– To dobrze – skwitował Oleg. – Słuchaj...

– Wiem – przerwał mu Jan. – Chcesz zająć się dworem. Mamy przejąć całe dowodzenie.

– A moglibyście? – spytał delikatnie Oleg.

– Nie ma sprawy. Wiemy, co robić – westchnął lekko na znak, że poddaje się woli przyjaciela.

Mniej więcej omówili więc zakres obowiązków na najbliższe miesiące. Oleg obiecał być z obojgiem współników w kontakcie i do dyspozycji w nagłych wypadkach. Poza tym nie miało większego znaczenia, gdzie będzie mieszkał – Lwów czy Ordy, kilkaset kilometrów w dzisiejszych czasach nie robiło większej różnicy.

Wieczór zszedł im na opowieściach Olega o dworze. Jan nie rozumiał jego fascynacji tą ruiną, ale słuchał przyjaciela z uwagą. Ten wspominał wreszcie o rudej dziewczynie.

– Jest prawie zwyczajna – zaczął. – Tylko taka ogniście ruda. Poza tym zwykła.

Zadumał się na moment, a potem kontynuował:

– Zupełnie jakby nie zwróciła na mnie uwagi...

Janek się roześmiał i pojął wszystko w sekundzie.

– Tu cię boli! Panna cię olała, a ty do tego nie nawykłeś. Już rozumiem! Pojechała po twoim dumnym ego! I wiem nawet, jaki masz plan. – Ściszył nieco głos i nachylił się do przyjaciela. – Rozkochasz ją w sobie, pobawisz się trochę i rzucisz te Ordy w cholerę!

– Może...

Bingo! Jan celnie nazwał to, z czym Oleg borykał się przez ostatnie dni. Tu faktycznie chodziło o trofeum i porzucenie. Oleg zawsze zdobywał to, czego chciał. I to zazwyczaj od razu. Teraz czekał i czaił się już od kilku tygodni. Nigdy wcześniej nic podobnego go nie spotkało.

## Rozdział 7

Greta bardzo leniwie rozpoczęła swój urlop w Burzanach. Pierwszego dnia rozpieszczała Wikarego, tarmosząc go za miękkie uszy i drapiąc jego poddający się tym zabiegom grzbiet. Wieczór spędziła z Michałem, który był niezwykle rad z jej przyjazdu.

Nie sprawiała wrażenia pogrążonej w rozpacz z powodu rozłąki z mężem. Bo też zrozpaczona nie była, a jedynie niezadowolona. Grzegorz był ważną osobą w jej życiu, czuła jego miłość, ale coraz częściej zastanawiała się nad swoimi uczuciami do niego i miała wątpliwości, czy to jeszcze miłość, czy już przyzwyczajenie. Grzegorz był mężczyzną przystojnym, inteligentnym, uczuciowym, troskliwym. Z pewnością mógł się podobać kobietom. Wobec Grety był szarmancki i zawsze ją adorował. Ona go szanowała i lubiła. Było im ze sobą dobrze, ale odkąd poróżnili się w kwestii misji oraz powiększenia rodziny, Greta pogubiła się trochę w swoich emocjach i odczuciach. Chwilami zdawało jej się, że nie poznaje własnego męża, że nie jest to już ten sam człowiek, którego poślubiła, i próbowała dociec, kiedy ta zmiana zaszła, ale ponieważ była ona powolna, niełatwo było wskazać odpowiedni moment.

Greta siedziała teraz na werandzie plebanii i sączyła dereniówkę. Koniec maja rozpieszczał pogodą. Błękitne niebo nad dworkiem z rzadka przecinały delikatne obłoki. W powietrzu czuć było zapach skoszonej trawy i intensywną woń mięty. Michał pielęgnował w ogródku całe jej zagony. Obok rozciągały się rządki lawendy, melisy, lebiodki, szaławii i rozmarynu. Używał ich w swej kuchni, ale dodatkowo pełniły funkcję terapeutyczną. Najdrobniejszy nawet wietrzyk niósł roztaczane przez zioła zapachy. Nigdzie w okolicy nie było równie wonnej zagrody. Najponętniej pachniały Burzany tuż po wiosennych burzach, kiedy tęcza rozpinała swój łuk nad okolicznymi łąkami, świat się uspokajał, a powietrze delikatnie pachniało ozonem.

Na stole, obok kieliszka i karafki z dereniówką, stały małe miseczki wypełnione młodziutkimi gałązkami i listkami tegorocznych ziół, dopiero co wysuszonych w szczodrym majowym słońcu. W całkiem sporej szklanej misie leżała sól gruboziarnista, do której Greta co chwilę dorzucała starte niemal w proch zioła. Ucierала je w starym, ciężkim moździerzcu, ale nie potrafiła się oprzeć i niekiedy brała odrobinę suszu na dłonie – gniotła je w palcach, aż te stawały się ciepłe i całe przesiąkały ziołowymi zapachami. Co utarła, to przesypywała do soli, po czym wkładała do moździerza następną porcję. Wrzucała tak kolejno: majeranek, tymianek, estragon, dosłownie szczyptę mięty, trochę pieprzu, lubczyku i pietruszki. Całość, wymieszana dokładnie, tworzyła wyjątkową naturalną kompozycję. Ta prosta w wykonaniu sól ziołowa stanowiła podstawę do przygotowania większości potraw kuchni Michała. Doskonale pasowała do zup, mięs, kanapek i ziemniaków.

Nieco zamyślona przy tej dość monotonnej pracy, Greta usłyszała chrzęst czyichś kroków po lipowej alei. Po żwirze truchtała jakaś niska krąglutka kobieca postać. Wikary czujnie uniósł swój łeb i warknął, nie poruszając resztą cielska. W ślad za nim wzrok podniosła Greta. Kobięcina dopadła właśnie werandy i zdyszana, z lamentem prosić zaczęła o audiencję u księdza dobrodzieja.

– Ajaj, ajaj – wołała do Grety, czekając na Michała. – Co też ja narobiła! A na co mnie to było!

Zaalarmowany tą rozpaczą ksiądz stanął w progu i ujrzał korpulentną Helenę, tym okrągłąszą, że miała na sobie kilka warstw ubrań. Okrągła jak piłka głowa kobiety przystrojona była kwiecistą chustą, spod której wystawały niesforne siwe kosmyki. Jej kibić ciasno oblekały bluzka z dużym kołnierzem, sweter na modłę turecką i jeszcze serdak. Kobieta miała też na sobie spódnicę, która szamotała się wraz ze swą właścicielką. Ogólny widok był całkiem zabawny, tutaj jednak także dość zwyczajny.

– Helka, co jest? – odezwał się do lamentującej baby Michał. – Stało się co? – dodał, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Ajaj – zawyła znów Helena – a stało się, stało! Mnie się tak wydawało, że troski

nadchodzi, alem myślała, że to nie do mnie. Ja żem czuła, że to tutaj ido kłopoty, a ony do mnie przysły. Olaboga, co ja tera począc mam? Rękę mu obcięło!

– Komu?! – wykrzyknął Michał.

– Ojej! – zawyła. – Młodemu Semeniukowi! Co ja narobiła!

Lamenty nie ustawały i jedynie cierpliwością dało się z baby wyciągnąć, o co chodziło.

A chodziło o wiejską skarbonę, która od lat wisiała na kołku w pobliżu sklepu.

Dziś już nikt nie pamiętał, skąd się tam wzięła, wiadomo było jedynie, że służy tutejszym chłopom od wielu lat. Na wysokim, grubym kołku ktoś powiesił na gwoździach blaszany kubek, a obok niego blaszaną puszczkę po groszku konserwowym. Zadaniem kubka było napoić spragnionych wychodzących ze sklepu. Niepisane prawo Burzan mówiło, że kto skorzystał z kubeczka, ten musi wrzucić jakiś grosz do puszeki, za jego wypożyczenie. Kubek był niemal w ciągłym obiegu, chłopcy piły z niego wino, opłukiwały w pobliskiej studni i odwieszały do dalszego użycia. A że naród poleski to dumny naród, więc za darmo nikt pić nie śmiał, bo przed kolegami wstyd było. I tak zbierały się fundusze w puszczech. Nie była niczym zabezpieczona, brakowało jej nawet wieka, a pieniędzy nikt nie odważył się nigdy ukraść. Jeśli już, to zbierało się chłopskie konsylium, opróżniało ją komisyjnie i po dodatkowej zrzutce mieli na następną kolejkę. Ludziom różne rzeczy giną, zwłaszcza te najlepiej pochowane, a tu, na środku wsi, wisiała taka skarbona i nikt się na nią nigdy nie połaścił. Aż do niedawna. Pieniądze najpierw ktoś zaczął podbierać, aż wreszcie tak się rozszalał, że zabrał wszystko. Narobiło to kwasów sporo wśród ludzi, bo nawzajem się zaczęli oskarżać. Winnego oczywiście nie było, nikt się dobrowolnie nie przyznał do kradzieży.

Miejscowa wróżka Helena postanowiła zasadzić się na złodziejaskę i włożyła do puszeki najzwyczajszą pułapkę na myszy. Miała małe szanse na wykrycie sprawcy, bo pułapka pewnie by kłapnęła przy najdrobniejszym ruchu puszeki czy wrzucie monety, ale babce się poszczęściło – właśnie przed chwilą walnęło po łapach młodego Semeniuka. Narobił wrzasku pod sklepem i niczym błyskawica poszła wieść po wsi, że się złodziej znalazł, że okrutnie go połamało, a może nawet i krzyż mu przetrąciło. Koniec końców do Heleny doszła ta wieść w postaci mocno podrasowanej, mianowicie, że Semeniuk na pewno zostanie do końca życia kaleką, a kto wie, czy przypadkiem nie umrze. Babina przestraszyła się nie na żarty i w tym strachu potruczała w te pędy do księdza.

Michał niewiele mógł zaradzić jej rozpacz. Sięgnął jedynie po telefon i zadzwonił do Skrętka. Kościelny miał dokładniejsze dane na temat wypadku: nie było się czego obawiać, Semeniuk zdrowy będzie, jedynie mu dwa palce obtłukło, być może zejda mu paznokcie. Poza tym wstydu się najadł i to było gorsze od obrażeń.

– No – powiedział Michał do Heleny. – Wszystko rozejdzie się po kościach.

Posadził babę obok Grety, która z uwagą obserwowowała całe przedstawienie.

– Dereniówka dobrze ci zrobi – uznał ksiądz i podał kobiecie kieliszek.

Ręce jej się trzęsły tak bardzo, że szkło aż dzwoniło o jej sztuczne zęby. Wypiła duszkiem do dna i otarła usta dłonią. Chwilę zajęło jej dojście do siebie. Spokojniejsza już rzekła:

– Michał, uważaj. Te troski jednak nie u mnie, to na pewno u ciebie, widzę to. Uważaj, chłopie, uważaj.

– Helka, daj spokój – odparł spokojnie ksiądz. – Znowu ci się coś przyśniło?

– Nie kpj – ofuknęła go baba. – Uważaj, bo masz coś, co ktoś też chciałby mieć. Pilnuj swego skarbu.

Michał się roześmiał.

– Helka, a co ja mogę mieć? Bogactw żadnych się nie dorobiłem.

– Bogactwo to nie zawsze złoto i pieniądz. Czasem większym bogactwem jest drugi człowiek – tajemniczo odparła baba.

– Ech, durna ty! – krzyknął ksiądz. – Że to się nie boi tak pleść tych głupot...

Helena wstała ciężko i szykując się do wyjścia, rzuciła na odchodnym:

– No, no, już ja wiem, co mówię.

Helena była kobietą niewykształconą, ledwo umiała się podpisać. Niewiele wiedziała

o świecie, mało była w stanie ogarnąć rozumem, za to intuicję miała niezwykłą. Przy tym żarliwie modliła się do Najświętszej Pani. Katolicyzm, prawosławie i gusła – oto, co królowało w Burzanach. Przed laty na Polesiu silną reprezentację miał także judaizm, ale wojna skutecznie przetrzebiła jego wyznawców, a ci, co uszli z życiem, wyjechali w poszukiwaniu ziemi obiecanej.

Michał już nie walczył z zacofaniem, prostactwem i wróżbami. Czasy inkwizycji dawno przebrzmiały. Faktem było, że Helena znała się na ziołach i zbierała je, łażąc po lasach. Ludziom pomagały na bóle głów i stawów. Jej słynne nalewki koily rozbrykane żołądki, wzbudzały apetyty u niejadków, a lubczyk ukradkiem rozchwytywała okoliczna młodzież. Czy to źle? Co komu szkodziła taka baba?

Czasem coś jej się w głowie uroiło, coś przyśniło albo w kartach wyszło. Coś przebąkiwała, ostrzegała, sugerowała. Czy miała nadprzyrodzone zdolności? Może i miała. Ludzki umysł niezwykle łatwo jest oszukać. Bez trudu można nam wmówić wiele, nawet absurdalnych rzeczy. Niektórzy w Burzanach wierzyli w niezwykłą moc jej przepowiedni, a inni śmiali się jej prosto w twarz.

Jedno, co wiadomo na pewno, to że przed laty jej mąż i syn wsiedli na motor i pojechali na jarmark. Zanim jednak to się stało, Helena wyściskała obu mocno i zrobiła znak krzyża na ich czołach, po czym złożyła na nich pocałunki. Godzinę później obaj już nie żyli. Zginęli pod kołami rozpędzonej syrenki. Co wiedziała, że się z nimi tak czule żegnała? I jeśli rzeczywiście coś wiedziała, dlaczego pozwoliła im jechać? Nigdy nie powiedziała na ten temat ani słowa.

Michał nie wziął na serio jej lamentów. Cokolwiek jest nam w życiu pisane, zdarzy się na pewno. Przeznaczenie, Bóg, Los... jakkolwiek by o tej sile myśleć, na pewno robi z nami, co tylko jej się zamarzy.

Reszta dnia upłynęła spokojnie wśród trelu ptaków, a potem brzęczenia komarów. Wieczór był piękny, ciepły, księżycowy. Greta z Michałem nadal siedzieli na werandzie, aż wreszcie ich puste żołądki upomniały się o należne im porcje kalorii, więc poszli do kuchni.

– Kolacja dziś na lekko czy na tłusto? – rzucił Michał.

– Jedno i drugie – uśmiechnęła się Greta, nie mogąc się zdecydować.

– To leć do ogrodu po sałaty.

W ogrodzie warzywa rosły na wolnym powietrzu – i te wychodziły w czerwcu czy lipcu – oraz pod folią, by już w maju było co wrzucić na talerz. W parę minut Greta wróciła z całym naręczem różnych sałat. Szybko przepłukała ich liście pod bieżącą wodą, wrzuciła do wirówki i suszyła.

– Co u Grzegorza? – spytał Michał, krojąc grube pajdy swojskiego chleba i smarując je smalczykiem ze skwarkami przesmażonym z siekaną cebulką, majerankiem i odrobiną jabłka.

– Ciężko – odparła. – Upał, piach, zmiana czasu, stres i wszechobecne miny.

Stała już przy stole i wkładała sałatę do dużej salaterki.

– To silny facet. Nic mu nie będzie. – Michał sięgnął do szuflady kredensu, wyjął stamtąd pożółkłą kartkę złożoną we czworo i podał ją Grecie.

Wcale nie pocieszyły jej słowa wuja. Wierzyła, że Grzegorzowi nic się nie stanie, ale nadal była rozżalona, że podjął tak ważną decyzję bez niej.

Spojrzała na stary papier i uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

– Nadal ją trzymasz? To przecież taki łatwy przepis – zauważyła – znamy go na pamięć.

– To najcenniejsza kartka w całym tym domu – odpowiedział Michał i cmoknął ją w policzek.

Był to przepis na najprostszy sos winegret zapisany ręką chyba sześciolatniej Greta, dyktowany przez jej matkę, a notowany dla ukochanego wuja. Zaledwie cztery linijki zajęły całą powierzchnię kartki – takimi bolszajkami pisała Greta. Nie znając jeszcze wtedy zasad ortografii, sprytnie wybrnęła, zastępując słowo „łyżka” rysunkiem, który miał przedstawiać ową łyżkę, a w rzeczywistości przypominał kolbę kulistą spotykaną w laboratoriach. Duża kolba oznaczać miała łyżkę stołową, a mała – łyżeczkę do herbaty. To dziecięce pismo obrazkowe droższe było Michałowi nad niejedną ważną dokument.

Greta obejrzała kartkę z sentymentem, po czym, już w nią nie patrząc, wykonała napisane

na niej polecenie. W salaterce mieszały się drobne kawałki sałaty lodowej, rzymskiej, dębolistnej, endywii, rukoli i roszponki, dokładnie połączone z napędce zrobionym sosem i dwiema garściami ziaren ze słonecznika, jeszcze ciepłych, prażonych na suchej patelni. Wszystko doprawione było solą ziołową, która jak ulał pasowała do tych sałat.

– Ruda – Michał wrócił do przerwanej rozmowy – nie analizuj już tego. Pojechał i nic na to nie poradzisz. Zaakceptuj to, w przeciwnym razie zniechęcisz go za ten wyjazd.

Greta uparcie milczała.

– Miłość to trudna sztuka – przekonywał ksiądz.

– Misiu – odezwała się wreszcie – a co to znaczy: kochać?

Zbiła go tym pytaniem z pantofelku. Zawahał się na moment.

– Bo ja wiem? Tyle definicji w życiu słyszałem, że nie wiem, która jest prawdziwa. Kochać to chyba chceć chronić drugiego człowieka. Kochanie to egoizm, bo po cóż nam bezpieczeństwo tego kochanego? Tylko po to, by mieć go wciąż przy sobie, by nas nie opuścił, nie zachorował, nie umarł. Ale wiesz, co myślę? Miłość jest nam potrzebna po prostu do życia. Kochanie napędza nas do wielkich czynów, bez niego nie mielibyśmy w życiu celu.

Greta uważnie słuchała.

– Egoizm, mówisz? – powtórzyła słowa wuja. – Chyba masz rację. Egoistycznie próbowałam zatrzymać Grześka przy sobie. Ale, wiesz co? Nie z miłości, tylko ze strachu. Boję się zostać sama. Przeraza mnie myśl, że do końca życia mogę nikogo nie mieć.

– Nie za bardzo się zagalopowałaś? Za pół roku wszystko wróci do normy.

– Mam taką nadzieję – szepnęła Greta i z czułością wtuliła twarz w psią sierść, kryjąc w ten sposób kręcącą się w oku łzę. – No, siadajmy wreszcie do stołu.

Kolacja była taka, jak sobie Greta zażyczyła: lekka i tłusta zarazem. Michał pysznych sałat świetnie komponowała się z ciężkostrawnym smalcem, który pobłyskiwał na aromatycznym chlebie. Całości dopełniła butelka dwuletniego wina z ciemnych winogron.

Ranek przyniósł Grecie spokój, Burzany miały na nią zbawienny wpływ. Michała nie było nigdzie w obejściu, Wikary też gdzieś się zapodziały, więc zasiadła do śniadania sama. Ze smakiem jadła grzanki z konfiturą różaną i popijała kawą z mlekiem, gdy spomiędzy lip wyłonił się płowy łeb wysokiego mężczyzny.

– Danił! – zakrzyknęła ucieszona Greta. – Jak ja cię długo nie widziałam! Chodź, siadaj. Zjesz ze mną śniadanie?

Na twarzy chłopaka wymalował się szczerzy uśmiech. Uściskali się serdecznie, a ona naląła mu kawy.

Byli niemal rówieśnikami, razem się wychowywali. Greta uwielbiała Daniła za jego szczerłość i prostotę w odczuwaniu świata. Dla niego wszystko było albo dobre, albo złe, albo białe, albo czarne. Nie uznawał niczego pośrodku, żadnego oszukiwania i kręcenia. Świat w oczach Daniła był bardzo zrozumiały, chłopak nie pojmował trosk, które trawiły większość ludzi. Małość jego umysłu była zarazem jego ogromną zaletą. Jeśli kochał, to całym sercem, kiedy nienawidził, to całym sobą. Ot, prostolinijny, nieskomplikowany, a przy tym utalentowany chłopak.

– Co u ciebie, opowiadaj – ponaglała go radośnie Greta.

– E... – zawahał się. – Nic ciekawego. Po staremu.

No to sobie pogadali. Danił zawsze był konkretny i rzeczowy, a przy tym oszczędny w słowach. Greta po prostu źle sformułowała pytanie. U Daniła było tak: ogólne pytanie – ogólna odpowiedź, konkretne pytanie – to i konkretna odpowiedź.

– Nie wyjechałeś stąd? – zaczęła od nowa.

– Ano nie wyjechałem.

– Nie myślałeś o tym? Dziś wszyscy młodzi uciekają do miasta.

– Myślałem – odparł nieśmiało Danił – ale co mnie tam robić? Fachu nie mam żadnego, to jak na życie zarobić?

Fach to on w rękach akurat miał, tyle że niepoparty żadnymi świadectwami. I przez to miało mu przyjść się tu zmarnować.

– A księdza to nie ma? – chłopak zmienił temat.

– Ano, nie ma – odparła Greta. – Masz do niego jakąś sprawę? Poczekaj, pewnie zaraz wróci.

– E, nie mogę. – Machnął ręką i zerwał się od stołu. – Ojciec mnie przysłał po księdza dla dziadka. Muszę prędko wracać, bo sobie z nim rady nie dają.

Greta opacznie zrozumiała słowa Daniła. Pomyślała, że stary Chaliwa dożywa swych dni. Poważnie się zatroskała i wyraziła ubolewanie. Danił znów machnął ręką i wyjaśnił:

– E tam, dziadkowi nic nie będzie. Gorzej, że Opór w nocy padł, a dziadek spazmuje i od zmysłów odchodzi. Trzeba go czym zająć i dlatego ja po księdza, może na jaką partyjkę się zgodzi.

– A – Greta wreszcie załapała. – To też przykre...

Cóż miała na to więcej odpowiedzieć? Opór był to stary koń równie starego Chaliwy. Obaj stanowili niegdyś mało zgrany tandem: Chaliwa był mleczarzem. Wraz z Oporem co rano objeżdżał wieś i zbierał po drodze wystawiane przez ludzi kanki z mlekiem.

Chaliwa nie było nazwiskiem, tylko przydomkiem nadanym przez ludzi za ulubione powiedzonko. „Chaliwa, zbiera się na deszcz” – mawiał na przykład.

Opór okazał się niezwykle trafnym imieniem dla tego konkretnego konia. Wymyślił je sam właściciel. Zwierzę miało bowiem w swym długim życiu jedno zaledwie dziwactwo – otóż za żadne skarby świata nie chciało ciągnąć wozu pod górkę. Z górki owszem, ale pod górkę z wozem zdarzało się, że odmawiał współpracy. Trzeba było go wówczas wyprzęgać, wóz przepchnąć na pagórek, a konia tam doprowadzić i zaprząć od nowa. Taki koń był uciążliwy dla mleczarza, a mleczarz dla ludzi. Okolica nie była tu górzysta, ale miała niewielkie wzniesienia i dolinki. Chaliwa wiedział już dobrze, gdzie Opór będzie szedł, a gdzie na pewno stawi opór. Najgorzej było u Tadka, który mieszkał daleko od ludzi i pośród wzniesień i dolin. Dojeżdżał Chaliwa do pewnego punktu, a potem to już tylko darł się wniebogłosy:

– Tadek, chaliwa, dawaj mliko, bo ta cholera dalej nie pójdzie!

I Tadek targał swe kanki pod górkę, a koń cierpliwie czekał. Właściwie to Opór podszedłby pod same drzwi Tadowego domu, bo do Tadka było z górki, ale od Tadka to już pod górkę i tam istniało spore prawdopodobieństwo, że trzeba będzie go wyprzęgać i znów prowadzić. Tak się kołatał ten mleczny interes, aż w latach dziewięćdziesiątych Chaliwę zastąpił Nowak z Ordów, a Opora – stary jecz.

I tak sobie obaj, Chaliwa z Oporem, siedzieli od dawna na emeryturze aż do dziś, bo od dziś właśnie Opór gryzł już niebieską trawkę. Dożył grubo ponad trzydziestki i zdążył się mocno wdrzeć w serce starego Chaliwy, tak że tego ogarnęła rozpacz po stracie dziwnego pupila.

Danił pognął co sił do domu, nic nie załatwiwszy we dworze. Ale już w pół godziny później Michał zajechał swą niwą pod obejście Chaliwy.

Stary siedział markotny na ganku, ściskając w dłoniach jakiś kubrak. Moment głośniejszej rozpaczki już minął, a teraz przyszła pora melancholii i marazmu. Ksiądz nie był tu chyba potrzebny, ale skoro już przybył, to i został do wieczora na wspominkach o starych dobrych czasach. Gawędzili spokojnie o przeszłości, a Danił przysłuchiwał się tym opowieściom i mimo że znał je doskonale od dzieciństwa, wciąż z jednakową ochotą je chłonał.

– A co u ciebie, chłopcze? – zagadnął go Michał.

– Nic nowego – odparł lakonicznie Danił.

– Wiesz, że może znalazłaby się dla ciebie robota? Nowy pan w Ordach może potrzebować cieśli. Zaszedłbyś tam, może co dla ciebie będzie.

– E tam. – Danił machnął ręką. – Na co ja bym się tam przydał?

– Spróbować nie wadzi – skwitował Michał.

Danił był człowiekiem o niezwykle niskim poczuciu własnej wartości. Nie można powiedzieć, że był w swoim życiu szykanowany czy poniżany, ale z pewnością uznać należy, że rodzina słabo wywiązała się ze swoich funkcji opiekuńczych i wychowawczych. Dostarczano mu niezbędnych do życia rzeczy, opierano go i karmiono, ale zapomniano czasem pochwalić i przytulić. Matka z ojcem, bardzo prości ludzie, już dawno przyjęli za pewnik, że ich syn będzie w życiu nikim i niczego nie osiągnie. Może nie mówiono o tym głośno i wprost, ale dawało się to odczuć, a Danił podskórnie wyczuwał, co inni o nim myślą. I sam o sobie myślał podobnie.

Niemniej wrodzona ciekawość popchnęła go do zajrzenia na plac remontu w Ordach. Zjawił się tam następnego dnia po południu. Na miejscu zastał Nawrockiego i jego pomocnika. We dwóch uwijali się jak w ukropie, widać mieli jakąś silną motywację do tak intensywnej pracy – czyli inwestor prawdopodobnie dobrze płacił.

Danił rozejrzał się wokół. Dwór wciąż był w opłakanym stanie, ale wszędzie dookoła leżały stosy zgromadzonego materiału: piach, worki cementu, deski, belki, betoniarka, pilarka, szpadle, pace, kasty i całe mnóstwo jakiegoś drobiazgu.

Chłopak podszedł bliżej pracujących. Nie odezwał się, a jedynie intensywnie obserwował robotę.

– Co jest, Danił? – Nawrocki zachichotał. – Szukasz pracy? Nic tu dla ciebie nie ma. A jakby i było, to nie ja tu rozdaję robotę. A właściciela akurat nie ma – powiedział protekcyjnym tonem.

Danił wzruszył tylko ramionami i spojrzął przed siebie, na wejście do dworu.

– Co? Chcesz sobie pooglądać? Śmiało, idź, tam i tak nic jeszcze nie ma.

Chłopak niepewnie przestąpił zmurszały próg i wszedł do zatęchłego pomieszczenia. Z okien zdjęto już deski, a nieliczne okiennice szeroko otwarto. Do środka wpadało dużo dziennego światła i Danił bez przeszkód mógł oglądać wewnątrz. Nie było w nim na razie niczego wartego uwagi, ale bystre oko młodego i artystyczna dusza ujrzały wyobraźnią piękne tapety na ścianach, ciepłe welury w oknach, miękkie dywany na mozaikowej podłodze i fortepian naprzeciw pieca. Ta wizja była tak wyraźna, że Danił czuł niemal ciepło kominka i dźwięki muzyki.

Ocknął się z tych wyobrażeń i powoli wyszedł na zewnątrz. Robotnicy nie zwracali już na niego uwagi, pochłonięci swoimi pracami. Poszedł w kierunku wybijających źródeł. Znał dobrze tę okolicę, jak zresztą każdy inny zakątek tej ziemi. Spędził tu całe swoje trzydziestoletnie życie, w dzieciństwie łąził po wszystkich drzewach, polach, łąkach, zakamarkach, a jako młody chłopak przychodził tu, by po prostu posiedzieć w ciszy. Inni też tutaj bywali, ale z rzadka.

Od wielu lat ludzie przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie, że pan w Ordach miał diabła na usługach. Mówili, że zawsze mu się szczęściło, że miał wszystko, czego chciał, bo diablik mu w tym pomagał. Ale diablik podobno nie był bezinteresowny. Kazał sobie dogadzać, miód pijał, szynki jadał, a wieczorami i nocą ponoć w okolicy hasał, młode dziewczęta bałamucąc i dla zabawy stogi podpalając. Mówili ludziska, że bogactwo pan w garncach wielkich trzymał, mnożyło mu się ono bez opamiętania, a jak przyszła powstaniowa zawierucha w 1863 roku, to pan zakopał wszystkie majątki gdzieś w sadzie, sam uciekł z rodziną do Francji, a diabłu przykazał zostać i wszystkiego pilnować. Ile w tym prawdy, a ile ludzkiego bajania – dziś nikt już nie dojdzie. Jedno wiadomo na pewno: żadnych garnców nikt nigdy tu nie znalazł, a czy diabła kto spotkał? Kto to wie. Ludzie byle czego potrafią się lękać i wmówić sobie mogą wszystko. Danił bywał tu często, nigdy nic go nie straszło ani też niczego tu nie znalazł. Taki niby mały umysł, a więcej miał rozumu niż ci, co się za mądrych mieli.

Teraz usiadł pod wierzbą pochyloną nad sadzawką i przyglądał się tafli wody. Musiały tu gdzieś mieć swoje żeremie bobry, bo widać było świeżo ciosane jak ołówki drwa. Danił chwycił grubszy z kołków i z kieszeni wyjął mały nożyk. Poobracał drewno w dłoni i coś tam sobie szybko przemyślał, po czym zaczął krótkimi ruchami strugać jakiś kształt. Przesiedział tak sporo czasu, a spod kozika wyszedł efekt jego dłubaniny. Kawałek drewna za mały był na wykonanie jego ulubionego Frasobliwego, więc Danił stworzył niewielkiego maszkarona. Postać posiadała jedynie głowę i kawałek barku, miała wytrzeszczony wzrok i otwarte do krzyku usta. Włosy burzą kudłów wiły się wokół twarzy tak, jakby maskara pędziła pod wiatr. Całość prezentowała dużą ekspresję i na pewno nie sprawiała wrażenia straszdyła, ale figlarnego onirycznego stwora.

Z ferworu pracy wyrwał Daniła ryk silnika. Chłopak podniósł wzrok znad rzeźby i zobaczył przejeżdżającego nieopodal czarnego hummera. Potężna maszyna zatrzymała się na dworskim dziedzińcu.

– Kto to? – spytał Oleg tuż po wyjściu z samochodu, wskazując Daniła.

– A – odezwał się Nawrocki. – Panie kierowniku, to Danił, miejscowy głupek. Nie warto się nim przejmować. Jak pan chce, to mogę go przegonić.

Oleg zawahał się przez moment.

– Nie trzeba – odpowiedział w końcu.

Podszedł szybko do Daniła, a ten zerwał się na równe nogi. Wstając, upuścił na ziemię maskarona, zdążył jedynie przytrzymać swój nożyk. Oleg spojrział na spadający przedmiot i schylił się po niego. Wziął go do rąk i uważnie go oglądając, spoglądał też na twórcę rzeźby.

– To twoja robota? – spytał.

– Moja – odpowiedział jakby zbyt grzecznie Danił. – Przepraszam, już się stąd wynoszę.

– Poczekaj. Co to jest?

– A, nic takiego – odparł nieśmiało chłopak. Sam nie wiedział, że to maskaron.

– A co jeszcze umiesz wyrzeźbić?

– A bo ja wiem? – zamyślił się Danił. – O, Chrystusy Frasobliwe robię – ucieszył się na samo wspomnienie.

Oleg się skrzywił.

– I nic więcej nie umiesz? – dociekał.

– A – znów ucieszył się Danił – umiem dużo, wszystko, co trzeba, mogę wystrugać – wypalił nieskromnie.

– Wszystko? I człowieka też?

– Też.

– A psa? A bukiet?

– A pewnie – rozochocił się Danił. Byłby już teraz gotowy do nowej pracy, gdyby tylko miał materiał pod ręką.

– A potrafisz ułożyć mozaikę na podłodze? – Olegowi zaświtał w głowie pewien pomysł.

Danił podrapał się za uchem i po namyśle odpowiedział:

– Przypuszczam, że potrafię.

W tej chwili to gotów byłby przysiąc, że wszystko umie wyczarować z drewna, tak poczuł się zachęcony do pozytywnego odpowiadania. Ale podłóg nigdy w życiu nie układał. Jedyne, co na pewno umiał, to ułożyć klepki w piękne artystyczne wzory. Jak jednak złożyć je w ogromną podłogę – tego nie wiedział. Sądził wszakże, że nie jest to trudne.

– Jak masz na imię? – spytał Oleg.

– Danił.

Mężczyzna wyciągnął do niego dłoń:

– A ja jestem Oleg.

– Wiem – odparł Danił, przyjmując uścisk. – Ludzie mówili.

– Potrzebuję fachowca od roboty w drewnie. Nie masz ochoty trochę zarobić?

– Pewnie, że mam – odpowiedział chłopak. – Ale chyba nie chcę u ciebie pracować.

W prostocie swego umysłu Danił nie klasyfikował ludzi na bogaczy, panów i ubogich czy nierobów. Jeśli kogoś szanował, to na pewno nie za jego status społeczny, i bez szemrania zwracał się do niego per pan lub pani. Ale przeważnie mówił do ludzi po imieniu, a w ostateczności bezosobowo – dopóki się udawało, unikał nadętych określeń. Oleg sam zaczął mówić do niego na ty, więc Danił uznał to za przyzwolenie na taką samą odpowiedź.

– A czemuż to praca u mnie ci nie odpowiada? – uśmiechnął się Oleg z przekąsem. – Masz już jakąś inną robotę pewnie?

– Nie mam – odparł krótko Danił.

– To o co chodzi? Nie rozumiem.

– Bo ty z wysoka na mnie patrzysz. Myślisz, że mi łaskę robisz.

Taka szczerłość zbiła Olega z tropu. Dotychczas nikt nigdy nie ośmielił się w podobny sposób do niego odezwać. A tym bardziej nikt, kto znał go zaledwie od kilkunastu minut. Tak pochopnych i niczym niepopartych wniosków Oleg w życiu nie słyszał.

Zakaszła lekko i w końcu rzekł:

– Hola, hola! Wolnego, kolego! Co to za brednie? Skąd ci to przyszło do głowy?

Danił wzruszył tylko ramionami i nic nie odpowiedział.

Tak to jakoś z nim było, że świetnie odgadywał świat. Słabo znał się na naukach i mało



rozumiał ludzi, ale wyczuwał ich doskonale. Olega się nie przestraszył, ale po prostu uznał, że nie jest szczery w tym, co robi. Jakimś szóstym chyba zmysłem zgadywał, że ten wielki pan lubi się pysznić.

– Jak chcesz – prychnął Oleg i odwrócił się, by odejść.

Na odchodne jeszcze rzucił:

– Jak zmienisz zdanie, to przyjdź, mądralo.

Danił został sam pod wierzbą. Stał tam jeszcze chwilę i zebrał się do powrotu.

Wyszedłszy na kasztanową aleję, znów natknął się na Nawrockiego, który targał jakieś wory.

– I co? – zagadnął szef budowy. – Pewnie nawet nie chciał cię słuchać? Przecież mówiłem, że tu nie ma dla ciebie roboty. Dla takich jak ty nic tu nie ma. Darmo siedziałeś i traciłeś czas.

Danił przystanął, zacisnął dłonie w pięści i zagryzł wargi. Pomyślał przez krótką chwilę i zawrócił na pięcie. Przy drzwiach do dworu Oleg tłumaczył coś robotnikowi. Obejrzał się, usłyszawszy szelest za plecami, i widok Daniła nieco go zdziwił.

– Czego chcesz?

– Biorę tę robotę.

Oleg miał ochotę mu naubliżyć i wywalić na zbity pysk. Jednak jego praktyczny i estetyczny umysł podpowiadał mu, że ten bezczelny typ ma duże pokłady talentu. Jeśli zignoruje impertynencję tego chłopaka, to być może dużo zyska na jego potencjale.

I tak Danił otrzymał pracę u Olega, mimo że początek ich znajomości wypadł dość niefortunnie.

## Rozdział 8

Czerwiec buchnął po okolicy obłądnym zapachem jaśminów i piwonii. Mnóstwo kwiatów zakwitło również w ogrodzie na tyłach plebanii. Obsypane bielą krzewy jaśminowca upajały zmysły aż do mdłości, z kolei piwonie czarowały w równym stopniu aromatem co kolorem. Ogromne ich pompony kołysały się delikatnie na zielonych łodyżkach, prezentując dumnie swe róże, biele, głębokie czerwienie, żółcie, a nawet pomarańcze. Aż roiło się w nich od trzmieli. Owady uwijały się, zbierając pyłek i oklejając nim całe swe kosmate ciała.

Iście letnia pogoda rozpieszczała przyrodę i ludzi.

Greta w tej całej feerii zapachów, owadów i kwiatów rozwiesiła wczoraj hamak i dziś od rana leniwie się w nim kołysała z książką w ręku. Z lubością oddawała się błogiemu nieróbstwu, nadrabiając zaległości w lekturach. Delikatny, ciepły wietrzyk pomagał jej przewracać stronicę. W takich warunkach odzyskiwała wewnętrzną równowagę i coraz rzadziej myślała o mężu z rozgoryczeniem. W ogóle coraz rzadziej o nim myślała...

Przedpołudnie spędziła w ogrodzie z Michałem, który ściągnął ją wreszcie z hamaka i zaprowadził na grządki pełne kwiatów cukinii i nasturcji. Nieopodal, na równo przystrzyżonej trawie, stały dwa duże wiklinowe kosze. Michał podał jeden Grecie, drugi przewiesił na swoim łokciu i bez słowa wskazał ruchem głowy kwiaty. Greta nie trzeba było namawiać. Cukinia i nasturecja zawsze oznaczały tylko jedno: pyszny podobiadek. Szybko nazrywali pełne kosze – u Michała żółciły się kwiaty cukinii, Greta zrywała dopiero co rozkwitłe pomarańczowe nasturcje, po czym, gawędząc niezobowiązująco, przekomarzając się i śmiejąc, poszli przygotować posiłek. Greta delikatnie, by nie zniszczyć kwiatów, umyła je pod zimną wodą, wyjmując z ich środków mrówki lub biedronki. Michał zaś już krzątał się po całej kuchni, szykował ciasto naleśnikowe i rozgrzewał dużą ilość oleju. Pracowali ramię w ramię, zgodnie, jak najlepszy zespół. Stosy umytych kwiatów szybko wyschły na stole. W kwiaty cukinii Greta wetknęła niewielkie plasterki mozzarelli i zawinęła płatki, skręcając je jak zlotko na cukierku, by ser nie wylał się ze środka. Zamoczyła je potem w gęstym cieście i szybko wyłożyła na rozgrzany skwierczący olej. Nasturecja wędrowała do ciasta bez żadnego farszu i razem z cukinią pławiła się w głębokim oleju. Po chwili ciasto lekko się rumieniło, a stos usmażonych kwiatów rósł na talerzach. Całość Michał posypał siekaną pietruszką, po czym z jeszcze ciepłym daniem wyszli na powrót do ogrodu.

– Jak tu pięknie... – cieszyła się Greta, przeżuwając ze smakiem cukinię, z której wnętrza wpływał ciepłutki ser.

– Uhm... – mruknął ksiądz równie leniwie.

– Chciałabym tu zostać.

– No przecież jesteś – nie do końca zrozumiał jej myśl.

– Ale już tak na zawsze.

– A... – pojął wreszcie. – A co z Warszawą?

– No właśnie... Co z Warszawą...

Te ich zwykle pogaduchy przerwała wizyta Daniła. Chłopak przyszedł do ogrodu prowadzony przez radującego się Wikarego. Spotkali się obaj przed wejściem do dworu, ale że tam nikogo nie było, Danił obszedł dom dookoła. Na tyłach, wśród parkowych, wysypanych żwirem alejek oraz ze znanstwem sadzonych drzew oraz krzewów, siedzieli ksiądz z bratanicą.

Wikary radośnie szczechnął i oboje odwrócili się w jego stronę.

– Mamy gościa – ucieszył się Michał. – Jakże tam dziadek?

– Szczęść Boże – przywitał się Danił. – U dziadka smutek, ale nic mu nie będzie.

– Ano, wszyscy mamy jakieś smutki... – zgodził się Michał, po czym wyciągnął do Daniła talerz z kwiatami i poczęstował go.

– Oj, mamy – dodała Greta.

– Ale u ciebie chyba radość – zagadnął ksiądz chłopaka. – Słyszałem, że dostałeś pracę.

W tej wsi wieści rozchodziły się lotem błyskawicy. Właściwie to ludzie tutaj mogliby żyć bez telefonów – wszyscy i tak wszystko wiedzieli natychmiast po wydarzeniu.

Danił przełknął nasturcję, rozpogodził się, a na twarz wypełził mu rumieniec ekscytacji. Zaczął opowiadać, jak na siebie nader wylewnie, jak to wre praca w Ordach. Rozpływał się w zachwytach nad tym, co już zostało tam zrobione, i nad tym, co dopiero jest w planach. On, jako ten od drewnianej roboty, jeszcze niewiele miał tam pracy. Najpierw musiała się uwinąć ekipa Nawrockiego.

– Wiecie, co teraz robię? – kontynuował. – Tam będzie kominek. Ja robię do niego belkę. Będzie rzeźbiona, Oleg chce mieć tam jakąś scenkę, jeszcze nie zdecydował się na żadną, podał mi kilka przykładów. Już zacząłem pierwsze strugi. Będzie pięknie. Dziwny jest trochę – zakończył, mając na myśli osobę Olega.

– Kominek? – spytał Michał, nie do końca rozumiejąc całą tę opowieść.

– Nie – odparł Danił. – Oleg. Coś ukrywa.

– Skąd wiesz? – Greta odezwała się dopiero teraz.

– To się po prostu czuje – odrzekł, jakby to była najoczywistsza oczywistość.

Ludzie zawsze potrzebowali na wszystko dowodów. Ciągłe pytali: skąd wiesz, jak, dlaczego, po co, czy aby na pewno... Niektóre rzeczy przecież się wie i tyle. To proste. Ludzie są jacyś dziwni...

– Pokażesz mi trochę tych swoich dzieł? – spytała Greta ze szczerym zainteresowaniem.

Zawsze była czuła na sztukę. Nie można powiedzieć, że się na niej znała, ale doceniała każdą jej gałąź, pod warunkiem, że nie była to sztuka nowoczesna. Tej Greta wprost nie znosiła. Wszystkie te dzisiejsze bohomazy i wszechobecna stal i plastik drażniły jej zmysły. Frasobliwe Chrystusy Daniła były przyjemne w oglądaniu, zatem pewnie cała jego robota taka będzie.

– No pewnie – ucieszył się jej zainteresowaniem. – Przyjeżdż do Ordów, zobaczysz, jak tam ładnie.

Greta znała ten dwór, bywała tam nieraz w przeszłości, ale zapamiętała go jako opuszczoną, zarośniętą chaszczami ruinę. Teraz propozycja Daniła wydała jej się kusząca – tutaj i tak nie miała nic do roboty.

– A ten dziwny typ wpuszcza tam obcych? – zażartowała.

– E. – Danił machnął ręką. – Jego całymi dniami nie ma. Jeździ po drogich sklepach i zwozi marmury i kto wie co jeszcze. Tam takie bogactwo będzie, że ho, ho!

Nazajutrz Greta wiedziona ciekawością rozbudzoną przez Daniła wybrała się do Ordów. Bardzo się tam zmieniło, odkąd dwór znalazł właściciela. Przede wszystkim poskromiono wdzierającą się w każdy zakamarek roślinność. Wykoszono wysokie trawy, zgrabiono nagromadzone przez lata liście i drobne gałęzie, słowem – odgruzowano front posesji. Od razu milej było na to wszystko patrzeć. Przed środkowym ryzalitem wciąż ktoś przemykał, nosił, wynosił, hałasował, podśpiewywał i przeklinał. Nawrocki zdawał się dwoić i troić, jego ludzie zresztą też.

Na widok Grety unieśli lekko kaszkietówki znad oczu i wybakali coś na kształt przywitania, aż im papierosy w ustach drżały.

– Witam panów – wesoło odpowiedziała Greta.

– A co cię tu, dziewczyno, przyniosło? – zapytał Nawrocki. – Może skarbu przyszedł szukać?

– Wystarczy mi Danił – odparła. – Jest tu gdzieś może?

– A jakże. Siedzi w środku. Idź tam. – Wskazał drzwi wejściowe.

W salonie, który zaczynał już się wyłaniać z tej remontowej zawieruchy, w pobliżu ściany ze świeżo wybudowanym paleniskiem kominka stał Danił. Greta zobaczyła go w chwili, gdy unosił wielki drewniany bal. Próbował go dopasować, ale nie było to łatwe, gdyż ciężar drewna ograniczał jego ruchy tak, że nie mógł nawet sięgnąć po trzymany w ustach ołówek. Greta wyczuła jego zamiar, podeszła i wyjęła ołówek z jego warg.

– Hej – przywitała się. – Pomogę ci. Gdzie mam zaznaczyć?

Wspólnie przymierzyli ciężki kłoc do murów kominka i Greta zaznaczyła grafitem miejsce

przycięcia.

– Dzięki – powiedział Danił. – Chcesz obejrzeć resztę?

– No pewnie.

Oprowadził ją po całym budynku. Nadal nie nadawał się do użytku, ale widać już było, w którym kierunku zmierza całość. Obeszli także tutejszy sad. Był mocno zaniedbany, jednak drzewa, które w nim jeszcze stały, wyglądały na zdrowe. Jak okiem sięgnąć – ziemia Olega.

– Jak ja bym chciała mieć taki dom i kawałek swojej ziemi...

– Ja też bym nie pogardził – westchnął Danił. – Popatrz, kosztela.

Wskazał ręką na stareńkie drzewo, powykręcane jak palce reumatyka. Obojgu im przyszły na myśl dawne lata spędzane w tym sadzie na kradzieży. Kosztele szczególnie sobie upodobali. Owoce tej jabłoni wielkie były jak piłki, aż nie mieściły się w małych dziecięcych dłoniach. Gdy z lubością wgryzali się w miąższ, słodki sok ciekł im między palcami i spływał aż po łokcie. W tym roku na gałęziach znów tłoczno było od jabłek. Tylko czy nowy właściciel pozna się na ich smaku?

Podeszli pod jabłoń i zadarli głowy. W milczeniu patrzyli w dal. Greta przenosiła wzrok z gałęzi na gałąź, aż natknęła się na zawieszoną niewysoko skrzypce. Od razu spojrzała na Daniła.

– To twoje – raczej stwierdziła, niż spytała.

– Moje – potwierdził rzeczowo. – Siadam tu czasem i sobie gram.

– A teraz mógłbyś coś zagrać?

Danił zasępił się na moment. Rzadko grywał przed ludźmi, nie potrzebował publiki. Muzyka była częścią jego samego, poprzez nią wyrażał swoje żale i smutki, czasem radości. Nie lubił o nich nikomu opowiadać. Ale Greta nie była pierwszą lepszą osobą. Była jedną z najbliższych mu dusz.

Wyciągnął rękę i delikatnie zdjął skrzypce z gałęzi. Położył je na ramieniu i oparł na nich brodę. Chwilę pomyślał i przesunął smykami po strunach. Popłynęły pierwsze dźwięki, mocne, ostre jakieś, ale i przyjemne. Melodia łatwo wpadająca w ucho, choć niebanalna. Greta słuchała z zapiętym tchem i przymkniętymi oczyma. Po minucie Danił grał nadal, ale teraz dołączył do muzyki jeszcze swój wokal. Miał silny, czysty, piękny głos. Greta mimowolnie się uśmiechnęła, słuchając tego koncertu. A on coraz mocniej wyśpiewywał:

Jak długo pisana mi jeszcze włóczęga?

Ech gwiazdo – ogniku ty błędny mych dni.

Słowa się skończyły, lecz Danił wciąż grał. Mocniej i mocniej, jakby wpadł w trans. Tak wyglądają ludzie, którzy kochają to, co w życiu robią. Dla takich pasji warto żyć.

Muzyka ucichła, Danił odwiesił skrzypce.

– Ile wiary i tęsknoty... – odezwała się Greta.

– Co? – chłopak nie zrozumiał.

Spojrzeła mu prosto w oczy.

– Za czym tęsknisz, Danił? Na co czekasz?

Przyglądał się Grecie badawczo, jakby z ruchu jej warg próbował odczytać sens tego pytania. Nie lubił takich filozoficznych pogaduszek.

– Na nic nie czekam – odparł nieco niechętnie.

– Nieprawda. Ty czekasz na szczęście.

– Bzdury! – zirytował się. – Szczęście nie istnieje.

– Ja też tak czasem myślę – westchnęła Greta. – Ale jeszcze mam na nie nadzieję.

– Nie jesteś zadowolona z tego, co masz? – zdziwił się Danił.

– Nie zawsze – odparła.

– Jak to? – nie rozumiał jej coraz bardziej. – A praca? A mąż? A Warszawa?

– Myślisz, że to są składowe szczęścia?

– A nie?

– Praca dziś jest, jutro jej nie ma. Mąż tak samo. A stolica tylko może przygnieść człowieka, nic więcej.

– Ludzie to są jednak dziwni – rzekł Danił sam do siebie.

Nawet nie wiedział, jak bardzo odkrył się przed Gretą. Sądził, że nic jej o sobie nie

powiedział, ale ona i tak zrozumiała, że Danił marzy o wyrwaniu się stąd i pewnie też o wielkiej miłości. Biedny chłopak, trudno mu będzie tego dokonać. Ale, kto wie, co dla kogo szykuje los?

Od pewnego czasu na skraju sadu stał Oleg. Przyjechał do Ordów i przyszedł tu zwiedziony śpiewem i muzyką. Przystanąwszy pod starym krzewem jałowca, przyglądał się tej parze. Oboje stali tyłem do niego, więc go nie zauważyli. Poza tym tak bardzo byli zajęci muzyką i rozmową, że niewiele ich oprócz tego obchodziło.

Olegiem szarpnął jakiś skurcz na widok ognistych rudych włosów opadających na plecy. Jest, ma ją tu, u siebie. Sama do niego przyszła. Ale dlaczego jest tak bardzo zajęta tym chłystkiem? Zresztą, nieważne. Poradzi sobie z nim bez trudu. Też mu konkurent...

Zebrął się w sobie i ruszył do przodu. Greta z Daniłem usłyszeli w pobliżu szelest traw i jak na komendę obejrzeni się za siebie. Wszyscy troje zamarli w bezruchu. Danił zaniemówił ze strachu, że pozwala sobie na oprowadzanie po nie swoich włościach obcych, a Greta z Olegiem zaniemówili na swój widok, tyle tylko że z nieco innych powodów: ona ogromnie się zdziwiła, że stoi przed nią facet, którego już kiedyś spotkała nad Bugiem, a on wprost oniemiał na samą myśl, że nareszcie się jej doczekał.

Stało przed nim spełnienie jego najnowszego marzenia – kobieta o ognistych rudych włosach i szmaragdowym spojrzeniu. Dziś ubrana była w lnianą szmizjerkę w kolorze cappuccino oraz turkusowe sandały na wysokim koturnie. Lekki wiatr delikatnie muskał jej policzki, rozwiewając rude loki i rozchylając nieco sukienkę.

Oleg nie był w stanie oderwać od niej wzroku. W całym swoim życiu poznał wiele kobiet. Przebierał wśród nich, wybierając te, które go podniecały, które były piękne i nieco wyuzdane. Mógł mieć każdą, a nie wiedzieć czemu od miesiąca jego umysł zaprzętała tylko jedna. Teraz, na samą myśl, że jest już blisko celu, poczuł wszechogarniający dreszcz. Zupełnie nieświadomie wyprężył ciało i wciągnął w nozdrza powietrze, zbierając się na odwagę, by się odezwać.

– Dzień dobry – zaczął po prostu ze swoim miękkim akcentem. – Przepraszam, przeszkodziłem państwu.

– E, to ja przepraszam – wybąkał Danił. – Nie powinienem tu nikogo zapraszać.

– Bardzo dobrze zrobiłeś – powiedział Oleg.

– Tak? – spytał głupekowato Danił. Spodziewał się raczej nagany.

– Co pan tu robi? – odezwała się wreszcie Greta, niczego jeszcze nie pojmując.

– Goszczę panią – odparł szarmancko Oleg.

Spojrzała na Daniła, a potem na Olega.

– Jak to? To pan jest tym nowym właścicielem dworu?

– Ja – odparł nieskromnie. – Pani pozwoli, że się przedstawię: Oleg Hawryło.

Greta niepewnie wyciągnęła do niego dłoń, którą on natychmiast uściśnął, zachłannie chowając w swojej.

– Greta Marecka.

„Wiem” – pomyślał.

– Jak pan znalazł tę ruinę? – Greta odzyskała mowę już na dobre. – I po co?

– Proszę mówić mi po imieniu – zaproponował, nie odpowiadając na jej pytania.

Zawahała się na moment, ale nie dał jej czasu do namysłu.

– Danił nie miał z tym problemu – rzekł z uśmiechem. – Od pierwszej chwili wali do mnie śmiało po imieniu.

– Bo ty dla mnie żaden pan – obruszył się Danił.

– No widzi pani... – westchnął Oleg.

„Właściwie, co mi szkodzi?” – pomyślała Greta.

– A więc – zaczęła nieśmiało – jakim cudem znalazłeś to miejsce?

– Chichot losu, powiedziałbym – odparł Oleg.

Greta nic z tego nie rozumiała. Odniosła jedynie wrażenie, że albo ma przed sobą nadętego snoba, którego trzeba ciągnąć za język, albo ten pan na włościach nie ma ochoty z nią rozmawiać i dlatego odpowiada tak ogólnikowo. Postanowiła zatem wziąć odwrot.

– No, cóż – zaczęła. – Na mnie już chyba czas. Nie będę panom przeszkadzać.

– Nie, nie – zaproponował Oleg. – Wcale nie przeszkadzasz.

Greta wlepiła w niego swoje zielone spojrzenie. Dopiero teraz przyjrzała mu się dokładnie. Ciemnobrązowe oczy i śniada cera tak bardzo przykuwały jej uwagę, że z trudem dostrzegła całą resztę. Stał przed nią mężczyzna wysoki, wyprostowany, muskularny, na oko czterdziestoletni. Jego gęste włosy lekko falowały na wietrze i opadały na kark. Spod rękawa opiętego T-shirtu wystawał spory biceps, ale sylwetki tego mężczyzny bynajmniej nie można było uznać za karykaturalną. Jego widok sprawił Grecie dużo przyjemności, choć za nic w świecie by się do tego nie przyznała.

– Pójdę już – powtórzyła i ruszyła przed siebie. – Przepraszam, że oderwałam was od pracy – uśmiechnęła się przymilnie. – Do zobaczenia.

Oleg miał ogromną ochotę ją zatrzymać i zaproponować co najmniej kawę, zrezygnował jednak z tego zamiaru, wyczuwając jej stanowczość. Był świetnym taktykiem. Wyczekał tyle, to da radę jeszcze troszkę.

Greta odeszła już daleko, a oni obaj nadal stali w sadzie, oglądając się za nią.

– Dobrze się znacie? – zaczął Oleg jakby od niechcenia.

Danił uważnie spojrzał mu w oczy i milczał przez chwilę. Wreszcie rzekł:

– Nie dla ciebie.

– O czym ty mówisz? – zaperzył się Oleg.

– O tym samym, co ty myślisz.

– Słuchaj, gówniarzu! – krzyknął Oleg. – Uważaj, bo możesz stąd szybko wylecieć!

Danił zupełnie nie przejął się tą groźbą. Wzruszył jedynie ramionami i bez emocji odparł:

– Jak chcesz. – Po czym spokojnie oddalił się w kierunku kasztanowej alei.

Oleg był wściekły. Najchętniej strzeliłby zuchwalca po pysku i wyrzucił ze swego domu, ale zaczynał coraz bardziej cenić talent ciesielski Daniła. Przekalkulował szybko sytuację i doszedł do wniosku, że głupotą byłoby tracić tego domorosłego artystę. Należało jednak nieco utrzyć mu nosa i pokazać, kto tu rządzi. Może wtedy stałby się bardziej znośny, bo na razie szarogęsił się tu okropnie.

Swoją drogą to niezwykle interesujące, jaką ten głupek miał intuicję. Wyczuwał ludzi swym durnym nosem na odległość. Może jednak nie warto było go lekceważyć?

– Dlaczego myślisz, że ona mnie interesuje!?! – zawołał za Daniłem.

Chłopak odwrócił się i znów się zastanowił, po czym krzyknął:

– Bo robi ci się idiotyczny wyraz twarzy!

„Kurczę – pomyślał Oleg. – On jest jednak kretyn”.

Nie przypuszczał, że jego twarz zdradzała jakiegokolwiek emocje i zamiary, bo zawsze starał się ich nie okazywać, dlatego sądził, że Danił nie do końca wie, co mówi.

Danił irytował go z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że bezceremonialnie walił, co myślał, prosto w twarz, a po drugie, ponieważ był człowiekiem bardzo powolnym z natury. Prawie zawsze musiał się namyślić, zanim coś powiedział. Ale jak już powiedział, to szło w pięty. A tego Oleg nie lubił, bo, co tu kryć, był po prostu obrzydliwie bogatym gburem, któremu nikt się dotąd nie ważył urągać.

Danił, jako że nie znał stanu posiadania jako takiego, bo nie miał w życiu niczego – ani pieniędzy, ani miłości – to po prostu nie wiedział, że należy szanować tych, co mają krocie.

– Ty jesteś świr – stwierdził Oleg.

– Tak mówią – potwierdził Danił po chwili.

Nadal nie okazywał żadnych emocji, słowa Olega nie obraziły go w najmniejszym nawet stopniu. Tyle różnych opinii na swój temat usłyszał już w życiu, że kto by je spamiętał i się nimi przejmował... Od przejmowania można się jedynie rozchorować. Na co mu ten kłopot?

– Najprawdziwszy świr – oświadczył Oleg, przy czym sam miał dość głupią minę. – Masz ochotę na szklaneczkę whisky?

– Nie bardzo.

– Mnie się nie odmawia.

– Dlaczego? – naiwnie spytał Danił.

Dlaczego?... Oleg zastanowił się nad odpowiedzią, ale nie przyszło mu do głowy nic

sensownego. Tak, dotąd nie odmawiano żadnym jego prośbom ani poleceniom, ale jak widać wcale nie musiało to być regułą.

– Słuchaj – spróbował jeszcze raz – kim ja dla ciebie jestem?

Danił zastanowił się, spojrzął na czubki swych butów, a potem podniósł wzrok na Olega i patrząc mu prosto w oczy, odpowiedział z prostotą:

– Nikim.

Nie miał wcale zamiaru go obrazić. Po prostu nie znał faceta, nic o nim nie wiedział, a jedynie coś tam sobie przeczuwał, więc kim on mógł dla niego być? Ani to jego krewny, ani kumpel. Może jedynie pracodawca, chociaż teraz to już nie wiadomo.

Oleg miał spory problem z odpowiednią interpretacją słów Daniła. W pierwszej chwili gotów był się na niego śmiertelnie obrazić. Potem jednak zaświtała mu w głowie myśl, że gdzieś tu musi być haczyk. Nikt przecież tak otwarcie nie pluje ludziom w twarz. No, chyba że wariat. To określenie nie do końca jednak pasowało do Daniła. Faktycznie, był nieco ograniczony, może infantylny, ale przy tym wielce utalentowany.

– Dziwny jesteś – odezwał się wreszcie Oleg.

– Nie – odparł Danił. – To ty jesteś dziwny.

Obaj byli przedstawicielami tak różnych światów, że zwyczajnie byli dla siebie nawzajem dziwni. Po prostu: dziwni, i już.

Na whisky razem się nie wybrali, ale znosili się cierpliwie do końca dniówki. Wieczorem, kiedy już Nawrocki z ekipą rozeszli się do domów, Danił odezwał się do Olega:

– Nie myśl o niej.

– A ty nadal o tym? – zirytował się Oleg. – Sądzisz, że to jedyna dziewczyna na świecie, że nie stać mnie na lepszą?

– Myślę, że stać cię na inną, ale nie na lepszą – rzeczowo odparł Danił.

– A niby dlaczego?!

Danił zignorował gniew Olega.

– Nie zwracaj jej głowy – powtórzył spokojnie i ruszył w kierunku wyjścia.

– Bo co?! Jest twoja?

– Nie. Ale i nie twoja.

Rozmowa była skończona. Danił powiedział już wszystko, co zamierzał, i podniósł tylko rękę na pożegnanie, nie oglądając się nawet za siebie.

„Jeszcze się okaże” – pomyślał Oleg.

Wieczór spędził w Ordach, siedząc w ledwie uprzątniętym kącie, z butelką wódki w dłoni. W skroniach pulsowała mu krew wzburzona przez Gretę i Daniła, a po głowie krążyły myśli na temat dzisiejszego spotkania. Czy zrobił na niej wrażenie? W swojej próżności gotów był sądzić, że na pewno jej się spodobał, ale chwilami nachodziły go jednak wątpliwości co do siły swego czaru i uroku.

## Rozdział 9

– Ile może kosztować dworek w tej okolicy?

– Czy ja wiem, podobno za ten w Ordach chcieli czterysta tysięcy. A dlaczego pytasz? – zaciekawiał się Michał.

– To i tak mniej niż mieszkanie w Warszawie – zignorowała pytanie Greta. – A tu mam cały dom, ziemię, ciszę...

– I trzy razy tyle musisz wydać na remont – wszedł jej w słowo ksiądz. – Czyli razem: jakiś milion. Życia nie starczy, by zarobić.

– Ano, nie starczy – westchnęła dziewczyna. – Skąd ludzie biorą pieniądze?

– Te głodowe to z emerytur – odparł Michał. – A te wielkie to z przekrętów.

– Myślisz?

– Jestem prawie pewien. A co cię tak wzięło na kalkulacje?

– Zajrzałam wczoraj do Daniła w Ordach. Aż miło popatrzeć na tamtejsze roboty. Oleg nie liczy się z kosztami.

– Oleg?

– Nowy właściciel.

– Wiem, że tak się nazwa – Michał spojrzał uważnie na Gretę. – Jesteście po imieniu?

– Tak wyszło.

Bynajmniej nie zamierzał jej przesłuchiwać. Pytał po prostu z troski i ciekawości. Znał Gretę doskonale i wiedział, że niewiele jest rzeczy, które są w stanie ją zauroczyć do stopnia ogłupienia. O jej poczynania był więc spokojny. Nie wiedział natomiast, jak będzie się zachowywał nowy sąsiad. Nie znał go, słyszał o nim jedynie parę plotek. Ludzie szeptali, że to wielki pan, wyniosły i wymagający. A jaki był naprawdę? Kto to wiedział?

– Co o nim myślisz? – spytał na wszelki wypadek.

Greta parzyła właśnie herbatę w kuchni. Stała tyłem do Michała, nie wiedząc, że ją obserwuje.

– O kim? – upewniła się. – O Olegu?

– No...

Przyniosła na tacy dzbanek, cukiernicę i filiżanki. Postawiła jedną przed Michałem i spontanicznie cmoknęła go w skroń, a potem nalala mu herbaty.

– A co mam myśleć? – odpowiedziała rozbawiona. – Nie znam go. Ale zazdroszczę mu, że stać go na taki dwór. Chciałabym kiedyś taki mieć.

– Na Polesiu jest dużo takich miejsc – rozmarzył się ksiądz. – Może namówisz Grzegorza i kiedyś tu zamieszkacie?

– Myślisz, że ten mieszcuch da się przerobić na wieśniaka? – zażartowała. – Jeśli już, to mały letniskowy domek na Mazurach, na więcej raczej nie mam co liczyć.

Grecie od pewnego czasu chodził po głowie pomysł przeniesienia się na wieś, ale na razie było to niemożliwe. Grzegorz, jako żołnierz, musiał być do stałej dyspozycji przełożonych, a i ona miała dobrą pracę w stolicy. Mieszkanie na wsi pod Warszawą niekoniecznie miało sens, bo za dużo czasu marnowałoby na dojazdy do pracy. Z kolei zamieszkanie na Polesiu całkowicie wykluczało pracę w Warszawie. Jakkolwiek by na to patrzeć, wybór jest jeden: albo praca, albo wieś.

W takich chwilach rzeczywiście gotowa była zazdrościć Olegowi. Najwyraźniej nie przejmował się pracą ani nawet rodziną, skoro przenosił się do obcego kraju. Jeżeli miał taką możliwość, to musiał mieć też mnóstwo pieniędzy i nie liczyć się z kosztami. Taki to ma życie...

\*

Spokojnie płynące dni wprawiły Gretę w błogostan, jakiego nie czuła od dawna. Michał też



osiągał przy niej poczucie dużego ukontentowania. W końcu miał obok siebie jedyną kobietę, którą kochał – Rudą.

Kolejne dni mijały dość leniwie w Burzanach i pracowicie w Ordach. Greta wyjęła swoje sztalugi i nosiła je po całej okolicy, malując bez opamiętania. Najmocniejsza była w pejzażach. Spod jej pędzla wyrastały teraz łąki i lasy poleskie, wijący się Bug i wschodzące słońce przecinające horyzont.

Wieczorami siadywała z Michałem na werandzie i gawędzili aż do nocy albo rozpalali ogrodowego grilla i piekli karkówki, boczki i kaszanki. Burzański dwór cały tonął w wybornych zapachach. Ogród i sad tętniły życiodajnymi sokami i aromatami, podwórze pachniało świeżo skoszoną trawą, a z kuchni wydobywały się wonie mięsów i deserów. Tutaj ludzie, zdawało się, żyli, by jeść. Greta siadała niekiedy na progu dworu i obierała kopiasty talerz cebuli, aż jej się na płacz zbierało. Kroiła ją potem w plastry i obsypywała solą, by puściła soki i zmiękła. Później zlewała słodko-słony sok, a cebulę doprawiała octem i oliwą, słodząc ją nieco do smaku, oprószając delikatnie pieprzem i kropiąc kilkoma kroplami cytryny. Michał wtedy uwijał się przy grubo krojonych boczku rumieniących się na grillu i podlewał je obficie piwem. Jedli ze smakiem, oblizując ociekające tłuszczem palce i zagryzając pachnącą cebulą. Dla ulżenia swym wątrobowym następnego dnia na obiad fundowali sobie pyszny lekkostrawny chłodnik z tartych ogórków i rzodkwi zmieszanych z zimnym jogurtem. Do tego dodawali garść rzeżuchy, posiekany koperek, szczypiorek, ząbek czosnku, połówki gotowanych przepiórczych jaj i kilka polnych stokrotek zerwanych na łące za domem. Proporcje w tej zupie nie istniały, wrzucali do talerzy to, co akurat wyrosło wokół dworu, w nieokreślonych bliżej ilościach. Czasem tylko jedynie zastanawiali się, czego by tu jeszcze dodać – może soli ziołowej albo igiełkę jałowca.

Ordy natomiast żyły zupełnie inaczej. W Zaciszu ludzie uwijali się z robotą, jak tylko mogli. Właściciel wymagał perfekcji, ale też sówicie za nią wynagradzał. Takiego stałego, regularnego dopływu gotówki tutejsi fachowcy dawno nie widzieli. Oleg przysporzył im co prawda sporo kłopotu, bo zamawiał prawie wyłącznie luksusowe materiały, które były dla Nawrockiego i jego ludzi zupełnym novum, ale poradzili sobie całkiem sprawnie.

Pracy w Zaciszu było mnóstwo: murarka znajdowała się już na finiszu, za nią wchodziła stolarka i coraz więcej roboty miał Danił, a nad wykończeniówką myślał intensywnie Oleg. Co rusz podsuwał swe pomysły Nawrockiemu, któremu głowa wędnąć zaczynała na samą myśl o jakichś tynkach japońskich, trawertynach, glince weneckiej i stiukach akrylowych. „Nic to – pomyślał. – Pokazał, jak robić attyki ze sterczynami, okulusy i arkadowe pergole, to i powie, co to ten trawertyn. Zrobi się... Co ma się nie zrobić”.

Oleg wydawał pieniądze bez żadnych oporów. Skutkiem tego był rosnący w oczach, niemal od podstaw restaurowany dwór. Im bardziej było widać piękniejącą budowlę, tym więcej serca do niej nabierał nowy właściciel. Gdzieś z tyłu głowy świła mu myśl, że przeniesie się tu jednak na dłużej. Jeszcze nikomu głośno o tym nie mówił, ale powoli dojrzewał do takiej decyzji. Na razie oczyma wyobraźni widział siebie tutaj aż do momentu zdobycia Greta. Ten cel ani na chwilę nie zszedł na dalszy plan, przeciwnie, dopingował go do dalszego działania. Co robi, kiedy już ruda będzie jego, tego jeszcze nie wiedział. To się zobaczy.

Żeby nie myśleć o niej zbyt dużo, zajął się pracą fizyczną. Doprowadzało go do szaleństwa, że Greta nie zwróciła na niego prawie żadnej uwagi, ale nawet przez moment nie zwątpił w swoje zdolności uwodzenia. Jej obojętność tylko go zmotywowała do większej pracy. Rzucił się w wir robót, intensywnie przy tym obmyślając plan zdobycia swego celu.

Chodził po placu budowy w starych dżinsach i podkoszulku, początkowo płacząc się robotnikom pod nogami. Jednak po kilku godzinach złapał rytm i nie bojąc się trudów i zmęczenia, zajął się elektryką, trochę murarką, aż w końcu poprzestał na tynkach strukturalnych.

Mijały dni i tygodnie, roboty szły jak szalone, a ekipa pracowała jak tryby dobrze naoliwionej maszyny – robotnicy dotarli się ze sobą tak bardzo, że jeden drugiemu nie wchodził w paradę.

W Olegu zaszła jakaś zmiana. Nadal był silnym, dominującym i zadufanym w sobie typem, ale zauważył, że jedynym sposobem na dogadanie się z tutejszymi ludźmi jest choćby częściowe

zbratanie się z nimi. Ich prostota mierzyła go okrutnie i przełamać się było mu niezwykle trudno. Robotników przywiązał do siebie pieniędzmi, więc z nimi nie miał problemów żadnych, ale już z Daniłem czy z innymi sąsiadami nie mógł się dogadać za żadne skarby.

Rozmowy na temat Olega rozlegały się wszędzie: najczęściej pod sklepem, ale mówiono o nim też w domach, na polach, na jarmarku, a nawet w kościele. Michał także miał swój udział w tych ploteczkach. Ludzie składali do kupy, co kto wiedział, trochę dokładali własnych przemyśleń i fantazji i szła w wieś informacja o nowym panu w Ordach. Gadali o nim niemal bez przerwy, mimo że nic o nim nie wiedzieli.

Oleg uparcie milczał na swój temat. Ludzie wiedzieli jedynie, że jest Ukraińcem i architektem. Niczego więcej nie zdołali się dowiedzieć na sto procent. Przypuszczali, że to krętacz, mafioso lub biznesmen, a niektórzy byli skłonni sądzić, że zamieszkał u nich złodziej, morderca i hochsztapler. Nikt nie dałby wiary, że uczciwie dorobił się swego majątku. Początkowo bali się go i przewidywali jakąś szybką egzekucję. Uważali, że wcześniej czy później ktoś na pewno przejedzie przez Ordy z odbezpieczonym zamkiem kałasza i przeszyje wielkiego pana serią na pół. Czas jednak mijał, nikt nie zakłócał spokoju cichej wsi, emocje nieco opadły, pan z Ordów jakby trochę złagodniał i teraz mówiło się o nim już prawie tylko w kontekście jego męskiej urody. Czyli dokładniej: mężczyznom on już przebrzmiał, rozmawiały o nim prawie wyłącznie kobiety, co bardzo mile łechtało jego męską próżność. Szkoda tylko, że znikąd nie docierały do niego wieści, jakoby mówiła o nim Greta.

Któregoś lipcowego popołudnia Oleg odpoczywał w swoim parku przy aromatycznej kawie. Kilkanaście metrów dalej siedział na trawie Danił wsparty o pień ogromnego klonu jesionolistnego i dłubał swoim nożykiem w niewielkim kołeczku. Od czasu do czasu pociągał łyk kawy, po czym odstawiał kubek na ziemię. Oleg obserwował ukradkiem, jak chłopak z zapamiętaniem oddaje się struganiu. Jego płowa czupryna spadała mu na oczy, a on jakby ledwie to zauważał, zdmuchiwał ją na bok i pracował dalej. Tym razem nie strugał Chrystusów.

Od kilku dni niestrudzenie tworzył w grubych lipowych deskach płaskorzeźby miłosnych pozycji. Było to polecenie Olega, który zaplanował udekorować nimi wieniec okalający kominek. Miał to być cykl subtelnych rzeźbień pozycji z *Kamasutry* wklejony jeden przy drugim w belkę na ceglanym kominku. Oleg nie miał najmniejszego zamiaru prowokować. Wyraźnie zaznaczył Daniłowi, że prace te mają być wysmakowane, realistyczne i dyskretnie zasłaniające intymność ciał ludzkich czy to przez opadające pukle włosów, czy przez ugięte ramiona. Jego zamierzeniem było rozbudzanie fantazji patrzącego, a nie jego zgorszenie. Pomysł ten, jakże ekstrawagancki jak na polską wieś, spotkał się najpierw ze wzburzeniem Nawrockiego i jego ekipy, potem z dużym zainteresowaniem, a na koniec z dozą niecierpliwego oczekiwania na jego powstanie. Początkowo Danił nie okazał tylu emocji. Ani się nie zbulwersował, ani nie ucieszył. Po prostu spojrzął na pracodawcę i milczał.

– Co jest? – zniecierpliwiał się Oleg. – Nie rozumiesz?

Chłopak nadal wpatrywał się w niego bez słowa.

– Chcę, żebyś mi wystrugał kilkanaście pozycji seksu – uściślił polecenie Oleg. – Zostaw na chwilę te swoje świątki i zajmij się tym, co jest bardziej realne.

– Aha – mruknął tylko Danił.

– Wszystko jasne? – próbował upewnić się Oleg, bo miał wrażenie, że chłopak nie bardzo rozumie, o co mu chodzi. Nadal bowiem milczał, wpatrując się w rozmówcę. – Dobra – skapitulował Oleg. – Wyjaśnię ci to jeszcze raz. Słuchaj. Zrób mi kilkanaście płaskorzeźb, mniej więcej dwadzieścia na piętnaście centymetrów. Mężczyzna i kobieta – obserwował reakcję Daniła, który wydawał się uważnie słuchać. – Mają się kochać. Kopulować. Rozumiesz?

– Rozumiem. – To była jedyna reakcja.

Oleg kontynuował:

– Na każdym kawałku ma być inna pozycja. Ma rozpalać zmysły. Masz wyrzeźbić najzgrabniejszą kobietę, jaką w życiu widziałeś, i najbardziej męskiego faceta. Pozycje mają być tak wyrzeźbione, żeby od samego patrzenia chciało ci się kochać. Ma być subtelnie, a nie wulgarnie. Jasne?

– Jasne.

Danił obracał w dłoniach otrzymane kawałki lipy i dumając, przechadzał się na tyłach dworu. Wyglądał, jakby szukał natchnienia lub wydobywał z zakamarków pamięci obrazy upojnych nocy. Po godzinie stanął przed Olegiem, trzymając nienaruszoną deskę lipową.

– Jak tam? – spytał Oleg. – Będzie coś z tego?

– Nie – odparł rzeczowo Danił.

– Nie? – szczerze zdziwił się Oleg. – Dlaczego?

Danił myślał nad czymś i wreszcie się odezwał:

– Nie wiem, jak wygląda zgrabna kobieta.

Oleg zamarł z niedowierzania. Miał wrażenie, że patrzy właśnie na eksponat muzealny, na jakiegoś dinozaura.

– Rany – powiedział do siebie. – Najprawdziwszy prawiczek.

Słowa te nie zrobiły na rzeźbiarzu żadnego wrażenia – najwyraźniej nie miał na tym punkcie najmniejszych nawet kompleksów. Stał po prostu bez skrępowania przed Olegiem i czekał na jego dalsze dyspozycje.

– Jakżeś ty się, chłopie, uchwalał? – spytał, po czym nagle go olśniło: – A może ty jesteś pedzio?

Danił wzruszył jedynie ramionami.

Uważany przez wieś i całą okolicę za głupka, nie był godny uwagi tutejszych dziewcząt. A innych nie miał okazji w życiu widywać, bo ani on nigdzie stąd nie wyjeżdżał, ani panny tu nie przyjeżdżały. Szybko więc przestał myśleć o kobietach. W wieku młodzieńczym, kiedy hormony w nim buzowały, obudziła się jego świadomość własnego ciała oraz potrzeba realizacji pragnień i głęboko ukrytych instynktów samczych, ale szybko poskromił potrzeby swej męskości, uciekając w szeroko rozumianą twórczość ludową. To taki swoisty rodzaj kompensacji: z tego, w czym był niedoskonały i z czym nie mógł sobie poradzić, uczynił swoją wielkość. Całą swą fizyczność przekierował na sztukę i pozwolił jej uchodzić w formie rzeźb i muzyki. To była jedyna forma miłości jaką znał.

Głęboka wrażliwość zdawała się nie pasować do jego mocnego, męskiego ciała. Jednak, jak widać, natura potrafi bez problemu pomieścić w jednym organizmie dwie skrajności. I tak oto pięknie zbudowany mężczyzna był jednocześnie chłopcem nieznanym smaku miłości.

Dla Olega odkrycie tej prawdy było jednym z wielu zrywów w jego życiu popychających go do dodatkowych działań. Najpierw obudził się w nim pewien chochlik, który miał ochotę pokazać prawiczkowi najbardziej wyuzdany seks. Nieoczekiwanie jednak doszedł w nim do głosu mentor, a raczej mądrała, który zapragnął pochwalić się swymi doświadczeniami przed poleskim głupkiem. Potem zreflektował się i postanowił wcielić się w rolę dobrego nauczyciela i wytłumaczyć Daniłowi, na czym polega doznanie słodczy miłości. Na razie teoretycznie, na praktykę też się znajdzie sposób.

W tym celu wybrał się nawet do Lublina na kompleksowe zakupy. Nie było go cały dzień, a wieczorem wtargał do dworu laptopa, stopy płyt, *Kamasutrę* i kilka erotycznych gadżetów. Pół nocy przesiedział nad książką i powoli sącząc whisky, oddawał się marzeniom o dziewczynie z rudymi lokami. Skręciło go kilka razy dotkliwie w żołądku, a z gardła wyrwał się jęk, niemal skowyt. Ścisnął tylko mocniej szklankę i majak rozpląnął się w powietrzu, a on sam zasnął. Tej nocy długo niespokojnie przewracał się z boku na bok.

Następnego dnia wyczekał cierpliwie do końca prac i zagadnął Daniła, który wybierał się do domu na kolację:

– Zaczekaj, mam do ciebie sprawę.

Chłopak pokornie został, czekając na wyjaśnienia.

– To jak będzie z tymi rzeźbami? – spytał wprost Oleg.

– Nic nie będzie – odparł Danił. – Nie znam się na tym.

– Szkoda. Dobrze rzeźbisz. To by była bardzo ciekawa sztuka.

– Nie mogę ci pomóc – odparł Danił po swojemu, bez emocji.

– Chodź, coś ci pokażę – nie odpuszczał pan Zacisza.

Danił wszedł za nim do salonu, w którym nie było już wszechobecnego dotąd brudu, jedynie zapach cementu i farb. Nadal brakowało wielu rzeczy, ale dało się już tu spędzić czas w surowych co prawda, ale nie najgorszych warunkach.

Oleg przyniósł z auta duże pudło i ustawił je na podłodze przed Daniłem.

– Siadaj – rozkazał i obaj zajęli miejsca na prowizorycznych, skleconych z desek i tektury siedzeniach. Oleg podał Daniłowi książkę. – Masz.

Chłopak powoli sięgnął po ciężką księgę i przez chwilę wodził palcami po złożonych tłoczniach na grzbiecie. Otworzył ją gdzieś w połowie i jego oczom ukazały się duże, kolorowe zdjęcia pozycji miłosnych z dokładnymi opisami. Spoglądał teraz to na fotografie, to na Olega. Ten siedział dumny, z wielce zadowoloną miną. Danił poczuł się lekko skrępowany, co nie zdarzało mu się często.

– Po co mi to? – spytał głupio.

– Nie jesteś ciekawy?

Nie odpowiedział, tylko powoli zaczął przekładać kartki.

– Jak to jest? – spytał Oleg.

– Co? – nie zrozumiał Danił.

– Jak to jest nie znać smaku kobiety?

– A jak to jest znać ten smak? – odpowiedział pytaniem Danił.

Oleg zapadł w długą zadumę. Bezwiednie zmarszczył brwi i wpatrywał się w podłogę.

Wreszcie się odezwał:

– Kiedy jesteś w kobiecie, przechodzi cię dreszcz. Czujesz ją pod sobą i masz ochotę zamknąć ją w dłoniach i nigdy nie wypuścić. Stary, ona jest twoja, a rozkosz rozsadza ci lędźwie. Skronie pulsują aż do bólu, a ustami chcesz wyssać z niej ducha.

Oleg rozważnie dobierał słowa, by nie zepsuć pierwszej lekcji. Naprawdę bardzo się przyłożył do tego wywodu i w efekcie był z siebie dumny. Uważał, że perfekcyjnie wyszedł mu ten opis, ale Danił szybko wylał mu na głowę kubel zimnej wody:

– Nie chodzi mi o to, jak to jest mieć władzę nad kobietą. Pytam, jak to jest kochać?

Olegowi opadły ręce.

– Co?! – krzyknął wściekły. – To ja sobie tyle trudu zadaję, żeby dorosłego faceta uświadomić o naturalnych rzeczach, staram się, jak tylko mogę, być subtelnym, a ten mi tu wyjeżdża z jakimś kochaniem!

Rozwścieczony cisnął o ścianę płytami, które miał pod ręką. Gdyby nawinął mu się laptop, pewnie też by go roztrzaskał.

A Danił, jakby nic się nie stało, nadal siedział spokojnie, wpatrując się w Olega.

– Chyba, bracie, stoimy w tym samym punkcie – odezwał się zadowolony. – Ja nie wiem nic o miłości, ale widzę, że i ty nie masz o niej pojęcia.

O, uraził mocno ego Olega, aż ten zazgrzytał zębami, a w oczach pojawił mu się niebezpieczny błysk.

– No co się tak ciskasz, casanovo? – roześmiał się Danił.

Obaj piorunowali się spojrzeniami. Danił był bliski parsknięcia śmiechem, a Oleg rzucił się z pięściami na głupiego chłopaka.

– Wielki, bogaty pan – odezwał się w końcu Danił. – Do tego kupa mięśni i piękna facjata, to i nie dziwota, że wiele kobiet miał. Wiesz, co myślę?

– Gównu mnie to obchodzi – burknął obrażony Oleg.

– Jednak podzielę się z tobą swoją refleksją – uśmiechnął się Danił. – Wszystko piękne, to, co mówisz, ale mnie się widzi, że kochać kobietę to nie to samo, co kochać się z nią. Dla ciebie to może bez różnicy, ale ja ją dostrzegam. I myślę sobie, że nie wiesz jeszcze, czym jest miłość.

– Gadasz bez sensu – znów zaperzył się Oleg. – Ale artyści tak już mają: mało wiedzą, dużo czują.

– Nieważne... – Danił znów wpadł w swą małomówność i odeszła mu ochota na jakiegokolwiek dysputy.

Oleg jednak tak łatwo bronii nie składał. Skoro nie odniosła skutku lekcja pierwsza, czas

zatem na lekcję drugą. Trochę perwersji i śmiałych scen z pewnością podziała na zmysły romantycznego chłopca. Podniósł się ze swego siedziska i sięgnął po laptop. Pozbierał rozsypane płyty i odpalił jedną z nich.

– Widziałeś kiedyś pornola? – spytał.

– Widziałem – odparł lakonicznie Danił i nie wydawał się podniecony rozpoczynającym się filmem.

Okolo północy osiągnęli jako taki konsensus, to znaczy nie pobili się, ale też nie dali się przekonać do swoich racji. Ostatecznie stanęło na tym, że jeden pozostał twardzielem, znającym jedynie miłość fizyczną, a drugi prawiczkim wierzącym w porywy serca dwojga bratnich dusz. Wspólny maraton filmów pornograficznych przydał się jednak każdemu z nich. Oleg nieco się uspokoił i choć na parę godzin przestał myśleć o Grecie, a Danił jednak przyswoił sobie pewne sztuczki, pozycje, zagrywki i teksty – tak na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo, co i kiedy może nam się przydać.

Pili do rana. Przystudiowali w tym czasie wzdłuż i wszerz całą *Kamasutrę*, wnikliwie obejrzeni filmy i tuż przed wschodem słońca padli ze zmęczenia – Oleg przy drzwiach wejściowych, a Danił jak najdalej od niego, po przeciwnej stronie salonu.

Po tej szorstkiej nocy wstali, jakby ich jakaś siła potężna przetargła po ziemi przez wiele kilometrów – obaj byli jak połamani od niewygodnego spania i pękały im głowy. Poza tymi niedogodnościami zaistniały także okoliczności pozytywne: od tego momentu relacje między nimi nieco się zmieniły. Oleg przestał traktować Daniła jak głupka, a Danił dojrzał w Olegu nieszczęśliwego człowieka, wcale nie lepszego od siebie samego. Po prostu: dostrzegli w sobie nawzajem ludzi.

Tego dnia obaj leczyli kaca i nie było z nich żadnego pożytku, ale nazajutrz Danił chwycił śmiało za dłuto i z lipowej deski wyglądać zaczęły dwie ludzkie postacie splecione ze sobą w miłosnych uściskach.

Teraz Oleg spoglądał na Daniła tworzącego pod parkowym klonem w artystycznym uniesieniu. Obaj popijali kawę, choć z dala od siebie. Przelamali lody, ale o przyjaźni nie mogło być mowy. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Pokażesz?! – zawołał Oleg, nie wytrzymując z ciekawości.

Danił wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Nadal rzeźbił. Oleg podniósł się z ławki i podszedł do rzeźbiarza. Usiadł po jego prawej stronie i tak jak on oparł się o drzewo. Przechylił się w lewo, by dostrzec dzieło Daniła. Chłopak zapamiętałe rzeźbił kolejną tablicę. Spod jego dłuta wyszło dotąd kilka pozycji: bogini, motyl, amazonka i dzika orchidea. Teraz kończył właśnie pracę nad parą w wąskim korytarzu. Mężczyzna opierał się łopatkami o ścianę, a przed nim kusząco wypinała swe biodra kobieta. Wspierała się dłońmi o przeciwległą ścianę wąskiego korytarza, prawą nogę ugięła w kolanie i podniosła lekko do góry, stopę stawiając na jego wyprostowanej łydce.

Oleg przyglądał się dziełu z uwagą i nie mógł wyjść z podziwu nad talentem Daniła. Ten rzeźbiarz był jak niewidomy malarz albo głuchy śpiewak, a mimo to jego strugani kochankowie sprawiali wrażenie, jakby zaraz mieli się poruszyć w miłosnym uniesieniu. Danił doskonale uchwycił proporcje ludzkiego ciała i wyczuł granicę smaku. Nie przekroczył jej ani o milimetr. Rzeźba nie prowokowała golizną, choć dwa ciała były nagie. Uniesione kolano zasłaniało kobiece łono, a półdługie gęste włosy opadające na ramiona prawie w całości kryły krągły biust kochanki. Wszystkie dotychczas powstałe rzeźby były utrzymane w tym samym subtelnym tonie i wszystkie przedstawiały tę samą parę.

– Piękne – pochwalił Oleg. – Jak to się nazywa?

– Proca. – Danił najwyraźniej dokładnie przystudiował *Kamasutrę*.

Olegowi przyszedł właśnie do głowy pewien pomysł. Był on człowiekiem niezwykle kreatywnym, nigdy nie zasypiał gruszek w popiele i być może właśnie dlatego był dziś w takim, a nie innym punkcie życia i stać go było na tak wiele.

– Danił...

– No... – odezwał się leniwie chłopak.

- Co byś powiedział na mały eksperyment?
- Jaki? – z głosu Daniła nie dało się wyczytać zaciekawienia.
- Sprzedałeś kiedyś jakąś swoją pracę?
- Tak, tobie – zauważył Danił.
- Nie o tym mówię – uciał krótko Oleg.
- A o czym?
- No, tak w ogóle... Miałeś z tego jakieś pieniądze?
- Żadnych. Wszystko oddaję za darmo – zastanowił się przez moment i kontynuował: – Ale mam swoją galerię.
- Jak to? – nie zrozumiał Oleg.
- A przejdź się po całych Burzanach, policz, ile tam moich Chrystusów wisi...
- E, tam... – Oleg machnął ręką. – Ty to jednak głupi jesteś...
- Podobno...
- A możesz wystrugać jeszcze jedną taką procę? I dziką orchideę?
- Mogę. – Danił nie zamierzał wnikać, na co Olegowi dwie takie same rzeźby.
- To wystrugaj.

Na tym skończyli negocjacje. Oleg wyjął komórkę i nie ruszając się spod klonu, wybrał jakiś numer. Po chwili w słuchawce odezwał się kobiecy głos.

- Cześć, Irminko – zawołał. – Co tam u ciebie? Jak nasze sprawy?

Irina widocznie zdawała relację z interesów, bo trwało to dłuższą chwilę. Zdążyła także nawymyślać Olegowi, że jest wstrętnym polskim wieśniakiem.

– Słuchaj, kochana – przerwał jej. – Będę miał dla ciebie zadanie. Za parę dni przywiozę kilka małych cacek. Powiedz jubilerom, żeby przygotowali mi troszkę miejsca na wystawie, wstawimy tam coś ciekawego... Poczekaj cierpliwie, sama zobaczysz.

Nastąpiła chwila ciszy i Oleg znów się odezwał:

- Dużo by opowiadać. Przyjedź, to się przekonasz. Zapraszam... Dzięki ci, jesteś cudna.

Pozdrawiam.

- Twoja kobieta? – pozwolił sobie na pytanie Danił.

Oleg aż parsknął śmiechem na tę myśl.

- Irmina? Skądże znowu! Ona jest raczej jak matka.
- Taka stara?
- Nie, głupku – odparł Oleg. – Taka opiekuńcza.

Tym razem w głosie Olega nie było lekceważącego tonu. Od chwili wspólnego chłania i oglądania pornoli sposób, w jaki zwracał się do Daniła, uległ znaczącej zmianie. Teraz mówił tak, jakby zwracał się do młodszego brata, z pewną dozą czułości i drwiny, ale bez pogardy. Danił zresztą się o to nie obrażał. Zawsze był ponad to i właśnie w tym kryła się jego wielkość, której ludzie nie dostrzegali.

– Może będziesz miał okazję ją poznać – kontynuował Oleg. – Właśnie ją tu zaprosiłem, ale zarzeka się, że nigdy w tę dzicz nie przyjedzie. Zobaczymy...

Kilka dni później Oleg zapakował drewnianą *Kamasutrę* do hummera i ruszył do Lwowa. Wyjechał z Ordów i minął Burzany, gdy przyszło mu na myśl odwiedzić na chwilę miejsce, w którym spotkał Gretę po raz pierwszy. Zboczył nieznacznie z kursu i kilkanaście minut później był nad Bugiem, tam gdzie w kwietniu. Zaparkował w wysokiej trawie i wysiadł z auta. Odruchowo zaciągnął się świeżym powietrzem i uważnie rozejrzał wokół. Po prawej miał rzekę, na horyzoncie zaznaczał się las, a przed nim, jakieś kilkadziesiąt kroków, stała kobieta z rudą czupryną. Olegiem szarpnęła jakiś mocny spazm na ten widok i mimowolnie ruszył w jej kierunku. Kobieta stała do niego tyłem, więc nie mogła go widzieć.

Dzielący ich dystans kilkudziesięciu metrów pokonał z prędkością geparda. Był przy tym równie cichy, tak że kiedy podszedł do niej z tyłu i powiedział: „Cześć”, ona aż podskoczyła ze strachu.

- O Jezu! – krzyknęła.
- Wystarczy: Oleg – zażartował. – Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

Stała przed rozstawioną sztalugą, w lewej ręce trzymała niewielką paletę, a w prawej pędzel. Na jego widok lekko się uśmiechnęła i już spokojniejsza odpowiedziała:

- Cześć.
- A mówiłaś, że nie jesteś artystką – powiedział, wskazując na niedokończony obraz.
- Bo nie jestem – odparła. – Maluję dla przyjemności. Co tu robisz?
- Jadę do Lwowa i wstąpiłem tu na chwilę popatrzeć.
- Wracasz do siebie? – opacznie zrozumiała go Greta. – A co z Ordami?
- Jadę tylko na krótko, dopilnować interesów, i jutro wracam.

Oleg patrzył na Gretę, chłonąc widok bez opamiętania. Wprost nie mógł oderwać od niej oczu. W myślach odwoływał się do swojego rozsądku, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego tak go ciągnie do tej dziewczyny. Owszem, była atrakcyjna, nawet bardzo, ale poznał w życiu wiele atrakcyjnych kobiet. To jeszcze nie powód, by tak gwałtownie pożądać. Co ona ma w sobie takiego hipnotyzującego?

- Ładne – zagadnął głupio, wskazując na obraz.
- Dzięki – odpowiedziała lakonicznie.

Rozmowa rwała się i czas już najwyższy był się zbierać, a on nadal tkwił bez ruchu.

- Co u Daniła? – spróbowała ratować sytuację Greta.
- Ma nową pasję – ożywił się Oleg. – Zajrzyj do niego, zobaczysz.
- Może...
- No cóż, czas na mnie. Nie przeszkadzam ci dłużej. Do zobaczenia.
- Do zobaczenia – uśmiechnęła się Greta.

Oleg ruszył do samochodu. Miał przeogromną ochotę odwrócić się i jeszcze raz na nią spojrzeć, ale resztką sił powstrzymał się i dopiero przy aucie obejrzał się za siebie. Pracowała przy sztalugach, a wiatr delikatnie rozwiewał jej włosy. Z takim widokiem w pamięci ruszył Oleg do Lwowa.

Myślał o niej przez całą drogę. Chwilami wyobrażał sobie, jak jej dotyka i ją całuje. Była w tych wyobrazeniach delikatna i całkowicie mu oddana. Taką właśnie chciał ją mieć: absolutnie oddaną i tylko jego. Jego...

Kiedy dojechał do Lwowa, nie wstąpił do swojego mieszkania przy Kopernika, ale od razu pojechał na Nowy Świat, do Irminy. Mieszkała w rejonie frankowskim dopiero od roku – kupiła tu elegancką willę i przeniósła się do niej z Łyczakowa. Tam wynajmowała przytulne, ładne mieszkanko.

Czekała na Olega z obiadem. Kiedy wreszcie dotarł na miejsce, uściskała go radośnie i postawiła przed nim talerz piełmieni.

- Jedz – zachęcała. – Musisz być głodny po podróży. Co u ciebie?
- W porządku – odpowiedział, przetykając pieroga. – Przyjedź do mnie, to sama się przekonasz.

– E tam... – Machnęła ręką. – Na co ja tam?

– A choćby dla odpoczynku – odparł. – Dwór już coraz ładniejszy, tylko patrzeć, jak się będzie można wprowadzać. Miejsca jest dużo, okolica piękna i spokojna. Zapraszam.

– Eee... Ty byś lepiej do Lwowa wreszcie wrócił, swoją robotą się zajął. Janek właśnie siedzi w Polsce, gdzieś w dolnośląskim, znalazł dobre dojście do agatów pod Lwówkiem Śląskim. Robota pewna i czysta, nawet z glejtem. Taka okazja to skarb – paplała.

Oleg przysłuchiwał się uważnie, zadowolony, że będą mieli dobre legalne wydobywanie. Wyciągną z tego trochę kasy bez żadnego trudu.

– Ale z czym właściwie tu przyjechałeś? – spytała rzeczowo Irmina.

– Poczekaj. – Odłożył widelec i podszedł do walizki. – Spójrz na to. Co o tym myślisz?

Podał jej nieduży pakunek. Rozwinęła go delikatnie z bąbelkowej folii i z uwagą popatrzyła na drewnianych kochanków Daniła. Obejrzała ich z zaskakującą dokładnością. Na koniec przejechała palcem po bejcowanych wypukłościach ludzkich ciał.

– Ładne – powiedziała. – Subtelne i prawdziwe. Ale co chcesz z tym zrobić? Zamierzasz to sprzedać?

– Na pewno spróbuję. Chcę, żebyś wstawiła to do galerii. Niech chłopaki zajmą się sprzedażą.

– Myślisz, że będą chętni na takie scenki?

– Zobaczymy. Kto wie?

– Kto to wyrzeźbił?

– Taki jeden twórca ludowy z Polski.

– Musi być znawcą sztuki kochania – stwierdziła Irmina.

Oleg uśmiechnął się pod nosem.

– Jak do mnie przyjedziesz, to ci tego znawcę przedstawię. – Mrugnął do niej figlarnie.

Korzystając z tego, że był we Lwowie, dokładnie sprawdził wszystkie papiery i stan finansów, a także zajrzał do swojego maklera i zagrał agresywnie na giełdzie. Do pracowni jubilerskiej nie zaszedł, kwestię sprzedaży rzeźbionego miłosnego aktu pozostawił Irminie.

Ona jeszcze wiele razy podchodziła do rzeźby i się jej przyglądała, zanim zawiozła ją do galerii.



## Rozdział 10

Tymczasem w Ordach praca nadal szła w zawrotnym tempie. Danił rzeźbił jak oszalały, tak bardzo wciągnęły go te wszystkie techniki miłosne. Jego wiedza teoretyczna na ten temat na pewno już dawno prześcignęła umiejętności skromnego ludu Burzan i Ordów.

Następnego dnia po spotkaniu z Olegiem Greta, wiedzioną ciekawością, po południu zajrzała do Daniła. Znalazła go siedzącego w parku, pochylonego nad kolejną scenką.

– Hej! – zawołała z daleka.

Podniósł głowę znad roboty i uśmiechnął się szeroko.

– Hej! – odkrzyknął. – Chodź, coś ci pokażę.

Był tak zaaferowany swoją nową pasją, że nawet przez chwilę nie pomyślał, że być może jest ona nieprzyzwoita. Greta podeszła bliżej i spojrzała mu przez ramię. Jej oczom ukazało się dwoje ludzi ściśle splecionych w akcie miłosnym.

– Piękne – zachwyciła się zupełnie szczerze.

Na moment zapanowało milczenie. Greta ocknęła się z artystycznego porywu duszy, w który popadła przed chwilą i, by zatuszować zmieszanie, znów się odezwała:

– Ale skąd ci to przyszło do głowy?

– A... – zawahał się. – To nie z mojej głowy.

– Jak to? – nie rozumiała.

– Oleg mi pokazał.

Gretę aż zamurowało ze zdziwienia.

– Co ci pokazał? – odważyła się wreszcie zapytać.

– Książkę – najnormalniej w świecie odparł Danił.

Greta chyba wreszcie rozumiała, o co chodzi chłopakowi. Zadziwiające, jak bardzo doszukujemy się podtekstów tam, gdzie ich zupełnie nie ma. Jesteśmy jak śledczy na dyżurze – ciągle coś wężymy i przetwarzamy wedle własnego umysłu. Nie potrafimy zrozumieć, że nie wszędzie czai się drugie dno.

– Co cię tak bawi? – spytał Danił, widząc zadowolenie Grety.

– Twoja szczerość i normalność.

Danił nie nadażał za tokiem jej rozumowania. Próbował zrozumieć, o co jej chodzi, ale już po chwili dał sobie spokój i powiedział jedynie:

– Przecież ja głupi jestem.

– Nigdy nie wierz ludziom – odparła Greta i poklepała go serdecznie po ramieniu. – Po co ci ta *Kamasutra*?

– To dla Olega.

– A jemu po co? – drążyła.

– Chodź, coś zobaczysz. – Danił zniecierpliwiał się trochę tymi pytaniami i nie mając już ochoty niczego wyjaśniać, wziął Gretę za rękę i pociągnął w stronę dworu.

Wprowadził ją do salonu, gdzie ściany zostały pokryte gładzią, położono podłogę i wymurowano kominek naprzeciw wejścia. Tuż obok, w kartonowym pudle, leżały gotowe już płaskorzeźby. Danił wyjął dwie i podał Grecie. Dziewczyna z zaciekawieniem oglądała te dzieła, a on wyciągnął kolejne i przyłożył do belki kominka.

– Przyłóż tutaj – poprosił.

Wyciągnęła dłonie i dołożyła dwie płaskorzeźby do tych, które trzymał Danił.

– Widzisz? – Spojrzał na nią. – Będą tak wmurowane dookoła całego kominka.

Podziwiała w milczeniu, z zachwytem w oczach, aż w końcu z jej piersi wydobył się szept:

Wiedzą ciała, do kogo należą,

Gdy po ciemku obok siebie leżą!

Warga – wardze, a dłoń dłoni sprzyja –

Noc nad nimi niechętnie przemija.

Pod dwór zajechał tymczasem Oleg. Wśród hałasu trwających robót nikt nie usłyszał jego auta, tylko robotnicy pracujący na zewnątrz dojrzeliby nadjeżdżającego hummera.

– Czołem, pracy – odezwał się, wysiadając z samochodu. – Jak idzie?

– W porządku – zrelacjonował Nawrocki z ołówkiem w zębach.

Oleg natychmiast wpadł do środka, żeby rzucić okiem na stan robót. Od razu spostrzegł Daniła i Gretę, odwróconych do niego plecami i przyglądających się rzeźbom przy kominku. Usłyszał szeptane przez Gretę słowa: „warga – wardze, a dłoń dłoni sprzyja – noc nad nimi niechętnie przemija”. Przystanął cichutko przy drzwiach i zamarł w bezruchu, by nie spłoszyć pięknej chwili.

– Podoba ci się? – spytał Danił, pokazując na ciąg rzeźb.

– Bardzo – to było jedyne, co Greta mogła odpowiedzieć. – Ile ich będzie?

– Zobaczymy. Może z piętnaście.

– I na każdej będzie inna pozycja?

– Tak.

– Dziwny pomysł...

– Dlaczego? – zdumiał się Danił.

Greta zignorowała pytanie i nadal wnikliwie przyglądając się rzeźbom, rzekła:

– Po co Olegowi to w salonie?

– Nie wiem. Nie pytałem.

– Dla ozdoby – włączył się do rozmowy Oleg. – Poza tym wielki talent warto eksponować.

Oboje gwałtownie się odwrócili. Właściciel Zacisza stał oparty o framugę i nie krył zadowolenia na widok Grety.

– Cześć – odezwał się wesoło. – Widzę, że ciekawość zwyciężyła.

– Słucham? – nie zrozumiała Greta.

– Przyszłaś obejrzeć nowe dzieła Daniła – wyjaśnił Oleg.

– A, tak, rzeczywiście – odparła. – Ale już wychodzę. Wpadłam tylko na chwilę. Bardzo ciekawy pomysł z tym kominkiem.

– Nie uciekaj – Oleg próbował ją zatrzymać. – Może zostaniesz na kawę? – A dostrzegłszy niezadowolenie czy grymas na jej twarzy, szybko dodał: – Danił, napijmy się kawy.

Chłopak wzruszył ramionami i poczłapał gdzieś poza salon przygotować wrzątek.

Zostali z Gretą sami, a ona poczuła, że gdyby teraz wyszła, byłoby to niegrzeczne.

Rozejrzała się dookoła, szukając tematu do podjęcia rozmowy, ale na szczęście z pomocą przyszedł jej Nawrocki. Przyczłapał do salonu po zagubioną tu gdzieś wiertarkę i już chciał wyjść, gdy tylko ją znalazł, lecz Oleg zatrzymał go pytaniem:

– Nawrocki, nie potrzebujecie robotnika do pomocy?

Szef budowy przystanął i podrapał się w głowę, nieznacznie unosząc kaszkiet.

– A bo ja wiem... Roboty jeszcze dużo. Przydałby się kto może... Ale tutaj już nikogo robotnego nie znajdzie... – Machnął ręką i uznawszy temat za skończony, zamierzał wyjść. Na koniec, zreflektowawszy się, że Oleg ma coś do zaoferowania, spytał jeszcze: – A bo co?

– Przed chwilą w sklepie zagadnęła mnie jakaś kobieta i prosiła o robotę dla syna. Mówi, że on silny, pracowity i zdrowy.

Nawrocki wykazał odrobinę zainteresowania.

– Tak? A kto ona?

– Nowik... czy Nowak – zastanowił się Oleg.

Nawrocki się ożywił:

– A, jak tak, to nie. Nie potrzebuję.

– Dlaczego? – spytał Oleg. – Kłamała? To jakiś obibok?

– Nie. Prawdę powiedziała. Młody Nowak jest bardzo robotny, ale wisi nad nim klątwa.

– Co?

– Mówię przecież – zniecierpliwził się Nawrocki. – Przeklęty jest, nieszczęście na was tylko sprowadzić może.

– Co wy za bzdury, Nawrocki, powtarzacie jak przekupa?

– Mówię, jak jest – zaperzył się chłop. – To fakty są. On ma w życiu tylko pecha. Co mu się coś dobrze zacznie, to zaraz jaki grom w niego walnie i diabli biorą wszystkie jego plany.

Nawrocki zamilkł na moment i jakby dla udowodnienia tego, co mówi, postanowił swe słowa poprzeć argumentem:

– Panie, on nawet jak w środku tłumy stanie, to ptaszek z góry i tak na niego właśnie trafi i obesra całego. W samiusieńki środek trafi i Nowaka znajdzie.

Oleg spoglądał to na Nawrockiego, to na Gretę. Z początku myślał, że chłop sobie z niego żarty stroi i zwyczajnie kit mu wciska, ale w miarę opowiadania wyczuł, że Nawrocki mówi zupełnie poważnie.

– Ja się klątw nie boję – odezwał się wreszcie po chwili. – Jak jest pracowity, to go bierzcie do zespołu. Na moją odpowiedzialność.

– Jak pan każe – odparł Nawrocki i ruszył do wyjścia, jednak po chwili przystanął. – Ale ja w takim razie rezygnuję. To jak? Jutro już będzie Nowak? Bo nie wiem, czy mam swoje graty dziś zbierać?

– A niech cię szlag! – zaklął Oleg i machnął ręką.

Za bardzo cenił fachowość Nawrockiego, by go tak łatwo stracić. Widział, że to nie przelewki i że tamten naprawdę gotów jest odejść, więc skapitulował.

– Rób jak chcesz! – zawołał za Nawrockim.

– No – odparł chłop już z zewnątrz. – Znaczy się: zostaję.

Danił przyniósł w tym czasie parującą aromatyczną kawę.

– Może pójdziemy do sadu? – zaproponował.

– Tak, chodźmy. – Oleg ocknął się z zadumy po rozmowie z Nawrockim i gestem wskazał przejście na tyły domu, do ogrodu, sadu i parku.

Usadowili się w cieniu starych grusz, na równie starej ławce. Oleg usiadł naprzeciw Greta i Daniła, na trawie, by móc cały czas spoglądać na dziewczynę. Danił zerwał się z ławki, chcąc ustąpić mu miejsca, ale Oleg zaprotestował:

– Siedź, tak jest dobrze.

Leniwie popijali kawę. W końcu gospodarz przerwał ciszę:

– Co za ciemny naród – powiedział w nawiązaniu do słów Nawrockiego.

– Nowak naprawdę jest pechowcem – potwierdził Danił.

– Być może. Ale to jeszcze nie powód, by wierzyć w klątwę.

Greta, chcąc w nieco lepszym świetle przedstawić tutejszych ludzi, odezwała się:

– A pamiętasz, Danił, jak Nowaka zgarnęło CBS?

Oboje się roześmieli na to wspomnienie.

Oleg nastawił uszu. Całe swoje dorosłe życie udawało mu się unikać problemów i nie wplątał się dotąd w żadne sprawy karne, choć biznes, w którym pracował, do łatwych nie należał. Ledwie teraz usłyszał o biurze śledczym, a już postanowił z daleka omijać Nowaka.

– No – śmiał się nadal Danił. – Jaja były...

– Macie tu kryminalistę? – spytał Oleg niby żartem, chcąc jednak dowiedzieć się jak najwięcej.

– No co ty – zaprotestował Danił i nic więcej nie miał zamiaru dodawać, ale Greta uzupełniła jego myśli:

– To stara historia, właściwie już anegdota. Parę lat temu Nowak znalazł sobie pracę w zakładzie fotograficznym w Białymstoku. Dobrze mu się pracowało i już zaczął się cieszyć, że pech od niego odszedł, aż tu nagle któregoś razu zasnął i spóźnił się do pracy. Wpadł zdyszany do zakładu, a tam tłum agentów CBS go wita. Przerażony Nowak zaczął się tłumaczyć: „Panowie, ja przecież tylko dwadzieścia minut się spóźniłem...” – Greta z Daniłem znów się roześmieli, a Oleg nie mógł za nimi nadążyć i tylko coraz szerzej wytrzeszczał oczy.

– Co za kraj – powiedział nieco głupkowato. – Żeby ścigać za spóźnienie?

– Nie – zaprzeczyła Greta. – Tu nie chodziło o Nowaka. Właściciel tego zakładu miał na twardych dyskach jakąś pornografię i z rana zrobili mu nalot.

Teraz i Oleg wreszcie zrozumiał i zaczął się śmiać.

– No i jak tu nie wierzyć w klątwę? – zakończyła Greta, puszczając przy tym oko do Daniła.

Zbliżał się wieczór, powietrze było parne, wiatr ustał zupełnie, na drzewach nie drgnął ani jeden listek. Ciszę przerywało jedynie od czasu do czasu brzęczenie pszczoł i skrzekliwy głos sroki ukrytej gdzieś w gałęziach śliwy. Niebo było jeszcze dość jasne, ale uważny obserwator wyczuć mógł nadciągającą burzę. Coś wisiało w tej parnej, gęstej lipcowej aurze.

– Zbieram się do domu – zawyrokował Danił. – Będzie padać.

Spojrzeni w niebo, ale nie skomentowali tej prognozy.

Chłopak powoli wstał z ławki, zebrał kubki po kawie i dzwoniąc nimi, poczłapał do dworu.

– Pięknie tu – powiedziała, przeciągając się, Greta. – Aż nie chce się stąd iść.

Oleg tylko na to czekał.

– Zostań. Będzie mi bardzo miło.

– Podobno idzie burza – odparła Greta. – Powinam już wracać.

– E tam. Nie ma ani jednej chmurki. Posiedź chwilę ze mną.

Nie trzeba jej było długo namawiać na błogie leniuchowanie. Położywszy łokcie na oparciu ławki, odchyliła do tyłu głowę, a stopy wyciągnęła przed siebie. Przymknęła oczy i wciągnęła w nozdrza gorące powietrze. Piersi uniosły jej się przy tym do góry, a brzuch opadł głębiej. Oleg wciąż siedział na trawie, tuż przed nią, i przyglądał jej się zachłannie. Otworzyła oczy, a on w tej samej sekundzie odwrócił wzrok, by jej nie spłoszyć.

Spojrzała na niego.

– Szybko wróciłeś z tego Lwowa.

– Uhm... – mruknął zaledwie, włożywszy w usta źdźbło trawy. – To tylko kilkaset kilometrów.

– Jesteś ze Lwowa?

– Nie – odpowiedział zdawkowo.

– A skąd? – Greta nie odpuszczała, ale dopóki nie zadawała pytań zbyt osobistych, Oleg był w stanie cierpliwie jej odpowiadać.

– Z Jałty.

– O mój Boże! – zawołała z niedowierzaniem. – Z pięknego Krymu na zadupie w Polsce...

– No, niezupełnie – roześmiał się.

– To ty jesteś Tatar krymski i masz swoją ordę w Ordach – zauważyła Greta.

– Tak – uśmiechnął się na tę myśl Oleg. – I biorę w jasyr.

– Skąd znasz tak dobrze polski? – zmieniła temat, ignorując ten jasyr, choć on skojarzył to niemal dosłownie z jej osobą.

– Mam przyjaciela Polaka.

– To chyba musieliście razem dużo czasu spędzać? Mówisz rewelacyjnie.

– Pracujemy razem.

– Czym się zajmujesz? – Greta skorzystała z okazji, że Oleg wspomniał o pracy.

– Mam we Lwowie pracownię jubilerską – powiedział zgodnie z prawdą.

– A ten przyjaciel jest jubilerem... – domyśliła się Greta.

– Nie – odparł. – Jan jest prawnikiem.

– Nie rozumiem – orzekła z uśmiechem, po czym dodała zaczepnie: – Coś kombinujesz.

„Żebyś wiedziała” – pomyślał, zaś powiedział:

– Teraz twoja kolej.

– Na co?

– Opowiedz mi coś o sobie – zachęcił.

– Nie ma o czym – odparła po namyśle.

– Jesteś stąd? – spytał, mimo że wiedział o niej już dość dużo. Jego wywiad w osobie Irminy naprawdę spisał się na medal.

– Właściwie to tak – powiedziała. – Tu się wychowałam, u wuja. Jestem teraz na urlopie, nie robię nic pożytecznego i zawracam ci tylko głowę – dodała radośnie.

– Bardzo mnie to cieszy – odparł całkiem szczerze, choć słowom nadał żartobliwego tonu. – Jestem tu kompletnie samotny. Ludzie wciąż o mnie plotkują, a ja ich zupełnie nie znam. Nawet nie mam tu z kim pogadać. No, może z wyjątkiem Daniła.

Greta chętnie zeszła na temat przyjaciela.

– Bardzo jestem zadowolona, że u ciebie pracuje. Wreszcie ktoś dał mu szansę. To świetny chłopak, nie wierz w to, co o nim mówią.

– Że jest głupi? – nie owijał w bawełnę Oleg.

– Właśnie – odpowiedziała smutno. – Jest inny, ale nie nazwałabym tego głupotą. Jest dość naiwny... I infantylny...

– Zrozumiałem aluzję – zaśmiał się Oleg. – Możesz być spokojna, nie muszę go wykorzystywać. Uczciwie zapłacę za jego pracę.

– Przepraszam – zawstydziała się Greta. – Chodziło mi tylko o to, że ludzie go po prostu nie traktują poważnie. Nie mówię, że ty...

– Nie ma sprawy – odparł niezrażony. – Właściwie to ja też niezbyt poważnie go traktuję. I może też trochę wykorzystuję... Widziałas, jakie cudeńka dla mnie struga.

– Ale dla innych strugał za darmo. Te parę groszy na pewno dużo dla niego znaczy.

„No, nie takie to znowu grosze...” – pomyślał Oleg.

Greta nie miała pojęcia, jakie pieniądze wypłaca Oleg swoim pracownikom. A rzeczywistość nie były to małe sumy. Wszyscy, którzy dla niego tu pracowali, sądzili, że złapali Pana Boga za nogi.

– Jak udał się obraz? – Oleg próbował zmienić temat, nawiązując do wczorajszego spotkania nad Bugiem.

– Na miarę możliwości twórcy – odparła z uśmiechem. – Jeszcze go nie skończyłam.

– A będę mógł go od ciebie kupić?

– No co ty? – nie dowierzała Greta. – Chcesz go w ciemno?

– Nie do końca – odpowiedział. – Przecież trochę go już widziałem.

– Nie musisz się nade mną litować. Nie maluję na sprzedaż – odrzekła nieco zaczepnie. – Ale jak chcesz, to mogę ci go sprezentować. Na nowe mieszkanie.

– Będę zaszczycony. Czekam z niecierpliwością.

Tak sobie rozmawiali niezobowiązująco, chcąc, jedno o drugim, jak najwięcej się dowiedzieć, ale dość słabo im to szło, więc wciąż prawie nic o sobie nie wiedzieli.

Na horyzoncie błękit nieba zaczął zanikać, przechodził powoli w szarość i dzień miał się ku wieczorowi. Gdzieś w dali uważne ucho mogło usłyszeć jakiś głuchy huk wróżący zmianę pogody. Te pierwsze, dalekie jeszcze grzmoty sygnalizowały nadciągającą nawałnicę.

Ani Oleg, ani Greta na razie nie zwrócili uwagi na zmieniające się niebo.

On wciąż siedział na trawie. W prawej dłoni cały czas obracał żdźbło, a lewą się podpierał. Położył ją tak, że Greta miała doskonały widok na sygnet z czarną drużą, który widziała już w kwietniu. Jego dłonie były duże, zgrabne i zadbane, chociaż widać na nich było otarcia powstałe na skutek prac przy remoncie.

– Twoja robota? – Greta wskazała na sygnet.

– Tak – odparł z pewną dumą.

Wciąż nie mógł się wyzbyć cech tego zadufanego gburą, którego hołubił w sobie od lat. Kiedy tylko mógł, lubił się dowartościowywać, najlepiej kosztem innych. Zauważył jednak, że tutaj daleko na tym nie zajędzie, i hamował się, jak tylko mógł, ale siła przyzwyczajenia była wielka.

– Mogę się przyjrzeć? – spytała zaciekawiona.

Oleg zsunął sygnet z palca i na otwartej dłoni podał go Grecie. Biorąc od niego pierścień, musnęła delikatnie opuszkami palców jego rękę, a po jego ciele natychmiast rozszedł się ciepły dreszcz pożądania. Pachniała zniewalająco jakąś kwiatową nutą. Kiedy nachyliła się po sygnet, wokół rozplynęła się woń frezji. Jego zmysły oszalały, ledwie się powstrzymywał, by jej nie chwycić za nadgarstki i nie przyciągnąć do siebie.

Ona z kolei była ostoją spokoju. Przeczynała, że mu się podoba, ale to jedynie mile polechtało jej kobiecą próżność, nic poza tym. Owszem, uważała Olega za przystojnego

mężczyznę, jednak nie w głowie jej były amory ani nawet mały flirt.

Uniosła sygnet i obejrzała go pod słońce. Promienie przeszły przez kamień i pięknie się w nim załamały, wydobywając z niego całą urodę. Niewielki czarny agat zakuty był w srebrną oprawę.

– Cudowny – powiedziała Greta. – I niebarwiony.

– Racja – odparł zdziwiony, że ten piękny rudzielec wie coś o kamieniach. – Znasz się na minerałach?

– Troszeczkę – odpowiedziała skromnie. – Uwielbiam kamienie, nie mogę się im oprzeć. Właściwie nie wiem dlaczego. Ten jest piękny... Ciekawe, skąd pochodzi.

– Z Brazylii – odpowiedział Oleg. – Znalazłem go na południu kraju, pod Rio Grande.

Greta nadstawiła ucha. Oto, co było w stanie zrobić na niej ogromne wrażenie: minerały.

– Jak to: znalazłeś?

– Normalnie – odparł. – Trochę się tym zajmuję. Lubię sobie czasem pokopać w skałach.

– Zazdroszczę – szepnęła, po czym zakwiliła jak mała rozkapryszona dziewczynka: – Ja też tak chcę.

Teraz wyraźniej już dotarł do nich kolejny grzmot. Niebo ciemniało coraz bardziej i groźnie huczało.

– O cholera! – zawołała Greta. – Będzie padać, a ja przyszedłam tu pieszo.

– Spokojnie – w Olegu obudził się dżentelmen. – Odwiozę cię. Wskakuj do auta.

Właśnie zerwał się silny wiatr i zaczął szybko gnać chmury po niebie. Greta z Olegiem pobiegli przed dom, gdzie stał zaparkowany hummer. Pierwsze krople burzowego deszczu spadły im na plecy, kiedy wsiadali do auta. Chwilę później strugi wody, dudniąc po karoserii, lały się po szybach i ograniczały pole widzenia. Niebo pociemniało straszliwie i tylko raz po raz rozdzierał je błysk strzępiastych błyskawic, rozświetlając twarze podróżujących. Droga z Zacisza do dworu w Burzanach nie była długa, zaledwie kilka kilometrów. W sprzyjających warunkach można ją było pokonać autem błyskawicznie, ale teraz Oleg prowadził bardzo ostrożnie, by w tej nawałnicy nie pomylić rozjazdów.

Przemknęło mu przez myśl, by zatrzymać się pod byle pretekstem i być może po prostu rzucić się zwierzęco na Gretę. Przy takiej pogodzie zatrzymanie jej w aucie nie powinno być trudne. A potem... Potem się zobaczy...

Stłamsił jednak te myśli resztkami silnej woli, zacisnął wargi. Trzewia palił mu wewnętrzny żar pożądania. Żar, jakiego dawno już nie nosił w sobie, a który rządził nim i panował nad nim niczym treser nad cyrkowym zwierzęciem. Potrząsnął gwałtownie głową, chcąc odepchnąć od siebie tę siłę, z którą nie dawał sobie rady.

Gromy wciąż padały na rozżarzoną za dnia ziemię i studziły ją strumieniami ożywczej wody. Ileż by dał za to, by taki deszcz ukojenia spłynął i na niego...

Greta była dużo spokojniejsza. Obserwowała z lekkim zaledwie niepokojem ulewę i błyskawice, czując się bezpiecznie w towarzystwie Olega.

Po niecałym kwadransie zajechali pod dwór Michała. Oleg zatrzymał auto, zgasił silnik, po czym spojrział na Gretę. W tym momencie kolejna błyskawica rozświetliła niebo i dojrzał błysk w oku dziewczyny, a także pomarańczową aureolę włosów wokół jej twarzy. Przymknął oczy, by na dłużej zachować w pamięci ten widok.

– Dziękuję – rzekła Greta.

Oleg ocknął się z zadumy i wyskoczył z auta, by otworzyć dziewczynie drzwi i odprowadzić ją pod sam próg domu. Na nic więcej nawet nie liczył. Te dwie, trzy sekundy wystarczyły, by przemógł do suchej nitki. Nie miał ani parasola, ani nic suchego, co mógłby podarować Grecie, by osłonić ją od deszczu. Otworzył więc przed nią drzwi i po prostu podał jej dłoń, by się na niej wsparła, wysiadając z auta. Przyjęła ją i tak się spieszyła do domu, że nawet nie spostrzegła, że Oleg kurczowo ścisnął jej rękę, gdy podchodzili pod werandę. Dopiero tam oswobodziła się z nieco zbyt ciasnego uścisku i z rozbrajającym uśmiechem powiedziała:

– Jeszcze raz dziękuję.

Oleg zauważył, że jej naturalnie kręcone włosy pod wpływem wilgoci przybrały kształt

pięknych sprężynek, a niektóre z nich lepiły się do jej czoła i policzków. Również jej ubranie w całości przylgnęło do ciała tak, że mógł bezwstydnie obserwować jej uda i rysujące się pod koszulką piersi. Machinalnie podniósł rękę i mokrymi palcami przesunął po jej twarzy, odsuwając niesforne loki. Dotknął przy tym płatka jej ucha, ale w tym momencie wyczuł, że jej ciało sztywnieje, jakby w strachu, i szybko cofnął dłoń.

– Jedź już – poprosiła. Chciała powiedzieć cokolwiek, byle tylko pokryć słowami skrępowanie.

– Kiedy się znów zobaczymy? – spytał z nadzieją.

– A mogę do ciebie czasem wpadać? – zapytała już śmieiej, bez zakłopotania.

– Będę zaszczycony – odpowiedział jedynie i zaczął się wycofywać. – Do zobaczenia.

Greta tylko się uśmiechnęła i szybko zniknęła za drzwiami. Ziemię znów obiegł trzask gromu. Oleg po chwili wskoczył szybko do auta i odjechał z powrotem do Ordów. Było dopiero koło dwudziestej, ale ciemność, która zapadła nad Polesiem, sprawiała wrażenie, że nastąpiła już noc.

Wyjechawszy z lipowej alei, Oleg sięgnął drżącą dłonią po papierosa. Włożył go do ust, ale miał tak nieskoordynowane ruchy, że nie był w stanie go zapalić.

– Cholera jasna! – warknął sam do siebie, jakby to miało mu pomóc w zapaleniu papierosa.

Zaciągnął się głęboko, z wielką ulgą. Uchylił lekko szybę i do auta wdarł się szum wody i trzask grzmotów, a krople deszczu spadały mu na lewy policzek. Drogę do swojego Zacisza pokonał znacznie szybciej niż do Burzan. Deszcz nadal ulewnie padał, ale zmniejszyła się częstotliwość błysków, wiatr osłabł, temperatura powietrza wzrastała i należało się spodziewać rychłego końca burzy. Nie dojechał pod samo wejście do domu. Zaparkował auto nieopodal źródła, przy którym pochylała się wierzba i gdzie mieszkał bóbr. Wysiadł z samochodu, nie zważając na padający wciąż deszcz. Trzymał w ustach kolejnego papierosa, który żarzył się mocniej przy każdym zaciągnięciu. Stanął przy masce i ociężale się o nią oparł. Zaciągnął się znów, raz i drugi, po czym woda zmoczyła resztki papierosa i żar zaczął zanikać, aż ustał zupełnie. Oleg nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Wciąż trzymał papierosa w ustach, tyle tylko, że już nie próbował się zaciągać. Woda spływała mu strużkami po całym ciele, opadając kroplami z rzęs, nosa i brody. W blasku błyskawic wyglądał, jakby go obsypano maleńkimi kryształkami.

Z tego odrętwienia wyrwał go chrzęst czyichś kroków i łamanych gałęzi. Odwrócił się gwałtownie i w blasku kolejnej błyskawicy dostrzegł małą postać kobiecą, w za dużym płaszczu gumowym, w wysokich kaloszach, z koszem wiklinowym trzymanym na ugiętym łokciu.

– A tyś co za jedna?! – zawołał ze strachem.

Kobieta bez lęku patrzyła mu w oczy, a jego pytanie zbyła lekkim wzruszeniem ramion.

– No i jak? Nie dała woda ukojenia? – odezwała się wreszcie.

Strzelił złowieszczo wzrokiem w jej stronę, ale kobieta ani drgnęła.

– A tyś kto?! – powtórzył ze złością.

– Helena – odparła tak po prostu.

– Czego tu szukasz? – jego ton stawał się coraz bardziej szorstki. – Łazisz po moim terenie!

– Bo tu rośnie najlepsze jaskólcze ziele. – Dla Heleny była to oczywistość, nie miała zamiaru się kajać za wtargnięcie na cudzą posesję.

Ruszyła z miejsca, ale nagle przystanąła. Jej twarz znajdowała się teraz tuż przed twarzą Olega.

– Co? – spytała jeszcze na odchodne. – Palą cię lędźwie i rozum spokoju zaznać nie może?

Spojrzał na nią złowrogo, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

Deszcz ustawał, grzmoty były już ledwo słyszalne, jedynie błyskawice cięły jeszcze połąć nieboskłonu.

– W połowie drogi od rozumu do fallusa jest serce – odezwała się kobieta, wyciągając palec przed siebie i wskazując okolice mostka Olega. – I to jego powinieś posłuchać. Tylko ono może dać ci spokój. Na razie to ty głupi jesteś, oj, głupi...

Oleg ani trochę nie zgadzał się z babą. Rozwścieczyła go tylko tym swoim gadaniem, tak że krzyknął z furią:

– Poszła mi stąd!

Helena uśmiechnęła się ironicznie, wzruszyła ramionami i ruszyła przed siebie, do domu.

Oleg stał bez ruchu. Opętańcze myśli o Grecie zeszły na moment na plan dalszy. W tej chwili jego umysł zaprzątnięty był tą dziwną babą, która teraz, kołysząc się, oddalała się od niego.

Bardzo dziwny jest ten kawałek świata. Takie zadupie, którym rządzą ciemnota i lenistwo, a miał wrażenie, że lepiej go tu przejrzeni niż niejeden wielki pan na tej ziemi. Tylu ludzi w życiu spotkał, tyle przeżył, tyle widział, a nikt nigdy nawet nie zasugerował mu tego, co w ostatnich dniach dwie osoby powiedziały mu prosto w twarz. Głupi Danił naprawdę mógł być głupi, to i nie trzeba było zwracać uwagi na to, co plecie trzy po trzy. A ta cała Helena? Też niespełna rozumu? Może. Co im się roi w tych małych ograniczonych rozumkach? A skąd u nich tyle odwagi do nazywania go głupim i niedobrym? Co oni mogą o nim wiedzieć, że tak łatwo go oceniają? Przecież z takim trudem budował przez lata swoje imperium, jest wykształcony, zna języki, zwiedził kawał świata, zna wielu znaczących ludzi. Gdzie w tym wszystkim jest miejsce, by nazywać go głupcem? A jeśli tak go tu postrzegają, to czy kiedykolwiek zechcą uznać go za swego? I czy on w ogóle tego chce...? Czy mu na tym zależy? Czy warto pchać się tam, gdzie go nie chcą? Rozmyślając w ten sposób, doszedł do wniosku, że choćby nie wiadomo jak piękna była kobieta, z pewnością nie warto dla niej zmieniać całego swego życia, z którego przecież tak bardzo był dotąd zadowolony. Głupotą byłoby zaniedbać to wszystko, czego dorabiał się latami, dla kogoś, kogo tak słabo się zna.

Tak myśląc, począł przemoknięty do domu.

Stanął na środku salonu i z ogromną siłą szarpnął guziki swej koszuli. Przemoczony materiał przylgął do ciała i utrudniał ruchy. Poza tym Olegowi zaczął doskwierać chłód. Spojrzał w kierunku prowizorycznego łóżka, na którym leżały rzucone w nieładzie, ale suche spodnie. Szarpnął znów za poły koszuli i tym razem dała się już poskromić – guziki z hałasem posypały się na podłogę, a Oleg zdjął ją zdecydowanym ruchem. Cisnął ją w kąt i teraz z jeszcze większym zacięciem zaczął rozpinąć spodnie, które też z trudem dawały się zdjąć, bo całkiem przylgnęły do ud. Im dłużej trwała ta szarpanina, w tym większą złość popadał. Dla przypadkowego widza mogłoby to wyglądać na nerwy spowodowane niemocą zapanowania nad strzępkami mokrego materiału. Była to jednak wściekłość preradzająca się we frustrację, na którą składały się czynniki bardziej złożone niż chęć zmiany ubrania. Oleg nie rozumiał, dlaczego nagle ludzie zaczynają zadawać mu pytania, a co gorsza – pozwalają sobie względem niego na śmiałe osądy. I nie były to osądy pochlebne, choć niestety prawdziwe. Egoista i narcyz, którego w sobie nosił i hołubił od lat, teraz musiał się skonfrontować z prostym ludem. I to gniotło go chyba najbardziej. Wcale nie mniej jego męskie ego uraziła Greta. Jak to możliwe, że dotąd sama nie wskoczyła mu do łóżka? Oleg zdecydowanie nie był na taki rozwój wydarzeń przygotowany. W jego mniemaniu ponosił ostatnio porażkę za porażką, choć wielu powiedziałoby, że nic strasznego się nie stało. Bo i niby co? Że kobieta nie zwraca na niego uwagi? Co z tego? Dziś nie zwraca, jutro – kto wie? Że ludzie mają go za bufona i dają mu do zrozumienia, że wiedzą o nim więcej, niż wiedzieć mogą? Co z tego? Kogo obchodzą ludzkie brednie? Przecież oni nie mogą nic wiedzieć. Nic a nic.

Ale, jak to mówią, na złodzieju czapka gore i Oleg czuł ostatnio duży dyskomfort, a ta nawiedzona staruszka przed chwilą tylko rozbudziła w nim tego dusiołka, co to teraz nie dawał mu spokoju.

Poleżał chwilę na łóżku, ale nie mogąc zaznać wytchnienia dla myśli, wstał i przyniósł spod pieca butelkę whisky. Odkręcił i pociągnął łyk z gwinta. Raz i drugi. Potem trzeci. Nie bardzo pomogło, jedynie zagłuszyło nieco myśli albo je stępilo, ale na pewno ich nie przepędziło. Pod koniec butelki miał wrażenie, że pod ścianą stoi Greta, a obok niej Danił z Heleną. Machnął ręką, żeby przegonić widziadła. Mrugnął szybko kilka razy i znów spojrzął przed siebie. Pomogło. Był sam w salonie. Dopił resztkę alkoholu i oparł głowę o ścianę, by mimowolnie nie przechylić się w przód. Głęboko odetchnął i zamknął powieki. Był już spokojny, senny i przestał obsesyjnie myśleć o Grecie. Alkohol kompletnie stępil jego zmysły. Powieki zaczęły mu okrutnie ciążyć i same opadały. Wciąż siedząc, zapadł w płytki sen. Początkowo kręciło mu się w głowie, a gdy już twardo usnął, we śnie przemykały mu co chwilę twarze nowych sąsiadów. Widział księdza, Nawrockiego, Helenę i Daniła, a wśród nich płątał się kudłaty pies Michała. Twarze przemykały



tuż obok niego, mówiły coś, ale nie mógł zrozumieć słów, aż na koniec spomiędzy postaci wyszła ruda dziewczyna i jej widok miał przed oczyma już do końca. Pomimo tego, że była tylko sennym majakiem, jego ciało drgnęło przez sen z rozkoszy.

Za oknem budził się dzień. Niebo na wschodzie pięknie jaśniało, ptaki zaczynały trele w zaroślach. Po wczorajszej burzy nie było ani śladu. Oleg ocknął się z pijackiego snu. Nie był już wsparty o ścianę, widocznie w nocy osunął się na łóżko. Po bólu w karku mógł jednak sądzić, że spał nie tylko na leżąco. Bolało go zresztą całe ciało, a najbardziej głowa. Podniósł się z wysiłkiem i natychmiast złapał za skronie.

– O cholera – jęknął. – Ale boli...

Przypomniał sobie nocny majak.

„Jak dobrze, że to tylko sen...” – pomyślał z ulgą na wspomnienie wszystkich tych twarzy, które przeszywały go swymi spojrzeniami.

Opadł z powrotem na łóżko. Przymknął oczy, by wszystko wokół choć na chwilę przestało wirować.

## Rozdział 11

Greta, idąc przez salon, zostawiała za sobą ślady mokrych stóp. Przemykała szybko na górę, żeby się jak najszybciej pozbyć mokrej odzieży. Kątem oka zobaczyła Michała siedzącego na kanapie i w biegu zawołała do niego:

– Tylko na mnie nie krzycz! Zaraz po sobie posprzątam!

– No ja myślę! – odkrzyknął do niej i przecząc swoim słowom, wstał po mopa i zabrał się do wycierania mokrych śladów.

Wikary ze strachu przed burzą łąził za nim krok w krok i tylko jeszcze bardziej roznosił wodę, brudząc podłogę. Michał próbował go przepędzić, ale widząc panikę w psich oczach, zaniechał sprzątanania w ogóle. Zebrał jedynie z grubsza wodę, żeby się nikt nie poślizgnął, i przeszedł do kuchni. Wstawił na ogień garnek z mlekiem, po czym, doprawiwszy je miodem i cytryną, przelał do glinianego kubka. Napój był gotowy akurat, kiedy Greta schodziła z góry już przebrana i prawie sucha. Mokre miała jeszcze tylko rude loki, ale właśnie wycierała je ręcznikiem.

– Jesteś anioł, nie człowiek! – zawołała do Michała na widok jego dłoni z parującym jeszcze kubkiem. – A ten zapach w pokoju... Cudo. Dziękuję ci, Misiu. – Cmoknęła go szybko w policzek.

Kiedy była w Ordach, Michał zerwał w ogródku kilka gałązek maciejki i wepchnął jej do siennika. Intensywna woń słodkich kwiatów rozchodziła się teraz po całym pokoju, ale ich ilość była na tyle wyważona, by nie przyprawić o mdłości, a jedynie poruszyć zmysły.

Greta była niezwykle wrażliwa na kolory i zapachy. Uwielbiała ciepłe barwy i oszałamiające aromaty traw, ziół i kwiatów, a Michał doskonale ją znał i potrafił, jak nikt inny, dogodzić jej gustom.

– Gdzieś ty była, dziewczyno? – spytał, kiedy już usiadła i spokojnie popijała mleko.

Wikary wgramolił się na fotel i gnieźdząc się razem z nią w ciasnej przestrzeni, obwąchiwał ją uważnie, raz po raz przy tym fukając i powarkując.

– Zajrzałam do Ordów – odpowiedziała. – Byłam ciekawa, jak sobie radzi Danił.

To, że nie wspomniała o Olegu, nie oznaczało wcale, że chciała coś ukryć przed Michałem. Jak dotąd Oleg nadal nie zrobił na niej szczególnego wrażenia, poza tym, że uważała go za niezwykle przystojnego, i uznała po prostu, że nie zasługuje na żadną wzmiankę.

– Ależ on ma talent – kontynuowała. – Cudeńka struga. A Zacisze coraz ładniejsze... – Zamyśliła się jakby z rozmarzeniem. – Za parę miesięcy to będzie piękne miejsce.

– Jeśli ten wielki pan się do tego czasu nie znudzi – powątpiewał Michał.

– Myślisz? – spytała z przejęciem Greta. – E... chyba nie. Tyle pieniędzy w to wkłada i miałby się z tego wycofać?

– Ano, zobaczymy.

Za oknem wciąż intensywnie padał deszcz i niebo co chwilę rozświetlały błyskawice.

– A u Grześka pewnie upał... – zmieniła temat Greta.

– Pewnie tak...

– Tęsknię za nim – odezwała się znów po chwili, wpatrując się w kozuch mleka osiadły na brzegu kubka.

– Oj, to dobrze, Ruda, to bardzo dobrze – odpowiedział z wyraźną ulgą Michał.

– No co ty? – roześmiała się Greta. – Wątpiłeś w to?

– A bo to za młodymi nie nadażysz – ofuknął ją wuj. – U was co z oczu, to z serca!

– Nie u mnie, wujciu, nie u mnie.

Michał wierzył w rozsądek Greta i ufał jej całkowicie. Poza tym wiedział, że jest prawdopodobna i mógł być zupełnie o nią spokojny. Na razie nic nie wskazywało na to, by zanosilo się na jakieś problemy. Ale... No właśnie... Ten cały Oleg... Żeby tylko nie zechciał tu w Ordach zamieszać...

W burzańskim dworcu jeszcze jakiś czas światła jaśniały w oknach salonu. Potem rozblęskło na chwilę w małej sypialence Greta. Dziewczyna, wchodząc do swojego pokoju, z lubością wciągnęła w płuca aromat słodkiej maciejki, uśmiechnęła się ni to do siebie, ni do zapachu i leniwie poszła pod prysznic.

Jej noc była całkowitym przeciwieństwem nocy Olega. Spała spokojnie i zdrowo, nienękana żadnymi majakami, kołysana powiewem rześkiego powietrza wpływającego przez otwarte okno i zapachem kwiatów spod siennika.

W ciągu kolejnych dni życie na wsi biegło normalnym swym rytmem, czyli powoli, błogo, sielsko... Lipiec nadal rozpieszczał pogodą, dni były upalne, a noce coraz chłodniejsze, lecz wciąż jeszcze ciepłe, dawały oddech po gorącym dniu.

Michał większość czasu spędzał w kościele, a w wolnych chwilach zaglądał do Chaliwy – grywał z nim w karty, gawędził i pocieszał po stracie Opora. Któregoś dnia pod Chaliwowy ganek nadciągnęła nie wiadomo skąd Helena i jakby była u siebie, rozsiadła się przy chłopach z pełną swobodą, aż stara ławka zbita z nieheblowanych desek stęknęła pod nadmiernym ciężarem.

– Co wy, chłopcy, tak pod tą ścianą smętnie siedzicie? – zaczęła piskliwie. – Środek lata, ludziom w polu trza siedzieć, nie pod chałupą.

– A ty, chaliwa, czego po wsi latasz, zamiast w polu robić? – odciął się Chaliwa.

– Eee tam... – Helena machnęła tylko ręką.

W Burzanach od lat już nikt na dużą skalę nie robił niczego w polu. Ludzie żyli ze skromnych rent, w latach osiemdziesiątych na potęgę oddawali ziemię skarbowi państwa lub swoim dzieciom, za co w zamian dostawali dożywotnio skromną sumkę co miesiąc, dowożoną pod sam dom przez miejscowego listonosza.

Ziemię od dawna odłogiem leżały, bujnie szerzyły się na nich brzozy i sosny samosiejki, przetykane różnymi zielskami i krzaczyskami. Z lasów ściągaly tu tłumnie dziki, sarny, łosie, lisy, kuny, bazanty i inne ptactwo wabione urokami dzikiego zagajnika, ale i małych ludzkich ogrodów, do których zające i norki zakradały się na darmową wyzerkę.

Ludność okoliczna na wiosnę sadziła jedynie trochę warzyw, żeby mieć swoje przez lato, garść pszenicy dla kilku kur prowadzonych po podwórzu dumnie przez jednego koguta, które trzymane były dla jaj – dosłownie i w przenośni – oraz ziemniaki uprawiane na małych poletkach, aby było co do gara włożyć przed zimą. Co lepszy gospodarz to jeszcze małe sianokosy robił na swoim podwórku, by trawą i pokrzywą po kolana nie zarastać. Ale to już nie każdemu się chciało tak pracować. Małe uprawne poletka miały wyżywić ludzi jedynie do późnej jesieni. Kiedy zapasy żywności się kończyły, wieś wyruszała do miasta i tam w dyskontach kupowała myte ziemniaki i marchewki. Tak to się właśnie kolebało: plony wożono z miasta na wieś. Ludzie starszej daty kręcili z przerażeniem głowami na taką kolej rzeczy, ale co było robić? Takie przyszły czasy. Generalnie można tu było odnieść wrażenie, że skończyły się dawno te lata, kiedy wieś na miasto pracowała. Dziś to już raczej miasto na wieś robiło. Bo żeby ktoś mógł spokojnie dożywać swych dni pod chałupą, ktoś inny musiał produkt krajowy wypracować.

Burzany miały jednego, prawie wspólnego konia do obrabiania tych wszystkich warzywników. Do niedawna był jeszcze Opór, ale tego upartusa można było liczyć jedynie jako końską sztukę, na pewno nie jako robotnika.

Burzańskie ogródki orała, bronowała i kultywator za sobą ciągnęła jedna klacz, kasztanka, której właściciel nawet nie nadał imienia. Sam miał trochę łąk i owsa do obrobienia, bo konia karmić było trzeba, i trochę własnego ogródka, bo rodzinę też karmić wypadało. Tak więc kasztanka robiła nie tylko dla siebie i swojego pana, Macieja, ale i dla całej wsi.

Nieraz się już zdarzyło, że klacz zaginęła w akcji. Jak ją rano Maciej sąsiadowi w leasing wypożyczył, tak pod wieczór nie wiedział, w którym końcu wsi jej szukać, bo przechodziła w dzień z rąk do rąk.

Ten koński żywot jednak wcale nie był marny. Przeciwnie, jak na konia, roboty było niewiele, a u każdego kolejnego gospodarza klacz dostawała solidny wikt i mogła wypocząć przed następną robotą. Znał ją dobrze każdy chłop w Burzanach, a i ona znała każdą, od dawna nieużytkowaną stajnię we wsi, bo nieraz po robocie ustawiano ją przy żłobach, sypano owsa,

pojono i od much opędzano. Kasztanka była wykarmiona, aż jej sierść pięknie lśniła.

Dla Macieja taki wspólny koń był dobrym wynalazkiem, bo obchodził się tanim kosztem – ktoś zawsze go nakarmił, napoił i przenocował. Zimą też pomieszkiwała trochę u jednego, trochę u drugiego i jakoś to do wiosny zlatywało.

Teraz, w środku lata, pracy dla kasztanki było niewiele, więc często ją widywano, jak skubała trawę przy domostwach. Kiedy wyjadła już u jednego, ten brał ją za łańcuch i przepalowywał do sąsiada. Tam znów skubała do woli, aż ktoś nie zaprowadził jej dalej. I tak miała dużo lepiej od typowych wiejskich koni, bo tamte były raz dziennie przepalowywane, a ona kilka razy, przy czym pilnowano, by w upały miała cień, a w słoty przebywała w stajni.

Sam Maciej też był ciekawym przypadkiem: taki burzański powsinoga. Człowiek bardzo serdeczny i uczynny – nikomu nigdy nie odmówił pomocy – ale przy tym ogromnie gadatliwy, garłaty, czyli głośny, i bardzo mocno plotkujący. Nie było w tym jednak nic dziwnego, bo jeżdżąc co dzień po wsi z koniem lub w poszukiwaniu konia, dużo widział po drodze i dużo też wiedział. Ot, taka wiejska rozgłośnia radiowa.

Na jego wozie przez cały rok leżały wszystkie narzędzia rolnicze, bez względu na to, na jakie akurat był czas: pługi, brony, szpadle i łopaty, orczyki, kłonicie, a na wierzchu tego stosu zawsze nieodłączny rower, bo jak kto konia akurat spod Macieja brał, to musiał Maciej mieć czym do domu wrócić, by na piechotę nie drałować.

Teraz właśnie przemknął na swej starej damce tuż przy obejściu Chaliwy i krzykiem swym nieodłącznym zawołał do siedzących pod ścianą wśród wysokich malw:

– Pochwalony! A mojej kasztanki śta nie widzieli? – Ledwo przystanął, by się odpowiedzi doczekać. – Rano Broniarski ją wziął, a teraz to już sam nie wiem...

Michał wzruszył ramionami w niewiedzy i spojrzął na Chaliwę, ale on też nie wiedział, gdzie może być klacz. Helena, jako że właśnie ze wsi przyszła, mogła coś widzieć po drodze.

– Zsiądź, Macieju, z tego roweru – odezwała się. – Karty rozłóż, to ci powiem, gdzie twoja kobyła.

Maciej zsiadł, odstawił rower pod ścianę Chaliwowej chałupy, ale na Heleny karty splunął z pogardą.

– Tfu! Ciemna baba!

– No nie wiem, czy taka znów ciemna – odparła bez urazy Helena. – Twoja Mańka chyba tak nie myśli.

– Bo głupia jak i ty – odparował Maciej.

Żona Macieja, jak prawie każda kobieta we wsi, przychodziła do Heleny po zioła i rady, trochę w potrzebie, a trochę z nudów, na pogaduchy.

Maciej z Heleną mieli podobne profesje i chyba z tej właśnie przyczyny nie bardzo się lubili. Każde z nich na swój sposób wykonywało tę samą robotę, choć uważało, że to drugie kała się zabobonem (tak twierdził Maciej) lub plotką (tak uważała Helena). Gdyby im kto próbował porównać ich zajęcia, toby pewnie do oczu z pazurami skoczyli. A w gruncie rzeczy oboje wywierali korzystny wpływ na ludzi. Dziś każdy prawie jest żądny sensacji i informacji, toteż miał je zapewnione dzięki Maciejowi i Helenie właśnie. Jedno, jeżdżąc po wsi, rozsiewało wszelkie ploty, a drugie robiło to samo, tyle że w aurze pewnej tajemniczości, pod przykrywką korzystania z ziół i kart. Tak czy inaczej stanowili tutejszą rozrywkę i nikomu nie szkodzili, a wielu wprost uszczęśliwiali, dostarczając na bieżąco sporych dawek wiejskich aktualności okraszonych własnymi przemyśliwaniami.

– Siadaj – odezwał się Chaliwa, wskazując na rozklekotany stołeczek pod płotem. – Może piwa się napijesz?

Nie czekając na odpowiedź, wstał ciężko z ławki i zgarbiony, poczłapał do sieni. Po chwili wyniósł pod pachą cztery schłodzone butelki portera. Nikt nie pogardził poczęstunkiem, wszyscy ochoczo sięgnęli po zimny napój.

– Co tam we wsi, Macieju? – spytał ksiądz, rozpoczynając konwersację.

Chłop podrapał się w głowę, łyknął piwa i podumał przez chwilę.

– Ot, jak to we wsi – zaczął wreszcie. – Siedzą pod ścianami.

Towarzystwo roześmiało się i przytaknęło. Maciej jednak przypomniał sobie pewną informację i nie skontaktowawszy się ze swym rozumem, chlapanął zadowolony:

– Rano spotkał żem Nawrockiego, jak do roboty leciał. Mówi, że ten nowy pan dobrze zarobić daje. Tylko jakiś zboczony być musi, bo każe waszemu kurwy strugać – zwrócił się do Chaliwy.

– Za moich czasów, to kurwy się pieprzyło – odparł stary. – Ale widno tera się struga. Cóż, takie czasy, chaliwa...

Wszyscy troje spojrzeli teraz z większym zaciekawieniem na Macieja, oczekując dalszych opowieści. Ten jednak zamilkł, bo dotarło do niego, że i ksiądz słucha, i Chaliwy wnuk dziwną sztuką się zajmuje, więc nieco niezręcznie opowiadać.

Wreszcie Helena nie wytrzymała i spytała z zainteresowaniem:

– A jak wygląda strugana kurwa?

I tu nastąpiła konsternacja, bo nikt nie znał odpowiedzi na to proste pytanie. Wszyscy spojrzeli na siebie zakłopotani, ale jako że pytanie było skierowane do Macieja, ten w końcu się odezwał:

– A bo ja wiem? Pewnie goła baba jakaś...

– Łee tam... – rozczarowała się Helena. – Ja mam w domu lampę z gołą babą, co nad głowo kulę trzyma. To ona też kurwa?

– Wychodzi na to, że nie – wtrącił się do rozmowy ksiądz.

– A widział Nawrocki te strugadła? – drążyła temat Helena. – Może mu się co przywidziało? Albo na sztuce się nie poznał, he, he.

– No chyba widział, kiedy mnie opowiadał – zauważył Maciej.

– A podobały mu się? – teraz Helena już wyraźnie drwiła z Nawrockiego.

– Nie mówił – odparł Maciej, straciwszy ochotę na dalsze przepytanie.

Znów zapadła cisza. Każdy z nich przemyślał, jak też może wyglądać drewniana dziwka. Ciszę przerwał dopiero Chaliwa, kiedy zbliżał się już do dna swej butelki:

– Ano, to sobie chłopak chociaż tak życia użyje – powiedział, myśląc o Danile.

W jego słowach pobrzmiwały troska i ubolewanie nad ułomnością wnuka.

– A, niech tam ma – dorzuciła Helena.

– W sumie racja – dołożył Michał. – Tyle jego, co sobie postruga.

– No. – Maciej nie miał tu już nic do dodania.

Znów zapadło milczenie. Każdy z nich intensywnie nad czymś myślał. Wreszcie odezwał się Michał:

– Może by tak tego pana wielkiego odwiedzić?

– Ja już u niego była – odparła na to Helena. – Parę dni temu, w tę burzę, co to tak pioruny były.

Mężczyźni spojrzeli na nią z ciekawością.

– A po coś ty tam polazła? – spytał Maciej.

– Po jaskółcze ziele. Tam najlepsze.

– No i coś się dowiedziała? – zapytał stary Chaliwa.

– Od niego nic, o nim sporo.

– No, dawajże, kobieto – znecierpliwiał się ksiądz.

– Coś taki prędko? – zaśmiała się. – Sobą się lepiej zajmij, bo u ciebie troski będą.

Chłopy zaczęli się uważnie przysłuchiwać, żądni nowych sensacji. Michał nie dowierzał rewelacjom Heleny, ale ciekaw był, czy ona wie coś o Olegu.

– Daj spokój tym bredniom – znecierpliwiał się. – Mów lepiej, co o nim wiesz.

Rozmawiałaś z nim?

– No – zaśmiała się Helka. – Wylazłam na niego z krzaków w same pioruny. Alem go wystraszyła! Wyglądał, jakby ducha zobaczył – zarechotała. – A pogonił mnie jak burą sukę.

– Dobrze zrobił – tym razem to Maciej się ucieszył.

Helena spojrzała na niego spod oka.

– No i co było dalej? – chciał wiedzieć Michał.

– Nic, raczej się my nie polubili – znów się zaśmiała. – Wiecie, co? Ta nasza wieś dobrze mu robi. Ten wielki pan tak był w sobie zakochany, że nie widział nic poza własnym nosem. A teraz zaczyna go trawić gorączka. Poznaje smak i sens życia.

– O, o, o! – wrzasnął zniecierpliwiony Maciej, poczuwszy się jak idiota, któremu wciskają kit. – Zaczynasz już te swoje filozofie! Smak i sens życia... – przedrzeźnił ją, naśladując jej piskliwy głos. – Mówisz tak, jakbyś wiedziała co to ten smak i sens.

– A bo wiem – zaperzyła się Helena. – To są ludziska kochane i miejsce do życia sercem wybrane.

– Tere fere – powątpiewał Maciej. – Jakby tak było naprawdę, to ja powinienem być na Seszelach. Tam mi serce ucieka!

– Pusto masz w głowie, Macieju – stwierdziła Helena. – Ale może to dobrze, bo w pustej głowie więcej się zmieści...

Tak oto mijały sennie letnie dni w Burzanach i okolicznych wsiach. Ale już w Ordach, w Olegowym Zaciszu czas biegł zupełnie innym rytmem, pędził właściwie, pośród robót budowlanych.

Oleg zakasał rękawy i solidnie wziął się do pracy fizycznej w swym obejściu, zajęcia biznesowe prawie zupełnie cedując na Jana i Irminę.

Danił skończył już rzeźbienie *Kamasutry* i teraz mozolił się nad wielkimi drewnianymi belkami, które zdobić miały sufity. Dłubał w nich piękne wzory, coraz bardziej zachwycając Olega swymi zdolnościami. W planach było również zdobienie drewnianych schodów, kolumn wewnątrz salonu i na zewnątrz dworku, altana w parku, ławki, pergole na kwiaty i pewnie jeszcze parę innych rzeczy. Takiego talentu Oleg nie zamierzał się pozbywać. Z biznesowego punktu widzenia byłoby to po prostu niewykorzystaną szansą.

Któregoś dnia zapytał:

– Danił, masz paszport?

Chłopaka nieco zdziwiło takie pytanie, ale grzecznie odpowiedział:

– Nie. Nigdzie nie wyjeżdżałem.

– A chciałbyś?

– Wiele rzeczy bym chciał – odparł zwięźle. – Ale to jeszcze nie znaczy, że którąkolwiek z nich będę miał.

– Słuchaj, mam pewną propozycję. – Oleg stanął przed Daniłem, zasłaniając mu światło tak, że ten musiał na chwilę przerwać swoje dłubanie.

– No? – Chłopak podniósł wzrok.

– Wyobraź sobie piękną kobietę – zaczął Oleg ku zdziwieniu nic nierozumiejącego

Daniła. – Pomyśl, że jest naga...

– Po co? – Tym pytaniem nieco zbił rozmówcę z tropu.

– Słuchaj! – zniecierpliwził się Oleg. – A teraz wyobraź sobie, że na jej szyi jest zawieszony najpiękniejszy naszyjnik, jaki widziałeś. A w uszach najładniejsze kolczyki...

– A na palcu najlepszy pierścionek? – dokończył nieco ironicznie.

– No! Rozumiesz?

– Nie – zupełnie szczerze odparł Danił.

– Masz! – krzyknął Oleg, podając mu szybko kawałek kartki i ołówek. – Pomyśl, jak taka biżuteria powinna wyglądać, i ją narysuj.

– Po co?

– Nie wiem – zastanowił się Oleg. – Może coś z tego wyjdzie. Spróbuj.

– Jak chcesz... – Wziął kartkę z ołówkiem, odłożył je na bok i wrócił do rzeźbienia belki.

Oleg był bliski załamania. Tak się starał go przekonać do swej wizji, a ten mówi „jak chcesz” i odkłada plany w cholerę.

– No co? – Danił zorientował się, że pracodawca jest niezadowolony. – Przecież muszę pomyśleć, nie?

To trochę uspokoiło Olega. Najwyraźniej nie pozostało mu nic innego jak uzbroić się w cierpliwość, bo artysta ma kaprys...

A artysta wcale nie miał kaprysu. Artysta po prostu nie był w stanie wyobrazić sobie żadnej pięknej kobiety, a już na pewno nie nagiej, bo żadnej takiej nie znał. Naszyjnik nie będzie problemem, ale kobieta... owszem.

Po bardzo wyczerpującej pracy swego małego umysłu, po wielu próbach wizualizacji nagiej kobiety Danił przyczłapał do pracującego na piętrze Olega.

– Masz – powiedział, wręczając mu kartkę z jakimiś bazgrołami. – Inaczej nie umiem.

Oleg pospiesznie wytarł ręce w spodnie, chwycił rysunek i podszedł do okna, by mieć lepsze światło. Kartka była nieco pomięta, ale cała zamalowana jakimiś artystycznymi szkicami. Oleg dość długo je oglądał i coś wnikliwie analizował. Na górze widniał zarys kobiecej szyi, choć bez głowy, za to z dobrze uchwyconą piersią, a na tej szyi pyszniła się ogromna kolia w kształcie kiści jarzębiny. Zamiast ogniw łańcuszka utrzymywał je splot ze smukłych jarzębinowych liści i gałązek. Niżej, pod tym biustem, Danił zgrabnie narysował płatek ucha, a w nim podobną kiść, z gałązką jakby przed chwilą zerwaną z drzewa, okoloną jednym, równie smukłym jak w naszyjniku liściem. Jeszcze niżej znajdowała się dość dobrze uchwycona dłoń z długimi palcami, a na jej środkowym pierścieniu – kiść pełnej, zdrowej jarzębiny i obrączka z wygiętej gałązki czy też może z liścia.

„Kicz czy nie kicz? – zastanawiał się Oleg. – Taki miejscowy folklor, ale czego chcesz od chłopaka, który nigdzie w życiu nie był i niczego nie widział? A jeśli tak widzi świat, którego nie zna, to jak go będzie postrzegał, kiedy mu go pokażę?”

Przymknął lekko oczy i dumął, intensywnie kalkulując. Wciąż patrząc w kartkę, nabierał coraz większej ochoty na realizację jarzębinowej wizji Daniła. Oksydowane srebro i czerwone, nieregularne kulki korala. Albo wersja niedojrzała, z zielonym koralem lub pomarańczowo-żółtym. Można spróbować...

Danił siedział już w swoim kącie, dalej rzeźbiąc belkę. Oddał kartkę z projektem Olegowi i od tego momentu przestał zawracać sobie nim głowę. Po prostu wrócił do swego zajęcia, nawet nie przeczuwając, co kombinuje jego chlebodawca.

– Danił? – odezwał się wreszcie Oleg.

– He? – mruknął chłopak, nie podniósłszy wzroku znad roboty.

– Jutro masz wolne. Jedziesz do fotografa, do urzędu, czy gdzie tam potrzeba, i składasz papiery o paszport.

Danił, zdziwiony, spojrzał na Olega.

– Co?

– To, co słyszysz – odparł trochę opryskliwie Oleg. – Jak tylko będziesz mógł wyjechać, jedziesz ze mną do Lwowa.

– Tak...? – zapytał głupio Danił. – A po co?

– Zobaczysz. Spodoba ci się. Pokażę ci pracownię jubilerską.

– Aha... – Danił przyjął to do wiadomości i znów wrócił do swojej pracy.

– A tymczasem myśl, w jakiej biżuterii chciałbyś oglądać kobiety. I rysuj to.

– Jak chcesz... – mruknął po swoim chłopak, wzruszając ramionami.

Potem każdy już zajmował się własną robotą, tylko Oleg nie bardzo mógł się skupić na dokładnym tynkowaniu łuków w oknach na górze, więc przeniósł się do piwnicy, gdzie postanowił zdemontować ogromny stary bojler, który już dawno przeżarła rdza. Mozolił się strasznie, ale praca fizyczna skutecznie odciągała jego myśli, teraz już od dwóch podmiotów: od Grety i projektów Daniła, więc pracował tym ciężiej, im bardziej one wdzierały się do jego umysłu.

Po godzinie nie mógł już i tam wytrzymać, wyszedł więc na dwór, wyczekał chwilę, aż oddech mu wróci mniej więcej do normy, i zadzwonił do Irminy. Po trzech sygnałach podniosła słuchawkę.

– Cześć, jak leci? – odezwała się wesoło.

– U mnie OK. A co u was?

– Coś ty taki zasapany? Uprawiasz jogging czy seks?

– Pudło – odparł rozbawiony. – Nie uwierzysz, ale pracuję fizycznie.

– Faktycznie, nie wierzę.

- No widzisz. Przyjeżdż, to zobaczysz. Jak idą interesy?
- W porządku. Nic się nie dzieje. Jest dobrze.
- A gdzie jest Jan? Dzwoniłem do niego, ale ma wyłączoną komórkę.

Irmina zaśmiała się lekko do słuchawki i odpowiedziała:

- Siedzi w teatrze, to wyłączył. Spróbuj go złapać później.
- Jeszcze go to nie nudzi? – zdumiał się Oleg. Zresztą, zawsze się dziwił tej pasji Jana. –

Jest we Lwowie?

- A gdzie miałyby być? Chyba tylko tutaj tak namiętnie chodzi do opery.
- Słuchaj, Irmina – Oleg zmienił temat. – A co z tymi płaskorzeźbami, które miałaś wystawić w pracowni? Jest jakieś zainteresowanie?

– A, no właśnie. Sprzedały się prawie od razu. I to całkiem nieźle. Te nasze ukraińskie snoby są strasznie bezpruderyjne – w słuchawce zadźwięczał jej perlisty śmiech. – Jakbyś przywiózł więcej, to też się pewnie sprzeda.

- Myślisz? – zawahał się. – A za ile poszły?

– Za pięć tysięcy trzysta hrywien.

– Żartujesz? – szczerze zdziwił się Oleg.

– Serio. Ten twój artysta ma nosa do sztuki.

– Nie – zaprotestował Oleg. – To ja mam nosa do tego artysty. Mam od niego coś jeszcze.

Poczekaj, przywiozę go do Lwowa, może trochę z nim zarobimy.

– Mało ci? Aleś ty pazerny! – zawołała wesoło Irmina.

– Jak jest okazja... to czemu nie?

Oleg w bardzo pogodnym nastroju pożegnał się ze współpracowniczką, chwilę pomyślał i ruszył do auta po portfel. Wyjął z niego dwa tysiące złotych i składając wpół, włożył je do kieszeni, po czym podszedł do Daniła.

– Hej, kolego – zaczął zadowolony. – Mam dla ciebie dobre wieści.

Danił już po raz kolejny dzisiejszego dnia zdziwił się, nie rozumiejąc, o co chodzi Olegowi, ale cierpliwie czekał na wyjaśnienie.

Oleg wyjął gotówkę i wyciągnął rękę do Daniła.

– Proszę, to twój zarobek za drewnianą *Kamasutrę*.

– Jak to?

– Normalnie. Sprzedała się we Lwowie jak świeże bułeczki. Masz. – Potrząsnął ręką. –

Kasa jest twoja.

Danił niepewnie wziął banknoty i przeliczył.

– Dwa tysiące?

– No. Zadowolony?

– To wszystko dla mnie?

– A co, dla mnie? – Oleg zaczął się niecierpliwie. – Bierzesz czy nie?

– Dzięki. – Danił postanowił podziwować się już w samotności, w obawie, że jeszcze Olegowi przyjdzie do głowy zabrać mu sprzed nosa taką gotówkę.

Oleg z lubością obserwował, jak na twarzy Daniła malują się zadowolenie i ogromna radość. Jednak ludzie mają trochę racji, mówiąc, że dawanie sprawia przyjemność. Z taką to konkluzją zszedł na powrót do piwnicy, mocować się z przerdzewiałym żelastwem.

Około pół godziny później przed dwór zajechał grafitowy jeep. Z auta zgrabnie wyskoczyła Greta i od razu dostrzegła dłubiącego w belce Daniła.

– Czołem pracy! – zawołała pogodnie. – Co u ciebie?

– Cześć, kochana! – Danił odwzajemnił jej radość. – Chodź tu, siadaj. Podoba ci się? –

Wskazał na swoje wzorki.

– No pewnie! – odparła szczerze i cmoknęła go czule w policzek. – Wszystko, co robisz, jest piękne. Też bym chciała mieć taki dom... – westchnęła, zmieniając nieco temat. – I poprosiłabym cię o takie same belki...

– To sobie taki kup – zaproponował zupełnie poważnie Danił. – Tu przecież sporo podobnych dworów w okolicy. Chcesz, to pożyczę ci trochę pieniędzy. – Wyjął z kieszeni plik



banknotów i machnął nimi Grecie przed nosem. Naprawdę był gotów jej pożyczyć albo nawet ofiarować swoją niedawną zapłatę.

– Skąd tyle masz? – zaciekała się Greta.

– Zarobiłem we Lwowie – pochwalił się. – Jak sobie zrobię paszport, to tam pojedę.

– Co?

– Oleg mi dał. Za *Kamasutrę*. I mam z nim jechać do Lwowa.

Greta niewiele z tego zrozumiała. Widziała jedynie sporo pieniędzy i wyczuwała, że być może ktoś chce oszukać Daniła, obiecując mu jakieś wycieczki. A tym kimś jest zapewne Oleg.

– A gdzie on jest? – spytała po chwili, rozglądając się dookoła.

– W piwnicy – odparł Danił. – Coś tam stuka po ścianach.

– To zjrzyj do niego. – To rzekłszy, ruszyła szybkim krokiem w stronę ściany szczytowej, gdzie znajdowało się wejście do piwnicy.

Wpadła z impetem do ciemnego pomieszczenia i od razu się o coś potknęła. Po krótkiej chwili źrenice rozszerzyły jej się na tyle, by mogła dostrzec zarys wiadra i patrzącego na nią mężczyznę stojącego pod ścianą.

Oleg na dźwięk przewracanych gratów gwałtownie się odwrócił i ku swemu zadowoleniu dostrzegł Gretę.

– Hej! – zawołał z uśmiechem. – Gonił cię ktoś? Co tak pędzisz? Chodźmy na zewnątrz, zapraszam na kawę.

– Zaraz – zaprotestowała. Chciała porozmawiać z nim bez świadków.

– Nie boisz się tak siedzieć tu ze mną w ciemnej piwnicy? – Oleg próbował żartować, ale już samo wypowiedzenie tych słów przyprawiło go o przyjemny skurcz żołądka.

– Daj spokój – Greta niemal go zignorowała. – Na zewnątrz jest przynajmniej czterech roślących facetów. Raczej nie mam się czego bać.

– Kotku, oni pracują dla mnie – nadal żartował Oleg.

– Daj już spokój – Gretę znudziły te podchody. – Słuchaj, coś ty naopowiadał Daniłowi?

– Nie rozumiem. – Oleg spoważniał i odłożył młotek.

– Mówi, że zabierzesz go do Lwowa.

– To akurat prawda. Tylko musi wyrobić sobie paszport.

– A po co on tam? Kto się tam nim zaopiekuje?

– Hej – oburzył się Oleg. – Wolnego, panienko! Sądzisz, że trzeba mu zmieniać pieluchy i trzymać go za rączkę? To jest dorosły facet, czy wy tego nie widzicie?

– A czy ty nie widzisz, że to nie jest zwykły dorosły facet? On ma mentalność chłopca i jest bardzo naiwny. A tobie on na co?!

– Tak się składa – dość ostro zripostował Oleg – że ten chłopiec, jak mówisz, ma cholernie duży talent. W każdym razie tak przypuszczam. I myślę, że robię mu tylko przysługę, a nie krzywdę. Przez parę miesięcy ma szansę zarobić tyle, ile przez całe życie zbierałby ze skromnych dochodów swojej rodziny. Co w tym złego?

– Ale o co chodzi z tym Lwowem? – Greta już zaczynała odpuszczać.

– O nic – zachnął się Oleg. – Po prostu jego rzeźby bardzo dobrze się sprzedają w mojej pracowni i pomyślałem, że może ma talent nie tylko do drewna. Chcę mu pokazać fach jubilerski, może potrafi też rzeźbić w srebrze? Albo może chociaż podrzuci jakieś pomysły moim pracownikom? Czy to coś złego?

– Nie wiem, chyba nie – Greta była wyraźnie zażenowana, ale i uspokojona. –

Przepraszam – wybąkała w końcu.

– OK, już dobrze – roześmiał się Oleg.

– Co robisz? – spróbowała odwrócić jego uwagę od swojego wyskoku sprzed chwili.

– A, to? – Wskazał za siebie. – Zdejmuję stary bojler. Do niczego już się nie nadaje.

Właściwie już kończę. Pójdziemy na kawę?

– Możemy.

Oleg chwycił wielki kocioł za metalową obręcz i z pewnym wysiłkiem udało mu się go zdjąć. Bojler był duży i niewygodny, ale niezbyt ciężki, więc już po chwili sprawnie ułożył go pod

przeciwną ścianą. W miejscu, gdzie pierwotnie wisiał, widać było stare pajęczyny i inny kolor tynku niż na pozostałych ścianach.

– Co to? – Greta wskazała na jakiś sznurek wystający ze ściany.

Oleg dotychczas go nie dostrzegł, teraz przyjrzał się dokładnie i zobaczył, że w miejscu, gdzie w ścianę wbite były haki podtrzymujące bojler, faktycznie coś wystaje.

– Nie wiem – odparł i przesunął dłoń po ścianie. – Wygląda jak sznurowadło.

Złapał za jego koniec i lekko pociągnął. Materiał naprężył się, tynk odpadł na długości kilku centymetrów i sznurek się urwał, choć widać było, że to tylko jego część, a reszta, wmurowana w ścianę, tkwi tam nadal.

– Może spróbuj tym. – Greta podała mu młotek.

Stuknął w ścianę raz i drugi, posypało się trochę tynku i znów widać było sznurek.

– Myślisz, że do czegoś prowadzi? – spytała Greta.

– Nie mam pojęcia – odparł Oleg. – Sprawdźmy.

Nie było to trudne. Sznurowadło było wmurowane w ścianę tuż pod powierzchnią, a stare tynki łatwo się kruszyły. Jedyny problem stanowił właśnie ten zmurszały sznurek, który rwał się co chwilę. Greta stała tuż przy Olegu i chcąc mu pomóc, dłubała w ścianie znalezionym pod ręką śrubokrętem. Po kilku minutach wykuwali sznurowadło już na kłęczkach, bo doszli prawie do podłogi. I tutaj sznurek skończył się zupełnie. Oleg stuknął mocniej w mur, aż ten odpadł wielkim kawałem. Wzięli łupek do rąk i rozkruszyli go w dłoniach, przykucnąwszy na podłodze. Ich głowy niemal się dotykały, a oddechy zabierały sobie powietrze.

Nagle z brzękiem coś upadło na podłogę. Greta niczego nie dotykała – czuła, że jest tu intruzem. Oleg pomacał podłogę i podniósł przedmiot. Na dłoni, razem z kurzem i okruskami tynku, miał kilka monet, troszkę szkiełek i krzyżyk wysadzany sześcioma kryształkami.

– Twój własny skarb – szepnęła Greta. – Ludzie mówili, że coś tu jest ukryte. I mieli rację.

Przyjrzelisi się jeszcze murowi, ale nic już nie wskazywało na to, że coś pominęli.

– Chodź. – Oleg otrzepał kolana z kurzu i podał Grecie dłoń. – Czas na obiecaną kawę.

Przy okazji dokładnie obejrzymy nasze znalezisko.

– Nigdy w życiu niczego nie znalazłam – zauważyła Greta.

– Dziś znalazłaś – uśmiechnął się Oleg i zanim wyszli z piwnicy, wsunął skarb do kieszeni.

Do kawy zasiedli na starej parkowej ławce, w pobliżu koszteli. Oleg postawił kubki na trawie i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej wszystko, czego się dokopali, po czym oboje zaczęli wnikliwie się temu przyglądać.

Największą z monet była ciężka, srebrna dwuzłotówka z 1928 roku z Matką Boską z Dzieciątkiem na awersie i orłem w koronie na rewersie. Dwie inne monety, marki polskie z 1917 roku, raczej nie miały wartości rynkowej, może jedynie sentymentalną, a ostatnią monetą było pięć rubli z wizerunkiem cara Mikołaja II, ze złota, z 1898 roku, o niewielkich gabarytach, którą potocznie nazywano „świnką”.

Kolejno obracali monety w dłoniach, czyścili naprędce rąbkami ubrań i odczytywali drobne, zatarte napisy.

Potem Oleg uważnie przyjrzał się małemu krzyżykowi, który wymagał jedynie solidnego czyszczenia i gotów był znów zawisnąć na czyjejsz szyi. Była to stara jubilerska robota w srebrze. Sześć małych, przezroczystych i nieco zatartych kamyczków okazało się białymi topazami. Kamienie, które luzem wypadły ze ściany, miały niewielkie rozmiary i były nieregularnych kształtów, nieco zniszczone, ale przy dobrej obróbce mogłyby jeszcze ozdobić jakąś kolekcjonerską półkę.

– Kryształ górski? – spytała Greta.

– Tak – potwierdził Oleg.

Popijali kawę, wciąż oglądając znalezisko.

– Co z tym zrobisz? – spytała z zaciekawieniem Greta.

– Nic. Podzielę się z tobą. – I już wyciągał na dłoni kryształy, ale Greta gwałtownie zaprotestowała.

– Nie ma mowy! Są twoje.

– Ale ja chcę ci je podarować – perswadował.

– W żadnym wypadku! Bardzo mi przyjemnie, że mogłam z tobą poszperać w ścianie, ale na pewno nic od ciebie nie przyjmę.

„Zobaczymy” – pomyślał Oleg, mając już plan na wykorzystanie znaleziska i obdarowanie nim Greta.

– Jak chcesz – powiedział.

Ciszę skwarne go popołudnia zakłócił na chwilę dobiegający z oddali dźwięk syren.

Wysłuchali się w niego oboje i spojrzeli na siebie leniwie. Najwyraźniej szosą przemknęła karetka na sygnale albo policja. A może straż pożarna, któż to wie? Po tym krótkim, choć intensywnym wyciu nie zostało zaraz nawet echo. Dookoła znów rozlegał się tylko wszechobecny gwar ptactwa ukrytego w konarach drzew, szelest wiatru w liściach i szmer owadów w trawach.

– Jak tu pięknie... – westchnęła Greta, mrużąc oczy.

– Uhm... – mruknął Oleg, bacznie ją obserwując.

– Zazdroszczę ci. Ja też chcę mieć taki dom.

– To kup coś w okolicy.

Greta otworzyła oczy i spojrzała na Olega z ogromnym zdziwieniem. Roześmiała się przy tym dźwięcznie.

– Chciałabym, ale są co najmniej dwie główne przeszkody i cały szereg pomniejszych.

– Jakie? – szczerze się zainteresowała.

– Pierwsza to mój mąż – odparła Greta. – A druga to pieniądze. Jak rozumiem, ty nie miewasz takich kłopotów?

– To prawda. Nie mam męża.

– A żonę? – Greta nastawiła uszu, czekając odpowiedzi.

– Żony też nie mam.

– Teraz czy nigdy? – szła za ciosem i postanowiła dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

– Nigdy.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Dziwne... Wykształcony, bogaty, przystojny, niegłupi... Człowieku, jak tyś się uchwalił?

– Bom niegłupi właśnie... – dwuznacznie odpowiedział Oleg z rozbrajającym uśmiechem.

Po chwili milczenia próbował wrócić do rwącego się tematu:

– Chciałabyś mieszkać na wsi?

– Bardzo – odpowiedziała rozmarzona – ale Grzegorz nie lubi wsi. Poza tym w naszej sytuacji byłoby to całkiem niepraktyczne. Oboje mamy pracę w Warszawie. Dojazd do miasta jest męczący i drogi. No i taki dom na wsi kosztuje. Musielibyśmy wziąć kredyt na jakieś sto lat, a to mało ciekawa perspektywa, nie?

– No – mruknął Oleg.

Znów się rozmarzył. Spoglądał na nią zachłannie i sam sobie się dziwił, co takiego go w niej elektryzuje, przyciąga jak silny magnes? Owszem, jest zgrabna i niebrzydka, ale czy to to? Duże szmaragdowe oczy, rude pukle wokół twarzy, nos upstrzony piegami i zaledwie jakieś ślady bardzo naturalnego makijażu. W jej wyglądzie nie było niczego nadzwyczajnego, jakby nie zależało jej na tym, żeby się podobać. Zawsze była taka... taka... *sauté*.

Kawę już kończyli, rozmowa jakoś nie chciała się kleić, więc żeby jeszcze z nią trochę pobyć, Oleg spróbował skierować rozmowę na temat Daniła.

– Popatrz. – Wyjął z tylnej kieszeni spodni wymiętą kartkę. – Co o tym sądzisz?

Greta przyjrzała się jarzębinowym projektom i po chwili odrzekła:

– Czy ja wiem? Taki przepych w tym wszystkim... Nie za dużo tego?

– Myślisz?

– Nie wiem. Nie znam się na tym – dodała. – Spore te kiście. Ale z drugiej strony srebro z kamieniami może bardzo ładnie wyglądać. Korallowce?

– Na przykład. – Oleg już wcześniej o tym pomyślał.

– Albo może turmalin? – dodała po chwili namysłu. – Ale dla mnie za duże.

– A gdybyś zobaczyła coś takiego w sklepie? – spytał. – Zwróciłabyś na to uwagę?

– No pewnie – zaśmiała się. – To jest zbyt duże, by tego nie zauważyć.

– Zaryzykujemy – zdecydował się Oleg. – Ukraińskie snobki kupią wszystko.

Greta nie była przekonana do trafności tej decyzji, ale czuła, że nie ma prawa się wtrącać.

Dla spokoju sumienia postanowiła jedynie po raz kolejny zaznaczyć, że zależy jej na Danile.

– Oleg – zaczęła – pamiętaj tylko, że jakkolwiek się to wszystko potoczy, Danił zostanie tu na całe życie.

– Co masz na myśli? – Oleg przeczuwał, że nie usłyszy nic przyjemnego.

– Nic, tylko wiedz, że zawiedzione nadzieje i niedotrzymane obietnice mogą człowieka dobić. Danił prawdopodobnie nigdy niczego w życiu nie oczekiwał. Aż do teraz. Pojawiłeś się i pokazałeś mu, że może coś w życiu osiągnąć. Nie baw się nim, bo on tego nie zrozumie...

Olegiem szarpnął dreszcz wściekłości. Poczł się bezpodstawnie podejrzewany o próbę oszustwa i wyzyskania. Był przykładnym obywatelem, żył uczciwie i sprawiedliwie płacił za pracę. Nie miał sobie absolutnie nic do zarzucenia, ale jak widać i tak budził podejrzania. Starł się jak nigdy, a dla niej to i tak było mało. Niech ją szlag!

– Za co ty mnie tak nie lubisz? – wycedził z poczuciem krzywdy. – Dlaczego nie potrafisz mi zaufać?

– Potrafię – odparła szczerze Greta. – Tylko nie chcę. Pomyśl sam: przyjeżdżasz nie wiadomo skąd, nie wiadomo kto. Wydajesz pieniądze bez opamiętania. Nie znam i nie rozumiem takiego stylu życia. Pewnie z nudów tylko uprawiasz poleski survival i możliwe, że jutro znikniesz. A ci wszyscy ludzie tu zostaną. Pał lichu Nawrockiego, on nie będzie po tobie płakał. Wróci po prostu do swojego picia i jeżdżenia taczka. Ale co się stanie z Daniłem? Pomyślałeś? Rozbudziłeś w nim nadzieję i marzenia, a to może być dla niego niebezpieczne. Człowiek szybko przyzwyczaja się do lepszego, wciąż wzrasta jego apetyt, ale dobra passa może nie trwać długo. Czasem lepiej niczego nie zmieniać. Zastanów się nad tym.

Oleg spuścił głowę i po jego opadniętych ramionach można było poznać, że bardzo przejął się słowami Greta. Dotąd nie myślał, że jego kaprys i zabawa mogą się stać czymś przekleństwem. Sądził, że skoro dobrze płaci, to ludzie powinni być mu wdzięczni.

Greta poczuła nagły wstyd, że tak bez pardonu wygarnęła Olegowi, co o nim myśli. Żeby rozładować sytuację, uśmiechnęła się lekko i dotknęła dłonią jego ramienia.

– Przepraszam – wyszeptła. – Nie powinnam tak mówić.

Oleg uniósł wzrok i patrząc jej w oczy, chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał jej dłoń w swojej. Greta położyła drugą rękę na jego ramieniu, a on wykorzystał okazję i przyciągnął ją do siebie tak, że mógł bez trudu wtulić swoją twarz w jej obojczyk i chłonać jej zapach. Ręce splótł na jej plecach, a po ciele przeszedł mu dreszcz. Na taką chwilę czekał od tygodni i teraz mu się przydarzyła. Wystarczy jeden ruch, a będzie jego. Tylko jeden ruch... Ale potem już nigdy więcej. Miał bardzo niewiele czasu, by się zastanowić, czego właściwie chce: Greta tu i teraz, ale tylko na jeden raz, czy też zdobycia jej naprawdę, może na zawsze, ale dopiero za jakiś czas. Nie miał wątpliwości, że jeśli wybierze pierwszą opcję, zaraz potem będzie musiał się stąd zwijać. Miał niejasne przeczucie, że to jedno dzisiejsze zbliżenie okaże się dla niego niewystarczające.

Resztką świadomości odsunął się od niej i spojrział na nią badawczo.

– Hej, kowboju – odezwała się Greta – uszy do góry. Przecież nie odwiedza się tak często kogoś, kogo się nie lubi, prawda?

Zrobiło się dość niezręcznie i jedynym wyjściem z sytuacji było pożegnanie się.

– Pójdę już – rzuciła.

Odprowadził ją do jeepa. Po drodze usłyszeli warkot starego forda. Pędził kasztanową aleją, wzbudzając tumany kurzu. To Nawrocki, który wybył do sklepu po gwoździe, najwyraźniej wiózł jakąś nowinę, bo pilno mu było z opowieścią.

Ledwie wysiadł z auta, a już się rozkrzyczał:

– Ajajaj! Ale się narobiło!

– Co się stało? – spytała zaniepokojona Greta.

– Pogrzeb we wsi mieć będziemy! Stary Maśluk zabił się na śmierć!

– Jak to? – spytał jeden z robotników.

Maśluk był to chłop już niemłody, stateczny i porządny. Nikomu nie wadził, żył z rodziną w skromnej chałupie. Zgodny był bardzo, nie awanturował się nigdy i prawie wcale nie pił.

– Ano tak! – opowiadał dalej Nawrocki. – Jechał on rowerem ze sklepu, a do sklepu, też rowerem, jechał Michaśko. Pewnie zamierował butelki oddać i na zeszyt piwo wziąć – pozwolił sobie na takie przypuszczenia i prawdopodobnie miał rację.

– No i co dalej? – zniecierpliwiał się Danił.

– No i zderzyli się czołowo – kontynuował Nawrocki. – Pospadali oba z rowerów, Maśluk ani drygnał, a Michaśko nogi do kupy poskładał i nic mu. Ot, co! Diabli wzięli porządnego chłopca!

– A, bo to taka sprawiedliwość na tym świecie jest – zawyrokował jeden robotnik.

– Ale popatrzcie – dziwił się Nawrocki – to trzeba mieć pecha, żeby rowerami na czołówkę wjechać i jeszcze do tego się zabić!

Chłopy jeszcze trochę porozprawiały o całym zajściu, ponarzekały na świat i w końcu ruszyły do roboty. A Oleg, zostawszy sam, mruknął do siebie pod nosem:

– Ładnie ci w tym będzie.

Na otwartej dłoni miał kilka kryształków i krzyżyk lśniący tęczę.

## Rozdział 12

Podporucznik Grzegorz Marecki zdjął beret ze spoconego czoła i zaciskając go mocno w garści, opadł ciężko na krzesło. Kolejny upalny dzień mocno dawał się we znaki. Na zewnątrz temperatura osiągała czterdzieści pięć stopni Celsjusza, a dookoła rozciągały się tereny pustynne – znikąd cienia ani wiatru. Powietrze drgało nad horyzontem.

Grzegorz po raz pierwszy od dwóch miesięcy zobaczył prawdziwy strach w oczach swych podwładnych.

I tak należał do grupy szczęśliwców, bo jako oficer smażył tyłek głównie w kwaterze. Pozostali narażali się na patrolach, które wyznaczał.

Ich głównym zadaniem była ochrona afgańskiej ludności cywilnej i pilnowanie porządku w okolicy. Gdyby nie ten nieznosny upał, Grzegorz uznałby, że jego robota nie jest wcale taka zła. Całymi dniami przesiadywał w pomieszczeniu, które służyło za prowizoryczny gabinet, lub w kantynie, słuchał rozkazów z góry i dysponował je w dół.

Przed godziną na teren bazy wjechała kolumna pojazdów, a wśród nich humvee. Nic niezwykłego, po prostu powrót z pobliskiej wioski, gdzie żołnierze byli z wizytą lekarską. Tyle tylko że dziś ci ludzie wrócili jedynie dlatego, że jeden z nich miał dobre oko, refleks i kupę szczęścia.

Grzegorz podniósł słuchawkę i głosem nieznoszącym sprzeciwu rozkazał:

– Proszę do mnie wezwać kapral Janicką.

Wstał zza biurka i wcisnąwszy ręce do kieszeni spodni, spacerował nerwowo po gabinecie. W środku było równie parno jak na zewnątrz, sufitowy wentylator obracał się leniwie, robiąc sporo hałasu i ledwo nawiewając już i tak gorące powietrze. Grzegorzowi pot spływał strużkami po skroniach. Wtem drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich kobieta w pustynnym umundurowaniu.

– Panie podporuczniku. – Wyprężyła się jak struna i głośno stuknęła obcasami. – Kapral Anna Janicka melduje się na rozkaz!

– Spocznij!

Po oficjalnym wstępie nastąpiło rozluźnienie. Grzegorz lekko się przygarbił, a kobieta splótła ręce z tyłu, nad pośladkami.

– Siadaj – rzekł, wskazując niski fotel, sam zajął drugi.

Dzielił ich mały stolik kawowy. Na twarzy kobiety malowało się coś w rodzaju niepewności przemieszanej ze strachem. Obserwowała Grzegorza uważnie, nie wiedząc, w którym kierunku potoczy się rozmowa.

– Wody? – spytał, nalewając w dwie szklanki.

– Poproszę – odparła, nie wając się odmówić.

Po chwili milczenia Grzegorz wreszcie się odezwał:

– Anka, co się stało? Tyle godzin szkoleń i ćwiczeń, a ty tak po prostu zignorowałaś zasady bezpieczeństwa. Nie rozumiem, jak mogłaś tak się zachować.

Kobieta zagryzła wargi i widać było, że z całych sił powstrzymuje się przed rozklejeniem. Wydarzenia dzisiejszego dnia wystarczająco już wytrąciły ją z równowagi. Reprymendy Mareckiego na nic się teraz nie zdadzą – i bez nich doskonale wiedziała, że dała ciała.

Grupa, do której należała Janicka, zajmowała się współpracą z ludnością cywilną i miała za zadanie służyć jej pomocą na wielu obszarach. Jednym z nich było ustalanie i zaspokajanie jej potrzeb. Czasem chodziło o zaopatrzenie w wodę, a czasem o pomoc medyczną. W afgańskich wioskach ciężko było o lekarza, więc możliwość porady u specjalisty stacjonującego na misji miała dla tamtejszej ludności duże znaczenie. Ponieważ nie do pomyślenia było, by z afgańską kobietą rozmawiał mężczyzna, ważną rolę podczas patroli odgrywały kobiety. To one jeździły do wiosek i we trzy szły na rozmowę z Afgankami. W skład takiej trójki wchodziła zazwyczaj pielęgniarka,

ubezpieczająca ją żołnierka oraz tłumaczka. Towarzyszący im mężczyźni czekali w pojazdach.

Jak co kilka dni, tak i tym razem Janicka była na takim patrolu i w drodze powrotnej do bazy nieopatrznie naraziła siebie i kolegów na niepotrzebne ryzyko.

Za wsią rozciągała się mała zaniedbana winnica. W wielozadaniowym samochodzie terenowym humvee siedziała Anna, tłumaczka oraz kierowca. Za nimi i przed nimi jechały dwa inne pojazdy. Przejeżdżając tuż przy winoroślach, konwój nieco zwolnił ze względu na wertepy i żołnierze zza szyb oglądali krzewy. Dookoła panowała cisza. Z wysychających gałęzi zwisały pełne grona napęczniałe sokami, prawdopodobnie już przejrzałe.

Janicka bez zastanowienia uchyliła szybę i wyciągając dłoń, chwyciła miękkie grono. Sok pociekł jej po palcach, schowała rękę do samochodu i z zadowoleniem na twarzy spróbowała owocu. Był cudownie słodki, pachnący i aż gorący od słońca. Po chwili znów sięgnęła w stronę kiści. Już prawie dotykała jej palcami, gdy nagle poczuła silne szarpnięcie za lewe ramię i straciwszy równowagę, opadła na tłumaczkę siedzącą obok.

Humvee gwałtownie zahamował. W środku rozległ się krzyk kilku osób i auto stanęło.

– Patrz, co robisz! Chcesz nas wszystkich powybić?! – ta, która szarpnęła Janicką za ramię, teraz się na nią wydzieriała.

Anna spojrzała na nią ze zdziwieniem, niczego nie rozumiejąc. Kierowca wskazywał palcem coś za szybą.

– Patrz! – krzyknął przejęty. – Widzisz ten drut?

Wszyscy spojrzeli w prawo. Pomiędzy krzewami tuż nad ziemią rozciągnięty był rdzawy drut, kolorem przypominający gałęzie suchej winorośli i ledwie widoczny na tle czerwonej gleby.

– Jedno szarpnięcie i po nas – tłumaczył już ciszej. – To pewnie miny, a ty odbezpieczyłaś zapalnik!

Dopiero teraz do Anki dotarło, jak głupio zaryzykowała. Ogarnął ją ogromny strach, a zaraz potem wstyd. Łzy nie wiadomo kiedy napłynęły do oczu i cisnęły się na policzki, mimo że próbowała je powstrzymać.

– Jasne, rycz! – drwiąco zawołał kierowca. – Na wojnę się baba wybrała owoców pojeść, psia mać!

Pod winnicę zaraz wysłano saperów, a Anka teraz siedziała u Grzegorza.

– Przepraszam – to było jedyne, co mogła mu odpowiedzieć na jego zarzuty. – Nie chciałam.

– W nosie mam twoje przeprosiny! – wykrzyknął. – Dziewczyno, czy ty potrafisz trochę myśleć?! Na wakacje tu przyjechałaś?!

Anka siedziała skulona w fotelu i nie przestawała chlipać. Wyglądała bardziej na przestraszoną małą dziewczynkę niż na prawdziwego żołnierza.

Grzegorz uspokoił się nieco i czekał, aż Janicka wreszcie dojdzie do siebie. Właściwie nie miał jej już nic do powiedzenia, ale jeśli ją teraz wypuścił, taką mazgającą się, to nigdy już nie odzyskałaby szacunku u pozostałych żołnierzy, którzy i tak wystarczająco naigrawali się z jej dzisiejszej bezmyślności. Wiedział, że jeśli dziewczyna chce w spokoju dokończyć swą służbę w tym kontyngencie, musi zacząć od wyjścia z tego gabinetu na baczność i z dumnie podniesionym czołem. Na razie jednak zupełnie nie wchodziło to w grę, bo Anna nadal płakała, choć jakby nieco mniej.

O pracy w wojsku Janicka zaczęła myśleć jeszcze w liceum medycznym. Przyszło jej wtedy do głowy, że może to być całkiem ciekawy pomysł na życie, a jako osoba o sporym uporze konsekwentnie dążyła do może trochę nieprzemyślanego celu. Tuż po ukończeniu studiów pielęgniarstwa powróciła do myśli o karierze wojskowej. Marszobieg, podciąganie na drążku, bieg wahadłowy – egzamin sprawności fizycznej zdała bardzo dobrze. Po jakimś czasie doszła do wniosku, że podoła służbie, i nawet powoli zaczęła ją naprawdę lubić. O ile jej decyzja początkowo mogła się wydawać pochopna, o tyle wraz z upływem czasu Anna czuła się w wojsku coraz bardziej na miejscu. Bywały co prawda chwile, że miała wszystkiego dość, chciała rzucić armię w diabły i znaleźć sobie jakiś bardziej kobiecy zawód, który by tak nie męczył i nie absorbował, ale

po każdym takim kryzysie zawsze przychodziły lepsze dni, jej samopoczucie zwykowało i wszystko wracało do normy. Po kilku latach nie miewała już wątpliwości, przywykła zupełnie do wojskowego trybu życia i nie zamierzała go zmieniać. Złożyła nawet swój akces na misję i teraz wchodziła w skład personelu pomocniczego.

Siedząc bezradnie przed Grzegorzem, zupełnie nie wiedziała, co mu powiedzieć, bo sama nie rozumiała swojego nieostrożnego zachowania. Zadziałała pod wpływem jakiegoś nagłego, niepohamowanego impulsu, którego nijak nie potrafiła wyjaśnić, i wściekła była na siebie, że dopuściła się tak rażącego naruszenia zasad bezpieczeństwa. Być może należało to tłumaczyć zmęczeniem czy stresem, w każdym razie Janicka była jednocześnie zła na siebie i potwornie zażenowana swoim postępkami.

– Lepiej? – Grzegorz spytał łagodnie, widząc, że dziewczyna się już uspokoiła.

– Chyba tak – odparła niepewnie. – Pójdę już. Nie będę ci przeszkadzać. – Podniosła się z fotela, ale Grzegorz gestem kazał jej pozostać na miejscu.

– Posiedź jeszcze.

Anka znów opadła na fotel i nie wiedząc, gdzie podziąć wzrok, skubała rąbek kieszeni bojówek.

– Ale wstyd – odezwała się wreszcie. – Jak ja mam się im pokazać?

– No, nie da się ukryć – Grzegorz nie zamierzał jej pocieszać. – Przez jakiś czas będziesz obiektem drwin. I twoja płęć ci w tym nie pomoże.

– O, Boże – westchnęła. – Niech to się już skończy.

– Co? – Grzegorz nie zrozumiał, co ma na myśli.

– Ta cholerna misja!

Roześmiał się głośno.

– Jeszcze nawet nie dobrnęliśmy do połowy, a ty już masz dość?

– Tak. Nie marzę o niczym innym, jak tylko o domu. – W tym momencie miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Słuchaj – Grzegorz znów przybrał stanowczy ton. – Tu nie ma miejsca na tęsknoty. Jeśli się nie dostosujesz, to cię zgnebią. Będą po tobie jechać przy każdej nadarzającej się okazji. Im też nie jest lekko, też chcą do domu. Ale za cholerę nikt się do tego nie przyzna. A jak wyczują w tobie słabość, to dla podniesienia własnej wartości spieprzą ci psychikę. Sorry, lala, takie realia. Radzę ci wziąć się w garść i nie pokazywać swoich słabości. Tu nie ma miejsca dla słabych.

Anka uważnie słuchała tych słów. Odniosła wrażenie, że jego rady są szczerze i podyktowane sympatią.

Jeszcze przez chwilę posiedziała w gabinecie, po czym zebrała się w sobie, wstała, zsalutowała i obciągnąwszy bluzę, wyszła na zewnątrz.

Grzegorz obserwował ją przez okno. Jej sylwetka była wyprostowana, głowa dumnie uniesiona, a krok pewny i zamaszysty.

„No – pomyślał – da sobie radę”.

Zdawał sobie sprawę, że przejście przez dziedziniec musiało być dla niej katorgą. Od jej postawy teraz i w najbliższych dniach będzie zależało dalsze jej funkcjonowanie w bazie. Jeśli teraz nie da się złamać, to wytrwa do końca. A jeśli pęknie, to do domu wróci jako wrak człowieka.

Od tamtego zdarzenia podporucznik Marecki znalazł w kapral Janickiej wiernego kumpla. Ona była mu wdzięczna za wsparcie, a on miał kim się opiekować.

Grzegorz z natury był człowiekiem ciepłym i otwartym na ludzkie potrzeby. Lubił troszczyć się o bliskich i zapewniać im wszelkie wygody, oczywiście w miarę możliwości. Udział w misji był podyktowany właśnie poczuciem obowiązku wobec żony. W jego mniemaniu wyjazd miał podnieść standard życia jego rodziny. Tym bardziej że rodzinę tę od pewnego już czasu uparcie zamierzał powiększyć. Mając lat trzydzieści, Grzegorz marzył o dwóch rzeczach: o dziecku i o odpowiedniej ilości pieniędzy na godne życie. Tyle że jego żona nie czuła się jeszcze gotowa, by zostać matką. Irytowało go to coraz bardziej, choć Greta jeszcze przed ślubem jasno stawiała sprawę i zaznaczała, że na dzieci nieprędko się zdecyduje. Według niego drzemał w niej uspiiony instynkt macierzyński, który na pewno by się obudził, gdyby na świecie pojawił się mały Marecki.



Trud służby w warunkach niemalże wojennych mocno dawał się Grzegorzowi we znaki. Dopadała go na przemian melancholia, tęsknota i ogólne rozdrażnienie. Najprostszym sposobem na pozbycie się takich stanów byłby wieczór z piwem przy meczu, a potem upojny seks z żoną. No, ale jak się nie ma, co się lubi... to polubić można i Janicką.

Anna Janicka była szczupłą, dwudziestokilkuletnią blondynką o długich włosach i niebieskich oczach. Ładną, nieco zagubioną i przestraszoną Afganistanem.

Warunki w bazie były trudne i mocno odbiegające od normalności, a atmosfera z każdym dniem gęstniała. Stres, strach i tęsknota za najbliższymi coraz bardziej doskwierały żołnierzom. Trudnej sytuacji wcale nie poprawiał fakt, że na ograniczonym i zamkniętym terenie ulokowano sporą liczbę ludzi żyjących w ciągłym napięciu. Ogromna ilość testosteronu nagromadzona w jednym miejscu szukała ujścia, a że nie mogła go znaleźć – wszyscy chodzili co najmniej podenerwowani. Estrogen, będący w mniejszości, także rządził się swoimi prawami i nie ułatwiał przetrwania w sytuacjach, które znacząco różniły się od tych zwanych codziennymi. W normalnych warunkach rozeszłoby się to wszystko po kościach, spłynęłoby w strugach alkoholu, ale alkohol w miejscu pracy był zabroniony.

Po nieostrożnym zachowaniu Janickiej życie w bazie biegło na pozór tym samym rytmem co wcześniej. Dziewczyna zadała sobie wiele trudu, by z podniesionym czołem wciąż wykonywać swoje obowiązki, udawała silniejszą niż była faktycznie, ale rozklejała się, gdy czasem docierały do niej drwiny kolegów. Oczywiście wyobraźni widziała wtedy, jak sobie z niej dworują, choć w zdecydowanej większości były to jedynie jej imaginacje. W całej bazie był chyba tylko jeden nieżyczliwy jej człowiek – szeregowy Antoni Kowalski. Sam zapewne miał spore problemy z wytrzymaniem trudów służby i dla podbudowania własnej wartości konsekwentnie i dobitnie dokuczał Annie. Wygłaszał kąśliwe uwagi, że baby nie nadają się do wojska, pozwalał też sobie na drwiące uśmiešky i zawadiackie puszczanie oka gdzieś z sąsiedniego stolika w kantine. Niby nic, a jednak wyprowadzało to Ankę z równowagi. Próbowwała się odgryzać w obronie, ale przeważnie szła po słowo pocieszenia do podporucznika Mareckiego.

Mało rozgarnięty Kowalski nie zamierzał kończyć tego mobbingu, a nawet jakby zwielokrotnił swe ataki od momentu, kiedy zorientował się, że Anna szuka pomocy u Grzegorza i wyplakuje się na jego ramieniu.

Czasem tak się dzieje, że swoje słabości maskujemy atakiem na innych. Taką właśnie taktykę przyjął Kowalski i, jak na razie, sprawdzała się ona nie najgorzej, bo odciągała jego uwagę od własnych strachów i smutków.

Po kolejnym nieprzyjemnym spotkaniu z Kowalskim Anka znów postanowiła poszukać spokoju w gabinecie podporucznika.

– Niech ten rok się już wreszcie skończy – mówiła ze łzami w oczach i bezradnie spoglądała na Grzegorza. – Ja naprawdę nie mam już sił na tę służbę. Gdyby nie ty, tobym chyba oszalała.

Grzegorz słuchał uważnie, nie przerywając. Kiedy zamilkła na dobre, podniósł na nią wzrok i wnikliwie ją obserwował.

Niedługo po tej rozmowie Kowalski był wręcz rozchwytywany do robót. Sprzątano nim kible, kantinę, był w każdym konwoju saperskim, na wielu wartach nocnych i generalnie wszędzie go było pełno, bo takie dostawał rozkazy. W bazie nikt nic nie mówił, ale było tajemnicą poliszynela, za co Kowalski pokutuje. Jego dola stanowiła przestrożę dla wszystkich, którym przyszłoby do głowy, by zachować się nieodpowiednio.

W tym czasie w Grzegorzu bardzo rozwinął się instynkt opiekuńczy. Chyba z braku innych rozrywek, a przede wszystkim z braku żony, postanowił zaopiekować się Anną, ta zaś z przyjemnością dawała się sobą opiekować.

Życie na misji wciąż było trudne, ale szło do przodu, z każdym dniem przybliżając żołnierzy do dnia upragnionego powrotu do kraju. Nieustanny strach i niebezpieczeństwo towarzyszące ludziom na patrolach i wartach powodowały, że stawali się rozdrażnieni i pełni napięcia. W bazie zaczynały się panoszyć nieufność i ciągle podejrzenia. Szeregowy Kowalski, wykonując całą brudną robotę, obmyślał jednocześnie plan zemsty. Pole manewru miał niewielkie, bo w całym

kontyngencie był na razie jedyną czarną owcą, tak więc nie posiadał żadnych sprzymierzeńców. No i nie należał do ludzi zbyt bystrych, stąd zemsta za upokorzenie wciąż pozostawała jedynie w sferze planów.

Ponieważ biedak nie był w stanie nic wymyślić, w początkach sierpnia los przyszedł mu z pomocą i jakimś cudem sprawił, że podporucznik Marecki zapomniał się wylogować z poczty i ze skype'a po rozmowie z żoną. Grzechem byłoby nie skorzystać z takiej okazji, więc Kowalski podejrztał adres mailowy Greta i upewniwszy się, że jest w świetlicy sam, wysłał do niej anonimową informację: „Mąż znudzony szuka żony”.

Tylko tyle. Na razie. Na początek wystarczy, a potem wątek się rozwinie... Dobrze zasiane ziarno niepewności powinno dać w przyszłości cudowne plony.

Szczerze mówiąc, jeśli Kowalski chciałby być uczciwy, to na razie na pewno nie miał dla Greta żadnych rewelacji. Grzegorz zachowywał się poprawnie – owszem, widać było, że lubi Janicką, ale stąd do romansu droga mogła być jeszcze bardzo daleka.

## Rozdział 13

Z końcem lipca odbył się w Burzanach pogrzeb Maśluka. Ceremonia była wielce podniosła – ludzie tłumnie stawili się w kościele, a Michał wychwalał nieboszczyka trochę może ponad jego czyny. Na cmentarzu, kto stał bliżej grobu, ten trochę chlipał, a kto dalej, ten z sąsiadem wymieniał różne miejscowe plotki. Początkowo jeden drugiego zagadywał na temat wypadku, nie mogąc się nadziwić, ile to precyzji potrzeba, by wąskimi kołami wjechać wprost na siebie. Potem stopniowo ludzie odchodzili od tego wątku, jakby się już nudzić zaczęli, i rozprawiali o pogodzie najpierw, a później o tegorocznych żniwach.

Pogoda nadal dopisywała, temperatury w dzień były wysokie, a jedynie nocą robiło się chłodniej. Zebranych na cmentarzu lekki wiaterek smagał po twarzach i rozwiewał co niesforniejsze fryzury. Ludzie poubierali się cienko, ale i tak w tej ciżbie trudno wytrzymać było tym, którzy mieli delikatniejsze nosy, bo ludziska powyciągali z szaf co lepsze ubrania, przeważnie ze sztucznych materiałów, które za żadne skarby nie chciały przepuszczać powietrza. Skutkiem tego na placu cmentarnym powiewało smrodkiem potu. Ale, co tam higiena! Ważne, że tak tłumnie przyszli pożegnać sąsiada!

Na samym końcu tej ludzkiej gromady stała, ledwo się trzymając na nogach, zgięta w pół starowinka podparta długą krzywą żerdzią. Na stopach miała zbyt duże góralskie kapciuszki, a o kolana trzepotała jej falbaniasta spódnica. Na głowie zawiązała kwiecistą chustę, a nos jej zdobiły strasznie grube szkła w rogowej oprawie. Całość babcinej postaci nie stanowiła wcale rażącego kontrastu z pozostałymi żałobnikami. Taką babunię nieraz każdy widział. Jedyne, co mogło zastanawiać w jej stroju, to gruby watowany serdak, mimo bardzo ładnej przecież pogody.

Serdak wyglądał na bardzo stary, choć pewnie był młodszy od babci. Kto miałby okazję zajrzeć weń od podszewki, ten ujrzałby mnóstwo lat. Stanowiły one kolorystyczny miszmasz – łąty w kratę mieszały się tu z łątami w kwiaty, a te z kolei były przemieszane z łątami jednokolorowymi. Wszystkie były mniej więcej kwadratowe, naszywane ręcznie, gęsto raz koło razu, na okrętkę niemi w przeróżnych kolorach.

Po części oficjalnej pogrzebu odbyła się stypa. Na podwórze nieboszczyka zeszło się ze trzydzieści osób i wszystkie zasiadły przy prowizorycznie skleconych z desek stołach. Pousadzały się ciasno jedna przy drugiej i zaczęły jeść jakąś gęstą zupę. Nieważne zresztą jaką, ważne, że ciepłą i sycącą, bo lud zdążył już zgłodnieć porządnie na cmentarzu. A co jeszcze ważniejsze – do zupy podano spory baniak bimbru, pędzonego jeszcze przez Maśluka. Od razu ludziom się lepiej go wspominać zaczęło. Trudno to było nazwać imprezą, ale zawsze to jakaś biesiada. Pod wieczór wszyscy zaczęli się rozchodzić, a rodzina nieboszczyka dopiero teraz mogła zacząć porządnie go oplakiwać, bo wcześniej to zwyczajnie nie było czasu.

Poza tym w Burzanach i okolicy życie toczyło się swym normalnym rytmem. Zajęcia tutejszej ludności na przełom lipca i sierpnia ograniczyły się przeważnie do wysiadania pod chałupami, tudzież drobnych prac w ogrodach lub skromnych żniw. Raz w tygodniu, w czwartek, odbywał się obowiązkowy jarmark, a wieczorami przychodził czas na odpoczynek po ciężkim dniu, czyli sąsiedzkie ploteczki pod płotami.

Nieco inaczej biegło życie w Zaciszu. Tutaj praca trwała niemal na okrągło – Oleg chętnie by widział u siebie robotników i w niedziele, ale wolał się nie wychylać. Oprócz Nawrockiego z ekipą i Daniła na terenie dworu krzątało się teraz wielu innych ludzi. Wszystkich ich ściągnął Oleg z Warszawy i Białegostoku. Byli tu dekarze, brukarze, architekci zieleni i dekoratorzy wnętrz. Ciężkie pieniądze szły na całą rzeszę tych robotników, bo trzeba było im zapewnić wyżywienie, lokum, no i byli to ceniący swą robotę fachowcy, więc do tanich nie należeli. Za to efekty ich pracy dało się zobaczyć niemal od razu. Zacisze piękniało z każdym dniem, park przechodził rewitalizację, dookoła karczowano wszystkie samosiejki, koszono łąki, budowano parkany i planowano klomby i aleje. Oczyszczono nawet teren wokół źródła z pochylą wierzbą, uważając

jednak, by nie zniszczyć bobrzeżo żeremia. Sam bóbr na czas robót w jego obejściu zniknął na trzy dni i obawiano się, że już nie powróci. Ale chyba tylko głupi wyniosłby się dobrowolnie z takiej okolicy.

Robota szła pięknie, Oleg nadzorował ją początkowo osobiście, a potem już tylko przez telefon, bo wyjechał do Lwowa. Miał tam parę rzeczy do zrobienia. Poza tym Jan alarmował o pilny przyjazd, bo musiał się koniecznie skonsultować w pewnej delikatnej sprawie.

Pierwsze swe kroki we Lwowie Oleg skierował do pracowni jubilerskiej.

– Czołem pracy! – zawołał już od progu do Jurija, starszego jubilera.

– Uszanowanie, szefie – odpowiedział pracownik ze służalczą uniżonością.

– Jak idzie interes? – spytał Oleg od niechcienia, jakby nie bardzo mu na nim zależało.

– A, dobry sezon, panie, dobry. – Jurij z zadowoleniem zatarł rękę.

– No to świetnie.

– Co szefa do nas sprowadza? – Jurij był nieco podejrzliwy. – Pańskie oko konia tuczy, co? – zaśmiał się trochę nerwowo.

– Jest sprawa, Jurij. Na cito. – Oleg wyjął z kieszeni lnianej marynarki garść kamyków, monety i krzyżyk.

Rozsypał to wszystko na ladzie i po kolei wydawał dyspozycje. Na początek wszystko należy wyczyścić, wypolerować, co trzeba – oszlifować, nadać błysk, dostosować do potrzeb. Oleg umyślił sobie, że złotą pięciorublowkę i tak podaruje Grecie, mimo jej sprzeciwu. Poleciał Jurijowi nawiercić w niej mały otworek i doczepić złoty uchwyt do łańcuszka. Rozejrzał się po paletach ze złotymi łańcuszkami i wszedł za ladę, po czym wyjmował je po kolei i przykładał do monety. Wybrał kilka w tym samym kolorze co pieniędzy i zastanawiał się przez chwilę, który będzie pasował. Ostatecznie położył przed sobą trzy sploty: kłos oraz żmijkę okrągłą i kwadratową. Wszystkie były niegrube, ale sprawiały wrażenie solidnych i mocno wyróżniały się na tle jego dłoni. Będą pięknie połyskiwać na kobiecej piersi... Po chwili namysłu zdecydował się na okrągłą żmijkę.

– Przygotuj mi to na jutro – polecił Jurijowi, składając mu w dłoni monetę i łańcuszek.

– Uuu... – stary jubiler aż zagwizdał. – Stareńkie. Ale cacko...

Choć był ciekaw, skąd Oleg wziął monety, to jednak nauczony doświadczeniem nie spytał. Lepiej w życiu za dużo nie wiedzieć.

– I jeszcze wkomponuj ten kryształ – wskazał na największy – w srebro.

– Robimy broszkę, proszę pana? – chciał wiedzieć Jurij.

– Raczej nie – zawahał się Oleg. – Zrób pierścień. Opleć go asymetrycznie srebrnymi nitkami, niech wygląda jak owoc bawełny gotowy do zbioru.

„Ot, wymyślił – przeląkł się Jurij w duchu. – A skąd mnie znać bawełnę? Co to ja, Scarlett O’Hara?” Głośno zaś powiedział:

– W jakim rozmiarze?

Oleg zastanowił się. Nie znał średnicy palców Grety. Postanowił więc strzelać:

– Piętnastka. Albo nie, może czternastka.

Pierścionek będzie spory i dość ciężki, więc żeby ładnie trzymał się na palcu bez przekręcania się na boki, powinien być nieco przyciasny. W przeciwnym razie ciężar będzie go obracał i ciągnął w dół.

– Zrobi się czternastkę. – Jurij kiwnął głową. – A obrączka ma być wąska czy szersza?

– Szeroka – zdecydował Oleg. – Tylko zachowaj proporcje. I wygraweruj ją w wyżynkę.

– W co? – wyrwało się Jurijowi.

Oleg spojrzał na niego z uśmiechem.

– Przejdź się pod Teatr Skarbkowski i wstąp tam na bazarek. Przyjrzyj się dokładnie wszystkim rubaszkom i ich haftom. Najładniejszy nanieś na obrączkę.

– Aha – odparł zbaraniały Jurij. – Tak zrobię.

– No – Oleg nie krył zadowolenia. – Na jutro.

– Jasne – odpowiedział jubiler. – Na jutro.

W duchu zaś pomyślał: „Diabli go nadali. Hafciarkę ze mnie będzie robił...”.

Oleg już był w progę, ale jeszcze mu się coś przypomniało, więc odwrócił się i powiedział:

– Jeszcze jedno. – Wyjął z drugiej kieszeni zmiętą kartkę z Daniłowym projektem jarzębinowym. – Jakie mamy w tej chwili kamienie do dyspozycji?

– Na zapleczu są onyksy, sporo krzemienia, jakiś rubin się znajdzie, szafiry, trochę agatów i opał. A czego pan potrzebuje?

– Popatrz na to. – Oleg rozłożył kartkę. – Wyobrażasz sobie coś takiego?

Jurij obracał papier w dłoni, mnąc go jeszcze bardziej.

– Jak myślisz – spytał Oleg – sprzedałoby się?

– Ludzie wszystko kupią – odparł Jurij. – A to całkiem przyjemnie wyjść może...

– Tak myślałem – Olegowi taka odpowiedź wystarczyła. – W takim razie bierz się do pracy. Zadzwoń do Jana, niech ci dowiezie czerwony koral. Ile czasu potrzebujesz?

Jurij wiedział, że jak Oleg coś zleca, to ma być na za chwilę, więc nie ma rady, trzeba się brać ostro do pracy, choćby wypadało siedzieć nawet po nocach.

– Na pojutrze już coś będzie. A robimy ten koral w złocie czy srebrze? I co mam zrobić na początek?

– W srebrze. Zaczynaj od naszyjnika. Ale moneta i kryształ będą na jutro? – upewnił się Oleg.

– Tak jest, jasna sprawa.

No, co najważniejsze – zrobione. Teraz przyszedł czas, by odwiedzić Jana i Irminę.

Spotkali się wieczorem na Nowym Świecie, u Irminy. Gospodyni zaserwowała wystawną kolację zwieńczoną winem z krymskich winnic.

– Irminko – odezwał się Oleg – uwielbiam twoją kuchnię, ale wino masz okropne.

– No co ty?! Smaki dzieciństwa już ci nie pasują?

– Nie pijałem w dzieciństwie Szabo. Poza tym nigdy nie lubiłem wina.

– A co się pija na tej twojej prowincji? – zagadnął Jan.

– Przyjedź, to zobaczysz – odparł Oleg. – Niektórzy piją piwo, a inni bimber, ale większość to pije tanią wódkę.

– A jak ci się tam żyje? – zapytała Irmina. – Jeszcze ci nie nudno?

– No właśnie – podłapał temat Jan. – Kiedy wracasz? Bo jest interes do zrobienia.

Oleg uniósł brwi w oczekiwaniu na rozwinięcie tematu.

– Słuchaj – kontynuował wspólnik – możemy wejść w australijskie diamenty. Co ty na to?

– Na antypodach jeszcze nie kopałem – zaśmiał się Oleg.

– Stary, nie żartuj – zirytował się Jan. – To mi wygląda na naprawdę dobry interes.

Wieczór upłynął im na omawianiu rozmaitych planów. Jan z Irminą byli zdania, że należałoby skorzystać z nadarżającej się okazji, ale Oleg wykazywał dużo mniej entuzjazmu, niż można było się po nim spodziewać. Ostatecznie nie powiedział „nie”, ale bardziej ciągnęło go do Polski i do końcowej fazy jubilerstwa niż do kopalni kamieni szlachetnych.

Jan postanowił przypuścić szturm. Wyciągnął laptop i dotąd drążył temat, aż Oleg nieco zmiękł. Właściwie nie trzeba go było przekonywać do tych diamentów, doskonale zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie jest to świetny interes. Poza tym skoro Jan już się zajął tą sprawą, to znaczy, że da się na tym nieźle zarobić, i to zupełnie uczciwie. Przyjaciel nie był typem ryzykanta – jeśli się czegoś podejmował, były to sprawy czyste.

Koło północy osiągnęli konsensus i ustalili, że australijskie brylanty, a i owszem, mogłyby im się przydać. A w każdym razie, że nie zaszkodzą. Oleg postawił tylko jeden warunek: jego fundusze są do ich dyspozycji, ale osoba już nie. W tej kwestii był uparty jak osioł i zdania nie zmienił. Jak najszybciej zamierzał wracać do Ordów, kończyć remont dworu i wziąć się wreszcie na całego do zdobywania Grety.

Siedząc tak przy krymskim winie, uświadomił sobie, że od prawie trzech miesięcy nie był z żadną kobietą. Taka powściągliwość seksualna była mu w zasadzie obca i doszedł do wniosku, że Greta Greta, ale jakaś kobieta by mu się przydała. W końcu wierności i miłości żadnej nie obiecywał, więc czas był chyba najwyższy, by wreszcie się odprężyć.

Wyszli z Jankiem po północy i pojechali jedną taksówką. Jan wysiadł pod hotelem George,

Oleg zaś kazał się zawieźć pod hotel Citadel i tam rozsiadł się wygodnie w restauracji Garmata. Nieliczni goście zajmujący stoliki pod ścianą prowadzili głośne rozmowy przetykane wybuchami śmiechu. Po przeciwległej stronie pomieszczenia hotelowa orkiestra grała smętne melodie, jakby tylko czekała zamknięcia restauracji.

Do Olega podszedł wyelegantowany kelner gotów przyjąć zamówienie.

– Poproszę ślimaki w maśle czosnkowo-ziolowym, pieczoną kaczkę z kasztanami i butelkę finlandii.

– Oczywiście – odparł kelner i już chciał odchodzić, gdy Oleg dorzucił jeszcze:

– I do tego przyślij mi tu jakąś miłą panią i przygotuj dobry pokój.

Kelner spojrzał dość nieufnie, ale oględziny chyba wypadły pomyślnie, bo skinął tylko głową i odszedł do kuchni.

W ciągu kwadransa na stoliku pojawiła się przystawka i wódka. Kelner napełnił kieliszek i odszedł. Kaczkę przyniósł trochę później. Oleg właśnie ze smakiem zjadał dobrze przyprawione ślimaki i popijał kolejnym kieliszkiem wódki, kiedy do stolika podeszła schludnie ubrana szczupła blondynka z nieco zbyt mocnym, ale starannym makijażem.

– Pan chyba na mnie czeka – uśmiechnęła się przymilnie.

Spojrzał na nią znad talerza ślimaków i dokonał szybkiej oceny. Kobieta była zadbana, ubrana w markową, dobrze skrojoną, czerwoną garsonkę ciasno opinającą jej ciało. Cieliste pończochy błyszczały w restauracyjnym przyćmionym świetle. Nosila wysokie klasyczne czerwone szpilki, a na lewym łokciu miała zawieszoną sporych rozmiarów torebkę Birkin, o którą wspierała wypięłgnowaną dłoń z długimi tipsami. Włosy upięła w koński ogon spinką ozdobioną błyszczącą kulką. W uszach połyskiwały małe kamyczki Swarovskiego.

Oleg lekko uniósł się w krześle, wskazując jej miejsce naprzeciw siebie.

– Siadaj. Jak masz na imię?

– Swietłana – odpowiedziała.

– OK, Swietłana. Jesteś głodna? – Wskazał na talerz, gotów się z nią podzielić.

– Nie, dziękuję – odparła.

– W takim razie idź, zmyj makijaż, a ja tu na ciebie poczekam – powiedział.

Dziewczyna wyglądała na zdumioną. Wgapiła się w Olega, nie ruszając się z miejsca.

– No co? Pobrudzisz mi koszulę – wyjaśnił.

Kiedy wróciła z toalety, Oleg jadł już kaczkę.

– No, od razu lepiej – pochwalił. – Wódki?

– Poproszę – zgodziła się Swietłana.

Skinął na kelnera.

– Kieliszek dla pani.

Kwadrans później weszli do luksusowego apartamentu. Oleg poluzował krawat i zamaszystym ruchem rzucił go na fotel. Podszedł do stolika, na którym stały napitki, i wybierając wódkę, nalał w dwie szklanki.

– Nie będziemy dziś mieszać – powiedział jakby do siebie, załując stojącej obok whisky. – Napij się, a ja idę pod prysznic.

Po kilku minutach wyszedł z łazienki w hotelowym szlafroku. Swietłana siedziała na łóżku i sączyła alkohol.

– No, laleczko – odezwał się Oleg. – Do roboty. Na początek popracuj ustami.

Swietłana odstawiła szklankę, spojrzała na niego wyzywająco i cisnęła w kąt swoje czerwone szpilki. Potem rozpięła guziki żakietu i odchyliła jego poły. Jej ruchy były powolne, wiedziała, jak rozbudzić zmysły klienta. Chwyciła za brzegi żakietu, zastygła w pół gestu, po czym powolutku go z siebie zdjęła i rzuciła na fotel. Została w seksownym czarnym biustonoszu, którego miseczki były głęboko wycięte. Usiadła na brzegu łóżka w rozkroku tak dużym, jak pozwalała jej wąska spódnica, i przyciągnęła Olega do siebie za pasek szlafrocka. Mężczyzna sięgnął pod jej spódnicę. Nie miała majtek. Chwycił za udo i poderwał materiał do góry w poszukiwaniu zamka. Po chwili tkanina zsunęła się na podłogę po śliskich pończochach. Swietłana rozwiązała jego szlafrok i rozchyliła na boki. Ukłękła i zaczęła wykonywać wcześniejsze polecenie. Oleg zacisnął

wargi i zamknął oczy. Swietłana, nie zaprzestając pieszczoty, delikatnie popchnęła go na łóżko.

W ciągu tej nocy posiadał ją kilkakrotnie. Przyłapał się też na tym, że zaczyna sobie wyobrażać, że Swietłana to Greta. W każdym takim momencie krew wzbierała mu w skroniach i łądźwiach, a tętno wyraźnie przyspieszało.

Potem wrócił do siebie na Kopernika i do późnego popołudnia leżał w łóżku, snuł się po pokojach i palił jednego papierosa za drugim. Z jednej strony noc z prostytutką pozwoliła mu się poczuć jak dawnemu Olegowi, a z drugiej niepokoiło go, że wszystkie jego myśli obracają się wokół Greta. Nie był z tego powodu zadowolony, bo to oznaczało rodzaj jakiegoś uzależnienia, a na takie słabości nigdy dotąd sobie nie pozwalał.

Dopiero przed wieczorem wyszedł z domu i pojechał do Jurija. Ten na jego widok zniknął na zapleczu i po chwili pojawił się z przygotowaną biżuterią. Złoty łańcuszek z rublówką prezentował się wyśmienicie, tworząc bardzo oryginalną ozdobę – w końcu nieczęsto nosi się pieniądze na szyi, i to w dodatku tak stare pieniądze. Pierścionek z kryształem górskim również zadowolił szefa. Surowa bryła kamienia została jedynie oczyszczona, a następnie precyzyjnie opleciona srebrną nitką. Oleg zabronił w swojej pracowni wklejania kamieni. Złotnicy mieli jedynie możliwość zakuwania ich lub oplatania złotem, srebrem albo platyną.

Szeroka obrączka pierścionka została wygrawerowana na podobieństwo tradycyjnych ukraińskich haftów krzyżykowych. Efekt tej precyzyjnej roboty był zaskakujący.

– No, Jurij, widzę, że wstąpiłeś na bazarek – uśmiechnął się Oleg.

– A pewnie – odparł dumny jubiler. – I już wiem, co to jest nyzynka.

Obaj byli wyraźnie zadowoleni.

– Świetna robota – pochwalił przełożony. – Zasłużyłeś na premię.

– Dziękuję, szefie – Jurij był w siódmym niebie. – Ale mam coś jeszcze. Pan zechce spojrzeć – rzekł, po czym znów zniknął na zapleczu.

Wyłonił się stamtąd zaraz, dzierząc popiersie manekina z umieszczonym na nim ogromnym naszyjnikiem bogato zdobionym koralami.

– Już? – zdziwił się Oleg.

Cacko było jakby żywą kicią jarzębiny zakłęta w srebro. Nieregularne kulki koralu nanizane zostały na srebrne patyczki i zebrane w jednym miejscu, tworząc pękata kiść. Spomiędzy nich wydobywały się cienkie, długie, srebrne liście, które pięknie układały się na piersi. Całość utrzymywał zmyślny zamiennik łańcuszka – Jurij musiał się sporo natrudzić, by nadać mu kształt cienkiej gałązki. Jeśli nawet projekt wyglądał nieco kiczowato, to naszyjnik już taki nie był. W połączeniu z prostotą skromnej sukni z pewnością doda wdzięku niejednej kobiecie.

– Cudo – skomplementował Oleg. – Zrób jeszcze jeden taki. Ten zabieram ja.

Jurijowi mina nieco zrzęda. Cieszył się, że Oleg wyraził uznanie dla jego pracy, ale kolejny taki naszyjnik oznaczał kolejną porcję ciężkiej roboty.

– Przelicz wartość materiałów – polecił Oleg, wskazując na naszyjnik.

– Będzie jakieś tysiąc hrywien – odrzekł jubiler po zastanowieniu.

– Świetnie. To rób drugi taki i wystaw go za tysiąc czterysta. Zobaczymy, czy będzie zainteresowanie.

– Aha, szefie – Jurij sobie coś przypomniał. – Te małe kurewki, co to je pani Irmina przyniosła, to świetnie poszły. Może by więcej takich?

– Kurewki, mówisz? Może je zaczniemy w srebrze odlewać w naturalnej wielkości? – zażartował Oleg. – Dobra, pomyśli się.

Teraz Oleg mógł już wracać do Zacisza. Załatwił we Lwowie wszystko, co chciał, i nic go już tutaj nie trzymało. A zrobiona przez Jurija biżuteria jakby piekła go przez kieszeń i ponaglała do wyjazdu – tak bardzo mu było spieszno obdarować nią Gretę. Wyruszył więc na noc ze Lwowa, by rano zastał go już w Ordach.

Podróż minęła szybko, nocą ruch był niewielki, więc Oleg bez przeszkód dotarł do dworu. Prace remontowe szły ustalonym rytmem, nic nieprzewidzianego nie zdarzyło się pod jego nieobecność. Obszedł swoje włości, by popatrzeć, jak idzie praca, i na końcu zbliżył się do Daniła, który nadal strugał wzorki w belkach sufitowych.

– Hej! – zawołał od progu. – Coś ci pokażę. Poznajesz?

Danił spojrział na zawieszony na dłoni Olega naszyjnik. Podeszedł bliżej i dotknął korali.

– Jak ci się podoba? – spytał Oleg.

– To z tego mojego rysunku? – nie dowierzał Danił.

– No – odparł Oleg dumny jak paw.

– Ładne – to było jedyne, na co zdobył się Danił, ale czuć było, że naszyjnik naprawdę zrobił na nim wrażenie.

– Złożyłeś podanie o paszport?

– Złożyłem – odparł chłopak. – A ten wyjazd aktualny?

– No pewnie. – Oleg poklepał go po ramieniu.

Na podwórzu rozległ się jakiś rwetes poprzedzony warkotem silnika. Oleg wyszedł przed dom i zobaczył podjeżdżającego Nawrockiego.

– O Jezusie! – krzyknął szef budowy. – Toż myślałem, że zdążę przed szefem.

– To tak pracujesz pod moją nieobecność? – spytał Oleg surowo, choć nie miał zamiaru go besztać, jedynie postraszyć.

– Ajajaj, przepraszam! – Nawrocki był przerażony. – Ale mojej babce coś się we łbie przewróciło, pałką mnie przez grzbiet poczęstowała! W jakiś szal wpadła, to i poczekać chciałem, aż jej przejdzie. Przepraszam szefa najmocniej! – kajał się, jak umiał.

– Jaka babka, Nawrocki? Co ty wygadujesz? – Oleg nic z tego nie rozumiał.

– No toż moja babka. Musi zdurniała!

– To ty masz jeszcze babkę? Żywą?

– No jeszcze żywą, ale już głupią – Nawrocki trochę się uspokoił.

– A ile ty masz lat, Nawrocki? – Olegowi coś się w tej opowieści nie zgadzało.

– Sześćdziesiąt trzy, a bo co? – teraz to Nawrocki nie rozumiał.

– Jak ty masz sześćdziesiąt trzy – odparł Oleg – to twoja babka powinna mieć ze sto trzy!

– Ooo... babka to ma i więcej pewnie – odparł Nawrocki. – Nikt nie wie, kiedy się urodziła, tylko mówili ludzie, że ją chrzcili, jak miała pięć lat, i od tego czasu jej wiosny liczą. Babka może mieć i ze sto pięć.

– Ładny wiek – zadumał się Oleg. – Ale mówisz, że zdurniała?

– No, chyba! – Nawrocki podrapał się w głowę, unosząc lekko kaszkiet. – Pralkę rano chciałem włączyć, zbierałem szmaty do bębna i było jeszcze trochę miejsca, to pomyślałem, że można by uprać serdak babki. Bo on, szefie, chyba nigdy nieprany. Ciągłe nosi go na sobie, bez względu na pogodę i za nic dotknąć się do niego nie da. Od razu po łapach wali. A mnie dziś przez grzbiet dała...

Oleg i wszyscy zgromadzeni wokół wybuchli śmiechem, tylko Nawrocki stał naburmuszony. Żeby kompletnie się nie ośmieszyć w oczach szefa i podwładnych, odgrażał się jeszcze:

– Ale ja jej i tak ten serdak kiedyś upiorę!

Babka Nawrockiego była to ta sama starowinka, która stała z tyłu podczas pogrzebu Maśluka. I miał rację Nawrocki, twierdząc, że serdak nigdy nie był prany. Ciekawe, czy wiedział, ile w nim było lat...

Wszyscy wrócili do swych robót. Jeden tylko Oleg nie mógł znaleźć miejsca dla siebie – chciał jak najszybciej zobaczyć się z Gretą. Chyba pojedzie do księdza...

– Danił? – odezwał się zniecierpliwiony. – Była tu może Greta?

– A bo to raz? – odparł chłopak zgodnie z prawdą.

– Ale wczoraj? – opryskliwie spytał Oleg. – Albo może dzisiaj?

– Nie, ona do Warszawy wczoraj wróciła.

– Jak to?!

– Normalnie – Danił nie rozumiał zdziwienia Olega. – Do pracy przecież.

– A kiedy przyjedzie?

– Może na jaki weekend... – młody artysta bardziej zgadywał niż wiedział.

– O, cholera!



Myśleć, myśleć, myśleć... Jak to rozegrać? Adres Grety zdobyć może bez trudu – ludzie zawsze wypalają. A jak nie, to Irminka ją w tej stolicy wywęszy w przeciągu paru godzin. Ale co potem? Stanie w drzwiach? I co powie? Że przechodził przypadkiem obok? Może wpaść na nią na ulicy? Już lepiej, ale co dalej? Zaprosić na kawę? Do kina?

Nie! Oleg nie po to przeflancował się na wieś zabita dechami, żeby zostać teraz tam samemu. O, na pewno nie! Choćby nie wiem co, ściągnie ją tu z powrotem.

## Rozdział 14

Sierpień w Warszawie był upiorny. Miasto rozgrzane do granic możliwości, asfalt uginający się pod stopami, gorące betony i chroniczny brak wiatru powodowały, że kiszącym się w tym tyglu ludziom odchodziła ochota do życia.

Greta bardzo niechętnie wróciła do miasta i pracy i nic nie sprawiało jej tu przyjemności. Jeszcze bardziej od lejącego się z nieba żaru dokuczała jej samotność w czterech ścianach mieszkania. Dopiero tu odczuła brak Grzegorza – w Burzanach łatwiej jej było znosić jego nieobecność. Tutaj stawała się ona nie do udźwignięcia i niemal ponad jej siły. Już po dwóch dniach miała ochotę wyć z bezradności i tęsknoty.

Zakładała co rano najcieńsze ubranie, wskakiwała do jeepa i jechała do banku na drugi koniec miasta. Tam też jakoś nie mogła znaleźć sobie miejsca. Obowiązki wykonywała jak zwykle sumiennie, ale już bez typowych dla niej polotu i radości.

Tak minął pierwszy tydzień sierpnia i prawie cały drugi. Po dziesiątym sierpnia kadrowa poprosiła ją do swojego gabinetu i wręczyła oficjalne pismo, w kilku słowach tłumacząc decyzję szefostwa. Wypowiedzenie zaskoczyło Gretę kompletnie. Grzecznie wytłumaczono jej, że w banku szykują się zmiany – bo kryzys, bo poszukiwanie oszczędności – i w związku z tym zarząd jest zmuszony zredukować etaty. Z końcem listopada firma zamierzała się z nią pożegnać. Po siedmiu latach rzetelnej pracy. Greta stała jak zbaraniała, a kadrowa niecierpliwie czekała, aż sobie wreszcie pójdzie.

Cały wieczór ryczała do telewizora, chrupiąc chipsy i popijając piwem. Przyszło jej nawet do głowy, że gdyby Grzegorz nie wyjechał na tę cholerną misję, to ona na pewno nie brałaby urlopu i wtedy może by jej nie zwolnili.

Rano poczłapała niechętnie tam, skąd postanowili ją zwolnić. Ledwo wysiedziała do końca dnia, nie mogąc się na niczym skupić. Miała natłok myśli i jedyne, na co wpadła, to że nie zamierza przez najbliższe trzy miesiące przychodzić tu ze świadomością, że na jej miejsce mają już pewnie kogoś innego. Zgarnęła do torebki kilka prywatnych drobiazgów z biurka i zamaszystym krokiem wyszła z biurowca, z nikim się nawet nie żegnając.

Jako żonie żołnierza przysługiwała jej wojskowa opieka medyczna, poszła więc do przychodni i od razu udało jej się dostać do gabinetu doktora Łukasika. Nie owijając w bawełnę, poprosiła o kilka dni zwolnienia. Lekarz wysłuchał jej uważnie, po czym chwilę się namyślał i powiedział:

– To mówi pani, że bardzo boli panią kręgosłup?

Greta osłupiała na moment, ale zaraz zrozumiała, do czego doktor zmierza.

– Tak, panie doktorze. Bardzo boli.

– Tak... Nic dziwnego, ile można wytrzymać przy komputerze? Wy, młodzi, macie za mało ruchu. A może to jakieś zwyrodnienie? Co pani o tym myśli?

– Oj tak. Myślę, że to może być zwyrodnienie.

– Powinna pani dużo odpoczywać. Może skieruję panią na rehabilitację?

– Oj, może nie? – Grecie się ten pomysł zupełnie nie spodobał.

– Może skieruję panią na rehabilitację? – doktor Łukasik dobitnie powtórzył pytanie i Greta wyczuła, że jeśli odmówi, to całe negocjacje mogą wziąć w łeb.

– Tak, poproszę o rehabilitację – odpowiedziała.

Kwadrans później wracała do domu z trzytygodniowym zwolnieniem i skierowaniem na rehabilitację. Nie przypuszczała, że tak łatwo jej pójdzie.

Tego wieczoru znów płakała i zapijała smutki, ale były to ostatnie chwile jej słabości. Solennie sobie obiecała od jutra wziąć się w garść i rozejrzeć za jakimś nowym, lepszym zajęciem. Ale jeszcze tego wieczora wyła do kamerki internetowej podczas rozmowy z Grzegorzem.

– Grześ... – ryczała. – I gdzie ja teraz znajdę pracę?

– Skarbie – pocieszał ją mąż – nie przejmuj się tymi fiutami. Jeszcze pożałują, że cię wywalili. Zobacysz. Jesteś przecież mądra, wykształcona, ładna...

– No to co? – Greta pociągała nosem. – Ale ja już jestem za stara na łożenie od biurowca do biurowca i żebranie! Ja chcę ciepłej posadki.

– Kotku – Grzegorz okazywał dużo cierpliwości, ale miał świadomość, że żadne słowa nie pocieszą teraz żony, więc uważał swoją gadaninę za bezsensowną – podobno w dzisiejszych czasach człowiek musi być przygotowany, że w ciągu swojego życia zawodowego osiem razy się przebranżowi. W takim razie jesteś na początku tej drogi – uśmiechnął się, ale tylko ją tym rozsierdził.

– Wielkie dzięki! – nadal chlipała. – To żeś mnie pocieszył.

To już były naprawdę ostatnie chwile jej słabości. Postanowiła, że już nie będzie płakać przez byle dyrektorzynę. Nie chcą jej? Trudno, przełknie to upokorzenie i poszuka sobie czegoś innego.

Z całych sił starała się sobie przetłumaczyć, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, ale jakoś nie była w stanie siebie przekonać. Resztką niczym nieuzasadnionej głębokiej wiary w lepsze jutro próbowała kurczowo się utrzymać na powierzchni. Jednak, chociaż obiecała sobie, że będzie silna i się już nie poryczy, nie dała rady dotrzymać słowa – lzy same pchały się na policzki i za nic nie chciały przestać płynąć.

„No i diabli wzięli moją fajną posadkę” – pomyślała na koniec.

Wieczór przesiedziała, przeglądając sieć i szukając ofert pracy w całej Polsce. Szło jej marnie, ale była bardzo zdeterminowana. Nigdy nie należała do obiboków, była pracowita i nie przerażała jej żadne zajęcie. Do tego miała dość pogodne usposobienie – zawsze wolała dostrzegać te lepsze aspekty życia, dla niej szklanka nigdy nie była w połowie pusta. Jedną tylko cechą jej charakteru stanowiła pewną przeszkodę: duma. A niestety, szukając pracy, dumę trzeba schować głęboko do kieszeni i po prostu uprawiać rodzaj żebractwa. Bo czym innym jest szukanie pracy, jeśli nie żebractwem? Ale i to się da przecież pokonać – Greta była o tym przekonana.

Przejrzała skrzynkę mailową. Od pewnego czasu dostawała, dość regularnie, krótkie zaczepki z obcego adresu o treści, która wydawała się jej bez sensu. Pierwszą taką wiadomość zignorowała zupełnie, druga ją nieco zastanowiła. Pomyślała, że ktoś się musiał pomylić. Przy trzeciej i czwartej nabrała wątpliwości i zaczęła sobie wyobrażać Bóg wie co, a przy piątej skarciła samą siebie za to, że dała się podpuścić jakiemuś żartownisiowi. Ze swym analitycznym podejściem pozostawała odporna na intrygi i nigdy nie dawała wiary pogłoskom i plotkom.

Owszem, przemknęło jej przez myśl, że być może jakiś życzliwy chce jej przekazać wieści o Grzegorzu, ale tak naprawdę w żadnym mailu nie padło jego imię. Wszystkie jedynie insynuowały niecne zamiary jakiegoś pana.

Dzisiejsza wiadomość brzmiała tak: „Daleko żona – będzie inna pocieszona”.

„Wierszokleta” – pomyślała Greta i w innych okolicznościach nie zadałaby sobie pewnie trudu rozważenia tych słów, ale utrata pracy tak zachwiała jej poczuciem własnej wartości, że mimochodem zaczęła się zastanawiać nad sensem tego maila. Poza tym rozłąka z mężem też niekorzystnie na nią wpływała i Greta zaczynała rozważać różne ewentualności. Przemknęło jej przez myśl, że faktycznie coś niepokojącego może się dzieć u Grzegorza. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ją zawiódł. Nic, tylko się pochlastać.

Choć początkowo zamierzała nie zniżać się do poziomu obcego żartownisia i nie tracić przez niego zaufania do męża, to jednak jeszcze tego samego popołudnia nie powstrzymała się od bardziej wnikliwego niż zwykle wypytywania Grzegorza o życie w bazie. Nie spytała wprost, czy ją zdradza, ale uparcie drażyła temat kobiet na misji. Chciała się dowiedzieć, ile ich tam jest, jakie pełnią funkcje i na koniec – czy są ładne. Grzegorza ta dociekliwość rozbawiła, poczuł się nawet mile polechtany, widząc zazdrość żony, ale nie na wszystkie jej pytania odpowiedział, zasłaniając się tajemnicą wojskową.

Kończąc rozmowę, była na siebie zła, że tak łatwo dała się podpuścić obcemu człowiekowi – jakiemuś intrygantowi, o którym nic nie wiedziała. Miała nadzieję, że te głupie maile wreszcie przestaną przychodzić i burzyć jej spokój, zresztą ostatnio mocno nadwątlony.

Przytłoczona wydarzeniami minionych dni i niemożliwą do zniesienia w mieście duchotą wrzuciła trochę ubrań i książek do jeepa i ruszyła do swych źródeł, które teraz zdawały jej się życiodajne. Jeśli ładować akumulatory i lizać rany, to tylko u Michała.

W Burzanach zjawiała się późnym popołudniem, niezapowiedziana. Powoli przejechała lipową aleję i zatrzymała się tuż przy werandzie dworku. Wikary przywitał ją radosnym szczekaniem i potężnym susem na jej uda. Greta wprost uwielbiała ten rozradowany pysk. Mimowolnie się uśmiechnęła i poczochnęła psa po łbie, a nawet pocałowała w ucho.

Wyglądało na to, że Michała nie ma w domu.

– Co jest, zwierzaku? – spytała. – Sam jesteś?

Odpowiedziało jej radosne skomlenie.

– No to prowadź na salony.

Weszła do środka, Wikary tuż za nią. Rozejrzała się po wnętrzu tak zachłannie, jakby nie była tu od miesięcy. Wciągnęła głęboko powietrze przesycone werbeną i nagietkiem. Pewnie Michał znów gdzieś poupychał garści ziół...

Przeszła przez salon do kuchni. Nalała sobie z dzbanka miodowo-cytrynowo-miętowego napoju i pociągnęła łyk. Cudowne orzeźwienie. Wzięła kubek do ręki i rozsiadła się na kanapie w salonie. Wikary położył się koło niej.

Po kilku minutach do salonu wpadł zdyszany Michał.

– Ruda! – zawołał. – Stało się coś?!

Tuż za Michałem weszła do domu Helena, która jeszcze przed chwilą deptała ogród zielny, zrywając co lepsze gałązki do swoich cudownych naparów.

– Hej, wujciu – odpowiedziała mu leniwie Greta. – O, dzień dobry – dodała, dostrzegłszy Helenę. – Właściwie to nic się nie stało.

Wieczór spędzili we troje, wśród zapachu ziół, popijając orzeźwiający napój Michała. Greta miała sporo czasu, by się uspokoić i przestać rozpaczać. Rzeczowo naświetliła kwestię utraty pracy, bez zbędnego rozpamiętywania. Michał nic, tylko spoglądał na nią współczująco i podziwiał jej spokój. Za to Helena prawie od razu się rozkrzyczała:

– Dziewczyno, teraz przed tobą drugie życie.

– No pewnie – powiedziała Greta. – Znajdę drugą pracę, to i życie drugie.

– Eee tam! – Helena nie to miała na myśli. – Ciebie czeka albo duże pocieszenie, albo duża strata.

– O, taka wróżba spełni się zawsze. – Greta była zbyt pragmatyczna, by uwierzyć. – Albo będzie źle, albo dobrze... Wiadomo, że jedno z dwojga.

– Nie wierzysz – obrazila się Helka. – To sama zobaczysz.

– No, no! – wtrącił się Michał. – Nie strasz mi dziewczyny takimi bzdurami!

– Misiu, ja nie wierzę we wróżki. – Greta się uśmiechnęła. – A w ogóle to... mogę u ciebie trochę pomieszkać?

– Jeszcze pytasz? – zachnął się Michał. – Jaki chcesz zapach dziś w pokoju?

Greta chwilkę pomyślała.

– Może miętę...

– Nie ma sprawy, Ruda.

– Ale ty ją rozpieściłeś – zauważyła Helena.

– Ba! – Michał był wyraźnie dumny. – Przecież tylko jedną ją mam. – Puścił do Grety oko, a ona przesłała mu całusa.

Michał dotrzymał obietnicy i pod prześcieradłem Grety znalazły się świeże gałązki mięty przemieszane z dopiero co wysuszonym sianem. Aromat ziół roznosił się po całym pokoiku na poddaszu, a wzmagał się jeszcze bardziej na antresoli, na której ułożony był materac.

„Boże drogi – pomyślała Greta, zagrzebując się w pościeli. – Przecież żadne miasto mi tego nie da”.

Po upalnym dniu nastąpiła chłodna noc. Rześkie powietrze wpadało do pokoju przez otwarte na oścież okno i roznosiło intensywny zapach mięty. Dochodzące z pobliskich traw cykania świerszczy rewelacyjnie kołysały do snu. Niebo było bezchmurne, silnie upstrzone gwiazdami,

a gdzieś pośród nich był księżyc w nowiu. Tuż przed wschodem słońca, gdy powietrze robi się najzimniejsze, a noc najciemniejsza, swe codzienne trele rozpoczynały ptaki ukryte głęboko wśród konarów drzew.

Kolejny ranek znów przyniósł piękną pogodę. Greta obudziła się wypoczęta i zrelaksowana. Siłą woli próbowała odsuwać wszystkie troski i smutki. Postanowiła po prostu leniuchować przez kilka najbliższych dni. Dawała sobie czas do końca tygodnia na zwykle babskie przyjemności i słodkie nieróbstwo. Potem rzetelnie weźmie się do szukania pracy, ale do tego czasu – precz z melancholią.

Po porannej kawie i tostach zagnieździła się w hamaku z książką w dłoni. Powzięty niedawno zamiar nadrabiania zaległości w lekturach właściwie spelzł na niczym, bo choć usilnie się starała, to jednak nie mogła utrzymać myśli i wzroku na stronicach powieści. Mimo postanowienia, że nie podda się smutkom, umysł wciąż zaprzętały jej wypowiedzenie i niepewność co do wierności Grzegorza. Słabym pocieszeniem było jedynie to, że na razie tylko jedna z tych rzeczy jest absolutnie pewna, druga być może jeszcze okaże się jakąś pomyłką.

Przed południem wyciągnął ją z hamaka Michał. Postawił przed nią wielką miskę z jabłkami, polecił obrać wszystkie i pokroić w grubą kostkę. Sam zabrał się do wyluzowania dużych udek drobiowych, po czym obtoczył je dokładnie w mące i curry, a następnie podsmażył lekko na rozgrzanej oliwie.

– Choćby dla twojej kuchni warto tu przyjeżdżać – zauważyła weselsza już Greta.

W Warszawie często jadali z Grzegorzem byle co i byle gdzie – byle szybko. Czasem wychodzili do restauracji, ale przeważnie wrzucali do garnka coś z mrożonki. Była to jedynie niesmaczna namiastka domowego jadła, która tym ciężiej przechodziła przez gardło, im bardziej wspominali kuchnię Michała.

Dziś na obiad postanowił zrobić lane kluski z drobiowym mięsem duszonym w sosie z rodzynkami, a zamiast surówki jabłka smażone na maśle z majerankiem. Lekko podsmażone udka przełożył do garnka, zalał niewielką ilością wody i wsypał trzy garście rodzyneków, po czym przykrył i postawił na wolnym ogniu. Greta w tym czasie już roztopiała masło na patelni, a gdy się rozpuściło, wrzuciła grube kostki jabłek i obficie posypała je majerankiem. Już po chwili znad patelni unosiły się opary z jabłkowego soku. Od czasu do czasu mieszała, pilnując, by jabłka nie przywarły do dna, a Michał już rozmącał pięć jaj w sporej misie i dosypywał do nich mąki pszennej z odrobiną wody i soli. Nabierał trochę niezbyt gęstego ciasta na łyżkę i maczał ją szybko we wrzącej wodzie. Po chwili cały garnek zapełnił się nieregularnymi lanymi kluskami. Kurczak dusił się w sosie własnym i rodzynkach i jedynie jabłka wymagały jeszcze pilnowania na ogniu. Obiad był prawie gotowy.

Greta wyjęła z kredensu duże talerze i ułożyła na nich rozsypujące się przy najmniejszym nawet dotknięciu mięciutkie mięsko, a obok – solidne porcje parujących i również mięciutkich jabłek. Michał, odcedziwszy kluski, przekładał je na talerze obok mięsa. Całość polał jeszcze sosem z kurczaka i posypał napęczniałymi rodzynkami. Po całym dworze rozchodził się przyjemny zapach jabłek, majeranku i curry. Kompot z czarnych porzeczek dopełniał całości.

Praca przy obiedzie pozwoliła Grecie zapomnieć o trapiących ją smutkach. Wikary, który również załapał się na to jadło, mlaskał, przeżuwał mięso i kluski, i jedynie od czasu do czasu pluł rodzynkami.

Zamiast poobiedniej drzemki, z której skorzystał Michał, Greta wybrała się na spacer, czyli po prostu cmoknęła na Wikarego i razem poczłapali nad Bug. Z powodu małych opadów deszczu wody w rzece było niewiele. W wielu miejscach prześwitywało piaszczyste dno lub potworzyły się wysepki, które już zdążyły porosnąć trawami. Rzeka sunęła leniwie swymi meandrami, tylko gdzieś tam tworząc wiry i szybszy nurt.

Wikary wyprzedził swą panią, nawet się na nią nie oglądając, i kiedy Greta doszła nad brzeg, już brodził w wodzie. Uwielbiał pływać, a jego ulubioną atrakcją było aportowanie rzucanych do wody patyków. Kiedy dostrzegł Gretę nad brzegiem, głośnym szczekaniem zaczął się domagać wspólnej zabawy. Zrozumiała go w pół szczeku i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu odpowiedniego patyka. Gdy rzuciła niewielką gałąź, poderwał się szybko do skoku, rozchlapując

wodę i czyniąc przy tym mnóstwo hałasu.

Był niezmordowany, wciąż i wciąż domagał się aportowania, zawsze przynosząc do Greta rzucony przez nią patyk.

– Może już wystarczy, psia mordó? – zaproponowała z uśmiechem.

Odpowiedziało jej radosne szczekanie oznaczające zniecierpliwienie z powodu przerwy w atrakcjach. Greta uległa i rzuciła kij po raz kolejny.

Cała była już przemoczona wodą rozchlapowaną przez psa. Zdjęła więc sandały, podwinęła nogawki wąskich spodni i sama weszła do rzeki. Woda była przyjemnie ciepła, delikatnie opływała jej stopy, rozkosznie je masując. Kilka metrów dalej, na środku rzeki, znajdowała się tymczasowa wysepka, do której dojść można było z łatwością po grubym pniu zwalonego drzewa. Greta podeszła do suchych konarów i delikatnie się ich podtrzymując, pokonywała drogę do wysepki. Wikary brodził tuż przy niej, węsząc nad taflą wody. Gdy dotarli na miejsce, od razu zaczął się energicznie otrząsać. Spora część wody, z której się właśnie otrzepywał, spłynęła po Grecie.

– Taki z ciebie kumpel? – zawołała radośnie, ocierając dłonią twarz.

Rozsiadła się wygodnie na niewielkiej pości piasku, a Wikary odwrócił się do niej grzbietem i podparł ją swym mokrym zadem. Greta nie miała pomysłu na resztę dnia, więc na razie postanowiła nie ruszać się z wysepki. Przymknęła oczy i tkwiła nieruchomo oparta o psa. Zupełnie straciła rachubę czasu.

Tymczasem na brzegu pojawił się Danił. Usłyszał szczekanie nad rzeką i wiedziony ciekawością, przyszedł sprawdzić, kto tu jest. Widok Greta bardzo go ucieszył.

– Hej, hej! – zawołał do niej.

Greta otworzyła oczy, przyłożyła dłoń do czoła i rozpoznawszy Daniła, zamachała do niego, krzycząc:

– Hej! Chodź do nas!

Wikary przyłączył się do zaproszenia, rozszczekując się na dobre.

Chłopak nie zastanawiał się zbyt długo. Wszedł do wody w trampkach i już po chwili był na wysepce.

– Wróciłaś – bardziej stwierdził, niż pytał.

– No – odparła Greta. – Na jakiś czas.

– To dobrze – odpowiedział z prostotą i dodał z dumą: – Zobacysz, co teraz rzeźbię.

– Pewnie, że zobaczę – uśmiechnęła się Greta. – Opowiesz mi teraz o tych rzeźbach?

Danił był jej wdzięczny za okazane zainteresowanie. Od dawna, a właściwie nigdy, nikt się nim nie interesował, więc teraz, gdy zaczął odnosić sukcesy na miarę swoich możliwości, gdy był za swoją pracę sowicie nagradzany, czuł dużą potrzebę dzielenia się z ludźmi swoją radością.

– Sporo tego jest – zaczął. – Skończyłem już belki i Oleg kazał mi dorobić trochę *Kamasutry*. Wiesz, ona idzie na Ukrainę! A w międzyczasie rzeźbię poręczę schodów. I wiesz, co jeszcze?

– No co?

– Jak przyjdiesz do Zacisza, to Oleg ci pokaże naszymi. Wiesz, ten co go narysowałem.

– Naprawdę? – Greta była szczerze zdziwiona, że Oleg tak poważnie podszedł do tego projektu i że nie skończyło się jedynie na obietnicach. – A ładnie wyszedł?

– Myślę, że tak – Danił próbował być skromny. – Olegowi się podoba.

Oleg to, Oleg tamto. Gretę trochę zastanowiło, że Danił tak dużo o nim mówi.

– Lubisz go? – spytała.

Danił pomyślał przez chwilę.

– No, w sumie – odezwał się trochę niepewnie.

– Co: w sumie? – drążyła Greta.

– To trochę dziwny facet. Ale chyba nie jest zły.

Z tej opowieści Greta niewiele się dowiedziała. Postanowiła więc pytać dalej.

– Przecież spędzasz u niego dużo czasu. Obserwujesz go i słuchasz. No i co myślisz?

– A bo ja tam od myślenia jestem? No, pan wielki jest, pieniądze się go trzymają. Ale nie jest sknerus, dobrze ludziom płaci. A tak, to nie wiem więcej, mało o sobie mówi.

„No właśnie – pomyślała Greta. – Nikt nic o nim nie wie”.

Doszedłszy do takiego wniosku, postanowiła przy najbliższej okazji wziąć Olega na spytki, po raz kolejny już zresztą. Ufała swojemu kobiecemu sprytowi i nie wierzyła, że może jej się ten plan nie powieść.

– Idę już. – Danił wstał i otrzepał spodnie z piasku. – Nawrocki wściekły ostatnio chodzi, będzie krzyczał, że mnie długo nie było.

Greta została na wysepce tylko z Wikarym. Przytulając i głaszcząc miękką sierść, myślami pobiegła do Ordów. Oleg stanowił dla niej nierozwiązywalną, jak dotąd, zagadkę. Przystojny obcokrajowiec o niewiadomej profesji. To znaczy, nie do końca, bo przecież architekt i jubiler. Ale czy to na pewno jedyne jego zajęcia? Jeśli tak, to skąd ta aura tajemniczości? Lekkość, z jaką wydawał pieniądze, fascynowała. I nie można tego było nazwać zupełną rozrzutnością, bo nie otaczał się rzeczami zbędnymi, tylko pięknymi.

Chcąc, nie chcąc, na razie nic nie działało na jego niekorzyść. Trudno doszukać się wad w człowieku, którego się właściwie nie zna, a który próbuje się trzymać ogólnie przyjętych norm.

Danił tymczasem dotarł już do Zacisza i nie omieszkał poinformować pracodawcy, że spotkał Gretę nad Bugiem.

Olega aż świerzbilo, żeby od razu tam pojechać, nie mógł usiedzieć w miejscu, jednak zawiązał się i postanowił pozostać w Ordach. Uznał, że poczeka, aż Greta sama do niego przyjdzie. Nie nawykł do biegania za kobietami, więc i tym razem nie zamierzał tego robić, choć nosiło go z kąta w kąt ze zniecierpliwienia.

Żeby zabić czas, podszedł do rzeźbiącego Daniła i spojrzał mu przez ramię.

– Przyjdzie, przyjdzie... – odezwał się chłopak, czując na plecach oddech Olega.

– Co? – Oleg często nie rozumiał, co Danił ma na myśli.

– Greta – wyjaśnił Danił. – Przyjdzie, zobaczysz. Pochwaliłem się przed nią twoim naszyjnikiem, to przyjdzie na pewno. Która baba by nie przyszła? A jeszcze ona? Przecież lubi te różne kamyczki.

– E tam. – Oleg machnął ręką zażenowany, że przed tym nierozgarniętym chłopakiem nic się nie ukryje.

W zawstydzeniu i zezłoszczony, że go tak łatwo zdemaskowano, odszedł szybkim krokiem do Nawrockiego. Teraz jemu pozaglądał przez ramię i najchętniej coś tam by zadysponował, ale jakoś nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. Powłókł się więc do dekarzy, lecz ci akurat siedzieli na dachu, układając dachówki.

– Szlag by to trafił – zaklął i wrócił do Daniła. – Kiedy odbierasz paszport?

– A bo ja wiem? Pod koniec sierpnia prosili zadzwonić, czy już gotowy.

– Dobra, to nie zapomnij – nakazał mu.

Danił spojrzał na niego i wzruszył ramionami.

– A ten wyjazd to jeszcze aktualny? – spytał, jakby nie dowierzał, że dokądkolwiek pojedzie.

– No pewnie. Stary, mam względem ciebie spore plany. Prawdę mówiąc, liczę na to, że jak zanurzysz ręce w złocie, to ci taka wena przyjdzie do łba, że nie zechcesz stamtąd wyjść. A teraz w każdej wolnej chwili rób tę swoją *Kamasutrę*. Zgorszymy cały Lwów – szelmowsko się uśmiechnął. – Tylko pamiętaj, że tym razem zyski będziemy dzielić na moich zasadach.

– Co? – Danił zupełnie nie zrozumiał.

– Jak to: co? – Oleg się zniecierpliwiał. – Za te dwie sprzedane deski oddałem ci cały zysk, tak na zachętę. Ale teraz już tak nie będzie. Pracownia też musi trochę zarobić – dodał, jakby się tłumaczył.

– Aha – odparł Danił. – Czyli ty też chcesz zarobić?

Olegowi nie przypadło do gustu to stwierdzenie, choć było najzupełniej trafne.

– Dziwi cię to?

– Nie. – Danił nawet na chwilę nie przestał rzeźbić. – To w sumie jasne.

– No, czyli przyjmujesz warunki?

– Czemu nie? – odparł po namyśle.

Trudno tu w ogóle mówić o jakichkolwiek warunkach, bo chyba żaden nie został sprecyzowany, ale Daniłowi wystarczyło, że może nadal robić to, co lubi. I jeszcze coś przy tym zarobi. A czy to będzie kwota mniejsza czy większa – kto by się tym przejmował?

Zbliżał się już wieczór, a Oleg mimowolnie co chwilę zerkał w stronę kasztanowej alei. Ale Greta nie nadjeżdżała. Szanse na to, że ją jeszcze tego dnia zobaczy, malały z każdą chwilą. W końcu robotnicy zaczęli się zbierać do wyjścia. Oleg został sam na swych włościach i zaczynała go przerażać myśl o nadciągającej długiej nocy. W przyptywie desperacji podjął decyzję, że jeśli jutro do południa Greta do niego nie przyjdzie, to on jednak pójdzie do niej. Ta myśl nieco go uspokoiła, ale i tak nie mógł zasnąć, ciągle mając przed oczami jej twarz. Łaził po salonie tam i z powrotem, ale to też nie przyniosło ulgi. Jedyne, co mogłoby zagłuszyć jego pragnienia, to alkohol. Podeszedł do prowizorycznie skleconego stolika służącego za barek i sięgnął po butelkę czystej. Po chwili zastanowienia odstawił ją z brzękiem na stół i niemal wybiegł z domu.

Noc była przyjemnie chłodna, a niebo bezchmurne i rozgwieżdżone. Gdzieś pomiędzy gwiazdami wisiał cienki jasny rogal księżyca w kształcie odwróconej litery C.

Oleg energicznie parł przed siebie, bez sprecyzowanego celu. Najpierw szedł po swoich drogach, potem znalazł się na lokalnej szosie i wyglądało na to, że nie zamierzał zawrócić. Okolica była tak odludna, że nie minął go żaden samochód ani tym bardziej żaden pieszy. Zupełnie jakby tutaj właśnie był koniec świata.

W pewnym momencie z oddali dało się słyszeć cichy dźwięk, który trudno było z czymkolwiek porównać. Dobiał gdzieś z przeciwka i stawał się coraz głośniejszy. Za chwilę Oleg zaczął rozpoznawać hałasy. Był to huk, jaki wytwarza kupa żelastwa ciągnięta na przykład po asfalcie. Tylko kto i co może tu o tej porze targać? Olegowi tak się jakoś skojarzyło, że skoro jest późno i ciemno, to z pewnością ktoś tu uprawia jakieś nielegalne procedury. Może kradzież złomu? Albo coś jeszcze gorszego? Nieistotne, w każdym razie w takich chwilach lepiej pozostać niezauważonym.

Nie był tchórzliwy, ale też i nie pchał się w kłopoty. Miał bardzo dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy i całkowicie mu ufał. Teraz doszedł do wniosku, że lepiej będzie zawrócić. Wtedy jednak w narastającym hałasie zaczął rozróżniać ludzkie głosy. I ciekawość wzięła górę. Przystanął w bezruchu i wsłuchał się w dźwięki. Brzęk żelastwa nasilał się coraz bardziej i coraz wyraźniej słychać było szloch. Hałas zaczął w końcu przypominać rytmiczne stuki krzywego żelaznego koła, a płacz wydobywał się z męskiego gardła.

– No pchajże, Maryśka! – rozkazywał jakiś mężczyzna.

– No pcham przecież! – odezwała się kobieta. – Ale czyś ty musiał się nachlać z tamtej strony wsi? To teraz mam pod górkę, cholera jasna! Jakbyś się napił na drugim końcu, toby z górki było!

Oleg nie dowierzał temu, co słyszy. Miał przed sobą jakąś komiczną scenę, której bohater tonął we łzach. Wyczekał jeszcze chwilę, by przyjrzeć się temu wszystkiemu z bliska.

– No już byś przestał! – kobieta była zasapana i zła. – Teraz to już nic na to nie poradzisz.

– Stara cholera! – mężczyzna zdawał się nie słuchać perswazji kobiety. – Żmija jadowita! Jak tak mogła? O, widzisz? – Zamachał w powietrzu czymś szeleszczącym. – Widzisz?! Tyle zostało!

Teraz Oleg dostrzegł już nietypowy pojazd i zaczął poznawać pasażera po głosie. Kierowcy tego bolidu zdecydowanie nie znał.

„Co za dziwny kraj...” – pomyślał na widok Nawrockiego usadowionego w taczce.

Było grubo po północy i nie tylko Nawrocki dziwnie tu wyglądali. Oleg też mógł wzbudzić pewne podejrzenia, bo kto uprawia jogging w środku nocy?

Wyprostował się, obciągnął koszulę i przyglądał zmierzwiłone włosy, starając się nadać swojej sylwetce klasy, a zarazem luzu. W ustach zabrakło mu jedynie zawiadackiego gwizdu, by osiągnąć ten efekt. Spotkanie z Nawrockim wyglądało już na nieuniknione. Szli wprost na siebie, przy czym Oleg był cicho jak mysz, a Nawrocki i sam hałasował, i taczka robiła sporo rumoru.

– Dobry wieczór państwu. – Oleg skłonił się z galanterią i spytał z nieznaczną drwiną: – Państwo na spacer w tę piękną noc?



Kobieta zamilkła zaskoczona, a Nawrocki głośno pociągnął nosem.

– O! – zawołał zrozpaczony. – Niech szef popatrzy, co mi ta cholera zrobiła! – Zamachał Olegowi przed nosem jakimś ofoliowanym świstkiem.

– Może pomogę? – zaproponował Oleg szarmancko, po czym chwycił za czepigi taczki.

– Teraz to chyba sobie tylko w łeb strzelić! – lamentował Nawrocki, nie zdając sobie nawet sprawy, że rydwanem powozi jego własny szef.

– Dokąd jedziemy? – Oleg odwrócił się do kobiety, która szła z boku i milczała.

– Ja pokażę, niech pcha – to była jej jedyna wskazówka.

Oleg odczuwał ciężar Nawrockiego, ale najbardziej to go ta cała sytuacja po prostu bawiła.

– Nawrocki, a wy tak często podróżujecie? – zapytał z uśmiechem. – I czemuż to nocą?

– Eee tam... – Nawrocki rzucił się z rezygnacją w taczce. – Mnie tam już wszystko jedno.

Może się szef śmiać...

– Chyba masz jakiś problem, Nawrocki? Mogę ci jakoś pomóc? – spytał Oleg troskliwie.

– Nikt nie może! Chyba że czas pan umie cofnąć. No, umie pan?

– A po co?

– A żebym tej cholerniej pralki nie włączał!

– Co?

– Co? Co?! – Nawrocki przedrzeźniał Olega, niemiłosiernie wykrzywiając usta. – Ta cholera miała serdak nie dość, że watowany, to jeszcze gotówką podszywany! O! co! – zachlipał bezradnie. – A ja, głupi, myślał, że ona całą rentę księdzu oddaje! A ona wszystko pod tymi łatami upychała! Czort jeden wie, ile tego było, bo się wszystko wyprało i tylko jakieś kupki posklejane wypadły! Od dawna musiała tam chować, bo jeszcze Koperniki i Waryńskie w strzępach wyleciały. Tyle garści tego wyciągałem, o! – Nawrocki pokazywał, ile pieniędzy wydobył z serdaka.

– Naprawdę? – Oleg był bliski wybuchu śmiechem, sam nie do końca wiedząc, czy Nawrocki mówi prawdę, czy ma pijackie zwidy.

– Naprawdę – potwierdziła Maryśka z westchnieniem. – Babka od lat musiała tam kapitał lokować. Teraz już wiadomo, dlaczego prac nie dawała.

– Ale się cholera spodziewała, że może kto kiedy wypierze, bo o! – Nawrocki znów zamachał papierami. – Niech szef patrzy!

Oleg przystanął, opuścił taczkę, po czym wyjął zapalniczkę z kieszeni spodni, żeby oświetlić kartkę. Papier był wyrwany z zeszytu w linię, pożółkły i ofoliowany, widać na wypadek kontaktu z wodą. Na środku czyjaś niewprawna ręka napisała krzywo: „No i co żeś durniu narobił? I co się teraz tak gapisz?”.

Oleg ryknął gromkim śmiechem. Zdecydowanie nie podzielał rozpaczony Nawrockiego, a był pełen podziwu dla konceptu starej kobiety.

Nawrocki nerwowo wyszarpnął mu zapiski babki.

– No pewnie! – ryknął. – Niech się jaśnie pan śmieje z kłopotu biedaka! Wio! – rozkazał nie wiadomo komu.

Oleg poderwał taczkę, ale już po paru minutach odezwała się Nawrocka:

– Bedzie. To tu. Podziękuję. – Przepchnęła się do taczki i przejęła ster, wwożąc męża w ciemne podwórze.

Oleg został sam na szosie w sporym osłupieniu.

„Co za dziwny kraj... – pomyślał po raz kolejny. – A rano ten łachudra pewnie nie przyjdzie do pracy”.

Zawrócił w kierunku Ordów, ale do domu szedł prawie dwie godziny, bo nie wiedzieć kiedy oddalił się od Zacisza około dziesięciu kilometrów. Kiedy wchodził do dworku, na niebie już robiło się jasno.

Zwalił się wymęczony na łóżko i na wpół sennie wymamrotał sam do siebie:

– O tak, na moje problemy jeszcze lepsze są problemy innych. Trochę wysiłku i moja femme fatale dała mi spokój.

Faktycznie, myśl o Grecie przestała zaprzętać mu umysł, za to mięśnie rąk bolały coraz bardziej i bardziej. Sen przyszedł w ciągu minuty i Oleg wstał dopiero po dziesiątej.

Prace remontowe w Zaciszu trwały w najlepsze od samego rana, ludzie krzatali się i hałasowali wokół, ale właściciel dworku nie słyszał największego nawet gwaru i huku.

Po mocnej kawie wyszedł przed dom na rozeznanie. Rozejrzał się uważnie i nie dostrzegłszy nigdzie Nawrockiego, spytał pierwszej nadarzącej się osoby:

– A Nawrocki jest?

– A gdzie tam – odparł majster. – Ale niech szef będzie spokojny, my wiemy, co mamy robić. Nic nie spaprąmy, naprawdę. I za Nawrockiego też zrobimy, bo on to i może dziś nie przyjdzie. Kto to wie? On wczoraj podobno rydwanem jeździł. Ja tam nic nie słyszał, ale moja baba mówiła, że tłukło się coś na szosie i krzyczało, to pewnie on, bo kto by to był? A jak jego wzięło na tygodniu za taczkę łapać, to pewnikiem teraz leży i niedomaga.

Gdy skończył wyjaśnienia, wszyscy jak na komendę obejrżeli się na kasztanową aleję, gdzie na rowerze pędził nie kto inny, tylko Nawrocki.

– O wilku mowa – odezwał się Danił. – Ale żeś zaspał...

Nawrocki zlął z roweru niezdarnie i w pierwszym odruchu poderwał się w biegu do Olega. Przypadł doń i dmuchnął mu w twarz alkoholowym oddechem.

– Panie szefie drogi! – jego lament był zatrważający. – Ja bardzo nisko się kłaniam z przeprosinami. Ledwo coś mi tam świta we łbie, co szef kochany dla mnie wczoraj zrobił. I taki wstyd mnie łapie, jak se o tym pomyślę, że... że... – Nawrocki nie bardzo wiedział, jak wyrazić swe myśli.

Zebrani dookoła ludzie nie mieli pojęcia, o czym mowa, więc tym bardziej nadstawili ucha. Nawrocki bił się w piersi i kontynuował:

– Ja już tak nigdy nie zrobię na tygodniu, obiecuję! A Maryśka ma od dziś nakazane, że za cholere nie może odstąpić nikomu czepigów! Ajajaj, taki wstyd!

– Nieważne – Oleg próbował ukryć rozbawienie. – A jak tam zdrowko szanownej babci?

– A żeby ją czort za dupę ścisnął! – Nawrocki znów się rozsierdził. – Taki majątek, taki majątek! Panienko najśodsza, ratuj!

Nawrocki był na skraju szaleństwa. Zdecydowanie należało zająć go czymś i odciągnąć jego myśli od babki, serdaka i pieniędzy, bo bliski był postradania zmysłów. Ale łatwe to nie było wcale, gdyż miał silną potrzebę mówienia o swoim nieszczęściu i używania sobie na babce. Przez resztę dnia chodził po podwórku i biadolił, a ludzie słuchali go w osłupieniu, nie dowierzając, współczując, ale przede wszystkim doskonale się bawiąc kosztem biedaka. Do wieczora całe Burzany huczały już od tej rewelacji, ludzie przekazywali sobie tę wieść jak najlepszy film i powoli babka Nawrocka wyrastała na bohaterkę dnia, a Nawrocki na dupę wołową, co się tak łatwo dał starszce okpić.

Babka widać liczyła się z tym, że może stracić swoje oszczędności, skoro napisała taki list. A strata pieniędzy wcale jej nie zmieniła. Nadal dreptała jak zwykle, drobniutkimi kroczkami, po swoim podwórzu, wygrzewała się w słońcu na ławce pod domem i może było jej tylko troszkę chłodniej z powodu braku serdaka. I tego serdaka żałowała właśnie najbardziej. Ale stratę tę powetowała sobie pięknym widokiem oszalałego wnuka. Aż jej się unosiły w uśmiechu kąciki bezzębnych ust, powiększając przy tym sieć drobniutkich zmarszczek na całej twarzy.

„Może to ostatnia moja radość w tym życiu? – pomyślała. – A, co tam. Ale mi się koncept udał...”

Nawrockiemu ciężko się tego dnia pracowało. Kac potężny męczył go na równi z poczuciem zubożenia. Jedno i drugie przytłaczało go i zniechęcało do działania. Właściwie nadawał się wtedy tylko do jednej roboty: do rąbania drewna. Postawiono go więc przy wysokim pniaku, dano siekierę i mnóstwo drewnianych kołków do rozdzielania na czworo. Siekł toporkiem z taką siłą i wściekłością, że aż szczapy skakały wyżej niego. Nikt nie odważył się do niego podejść i mu przerywać. Tak zastało go popołudnie i Oleg kazał mu w końcu jechać do domu, a sam podszedł do Daniła.

– Sądysz, że Greta jest u siebie? – spytał, mając na myśli księżowski dworek.

– Pewnie tak – odpowiedział Danił – albo nad Bugiem. Lubi to miejsce.

Oleg pokręcił się jeszcze w obejściu, przez cały czas zastanawiając się nad tym, czyby

jeszcze trochę poczekać, aż Greta sama do niego przyjdzie. Późnym wieczorem nie był już w stanie dłużej wytrzymać i wsiadł do hummera. Przedtem zgarnął jeszcze ze stolika przy butelkach złotą monetę, pierścionek i koralowy naszyjnik i ruszył pędem wśród kasztanów.

Po drodze zastanawiał się, dokąd się udać na poszukiwania: do księdza czy nad Bug? Jeśli u księdza jej nie będzie, to wypadałoby z grzeczności zatrzymać się choć na chwilową pogawędkę z Michałem, a tego Oleg chciał uniknąć. W takim razie poszukiwania rozpocznie od rzeki.

## Rozdział 15

Był późny wieczór, powietrze nagrzane za dnia gorącym słońcem dopiero teraz przyjemnie zaczynało chłodzić ciało. Nad Bugiem i otulającymi go łąkami rozciągały się poacie mgieł. Bydło pozostawione na noc na pastwiskach brodziło w tych oparach i niekiedy znikalo w nich do połowy.

Szarzejący poleski dzień przechodził powoli w ciepłą, spokojną poleską noc. Greta siedziała bez ruchu na brzegu rzeki, kolana podciągnawszy pod brodę, i wpatrywała się w przeciwny brzeg. Odkąd przyjechała do Burzan kilka dni temu, przychodziła tu dwa razy dziennie – pierwszy raz po czwartej nad ranem, kiedy ogromne czerwone słońce zawisało tuż nad wodą, by stąd zacząć swą codzienną wędrówkę po nieboskłonie, drugi natomiast wieczorem, przed zachodem słońca. Siadywała na mokrej od rosy trawie i w samotności kontemlowała przyrodę, choć tak naprawdę rozpaczała w ciszy nad swoją sytuacją. Wybierała świt i późny wieczór, by uniknąć ludzkiego towarzystwa. W pozostałych porach dnia nad rzeką zawsze ktoś był. Nie kłębiły się tu wprawdzie tłumy, ale dla Grety zachodzących tu nielicznych osób było i tak za dużo.

Postawa, którą zamierzała przyjąć jeszcze w Warszawie, okazała się jedynie pobożnym życzeniem. Wcale nie tak łatwo było odłożyć troski na bok i powiedzieć sobie, że pomartwimy się jutro, a dziś będziemy zadowoleni, jakby nic się nie stało. Cała ta sytuacja po prostu ją przerosła. Chodziła struta i pokonana. Czula się, jakby podkopano jej grunt pod stopami, i nie wiedziała, jak złapać równowagę. Na razie miała tylko jeden cel: przetrwać za wszelką cenę i się nie poddać. Ale jak to zrobić? Tego wymyślić jakoś nie mogła.

Przychodziła nad Bug i bez przerwy od nowa roztrząsała całą tę sprawę. Chwilami lzy podchodziły jej do gardła i ścisły ją razem z nic nierozumiejącym sercem. Bo to serce miała chyba bardzo naiwne – za cholerę nie chciało nic pojąć.

Michał pocieszał ją, jak umiał, a ona za wszelką cenę starała się przed nim trzymać fason. Udawała twardą, ale gdy tylko znikał z jej pola widzenia, padała wyczerpana na kanapę. Dlatego zaczęła przychodzić nad Bug. Zabierała ze sobą Wikarego – on o nic nie pytał, więc w niczym nie przeszkadzał.

Taką zamyśloną i siedzącą na brzegu rzeki zobaczył ją późnym wieczorem Oleg. „Jest moja rusalka” – pomyślał i przez chwilę jej się przyglądał w świetle zachodzącego słońca.

Wikary podniósł łeb znad traw i węsząc, zaczął cichutko powarkiwac. Po chwili dźwignął swe wielkie cielsko i powarkiwanie przeszło w zajadłe ujadanie.

Oleg poczuł się zdemaskowany i żeby nie wystraszyć Grety, odezwał się do niej:

– Witaj, piękna.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie i z całych sił przycisnęła do siebie Wikarego, bo sprawiał wrażenie, jakby zamierzał rozszarpać Olega na kawałki.

– Wikary, spokój! – rozkazała, ale skutku to raczej nie przyniosło. – Siad!

Psisko usłuchało swej pani, usiadło, ale nadal szczekało.

– Cicho, piesku – tym razem Greta szepnęła wprost do jego ucha.

Pomogło. Wikary dreptał przednimi łapami w miejscu, próbował podrywać zad, ale Greta nadal mocno go trzymała. Teraz już tylko skomlał i nie spuszczał oczu z intruza.

– No – odezwał się znów Oleg – chyba jesteś z nim bezpieczna.

– No pewnie. – Greta z radością potargała psią sierść.

Oleg podszedł bliżej, bacznie obserwując Wikarego. Pies znów zawarczał.

– Co tak tu siedzisz w samotności?

– Tak sobie – Greta nie chciała dzielić się swymi problemami. – Spójrz, jak tu pięknie.

Oleg powiódł wzrokiem po rzece i łąkach. Zieleń drzew i traw przeszła w szarówe dnia prawie w czerń. Woda mieniła się, odbijając ostatnie refleksy promieni słonecznych, a mgły nadały krajobrazowi wrażenie miękkości i lekkości. W zapadającym zmierzchu zaczynało się roić od

nocnych owadów i komarów.

– Pięknie – zgodził się Oleg.

– Mogłabym tu siedzieć chyba bez końca – westchnęła Greta. – A ty co tu właściwie robisz?

– Czekałem na ciebie – przyznał się – ale nie przychodziłaś, to ja przyszedłem.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

– Danił cię wydał – uśmiechnął się.

– Wstręciuch jeden! – zawołała z rozbawieniem. – Już ja z nim sobie porozmawiam. Skoro już tu jesteś, to siadaj. – Klepnęła miejsce na ziemi obok siebie.

Posłuchał jej i chętnie usiadł, ale Wikary nie był najwyraźniej z tego zadowolony, bo znów zaczął warczeć.

– Ależ on mnie nie lubi – zauważył Oleg.

– To dziwne, bo zwykle jest łagodny.

– Właśnie widzę – ironizował. – Popatrz. – I wyciągnął dłoń z jarzębinowym naszyjnikiem.

Dotknęła delikatnie koralu, muskając przy tym palce Olega. Wzięła naszyjnik w obie ręce i uważnie mu się przyglądała. Dotykała opuszkami każdego listka i koralu, jakby czytała brajlem.

– Cudo – szepnęła po długiej chwili.

– Prawda? – Oleg przyjął pochwałę z wielką dumą. – Ale spójrz, mam coś jeszcze. –

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej złotą monetę na łańcuszku i srebrny pierścionek z kryształem górskim. – Poznajesz?

Greta oddała mu naszyjnik i wzięła monetę. Oglądała ją równie długo. Potem wzięła także pierścionek i dla wygody wsunęła do połowy palca, obracając go w zachwycie.

– Fantastyczne – powiedziała. – To z twojego skarbu?

– Z naszego – poprawił ją Oleg.

– Nie – upierała się. – To twoja piwnica.

– Nieważne – skapitulował. – Mam do ciebie prośbę i nie przyjmuję odmowy.

Wobec jej milczenia mówił dalej:

– Chcę ci to podarować. – Wskazał na biżuterię, którą trzymała w dłoniach, i widząc sprzeciw w jej oczach, uprzedził jej odmowę: – To tylko nic nieznaczący kamyczek, proszę.

– Nie zgadzam się z tobą. Ta biżuteria musi mieć sporą wartość. Jest piękna, ale nie mogę jej przyjąć. – Wyciągnęła dłoń, oddając mu prezent.

– Robisz mi dużą przykrość – odparł. – Zapewniam cię, że nic na tym nie straciłem. Mało tego, zamierzam zarobić.

– A to ciekawe jak? – uśmiechnęła się. – Oddając kosztowności?

– Pokładam duże nadzieje w Danile. Jak dobrze pójdzie, to obaj niezłe zarobimy na jego talencie. Jego nie będę obdarowywał błyskotkami, bo jeszcze mi się spłoszy. – Oleg popadł w rubaszny ton. – Wystarczy, że będę mu dobrze płacił. A tobie chcę tym drobiazgiem podziękować za miłe towarzystwo.

– Kłamca – Greta nie dała się podejść, choć wzrok aż jej się uśmiechał do tych błyskotek.

– No dobra – Oleg zmienił taktykę w obliczu nadciągającej porażki. – W takim razie proponuję ci kupno tej biżuterii.

– Chętnie, ale nie stać mnie. Właśnie straciłam pracę.

– Tanio oddam – Oleg zignorował wzmiankę o pracy. – Za złotówkę.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję. A ty nie kłam z tą pracą.

– Nie kłamię – powiedziała smętnie.

– No co ty? Naprawdę? To w takim razie musisz ode mnie kupić te kosztowności za złotóweczkę, na szczęście – dodał i już wyciągał rękę z łańcuszkiem, aby zapiąć go na jej karku.

Greta wzdrygnęła się i odchyliła lekko, ale sięgnął jej karku i ośmielił się odgarnąć jej włosy, by zapiąć karabińczyk. Przyłożyła dłoń do szyi i pomacała pięciorubłówkę. Potem włożyła rękę do kieszeni dzinsów i wyjęła monetę.

– Mam całe dwa złote – szepnęła zawstydzona nie wiedzieć czym: przyjęciem tak drogich

prezentów czy tak ubożuchną zapłatą.

– Nie szkodzi – odparł. – Wydam ci resztę.

– A co ja powiem mężowi? – spytała, wiedząc, że Grzegorz nie będzie zadowolony na widok tych klejnotów.

– Jak to: co? Że trafiła ci się okazja.

– Nie mogę, przepraszam. – Zarzuciła dłonie na kark, by rozpiąć łańcuszek, ale Oleg szybko przykrył je swoimi i trzymał tak przez chwilę.

– Są twoje. Kupiłaś je przecież.

Doskonale wiedziała, że nie powinna przyjmować niczego ani od Olega, ani od jakiegokolwiek innego mężczyzny. Oczywiście o żadnym kupnie też nie może być tu mowy. To nie były zakupy, ale zwykłe wkupianie się w łaski. A Greta, niestety, była bardzo rada, że stała się posiadaczką tych cudów.

Oleg miał ochotę obdarować ją jeszcze jarzębinami, ale zdawał sobie sprawę, że to byłoby już przesadą i w końcu nie przyjęłaby niczego. Widząc, że jeszcze się waha, dodał szybko:

– To na szczęście. Zobaczysz, na pewno pomoże. – Zacisnął pierścionek w jej dłoni i dotknął lekko monety na jej piersi.

– Bardzo teraz potrzebuję szczęścia – powiedziała cicho, jakby do siebie.

Oleg wyjął papierosa i zapalniczkę.

– Palisz? – spytał.

– Nie.

Włożył papierosa do ust i skrywając ogień w dłoniach, zapalił go. Pierwsza smużka dymu uleciała w powietrze, za nią druga i trzecia. Wikary uniósł pysk, zakręcił zabawnie nosem i parsknął z całych sił, opluwając Gretę i Olega.

– Jaki delikatny – zauważył Oleg z rozbawieniem.

– Po prostu wie, co niezdrowe. – Greta potargała psi czerep.

Siedzieli przez moment w milczeniu. Oleg kątem oka przyglądał się dziewczynie i pomyślał, że niewiele o niej wie. Czy pije? Jakie filmy lubi? Jakiej muzyki słucha? Jaki jest jej ulubiony kolor? Jaki ma temperament? Czy ładnie śpiewa? Czy jest bałaganiarą? Czego się boi? Co kocha? Czego nienawidzi? Na co czeka? Co się kryje w przepaści jej szmaragdowych oczu? Tego wszystkiego Irmina nie sprawdziła, bo sprawdzić nie mogła.

No i wreszcie to najważniejsze pytanie: co takiego odróżnia ją od wszystkich innych dziewcząt świata? Dlaczego on, znawca tylu pięknych kobiet, nie potrafi znaleźć odpowiedzi na to pytanie?

Ano, z bardzo prostej przyczyny. Oleg nie wziął pod uwagę jednej banalnej rzeczy.

Wszystko mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej, gdyby tamtego dnia, gdy ją zobaczył nad Bugiem po raz pierwszy, nie uciekła od niego tak szybko i gdyby pozwoliła zapłacić potem za piwo. Gdyby wówczas okazała mu choćby odrobinę zainteresowania, prawdopodobnie jeszcze tego samego dnia odeszłaby w niepamięć. Taka już ludzka natura, że pragniemy najbardziej tego, czego mieć nie możemy. Kochamy to, co mają inni, a nudzi nas to, co sami posiadamy. I tak jak z rzadka udaje się nam sięgnąć po gwiazdkę z nieba, tak też z rzadka trwamy w miłości do tego, co zdobywamy bez większego trudu.

Oleg ocknął się z zamyślenia i spojrzał po raz kolejny na Gretę. Wieczór był piękny, a idyllę zakłócały tylko natrętne komary.

– Naprawdę się martwisz – stwierdził, widząc jej zatroskanie.

– Naprawdę.

– Czego się boisz? Braku pieniędzy?

– Nie. Chyba nie – odpowiedziała zdziwiona, że to przyszło mu do głowy jako pierwsze. –

Najbardziej boli mnie fakt, że zadano mi cios ze strony, z której się go zupełnie nie spodziewałam. Co jak co, ale o pracę byłam spokojna. Martwiłam się raczej o męża, ale nie o pracę. Brakuje mi go – zmieniła nagle temat. – Chcę, żeby mnie przytulił, chcę czuć się bezpieczna.

– A ja mógłbym spróbować?

– Co?

– Przytulić cię.

Spojrzała na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Czuła się jak zbity pies i bardzo potrzebowała teraz kogoś bliskiego. Ale właśnie: kogoś bliskiego, a nie obcego.

Oleg milczenie przyjął jako zgodę i objął ją mocno, a ona, odruchowo, od razu złożyła głowę na jego silnym barku. Wikary natychmiast zareagował groźnym warczeniem, zupełnie jakby chciał wyraźnie i dobitnie zaznaczyć, kto tu jest samcem alfa.

– No to nici z przytulania – powiedziała Greta z udawanym śmiechem.

– Nici – potwierdził Oleg, wściekły z niedosytu.

– Późno już, pora wracać. – Dziewczyna wstała, a pies podniósł się wraz z nią.

– Pozwolisz się odprowadzić?

– Chce ci się? Będziesz miał spory kawałek do Ordów.

– Chętnie się przespaceruję. To jak?

– Jeśli masz ochotę... – odparła, a Wikary parsknął na te słowa z niezadowoleniem.

– Mógłbym ci jakoś pomóc?

– Możesz mi dać pracę – zażartowała.

– A jaki ty właściwie masz zawód? – zainteresował się Oleg, udając, że tego nie wie, i jakby naprawdę zamierzał ją zatrudnić.

Spółka prosperowała bardzo dobrze i nie potrzebowali nikogo do pomocy. Kierownictwem zajmowali się sami, a ludzi do roboty papierkowej i fizycznej mieli sprawdzonych, od dawna tych samych. Pracownia jubilerska także świetnie dawała sobie radę. Zresztą nawet gdyby Oleg rzeczywiście zdecydował się dać jej jakąkolwiek pracę, musiałby tworzyć zupełnie niepotrzebny etat, a poza tym praca ta byłaby na Ukrainie, więc Greta raczej by jej nie przyjęła, starając się znaleźć jednak coś w Polsce.

W tych okolicznościach jedyną formą zatrudnienia, jaką mógł zaoferować, była praca fizyczna przy remoncie Zacisza, a w przypadku kobiety taka ewentualność nie wchodziła w grę. Tak więc, mimo najszczerzych chęci, jednak nie był w stanie zaproponować jej żadnej posady.

– Jestem bankowcem – prawie zaszlochała.

– Ojoj... – odparł współczująco. – A czemuż to wybrałaś zawód modny, a nie praktyczny?

Spojrzała na niego zdziwiona, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Nie wiem – odparła szczerze. – A wiesz, jak trudno było się dostać na te studia? – dopowiedziała na dowód, że skoro kierunek był oblegany, to musiał być intratny.

– Skarbie – odparł zbyt czule – nie zauważyłaś, że pedagogika też jest oblegana?

A pomyślałaś dlaczego? Bo tam nie ma się czego uczyć! Wszyscy zaliczają!

– Tak? – zastanowiła się nad jego słowami. – Może coś w tym jest?

– Nie martw się! Coś na te twoje problemy poradzimy.

– No, ale ja sama muszę sobie z tym poradzić. Dzięki za chęci.

– Może na początek po prostu o tym nie myśl. Odpocznij trochę. Potem się będziesz martwić.

– Dzięki za radę, Sherlocku – uśmiechnęła się. – Myślisz, że sama na to nie wpadłam?

Próbowałam, ale nie da się tak. Nie umiem odkładać trosk na potem.

– A może tobie po prostu brak zajęcia? – Oleg doznał olśnienia. – Tobie potrzeba roboty, to i myśleć przestaniesz.

– Też mi odkrycie! Tylko że ja właśnie straciłam pracę.

– Nie o takiej robocie myślę – zapalił się do swojego nowego pomysłu. – Przyjdź rano do Zacisza. Coś się dla ciebie znajdzie. – I mrugnął do niej z rozbrajającym uśmiechem.

– Potrzebujesz taniej siły roboczej? – zażartowała.

– Nie – odparł zupełnie poważnie. – Potrzebuję dobrego towarzystwa. Przyjdź.

– Może... W sumie mam dużo czasu.

– To jesteśmy umówieni – uśmiechnął się zawadiacko.

– W pewnym sensie...

– Jeśli możesz, to tego pana zostaw w domu. – Wskazał na człapiącego z tyłu Wikarego. –

Obawiam się, że my dwaj raczej się nie polubimy.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Gretę trudno było rozbawić, a i Oleg nie miał za bardzo nastroju na pogaduchy. Delektował się i cieszył jak dziecko tą chwilą, tym spacerem. Robienie czegokolwiek razem z Gretą, choćby był to zwykły marsz, urastało w jego oczach do rangi niezwykle ważnego wydarzenia. Szedł i sam nie mógł się nadziwić, że przy jego ramieniu jest właśnie jej ramię. Ale przede wszystkim dziwiło go szalenie, że oto spacer z nią podnieca go niemal tak samo jak na przykład nagie kobiece ciało.

„Dziwne to wszystko” – pomyślał.

Odprowadził ją prawie pod same drzwi. Przystanął wśród lip, na alei, i tu się pożegnali. Obserwował ją jeszcze przez chwilę, jak wchodzi do dworu, cmoka na psa, poganiając go, zamyka za sobą drzwi i zapala światło. Przez niezastłonięte okna widział ją w salonie, potem w kuchni. A w końcu światło na dole zgasło i po chwili zaświeciło się na poddaszu. Z dołu, spod lip, Oleg miał słabą widoczność, jeśli chciał cokolwiek zobaczyć, musiałby niestety podejść przed sam dom, a zdemaskować się nie zamierzał. Postanowił więc, jak złodziej, przyczać się i kraść wzrokiem choćby strzępki kobiecego ciała.

Gdy stał tak pod lipą, zadzwieczała mu w głowie heligonka Nohavicy:

Zdejmij swą koszulkę, ukochana,  
noc jeszcze gwiazdami rozesłana

Greta krzątała się po pokoju, na chwilę gdzieś zniknęła, a potem wróciła. Olegowi zmysły grały we wszystkich tonacjach. Niecierpliwie czekał i, jak wygłodniały żebrak, miał ochotę krzyknąć: zdejmij koszulkę!

Greta, jakby usłyszawszy błaganie niedosłego kochanka, zsunęła najpierw spodnie, a potem ściągnęła bluzkę i rozpięła stanik. Nie sądziła, że ktokolwiek zechce ją tu podglądać, poza tym wysokość była spora i podglądacz raczej niewiele by zobaczył.

Oleg dostrzegł jedynie ruchy jej rąk i tylko siłą wyobraźni mógł widzieć jej nagie ciało. Po chwili Greta wślizgnęła się pod prysznic i długo spod niego nie wychodziła. Oleg postać jeszcze czas jakiś pod lipami, ale zrezygnowawszy w końcu z tego bezsensownego czekania, ruszył w drogę powrotną, nucąc jedynie kilka adekwatnych słów:

Gdy się tak oddajesz wodzie,  
chciałbym móc cię wziąć jak złodziej.

Po orzeźwiającej kąpieli Greta wyszła z łazienki i włączyła laptop. Wikary spał już od dawna ułożony centralnie na baranej skórce, a ona rozsiadła się na małej kanapie. Wstała jeszcze, nalała sobie kieliszek czerwonego wina i wróciwszy na kanapę, usiadła i podwinęła lewą stopę pod siebie. Z antresoli dolatywał zapach świeżych ziół, coś jakby pokrzywa, estragon i jałowiec. Zresztą, kto by zgadł dokładnie tę mieszankę? Michał z pewnością przeszedł się po ogrodzie i zrywał garściami to, co miał w zasięgu ręki.

Greta sprawdziła, czy ktoś do niej dzwonił. Ponieważ później dziś wróciła do domu, to Grzegorz mógł jej nie zastać, ale żadnych połączeń nie było. No nic, trudno. W Afganistanie jest dwie godziny później, teraz już po północy, więc porozmawiać będą mogli dopiero jutro.

Pociągnęła łyk wina. Sprawdziła, czy przyszły do niej jakieś wiadomości. Same reklamy i jedna od anonima. Upiła jeszcze trochę z kieliszka i dopiero zajrzała do treści. Tym razem był też załącznik. Najpierw przeczytała treść: „Smutny wojak chodzi, dzieci sobie płodzi”. Otworzyła załącznik. Było to zdjęcie kiepskiej jakości, wykonane prawdopodobnie byle jakim telefonem. Przedstawiało dwoje ludzi w mundurach pustynnych, siedzących prawie tyłem do obiektywu. Widać było, że zdjęcie robiono z ukrycia, bez pozwania. Mężczyzna siedział na nim bardzo blisko kobiety, oboje nad czymś się pochylali. Fotografowi być może zależało na sprawieniu wrażenia, że ci dwoje zaraz się pocałują. Być może tak właśnie było. Ale możliwe też było, że siedzą na przykład nad mapą.

Chociaż Greta bardzo długo i uważnie oglądała zdjęcie, to nie mogła stwierdzić na pewno, że jest na nim jej mąż. Mężczyzna w nieokreślonym wieku, ciemne włosy, mundur, spod żołnierskiego beretu widoczne kark, kawałek ucha i linia włosów, bardzo słaba ostrość. To mógł być Grzegorz, ale wcale nie musiał. Komuś najwyraźniej bardzo zależało na skompromitowaniu go.



W najbliższym czasie okaże się, jak wiele wspólnego ma miłość z zaufaniem. I czy brak tej pierwszej może doprowadzić do upadku drugiego. Lub może na odwrót?

Greta wpatrywała się osłupiała w fotografię. W głowie kotłowały jej się przeróżne myśli. Brała pod uwagę rozmaite scenariusze. Wiedziała, że Grzegorz ją kocha, więc nie tak łatwo ulegnie pokusie. Przez chwilę pomyślała, że komuś zależy na zniszczeniu ich małżeństwa, ale po namyśle stwierdziła, że nie mają przecież wrogów. Ta opcja zatem odpadała. No to zostaje chęć kompromitacji samego Grzegorza. Być może tylko o niego tu chodziło, a ona miała się stać narzędziem w tej nieczystej rozgrywce. Pozostawała jeszcze ostatnia możliwość, niestety najgorsza. Mężczyzna na zdjęciu to Grzegorz i naprawdę ma romans. Nie wiadomo, na jakiej podstawie autor tego anonimu ułożył tekst i czy zrobił to świadomie, ale szarpnął nim delikatną strunę. Jeśli Greta nie chciała jeszcze mieć dzieci, a Grzegorz zawsze ich pragnął, to czy pomyślał, że matką jego potomka wcale nie musi być żona?

Wciąż nie mogąc zrozumieć, w jaką grę została uwikłana, zastanawiała się, jak powinna postąpić, i jedyne, czego w tej chwili chciała, to dowiedzieć się prawdy, wreszcie pojąć, o co tu chodzi, i mieć to już za sobą, bo ten stan niepewności był nie do wytrzymania. Przy najbliższej okazji musi spytać Grzegorza wprost, czy ma romans i co mu wiadomo na temat tych wstrętnych anonimów. Na samą myśl, że mógłby potwierdzić jej obawy, serce zabiło jej szybciej i ogarnął ją jakiś lęk, którego nijak nie mogła odpędzić.

Dolała sobie wina. Sytuacja powoli stawała się nie do zniesienia. Zbyt dużo spadło na nią w ostatnim czasie: utrata pracy, wyjazd męża i jego potencjalna zdrada. Jeśli nieszczęścia chodzą parami, to czy będzie jeszcze jedno, do pary?

– Do diabła z tym wszystkim!

Greta poczuła, że wypila chyba trochę za dużo. Zatrzasnęła laptopa i poszła umyć zęby.

Wikary podniósł zaspany łeb, a nie wyczuwszy żadnego zagrożenia, znów pograżył się we śnie. Dziewczyna wdrapała się na antresolę, ułożyła wygodnie na twardym materacu i próbowała zasnąć, ale długo jej się to nie udawało. Przewracała się z boku na bok, przy każdym poruszeniu roztaczając na nowo delikatną woń ziół z siennika.

Nie mogąc zasnąć, początkowo rozmyślała o Grzegorzu, ale szybko jej myśli, zupełnie swobodnie, powędrowały najpierw ku pierścionkowi z kryształem, potem pomknęły do złotej monety zawieszanej u jej szyi, a na końcu skupiły się na osobie Olega. Myślenie o nim sprawiało Grecie przyjemność. Z radością odtwarzała w głowie jego wygląd, tembr głosu, zapach dobrych perfum przemieszanych z tytoniem. Po raz pierwszy przyznała się przed samą sobą, że mężczyzna ten ją ciekawi. Być może pod wpływem alkoholu płynącego w jej żyłach, ale stwierdziła, że woli myśleć o Olegu niż o Grzegorzu. Choćby z czystej przekory.

Faktem jednak było, że w tym momencie myśl o Olegu była przyjemnością, a myśl o mężu sprawiała jej ból. Z tym pierwszym jak dotąd wiązały się tylko pozytywne emocje, a ten drugi, świadomie czy też nie, przyprawiał ją o strach i niepewność, które znacząco obniżały jej poczucie bezpieczeństwa.

Leżąc pod kołdrą, obracała w dłoniach dużą bryłę surowego kryształu oplecionego srebrem i nie miała już żadnych wątpliwości, że dobrze zrobiła, przyjmując prezent.

Jakiś wewnętrzny głos, dotąd uspiony, zaczynał dawać o sobie znać i pobudzał ją do działania. Poczula się spętana w swym dotychczasowym życiu. Czyżby jakaś ciemna strona jej natury zaczynała się przebudzać na skutek znajomości z Olegiem? Czy to tylko alkohol tak zadziałał i jutro wszystko przemienie? Czy Greta powstanie do jakiejś wewnętrznej rewolucji? I czy może z tego wyniknąć coś dobrego?

## Rozdział 16

Następnego dnia zeszła na dół w zupełnie innym nastroju. Smutki dni poprzednich, które nie dawały jej spokoju, rozwiął dziś jakiś dziwny, niespodziewany entuzjazm. Jak długo się on utrzyma, tego chyba nikt wiedzieć nie mógł. Ważne, że choć na chwilę podziałał relaksująco i optymistycznie.

– Cześć, Miśku – uśmiechnęła się do wuja i cmoknęła go w policzek, siadając do stołu.

– Hej, Ruda – odpowiedział równie wesoło. – Kawy?

– Poproszę. – Rozejrzała się po kuchni, jakby widziała ją po raz pierwszy. – Czy ten sierściuch mógłby noce spędzać z tobą? – spytała, głaszcząc Wikarego po wilgotnym nosie.

– Znudził ci się już? – zaczepnie spytał Michał. – A myślałem, że to twój ulubieniec.

– Uwielbiam go, ale nie chce mi się w nocy zlaźić z góry, żeby go wypuszczać do ogrodu.

– No cóż – westchnął. – Każdy ma swoje zalety i wady... Słyszysz, stary, od dziś znów śpisz ze mną.

Wikary chyba zrozumiał tę rozmowę, bo ni to szczeknął, ni warknął gdzieś pod stołem.

A może tylko leniwie ziewnął.

Michał przyjrzał się dokładnie Grecie i oprócz zmiany jej nastroju, co go ucieszyło, zauważył też zawieszoną na szyi złotą monetę.

– A co to? – Ruchem głowy wskazał łańcuszek.

Greta odruchowo położyła dłoń na monecie, jakby chciała sprawdzić, czy jeszcze tam jest. Teraz Michał dostrzegł i pierścień.

– I to? – Wskazał na srebrną biżuterię.

– A, to długa historia – Greta próbowała go zbyć, przeczuwając, że nie pochwali jej decyzji o przyjęciu prezentu.

– Mam dużo czasu – zachęcił.

Tak, Michał znany był ze swego uporu. Zresztą, tak naprawdę Greta niczego złego nie zrobiła, a w każdym razie tak myślała. Bo czy to źle, że znalazła tu kogoś, z kim mogła porozmawiać i miło spędzić czas?

Wzięła głęboki oddech i pociągnęła łyk kawy, a potem zaczęła opowieść:

– Wyobraź sobie, że Oleg i ja znaleźliśmy w jego piwnicy skarb.

Michał z zaciekawieniem podniósł wzrok znad tosta.

– Na ścianie, pod tynkiem, wmurowano sznurowadło, które prowadziło wprost do tego. – Rozpięła łańcuszek i położyła go przed księdzem, po czym zdjęła pierścionek.

Michał otrząpał ręce z okruszków pieczywa i sięgnął po monetę. Oglądał ją uważnie z daleka, trzymając w wyprostowanej dłoni. Spoglądał to na ruble, to na Gretę.

Patrzył z uwagą na wizerunek zawilego herbu Romanowów, gdzie dwugłowy orzeł obserwował całe cesarstwo od wschodu do zachodu. Na piersi orła widniał święty Jerzy walczący ze smokiem i herb Moskwy, natomiast na skrzydłach znajdowały się emblematy Polski i innych państw.

– No, no – powiedział pełen uznania. – Mikołaj II, 1898 – odczytywał powoli. – Ostatni z Romanowów panujących w carskiej Rosji. I to było w ścianie?

– I jeszcze to. – Wskazała na pierścionek. – To znaczy, nie do końca.

Michał znów na nią podniósł wzrok.

– Tam były marki polskie, więcej takich kryształów, srebrna dwuzłotówka, te ruble i krzyżyk z topazami – kontynuowała. – Oleg na miejscu chciał się ze mną podzielić znaleziskiem, ale nic nie przyjąłem. W końcu to jego dom.

– No pewnie – przerwał jej Michał, by zaznaczyć, że ta decyzja była słuszna.

– No i myślałam, że jest po sprawie, ale wczoraj przyniósł ten pierścionek i łańcuszek z monetą. Kryształ kazał oprawić w srebro, a ruble przerobić na wisiorek.

– Komu kazał? – Michał nie zrozumiał.  
– Swoim pracownikom chyba – wyjaśniła, sama nie do końca pewna, kto to zrobił. – On ma pracownię jubilerską we Lwowie.  
– Aha. I co dalej?  
– No i wczoraj mi to dał. To znaczy sprzedał – poprawiła się. – Nie no, jednak dał.  
– To nie wiesz, czy to dostałaś, czy kupiłaś?  
– Kupiłam. Za złotówkę. Ale to chyba tak jakbym dostała, prawda?  
– No, w sumie... – zastanowił się. – A nie przepłaciłaś czasem? – zapytał z drwiną.  
– O, ho, ho! – zawołała. – Jaki mądrała! Podobają ci się?  
– Pierścionek jest dziwaczny – przyznał szczerze – ale moneta naprawdę robi wrażenie. To kawał historii. Pewnie sobie nawet nie zdajecie z tego sprawy...  
– Wiesz coś o tym? – spytała Greta z ciekawością.  
– Nie, ale w czasie wojny przechodził tędy front, toczyły się ciężkie walki, wsie płonęły, krew się lała, ludzie ginęli. To pewnie ktoś chciał zachować chociaż majątek, kiedy nie mógł życia. A może to pan z Ordów dostał od żydowskiej rodziny, co to ją ponoć w wojnę ukrywał. Kto to wie? A ty nie noś tego tak lekko, bo to może krwią okupione – poradził.

Greta wzięła od Michała monetę. Łańcuszek spływał jej między palcami. Obracała pieniądze w dłoni, aż zrobił się ciepły.

– A może mnie przyniesie szczęście...? – spytała cicho z nadzieją w głosie.  
– Mało ci go? – ofuknął ją Michał. – Zaczyna cię kręcić? Gnają cię gdzieś jakieś wichry namiętności?! Przygody ci się zachciewa?

Greta spojrzała na niego zdumiona.

– Misiu, no co ty?  
– Dziewczyno, uważaj – ostrzegł. – Przyjechał wielki pan, nie wiadomo skąd i nie wiadomo kto, zamieształ już w głowach całej wsi! Jedni go wielbią, bo taki szczodry, a drudzy złorzeczą z zazdrością, bo się nie załapali na tę pulę, co to ją tak hojnie między głupich dzieli! Uważaj, bo on w końcu zniknie, a ty tu zostaniesz. I żeby za późno nie było, jak twój mąż wróci. Bo może być tak, że jak się jeden tobą zabawi, to drugi cię już nie zechce.

– Michał, ty chyba oszalałeś – Greta dopiero odzyskała mowę. – Co ty sobie wyobrażasz?  
– A co, to ja nie wiem, jak to się zaczyna? A bo to mało się w konfesjonale nasłucham?  
– O mnie coś słyszałeś? – nie wierzyła własnym uszom.  
– O tobie, dzięki Bogu, jeszcze nie, ale co ja się od takich naiwnych jak ty nasłucham, to już tylko ja wiem! Święta Panienka taka czysta, a panny tutejsze zbrukane, że aż głowa boli! I nie tylko panny! Wdowy i mężatki też!

– A mężczyźni tacy nieskalani w tej parafii? – Greta nieco się oburzyła. – To z kim te kobiety tak się brukają?

– Eeee... szkoda gadać. – Ksiądz machnął ręką i wstał od stołu. – Tylko żeby mi tu wstydu nie było!

Michał sam już nie wiedział, czy można nadal ufać rozsądkowi Greta, czy już należy ją chronić przed pazernymi łapskami tego cholernego Ukraińca. Zaczynał się o nią naprawdę niepokoić i, by odpędzić choć na chwilę złe przeczucia, które w sekundzie go dopadły, zanurkował do kredensu, zawzięcie czegoś poszukując.

Greta została przy stole sama. W milczeniu dokończyła ciepłe tosty z konfiturą i dołała sobie kawy. Michał tak bardzo ją przekonywał do wierności, a nawet przez chwilę nie pomyślał, że może to Grzegorz jest nieuczciwy. A zresztą, kto dziś jest kryształowo czysty?

Michał znalazł wreszcie to, czego szukał, wstał z kłeczek i położył na blacie kredensu paczkę wafli tortowych. Pokrzętał się jeszcze przez chwilę, wyjął z lodówki ćwierć kilograma masła i śmietanę, przyniósł ze spiżarni spory słojek powideł śliwkowych, naszykował cukier i kakao. Greta uważnie obserwowała wszystko, co robił – wyraźnie wyczuwała, że jest podenerwowany i bierze się do pichcenia jedynie po to, by rozładować złość.

Wrzucił masło do sporego rondelka, a gdy po chwili się roztopiło, dosypał szklanekę cukru, trzy łyżki gęstej śmietany i dwie łyżki kakao. Dołał też ze trzy łyżki źródlanej wody i drewnianą

łopatką wygarnął ze słoja całe powidła. Mieszał wszystkie składniki z zacięciem, dopóki nie uzyskał jednolitej masy albo też dopóki nie uszła z niego cała złość. Kiedy masa zawrzała, w nim właśnie wrzeć przestawało. Zdjął rondel z ognia i odstawił go do ostygnięcia. Ciepłe kakao i powidła sprawiły, że po kuchni znów rozszedł się przyjemny zapach pobudzający pracę ślinianek. Teraz wystarczyło jedynie poczekać, aż masa wystygnie, i poprzekładać nią dokładnie wafle, by przejęły winny smak śliwek, trochę słodczy cukru i ciut goryczki kakao.

Po zjedzeniu tostów Greta wsiadła do jeepa i, jakby na złość Michałowi, pojechała złożyć wizytę w Zaciszu. Już z daleka widać było, że przed dworem panuje spory ruch. Roboty szły pełną parą, a nawet jeszcze może nabrały tempa. Coraz to nowe ekipy fachowców zjeżdżały do Ordów. Zacisze piękniało z każdym dniem, obojętnie też nabierało charakteru i zamierzonego wyglądu. Odpowiednio zadbano także o sad i ogród. Kilkoro fachowców projektowało rabaty, aleje, oczka wodne, kaskady, a ich wizje sukcesywnie wcielano w życie. Co można było wykonać już teraz, to wykonano. Uprzątnięto stare spróchniałe drzewa, dowieziono żwiru, porobiono aleje spacerowe i mostki, altanę oraz cały szereg pergoli, po których wspinać się miały róże, powoje i winorośle. Na jesień pozostawiono dosadzenie krzewów różanych, a na przyszłą wiosnę innych roślin i krzewów. Pracy w Zaciszu było jeszcze wiele do wykonania.

Dwór coraz bardziej odzyskiwał dawną świetność. Odremontowany był już niemal w całości, od piwnic aż po komin. Na zewnątrz zrobiono już prawie wszystko, zostały jeszcze prace wykończeniowe, natomiast w środku roboty była jeszcze cała masa. Ostatnio Oleg większość dni spędzał na zakupach. Przetraszał sklepy i aukcje internetowe w poszukiwaniu mebli i całego wyposażenia wnętrz. Wypuszczał się także do warszawskich salonów meblowych i modnych snobistycznych galerii. Bardzo to lubił i w tej kwestii z pewnością nie był typowym mężczyzną. Jakkolwiek przeszukiwanie sklepów uważał za rzecz przyjemną, to jednak wolałby uprawiać ten sport nie w pojedynkę. Irmina na przykład byłaby świetnym kompanem i doradcą, ale taka opcja niestety nie wchodziła w grę. Być może dobrym towarzyszem w sztuce shoppingu okazałby się Danił ze względu na swoje talenty, jednak zabrać go na zakupy to swego rodzaju ryzyko – nigdy nie wiadomo, czy bardziej nie zaszkodzi, niż pomoże, bo jednak był dość nierozgarnięty.

Kiedy Greta podjechała pod dwór, Oleg akurat siedział pod kosztelą i szperał w internecie, szukając antyków do swoich salonów. Zaczął poszukiwania od największych mebli, drobnicę zostawiając na koniec. Właśnie oglądał ogromne dębowe kredensy.

Greta szła do niego uśmiechnięta, dumnie wyprostowana, a na jej szyi z daleka błyszczał car Mikołaj. Miała na sobie proste lniane spodnie w kolorze cappuccino, oliwkowy bawełniany podkoszulek i żółte espadryle na słomianych koturnach. Wyglądała olśniewająco i niezwykle pociągająco.

Oleg podniósł wzrok znad laptopa i oniemiał na jej widok, ale i na zapach, który dotarł do jego nozdrzy wraz z wiatrem. W powietrzu, jeszcze zanim Greta stanęła w bliskiej odległości, rozchodziła się uwodzicielska świeża woń cytrusów, gruszki, mimozy i piżma.

– Front robót po drugiej stronie dworu, a ty się na tych tyłach obijasz! – zawołała radośnie na dzień dobry.

– Na tych tyłach się pracuje. Chodź, coś ci pokażę. – Wyciągnął do niej dłoń. – Jak ty pięknie pachniesz...

– Dzięki. – Usiadła obok niego na trawie i spojrzała mu przez ramię w monitor. – Co to?

– Który ci się podoba? – Przechylił laptop, by lepiej widziała, i pokazał jej kilka starych kredensów. Wszystkie były dębowe, potężne, masywne, bogato rzeźbione, z początków dwudziestego wieku. Niektóre lekko podniszczone, ale tym zupełnie się Oleg nie przejmował. Każdy z nich kosztował grubo ponad cztery tysiące złotych. Niejedna polska rodzina za taką kwotę mebluje cały pokój, a on zamierzał kupić w tej cenie jeden stary mebel.

Greta z zainteresowaniem obejrzała wszystkie oferty i gdyby miała coś wybrać, to chyba by nie potrafiła się zdecydować. Wszystkie kredensy były dokładnie takie, jak być powinny: stare, w całości drewniane, ręcznie wykonane z pietyzmem i starannością. Przy dzisiejszej minimalistycznej nowoczesności, wszędobylskiej stali i płytach MDF te wszystkie cudeńka z warsztatu mistrza stolarskiego wyglądały niezwykle dostojnie i szlachetnie.

- Trudny wybór – odezwała się wreszcie. – Wszystkie są piękne.
- Tak uważasz? – Oleg szczerze się ucieszył, że nadają na wspólnych falach. – Pomożesz mi wybrać kilka mebli?
- To po to miałam do ciebie przyjść?
- A co, kiepski pomysł?
- Nie, przecież mam dużo czasu – uśmiechnęła się. – Na pewno chcesz, żebym ci pomogła?
- Na pewno.

Propozycja nawet Gretę ucieszyła, a najważniejsze, że skutecznie odwróciła jej uwagę od własnych trosk.

Pod kosztelą przesiedzieli praktycznie cały dzień. Niemal bez wytchnienia, z ogromnym zapałem przeglądali wszystkie oferty, które ich zainteresowały. Przechodzili od strony do strony, wpadając na coraz to nowe pomysły dekoratorskie. Czytali porady, podpatrywali domy i ogrody innych internautów i przekształcali je w swej wyobraźni na potrzeby Zacisza.

Wyglądało na to, że Oleg naprawdę zamierza wprowadzić się tu na stałe, bo wydawało się niedorzeczne, by tak kompleksowo urządzać dom, a potem w nim nie mieszkać. Greta w pewnym momencie zupełnie chyba zapomniała, że to nie jej progi, i tak się zapędziła w wirtualnym urządzaniu dworu, że zdawało jej się przez chwilę, że w końcu sama w nim osiadzie. Kiedy się ocknęła z tego krótkiego jak mgnienie marzenia, doznała sporego zawodu i rozczarowania, że te wszystkie cudowności nie należą, choćby w małej części, do niej.

Z tego rozmyślania wyrwał ją głęboki głos Olega.

– Dosyć na dziś. – Zamknął z trzaskiem laptopa. – Pora rozprostować kości i coś zjeść.

Wstał i podał jej rękę.

Na skutek długiego siedzenia w niewygodnej pozycji Greta odczuwała mrowienie w prawej nodze, więc chętnie skorzystała z silnej dłoni Olega. Podała mu swoją rękę, a on chwycił ją i przyciągnął do siebie tak mocno, że aż zachwiała się na zdrętwiałej nodze i oparła o jego tors. Przez bardzo krótką chwilę jej włosy dotykały jego twarzy, jej piersi opierały się o jego pierś, jej udo dotknęło jego uda. Ten krótki czas wystarczył, by Olegiem szarpnął znany mu już spazm pożądania, który dręczył go od kilku miesięcy. Wciągnął w nozdrza bijący od niej zapach cytrusów i nieświadomie zacisnął pięści na jej ramionach, przyciągając ją do siebie.

Greta poddała się tym gestom i będąc tuż przy nim, mimowolnie do niego przyłgnęła. Trwało to tyle co nic, ot, ledwie pstryknięcie palcami, mrugnięcie powieką. Być może trwałoby dłużej, ale zaciskające się coraz mocniej dłonie Olega sprawiły Grecie ból i odsunęła się od niego gwałtownie.

Nie zatrzymywał jej. Starał się wyrównać oddech i uspokoić zmysły.

– Przepraszam – wydusił.

Jeszcze dwa tygodnie temu Greta w takiej sytuacji zareagowałaby stanowczo, ale dziś jej życie było już nieco inne. Wtedy czuła się silna, potrzebna i kochana. Dziś nie była ani silna, ani nie czuła się potrzebna, ani kochana. Jej siłą i poczuciem bycia potrzebną solidnie zachwiała utrata pracy, a pewność bycia kochaną coraz bardziej umniejszała seria anonimów.

Dzisiejsza Greta nie była już tą dziewczyną sprzed paru miesięcy – odważną, pewną siebie, zadowoloną z życia i chyba szczęśliwą. Choć starała się trzymać, to jednak w jej myślach i sercu zagościła niepewność. Utracone poczucie bezpieczeństwa najlepiej rekompensowała jej obecność Olega. Zaczęła dostrzegać w nim mężczyznę, który jest na tyle silny, że bez trudu mógłby ją ochronić od wszelkiego zła. Skąd rodziło się w niej takie przeświadczenie, nie wiadomo. Być może to po prostu siła sugestii. Ludzki umysł to najlepszy kłamca, pomaga nam wyimaginarować wszystko, czego tylko zapagniemy, i utwierdza nas w każdym błędnym przekonaniu. I jak te ćmy pędzimy do ognia, by spłonąć, przedtem zażywszy choć trochę ułudy, choć trochę szczęścia – choćby iluzorycznego. A potem, niech się dzieje co chce...

Oleg niespecjalnie ukrywał swoje zainteresowanie jej osobą. Sprawiał wrażenie człowieka, który zawsze osiąga to, co sobie zamierzy, i już te dwa fakty mogłyby lub nawet powinny Gretę zaniepokoić, ona jednak, na przekór wszystkiemu, czuła się w jego towarzystwie po prostu dobrze, wręcz coraz lepiej.

– Jakiś obiad? – podjęła wcześniejszy temat, próbując odwrócić uwagę od niezręcznej sytuacji.

– Jasne – Oleg szybko odzyskał rezon. – Wskakuj do auta, jedziemy na ryby.

– Co? – roześmiała się ze zdziwieniem.

– Kilkanaście kilometrów stąd jest dobry zajazd z pysznym pstrągiem. Zapraszam. –

I wskazał jej miejsce w hummerze.

Niemal bez zastanowienia wskoczyła do potężnego auta. Wewnątrz mieszały się zapachy papierosów, skórzanej tapicerki i wody kolońskiej. Ta bardzo męska mieszanka mile polechtała nozdrza Greta.

Po kilku minutach do Olega ktoś zadzwonił. Spojrzał na wyświetlacz i odezwał się do Greta:

– Przepraszam, muszę odebrać. – Przyłożył słuchawkę do ucha. – Halo, cześć Irmina... No, a gdzie mam być?... Pewnie... Naprawdę?... To świetnie... No, to niech Jurij zrobi kolejny... A, inne wzory... Myślisz, że taka łąkowa kolekcja się sprzeda?... Co?... I *Kamasutrę* chcesz? Wiesz co, kotku, mam pomysł... No jasne... Przyjedź do mnie, zrób sobie krótkie wakacje. Na miejscu osobiście pooglądasz wszystkie dzieła mojego artysty, co?... No, zastanów się i daj mi znać... Tak, zapraszam serdecznie... Pa, kochana... Dzięki ogromne za wszystko...

Greta siedziała z szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała. Z tego monologu chyba jasno wynikało, że ta Irmina to bardzo bliska znajoma Olega. Czyżby na dobitkę łączyła ich *Kamasutra*?!

– Ale masz minę – zauważył ze śmiechem Oleg. – O co chodzi?

– Nie, o nic – wymamrotała zdezorientowana. Sama nie bardzo wiedziała, dlaczego poczuła ukłucie zazdrości.

– Irmina to moja współpracowniczka – pospieszył z wyjaśnieniem. – Zajęła się sprzedażą drewnianych amorów i naszyjnika Daniła. Mówi, że jedno i drugie świetnie się sprzedają. Coś mi się wydaje, Ruda, że Danił ma szansę trochę zarobić – po raz pierwszy zwrócił się do niej w ten sposób zarezerwowany dotąd jedynie dla Michała, ale wcale jej to nie przeszkadzało.

– Aha – odparła głupio, bo wstyd jej się zrobiło za swoje myśli sprzed chwili.

– Chyba czas najwyższy zawieźć go do Lwowa. Niech sobie chłopak posiedzi wśród kruszców, kto wie, może coś pięknego tam wymyśli?

– Uwważaj na niego – poprosiła po raz kolejny. – To bardzo wrażliwy człowiek.

– Wiem, siostrze miłosierdzia. Ale na jego talencie możemy skorzystać obaj. Spokojnie, opłaci mu się to, zobaczysz. – Spojrzał na nią i dodał po chwili olśniony: – Wiesz, mam świetny pomysł. Jedź z nami, będziesz mogła się o niego troszczyć.

– Gdzie, do Lwowa? – zdziwiła się Greta.

– A czemu nie? Co cię tu teraz trzyma?

– Daj spokój – ucięła.

Dotarli na miejsce. Zajazd był dużym domem murowanym z opoki, z równiutko przystrzyżonym trawnikiem i sporym parkingiem. Oleg zatrzymał się w cieniu i popędził otworzyć Grecie drzwi, ale ona nie czekała na ten szarmancki gest i sama gramoliła się z wysokiego auta. Dopadł do niej w ostatniej chwili i mimo wszystko podał jej dłoń, której nie odrzuciła.

Rozsiedli się wygodnie przy drewnianym stole, naprzeciw siebie, a Oleg, nie zaglądając do menu, zamówił dwa razy pstrąga z frytkami i zestawem surówek oraz białe wino dla Greta i wodę gazowaną dla siebie.

Porcje przyniesiono duże i smaczne, zjedli więc z apetytem i w dobrych humorach. Po obiedzie wyszli na zewnątrz, pod stare świerki, wśród których ustawiono stoły i ławy takie same jak wewnątrz zajazdu. Rozsiedli się wygodnie i taksując się nawzajem, obserwowali swoje twarze. Oleg wyciągnął z kieszeni papierosa, zapalił i z wyraźną ulgą charakterystyczną dla ludzi uzależnionych głęboko się zaciągnął.

– O czym myślisz? – zagadnął Gretę, która od pewnej chwili zdawała się nieobecna duchem.

– Czy ja wiem? – odparła. – W ostatnim czasie przerobiłam tyle wariantów mojego życia,

że teraz właściwie już przestałam o czymkolwiek myśleć. Wyeksploatowałam się. Nic mi się nie chce i na nic nie mam ochoty.

– Na nic? – zaczepnie i dwuznacznie podłapał temat.

– Właściwie masz rację – odpowiedziała po namyśle. – Im dłużej trwa ta moja beznadzieja, tym częściej myślę, czego w życiu nie widziałam, gdzie nie byłam, co mnie ominęło, bo wciąż odkładałam na emeryturę. A tu nagle zasypało mnie wolnym czasem i zupełnie nie wiem, co z nim zrobić. Przecież mogłabym dokądś pojechać, złapać oddech, trochę pomalować, nadrobić zaległości w lekturach. Ale za co? Za chwilę nie będzie mnie stać na opłacenie czynszu.

– A mąż? – spytał Oleg, licząc, że coś mu o nim opowie.

– No, w nim cała nadzieja – uśmiechnęła się lekko. – Może to i dobrze, że jednak wyjechał na tę misję? – powiedziała bardziej do siebie niż do Olega. – Gdyby tu został, to w tych okolicznościach byłoby nam naprawdę trudno związać koniec z końcem.

– A gdzie jest?

– W Afganistanie.

– Pierwszy raz?

– Tak. I mam nadzieję, że mimo wszystko ostatni. Wraca w grudniu.

– To do grudnia mamy czas – zażartował dwuznacznie Oleg.

– Na co?

– Jak to: na co? Na życie! – zawołał. – Zrób sobie taki prawdziwy urlop. Taki, o jakim zawsze marzyłaś. Rób to, na co masz ochotę, maluj i czytaj. Albo wpadaj do Zacisza na meblowanie. To chyba też ciekawe zajęcie? Albo namaluj jakiś obraz i spróbujemy go sprzedać razem z dziełami Daniła. Kto wie, może się w tym sprawdzisz?

– Nawet tak nie żartuj, bo jak w to uwierzę, to klapą załamie się jeszcze bardziej.

– Dlaczego od razu zakładasz najgorsze? Proponuję ci kawałek kąta w mojej pracowni.

Jeśli nikt cię nie kupi, to po prostu zwrócę ci obraz. Co ty na to? – Oleg aż rwał się do tego nowego pomysłu. Skoro ludzie kupują kilka poprzecznych machnięć pędzlem i są dumni ze swych kolekcji, to może znajdzie się ktoś, kto zechce patrzeć co dzień rano na wiszący nad kominkiem poleski krajobraz? – Pomyśl tylko – kontynuował – wyrzeźbiona *Kamasutra* poszła świetnie. Naszyjnik zresztą też. Spróbuj, co ci szkodzi?

Twarz Greta wyrażała silne emocje. Na policzki wystąpiły jej rumieńce, a szmaragdowe oczy zalśniły iskrami podniecenia. Pomysł Olega wydawał jej się zupełnie irracjonalny, choć niezwykle pociągający. Absolutnie nie widziała siebie w roli wziętej malarki, ale musiała przyznać, że Oleg mile polectał jej próżność i pozwolił na chwilę oderwać się od trosk. Przez głowę natychmiast mimowolnie przemknęły jej myśli o tym, że może to nie jest tak do końca głupi pomysł.

Ech, jak łatwo w człowieka tchnąć nadzieję – wystarczy lekko trącić ukryte głęboko pragnienia i marzenia. Wiele z nich nigdy nie wychodzi na światło dzienne, ale jak już raz ktoś o nich wspomni, to na zawsze pozostają z nami i kołaczą się gdzieś z tyłu głowy. I od tego momentu życie staje się mniej znośne, bo wciąż tylko myślimy, co by było gdyby...

Greta ocknęła się z tego przyjemnego zamyślenia i odezwała się ciepłym głosem:

– Miły jesteś, dziękuję, ale raczej nie skorzystam.

– Dlaczego? – rozczarował się Oleg. – Boisz się krytyki? Spokojnie, we Lwowie nikt cię nie zna. Zobacz, jestem tu od czterech miesięcy, a Danił zarobił u mnie kilka tysięcy. Myślisz, że źle zrobił, projektując biżuterię i rzeźbiąc?

– Nie. Oczywiście, że nie – zaprzeczyła żywo. – Tylu pieniędzy w życiu pewnie nie miał, musi być bardzo zadowolony. Ale to co innego, on ma talent.

– Zwyczajnie się boisz – wziął ją pod włos – szukasz usprawiedliwienia. Rozejrzyj się, przypatrz się uważnie kulturze masowej. Tyle kiczu, brzydoty i beztalencia jeszcze nigdy dotąd nie brylowało na salonach. Dziś już nie ma ludzi z klasą. Nie ma prawdziwych gwiazd. Celebryci skutecznie odarli całą kulturę z tego, co najlepsze. Dziś wszystko jest na sprzedaż, a właściwie do wzięcia. To, co wartościowe, jest niemal za darmo, bo mało kto tego chce. A to, co niewarte uwagi, kosztuje krocie, bo na tym lansuje się świat. Zubożeliśmy, niestety, bardzo. Wartości poszły

w cholerę, są *démodé*. Dla estetów nie ma miejsca. Zeszliśmy do podziemia. Nie mogę zaproponować ci pracy, bo nie dysponuję żadnym wakatem. Ale chcę ci pomóc, a ty na starcie odrzucasz moją ofertę. Jesteś niewdzięczna – zakończył dobitnie, starając się wzbudzić w niej poczucie winy.

– A ty niesprawiedliwy – odcięła się. – Sprawiasz wrażenie bardzo pewnego siebie, jakby w życiu zawsze wszystko ci się układało. A ja zwyczajnie nie mam siły na kolejną porażkę. Chcę po prostu spokoju i stabilizacji. Tak trudno to zrozumieć?

– Skarbie – odezwał się do niej poufale, ale brnął dalej – kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

Świadomie ją prowokował, chcąc pobudzić wreszcie do jakiegokolwiek działania. Być może miała rację, sądząc, że nie ma talentu malarskiego, ale warto było zaszczerpić w niej wolę walki. Z odpowiednim, bojowym nastawieniem dużo lepiej będzie się czuła, poszukując nowej pracy. Człowiek waleczny jest o wiele bardziej efektywny od jedynie ambitnego. Ambicja nie wystarczy do zapewnienia sobie godnego miejsca w szeregach. Potrzeba do tego jeszcze siły charakteru i woli zwycięstwa.

Trzeba przyznać, że w tej rozgrywce górą był Oleg. Skutecznie zagrzał ją do podjęcia decyzji, chociaż zdawał sobie sprawę, że decyzja ta może kiełkować dość długo. Za to nadzieje, że całą sobą, ze zdwojoną siłą, weźmie sprawy w swoje ręce, miał spore. I słusznie – bo Gretę wystarczyło odpowiednio zdopingować, a resztę robiła już sama.

W kieszeni Olega zaterkotał telefon, ale on postanowił go zignorować.

– Sprawdź – zaproponowała. – Może to coś ważnego.

– To tylko SMS. Nie ucieknie – odparł uprzejmie.

– Nie krępuj się – nalegała, czując, że nie sprawdza wiadomości przez grzeczność.

– To nic istotnego. Ważnych spraw nie załatwiam SMS-em. – Sięgnął jednak po telefon i zajrzał do treści, uśmiechając się mimowolnie. – To lubię... Szybka decyzja... Nie to, co u ciebie... – Spojrzał na nią wymownie. – Irmina przyjęła zaproszenie. Będzie w piątek.

– Jeszcze dwie godziny temu nie zamierzała skorzystać z twojego zaproszenia, a teraz już zaczęła pakowanie? – zdziwiła się Greta. – Szybka jest. Albo zmienna.

– Fajna jest – dołożył Oleg. – Sama się przekonasz.

– Ja?

– A co, nie masz ochoty jej poznać?

– Nie o to chodzi – tłumaczyła się – ale to twój gość. Nie zamierzam przeszkadzać.

– W czym, głuptasie?

Wzruszyła ramionami na znak, że się poddaje.

– Co jutro robisz? – Oleg przerwał ciszę.

– Nie pytaj głupio – odparła rozdrażniona. – Przecież wiesz, że nic.

– W takim razie proszę cię o pomoc – odpowiedział niezwykle łagodnie, by ją udobruchać, zanim odmówi. – Wybierz się ze mną do Warszawy.

– Po co? – spytała zdziwiona.

– Na razie w domu mam wszystkiego po jednej sztuce, a to za mało na przyjmowanie gości. Muszę zrobić porządne zakupy.

– W sumie i mnie by się przydało wstąpić do domu po jakieś cieplejsze ubrania – powiedziała po namyśle. – Wieczory już są chłodne, a ja mam tutaj same letnie rzeczy.

– No – zadowolony zatarł dłonie – to jesteśmy umówieni.

Ruszyli spacerkiem do samochodu i Oleg odwiózł Gretę pod sam burzański dwór. Jej jeep został w Ordach – umówili się, że zabierze go nazajutrz po powrocie z Warszawy.

– Wstąpię po ciebie punktualnie o siódmej – powiedział, kiedy wysiadała z hummera. – I dziękuję za miły dzień.

– To ja dziękuję – odparła z zadowoleniem i przesłała mu czarujący uśmiech. – Do jutra.

Spoglądał na nią, aż znikła za drzwiami dworu, i dopiero wtedy ruszył do siebie.

Oboje byli bardzo zadowoleni z tego wspólnie spędzonego dnia, choć nie wydarzyło się przecież nic nadzwyczajnego. Każdemu z nich wystarczyła po prostu wzajemna obecność. Czasem warto tak sobie razem potrać – czy to przy wspólnej pracy, czy przy obiedzie, czy choćby



w milczeniu.

Ledwo zamknęła za sobą drzwi, już dopadł do niej uradowany Wikary, a tuż za nim mniej zadowolony Michał.

- A gdzie twój samochód? – zdziwił się.
- Cześć, wujciu – zaczęła przymilnie.
- Dobra, dobra – znecierpliwiał się. – Gdzie?
- U Olega. Odwiózł mnie, bo piłam wino do obiadu.
- Dziewczyno, co ty najlepszego wyprawiasz?

Michał miał do niej coraz mniej zaufania. Zaczynał poważnie wątpić w jej rozsądek.

- Nic, kochany. Nie martw się. Nie dzwonił Grzegorz?
- Nie słyszałem. Chyba nie.

Włączyła laptop.

– Nie dzwonił – powiedziała do siebie. – To ja zadzwonię. – I już łączyła się z Afganistanem, ale nikt z tamtej strony nie odbierał.

Michał obserwował Gretę uważnie i sam już nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Nie przejawiała większego zainteresowania tym Ukraińcem – to dobrze. Nie mówiła o nim, nie zachowywała się jak zauroczona małolata, nie rumieniła się na wspomnienie o nim. Ale dlaczego spędzała z nim tyle czasu? Nadal była tak samo zainteresowana Grzegorzem, nie unikała kontaktu z nim, nie sprawiała wrażenia, jakby coś ukrywała czy kombinowała. Być może nie było o co się martwić, ale należało uważać, bo przecież samotna młoda kobieta i przystojny mężczyzna to jest jakieś niebezpieczeństwo, prawda?

Michał oddawał się podobnym rozważaniom już od pewnego czasu. Jak dotąd w niczym mu nie pomogły. Ani o krok nie przybliżył się do zrozumienia tej sytuacji i czuł się coraz bardziej bezradny. Mógł jedynie obserwować i czekać na rozwój wypadków.

– Michał, co sądzisz o moich obrazach? – spytała Greta, jednocześnie łapiąc w przelocie gotowe już wafle, które przez te parę godzin zdążyły lekko nawilgnąć śliwkową masą. – Mm... Pyszne.

Ksiądz machinalnie powiódł wzrokiem po ścianie, na której wisiał jej krajobraz. Bardzo lubił ten olej. Zresztą, lubił wszystkie jej prace. W przypadku Grety był strasznie nieobiektywny.

- Nie znam się na sztuce – odpowiedział – ale podobają mi się. Dlaczego pytasz?
- Bo ja wiem? – zastanowiła się. – Niektórzy z tego żyją...
- I ty też zamierzasz? – uśmiechnął się dobrodusznie. – A kto cię będzie karmił? Mąż daleko, a parafia biedna. Ludzie się na ciebie nie złożą – zażartował.

– Dzięki wielkie – zachnęła się. – Czyli nie warto nawet próbować?

– Wprost przeciwnie – spoważniał – próbować zawsze warto. Dopóki sił starczy i życia.

Długo w noc Greta przewracała się z boku na bok na swojej antresoli i nie mogła zasnąć. Wokół rozchodził się zapach jałowca i róż, a ona rozmyślała nad dzisiejszymi słowami Olega. Zresztą, nie tylko słowami. Zupełnie nieświadomie zaczęła fantazjować także o nim. Miała w pamięci obraz jego gęstych włosów, ciemnych oczu, pięknej sylwetki. Przyłapała się na tym, że myśli o nim chętnie i z przyjemnością. Czowała, że jest jej bardzo życzliwy, ale na razie nie przychodziło jej jeszcze do głowy, że może mieć wobec niej jakieś zamiary. Sądziła po prostu, że jest to rodzaj wdzięczności za to, że jest dla niego uprzejma i dotrzymuje mu towarzystwa w tym obcym przecież dla niego świecie.

Rano punktualny Oleg przejechał lipową aleją, zaparkował na podjeździe i cierpliwie czekał na Gretę. Wyszła odrobinę spóźniona, za to z ogromnym uśmiechem na twarzy. Ubrana była w zieloną szmizjerkę z krótkimi rękawkami i rude, wysokie sandały. Włosy skręciła nad karkiem i podpięła, by nie przeszkadzały podczas podróży. Przez ramię przerzuciła małą, również rudą torebkę listonoszkę. Jak zwykle miała jedynie delikatny makijaż, odrobinę rozświetlającego pudru, troszkę tuszu i usta subtelnie podkreślone czerwonym błyszczkiem. W jej uszach lśniły spore, bursztynowe kolczyki. Oleg szybko spojrzał na jej dłonie i szyję – rubel pobłyskiwał w porannym słońcu, a kryształ przekreślił jej się delikatnie na palcu. Jej widok go zachwycił.

– Jakaś ty piękna! – zawołał na powitanie, otwierając przed nią drzwi. – A jak

pachniesz... – Nachylił się nad jej ramieniem i delektował się aromatem nieco cięższym niż wczoraj, a na pewno bardziej zmysłowym.

– Dozuj komplementy, bo w tym tempie zabraknie ci ich na długo przed Warszawą – powiedziała radośnie.

– Możesz być o to spokojna – odparł równie zadowolony. – Jestem bardzo pomysłowy.

Michał obserwował całą tę scenę zza firanki i coraz bardziej utwierdzał się w swych przecuciach, że coś tu się jednak kroi. Żeby tylko Greta była ostrożna i nie zrobiła nic głupiego...

Oleg i Greta rozsiedli się wygodnie w ogromnym samochodzie i ruszyli przed siebie.

Podróż była przyjemna, choć poleskie drogi pozostawiały wiele do życzenia – jak zresztą wszystkie polskie drogi. Ale i ukraińskie wcale lepsze nie były, a może i gorsze jeszcze.

Na trasie zatrzymali się na kawę i tankowanie. Przez sporą część jazdy ze świetnego zestawu stereo dobiegały przyjemne dźwięki czeskiego folku. Gust muzyczny Olega, tak samo jak i estetyczny, był zupełnie niedzisiejszy. Muzyka była niekrzykliwa, łagodna i przenikająca na wskroś mądrością swych słów. Od czasu do czasu Oleg podśpiewywał razem z płytą:

Na całym świecie tylko ja  
przy twoim ogniu będę trwał

albo:

Moja żona byłaby starszą córką szewca  
Kamińskiego, co wcześniej we Lwowie by mieszkał.

Jego głos był mocny, dźwięczny i czysty. Nucił z początku pod nosem, nieco nieśmiało, ale wkrótce zapominał o wszystkim i rozśpiewywał się z zapamiętaniem, zagłuszając Nohavicę. Greta wyraźnie czuła, że ta muzyka sprawia mu dużo przyjemności i go relaksuje. Zresztą nic dziwnego – było w niej sporo humoru, prawdy i mądrości popartych solidną dawką dobrych nut.

Do Warszawy dotarli około dziesiątej i pojechali wprost do hipermarketu. Greta często robiła zakupy w takich sklepach, Oleg natomiast unikał ich jak ognia, bo uważał, że każdy hipermarket handluje marną tandetą. Ale dzisiejsze zakupy, choć spore, miały pełnić funkcję jedynie tymczasową. Brakowało mu podstawowych artykułów, od chemii gospodarczej począwszy, poprzez ręczniki, pościel, materace, a na zastawie stołowej skończywszy.

Kiedy już się urządzi na dobre, na pewno zafunduje sobie porządną porcelanę i srebrne sztuce, ale teraz, kiedy nie wiedział jeszcze dokładnie, w jakim stylu będzie wystrój, nie zamierzał kupować tych wszystkich rzeczy. Na przyjazd Irminy wystarczą zamienniki. Na pewno się nie obrazi i zrozumie jego sytuację samotnego faceta w pustym domu.

Do spółki z Gretą, niekiedy dyskutując nad wyborem, wkładali do wózka talerze, kubki, sztuce, kołdry, poduszki, koce, materace, ręczniki, komplety pościeli, mydła, żele do kąpieli, pasty i szczoteczki do zębów oraz całe mnóstwo innych drobiazgów, tak by gościowi zapewnić możliwie największy komfort w remontowanych jeszcze progach. Kupili też bardzo solidny i duży grill ogrodowy i zrobili spory zapas różnego rodzaju alkoholi, napojów i jedzenia. Na koniec tej szarży po sklepach bagażnik hummera, którego pojemność wynosiła około półtora tysiąca litrów, wyładowany był po sam dach, a jeszcze miały się tam zmieścić rzeczy Grety zabrane z jej mieszkania.

Dotarli tam późnym popołudniem, zmęczeni jak galernicy, ale zadowoleni z udanych zakupów.

– Przytulne mieszkanko – zauważył Oleg raczej z grzeczności.

– Daj spokój! – krzyknęła Greta z kuchni. – Przy twoim błednie.

Rzeczywiście, nie dało się porównać tych dwóch domów. Różniło je wszystko: metraż, okolica, w jakiej się znajdowały, i wreszcie wystrój. Każda próba porównania wypadała zawsze in minus dla mieszkania Mareckich. Małe, dwupokojowe mieszkanko w warszawskim Ursusie nie stanowiło żadnego luksusu, choć dla młodego małżeństwa było wystarczające. Urządzono je w przeważającej większości meblami z IKEA, oczywiście ze względu na bardzo korzystne ceny.

Oleg usiadł swobodnie na kanapie i obserwował Gretę krzątającą się przy parzeniu herbaty. Utwierdzał się w przekonaniu, że aneksy kuchenne, choć nadal bardzo modne i pożądane, są w gruncie rzeczy niepraktycznym szkaradzieństwem. Jedyny ich plus był taki, że siedząc teraz

w salonie, mógł bez przeszkód patrzeć na Gretę.

– O, cholera! – krzyknęła i z hukiem odstawiła czajnik na płytę kuchenki. Podniosła szybko dłoń do ust i przygryzła palce, nie znajdując lepszego sposobu na zaradzenie skutkom oparzenia.

Oleg w sekundzie doskoczył do niej i wyszarpnął jej dłoń z ust, jednocześnie odkręcając strumień zimnej wody. Włożył jej rękę pod wodę i nie puszczał.

– Lepiej? – spytał z troską.

– Tak – szepnęła, patrząc nań z wdzięcznością.

Uśmiechnął się. Woda nadal lała się po jej palcach.

– Potrzyj tak jeszcze – rozkazał, a sam zajął się herbatą.

Zalał wrzątkiem przygotowane kubki i rozglądając się dookoła, dostrzegł otwartą szafkę z talerzami. Wziął jeden i wyłożył na niego pączki, które wcześniej kupili w cukierni pod blokiem. Przeniósł kubki i pączki na ławę i wrócił do Grety.

– Pokaż. – Zakręcił wodę i wziął jej zimną mokrą rękę w swoją. Dłoń była zaczerwieniona, ale poza tym nie wyglądało to na nic groźnego. – Boli?

– Troszeczkę.

Unióś lekko jej dłoń do góry i sam pochylił się do niej, jak w głębokim ukłonie, a potem musnął opuszki jej palców delikatnym pocałunkiem. Greta próbowała wyszarpnąć się z jego uścisku, ale zanim udało jej się wyswobodzić, odezwał się:

– Mama zawsze tak mnie leczyła. Naprawdę pomagało.

– A wiesz, że moja też – odparła uspokojona, ale na wszelki wypadek odsunęła się i przeszła na kanapę.

Siedząc tak obok niej, na wyciągnięcie ręki, nie mógł sam sobie się nadziwić, jak bardzo jest cierpliwy. Dziwiło go również, że jeszcze się nie zniechęcił i nadal, tak samo uparcie, trwa w swym postanowieniu. Nie zmieniło się ono ani na jotę od tamtych kwietniowych dni, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Jego zapach i pożądanie nie zmalowały wcale, a wręcz wzrastały. Teraz też, mając ją tuż przy sobie, przemknęło mu przez myśl, by spróbować się do niej zbliżyć. Serce biło mu szybciej, niż powinno, a krew zaczęła uderzać do skroni.

„Teraz czy jeszcze nie?” – pomyślał i przymknął lekko oczy. Potarł przy tym mrowiejący kark i odchylił głowę do tyłu.

Greta odczytała ten gest jako oznakę zmęczenia i przysunawszy się nieco, podwinęła stopy pod pośladki, usiadła tuż obok niego i dotknęła napiętych mięśni jego karku, zamierzając je rozmasować. Wzdrygnął się, czując na sobie jej dotyk, i zeszywniał jeszcze bardziej. Krew żywiej zaczęła mu krążyć w żyłach, a w podbrzuszu poczuł ukłucie i przyjemne wibracje. Całkowicie poddał się jej palcom. Masowała go delikatnie i z uwagą, starając się sprawić mu ulgę i przyjemność. Krążyła dłońmi po jego karku i szyi, pozwalając sobie także na sięgnięcie palcami poza linię jego koszuli. Masaż ten sprawił i jej dziwną jakąś przyjemność, rozluźniła się i poczuła po prostu dobrze. Kiedy, siedząc przy nim, przesunęła dłonie w kierunku jego klatki piersiowej, podniósł ręce do góry i przytrzymał ją za nadgarstki. Właściwie sam nie wiedział, dlaczego to zrobił, może chciał desperacko przedłużyć tę chwilę. Tym razem nie wyszarpnęła się ani nie próbowała uciekać. Przeczekała jego uścisk i kiedy znów opuścił ręce, wróciła do masażu.

Potem położyła dłonie na jego karku i ułożyła na nich swoją głowę. Przez cienki materiał koszuli czuł ciepło jej palców i rytmiczny oddech. Bał się odwrócić, by jej nie spłoszyć.

Leżąc tak z głową na jego plecach, odezwała się wreszcie:

– Co ty w sobie takiego masz, że tak lubię z tobą przebywać?

„Nareszcie...” – pomyślał. To było pierwsze zdanie z jej ust wskazujące, że jeszcze nie wszystko stracone, że jeszcze trochę cierpliwości i mu ulegnie. Na pewno. Przecież wszystkie ulegają.

Milczał, więc mówiła dalej:

– Jest w tobie jakaś siła, która mnie uspokaja. Przy tobie przestaję się bać.

Więszego komplementu nie mógł od niej oczekiwać. Nadal miała głowę opartą o niego, ale zdecydował się powoli odwrócić. Uniosła się lekko i przylgnęła do niego w uścisku. Objął ją mocno ramionami, ale chyba ją to przestraszyło, bo natychmiast wyswobodziła się z jego objęć,

speszona złapała kubki oraz talerz i pobiegła je umyć.

Siedział niepokojony na kanapie, obserwując ją wnikliwie. Pochylała się nad zlewem i wyglądała niezwykle kusząco. Pożądał jej tak bardzo, że w tej chwili nie ręczył już za siebie. Chciał się z nią kochać teraz, natychmiast, na tej kanapie.

– Mogę skorzystać z łazienki? – wybąkał jedynie. – Chętnie wziąłbym prysznic.

– Tak, tak, oczywiście – odpowiedziała zbyt szybko, słabo ukrywając zmieszanie. – Zaraz znajdę ci ręcznik.

W łazience Greta wyjęła z szafki ręcznik i podała mu go, po czym wychodząc, powiedziała:

– Nie spiesz się. Spokojnie się odśwież, a ja w tym czasie spakuję trochę swoich rzeczy.

I jak zechcesz na mnie poczekać, to ja też na pięć minut wskoczę potem pod prysznic.

Dzień był upalny, a oni po podróży i intensywnych zakupach mieli prawo czuć się niekomfortowo. Jednak ochota Olega na kąpiel była raczej aktem bezradności i desperacji – bynajmniej nie wynikała z chęci odświeżenia się po trudach dnia. Znał siebie doskonale i wiedział, że albo będzie się z Gretą kochał, albo musi opuścić pomieszczenie. Ucieczka była jedynym wyjściem z tej sytuacji, by jej do siebie nie zrazić i nie zaprzepaścić wszystkiego, co już osiągnął.

Odkręcił wodę i ścianki kabiny zaraz pokryły się kroplami. Zdjął ubranie i nagi stanął w brodziku. Woda oblewała go ciepłym strumieniem, a on ani drgnął. Patrzył gdzieś daleko przed siebie i coraz bardziej zaciskał pięści. Emocje, które nagromadziły się w nim tego dnia, szukały ujścia, rozsadzając piersi i lędźwie. Kobieta, która mogła przynieść mu ulgę, znajdowała się tuż obok, za cienką ścianą, a jemu brakło odwagi, by zebrać jak nędzarz o litość nad znękanym ciałem.

Jak to się działo, że kiedy była daleko od niego, wyobrażał sobie, jak to będzie obudzić się rano tuż przy niej. Męstwa wtedy było w nim co niemiara, a teraz, gdy okazja była wręcz idealna – zwyczajnie uciekł. Jak tchórz mógł sobie jedynie zaśpiewać:

Gdy ujrzę ciało twe półnagie –  
wszystkie pieniądze oddam za odwagę.

Wreszcie się poruszył. Odgarnął włosy, które woda nasunęła mu na oczy i przesunął ręką po twarzy. Jedną dłoń wsparł na ścianie kabiny, a w drugą wziął swój członek. Przygiął się lekko do przodu i po chwili zaczął rytmicznie przesuwając po nim ręką w górę i w dół. Pod zaciśniętymi powiekami cały czas miał obraz Grety. Greta nad Bugiem, Greta przy sztalugach, Greta z kawą, Greta jedząca, Greta uśmiechnięta, Greta przytulona do niego... A na koniec Greta z głową położoną na jego plecach. Jego ruchy stawały się coraz szybsze i bardziej brutalne. Silna ejakulacja wstrząsnęła jego ciałem, kiedy wyobraził sobie Gretę wtuloną w jego pierś, jak przed kilkunastoma minutami. Chwilę później bezsilnie oparł się o ścianę i leniwie zmył z siebie cały dzisiejszy dzień. Nie był z siebie zadowolony. Masturbował się po raz pierwszy od bardzo dawna, chyba od młodości, gdy jako nastolatek, leżąc w łóżku, onanizował się pod kołdrą tuż przed snem. Potem nie zdarzało mu się to nigdy, bo swoje potrzeby zaspokajał w ramionach spragnionych i chętnych kobiet.

Kiedy wyszedł z łazienki, był opanowany, świeży i przyjemnie pachnący. Grecie drgnęło serce na widok takiego Olega, ale jego niewiele to już obeszło. Usiadł spokojnie na kanapie i cierpliwie czekał, aż ona się umyje.

Pół godziny później wyjechali z Warszawy.

## Rozdział 17

Kolejne dni przebiegały w Zaciszu dwutorowo: z jednej strony nadal trwał remont, a z drugiej – gorączkowe prace przygotowawcze do przyjazdu Irminy, czyli po prostu ekspresowe ogarnianie bałaganu.

Właściwie w każdym pomieszczeniu dworu dało się już zamieszkać, choć na razie w spartańskich jeszcze warunkach. Podłogi były już położone, ściany otynkowane i częściowo pokryte tapetami i tynkami mineralnymi, jedna łazienka została wykończona w całości, pozostałe co prawda nie, ale przy dobrej organizacji dało się tu w miarę sprawnie funkcjonować. Kiepsko było z kuchnią, bo tam na razie stały jedynie stara kuchenka gazowa i lodówka turystyczna, obie wypożyczone od Nawrockiego, u którego rdzewiały w jakiejś komorze, bo szkoda mu było je wyrzucić, choć nie korzystał z nich od lat.

Mały żeliwny zlewozmywak, pamiętający z pewnością jeszcze czasy wojenne, też nie zachwycał swym wyglądem, ale jak każdy sprzęt w tej kuchni został porządnie wyszorowany i spokojnie mógł jeszcze posłużyć przez najbliższy weekend.

W każdym pomieszczeniu z sufitów zwisały nagie żarówki. Salon też na razie nie był w stanie spełnić swych właściwych funkcji, bo brakowało jeszcze kompletu wypoczynkowego i ławy, ale za to Oleg dał wytyczne, by wykończyć wreszcie kominek. Z pudła wyjęto drewniane kurwy, jak mówił Nawrocki, i precyzyjnie oklejono nimi gzyms. Efekt był zdecydowanie oryginalny – z pewnością nieczęsto ludzie miewają *Kamasutrę* wokół okapu kominka, niemal na wysokości wzroku.

Cokolwiek by mówiono o tych rzeźbach, trzeba było przyznać, że zdradzają duży talent ich twórcy i sporą fantazję inwestora. Wszyscy, którzy znajdowali się na terenie posiadłości Olega, wstępowali do środka, by spojrzeć na tę niecodzienną ozdobę. I tak kolejno najpierw był Nawrocki z dwoma swymi ludźmi, bo układali te płaskorzeźby, potem zaszli ogrodnicy i brukarze, zajrzał też hydraulik, a na koniec Oleg z Gretą. Danił stał skromnie z boku i tylko ukradkiem popatrywał na ich twarze, szukając w nich akceptacji lub niezadowolonia.

– Świetna robota – skwitował Oleg, a Danił odetchnął z ulgą. – Słuchaj, rzucasz w tej chwili prace w Zaciszu, bierzesz dłużej i rzeźbisz kolejne sceny. Jakie chcesz, mogą się powtarzać albo wymyśl nowe.

Danił słuchał uważnie, nie przerywając, więc Oleg kontynuował:

– Żeby przed odjazdem Irminy kilka było zrobionych, to zabierze je do Lwowa. Pracuj, gdzie ci pasuje. Możesz tutaj, ale jeśli nie chcesz, nie musisz przychodzić. Masz się tylko zjawić w piątek wieczorem na kolacji – zaordynował. – No, co tak stoisz? Masz wolne. Możesz iść.

Właściwie Danił nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. W domu nie miał warunków do pracy, a poza tym nikt tam nie doceniał jego twórczości – domownicy najczęściej kpili z jego dłubaniny. Jediną życzliwą mu osobą był stary Chaliwa, ale i on, odkąd został bez swego Opora, był teraz zgryźliwy.

Poczłapał więc Danił do ordowego sadu po natchnienie i zanim wziął się do rzeźbienia, sięgnął po skrzyпки wciąż wiszące na drzewie. Po chwili do uszu Olega i Grety doleciały dźwięki skocznej melodii, a wraz z nimi urywane słowa piosenki:

U niej w ogrodzie winogronu kiść  
Młody skosztuje, nie będzie chciał iść.

Słysząc było, że jednoczesne śpiewanie i granie sprawia Daniłowi trudność, ale w jego głosie wyczuwało się wiele radości i pasji.

– Chyba powstanie zaraz jakaś pozycja batalistyczna – zażartowała Greta.

– Cokolwiek – odparł Oleg – byle było to tak dobre jak poprzednie.

Greta wytrwale wspierała Olega w przygotowaniach. Przez trzy kolejne dni bywała u niego od rana do wieczora i pomagała w sprzątanii oraz zapełnianiu prowizorycznych półek. Stała się

niemal mieszkanką Zacisza, a do Michała wracała jedynie na nocleg. Można by przypuszczać, że i ona, i Oleg są państwem na tych włościach.

Jeden z pokoi na piętrze Oleg przeznaczył dla Irminy. Zainstalował tam szafę na aluminiowym stelażu, zaniósł stare krzesło i małą szafkę nocną w stylu *art déco*. Wszystko to wyglądało paskudnie, ale na razie musiało wystarczyć. W czwartek po południu Greta zabrała się do nadmuchiwania potężnego welurowego materaca. Miała do tego wykorzystać małą pompkę nożną i pewnie zaraz by się z tą pracą uporała, ale wspaniałomyślny Nawrocki wpadł na genialny pomysł i chcąc wyręczyć ją w deptaniu, podpiął materac pod sprężarkę. I wszystko byłoby dobrze, gdyby na czas zdążył ją odłączyć. A ponieważ nie zdążył, materac rozsadziło z ogromnym hukiem. Oleg rzucił się w stronę drzwi wejściowych, sądząc, że doszło do jakiegoś okropnego wypadku. Kiedy wpadł do salonu i zobaczył zniszczenia, zaniemówił. Greta i Nawrocki również.

– No – odezwał się wreszcie Oleg – to widzę, że nie mam najważniejszego mebla. Nie obchodzi mnie jak, Nawrocki, ale jutro wieczorem chcę tu mieć drugi materac.

– Co?! – wrzasnął ogłuszony Nawrocki. – Szefie, nic nie słyszysz! Doskwierać?

– Głuchych mają wystrzelać! – odkrzyknął Oleg rozbawiony.

– Co mam pozbierać?!

– Masz załatwić drugi materac! – Oleg wyjął z kieszeni trzysta złotych i podał je zdezorientowanemu Nawrockiemu, który tymczasem odzyskiwał już słuch, choć nadal bardzo dźwięczało mu w uszach. – Na jutro mam tu mieć porządny materac, rozumiano? Tylko żadnego chłamu!

– A! – to była jedyna odpowiedź. Nawrocki podrapał się w zadumie w głowę i po chwili dorzucił: – Zrobi się, szefie. Jutro będzie.

– No – skwitował Oleg i spojrzał na Gretę.

Dziewczyna nadal stała w osłupieniu, odczuwając takie same skutki uboczne eksplozji co Nawrocki. Sporej części tego ich dziwnego dialogu po prostu nie słyszała, a teraz nadal gwizdało jej w uszach i szumiało na wszystkich możliwych częstotliwościach.

Poza tym reszta szła zgodnie z planem. W czwartkowy wieczór dom był przygotowany na przyjazd gościa, a nawet dwóch, bo Oleg coś przebąkiwał, że może pojawi się i Jan.

Już zupełnie pod wieczór Greta zabrała się do przygotowywania ryby retro. Była to jej zdaniem ciekawsza i smaczniejsza wersja ryby po grecku, którą poznała oczywiście dzięki Michałowi. Dużo filetów z czarniaka pokroiła na mniej więcej siedmiocentymetrowe kawałki, zanurzyła je w rozmaconym z solą i pieprzem jajku, obtoczyła mąką i bułką tartą, po czym usmażyła na oleju, a pod koniec dodała nieco klarowanego masła i odrobinę soku z cytryny. Po całej kuchni rozchodziły się kuszące aromaty ryb skwierczących w rozgrzanym oleju. Równocześnie dziewczyna zatrudniła Olega do obierania sporej ilości cebuli.

– Ruda, nie mam już siły – marudził – łyżę ze mnie wyciskasz.

– Nie jęcz – odparła radośnie. – Jeszcze musisz to wszystko pokroić w talarki.

Jedynym plusem tej niewolniczej pracy było to, że mógł bezkarnie siedzieć tuż przy Grecie, od czasu do czasu ocierać się o jej ramię, przekomarzać się z nią i po prostu być blisko. Pokroił grzecznie nie tylko cebulę, ale też dwieście gramów ogórków konserwowych i taką samą ilość papryki konserwowej, które Greta przywiozła ze spiżarni Michała.

Gdy usmażona ryba stygła na talerzach, Oleg wrzucił na rozgrzany olej pokrojoną cebulę, zmniejszył płomień pod patelnią i od czasu do czasu delikatnie mieszał. Pracował pod baczny spojrzeniem Greta i na jej polecenie, gdy cebula była już miękka, szklista i soczysta, dołożył trzy łyżki koncentratu pomidorowego i całość dokładnie wymieszał. Zaraz potem wyłączył gaz i zestawił patelnię z palnika, by szybciej ostygła. Pół godziny później, kiedy cebula nie była już gorąca, wrzucił do niej pokrojone w kostkę ogórki i paprykę. Wszystko doprawił do smaku solą i świeżo mielonym pieprzem i dołożył jeszcze trzy łyżki majonezu. Połączył ze sobą wszystkie składniki i zanim Greta podstawiła mu dużą prostokątną salaterkę, spróbowali, czy warzywa są smaczne.

– Mm... – mruknęła dziewczyna, przełykając różowawą papkę – dodałabym pieprzu.

Oleg z lekką obawą wziął na język niewielką ilość cebuli w majonezowo-pomidorowym

sosie.

- Dobrze – stwierdził z niedowierzaniem i poprawił zgodnie z poleceniem.
- Układaj pierwszą warstwę – poleciła Greta i przysunęła szklane naczynie jeszcze bliżej w jego stronę.

Oleg posłusznie umieścił na dnie grubą warstwę tej warzywnej pierzynki, a Greta ciasno ułożyła na niej kawałki ryby. Na to znów Oleg położył warstwę warzyw i znów ona rybę. Układali tak te piętra aż do wyczerpania składników.

– No, gotowe. Teraz włóż to do lodówki. Mam nadzieję, że twoim gościom będzie smakowało.

- Zawsze można zadzwonić po catering – palnął Oleg.
- Dzięki za zaufanie – zachnęła się Greta.
- Ruda, tutaj to ja sam sobie nie ufam, nie tobie – pocieszył ją.

Oleg był marnym kucharzem. Gotował rzadko, bo po prostu nie musiał. Stołował się w dobrych restauracjach albo zamawiał stamtąd jedzenie na wynos. Tak więc o gotowaniu wiedział mało i wszystko, co dziś przygotował, wykonywał, całkowicie podporządkowując się Grecie. Była to kolejna czynność, której nigdy dotąd nie robił, a która nawet sprawiła mu przyjemność.

Prawdziwie kulinarnym dniem był jednak piątek. Oleg z Gretą cały ranek, przedpołudnie i kawałek popołudnia szykowali się do uczyty, niemal nie wychodząc z kuchni. Rozłożyli zastawę w nowej altanie, rozstawili grill, przygotowywali mięsiwa i przystawki. Ogromna ilość alkoholi od rana studziła się w głębokiej, od lat nieużywanej studni.

Na pierwszy ogień powędrowała zupa bosmańska. Z samego rana Greta wysłała Olega po dodatkowe zakupy, nakazując mu przy tym brać tylko najlepsze produkty. Zupę, którą zamierzała właśnie ugotować, jadła wielokrotnie – pichcili ją i Michał, i jej matka, ale jej smak zawsze zależał od tego, jakie produkty się do niej włożyło. Jeśli parówki będą tłuste i niesmaczne, zupa też taka będzie. Tak samo rzecz się miała z groszkiem konserwowym – jeśli nie będzie z najwyższej półki, to popsuje cały smak. Musi być delikatny i lekko słodkawy, o bardzo miękkim miąższu i skórce. Słowem – Oleg miał nakazane kupować tylko produkty najdroższe. Greta poleciła mu to bez żadnych skrupułów, bo bardzo zależało jej na osiągnięciu doskonałego efektu.

Oleg przyjechał ze sklepu obładowany jak wielbłąd i dumny jak samiec wracający z polowania, przynoszący zwierzynę swej pani. Zaraz też został zapędzony do niewolniczej pracy, ale zakasał rękawy i cierpliwie znosił wszelkie dyspozycje. Najpierw obrał i ugotował dziewięć najlepszych parówek. Wówczas Greta podsmażała na maśle pół kilograma pokrojonych w plasterki pieczarek razem z drobno wkrojoną do nich całą cebulą. Kiedy oboje skończyli swoje zadania, zaczęło się właściwe gotowanie zupy. Greta wyjęła spory garnek, wlała do niego ze dwa litry wody i postawiła na ogniu, każąc Olegowi wrzucić do środka krojone w grube plastry parówki. Stał więc biedak i mozolił się jak kopciuszek i co który krążek wpadał do garnka, to na twarz pryskała mu zimna woda. Do parówek dodali wybrane z patelni pieczarki z cebulką. Wywar, rozgrzewając się, zaczynał parować i przyjemnie pachnieć. Zupie niewiele już brakowało do końca – kiedy zaczęła wrzeć, Greta wsypała do niej precedzony groszek i dodała dwie łyżki koncentratu pomidorowego. Teraz wystarczyło poczekać, aż się wszystko zagotuje. Potrawa przyjemnie bulgotała na ogniu i jeszcze tylko trzeba było ją zagęścić i poprawić solą ziołową i pieprzem. Kilka chwil później Oleg zmniejszył nieco ogień, a potem delikatnie, by zupa się nie zwarzyła, dodał, ciągle mieszając, trzy łyżki gęstej śmietany utartej z łyżką mąki. Sól i pieprz wieńczyły dzieło.

Gorącą zupę Greta wlała do dwóch bulionówek i posypała tartym żółtym serem oraz siekaną pietruszką.

– Smacznego – powiedziała i podsunęła jedną miseczkę Olegowi. Drugą wzięła dla siebie. Dmuchał intensywnie na gorącą potrawę, roztopiony ser ciągnął im się za łyżkami, aż wreszcie spróbowali tego wywaru, który był gęsty, pachnący i bardzo pożywny.

- Jaka dobra – pochwalił szczerze Oleg. – Nigdy takiej nie jadłem.

Greta poczuła się szczęśliwa. Cieszył ją widok mężczyzny zajadającego ze smakiem tę prostą zupę zrobioną według jej rodzinnego przepisu.

Nawrocki stanął na wysokości zadania i dowiózł w południe materac, równie dobry jak ten

poprzedni, i nawet oddał resztę.

– Nie trzeba – odparł Oleg. – To za fatygę.

– Jaka tam fatyga – nieśmiało zaczął Nawrocki. – Tylko bigosu narobiłem. Powinienem odkupić za swoje... – powiedział, ale miał ogromną nadzieję, że pracodawca mu jednak podaruje.

– Dobra już, dobra. – Oleg odsunął od siebie dłoń Nawrockiego z pieniędzmi. – Na dzisiaj koniec. Możecie iść do domu. Od poniedziałku rano zaczynacie znowu.

– Tak jest, szefie. – Nawrocki skłonił się z wdzięcznością i pomknął do reszty robotników.

W Zaciszu zrobiło się spokojniej. Wszelkie prace ustały, ekipy się zmyły, Greta z Olegiem kończyli gotowanie, a pod kosztelą Danił w zapamiętaniu dłużył kolejne sceny miłosne.

Koniec sierpnia był ciepły, choć już nie upalny. Dni były wyczuwalnie krótsze niż te czerwcowe, a wieczory przyjemnie chłodne. Z ogrodu Olega dolatywały coraz bardziej intensywne zapachy dojrzewających owoców, pęczniejących i ociekających słodkimi sokami. Owady w pośpiechu uwijały się ze zbieraniem wonnych nektarów, drążąc dziurki w pękających gruszkach i czerwonych jabłkach. Pająki leniwie wygrzewały tłuste brzuchy na swych pajęczynach, tyjąc do niebotycznych rozmiarów. Wszystko wokół szykowało się do robienia jesiennych zapasów i przetrwania długiej zimy.

Prace fizyczne bardzo dobrze zrobiły Grecie na jej troski i nostalgii. Siłą woli odrzucała teraz każdą przykrą myśl i z coraz większym zapamiętaniem gotowała, szorowała i układała liczne drobiazgi w pokojach dworu w Ordach. Starła się bardzo swoim zachowaniem ani razu nie sprowokować Olega do najmniejszej choćby nadziei na coś więcej niż przyjaźń. Miała już świadomość tego, że jemu nie o przyjaźń tu chodzi, ale w swej naiwności wierzyła, że on zrozumie, iż na nic więcej liczyć nie może.

Bywały takie krótkie chwile, kiedy Grecie przez myśl przemknęło, że gdyby jej życie toczyło się trochę innymi torami, to może nawet dałaby się porwać szaleństwu i poddała się rytymowi, w którym biło serce Olega. Bo jej serce, w gruncie rzeczy, biło podobnie. To znaczy gdzieś głęboko w niej rozpalać się zaczęła gorąca tęsknota za szczęściem, choć sama nie wiedziała, jak te swoje rodzące się uczucia i pragnienia nazwać i poukladać.

Oleg, celowo lub nie – tego pewna nie była – zasugerował jej, że swoje życie w każdej chwili można zmienić. Namawiał ją do kształtowania swego losu, dał do zrozumienia, że głęboko skrywane marzenia mają szansę się ziścić. Rozbudził w niej pewien niepokój i stworzył wrażenie, że jeśli mu zaufa, będzie z tego zadowolona i poczuje spełnienie.

Podobno jak spadać, to z wysokiego konia. Tylko po co w ogóle spadać? Czy nie lepiej żyć jak dotąd, niczego nie zmieniając? Przecież wcale nie jest jej tak źle, jak na to wygląda. Greta wszakże od jakiegoś czasu coraz częściej myślała, czyby jednak czegoś nie spróbować zmienić.

Zajmując się tymi wszystkimi pracami fizycznymi, miała dość czasu na przeróżne przemyślenia. Przede wszystkim próbowała przeanalizować, jakie niebezpieczeństwa grożą jej ze strony Olega, i doszła do wniosku, że on sam raczej jej nie zagraża. Gdyby rzeczywiście miał wobec niej nieczne zamiary, to dawno już wykorzystałby okazję. Prawdopodobnie zrozumiał, że pary dla siebie powinien poszukać gdzieś indziej. Wobec tego ten scenariusz odpadał. Kłopotów i nieprzyjemności należało się raczej spodziewać z zupełnie innej strony. Burzany bynajmniej nie były metropolią, gdzie każdy żyje tylko sobą i dla siebie – tutaj z byle powodu potrafiło zawrzeć jak w ulu, bo jeden zawsze był żywo zainteresowany tym, jak się ma drugi. Działo się tak prawdopodobnie dlatego, że ludziom po prostu trochę się nudziło, a może mieli za mało własnych trosk i dlatego niezwykle chętnie wtykali nos w nie swoje sprawy i wszędzie doszukiwali się sensacji i zgorzenia. „Ktoś coś gdzieś zaczął pleść, poszła wieść poprzez wieś”... Sytuacja nie była jednak całkiem beznadziejna – co prawda w obieg poszła już niejedna plotka o zamężnej bratanicy proboszcza i bogacza z Ukrainy, ale na razie większym pomówieniom nie pozwalali się rozwinąć kręcący się całymi dniami po Zaciszu robotnicy. No bo jak tu niby miałyby kwitnąć romansy, jeżeli ciągle był w pobliżu Nawrocki ze swoimi ludźmi i Danił, który też do domu wracał późnymi wieczorami. Tak więc pogłoski o romansie, przynajmniej na razie, rozeszły się po kościach.

Nie dało się jednak nie zauważyć, że Greta żywi do Olega sporo sympatii. Tak było w istocie – bardzo sobie ceniła jego towarzystwo, lubiła z nim rozmawiać o kamieniach,



z ciekawością przysłuchiwała się, kiedy z rzadka opowiadał o miejscach, w których był, szanowała go i podziwiała za odwagę w podejściu do życia. Był dla niej przedstawicielem świata, który bardzo ją pociągał, i chciała, tak jak on, zwiedzić go i poznać. Trochę jej imponował swoim uporem, głową do interesów i dobrym gustem. Staromodność, którą przejawiał w urzędowaniu dworu, sprawiała, że postrzegała go trochę jakby był niedzisiejszy, co zresztą szalenie jej odpowiadało. Poza tym podobał jej się jako facet. Ale tę myśl nieustannie od siebie odpędzała.

Oleg oczywiście od razu po zapowiedzeniu się Irminy zaprosił Gretę na piątkową kolację i choć miała prawdziwą ochotę na ich towarzystwo, to jednak czułaby się tam zbędna. Uważała, że nie trzeba wkładać palca między drzwi i należy dać współnikom czas tylko dla nich. Oleg jednak nie dawał za wygraną. Chciał miło spędzić czas, tak jak do tego przywykł, a tu, w Ordach, jeszcze nigdy nie imprezował, nie licząc picia z Daniłem. Więc gdy nadarzyła się okazja, od razu zapowiedział Grecie i Daniłowi, że ich obecność jest w Zacyszu obowiązkowa. Cztery osoby to co prawda też niewiele, ale lepsze cztery niż dwie. Poza tym w sobotę albo niedzielę miał dojechać Jan, który teraz był jeszcze w interesach we Francji.

Od piątkowego poranka Oleg był w kontakcie telefonicznym z Irminą. Według planu powinna dotrzeć na miejsce późnym popołudniem, o ile szybko udałoby jej się przejechać przez granicę i jeśli nie zbłądziłaby na Polesiu.

Okolo piętnastej Zacysze było jako tako gotowe na przyjęcie gości. Parapetówką tego nazwać by nie można, bo wiele jeszcze zostało tu do zrobienia, ale dach nad głową już był, a to gospodarzowi i jego przyjaciółom w zupełności wystarczało.

Oleg z Gretą rozsiedli się wygodnie w altance i popijali popołudniową kawę. Ona piła z mlekiem, on czarną. Czas płynął leniwie, a oni odpoczywali po kilku dniach męczących prac. Lekki wietrzyk owiewał ich twarze, przyjemnie je chłodząc.

Danił od kilku dni prawie nie wychodził z ogrodu. Załągł się pod kosztelą i albo nie było go wcale słyhać, albo dolatywały stamtąd dźwięki skrzypiec. Kiedy grał, rozmyślał nad kolejną rzeźbioną tabliczką, a kiedy skrzypce milkły – znaczyło to, że właśnie rzeźbił to, co przed chwilą zrodziło się w jego głowie przy wtórze instrumentu.

Teraz niósł się po okolicy smętny dźwięk *Sonaty księżycowej*, która najwyraźniej miała nastroić artystę do dalszej pracy.

– Skąd on bierze te wszystkie melodie? – odezwał się Oleg do Grety, słysząc znów jakieś nowe dźwięki.

– Bo ja wiem? – zamyśliła się. – Czasem mi się wydaje, że my tu wszyscy go nie doceniamy. On nie jest taki głupi, za jakiego się go uważa.

– Oj, nie jest – powiedział Oleg w zadumie. – To mój najcenniejszy samorodek. Zobaczymy, co Irmina powie o jego pracach, ale myślę, że będę miał dla niego dobrą propozycję. Greta już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko jej przerwał:

– Wiem, wiem – zaśmiał się. – Mam na niego uważać, bo jest wrażliwy. Pamiętam.

– Nie drwij – powiedziała spokojnie. – On naprawdę jest wrażliwy.

– Wiem. Ale nie potrzebuje niańki, tylko kogoś, kto nim odpowiednio pokieruje. I ja zamierzam to zrobić – zauważył racjonalnie. – Będzie dostawał ode mnie zlecenia na konkretne przedmioty, ja albo Irmina zajmujemy się ich sprzedażą, a on będzie zgarniał kasę.

– I ty także – dodała Greta.

– Oczywiście, skarbie – zaśmiał się Oleg. – A myślisz, że po co to robię? Dla sławy? Jestem biznesmenem, a Danił może przy mnie tylko skorzystać. Zobacysz.

– Obyś miał rację. – Wstała od stołu i wychodząc z altany, dodała: – Poczekaj tu chwilę, zaraz wrócę.

Zostawiła go zaskoczonego i poszła przez park do swojego jeepa, który stał zaparkowany przed dworem. Po chwili wróciła, niosąc przed sobą spory płaski pakunek. Oleg podniósł się z ławy, by jej pomóc.

– Co to? – spytał zaciekawiony.

Podala mu przedmiot i powiedziała:

– Wiem, że trudno zaspokoić twoje gusta, ale mam nadzieję, że jednak ci się choć trochę

spodoba. Rozpakuj. Jest twój, na nowy dom.

Oleg z niecierpliwością rozdzierał szary papier. Pod spodem dostrzegł duży olejny obraz oprawiony w stylizowaną na starą, złożoną ramę. Płótno przedstawiało nadbużański pejzaż widziany okiem Grety. Wiernie oddała światło i kolory nad wodą tuż przed zachodem letniego słońca. Na malarstwie Oleg się nie znał, ale przyjął dar z prawdziwą przyjemnością.

– To dla mnie? – zapytał głupio. – Bardzo ci dziękuję. Nie musiałaś. To dużo pracy. A mówiła pani, że nie jest malarką – zaśmiał się, zmieniając ton.

– Bo nie jestem. Nie widać?

Odłożył obraz na ławę i obszedł stół, podchodząc do Grety. Stała roześmiana i zdawała się czekać na jego ruch. Wyciągnął przed siebie ramiona, a że się przed nimi nie cofnęła, objął ją mocno w przyjacielskim uścisku. Przez cienkie ubrania czuł wyraźnie jej piersi i uda, więc pewnie i ona wyczuwała jego ciało. Położył dłonie na jej plecach i powoli opuścił je niżej, cały czas sprawdzając, na ile mu pozwoli. Twarz wtulił mocno w jej pachnącą szyję i pocałował ją delikatnie za płatkami ucha. Zbliżył się do pewnej granicy, bo wyczuł, jak jej ciało napina się i sztywnieje. Nie odepchnęła go, ale też i nie zrobiła nic, by go zachęcić. Odsunął się więc i powiedział:

– Dziękuję. – Brzmiało to, jakby dziękował nie tylko za obraz, ale i za to, że pozwoliła się przytrzymać w ramionach.

Kawę dokończyli, prowadząc niezobowiązującą rozmowę. Oleg próbował nakłonić Gretę, by odważyła się namalować coś na sprzedaż. Przekonywał ją, że nawet jeśli jej obrazy nie spotkają się z zainteresowaniem miłośników sztuki, to na turystów można liczyć zawsze. Mina Grety wyrażała mieszane uczucia: zdawała się mówić „i chciałabym, i się boję”.

Irmina, odkąd przekroczyła granicę, dzwoniła do Olega regularnie i coraz częściej. Wreszcie, przed dziewiętnastą, na kasztanowej alei ukazał się ogromny czerwony range rover, który po chwili zaparkował obok hummera i jeepa. Stary grafitowy jeep prezentował się niezwykle blado przy pozostałych autach.

Z range rovera energicznie wysiadła gibka, szczupła kobieta o jasnej karnacji i fioletowych refleksach w ciemnych włosach.

– Dojechać do ciebie to wielka sztuka, wieśniaku! – zawołała wesoło łamaną polszczyzną na widok zbliżającego się Olega.

– No przecież trafiłaś – odpowiedział, ściskając ją serdecznie na przywitaniu. – Witam w moich skromnych progach! A cóż to za kolor? Coś nie wyszło? – Wskazał na jej włosy, które przy ich poprzednim spotkaniu były jeszcze kasztanowe.

– Wszystko wyszło, to jest bakłażan – szturchnęła go zaczepnie – a ty się nie znasz. Wolisz marchewki – dodała ciszej.

Greta trzymała się zupełnie z boku, na razie była poza zasięgiem wzroku Irminy. Czekwała cierpliwie, aż Oleg zechce je sobie przedstawić. Danił także nie wynurzał się jeszcze z ogrodu. Siedział pod kosztelą, mimo że dobrego światła do rzeźbienia nie miał już od dawna.

– Pokaż się, właścicieli dworski! – Irmina cieszyła się na widok przyjaciela i ścisła go raz po raz. Oboje sprawiali wrażenie, jakby byli rodzeństwem: tak się czupurnie przekomarzali. – No to może pozwolisz mi zobaczyć te swoje włości? Chyba że zamierzasz mnie tak tu trzymać na tym dworskim podwórzu.

– Zaraz – odparł. – Najpierw ci kogoś przedstawię. Chodź.

Podprowadził ją pod altanę, gdzie stała Greta.

– To ona? – spytała Irmina niezwykle cicho, konspiracyjnym tonem.

– Tak, to ona – odparł z dumą.

Greta wyszła im na spotkanie.

– Panie pozwolą – Oleg zaczął niezwykle oficjalnie. – Irmino, to jest Greta, dobry duch mojej ziemi. A to jest moja współniczka – zwrócił się do Grety, przedstawiając Irminę.

Kobiety wymieniły uściski i kilka uprzejmości. Greta była trochę spięta, za to na twarzy Irminy malował się jedynie uśmiech – wyglądała na totalnie wyluzowaną.

– A gdzie Danił? – zwrócił się Oleg do Grety. – Jeszcze w ogrodzie?

– To ten wasz artysta? – spytała Irmina.

– Tak, zaraz go poznasz. – Wziął ją za łokieć i poszli we troje do ogrodu.

Rzeczony artysta siedział przygarbiony pod jabłonią i zawzięcie coś dłubał w lipowej desce. Usłyszawszy rozmowę, wstał, otrzepał spodnie z wiórów i drzazg, niezdarnie wytarł dłonie i wyszedł nadchodzącym na powitanie. Po chwili przystanął i czekał w milczeniu, aż podejda bliżej. Oleg rzekł:

– Skończyłbyś już może na dziś? Czas zająć się grillem – było to zaproszenie, nie polecenie. – Irmino, oto nasz lokalny artysta, Danił.

Irmina stanęła przed nim jak urzeczona. Widok tego pszennowłosego chłopca zaparł jej dech w piersiach. Jego potargana przez wiatr bujna blond czupryna i wielkie niebieskie oczy sprawiały, że wyglądał jak cherubin. Z pewnością był o kilka lat od niej młodszy. Z jednej strony wyglądał jak chłopiec, a z drugiej miał wiele męskich cech. Jego ciało było pięknie wyrzeźbione dzięki ciężkiej fizycznej pracy, a mięśnie dobrze widoczne pod prostym podkoszulkiem. Dżinsy ściśle oplatały jego uda. Był o głowę wyższy od Irminy, a mimo to od pierwszego wejrzenia rozbudził w niej instynkt opiekuńczy. No bo jak tu się nie zaopiekować takim ślicznym chłopcem? Tym bardziej że stał przed nią i jakby zapomniał języka w gębie. Taki młody, wstydlivy chłoptaş. „Uroczy” – pomyślała.

– Witam panią. – Danił nieśmiało wyciągnął do niej dłoń.

– Wystarczy: Irmina. – Uśmiechnęła się szeroko i odwzajemniła uścisk.

Jego dłoń była silna, duża i ciepła.

– Mogę spojrzeć? – spytała, wskazując głową na trzymaną przez Daniła w drugiej dłoni płaskorzeźbę.

– Nieskończone – mruknął cicho, ale ona już miała rzeźbę w dłoniach.

Z zaciekawieniem przyglądała się wyłaniającym się z deski kształtom. Kochankowie musieli być niezwykle wysportowani i silni, by się kochać w tej pozycji. Rzeźba, tak jak i poprzednie, nie była wulgarna, tylko zmysłowa. Ignorantów i dewotów zapewne zbulwersuje, a estetom pobudzi zmysły. Irminie przebiegło przez myśl, że ten nieśmiały chłopiec musi być wielkim znawcą sztuki miłosnej. Zapewne bardzo kocha swoją kobietę. Przez chwilę ogarnęła ją zazdrość, a po głowie rozbiegły się jej nieposkromione marzenia.

– Piękne... – odezwała się wreszcie. – Jak to się nazywa?

– Łabędź.

„A jak to się robi?” – pomyślała natychmiast, ale na szczęście w porę ugryzła się w język.

W pierwszej kolejności wskazano Irminie toaletę i prysznic. W czasie gdy brała kąpiel, Oleg z Daniłem krzatali się przy grillu, a Greta zносиła z kuchni wszystko, co przedtem przygotowali: zamarynowane mięsa, szaszłyki, rybę retro, kociółek z zupą bosmańską, pieczywo, sałatki i surówki. Naprędce porwała jeszcze nad salaterką różne rodzaje sałat i przygotowała swój prosty sos winegret z dwiema łyżkami soku malinowego z miętą. Takie sałaty wyśmienicie komponują się z grillowanym mięsem. Po kąpeli Oleg wziął Irminę pod ramię i oprowadził po pokojach. Na dłużej zatrzymali się przy kominku.

– Skąd ty wytrzasnąłeś tego Daniła? – spytała Irmina, przyglądając się uważnie gzymsowi. – Mielicie świetny pomysł z tym seksem.

– A uwierzysz, jak ci powiem, że on przez całe życie tu siedzi i struga tylko świątki?

– Żartujesz?! I to są jego pierwsze akty? – Wskazała na kominek.

– Pierwsze – potwierdził Oleg.

– Niewiarygodne... Jakie zachowanie proporcji... To geniusz. A co z biżuterią? Mamy coś nowego?

– Na razie kazałem mu skupić się na tych rzeźbach. Ale rysował co nieco pod drzewem. Może coś wymyślił... Sądziś, że ludzie nadal będą chcieli to kupować?

– Jeszcze jak! – zawołała z przekonaniem.

– Chodźmy coś zjeść – zaproponował.

Ruszyli w stronę altany.

– Chcesz tu zamieszkać? – spytała.

– A czemu nie? Cisza, spokój, duży dom...

– Greta... – dodała Irmina.

– Tak... I Greta – uśmiechnął się.

Z altany dolatywał przyjemny zapach grillowanego mięsa przemieszany z drzewnym dymem. Irmina zawiesiła wzrok na stojącym przy grillu blond cherubinku.

– Jak tu przyjemnie – powiedziała ze wzrokiem nadal utkwionym w Danile. –

Zapomniałabym... Idź do stołu, a ja za chwilę do was przyjdę – dodała szybko i nie czekając na reakcję Olega, pomknęła do swojego auta.

Gospodarz dołączył do Greta i Daniła, którzy cierpliwie czekali na niego i jego gościa przy szklaneczkach z napojami.

– Już jestem – oznajmił. – Zaczynamy, bo pewnie wszyscy zgłodnieli. Co wam mogę zaproponować? – Stał przy grillu, gotów obsługiwać i podawać do stołu.

– Może się tak nie spinaj – zaproponowała Greta – i pozwól nam na swobodę. Zajmij się gościem, a my zajmiemy się sobą. Prawda, Danił?

– Pewnie – mruknął chłopak.

Irmina pędziła zadowolona do altany, czymś pobrzękując. W dłoni dzierżyła pęk srebrnych łyżeczek przewiązanych zwykłym drutem. Wyglądała jak klucznik.

– Proszę. – Wręczyła Olegowi ten osobliwy prezent. – To taki drobiazg do nowego domu. Oleg obracał w dłoniach łyżeczki, wnikliwie się im przyglądając.

– Dziękuję ci, kochana, bardzo.

Zdziwił go widok mocno sfatygowanego drutu, ale tego nie skomentował.

– Wygrzebałam je na naszym wernisazu, w rupieciach jakiegoś staruszka. Były w opłakanym stanie, czarne jak diabli, przewiązane tym drutem i w dodatku za psie pieniądze. Niestety, jest ich tylko jedenaście. Próbowałam z dziadka wydusić, gdzie zapodział dwunastą, ale zaklinał się, że zaginęła podczas wojny. Mam nadzieję, że się nie obrazisz. Coś mi mówi, że zrobiłam niezły interes.

– Są śliczne – zapewnił Oleg. – Będą mi tu pasowały.

Wernisaz był to lwowski bazarek, na którym można było dostać mydło i powidło, głównie folklorystyczne rękodzieło i mnóstwo staroci. Wystarczyło wiedzieć, gdzie i jak grzebać w stercie szmat i blach, a okazja sama pchała się w ręce. Sprzedawcami zazwyczaj byli miejscowi artyści albo ubodzy emeryci, którzy próbowali dorobić do swoich skromnych dochodów, wyprzedając rodzinne pamiątki. Nierzadko pod grubą warstwą śniedzi i patyny kryły się prawdziwe cudęńka: garnki, zastawy obiadowe i serwisy kawowe z najlepszej porcelany, monety, sztuce, biżuteria, książki, instrumenty muzyczne. Żadna z tych rzeczy nie posiadała metki, a z każdą wiązała się długa i ciekawa historia, tak że ich nabywca mógłby mieć duże problemy na granicy, gdyby tylko celnikom chciało się dokładnie sprawdzać bagaże turystów. Bywało, że i sprzedawcy, i turyści nie byli świadomi wartości tych przedmiotów. Na wernisazu pałętało się mnóstwo nieoszacowanego bogactwa, które zazwyczaj znajdowało nabywców za zupełne grosze.

Wśród wszystkich tych staroci można było znaleźć sporo chińskiej tandety, która również cieszyła się dużym zainteresowaniem. Były to przeważnie drobne souvenir, nabywane zazwyczaj przez uczestników zagranicznych wycieczek.

Tak więc na wernisazu przeplatały się dwa kierunki estetyczne: ten prawdziwy i ciekawy, sprzed dziesiątków czy nawet setek lat, oraz ten chiński. Na prowizorycznych stołach obok kubków z ceramiki z napisem „Lviv” i nalepką „made in China”, znaleźć można było białe kruki, sygnety rodowe wielkich familii czy też inne skarby przeszłości.

Największy odsetek klienteli wernisazu stanowili chyba Polacy. Było ich tu pełno o każdej porze roku. I wykupywali wszystko, jak leci: od antyków po chińszczyznę.

Irmina wynalazła te łyżeczki u jakiegoś staruszka zarośniętego jak Rumcajs i niemiłosiernie cuchnącego gorzałą. Nie zamierzała nawet wnikać, skąd pochodzą, bo przecież wcale nie musiały należeć do tego dziadka – równie dobrze mogły być skradzioną przez niego cudzą własnością.

Obeszła dokładnie cały bazar w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego do starego dworu. Przy łyżeczkach zatrzymała się na dłużej i dokładnie je obejrzała. Były bardzo zaniedbane, pokryte wieloletnią patyną i zdekompletowane, ale uważne oko Irminy dostrzegło ich wartość. Z pewnością

było to srebro, wysokiej próby i pięknego wykonania. Na rękojeściach pyszniły się kwiatowe ornamenty, a na ich odwrocie cyrylicą wybito cechę probierczą i rok 1895.

Sprzedawca zażądał za ten towar zaledwie stu pięćdziesięciu hrywien, zapewne nie wiedząc, z jak cenną rzeczą ma do czynienia. Irmina była usatysfakcjonowana, choć nie dała po sobie poznać, że robi fantastyczny interes. Jeszcze trochę pomarudziła i się potargowała, tak że ostatecznie nabyła łyżeczki za sto trzydzieści hrywien. Potem pobiegła czym prędzej do Jurija, żeby nadał im nowego blasku. Na koniec zdecydowała się na obwiązanie ich tym starym drutem, którym były związane na wernisażu.

– Są naprawdę śliczne – pochwaliła Greta, oglądając jedną z bliska. – I jakie stare.

– Siadajmy wreszcie do kolacji, bo wystygnie – ponaglił Oleg.

Wieczór szybko przemienił się w noc. Było jasno i gwieździście, a ramiona i plecy biesiadnikom muskał od czasu do czasu chłodny powiew wiatru. Siedzieli wokół stołu, wśród zapachu dymu i jedzenia, głośno rozmawiając i śmiejąc się. Atmosfera była niezwykle przyjazna, choć wszyscy obserwowali się nawzajem: Oleg Gretę, Irmina Daniła i również Gretę, która także ukradkiem się jej przypatrywała. Danił pokątnie kierował swój wzrok na Irminę. Kiedy Oleg nie przyglądał się Grecie, patrzył na zawstydzenie Daniła. I tak, jedno na drugie patrzyło i wyciągało przeróżne wnioski.

Irmina nie do końca rozumiała fascynację Olega tą rudą dziewczyną. Owszem, musiała przyznać, że jest miła i niebrzydka, ale czy Oleg nie za bardzo się poświęcił, przenosząc się dla niej na to zadupie, tego pewna nie była. I w ogóle czy miało szansę rozwinąć się z tego coś poważnego? Dużo większe wrażenie zrobił na niej Danił. Od pierwszej chwili czuła do niego silny pociąg fizyczny, który z upływem czasu wcale nie malał. I nie mogła go sobie w żaden racjonalny sposób wytłumaczyć. Bo czym wyjaśnić, że trzydziestopięcioletnia doświadczona kobieta w ciągu pięciu minut zauroczyła się młodszym mężczyzną, prawie chłopcem? Ale nie ganiła siebie za te odczucia. Wprost przeciwnie: miała nieodpartą ochotę się przekonać, jak sprawy mogą potoczyć się dalej. Odwagi być może dodawał jej fakt, że wypłała dziś nieco więcej, niż do tego przywykła, a także to, że była z dala od domu i od interesów i mogła po prostu pozwolić sobie na odrobinę szaleństwa.

Danił siedział przez całą kolację dość spięty. Jak zawsze był małomówny, a do tego zestresowany obecnością obcej, w dodatku tak ładnej kobiety. Nie śmiał pomyśleć, że jakakolwiek kobieta mogłaby zwrócić na niego uwagę, a co dopiero tak urodziwa. Był zupełnie nieświadomy swoich walorów fizycznych i wrażenia, jakie potrafi zrobić jego sztuka. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że Irmina sądzi, iż jego *Kamasutra* wzięła się z jego ogromnego doświadczenia w miłości fizycznej.

Oleg od samego początku dostrzegał zainteresowanie Irminy Daniłem. Nie zamierzał jej tego bronić, ale było to zachowanie jak na nią dość nietypowe. Sprawiała wrażenie, jakby zgłupiała na jego punkcie. Być może po prostu zbyt dużo świeżego powietrza uderzyło jej do głowy, uznał jednak, że nie będzie tego roztrząsał, bo Irmina sama potrafiła się o siebie zatroszczyć. Dość szybko poświęcił całą swoją uwagę Grecie, która wyglądała dziś wprost oszalamiająco w swojej zwiewnej sukience i butach na koturnach. Poza tym była wyjątkowo dla niego szczodra – poświęcała mu swój czas i uwagę, śląc przy tym często śliczne uśmiechy.

Greta z kolei po raz pierwszy od dość dawna poczuła się tego wieczoru naprawdę dobrze, bezpiecznie i beztrąsko. Z początku uważnie obserwowała Irminę, próbując wyrobić sobie o niej zdanie. Uznała, że jest sympatyczna i ładna, ale jakoś jej uwaga szybko się rozproszyła i dziewczyna skupiła się raczej na Olegu, który brylował na tym mini przyjęciu i bawił gości.

W krótkiej przerwie pomiędzy rozmowami dało się słyszeć daleki, rytmiczny stukot krzywego koła. Nocne, rozrzedzone powietrze niesło ten hałas daleko, aż dotarł on do uszu Irminy.

– Ciii... – szepnęła. – Gdzieś w pobliżu przejeżdża pociąg?

Pozostała trójka z uśmiechem wymieniła spojrzenia.

– Nie, to taki lokalny rydwan – odpowiedział Oleg.

– Co takiego?

– Później ci opowiem – zaśmiał się.

Nawrocki jeszcze kilkakrotnie przejeżdżał po wsi w swojej taczce, co odbijało się po

okolicy stukotem krzywego żelaznego koła. Korzystając z dłuższego weekendu, który zafundował mu Oleg, nadal oddawał się rozpaczy po utracie skarbów z serdaka.

Biesiada w Zaciszu trwała w najlepsze do późnych godzin. Wreszcie Greta się pożegnała i zaczęła się zbierać do domu. Oleg zerwał się za nią od stołu.

– Zaczekaj, odwiozę cię – zaoferował się, chcąc pobyc z nią przez chwilę sam na sam.

– Piłeś przecież. Zostań. Przyjechałem autem, pamiętasz?

Odeszli kawalek od altany.

– Racja – zreflektował się. – Ale możesz zostać na noc, jest dużo miejsca...

– Dziękuję. Lepiej pojedę. Mogę odwieźć Daniła, ale nie wiem, czy mu się to spodoba.

Zauważyłeś? – spytała, mając na myśli tę chemię, która wisiała w powietrzu między nim i Irminą.

– No pewnie – odparł wesoło. – Kto by nie zauważył?

Pożegnali się, Greta odwiozła Daniła, a Oleg z Irminą wkrótce przenieśli się do dworu. Tam aż do rana rozmawiali o interesach, Grecie, Danile, Janku, Lwowie, Polesiu i w ogóle o swoich życiach.

Potem rozeszli się do prowizorycznych sypialni. Oleg z drżeniem serca kładł się do łóżka, bo tego dnia to Greta przygotowywała posłania i już sama ta świadomość wytrącała go z równowagi. Wśliznął się pod cienką kołdrę i zaciągnął głęboko zapachem świeżej pościeli, jakby w nadziei, że w ten sposób odnajdzie choćby cząstkę Grety, zapach jej cudownych dłoni, którymi posłała mu łoże. Pod prześcieradłem wyczuł jakieś nierówności, a ponieważ się wiercił, wkrótce uwolnił się zapach maciejki przemieszany z woniami mięty i jałowca. Oleg zaświecił światło i zajrzał pod prześcieradło. Leżało tam trochę wonnych ziół. Takiego patentu dotąd nie znał, ale wiedział już, że od tej chwili Gretę będzie kojarzył właśnie z tymi aromatami. Na myśl o tym, że postarała się tak specjalnie dla niego, coś go ścisnęło w dołku i ogarnęła go fala czułości, która wezbrała i przeszła w pożądanie. „Jak długo jeszcze się będę męczył?” – pomyślał ze smutkiem.

Podobna garść ziół znalazła się również pod prześcieradłem Irminy. Ona także była tym zdziwiona, ale pomysł uznała za rewelacyjny. I przyznała Olegowi pierwszy punkt za pobyt na wsi. We Lwowie takiego siana niestety nie było.

## Rozdział 18

Sobotni poranek w Zaciszu stał pod znakiem długiego lenistwa i ciszy. Gospodarz i jego gość odsypiali zarwaną noc. Pierwszy obudził się Oleg. Otworzył oczy i bez pośpiechu przekręcił się na brzuch. Prawą ręką sięgnął pod prześcieradło, gdzie nierówno ułożone były wonne zioła, i wyciągnął ich garść. Opuścił powieki i zachłannie wdychał ich aromat, zaciskając na nich pięści. Każda gałązka i listek przywoływały mu na myśl Gretę i z każdym wdechem, jak naćpany, widział ją przy sobie coraz wyraźniej. Niemal jej dotykał, pieścił rude włosy i całował szmaragdowe oczy. Już sięgał dłonią pod jej sukienkę, czuł ciepło jej ud i oddechu. Wyżej i wyżej, aż do skraju koronkowej bielizny. Czuł wyraźnie, że jego własne podbrzusze zaczyna twardnieć i rosnać, a puls niebezpiecznie przyspiesza. Zacisnął pięści na prześcieradle, zgniatając je, i w jednej chwili ocknął się niemal z bólem spowodowanym tym porannym widziadłem.

Zanim zwłókł się z posłania, złożył sobie solenną obietnicę, że dziś nastąpi przełom w jego relacjach z Gretą. Choćby nie wiem co, jeśli trzeba to za wszelką cenę, ale już dłużej czekać naprawdę nie miał sił.

Spotkał się z Irminą na dole, kiedy ta krzątała się przy kawie.

– Nareszcie wstałeś. – Podała mu kubek z aromatycznym napojem, uśmiechając się serdecznie.

– Dzień dobry, kochana – przywitał ją. – Jak ci się spało?

– Fantastycznie! A te zioła...! Skąd ten pomysł?

Uśmiechnął się na samo wspomnienie o Grecie.

– Ja nic o tym nie wiem. To Greta szykowała wczoraj posłania. Mięta i maciejka?

– Tak – odparła zachwycona Irmina. – Rewelacja! U ciebie też?

– U mnie też – przytaknął.

– Warta była tylu zabiegów? – Irmina znacząco uniosła brew. – Nie znudziła ci się jeszcze?

– A czy coś, czego nie masz, może ci się znudzić? – odpowiedział pytaniem Oleg.

– Nie wierzę... – Zatrzymała kubek w pół drogi do ust. – Przez trzy miesiące postawiłeś prawie od nowa dom, a nie potrafiłeś uwieść kobiety? Oleg, ty się chyba starzejesz!

– Sam nie wiem – odparł markotny. – Może nie jestem w jej typie...

– Nie sądzę – pocieszyła go. – Wpatrywała się w ciebie jak w obrazek.

Szkoda, że Oleg jakoś tego nie zauważył. Ale wdzięczny był przyjacielce za słowa otuchy.

– No dobra – odezwał się, zmieniając temat. – Powiedz lepiej, jak ci się widzi tutejszy artysta?

Irmina ożywiła się na myśl o Danile. W oczach pojawił jej się jakiś ogień, a usta nie mogły powstrzymać się od uśmiechu.

– Słodki jest – rozmarzyła się, po czym szybko dodała: – I ma talent.

– Uwważaj, Irmino, ta zabawa może być niebezpieczna – przestrzegł ją.

– Słuchaj, ile on ma lat?

– Chyba trzydzieści. Dlaczego pytasz?

Na jej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia. Ona miała trzydzieści pięć. Może była to różnica niewielka i dopuszczalna między dwojgiem dorosłych ludzi, ale wolałaby, żeby to on był starszy, a nie ona. Cóż, tego się nie dało zmienić, można było jedynie to zaakceptować albo od razu zrezygnować.

Irmina była zadbaną, elegancką kobietą biznesu. Czy była młoda? W oczach wielu już nie, ale we własnym przekonaniu wciąż czuła się młodo i atrakcyjnie. Dla niektórych weszła już w wiek średni, ale sama tak wcale siebie nie postrzegała.

Wszyscy troje: Oleg, Jan i ona, przez całe swoje dorosłe życie byli zadeklarowanymi singlami. Bywały takie chwile, że na krócej lub dłużej ktoś pojawiał się w ich życiu, nigdy jednak nie trwało to na tyle długo, by zdecydowali się z tym kimś zamieszkać czy zalegalizować związek.

Tak pochłonęło ich prowadzenie biznesu, że wiele ich związków po prostu nie przetrwało. Byli tak zaangażowani w sprawy firmy – nieustannie przebywali w podróży czy prowadzili spotkania z klientami – że jedyne, o czym marzyli w krótkich chwilach przerw, to spokojny odpoczynek. Trudno żyć u boku pracoholika, dlatego też ostatecznie każde z nich, wcześniej czy później, zostawało samo. Nie narzekali jednak na taki stan, wszak nikt nie zmuszał ich do tak intensywnej pracy – był to ich świadomy wybór i na razie nie zamierzali niczego w swoim życiu zmieniać.

Ostatni poważniejszy związek zakończył się w życiu Irminy ponad rok temu i teraz zapragnęła sprawdzić, na ile jeszcze ją stać. Nie miała na myśli nic zobowiązującego, jedynie dobry, szybki romans. Poczwała w sobie tę nieodpartą chęć beztróskiego spędzenia czasu, która dopada nas często wtedy, gdy choć na chwilę odrywamy się od codziennej rutyny. Jest to coś na kształt wakacyjnego flirtu, kiedy to dajemy się ponieść emocjom, zapominamy na chwilę o obowiązkach i zaczynamy marzyć. To pewien rodzaj terapii, która ma za zadanie nas dowartościować, podnieść poziom serotoniny i podładować akumulatory przed powrotem do prozy życia. Irmina po prostu zapragnęła nagle małej, krótkiej odmiany, zamarzyła jej się odrobina luzu, kokieterii i zmysłowych przyjemności.

W całym tym trzyosobowym teamie najspokojniejszy był chyba Jan. A w każdym razie najdelikatniejszy, można by rzec, gdyż rzadko ulegał impulsom, jak teraz Irmina, i nie przebierał w kobietach z taką częstotliwością jak Oleg.

– Ma kogoś? – Irmina zignorowała pytanie współnika.

– Danił? Nie wiem. Chyba nie.

„To i lepiej – pomyślała. – Będzie łatwiej i bez zbędnych skrupułów”.

– Oprowadzisz mnie po tych swoich włościach? – spytała.

– No jasne. Bierz kubek i ruszamy.

Obeszli sad, ogród, park, zapuścili się pod las i wrócili przed dwór, na kasztanową aleję, a potem usiedli przy pochyłej wierzbie, gdzie w okolicach żeremia wybijało źródło.

– Może i nie jest tutaj tak źle... – stwierdziła z pewnym wahaniem. – Piękny dwór, kawał pól, własne źródło... no i bóbr.

– I bażant, co chodzi wokół dworu codziennie o czwartej nad ranem i przenikliwie krzyczy – dodał Oleg. – I jeszcze dziki, sarny, zajęce i lisy. Coś jest urokliwego w tym zakątku na ziemi, coś jest, mówię ci.

– A zamierzasz wrócić do Lwowa? – spytała poważnie.

– To tylko kilka godzin drogi stąd. Nie widzę problemu. Po co mam się deklarować na pobyt w jednym miejscu, skoro mogę mieszkać w dwóch?

– Może i ja sobie kupię coś na zmianę? – zażartowała. – Jakąs daczę...

– Koniecznie na wsi. Szczerze polecam – roześmiał się. – Może być nawet w tych okolicach. Podobno jest tu wiele takich dworów na sprzedaż.

– Dziękuję, postoję – odparła i postukała go w czoło. – No dobra, jakie plany na dziś? Powtórzmy wczorajszy wieczór?

– A chcesz?

– No pewnie! Tylko potrzebuję trochę swobody z tym twoim artystą. Kto wie, może z m o im artystą...?

Taka opcja podobała się i Olegowi. Jeśli Irmina zajmie się Daniłem, to on będzie miał więcej czasu na *tête-à-tête* z Gretą. A to wielce kusząca perspektywa.

Wśród kasztanów sunął grafitowy jeep, wznecając kurz. Zaparkowawszy pod dworem, Greta wysiadła i wyjęła dużą papierową torbę ze świeżym pieczywem, a także drugą, z zapasem piwa. Oleg, widząc ją spod wierzby, pognął jej pomóc. Irmina została przy źródle.

– Cześć, Ruda. – Uśmiechnął się i wziął od niej zakupy. – Bardzo się cieszę, że cię znów widzę. – Jak złodziej, szybko cmoknął ją w policzek i odsunął się na bezpieczną odległość. – Coś ty taka markotna? Stało się coś?

Greta faktycznie była nie w humorze. Wczorajszy wieczór był relaksujący, ale mimo wszystko długi i nie zdążyła go jeszcze porządnie odespać. Poza tym dostała wczoraj kolejny anonim. Trudno było się tym nie przejmować, choć bardzo się starała. Treść maila głosiła: „Jak nie



upilnujesz, bardzo pożałujesz”, a w załączniku znajdowało się kolejne zdjęcie, tym razem lepszej jakości. Widać było, że Grzegorz nie pozował do niego, więc najprawdopodobniej zrobiono je z ukrycia. Uśmiechał się, a w dole fotografii uwieczniono dwa nagie uda, zupełnie jakby kobieta leżała w rozkroku, a on, zadowolony, nad nią stał. Czy tak było naprawdę? A jak inaczej wytłumaczyć takie ułożenie dwojga ciał? Czy uda były kobiece? Greta nie była pewna, ale wyglądały na zgrabne i gładkie, więc chyba jednak należały do kobiety. A nawet jeśli były męskie, to też nie nastrojało optymistycznie... Jedyne pocieszenie upatrywała w tym, że rozmawiała wczoraj z Grześkiem. Zdobyła się wreszcie na odwagę i wprost zapytała go, czy ma romans. Wybuchnął na to gromkim śmiechem, próbując jej wmówić, że jest głuptasem, i pytając, jak w ogóle mogło jej przyjść coś takiego do głowy. Kategorycznie zaprzeczył, a kiedy na usprawiedliwienie swoich podejrzeń przesłała mu zdjęcie wraz z niewyszukanym wierszykiem z anonimu, odniosła wrażenie, że się przestraszył i miał niewyraźną minę. Szybko jednak odzyskał rezon i wrócił do zapewnień, że to wszystko jest stekiem bzdur. Tłumaczył się dość rozsądnie nawałem pracy, wyjaśniając, że nawet gdyby chodził mu po głowie jakiś flirt, to nie ma na niego ani czasu, ani ochoty. I tu dołożył jeszcze kilka solidnych zapewnień o swojej miłości do żony i palącej tęsknocie. Wyjaśnienia te wcale Greta nie uspokoiły, ale musiały niestety wystarczyć. Porozmawiali jeszcze przez chwilę o tym, co u niej, i trochę się rozchmurzyła, snując opowieści o remoncie Zacisza. Grzegorz był nieco zdziwiony, że żonę tak zajmuje obcy dom, ale też się ucieszył, że ma zajęcie, dzięki któremu mniej rozmyśla o wypowiedzeniu i rozłace.

– Cześć. – Greta odwzajemniła uśmiech i pogłaskała Olega po ramieniu, po czym głową wskazała w stronę Irminy. – Zostawiłeś gościa pod drzewem.

– Niech sobie tam trochę poduma. Chodź, zapraszam na kawę.

Poszli do kuchni. Greta wykładała zakupy z toreb, a Oleg parzył kawę, co chwilę patrząc na nią ukradkiem. Dostrzegła jego spojrzenia i dała mu szturchańca pod zębra.

– Co mi się tak przyglądasz?

Przytrzymał jej ręce i przyciągnął do siebie. Objął ją mocno i przytulił jak ukochaną zabawkę z dzieciństwa. Była w tym radość, ale i pewien rodzaj troski i opieki. Nie odepchnęła go. Jak mała bezbronna dziewczynka przywarła do niego w poczuciu bezpieczeństwa. Właśnie tego potrzebowała teraz najbardziej. Nie było przy niej męża, za chwilę zostanie bez pracy i jedyne, co jej przybyło, to być może kochanka męża. Bilans zysków i strat był bezlitosny: dwie straty i jeden wątpliwy zysk.

– Dziękuję ci – wyszeptała Olegowi w pierś.

– Za co, maleńka? – nie rozumiał.

– Za to, że masz dla mnie tyle czasu.

– Dla ciebie zawsze. – Przytulił ją jeszcze mocniej i czule pocałował jej włosy.

Nawet nie drgnęła. Intymnego kontaktu nie miała od ponad trzech miesięcy, a ten był chociaż jego namiastką. I dawał takie przyjemne wibracje w brzuchu.

Do domu zbliżała się Irmina, szurając zawzięcie butami, by dać im czas na złapanie dystansu. Greta odskoczyła i chwyciła kubek parującej kawy. W roztargnieniu zaczęła ją dosładzać i niezdarnie dołała mleka.

– Mogę świeżą bułeczkę? – Irmina wyciągała już dłoń po pieczywo. – O, cześć, Greta – przywitała się z uśmiechem i od razu wzięła odwrot.

– A ty dokąd? – spytał Oleg.

– Do ogrodu – odparła. – Właśnie przemknął tam twój artysta. Był taki zamyślony, że mnie nawet nie zauważył. No, to idę mu trochę poprzekadzać. – Puściła porozumiewawcze oko i już jej nie było.

Danił z daleka dostrzegł Irminę, ale natychmiast spuścił oczy i szybko przeszedł kasztanową aleją w stronę ogrodu. Na jej widok owładnęło go takie przerażenie, że ucieczka była jedynym, co przyszło mu do głowy. Od wczoraj nie poznawał sam siebie. Działo się z nim coś dziwnego, jakby ogarnęła go jakaś tajemnicza choroba, ni to gorączka, ni drgawki. Zupełnie stracił apetyt i na samą myśl o jedzeniu czuł, jak skręca mu się żołądek. Na myśl o Irminie zresztą też. Był cały rozdygotany. Szumiało mu w głowie, a puls niebezpiecznie podskoczył. Stan taki utrzymywał się

już drugi dzień i biedak zupełnie sobie z nim nie radził.

Właściwie nie zamierzał dziś tu przychodzić, ale kiedy siedział w domu, nie mógł opędzić się od dręczącej go myśli, że gdzieś coś dzieje się bez niego. Kiedy jednak szedł przed chwilą wśród kasztanów, pożałował decyzji, bo jego ciało na nowo zaczęło się męczyć w dziwnych konwulsjach. Niespokojny żołądek naprawdę mu dokuczał. Chociaż, może to wcale nie był żołądek? Coś jakby skręt wnętrza zakończony nagłym biciem serca.

Ominął swoją kosztelę i poszedł dalej, między kolejne drzewa. Kiedy uznał, że jest niewidoczny, wziął uspokajający wdech i usiadł na trawie. Z kieszeni wyjął niewielki szkicownik i ołówek. Przekartkował go i znalazłszy czystą stronę, postawił na niej kilka zamasztych kresek.

– Mogę popatrzeć?

Irmina podkradła się do niego cicho jak kot, aż się wzdrygnął przestraszony. Zerwał się niezdarnie i stanął tuż przed nią.

– Tu nie ma nic ciekawego – odparł niezbyt grzecznie i bardzo nieśmiało.

Stała przed nim zalotna, fioletowowłosa kobieta z nieco zbyt intensywnym, ale starannym makijażem. Cienką beżową bluzkę z krótkimi rękawami miała wpuszczoną w brązową ołówkową spódnicę do kolan. Cieliste szpilki trzymała w dłoniach, bo nie dało się w nich chodzić po nierównej, miękkiej ziemi. W ogóle cały jej strój nie nadawał się na wieś. Chyba że do kościoła. Ale zamierzony efekt osiągnęła. Danił stał jak urzeczony. Wiejskie baby, które znał i codziennie widywał, nigdy tak nie wyglądały. Nie chodziły w obcisłych spódnicach i bluzkach, nie nosiły tak dużych dekoltów, nie śmiały się tak zalotnie i nie miały tak kształtnych bioder.

Irmina bez pozwolenia sięgnęła po szkicownik, dotykając dłoni Daniła. Poczul przyjemny dreszcz biegnący wzdłuż ciała, jak prąd. Zrobiła krok do przodu i wspiąwszy się na palce, musnęła ustami jego policzek. Stał, bojąc się poruszyć, chociaż wszystko w nim w środku drgało. Popchnęła go delikatnie do tyłu, aż oparł się plecami o pień drzewa. Do tej pory nie zrobił żadnego ruchu.

– Nie podobam ci się? – zaniepokoiła się, czując się trochę nieswojo, że przewodzi tej grze.

– Przeciwnie – wydukał spięty Danił.

To jej wystarczyło. Nie dbała o to, co sobie o niej pomyśli. Może nawet sądzić, że jest łatwa. Ale miała teraz jeden cel: odprężyć się i zażyć nieco przyjemności i rozkoszy. W ramionach takiego znawcy *Kamasutry* będzie to zapewne wielkie uniesienie. Przysunęła się do niego tak blisko, jak tylko mogła, i dotknęła ustami jego warg. Poruszył się ledwie zauważalnie i lekko przechylił głowę. Uznała to za zachętę i mocniej naparła na jego usta. Rozchyliła je swoim językiem i wsunęła go do wewnątrz. Jej pocałunki były coraz silniejsze, a rytmiczne ruchy warg udzieliły się i Daniłowi. Po raz pierwszy w życiu całował kobietę w ten sposób. Starał się naśladować wszystko to, co robiła, ale początki, jak zwykle, okazały się trudne. Pocałunki, które jej oddawał, były zachłanne i nieco kanciaste. Dopiero po chwili złapał odpowiednie tempo i delikatnie przygryzł jej wargę. Mruknęła w zadowoleniu i ujęła jego dłoń, z którą nadal nie bardzo wiedział, co zrobić. Nie przestając go całować, splotła swoje palce z jego i położyła je na swojej piersi. Pod cienkim materiałem bluzki wyczuł jej twardniejący sutek. Przez moment stracił koordynację ruchów, ale znów złapał rytm i dalej ją pieścił. Nabrawszy odwagi, na jej drugiej piersi położył drugą dłoń i przesunął ją w dół bluzki. Wyszarpnął ją ze spódnicy i powoli wsunął pod nią ręce. Irmina uniosła do góry ramiona, a Danił zdjął jej ubranie i rzucił za siebie. Miała na sobie biały koronkowy biustonosz. Włożył dłoń w jego miseczkę i wreszcie dotknął tego, czego nigdy jeszcze nie dotykał. Pieścił jej piersi przez chwilę, cały czas ją całując. Potem przesunął dłonie niżej, aż do jej kolan, i dotknął wewnętrznej strony ud. Pochylił się nad nią i położył ją delikatnie na trawie, podciągając spódnicę.

Ona przez cały ten czas oddawała mu wszystkie pocałunki i pieściła jego ciało, błędząc dłońmi pod T-shirtem. Rozpięła z brzękiem pasek jego spodni i, guzik po guziku, rozpinając rozporek. Dotknęła jego krocza przez sztywny dzins. Było twarde i duże. Uniosła lekko biodra, by Danił mógł zsunąć z niej spódnicę.

– Masz gumkę? – szepnęła pytająco.

– Co? – wysapał zbity z tropu i spojrzał na nią obłąkanym wzrokiem.

– Nieważne – odparła i sięgnęła po omacku do swojej spódnicy.

Z naszytej z przodu kieszeni wyjęła prezerwatywę. Nie miała pojęcia, jak potoczy się ten dzień, ale skoro postanowiła uwieść tego niezwykłego artystę, to pomyślała także o zabezpieczeniu, które miała w samochodowej apteczce.

Chwyliła obiema rękami spodnie Daniła i pociągnęła je w dół. Pomógł jej w tym i wyswobodził się ze wszystkich ubrań. Spojrzała na niego zachłannie, nie mogąc się doczekać, kiedy znajdzie się w niej. On wsunął ręce pod jej plecy i niezdarnie mozolił się z zapięciem stanika. Po chwili odniósł zwycięstwo i biała koronka zsunęła się z jej piersi. Pochylił się i zaczął całować jej twarde sutki. Jednocześnie uniósł w górę jej biodra i zsunął majtki. Odchylił się od niej na tyle daleko, by dobrze ogarnąć ją wzrokiem. Przesuwał dłońmi po całym jej ciele, jak ślepiec. Pieścił piersi, kreślił jakieś zawijasy na brzuchu, potem przesunął się niżej, do wydepilowanego łona, i wsunął rękę między jej uda. Poruszyła się nerwowo w ekstazie i uniosła na jednym łokciu. Rozerwała opakowanie z prezerwatywą i wzięła w dłoń jego członek. Pieściła go delikatnie – od dawna był już twardy. Wyjęła prezerwatywę i nałożyła mu ją powoli, wkładając jednocześnie język w jego usta. Potem położyła się na trawie i rozchyliła uda, czekając na ruch z jego strony.

Oszołomiony tym wszystkim, czego do tej pory nie znał, zamarł w bezruchu.

– Do dzieła, kowboju – zachęciła go Irmina.

Wsunął dłoń między jej uda i pieścił palcami wargi sromowe. Była cała wilgotna. Położył się na niej i najdelikatniej, jak mógł, wszedł w nią troszeczkę. Uniosła biodra wyżej i oplótła go nogami, aby wszedł cały. Oparł się łokciami o ziemię i powoli zaczął się poruszać. Delikatnie, bez przekonania i bez jakiegokolwiek wiedzy na ten temat. Wszystko, co robił, robił instynktownie.

Tyle razy wyobrażał sobie tę chwilę, tyle razy widział to w telewizorze. Ale żaden film nie oddaje w najmniejszym nawet stopniu namiętności, emocji i odczuć, jakie towarzyszą temu aktowi. Czuł, jak buzuje w nim krew, jak serce wali niczym młot, a w podbrzuszu przelewa się wzbierająca fala pożądania. Po kilku minutach coraz szybszych posunięć i oddechów poczuł, jak eksploduje i uchodzi z niego nasienie. Irmina jęknęła cicho i zamarła w bezruchu. Danił pocałował ją w policzek i wyszedłszy z niej, położył się obok, na trawie.

– Jesteś wspaniała – wyszeptał jej do ucha.

Zdjęła z niego prezerwatywę i włożyła do pustego opakowania, po czym położyła głowę na jego ramieniu i się do niego przytuliła.

– To był twój pierwszy raz? – spytała po chwili.

– Było aż tak kiepsko? Przepraszam – Danił zawstydził się i zrobiło mu się przykro.

– Głuptasie, było cudownie.

– To skąd wiesz?

– Patrzyłeś na mnie, jakbyś się mnie bał. Albo jakbyś nie wiedział, co się z tym robi – zaśmiała się radośnie.

Zapadło długie milczenie.

– To niewiarygodne...

– Co? – spytał.

– Jakim cudem prawiczek tak pięknie rzeźbi seks?

– Aż wstyd się przyznać... – Danił postanowił się jednak zdobyć na szczerość. – Pornole od Olega.

Irmina wybuchła śmiechem i pocałowała go mocno w usta, przesuwając dłonią w kierunku jego krocza.

Danił w gruncie rzeczy słabo ogarniał wydarzenia tego dnia. O ile z kwestiami fizycznymi sobie jakoś poradził, to w uczuciach pogubił się zupełnie. Po raz pierwszy w życiu kochał się z kobietą wiedziony jedynie instynktem, nie mając bladego nawet pojęcia, jak powinien się zachowywać. Do dziś miał dwa sprzeczne ze sobą poglądy na seks. Źródłem pierwszego można się było doszukiwać w całym szeregu komedii romantycznych, które oglądał wieczorami w towarzystwie matki, drugi zaś wykształcił się u niego dopiero niedawno, po obejrzeniu filmów pornograficznych od Olega. Pierwsze z tych zapatrywań było ckliwe i zupełnie nieinstruktażowe, drugie zaś wielce pouczające, ale wulgarne.

W prostocie swego umysłu Danił całe życie za czymś tęsknił, ale nie potrafił sprecyzować

za czym. Dopiero Irmina nadała realnego kształtu tym jego tęsknotom i pokazała, co z czym i w jakiej kolejności.

Leżąc tak na trawie i obejmując nagą kobietę, miał ochotę wyznać jej miłość. Nie zrobił tego jedynie dlatego, że go onieśmiałała. A czy uczucie, którego doznał po raz pierwszy w życiu, było miłością? Danił był przekonany, że tak.

Jednym sobota tak się pięknie układała, że mieli seksu po kokardki, a inni, coraz bardziej sfrustrowani, wciąż na niego czekali. Oleg nadal utrzymywał swoje żądze na postronkach, choć z coraz większym trudem.

– Szkoda, że nie kupiłam kakao – odezwała się Greta, smarując świeże bułeczki masłem. – Byłoby w sam raz.

– To pojedę kupić – zaoferował Oleg, chcąc się jej przypochlebić.

– Daj spokój, kawa z mlekiem też będzie dobra.

– Zamierzasz obdzielić tym pułk wojska? – zażartował, widząc stertę posmarowanych bułek.

– Nie. Podzielę się z tobą – uśmiechnęła się do niego ciepło. – I jeszcze z Irminą i Daniłem.

– E, nie przeszkadzajmy im. Jak zgłodnieją, to przyjdą.

Greta spojrzała na niego uważnie i zastygła w bezruchu z nożem w dłoni.

– Zauważyłeś, że wczoraj Danił nie spuszczał oka z Irminy? Ona zresztą też jakby była nim zainteresowana – Greta poczyniła to odkrycie z niejakim zdziwieniem.

– Kto wie, może coś z tego będzie? – zasugerował Oleg niby żartem, jednak znając upór i konsekwencję Irminy, mógł sądzić, że odkąd wyszła, sprawy zaszły już całkiem daleko.

To wcale Greta nie uspokoiło. Wręcz przeciwnie – zaczęła się mocno niepokoić i gotowa była pobiec do ogrodu. Oleg, wyczuwając jej intencje, podszedł do niej i wyjął nóż z jej dłoni.

W drugiej trzymała posmarowaną masłem bułkę. Ujął tę dłoń i podniósłszy ją razem z pieczywem do góry, wgryzł się w bułkę. Przeżuwał powoli, zagradzając Grecie drogę do wyjścia i czekając, aż przejdzie jej ochota na ingerencję w plany Irminy.

– A co niby może z tego być? – spytała, zupełnie nie rozumiejąc, co miał na myśli.

– Daj spokój – próbował skończyć temat. – Oboje są dorośli. Niech robią, co chcą.

– Jak to? – zaniepokoiła się. – Nie sądzisz chyba, że oni mogliby ze sobą być?

– A co to znaczy: być ze sobą? – drażnił się z nią Oleg.

– No wiesz... – zająknęła się. – A co będzie, jeśli on się w niej zakocha?!

– A dlaczego nie spytasz, co będzie, jeśli ona się w nim zakocha? – zupełnie nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Nie wiem jak Irmina, ale Danił jest...

– Tak, wiem – wszedł jej w słowo. – Jest wrażliwy.

– No właśnie – potwierdziła.

– Greta, zrozum wreszcie, że ani ja, ani Irmina nie jesteśmy potworami. – Spojrzał jej głęboko w oczy i mówił to z przejęciem. – Nikt nie zamierza zrobić wam krzywdy. Dlaczego nas tak niesprawiedliwie oceniasz? – spytał z prawdziwym bólem w głosie.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Ale co z nim będzie, jak jutro Irmina wyjedzie, a on tu zostanie załamany?

– To duży chłopiec. Niech sam zdecyduje, czego w życiu chce.

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że któregoś dnia tu przyjdę, a po tobie nie będzie nawet śladu – wyznała szczerze. – Nie mogę uwierzyć, że ktoś taki jak ty zamierza tu naprawdę zamieszkać.

– Czyli jaki? – Oleg trochę bał się odpowiedzi na to pytanie.

– Światowiec... – odparła. – Światowiec, a wybrał te Kresy. Bogacz, a zamieszkał wśród biedaków. Wykształcony, a wybrał prostaków. Mógł mieć wszystko, a wybrał nic... Sam pomyśl. Przecież to się kupy nie trzyma. Gdzie jest haczyk, panie Hawryło?

– To jest nic? – Wskazał ręką dookoła. – Nie chciałabyś takiego widoku za własnym oknem?

– A ty? – nie dowierzała. – Naprawdę tego chcesz? I zostaniesz tu? I nie znudzisz się

rzeźbami Daniła? Jak długo będzie ci potrzebny jego talent? A co będzie potem?

Sprawiała wrażenie mocno przestraszonej.

„Teraz” – pomyślał. Ta rozmowa nie prowadziła do niczego dobrego, musiał spróbować właśnie teraz. Wyjął z jej ręki nadgryzioną bułkę i odłożył po omacku na stół. Ujął delikatnie jej twarz w swoje dłonie i wodząc kciukami po jej policzkach, przysunął swoje usta do jej warg. Nie czekając na przyzwolenie, w obawie odtrącenia, pocałował ją zachłannie. W pierwszej chwili zeszywniała, ale nie odepchnęła go. Im dłużej ją całował, tym bardziej, o dziwo, wracała jej przytomność umysłu i jasno uświadomiła sobie, że oto odczuwa wzbierającą od dawna wielką falę przyjemności.

Naparł swym dużym ciałem na jej drobną sylwetkę i całował ją coraz namiętniej, coraz mocniej. Dłonie przesunął z jej policzków na włosy i mocno trzymał ją za kark, masując go i pieszcząc. Wkrótce odważył się wsunąć palce pod jej koszulkę i dotykał ciepłych łopatek. Prawą dłonią podniósł do góry rąbek jej T-shirtu i wodził palcami po płaskim brzuchu, a potem przesunął je wyżej, ku piersiom. Pieścił je z dość dużą siłą, ale nie protestowała.

Oddawała jego pocałunki równie żarliwie. Przesuwała zachłannie dłońmi po jego ciele, aż wczepiła się palcami w jego plecy i włosy, a jej ciało wyprężyło się jak u kotki.

Oleg mruknął zadowolony i poczuł wreszcie, że dziś jego pragnienia się spełnią i zostanie to, na co czekał tak długo i tak cierpliwie. On, który nigdy o nic nie prosił, który zawsze żądał i miał wszystko na zawołanie. Jeśli chodzi o Gretę, doprowadziła go do takiego stanu, że gotów był chyba nawet paść przed nią na kolana i błagać, żebrać, skomleć... byle tylko była jego. Pragnął jej jak żadnej kobiety dotąd. Każdy fragment jego ciała domagał się jej, każda jego myśl biegła tylko do niej. I oto dzieje się. Za chwilę jego niedosiężne marzenie miało się spełnić.

Nie przestając jej pieścić, zepchnął ręką wszystko, co było na stole, i już zamierzał ją unieść, gdy nagle odepchnęła od siebie jego głowę, a potem sama się odsunęła. Jej oddech był przyspieszony, a wzrok jakby obłąkany. Patrzyła na niego, ale niekoniecznie go widziała, zamroczona przeżyciami sprzed chwili.

Doprowadzony na skraj wytrzymałości, stał teraz bezradny i w zdziwieniu się jej przyglądał. Krew uderzała mu do głowy, serce waliło, a rozum opuścił go zupełnie.

– Nie mogę. Naprawdę nie mogę! – z trudem wysapała Greta i wybiegła do samochodu.

Szybko wskoczyła do auta, zostawiwszy go zdezorientowanego na środku kuchni. Drżącymi rękoma odpaliła silnik i wrzuciła wsteczny. Nogi miała jak z waty. Przelotem spojrzała w lusterko i ruszyła z miejsca, wzbijając w powietrze kłęby spalin i wyrzucając piach spod kół. W mgnieniu oka zniknęła wśród kasztanów i pomknęła do Burzan.

Oleg chwycił kubek, który miał pod ręką, i roztrzaskał go o podłogę.

– Niech to szlag! – zawołał w przestrzeń.

Z ogromnym trudem ogarnął się nieco i uprzątnął skorupy z podłogi. Uspokojenie mogły w tej chwili przynieść mu jedynie seks lub ogromna dawka wódki. Z braku tego pierwszego miał ochotę od razu sięgnąć po alkohol, ale się powstrzymał ze względu na gościa. Jakkolwiek Irmina nie wymagała specjalnego traktowania, to jednak wypadało się nią po prostu zająć.

Czuł się jak bokser leżący na deskach: rozwścieczony do granic możliwości i bezradny zarazem, że nie może się podnieść do ponownej walki. Wszystko, czego pragnął, znów się gdzieś rozpierchło, przepadło, pozostawiając go w stanie, jak mu się wydawało, niemal agonialnym.

Wyszedł przed dwór i kopnął w ziemię. Raz i drugi. Mocniej i mocniej. Wyjął papierosa i drżącą dłonią go zapalił. Po minucie czuł się dokładnie tak samo jak w chwili, gdy Greta go odepchnęła od siebie. Gdy skończył palić, nadal był jednakowo wzburzony. Nic nie pomagało.

Z ogrodu wrócili Danił z Irminą. Widok ich zadowolonych twarzy sprawił Olegowi ból niemal fizyczny. W innych okolicznościach ucieszyłby się, ale nie dziś. Ich pomięte ubrania wskazywały jednoznacznie, że nie marnowali czasu na pogaduszki. To tylko wzmogło w Olegu poczucie gniewu.

Ta sobota i niedziela były jednymi z najgorszych dni w jego życiu. Dotrzymywał towarzystwa Daniłowi i Irminie jedynie resztką swej silnej woli, w stanie zawieszenia między jawą a snem, obecny ciałem, ale nieobecny duchem. Oczywiście był przy nich tylko w chwilach przerwy

między kolejnymi miłosnymi uniesieniami – a tych uniesień tego weekendu mieli sporo. Nie tracili czasu, jakby się mieli już nigdy więcej nie spotkać. Nie chcieli uronić ani chwili z tych darowanych im godzin.

Frustracja Olega zdawała się nie mieć granic. Pogłębiała się jeszcze tym bardziej, im szczęśliwsi wydawali się Danił z Irminą. Prawie nic nie jadł, dużo pił i palił, chodził jak w transie i żył chyba jedynie siłą rozpędu. Niewiele też słyszał z tego, co do niego mówiono. Czekał tylko na powrót Greta. Ale ona nie przyjechała do niego ani w sobotę, ani w niedzielę.

W niedzielne popołudnie Irmina opuściła Zacisze. Danił przyjął to ze spokojem – nie był na tyle głupi, by sądzić, że zostanie tu dla niego. Poza tym to normalne, że gdy ktoś przyjeżdża, to musi i wyjechać. Dla niego najważniejsze było, że rozstawali się w najlepszej zgodzie i bez ochoty na to rozstanie. Choć bardzo pragnął, to jednak nie śmiał nawet myśleć o tym, że jeszcze kiedyś ją zobaczy. Postanowił potraktować ten weekend jak najpiękniejszy dar od losu i zachować go w pamięci do końca swych dni. Był przekonany, że już nigdy nic podobnego mu się nie przytrafi. Bo i jak by miało tyle szczęścia powtórzyć się takiemu głupkowi jak on? Z żalem, ale jednak potrafił powrócić do swego poprzedniego życia. I kto tu był mądrzejszy: światowy pan czy wiejski głupek?

Greta nie odbierała telefonów od Olega i nie pojawiła się w Zaciszu ani w ogóle w okolicy. Rozglądał się za nią pod sklepem, przy drodze, nad Bugiem. Podpytywał o nią Daniła, ale ten był wobec niej lojalny i chociaż się z nią kontaktował, to Olegowi się z tym nie zdradził. Jakkolwiek przyznać musiał, że jak tak na niego patrzył, to serce mu się krajało.

Od poniedziałku prace remontowe w Ordach znów ruszyły i wszystko szło swoim dawnym rytmem, tylko Oleg snuł się po obejściu bez celu. Był, a jakby go nie było. Męczył się niemiłosiernie, a jedyna osoba, która mogła przerwać te męczarnie, właśnie zniknęła.

Danił przestał właściwie bywać u siebie domu, bo prawie cały czas pilnował Olega, by ten nie zrobił nic głupiego. Zostawał z nim do późna w nocy i towarzyszył mu w regularnym chlaniu. Oleg próbował zapić swój ból, ale bez skutku. To już nie była tylko urażona męska duma. Było to coś więcej, ale on za nic w świecie nie zamierzał się do tego przyznawać.

W środowy wieczór znów obaj siedzieli nad butelką wódki oraz chlebem ze smalcem i ogórkami kiszonymi. Prawie nie odzywali się do siebie, tylko pili – Oleg dużo i często, Danił mniej i rzadziej.

– Polej!

– Może już wystarczy? – zatroskał się chłopak.

– Lej!

– Jak chcesz – odpowiedział obojętnie – ale tak o niej nie zapomnisz.

– O kim?

– Nie udawaj. Zapijasz uczucia, ale tak się nie da.

Oleg wybuchnął przeraźliwym, strasznym śmiechem.

– Obiecałem sobie kiedyś jedną rzecz, wiesz? Że w życiu mogę zaznać wszystkich chorób duszy z wyjątkiem miłości. Znam strach i przerażenie, pożądanie i pragnienie, złość i nienawiść, radość i spełnienie, wiarę i nadzieję. Odczuwałem wszystkimi porami gorączkę szaleństwa podczas upojnych nocy z dziewczętami, ale nigdy nie pozwoliłem sobie na miłość. Ona wyprawia z ludźmi, co tylko chce. A ja nie pozwolę się wodzić za nos. Nie pozwolę, rozumiesz? – Na oślep machnął ręką przed swoim nosem. – Dotąd sam o sobie decydowałem, nie oglądałem się na nikogo, nie pytałem o zdanie, byłem wolny, i zamierzam utrzymać ten stan. I żadna miłość tego nie zmieni, nie wejdzie mi w paradę!

Tym razem to Danił się zaśmiał.

– Tak? A co ona właśnie z tobą wyprawia?

– To nie miłość! – wrzasnął rozwścieczony. – To pożądanie...

– Jak zwał, tak zwał – odparł spokojnie chłopak – ważne, że już nie ty, ale ono decyduje.

– Gówna prawda!

Był tak pijany, że nie widział na oczy, dostał czkawki, a język zaczął mu się plątać. Do świtu została godzina, może dwie. Danił wstał, podszedł do Olega i spróbował ułożyć go na łóżku

i okryć kołdrą, on jednak był tak ciężki i bezwładny, że chłopak dał sobie spokój. Przechylił go tylko byle jak i patrzył, jak osuwa się na pościel.

„Ja jestem głupi – pomyślał. – Ale ty jesteś już chyba szalony. Sam nie wiem, co gorsze”.

Pora była już za późna na powrót do domu. Zresztą niebawem trzeba było wstawać do pracy, więc Danił poszedł na górę, tam gdzie jeszcze niedawno spała Irmina, i ułożył się na jej posłaniu. Nie mógł jednak zasnąć. Przez cały czas zastanawiał się, co powinien zrobić: pomóc Olegowi znaleźć Gretę czy Grecie uciec od Olega? Patrząc przez pryzmat swojego niedawnego szczęścia w ramionach Irminy, miał coraz większą ochotę podarować okazję do takiego szczęścia również Olegowi. Tylko co na to Greta? Jak postąpić, by nikogo nie zranić? Może najlepiej będzie się po prostu nie wtrącać? A może temu szczęściu trzeba pomóc? Któż to ma wiedzieć? On, taki głupiutki?

## Rozdział 19

W Zaciszu zaczął się zwykły dzień pracy. Jediną osobą, która we dworze nie nadawała się absolutnie do niczego, był gospodarz. Spał jak zabity, w ubraniu, przy pustych kieliszkach i butelce, wśród odoru trawionego alkoholu. Przed południem przyszedł Danił i szarpnął go za ramiona.

– Pobudka! Wstajemy!

Oleg burknął coś tylko przez sen i przewrócił się na drugi bok. Ale Danił nie odpuszczał. Tarmosił go i dokuczał mu tak długo, aż ten zwłókł się z łóżka i poszedł pod prysznic.

Kiedy wrócił, w salonie było już posprzątane i przewietrzone, a w powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy.

– No, nareszcie wyglądasz jak człowiek – orzekł Danił.

– Łeb mi pęka...

– Nic dziwnego. I tak masz bardzo mocny! Trzymaj, wypij – rzekł, podsuwając mu kawę. Oleg z grymasem cierpienia wziął kubek i upił łyk.

Danił miał sporo czasu, by podjąć decyzję. Nie miał pewności, czy postępuje słusznie, ale postanowił zaufać swojemu przeczuciu. Coś mu podszeptywało, że Greta wyjechała, bo przestraszyła się swoich uczuć. A jeśli tak, to trzeba jej dać możliwość skonfrontowania się z nimi. Jeśli teraz tego nie zrobi, to już zawsze będzie się zastanawiać, czy dobrze postąpiła, uciekając. I zawsze będzie żałować, że nie spróbowała. A taki żal rodzi frustrację, która potrafi przygnębić człowieka na długo, czasem nawet do końca życia.

Spojrzał na Olega, który wyglądał jak siedem nieszczęść.

– Chcesz wiedzieć, gdzie ona jest?

Oleg drgnął na dźwięk tych słów i wlepił wzrok w Daniła.

– Powiem ci, ale przysięgam na Boga, że jeśli ją skrzywdzisz, to ci wpierdolę.

Oleg aż się zakrztusił, słysząc tę groźbę.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? Jeśli wyraźnie ci powie, żebyś się od niej odczepił, to masz to zrobić. Jasne?

– Jasne... – wymamrotał Oleg po chwili. Był coraz bardziej zniecierpliwiony. – No, gdzie ona jest, do cholery?!

– W Bieszczadach.

– Gdzie? – spytał, jakby nie dosłyszał.

– W Bieszczadach – powtórzył spokojnie Danił. – Takie góry.

– Wiem, co to są Bieszczady. Pytam o miejscowość.

– Nie wiem, nie chciała mi powiedzieć. Chyba przeczuwała, że mogę ją zdradzić. Ale zazwyczaj zatrzymuje się w Ustrzykach Górnych.

Oleg zerwał się z miejsca – czuł, że musi zaraz tam pojechać. Jego ruchy były nieskoordynowane i nie miał jakiegokolwiek planu działania. Nie wiedział nawet, od czego zacząć przygotowania do podróży.

– Siadaj – stanowczo rozkazał Danił. – Pojedziesz najwcześniej jutro rano. Musisz wytrzeźwieć, bo albo siebie zabijesz, albo kogoś. A szkoda by było teraz, kiedy wiesz, gdzie ona jest.

– No właśnie nie wiem – jęknął. – Jak mam ją znaleźć?

– Zacznij od hoteliku Biały. Przeważnie stamtąd wychodzi na Tarnicę albo na Połoninę Caryńską. Ale może też być w Solinie. Albo w Cisnej. A może jeszcze gdzie indziej.

– O cholera. – Oleg poczuł, że przed nim trudne zadanie.

– No, jeśli naprawdę ci na niej zależy, to dasz sobie radę, znajdziesz ją.

\*

Cały czwartek zszedł Olegowi na gorączkowych przygotowaniach do wyjazdu. Fizycznie



nadal czuł się fatalnie po kilku dniach picia, ale mimo to zebrał wszystkie siły, sprężył się i krzątał po domu, gromadząc ubrania i przybory toaletowe.

Przejrzał mapy w smartfonie i spróbował ustalić plan. Na to, że Greta odbierze telefon i mu powie, gdzie jest, nie miał co liczyć. Skoro nie poinformowała o tym Daniła, to jemu też nie uczyni tej łaski. Jadąc z Ordów, najbliżej miał Solinę, więc postanowił rozpocząć poszukiwania właśnie tam. Jeśli to nie przyniosłoby skutku, pojedzie do Cisnej, a jeśli i tam jej nie znajdzie, to uda się do Ustrzyk Górnych. Wprawdzie Danił zasugerował, że Ustrzyki są najbardziej prawdopodobnym miejscem pobytu Greta, to jednak były też najbardziej oddalone na południe. Jeśli jej tam nie znajdzie, zmuszony będzie się cofać, a to strata czasu.

Im bliżej było do wieczora, tym bardziej się niecierpliwił. Myślał o Grecie tak uparcie, że poczuł, jakby wyparował z niego już cały alkohol. Był gotowy do drogi, jednak Danił okazał się bardzo stanowczy. Po dwudziestej pierwszej siłą odesłał Olega do łóżka i kategorycznie nakazał mu odpoczynek przed podróżą.

Oleg niespokojnie przewracał się z boku na bok. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach, nie pozwalając mu zasnąć. Przez cały czas tworzył w myślach scenariusze spotkania z Gretą. Jak się zachowa? Czy zechce z nim porozmawiać? A może wsiądzie w samochód i znów ucieknie? Może da się zaprosić na obiad? Czy pozwoli się przytulić? Czy w ogóle ją znajdzie? I wreszcie: co jej powie, kiedy już ją zobaczy?

Płytkim, niespokojnym snem zasnął dopiero po północy, a już po trzeciej nad ranem zerwał się z łóżka i nie zamierzał zostawać w Ordach ani chwili dłużej. Słyszając hałasy dobiegające z kuchni, zaspany Danił przyszedł sprawdzić, co się dzieje.

- Chcesz kawy? – spytał Oleg, zalewając swój kubek.
- Co ty, zaraz wracam spać. Jak długo zamierzasz tam zostać?
- Tyle, ile będzie trzeba.
- Co to znaczy?
- To znaczy, aż ją znajdę.
- A potem?

No właśnie, co potem? To pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Jeśli chodzi o Olega, to mógłby w tych Bieszczadach siedzieć choćby i rok, byle tylko być z Gretą.

- A potem to się zobaczy.
- A jeśli jej nie znajdziesz? – Danił nie odpuszczał.
- Jeśli jej tam nie znajdę, to wróci tutaj. I ja wtedy wrócę. Będzie musiała ze mną chociaż porozmawiać.

- A jeśli nie zechce?
- Stary – Oleg był już wyraźnie rozdrażniony. – Ja nigdy niczego w życiu nie przegrałem.

Tym razem też dostanę to, na czym mi zależy.

- Podobno zawsze musi być ten pierwszy raz... – krakał Danił.
- Zobaczysz, że wygram.

Odstawił pusty kubek do zlewu i poszedł do salonu po walizkę. Sprawdzał jeszcze w kieszeniach, czy ma telefon i papierosy, po czym ruszył do auta. Danił podążył za nim.

- Zadzwoń czasem – powiedział. – Powodzenia.

Oleg stanął z nim twarzą w twarz i przybrał poważną minę.

– Dzięki za wszystko. – Wyciągnął do niego dłoń. – Nawet nie wiesz, jaki jestem ci wdzięczny. Jestem twoim dłużnikiem.

Podali sobie ręce i pokleпали się po ramionach.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Danił. – Tylko pamiętaj, że jak ją skrzywdzisz, to ci nogi z dupy powyrywam.

„Akurat” – pomyślał Oleg i wskoczył do hummera.

Wyjechał z Zacisza najszybciej jak mógł. Na dworze już świtało i zapowiadał się przyjemny wrześniowy dzień. Ze względu na wczesną porę ruch był niewielki, więc Oleg mknął przed siebie jak szalony. Po drodze zatrzymywał się kilka razy, za Lublinem na tankowanie i kawę, w Janowie Lubelskim na szybkiego hamburgera i za Sanokiem znów na kawę. Przez cały czas nie opuszczała

go myśl o spotkaniu z Gretą i znów, jak w nocy, zaczął się zastanawiać, jak też może wyglądać to ich spotkanie.

Po sześciu godzinach szybkiej i nie zawsze bezpiecznej jazdy dotarł do Soliny. Spróbował po raz kolejny dzwonić się do Grety, ale miała wyłączony telefon. Przejechał powoli ulicą i gorączkowo wypatrywał płomiennorudej dziewczyny, jednak wśród sporej liczby turystów znaleźć kogokolwiek nie było wcale łatwo. Tłum był na tyle gęsty, że Oleg postanowił zmienić taktykę. Łatwiej będzie odnaleźć samochód Grety niż ją samą. Kilkakrotnie przepelzł niemal ulicami Soliny, ale nigdzie nie dostrzegł grafitowego jeepa. Jeśli tutaj się zatrzymała, to prawdopodobnie zaparkowała na parkingu przed kwaterą, więc niekoniecznie musiał go zauważyć. W tym ludzkim tyglu ogarnęła go nagle beznadzieja tak wielka, że poczuł się bezsilny jak mały chłopiec. Dopiero tutaj zdał sobie sprawę, że będzie potrzebował naprawdę wielkiego szczęścia, by ją odnaleźć.

Wyjechał z Soliny z niczym. Przez całą drogę wciąż przyglądał się mijanym samochodom, ale żadnego nie prowadziła Greta. Po trzydziestu kilku kilometrach znalazł się w Cisnej. Tu sprawa wyglądała równie beznadziejnie. Sporo ludzi, dużo aut, pod sklepikami z pamiątkami bieszczadzkie zakapiory, beztriosko grające w szachy. I ani śladu Grety.

Zatrzymał auto i udał się do najbliższego sklepiku. Na ścianach dumnie prezentowały się drewniane figurki bieszczadzkich aniołów, biesów i czadów. Stary sklepikarz, pan Rysio, zarośnięty tak samo jak zakapiory na zewnątrz, utrzymywał w środku dziwny porządek: pod ścianą, na lewo od wejścia, stał worek z kiszoną kapustą i butelka taniego wina. Widać, że oba towary były w ciągłym użyciu, bo część sklepu była trwale przesiąknięta ich wonią. Z kolei na prawo od drzwi cały czas kopciło się kadzidelko – miało chyba zneutralizować te przykre zapachy, by utwierdzić uczestników szkolnych wycieczek, że tu się wcale nie pije. Poza tym pan Rysio miał jeszcze jedno hobby: był poetą i sprzedawał własne tomiki wierszy, oczywiście głównie młodym turystom. Ech, piękne to bieszczadzkie życie.

Oleg wyszedł ze sklepu i pospiesznie rozejrzał się dookoła.

– Szanowny pan może skusi się na partyjkę? – zaproponował siedzący na schodku zakapior.

– Nie mam czasu – odburknął Oleg i zamierzał odejść, ale przystanął na chwilę i wyciągnął z kieszeni banknot. – Szukam rudej dziewczyny w grafitowym jeepie, nie widział pan jej przypadkiem?

Pijaczek pomyślał chwilę, jakby wydobywając jakieś obrazy z zakamarków swojej dziurawej pamięci.

– Terenowych to tędy dużo przejeżdża – podrapał się w głowę – ale żadnej rudej babki to nie widziałem ostatnio.

– Dzięki – bąknął Oleg i rzucił mu na planszę dziesięciozłotówkę.

Niezrażony fiaskiem poszukiwań ruszył w stronę oddalonych o trzydzieści kilometrów Ustrzyk. Jeśli tam jej nie znajdzie, to będzie w kropce. Może Wołosate albo Zatwarnica? Albo jeszcze co innego...

Jechał pięknymi serpentynami wśród cudownych krajobrazów, aż dotarł w końcu na skrzyżowanie asfaltowych dróg w kształcie litery T. Tuż obok stały dwa sklepiki. Wysiadł przed jednym z nich i wszedł do środka.

– Szukam hoteliku Biały – odezwał się do młodej dziewczyny za ladą.

– A to już pan jest na miejscu – odpowiedziała grzecznie. – Jeszcze tylko jakieś czterysta metrów do przodu i po lewej stronie zobaczy pan hotel.

– Dziękuję – odparł najuprzejmiej jak umiał i już wskakiwał do auta, nie mogąc się doczekać, aż dotrze na miejsce.

Zaraz potem zatrzymał się przed długim parterowym budynkiem z zieloną tabliczką na ścianie: „Hotelik Biały”. Budynek był niepozorny, kryty eternitem, z bielonymi ścianami. Przed wejściem znajdowały się drewniany stół i ławy oraz niestrzeżony parking. Oleg szybko przebiegł wzrokiem po zaparkowanych autach i nagle aż drgnęło mu serce. Jednym z nich był grafitowy jeep.

I właśnie wtedy, kiedy spostrzegł wóz Grety, opuściły go wszelka odwaga i jasność

myślenia. Jadąc tutaj, analizował możliwe scenariusze spotkania, ale nie przewidział, że ogarnie go paraliżujący strach przed wyjściem z auta. Zanim otworzył drzwi i wysiadł, zapalił papierosa, czekając, aż serce przestanie tak thuc mu się w piersiach.

Zebrawszy się wreszcie na odwagę, wyszedł na miękkich nogach. Przystanął, poprawił T-shirt, przecesał włosy dłonią i pewnym już krokiem ruszył przed siebie. Wewnątrz budynku panował półmrok. Pokoje były usytuowane w amfiladzie, a coś na kształt recepcji znajdowało się po lewej stronie. Wszedł do pomieszczenia i napotkał wzrok siedzącej tam kobiety. Postanowił zdobyć się na maksymalną uprzejmość, bo jeszcze baba gotowa go stąd przepędzić.

– Dzień dobry. Moje nazwisko Oleg Hawryło – przedstawił się grzecznie. – Jestem znajomym Grety Mareckiej. Zatrzymała się u państwa, prawda?

Kobieta świdrowała Olega wzrokiem. Najwyraźniej długo przyswajała jego słowa lub zastanawiała się nad jego obcym akcentem, bo odpowiedź zabrała jej sporo czasu. Prawdopodobnie przemyślała, kim ten przybysz może być: biznesmenem czy bandytą, i czy aby nie stanowi żadnego zagrożenia.

– Umówiliśmy się tutaj na spotkanie – skłamał Oleg, widząc, że recepcjonistka ociąga się z odpowiedzią i pozostaje nieufna.

– A, tak – przyjęła do wiadomości. – Pani Marecka wzięła noclegi do niedzieli. Ale nie mówiła, że będzie miała gości.

– Pewnie zapomniała – Oleg uśmiechnął się przymilnie. – W którym mieszka pokoju?

– Nie ma jej.

Ta odpowiedź zbiła go z tropu. Jak to: nie ma? Wredne babsko nie chce go do niej wpuścić.

– Nie ma? – powtórzył głupio Oleg.

– No mówię przecież. Nie ma.

– A gdzie jest?

– A bo ja wiem? Pewnie poszła na szlak. Może jest na Szerokim Wierchu?

– W takim razie poczekam. Dziękuję pani.

Wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się wokół. Wszędzie rozciągały się piękne pejzaże. Po lewej stronie biegł szlak na Tarnicę, a po prawej można było dostrzec cyce carycy.

Słońce wciąż jeszcze mocno przygrzewało, mimo że pora już była popołudniowa.

Wyjątkowo suchy rok sprawił, że wystarczyło poczekać zaledwie tydzień lub dwa, aż liście na drzewach zaczęły się pokrywać czerwienią, żółcią i brązem. Tu, w górach, widok taki wprost zapiera dech w piersiach. I do tego ten fantastyczny czas, gdy jest prawie po sezonie turystycznym, największe tłumy już przebrzmiały, a na szlakach spotkać można jedynie grupki spokojnych emerytów lub studentów, którzy ładują akumulatory na najbliższy rok akademicki. Pięknie, po prostu pięknie.

Oleg usadowił się w aucie i niecierpliwie przesiedział pół godziny. Gdyby wiedział, z której strony wracać będzie Greta, bez chwili zastanowienia pognałby jej na spotkanie. Dochodziła szesnasta. W końcu wysiadł i zaczął się przechadzać tam i z powrotem po wąskiej asfaltowej drodze. Słońce wisiało tuż nad połoninami i oświetlało je ciepłym światłem. Po niebie leniwie przesuwały się nieliczne pierzaste chmury, a gwar, jaki wydobywał się z okolicznych traw i krzewów, wręcz oszalał. Wróble sejmikowały, jakby miały zamiar odlecieć na zimę, owady wygrzewały się w łaskawych promieniach słońca i kumulowały ciepło na chłodną noc.

Znudzony Oleg opadł bezradnie na maskę samochodu. Oparłszy się o nią biodrem, żuł zerwane źdźbło bieszczadzkiej trawy i mrużąc oczy, wypatrywał rudej dziewczyny. Sam sobie przy tym dziwił się szalenie, skąd u niego takie pokłady cierpliwości, choć gdyby na siebie spojrzął z boku, to musiałby przyznać, że wcale na cierpliwego nie wyglądał.

Był człowiekiem obytym, bystrym i inteligentnym, erudyta, który niby wiele wiedział i rozumiał, ale stanu, w jakim trwał od kilku miesięcy, nie potrafił sobie rozsądnie wytłumaczyć za żadne skarby. Może łatwiej by mu to wszystko przyszło, gdyby zechciał być ze sobą szczerzy. Uważał jednak, że jedyna miłość, jaka może mu się przytrafić, to miłość fizyczna. Żadnej innej nawet nie zamierzał dopuszczać pod swój próg, bo się jej po prostu obawiał. Bał się, że nagle z samotnego żeglarza, który swobodnie płynie przez życie, będzie musiał stać się odpowiedzialnym

nie tylko za siebie, ale i za tę drugą osobę. Sądził, że miłość z pewnością ograniczy swobodę, do której przywykł przez tyle lat samotności, i przerażała go myśl, że trzeba będzie zacząć się liczyć ze zdaniem i potrzebami swojej drugiej połowy.

Okolo siedemnastej na drodze od strony Tarnicy Oleg dostrzegł zbliżającego się człowieka. Poprzez trawy i drzewa słabo rozróżniał sylwetki, ale już po chwili był pewien, że doczekał się swojej Greta, bo jej ognista głowa lśniła i mieniła się w promieniach wieczornego słońca. Nie czekając, ruszył niemal biegiem spod samochodu. Szybko opuścił parking i skręcił w lewo. Była jakieś sto metrów od niego, a jemu dech zaparło w piersiach z radości i przerażenia. Te dwa uczucia targaly nim teraz wyjątkowo mocno. Mieszały się ze sobą i sam już nie wiedział, czy bardziej cieszy się, że ją odnalazł, czy boi, że za chwilę go od siebie odpędzi. Musiał jednak zaryzykować.

Greta maszerowała równo, z ciekawością rozglądając się dookoła. W pierwszej chwili nie rozpoznała Olega, ale już za moment serce jej przyspieszyło i pomyślała, że zmysły jej szwankują, bo oto widzi przed sobą mężczyznę o silnej sylwetce, z bujnymi rozwianymi przez wiatr włosami, który wydał jej się znajomy. Przystanąła, przyglądając mu się niepewnie, a on przeciwnie – przyspieszył kroku i otworzył ramiona, jakby zamierzał ją w nich zamknąć.

W sportowym stroju wyglądała pociągająco. Miała na sobie džinsy, które fantastycznie podkreślały jej biodra i kształtne uda, a na stopach solidne buty trekkingowe. Kształtne piersi ładnie się uwypuklały pod zwykłym bawełnianym podkoszulkiem. Zapewne ze względu na dość ostry wiatr zacinający na szczytach włożyła także ciemny polar wcinany w tali. Na plecach niosła niewielki plecak z ekwipunkiem. Zresztą Oleg był w takim stanie zauroczenia, że w czymkolwiek by ją zobaczył, pewnie i tak by mu się podobała.

Stanął tuż przed nią i zaniemówił, nie tyle z wrazenia, ile ze strachu. Stali tak naprzeciw siebie i obserwowali się w milczeniu. W tej jednej chwili cała determinacja, z którą dotychczas Greta walczyła przeciw swoim uczuciom, wzięła w łeb. Wszystkie zabiegi, które poczyniła, by odseparować się od Olega, cała zmuśnięta budowana barykada, prysły, a ona stała teraz przed nim zupełnie bezbronna i bez siły do dalszej ucieczki. Zrobiła krok do przodu, prosto w jego rozpostarte ramiona.

– Cześć, Ruda – odezwał się niepewnie. Ścisnął ją czule i miał ochotę ją pocałować, ale się nie odważył.

– Co ty tutaj robisz? – jej pytanie zabrzmiało łagodnie, co dodało mu nieco otuchy.

– Możemy porozmawiać? Dlaczego uciekaś?

– Nie uciekałam – skłamała, odsuwając się od niego. – Lubię Bieszczady końcem lata.

– Nie o tym mówię, wiesz przecież...

Nie odezwała się, tylko ruszyła nieśpiesznie przed siebie.

– Greta... – zebrał niemal. – Mogę na chwilę tu zostać?

– A czy ja ci czego bronie? To nie jest mój teren prywatny, rób, co chcesz – odparła dość cierpko. Doskonale wiedziała, że wcale nie chodzi mu o góry.

– Można tu gdzieś spokojnie usiąść i porozmawiać? Pewnie jesteś zmęczona... A może byś coś zjadła?

– Mam ochotę na obiad – potwierdziła już łagodniej. – Chodź, mają tutaj smażalnię frytek – roześmiała się.

Poprowadziła go na skrzyżowanie, przy którym pytał o hotelik. Po przeciwnej stronie drogi, nieco w głąb łąki, stał drugi działający tu sklep, a przy nim niewielki bar. Wybór dań był nieduży i przeznaczony dla raczej niewybrednych turystów. Oferowano tu wspomniane frytki, smażoną rybkę i piwa do wyboru, a i to nie zawsze, bo klientów o tej porze roku było mniej niż w pełni lata, więc właściciel nie gromadził zbyt wielu zapasów w spiżarni. Teraz jednak jeszcze zarobić można było na studentach i dla nich coś niecoś znajdowało się w lodówkach.

Greta z Olegiem weszli do środka i przyjrzeni się skromnemu menu wypisanemu kredą na małej czarnej tablicy. Zamówili po smażonym pstrągu z frytkami i surówkami, a do tego piwo. Greta wzięła imbirowe, a Oleg, pomny tego okropnego smaku, ciemne, po czym wyszli przed bar i usiedli pod dużym parasolem przy drewnianym stole.

Za plecami mieli potok Wołosaty, którego wody szumiały, przelewając się przez kamieniste

dno. Jego dwa brzegi spięte były niewielkim mostem chybotającym się na wietrze i pod naciskiem ludzkich ciał. To przez ten mostek Greta wielokrotnie przechodziła, rozpoczynając wędrowkę na Połonię Caryńską.

Kelner-sklepikarz przyniósł na tacy pachnący obiad. Tutejszy pstrąg potokowy był świeży i wyśmienicie wysmażony, frytki chrupiące na zewnątrz i miękkie w środku, a surówki z czerwonych buraków oraz białej rzepy wprost doskonałe. Greta pałaszowała z apetytem, lubiła takie proste jedzenie. Oleg także jadł ze smakiem. Zaczął się wreszcie odprężyć i powrócił mu optymizm.

Greta postanowiła poruszyć delikatny temat:

– To powiesz mi w końcu, po co przyjechałeś?

Oleg przełknął frytkę, która zatrzymała mu się w gardle, i dla zyskania na czasie upił łyk piwa.

– Czy między nami coś się zmieniło? – odpowiedział jej pytaniem.

– A nie? – Greta wciąż pamiętała namiętny pocałunek w Zaciszu, po którym tak się wystraszyła, że musiała uciec.

– Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Ja też – odparła. – Ale przyjaciele nie chodzą ze sobą do łóżka.

– Nie poszliśmy do łóżka.

– A czy nie byliśmy na prostej drodze do tego?

Oleg dał się zwieść cudownej fantazji, że tamten pocałunek nie skończył się ucieczką, ale upojnym seksem. Aż go w dołku ścisnęło na samą myśl, że tak mogło być.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć – powiedział. – Myślałem, że tego chcesz. – Miał ochotę dopowiedzieć: tak samo jak ja, ale się powstrzymał z odkrywaniem kart.

Greta milczała, bo i co miała powiedzieć na tak postawione przypuszczenie? Mogła albo kłamać, albo się przyznać, że wtedy pragnęła go tak bardzo, jak chyba nigdy nie pragnęła Grzegorza. I tego odkrycia właśnie przestraszyła się najbardziej. Przestała ufać samej sobie i dlatego postanowiła wyjechać. Musiała przemyśleć wiele spraw, a może nawet całe swoje życie. To bardzo trudne i odpowiedzialne zadanie. Rachunek sumienia zawsze wykonuje się samodzielnie, by pozostać możliwie najbardziej obiektywnym i nie pozwolić nikomu niczego nam podsuwać i sugerować.

Nie odpowiedziała mu, tylko zapytała:

– Co zamierzasz?

Zupełnie nie wiedział, jak powinien się w tej chwili zachować, by zdobyć to, po co przyjechał. Jeśli powie otwarcie, jakie ma względem niej zamiary, najpewniej wszystko straci, a jeśli znów stworzy atmosferę przyjaźni, to nic z tego nie wyjdzie. Tak źle i tak niedobrze. Greta jako przyjaciółka, w jej pojęciu przyjaźni, wcale go nie interesowała. Przyjaciółką była mu Irmina, a Greta mogła być tylko kochanką. Nikim innym. Żadna pośrednia opcja nie wchodziła w grę.

– Mogę pochodzić z tobą po górach? – była to odpowiedź na jej pytanie, choć wcale nie o to mu chodziło.

Greta uniosła brwi w niedowierzaniu.

– Chcesz wchodzić ze mną na szczyty?

„Nawet nie wiesz, jak bardzo” – pomyślał.

– Jeśli tylko mi pozwolisz...

Zastanowiła się przez chwilę. Jego obecność wiązała się dla niej ze sporym ryzykiem, ale sprawiła jej dużą radość. Jej kobieca próżność została mile polectana, bo przecież doskonale zdawała sobie sprawę z prawdziwych przyczyn jego wizyty. Teraz ruch należał do niej. Jeśli wyraźnie powie, że nie chce mieć z nim nic do czynienia, to prawdopodobnie urazi jego dumę tak bardzo, że zacznie jej unikać. A taka ewentualność wcale nie była po jej myśli. Gdyby mogła wybierać, zrobiłaby tak, żeby mieć Olega ciągle blisko przy sobie, bo stał się dla niej ważny, lubiła jego towarzystwo, dobrze się z nim czuła, stanowił dla niej rąbek tego nieuchwytnego idyllicznego świata, którego nigdy mieć nie będzie, choć czasem by chciała. Był łącznikiem pomiędzy jej prozaicznym życiem a tą kolorową i beztróską rzeczywistością, w której żył i za którą

podświadomie tęskniła.

Z drugiej strony, jeżeli teraz da mu jakąkolwiek nadzieję i, nie daj Boże, zrobi jakiś fałszywy krok lub Oleg źle zinterpretuje jej zamiary, to może się z tego zrobić niezły bigos, łącznie z konsekwencjami na całe życie. A Grzegorz? Mimo że ostatnio jej zaufanie do męża nieco zmalało, to wcale nie zamierzała być wobec niego nielojalna. Ale czuła, że te postanowienia są coraz słabsze. I tego właśnie panicznie się bała, i przed tym tak uciekała.

– To jak będzie? – Oleg ponowił pytanie, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

– Masz czas na takie wędrówki? – wyraźnie uciekała od odpowiedzi. – A co z twoim remontem?

– O remont się nie martw. Robi się. Nawrocki to świetny kierownik. Poza tym Danił też sobie niezłe radzi. Nie zginą beze mnie przez kilka dni.

– A nie będziesz się ociągał na szlaku? – Greta najwyraźniej skapitulowała.

– Nie dogonisz mnie, zobaczysz – zażartował.

Oboje byli wytrawnymi wędrowcami. Greta miłość do górskich peregrynacji dzieliła z Michałem i tak jak on najbardziej z polskich gór kochała Bieszczady. Zanim wyszła za męża, przyjeżdżała tu bardzo często. Po ślubie stała się przykładną żoną zapracowanego żołnierza i wypadki w góry zdarzały jej się dużo rzadziej, niżby sobie tego życzyła. Oleg z kolei również w tej dziedzinie był światowcem – chodził po górach na całym świecie. Zazwyczaj były to wędrówki poszukiwawcze w celu przetarcia szlaków dla wydobycia kamieni, ale w rzadkich wolnych chwilach chętnie wyruszał w góry dla samej przyjemności wędrowania. I chętnie wybierał polskie góry. Omijał Tatry, ale nie gardził Sudetami, Pieninami ani Bieszczadami. Ze wszystkich gór jednak najbardziej cenił Bieszczady Wschodnie, położone w całości na Ukrainie, z ich malowniczą dziczą, praktycznie bez szlaków, ale za to z zapierającymi dech w piersiach widokami.

Sprawa zdawała się przesądzona. Wstali od stołu i pomaszzerowali do hotelu. W ofercie noclegowej były jedynie pokoje wieloosobowe, bez wygod, ze wspólną łazienką na korytarzu. Greta zajmowała pokój czteroosobowy. Wykupiła tylko jedno miejsce, mając nadzieję, że jednak przez te kilka dni nie dokooptują jej nikogo obcego. Dwa pozostałe pokoje zajmowali dość hałaśliwi studenci pierwszego roku prawa, którzy przyjechali na ostatnią tych wakacji balangę przed rozpoczęciem studiów. Coraz słabsza wola Grety wciąż jeszcze nakazywała jej trzymać się na dystans od Olega. Nie zamierzała dzielić z nim pokoju, bo mogłaby się złamać i mu ulec, na co zresztą miała ochotę. Wyraźnie więc mu powiedziała, że ma dla siebie wziąć osobny pokój. Nie bardzo mu się ta propozycja spodobała, ale nie protestował. Los jednak był dla niego łaskawy i w hotelu okazało się, że dojechała kolejna grupa studentów i jedyny pokój, w jakim jeszcze zostały miejsca, to pokój Grety. Cóż było robić? Oleg czym prędzej zapłacił za własne i pozostałe dwa miejsca i miał tylko nadzieję, że Grecie nie przyjdzie do głowy stąd wyjechać, dokądś, gdzie mają pokoje jednoosobowe.

Późnym wieczorem Greta pierwszego pod prysznic wydelegowała Olega, a sama w tym czasie otworzyła laptop i sprawdziła skrzynkę. Każdego wieczora spodziewała się otrzymać kolejny anonim. Przychodziły niesystematycznie, ale często. Stały się poniekąd częścią jej życia i o ile z początku budziły w niej strach, to teraz nieco jej zobojętniały. Jeszcze kilkakrotnie powracała do pytania o romans, ale Grzegorz uparcie i konsekwentnie zaprzeczał, jednak robił to w taki sposób, że niełatwo było mu uwierzyć.

Połączenie z internetem było słabe i rwało się co chwilę, ale po kilku próbach Greta znalazła odpowiedni kąt, w którym złapała zasięg. W skrzynce czekał na nią mail: „Nie wychodzi Grześ z chałupy, w której pani daje dupy”. No i jak to rozumieć? Bo przecież nikt wyraźnie tu nie pisze, że Grzegorz ją zdradza, jedynie dosadnie to insynuuje. W tym momencie zaterkotał skype i Greta odebrała połączenie z Grzegorzem. Była wściekła i od razu przeczytała mu treść najświeższego maila. Awantura rozpętała się w najlepsze, Greta krzyczała i wymyślała mężowi, a on podniesionym tonem próbował się, niezbyt zresztą przekonująco, tłumaczyć i zapewniać o swej wierności. Emocje wzbierały po obu stronach łączy i po kilku minutach w złości zakończyli rozmowę. Męczyło ją, że dostaje sprzeczne informacje i nie jest w stanie rozpoznać, gdzie leży prawda. Skąd mogła wiedzieć, czy to nie autor maili ją oszukuje? Sama już się zaczęła w tym

wszystkim gubić i nawet nie pomyślała, że to ona jest na najlepszej drodze do zdrady i dzieli pokój z innym mężczyzną. Grzegorz wiedział, że przyjechała w Bieszczady, ale jakoś nie pochwaliła się, z kim tu jest ani jaki był prawdziwy powód jej wyjazdu z Burzan.

Oleg wrócił spod prysznic pachnący i ociekający wodą. Przeparadował przez korytarz jedynie w białym ręczniku przepasanym na biodrach i zrobił to z premedytacją, by w swej próżności pokazać Grecie, z czego tak łatwo rezygnuje. Podniosła na niego wzrok i ujrzała mokre ciemne włosy opadające falami na czoło i kark, równie ciemne oczy błyszczące jakby z podniecenia, napięte żyły na szyi, szeroką klatkę piersiową z pięknie wyrzeźbionymi mięśniami, tors zwężający się ku biodrom i wyraźnie zarysowane mięśnie brzucha.

Uśmiechnęła się na jego widok. Wyraźnie ją kusił i czekał, aż to ona nie wytrzyma, pęknie i przyjdzie do niego, skomląc. Greta jednak miała w sobie dość sił, by na razie mu się opierać. Zamknęła laptop, wstała z łóżka, wzięła pod pachę kosmetyczkę, bieliznę nocną i ręcznik i wyszła z pokoju wziąć prysznic. Tuż przy drzwiach wyciągnęła rękę, chwyciła rąbek jego ręcznika, po czym szarpnęła nim szybko i czmychnęła, zanim ten opadł, pozostawiając nagiego Olega w zdziwieniu. Miała ogromną ochotę, by obejrzeć się za siebie, ale przestraszyła się tego pragnienia i swoim zwyczajem – uciekła.

Warunki w łazience pozostawiały trochę do życzenia, ale przynajmniej przyjemnie ciepła woda rozluźniała napięte wędrówką mięśnie. Greta, w przeciwieństwie do Olega, wróciła do pokoju kompletnie ubrana. Na mokrych włosach zakręciła turban z ręcznika, poza tym włożyła zwykłą piżamę złożoną z rozpinanej bluzeczki z krótkimi rękawkami i szortów w kratkę. Zastała Olega na swoim łóżku, studiującego jej mapy. Udawał, że się nią zupełnie nie interesuje, choć spoglądał na nią spod oka. Sama myśl, że spędzą noc w jednym pokoju, napawała go radością i rozpraszała jego umysł.

– Co tam wypatrujesz w tych mapach? – spytała.

– Robię plan na jutro – odpowiedział. – Byłaś dziś na Tarnicy, prawda?

– Tak.

– No to może jutro Bukowe Berdo, co ty na to? Popatrzymy stamtąd na Ukrainę.

– Jak chcesz, to możesz sobie tam iść – odparła łagodnie, ale stanowczo. – Ja wolalabym wybrać się na Caryńską.

Najwyraźniej zamierzała pokazać, kto tu rządzi, a on nie chciał się z nią sprzeczać w tak błahych kwestiach. Po prostu się z nim droczyła.

– To może zrobmy tak – zaproponował – jutro Caryńska, a pojutrze Bukowe? Razem, co?

Uśmiechnęła się do niego i kuksańcem przepędziła z własnego łóżka.

– Dobra, może być – zgodziła się.

Noc obojgu przyniosła utrapienie. Żadne nie mogło zasnąć, mając siebie na wyciągnięcie ręki. Ale udręka Olega była znacznie większa, bo potwierdziła się tylko jego porażka w roli lowelasa. Greta zasnęła pierwsza, po długich rozmyślaniach i mrzonkach o czymś, co nie powinno się nigdy wydarzyć, chociaż tak fajnie napędza do życia. Oleg z kolei usnął dopiero nad ranem, cały czas drażniony lekkim zapachem perfum Grety, jej oddechem i samą świadomością, że jest tuż obok.

## Rozdział 20

Pozostawione samo sobie Zacisze wcale się nie rozprzęgło bez gospodarza. Przeciwnie, roboty nadal szły normalnym tempem, oczywiście pod ścisłym nadzorem Nawrockiego.

Zaraz po wyjeździe Olega do Daniła zadzwoniła stęskniona Irmina i dowiedziawszy się, że jej współnik pogonił za Gretą, wykorzystwała okazję i na wieczór była już w Ordach. Przynajmniej jeden romans się rozwijał i sprawiał obu stronom wiele przyjemności. Ani Danił, ani Irmina nie liczyli zysków i strat, po prostu poddali się tej gwałtownej, wzbierającej wciąż fali pożądania, a może nawet i miłości. Najważniejsze dla nich było, że w tej chwili są szczęśliwi, i nie myśleli wcale o przyszłości. Chłonęli teraźniejszość niczym gąbka, co za chwilę może się zużyć i zostać wyrzucona. Oboje hołdowali zasadzie, że co przeżyją, to ich i nikt im tego nie zabierze. Piękna zasada szczęśliwych ludzi. Zachowywali się trochę jak para życiowych rozbitków, która kradnie od losu tyle, ile tylko zdoła udźwignąć. Zresztą poniekąd takimi rozbitkami byli. Ona jeszcze do niedawna miała w pamięci swój ostatni związek, po którym wiele się spodziewała, a który skończył się jak wszystkie, on praktycznie przez całe życie wyrastał w przekonaniu, że jest gorszy. Więc jak się tacy niespełnieni ludzie spotkali, to zwyczajnie znaleźli radość we wspólnym dogadaniu sobie. A dogadzali sobie intensywnie przez całą noc i zapewne wcale nie był to kres ich możliwości. Gdyby wiedzieli, że w tę samą noc Oleg leży na łóżku o metr od łóżka Grety...

W sobotnie przedpołudnie przed dwór zajechała stara niva i wysiadł z niej Michał. Osoba Olega od pewnego czasu nie dawała mu spokoju, coraz częściej miewał przecucia, że ten facet może poważnie zagrozić jego bratanicy. Teraz, kiedy wyjechała, Michał postanowił z tego skorzystać i przyjechał do Olega z sąsiedzką wizytą. Miał zamiar ostatecznie wywiedzieć się jego zamiarów względem Grety. Nie miał wszak pojęcia, że Ukrainiec także wyjechał. No i nawet przez myśl mu nie przeszło, że właśnie dzieli pokój z jego Rudą.

Dzierżąc pod pachą krzyż, prezent dla gospodarza, ksiądz podszedł do drzwi wejściowych i niemal zderzył się z kobietą o włosach w kolorze bakłażanu.

– Dzień dobry – przywitała go grzecznie poprawną, ale silnie akcentowaną polszczyzną.

– A wy się tu plenicie czy co, u licha? – bez zastanowienia parsknął Michał, mając na myśli obecność w Ordach już drugiej osoby obcego pochodzenia. – Ile was?

– Słucham? – Irmina była ogromnie zaskoczona i nie zrozumiała pytania Michała.

Z pomocą przyszedł jej Danił, który w samą porę pojawił się w drzwiach z nieco zbyt rozchełstaną koszulą i zmierzwioną czupryną.

– O! – zawołał ksiądz na jego widok. – Chyba macie przeciągi tam w środku. Musi tu mocno wiać! Gdzie pan tego przybytku?

Danił ustąpił mu przejścia, przygładził włosy, obciągnął koszulę i poza księżowskimi plecami wskazał Irminie ręką, że ma wyjść na zewnątrz. Posłusznie usunęła się rozdrażnionemu Michałowi z pola widzenia.

– Olega nie ma – wymijająco odpowiedział Danił. – Nie będzie go przez cały dzień.

Ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała księdza, ale też i nie wzbudziła w nim żadnych podejrzeń.

– Aha – stęknął Michał już nieco spokojniej. – No, może to i moja wina, bo powinienem się zapowiedzieć. Ale siedzę i czekam, tygodnie mijają, a nowy parafianin wcale nie spieszy się do kościoła. No to przyszedłem go zaprosić. – Nieco minął się z prawdą, bo cel jego wizyty był inny.

– To może ksiądz jutro przyjdzie? Albo za tydzień? – zaproponował Danił, sam nie wiedząc, kiedy Oleg wróci.

– A – Michał zamachał rękami – teraz to niech on do mnie przyjdzie. Przekaż mu, że byłem. – Odwrócił się do wyjścia, ale przypomniał sobie o krzyżu i przystanął. – Weź to dla niego. Na nowy dom. Żeby go nasz Pan chronił.

Podał Daniłowi krucyfiks, po czym pobiegł wzrokiem po ścianach w poszukiwaniu



odpowiedniego miejsca.

– Przekażę mu, jak wróci. – Danił wziął krzyż.

– A więc to są te kurewki... – Michał zauważył płaskorzeźby na gzymsie kominka i podszedł do nich z nieokreśloną miną.

Danił stał z boku nieco speszony, oczekując nagany z ust księdza. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Michał obejrzał uważnie każdą z rzeźb, przejechał palcami po wypukłościach na deskach i co chwilę cmokał jakby z uznaniem.

– No, no – odezwał się wreszcie – osobliwa sztuka. Dziwny jakiś ten obcokrajowiec... Ale twoja robota, Danił, pierwsza klasa. No, nic tu po mnie, będę się zbierał. Powiedz Olegowi, że byłem.

– Powiem na pewno – przytaknął Danił, dumny z pochwały dla swego dzieła.

Reszta soboty przebiegała już bez zakłóceń, kraszona dużą dawką czułości i miłości, zwłaszcza w nocy.

W Bieszczadach sprawy miały się zgoła inaczej. Tu nie było mowy o żadnym wybuchu pożądania.

Po obfitym śniadaniu Oleg z Gretą wyruszyli, zgodnie z wczorajszymi ustaleniami, szlakiem wiodącym na Połoninę Caryńską. Szli bez pośpiechu, własnym tempem, jedno obok drugiego, a na wąskich ścieżkach Oleg przepuszczał Gretę przodem i wtedy delektował się widokiem jej bioder. Czas mijał leniwie, na niezobowiązujących rozmowach przetykanych śmiechem. Pogoda nadal utrzymywała się wyśmienita. Lekki wiatr chłodził spocone ciała, a wrześnie słońce grzało jeszcze dość mocno. Tuż przed wejściem w partię połonin rozsiedli się na obalonym grubym pniu starego drzewa i Greta wyjęła z plecaka termos z kawą. Wokół nie było żywego ducha, a przereźdzone tutaj las dawał przyjemny cień i chłód. Tuż za ich plecami rozciągał się głęboki wąwóz. Popijali kawę z jednego kubka i spoglądali na siebie ukradkiem.

– Zabawne – zauważyła Greta – siedzę sama z obcym facetem w lesie.

– Nie jestem obcy – obruszył się Oleg.

– Nie? A ile ja o tobie wiem?

– Co chcesz wiedzieć? – Nie miał ochoty opowiadać o sobie, ale tworzenie aury tajemniczości też było niekorzystne. Postanowił więc odwrócić kota ogonem. – A ja ile wiem o tobie?

– Co chcesz wiedzieć? – odpowiedziała tak jak on przed chwilą.

– Dlaczego trzymasz mnie na dystans? – zaryzykował sprowadzenie rozmowy na grząski grunt.

– Naprawdę nie wiesz? – zdziwiła się.

– Nie bardzo – odparł szczerze.

– A to takie proste – uśmiechnęła się lekko. – Nie szukam przelotnych romansów. Może gdybym była sama...

„Jesteś sama!” – chciał krzyknąć, ale nie odezwał się.

– Może kiedyś, w innym życiu... – dodała bez nadziei w głosie.

– A jeśli mamy tylko jedno życie? – spytał ze smutkiem. – Dlaczego tak głupio je trwonimy?

– No, ruszajmy, bo nas noc zastanie – ucięła Greta.

Resztę drogi przeszli w milczeniu. Oleg był na skraju załamania. Czuł, że wcale się do niej nie zbliża, wręcz przeciwnie. Greta z kolei miała twardy orzech do zgryzienia. Oleg nieświadomie zasiał w niej ogromne ziarno wątpliwości. Postawił bardzo dobre pytanie: a co, jeśli ona marnuje swoją szansę na szczęście?

„Co mam robić? Boże, co mam robić?!” – krzyczała z przerażeniem jej dusza.

Szlak był pusty i trochę męczący, bo na połoninie nic nie dawało schronienia przed słońcem. Kiedy dotarli na szczyt, oboje czuli się, jakby zdobyli coś jeszcze poza tą górą. Zupełnie jakby przetrwały się w nich przeróżne dręczące ich myśli i teraz właśnie uleciały, zdejmując ciężar z ich serc. Czy coś się wyklarowało po drodze? Czy podjęli jakieś decyzje? Czy do czegoś dojrzeli?

Greta zrzuciła plecak i odwiązała polar z bioder, po czym rozłożyła go na trawie i położyła

się na nim, wystawiając twarz do słońca. Od razu przymknęła powieki, bo promienie silnie ją raziły. Oleg ułożył się obok niej na pochyłym zboczu i przyglądał się jej zachłannie. Sięgnął po długie źdźbło trawy i delikatnie musnął nim jej ramię. Otworzyła jedno oko, ze śmiechem odepchnęła jego dłoń i znów zmrużyła powiekę. Nie zniechęcił się wcale i tym razem pogładził trawką jej policzek. Znów się uśmiechnęła i mruknęła jak kotka. Potem przesunął źdźbło w dół do małego fragmentu skóry na jej brzuchu, gdzie nieco uniósł się jej podkoszulek. Powoli połaskotał ją trawką, a zaraz potem pochylił się i pocałował w to miejsce. W żołądku zakotłowało jej się z wrażenia i serce zaczęło bić dużo szybciej. Zaciśnęła dłonie w pięść, ale poza tym się nie poruszyła. Całował ją nadal, podnosząc ubranie coraz wyżej. Dotykał jej ud ciasno opiętych dzinsami, a przy każdym muśnięciu jej ciałem wstrząsał przyjemny dreszcz. Wsunęła palce w jego włosy i gładziła go po głowie. Oparł ręce na trawie, tuż przy jej ramionach, i zbliżył twarz do jej ust. I znów, jak przed kilku dniami, całował ją namiętnie i pragnął coraz bardziej. Prawą rękę położył na jej udzie i przesunął coraz wyżej, aż dotarł do krocza. Rozsunął jej uda i pieścił ich wewnętrzne strony oraz łono, nie przestając jej całować. Oddawała mu pieszczoty z dużą namiętnością i ochotą.

– Nareszcie – jęknął i tym popsuł tak dobrze zapowiadające się chwile.

Greta ocknęła się pod wpływem jego głosu, otworzyła oczy i z przerażeniem go odepchnęła. Dokładnie powtórzyła się sytuacja sprzed tygodnia. Zatrzymali się znowu w tym samym miejscu.

– Dokąd teraz przede mną uciekniesz? – spytał zrezygnowany.

Wpatrywała się w niego osłupiała.

– Dlaczego mnie tak dręczysz? – głos mu drżał. – Bawisz się mną jak pluszowym misiem.

Sądziś, że ja też jestem wypchany trocinami? Że nic nie czuję?

– Przepraszam – wyszeptała ze łzami w oczach.

– Już mnie raz przepraszałaś, a potem wyjechałaś. Teraz dam ci już spokój. – Podniósł się ciężko z trawy i zamierzał zejść do hotelu po swoje rzeczy, by naprawdę usunąć się z jej życia. Czuł, że więcej upokorzeń już nie zniesie. – Wieczorem mnie tu nie będzie.

Wciąż siedząc na trawie, wyciągnęła do góry rękę i chwyciła dłoń Olega.

– Zostań, proszę – sama nie wiedziała, dlaczego to mówi, ale słowa te płynęły prosto z serca.

Spojrzał w dół, przyklęknął przy niej i objął ją mocno ramionami. „Może jeszcze nie wszystko stracone...” – pomyślał.

Posiedzieli jeszcze trochę w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Greta miała ogromny dylemat moralny – co powinna dalej robić, jak się zachować? Była coraz bliższa popełnienia jakiegoś głupstwa. Czowała, że jeśli dłużej potrwa to narastające w niej pożądanie, to za siebie nie ręczy. Na samą myśl o Olegu przechodziły ją dreszcze podniecenia i jedynie resztkami sił powstrzymywała się od ulegnięcia mu. Rozpaczliwie potrzebowała bliskości drugiego człowieka, tej bliskości dwóch ciał, która porusza wszystkie zmysły, choćby miała to być nawet zdrada wobec tego, któremu ślubowała. Grzegorz akurat w tej chwili zszedł w jej myślach zupełnie na plan dalszy, jakby nie istniał, jakby nie był ważny.

Oleg, schodząc z poloniny, myślał tylko o tym, by wreszcie kochać się z tą dziewczyną, która wciąż stawiała mu opór i broniła swej niepodległości.

Ona próbowała się tak zabarykadować w całych tych miłosnych podchodach, by się nie zakochać. On zakochania nawet nie brał pod uwagę. Zakładał jedynie, że się z nią prześpi, i nie sądził, że emocje, których nieustannie doznawał od miesięcy, mogą mieć coś wspólnego właśnie z zakochaniem. W kwestiach uczuć był naiwny i oszukiwał sam siebie, wciąż wierząc, że to nie miłość, tylko pożądanie.

Po tych kilku miesiącach spędzonych na Polesiu był już niemal pewien, że chce zatrzymać dwór dla siebie i, jeśli nawet nie będzie w nim mieszkał na stałe, planował spędzać tam urlopy. Co do Greta, no cóż, był na tyle krótkowzroczny, że nie zastanawiał się, co będzie, kiedy już ją uwiedzie. W jego życiu istniała tylko jedna cezura, okres przed zdobyciem Greta. Nie pomyślał, że potem musi nastąpić jakiś kolejny etap. Tylko jaki?

Obiad zjedli w tym samym miejscu co wczoraj, z tą różnicą, że zamiast piwa Oleg kupił

butelkę czerwonego wina. Było średniej jakości, ale tylko takie udało mu się dostać.

Wieczór minął im podobnie jak poprzedni. Posiedzieli trochę na ławce przed hotelem, pogadali o wszystkim i o niczym, skrętnie omijając temat uczuć, zaplanowali z mapą następną wspinaczkę, tym razem na Bukowe Berdo. Greta sprawdziła pocztę, ale skrzynka była pusta – tajemniczy „poeta” dziś się nie ujawnił.

Siedzieli na tej ławce aż do nocy. Wieczorny chłód owiewał ich ciała, komary dokuczliwie cięły, a wokół panował gwar nocnych ptaków i owadów. Okolice pachniała trawami. Na niebie lśniły gwiazdy, do których tutaj było bliżej niż gdzie indziej.

– Chodźmy do pokoju – zaproponowała Greta, mimo piękna otaczającej scenerii. – Te komary są niemożliwe.

Weszli do swojego pokoju i nagle zrobiło się między nimi tak niezręcznie, tak milcząco, że zupełnie nie wiedzieli, co ze sobą począć. Oleg próbował ratować sytuację.

– To co? Chyba idę pod prysznic.

Kwadrans w samotności wcale Grecie nie pomógł. Została co prawda sama, ale za to z natłokiem galopujących myśli, od których dostawała gęsiej skórki i wypieków. Co tu dużo mówić: jej ciało domagało się seksu jak brakujących witamin. Jeśli najbardziej erogenną strefą jest umysł, to w przypadku Grety był on zdecydowanie zbyt wielki, bo mieścił w sobie tyle żądz, ile dawno u siebie nie widziała.

Tym razem Oleg wrócił z kąpeli ubrany, w spodniach. Roztaczał wokół siebie zapach dobrych męskich kosmetyków i świecił nagą piersią. Poza tym nie czynił żadnych gestów ani aluzji – po prostu się bał, że znów Gretę wystraszy.

– No – bąknęła nieswojo dziewczyna – to teraz ja idę.

Kiedy wróciła, ubrana w swoją piżamę i w ręczniku na głowie, Oleg czekał na nią z otwartą butelką wina i pożyczonymi od kierowniczkii kieliszkami.

– Napijesz się ze mną? – spytał swobodnie.

– Chętnie – odparła.

Napełnił kieliszki i poczekał, aż Greta pouklada swoje rzeczy na szafce. Zdjęła turban i pochyliwszy się do przodu, potrząsała głową, roztrzepując rude loki. Potem energicznie się wyprostowała. Oleg przez cały czas nie spuszczał z niej oczu. Przystanęła przy nim, a on podał jej kieliszek. Gdy go od niego brała, przytrzymał na moment jej dłoń w swojej.

– Za co wypijemy? – zapytał.

– Toasty są niebezpieczne – odpowiedziała szeptem. – Nie czcimy czegoś, co może się niechcący spełnić.

– Mimo wszystko zaryzykuję – uśmiechnął się do niej. – Za nas!

Podniósł kieliszek, a ona lekko stuknęła w niego swoim.

– Cóż za banał! – zawołała wesoło. – Spodziewałam się po tobie czegoś ciekawszego.

– To może tak: wypijmy za siłę, która sprawiła, że się tu odnaleźliśmy.

– Lepiej – pochwaliła. – A co powiesz na to: za przystojnych panów... może jeszcze przyjdą – roześmiała się.

– W takim razie: za kobiety, które nas nie chciały... niech żalują – zripostował.

Zmierzyli się wzrokiem i szkło brzęknęło po raz kolejny. Upili łyk, potem następny. Przy kolejnych lampkach już nie licytowali się na toasty. Wino płynęło wartko, a zwarzone na połoninie humory teraz zaczęły wracać do równowagi. Rozmawiali swobodnie o tym, co było im wspólne. O Burzanach i Ordach, o poleskich ludziach, o Bugu malowanym na płótnie, o talencie Daniła, wreszcie o kamieniach, z których Oleg żył, a które Greta uwielbiała. Dopiero tego wieczoru Oleg dał się sprowokować do krótkich opowieści ze swego życia. Szczerze mówił Grecie o swoim biznesie i z zadowoleniem dostrzegł, że oddycha z ulgą i wierzy każdemu jego słowu. Przez ostatnie miesiące wokół jego osoby narosło tyle mitów i przypuszczeń, że Greta zupełnie nie wiedziała, którym wierzyć, a które są zaledwie bajką.

– Nie jestem przestępcą – zaśmiał się, słysząc jej wyznanie, że wątpiła trochę w jego uczciwość. – Naprawdę nie jestem.

Ulżyło jej. I rzeczywiście uwierzyła jego słowom, tak bardzo był przekonujący.

– Bardzo się cieszę, że nosisz tę monetę. – Położył palec na złotej pięciorublowce połyskującej na jej szyi i przytrzymał go może nieco zbyt długo.

Złoto przenosiło ciepło jej ciała. Dotknęła monety i napotkała dłoń Olega, która natychmiast zakleszczyła się na jej dłoni. Spojrzał jej głęboko w oczy i rozplótł palce, ale tylko po to, by położyć je zachłannie tuż przy jej piersiach. Znowu nie protestowała, ale Oleg przedwcześnie się nie cieszył. Pamiętał doskonale, że zwiodła go w ten sposób już dwukrotnie. Wsunął rękę pod jej piżamę i powoli ujął w dłoń jej pierś. Greta przymknęła oczy w nerwowym napięciu. Siła się na rozsądne myślenie, ale pod dotykiem ciepłych, czułych rąk Olega nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o rozkoszy, którą te dłonie obiecują.

– Ja chyba oszalałam – szepnęła, mając na myśli to, że pozwala obcemu mężczyźnie na tak wiele.

– Nie... Oszalejesz za chwilę – obiecał jej Oleg i szarpnął poły jej piżamy. – „Nie pragnę nic ponad to, jak zawłaszczyć twoje noce”.

Guziki nie posypały się jedynie dlatego, że dziurki w piżamie były spore i pod wpływem szarpnięcia jakby samoczynnie się porozpinały. Oleg szybko zsunął bluzkę z jej ramion i całując je namiętnie, popchnął ją delikatnie na łóżko. Nie przestawał pieścić jej piersi, czuł, jak twardnieją jej sutki. Wsunął język do jej ust i zmysłowo ssal jej wargi. Greta oddawała pocałunki, a jej dłoń pośliznęła się w kierunku jego ud. Czowała, jak twardnieje mu krocze, a pod wpływem jej dotyku członek stał się jeszcze większy. Rozpięła Olegowi spodnie i próbowała zsunąć je z bioder, ale były ciasne, więc jej pomógł. Potem położył rękę na jej udzie i szybko dotarł aż pod luźną nogawkę krótkich szortów. Zatrzymał się na jej łonie i zanim rozchylił jej uda, zdecydowanym pociągnięciem zdjął z niej spodenki. Leżała pod nim zupełnie naga, cała jego. Była kobietą w jego typie, jakby skrojoną pod jego gust.

Zaparło mu dech w piersiach. Na tę chwilę czekał od miesięcy. Wreszcie leżała przy nim bezbronna i chętna jak nigdy dotąd. Jeśli w takim momencie miałyby znowu się rozmyślić, byłaby po prostu okrutna. Dotknął jej ud i stanowczo je rozchylił, sprawdzając dłonią, czy jest już gotowa. Wiła się pod nim w ekstazie, niecierpliwie na niego czekała. Dotychezas leżał nad nią, ale wspierał się na swych silnych rękach, by nie zrobić jej krzywdy muskularnym ciałem. Teraz opuścił się nieco i ostrożnie w nią wszedł. Jęknęła mimowolnie i nie wiedział, czy to z rozkoszy, czy też sprawił jej ból. Kiedy jednak nie protestowała, wszedł w nią cały i już mocno i szybko zaczął się w niej poruszać. Jego ruchy miały w sobie tę samczą brutalność i zaborczość, która nie czyni krzywdy, a tak bardzo podoba się niektórym kobietom.

Trafił w sedno. Ten mocny, chwilami ostry seks to było to, czego Greta nigdy nie zaznała, a za czym zawsze potajemnie tęskniła. Nie należała do tej licznej grupy kobiet, które cenią sobie czułych,ikliwych kochanków szepczących do ucha miłe słówka. Jako osoba uparta, o silnym charakterze, w wielu kwestiach zawsze stawiała na swoim, jednak w łóżku chciała być poskramiana i ujarzmiana. Chwilami nie miałyby nawet nic przeciwko pewnego rodzaju dominacji nad sobą... Chciała czuć męskie panowanie, chciała być branką, chciała być zniewolona.

I to wszystko fundował jej Oleg. Zniewolił jej ciało i zaczynał władać jej umysłem. W tej chwili nie kierowała się rozsądkiem, po prostu dała się porwać obezwładniającemu szczęściu. Poruszał się w niej coraz szybciej i szybciej, wciąż mocniej. Gretę wstrząsnął potężny orgazm, jemu też już cała krew odpłynęła z mózgu i w ostatniej chwili, resztką świadomości, wyszedł z niej i jego nasienie popłynęło po jej brzuchu. Westchnął przeciągle i złożył na jej wargach długi pocałunek.

– Ruda... – wyszeptał z wdzięcznością, jakby mu uratowała życie. Pogłaskała go po włosach i uśmiechnęła się do niego.

Leżeli przytuleni w milczeniu. Bo i o czym mieliby rozmawiać? Na żale było już za późno, a radości opowiadać nie trzeba, bo była oczywista w tym splocie dwóch zmęczonych ciał. Do świtu nie zmrużyli oka. Tej nocy kochali się jeszcze dwa razy, ale już nieco inaczej. Pierwszego razu oboje byli ciekawi, zachłanni i nie mogąc się go doczekać, kochali się szybko i drapieżnie. Następna miłość była już spokojniejsza, zorientowana na poznanie ciała i potrzeb kochanka, naznaczona celebrowaniem.

Nad ranem usnęli spokojnym snem, wreszcie bez tego dręczącego i narastającego od tygodni pożądaniam.

Kilka kolejnych dni stało pod znakiem upojnych chwil przeplecionych z górskimi wędrówkami. Grzeszny romans mężatki trwał w najlepsze, dawał jej poczucie szczęścia i dowartościowywał, aczkolwiek od czasu do czasu odzywał się jakiś daleki głos sumienia, które kazało jej się zastanowić, czego tak naprawdę w życiu chce oraz czy nie będzie kiedyś żałować. Trochę sobie wyrzucała zdradę, ale jej problemy małżeńskie zaczęły się jeszcze przed wyjazdem Grzegorza, nie mówiąc o tym, że wcale nie była pewna, czy on dochowuje jej wierności. Bała się trochę powrotu do poleskiej rzeczywistości i odwlekała ten moment, jak tylko mogła. Nie wyobrażała sobie w ogóle, jak by miało toczyć się jej życie po wyjeździe z Bieszczadów. Oleg też sobie tego zupełnie nie wyobrażał. Oboje nieco pogubili się w sytuacji i przestali nad nią panować. Greta już sama nie wiedziała, czy ma dwóch mężczyzn, jednego, czy też żadnego, bo przecież Grzegorz był daleko, w dodatku chyba miał romans, a Oleg co prawda znajdował się przy niej, ale czy z nią? Był czuły, troskliwy i kochający, ale jakoś nie deklarował się z uczuciami i trudno było się rozeznąć w jego zamiarach. A on niczego jej nie obiecywał, bo jeszcze sam próbował się oszukiwać, że to tylko fizyczne pożądanie. Sądził, że po powrocie na Polesie uda im się powrócić do swych normalnych zajęć i żyć po dawnemu. Kiedy jednak dłużej się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że może wcale nie o to mu chodzi. Coraz wyraźniej do niego docierało, że tam, na Polesiu, wciąż chciałby być z Gretą. I ta myśl go wystraszyła, bo była dowodem na to, że mu na niej zależy w sposób inny, niż pierwotnie zakładał. Czyżby rzeczywiście plan wymknął mu się spod kontroli i zaczynał żyć własnym życiem? A jeśli tak, to kiedy to się stało i jak mógł tego nie zauważyć? Złościł się na siebie, że będąc dobrym strategiem w interesach, kompletnie nie sprawdził się jako taktik w uczuciach.

Wreszcie oboje, nie mogąc pojąć tej namiętności i zakochania, które im się przytrafiły, wrzucili nieco na luz i dali się ponieść emocjom bez zagłębiania się w ich istotę. Odłożyli na bok rozmyślenia o przyszłości i skupili się tylko na tym, co tu i teraz, mając nadzieję, że reszta jakoś się potoczy. Żadne z nich nie uznawało co prawda takiego podejścia za zbyt mądre, ale na razie lepszego nie znaleźli.

Nocami oddawali się miłości, a za dnia z dużą radością wędrowali po górach. Samochód Grety zostawiali pod hotelem, a po Bieszczadach poruszali się hummerem. Podjeżdżali na parkingi przy szlakach, zostawiali auto i wspinali się na szczyty. Połonina Wetlińska z Chatką Puchatka, Smerek, Wielka Rawka, Krzemieniec, Jezioro Solińskie, Polańczyk, Ustrzyki Dolne – wszystko to, każda serpentyna z zapierającym dech widokiem należały w tych dniach do dwójga włóczęgów, którzy jak znawcy chodzili po górach, ale jak ślepcy błądzili wśród swych uczuć.

Tak upłynął im tydzień.

– Może liczę na cud, ale czy masz ze sobą paszport? – spytał Oleg, kiedy schodzili z Halicza.

Pytanie zdziwiło Gretę. Po chwili ociągania się odpowiedziała:

– Mam. Zawsze mam.

– Fantastycznie – ucieszył się. – W takim razie proponuję ci kilka dni w pięknych plenerach i ekstremalnych warunkach. Co ty na to?

– Na co? – nadal nie rozumiała.

– Zapraszam cię w moje Bieszczady. Zobaczysz dzicz, jakiej dotąd nie widziałaś, i zakochasz się w tym miejscu na zawsze. Ja się zakochałem – podkreślił.

– Czy ja wiem... – Greta wahała się, ale słyszała o zachwycającym uroku Bieszczadów Wschodnich i bardzo chciała je zobaczyć, a teraz nadarzała się okazja, która mogła się już nie powtórzyć. – Może...

– Świetnie, to wyruszamy pojutrze – zdecydował.

– A co robimy jutro? – spytała z ciekawością.

– Kochamy się do południa, a potem żegnamy polskie Bieszczady.

– Wyobrażam sobie, jak będziemy się kochać – roześmiała się – ale jak będziemy żegnać góry?

– Wybierzesz jedno miejsce, w które chcesz pojechać – odparł – i ja wybiorę jedno. I pojedziemy tam. Co wybierasz?

– Wszędzie już byliśmy. – Zamyśliła się. – Wiem, wstąpimy pod kapliczkę szczęśliwych powrotów. A ty co wybierasz?

Oleg niepostrzeżenie wykrzywił twarz w grymasie. Myślał raczej, że zdecyduje się na jakiś kolejny piękny szlak, a tu zaledwie niepozorna kapliczka stojąca w cieniu wysokich drzew. Odkąd pamiętał, zawsze powątpiewał w istnienie Boga. Pewności nie miał, ale jak dotąd nie doświadczył jego istnienia ani nawet go nie przeczuwał. Ludzie nazywali go ateistą, sam uważał się raczej za agnostyka. Zapewne dlatego propozycja Greta była mu obojętna.

– Jak chcesz – powiedział. – A ja wybieram Szmaragdowe Jeziorko. Zanim zniknie...

Jak powiedzieli, tak zrobili. Całą noc i rano ćwiczyli *Kamasutrę*, sięgając pamięcią do płaskorzeźb Daniła i próbując odtworzyć wymyślne pozycje, a przed południem wymeldowali się z hoteliku Białe i dwoma samochodami ruszyli w okolice Terki.

Zatrzymali się na pustej drodze, na skraju wysokiego urwiska. Szosa wiała się tam wraz z płynącą osiemdziesiąt metrów niżej Solinką. Na poboczu stała mała, murowana, bielona, nakryta stromym daszkiem Kibakowa kapliczka. Wewnątrz znajdował się duży krucyfiks, obraz Matki Boskiej Łopieńskiej, świeże kwiaty, świeczki i kartka z wierszem. Greta sięgnęła ręką przez kraty, na których wisiały różańce, i wyjęła jedną ze świec. Ustawiła ją na żelaznym podeście przy oknie kapliczki, zadumała się nad czymś wielce, a Oleg podsunął jej ogień. Podała mu świeczkę i gdy się do niego obróciła, ujrzał w jej twarzy spokój i nadzieję, jakie zwykle daje ludziom oczyszczająca spowiedź. Czy Greta przed momentem, w chwili głębokiej zadumy, spowiadała się? Chyba nie. Raczej składała intencje.

Twarz Olega nie wyrażała emocji. Wyglądał, jakby to miejsce nie wzbudzało w nim żadnych szczególnych uczuć. Ją roztkliwiała i dawało nadzieję, a jego, można było odnieść wrażenie, obchodziło niewiele. Ot, niewielka bryła, która nie jest architektonicznym cudem.

– Nie podoba ci się tutaj? – spytała.

– Nie, dlaczego? Pięknie tu – powiedział bez przekonania.

Grecie przyszło w tej chwili na myśl, że może Oleg jest innowiercą. Nigdy się nad tym nie zastanawiała, ale jako Ukraińiec mógł być na przykład prawosławny. To jednak nie powinno mu przeszkadzać w uszanowaniu kapliczki.

– Jesteś wyznania prawosławnego? – zagadnęła, próbując zrozumieć jego niechęć.

– Nie – odparł krótko.

– Katolik? – dociekała.

– Nie – odpowiedział lekko zniecierpliwiony. – Jedźmy już, przed nami sporo drogi.

– Ateista? – nie dawała za wygraną.

– Chyba raczej agnostyk – zbył ją.

„Jak ja wciąż mało o nim wiem” – pomyślała.

Nie знаła dotąd żadnego ateisty ani nawet agnostyka i trochę zdziwiło ją wyznanie Olega, ale właściwie było jej obojętne, jakiego jest wyznania i w co wierzy. Przecież i tak nigdy w niczym nie powinno jej to przeszkadzać. Bo i w czym?

Wsiedli do aut i pojechali do rezerwatu Sine Wiry. Tam stanęli nad brzegiem jeziora, które powstało trzy dekady temu po ulewnych deszczach, a jego wody błyszczały zielenią. Dziś była to zaledwie niewielka część dawnego akwenu, którego wielkość zależała od poziomu wody w Wetlinie, ale miejsce to wciąż było piękne. Wokół wznosiły się zbocza porośnięte drzewami, świeże górskie powietrze cudownie pachniało, a pod stopami chrzęściły im kamyki obmywane wodami z jeziora.

– Wiesz, dlaczego wybrałem to miejsce?

– Nie mam pojęcia.

– Bo chciałem porównać kolor twoich tęczy z tą wodą. I wiesz co? Nic nie jest w stanie przyćmić szmaragdu twoich oczu. Ta woda przy nich blednie.

Czule dotknął jej włosów i policzków, a potem długo i namiętnie całował.

Po godzinie jazdy wjechali do Ustrzyk Dolnych. Zrobili tam solidne zakupy na najbliższe

dni, które mieli spędzić w dziczy ukraińskich Bieszczadów. Zapakowali bagażnik baniakami z wodą, świecami, grillem turystycznym, kawą, herbatą, konserwami i wstrętnymi zupkami w torebkach. Kupili także trochę piw i wina, czekolad i śliwek węgierek. W sklepie sportowym zaopatrzyli się w porządną namiot, siekierę, grube polarowe koce, śpiwory i materace dmuchane. Z takim ekwipunkiem gotowi byli na przygodę. Granicę przekraczali w Krościenku-Smolnicy i po niecałych siedemdziesięciu kilometrach zatrzymali się w Rozłuczy. Pierwszą noc na Ukrainie spędzili w ekskluzywnym hotelu Sobiń. Wydawać by się mogło, że zakupy na ekstremalne wojaże zupełnie się tu nie przydadzą, ale Oleg chciał pokazać Grecie naprawdę dzikie Bieszczady.

Oleg wynajął im pokój klasy lux. Kolację zjedli w hotelowej restauracji, a potem wyszli na spacer. Hotel był pięknie usytuowany wśród bieszczadzkich wzniesień, jego ogromna bryła wciniała się w ten krajobraz, nie rujnując widoków. W pobliżu, z ziemi wybijało źródło wody mineralnej, a teren wokół budynku pięknie zagospodarowano ozdobną roślinnością i kolibami.

Takiego luksusu na Ukrainie Greta nie spodziewała się zobaczyć. Nastawiała się raczej na koczowanie w namiocie.

– Oleg, tu jest niezmiernie – powiedziała po raz kolejny to samo, nie mogąc się nadziwić.

– Uhm... – mruknął zadowolony. – Wiedziałem, że ci się tu spodoba. – Nachylił się do niej i zachłannie ją pocałował.

Wieczór zakończyli wspólnym prysznicem, lampką wina i długim, namiętym seksem.

Następnego dnia zatrzymali jeszcze pokój i wyruszyli pieszo do głównych źródeł Dniestru. Mieli przed sobą trzykilometrowy spacer do wzgórza Czontyjówka, skąd Dniestr zaczyna swą wędrówkę jako górską rzeką, by po przeszło tysiącu kilometrów ujść do Morza Czarnego.

Zachwyty w oczach Grety wciąż rósł. Całą sobą, wzrokiem, sercem, nozdrzami, chłonęła te piękne pejzaże i wciąż nie mogła się nadziwić, że świat potrafi być tak cudowny.

– Chcę tak spędzać każdy urlop – westchnęła.

– Ze mną? – spytał mile polechtany.

– W górach – wyprowadziła go z błędu i zaczepnie szturchnęła.

Tego samego dnia weszli jeszcze na Rozłucz, skąd spływają źródłowe potoki Dniestru. Schodzili do hotelu złotym tempem, poganiani nieznacznie jedynie przez doskwierający głód. Prawie przez całą drogę byli w ciągłym kontakcie fizycznym – trzymali się za ręce i raz po raz wsuwali dłonie pod koszulki i w kieszenie na pośladkach. Ta przedłużająca się gra sprawiała, że odczuwali nieustanne napięcie seksualne i z coraz większym utęsknieniem czekali na moment, gdy znów znajdą się w pokoju.

Emocje jednak wzięły górę nad rozsądkiem i Oleg, nachyliwszy się do Grety, szepnął jej coś do ucha. W odpowiedzi spojrzała na niego zalotnie, uśmiechnęła się kusząco i pokręciła głową.

– Ruda... Nie daj się prosić... – Wsunął dłonie pod jej bluzkę i dotknął jędrnych piersi.

Nogi się pod nią ugięły, serce przyspieszyło, a w głowie niebezpiecznie szumiąco. Oleg całował jej usta, oczy i szyję, jednocześnie przypierając ją do ogromnego samotnego głazu stojącego przy starych świerkach. Napierał na nią rytmicznie i chwilę później zaczęli się kochać. Podsadził ją na nagrany słońcem głaz i podtrzymał, by się z niego nie zsunęła. Greta oparła dłonie o kamień, a nogami oplotła biodra Olega. Poruszał się w niej tak, jak lubiła najbardziej: drapiecznie i bardzo mocno. Pojękiwała z rozkoszy i przygryzała wargi. Czuli, jak rozpiera ją od wewnątrz, i po ciele przebiegł jej dreszcz. Tylu orgazmów, co przez te kilka dni z Olegiem, nie miała z Grzegorzem chyba przez całe małżeństwo.

– Jesteś fantastyczna... – szepnął szarmancko w podziękowaniu za ten seks. A prawienie komplementów nie przychodziło mu łatwo.

– Ty też niczego sobie... – Pocałowała go.

W Sobiniu spędzili jeszcze jedną noc i kolejnego dnia wyjechali dalej, tym razem już z zamiarem biwakowania pod gołym niebem. Przejechali około czterdziestu kilometrów na południe i dotarli do Przełęczy Użockiej, skąd zielonym szlakiem przemaszerowali na Opołonek i Kińczyk Bukowski. Te szczyty, leżące na granicy polsko-ukraińskiej, od strony polskiej są niedostępne dla turystów, teren ten bowiem objęty został ścisłą ochroną. Po męczącej wędrówce usiedli na szczycie Kińczyka i oparli się o słup graniczny, plecami do siebie. Ona wpatrywała się

z zachwytem w stronę Bieszczadów Wschodnich, chłonąc piękne widoki, jakby oglądała je po raz ostatni, a on patrzył na Bieszczady Zachodnie.

I tak siedziało na granicy tych dwoje, Polka z Ukraińcem, ona po stronie ukraińskiej, on po polskiej, Słowianie o gorących temperamentach i sercach bijących jednym rytmem. Siedzieli na szczycie i granicy zarazem. Dosłownie i w przenośni – dotarli bowiem w swoim życiu na pewien szczyt, z którego powrót mógł być niebezpieczny i karkołomny. Gdyby ktoś mógł ich w tamtej chwili obserwować, zauważyłby na ich twarzach malujące się radość i szczęście oraz trochę zadumy. Nie dostrzegłby z pewnością ani żalu za popełnione czyny, ani wstydu. Siedziało tam po prostu dwoje szczęśliwych ludzi.

Dwie kolejne noce spędzili w namiocie. Nie zadawali sobie trudu, by szukać pola namiotowego lub sąsiedztwa ludzkich osad. Oleg dawał Grecie poczucie bezpieczeństwa i bez żadnych oporów obozowała z nim w tej bieszczadzkiej dziczy. Noce były już bardzo chłodne, więc koce i polary niezwykle się przydały. Poza tym ogrzewały emocje, wino i dużo dobrego seksu.

Greta zaczęła przebąkiwać wreszcie o tym, że czas wracać do domu. Najwspanialsza przygoda jej życia dobiegała końca.

– Pojedźmy jeszcze w jedno miejsce – zaproponował Oleg.

Zaciekawiona czekała w milczeniu na dalszy ciąg propozycji.

– Zapraszam cię do Lwowa.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że to okazja, jakich mało. Być tak blisko, niespełna dwieście kilometrów, i nie skorzystać? Tyle szaleństw popełniła w ciągu ostatnich dwóch tygodni, że jedno więcej nie będzie miało żadnego znaczenia.

– No... – namawiał ją, widząc, że się waha. – Pochodzimy po Starym Mieście, zobaczysz, jak mieszkam, pokażę ci moją pracownię. Jeśli zechcesz, to pójdziemy do opery.

– A wpuszczają tam w polarach? – zażartowała.

– Przedtem obkupimy się w butikach – oświadczył. Myślała, że żartuje, ale on mówił poważnie.

Nie musiał jej długo przekonywać – już pod wieczór byli we Lwowie. Jazda przez miasto tak bardzo Gretę zestresowała, że była bliska płaczu. Oleg jechał przodem i wyznaczał drogę, a ona miała ogromne trudności, żeby za nim nadążyć na zatłoczonych ulicach. Styl jazdy lwowian przerażał ją, nie dostrzegała w nim żadnej logiki poza podejściem: ty uważasz na tych, co przed tobą, a o tyły się nie martwisz, bo na nie uważają ci, co za tobą. Kierowcy nagminnie łamali przepisy, z rzadka używali kierunkowskazów, ale, o dziwo, prawie nie słychać było trąbienia, choć Greta uważała, że zmotoryzowani lwowianie mają pełne prawo, by co chwilę wyrażać niezadowolony za pomocą klaksonu. Ogromna część miasta była wyłożona solidnym przedwojennym brukiem i jazda po nim powodowała huk w środku auta. Przecisnąć się między samochodami było wielką sztuką, bo tu wszyscy jeździli na centymetry. A już parkowanie zaskoczyło Gretę zupełnie, jako że szyny tramwajowe położone były tuż przy brzegu ulicy, normalną praktyką było więc tutaj zostawianie samochodu na środku drogi, dosłownie wzdłuż osi jezdni.

Kiedy wreszcie dotarli na Kopernika i zatrzymali się przed elegancką kamienicą, Greta wysiadła z auta blada na twarzy i z dużą ilością drobnych czerwonych plamek na dekolcie. Nie pamiętała, kiedy dopadł ją równie silny stres.

Oleg aż się przeraził, kiedy na nią spojrział.

– Co ci jest?! Źle się czujesz? – Podtrzymał ją, bo miał wrażenie, że za chwilę padnie zemdlna.

– Już wszystko w porządku. – Odetchnęła z ulgą. – Ale ja już nie wsiądę tu za kierownicę. To czyste szaleństwo. Jeszcze mi życie miłe.

Wybuchnął gromkim śmiechem. Był tak przyzwyczajony do tutejszego stylu jazdy, że zupełnie nie pomyślał, jak Greta sobie z nim poradzi. Śmiał się z niej jeszcze długo, a ona za każdym razem udawała nadąsaną.

Choć nie miał w zwyczaju przyjmować gości w swoim mieszkaniu, to dla Grety zrobił wyjątek. Była specjalnym gościem i w ogóle specjalną osobą w jego życiu, co wciąż go jeszcze



trochę dziwiło, ale powoli się z tym oswajał.

Cały wieczór przeznaczili na, można powiedzieć, renowację swoich ciał. Zjedli solidną kolację i porządnie się wyszorowali po dniach i nocach spędzonych w namiocie bez bieżącej wody. Oleg zatelefonował do Jana, by omówić interesy, ale Greta nie miała głowy do tego, by się przysłuchiwać.

Noc spędzili w pieleszach szerokiego łóża. Wciąż byli sobą nienasytzeni. Zachowywali się jak para nowożeńców, a cały ten urlop przypominał miesiąc miodowy.

Następnego dnia po śniadaniu Oleg zabrał Gretę na zwiedzanie miasta. Ogarnąć Lwów w jeden dzień to oczywiście niemożliwe, skoro ponad połowa zabytków całej Ukrainy mieści się właśnie tutaj. Mimo to udało mu się pokazać arsenał królewski, brygidki, czyli owiane ponurą sławą więzienie, będące katownią NKWD, kolumnę Mickiewicza i usytuowany tuż obok hotel George, w którym tak chętnie zatrzymywał się Jan, ruiny wzniesionego jeszcze przez Kazimierza Wielkiego Wysokiego Zamku, monumentalny pałac Potockich, a na Rynku piękną renesansową czarną kamienicę oraz Mały Wawel, czyli niezwyklej dziedzinec, a także słynny Cmentarz Łyczakowski, gdzie leżą między innymi Gabriela Zapolska i Artur Grottger.

Oleg znał sporo historii i anegdot na temat starego Lwowa, chętnie opowiadał je Grecie, a ona chłonęła wszystko w zachwycie. Pokazywał na przykład, w którym oknie hotelu George mieszkał Jan Kiepusa, kiedy zjeżdżał do Lwowa. Twierdził nawet, że jego współnik także sypiał w tym pokoju. Najbardziej jednak rozbawiła ją dykteryjka o czarnym kolorze kamienicy Lorencowiczowskiej, który podobno nadano jej tuż przed igrzyskami w Moskwie, na skutek pomyłki tłumacza jakiegoś przewodnika turystycznego. Pojawił się błąd w tłumaczeniu, broszury wydrukowano, więc żeby nie wyjść na kłamców, władarze miasta nakazali pomalować kamienicę na taki kolor, jak wspomniano w przewodniku. Greta nie wiedziała, czy tej historii można wierzyć, ale uznała ją za świetną.

Od liczby tych atrakcji dostawała zawrotów głowy. Lwów urzekł ją od pierwszej chwili, pokochała to miejsce, jakby je znała i stąd pochodziła – zapalała miłością irracjonalną i nieco może na wyrost, ale jakże prawdziwą.

Oleg zaprowadził ją również do swojej chluby – pracowni jubilerskiej. Bogactwo zgromadzonych tam kamieni i kruszców oszołomiło Gretę. Kilkakrotnie oglądała wszystkie wystawione na sprzedaż cudetka, a zza lady uśmiechał się do niej dumny ze swojej roboty Jurij. Na półce za jego plecami znajdowała się, ni mniej, ni więcej tylko *Kamasutra* Daniła. Zagadnięty o nią jubiler potwierdził, że cieszy się dużym powodzeniem zarówno wśród turystów, jak i lokalnych nowobogackich. Kupowali prace Daniła za horrendalne ceny.

– Naprawdę sprzedaje się tak drogo? – dziwiła się Greta.

– Marketing, skarbie – wyjaśnił jej Oleg. – Jak coś jest zbyt tanie, to posiadanie tego jest niemodne. Wystarczy podbić cenę, a towar staje się luksusem i koniecznie chcemy go mieć.

– Dziwne... – nie dowierzała.

– No dobrze – zmienił temat. – Przed nami ostatni etap zwiedzania. Zapraszam. – Podał jej ramię i wyszli na ulicę.

Poprowadził ją do butik z autorskimi projektami. Ceny były zawrotne, ale kreacje nadzwyczaj eleganckie.

– Zapraszam cię dziś wieczorem do opery na *Toscę*. Wybierz sobie jakąś suknię.

Greta zamarła z wrażenia. Obfitość wystawionych na sprzedaż kreacji i ich ceny utrudniały dokonanie wyboru. Postawiła sobie za punkt honoru, że sama zapłaci za suknię, choć od razu wiedziała, że zostawi tu prawie całą swoją pensję. Jednak na bycie utrzymanką zdecydowanie nie wyrażała zgody. Uważała, że Oleg już wystarczająco dużo wydał na nią pieniędzy: obiady, kolacje, rachunki za hotel, podróż po Bieszczadach głównie jego autem. W tych kwestiach nie oponowała. I jeśli chciał ją zaprosić do opery, proszę bardzo, ale postanowiła, że założy własne ubranie, a nie sprezentowane. Widząc jej opór, Oleg musiał ustąpić.

Wybrała koktajlową sukienkę z reglanowym rękawem typu motylki sięgającym łokcia i dekoltem karo, z godetami w dole. Z przodu, na staniku i pod biustem wkomponowano delikatny haft z koralikami, a pod stanikiem naszyto satynową taśmę i kokardkę. Godety sięgały jej do

połowy łydki. Suknia była w kolorze miętowym, a tasiemka i haft z koralikami – złote. Do tego Greta dobrała klasyczne rude szpilki na cieniutkim wysokim obcasie. Kiedy wyszła z przymierzalni, Oleg dumnie wypiął pierś, jakby chciał obwieścić całemu światu: patrzcie, oto moja kobieta! Choćby dla tej jego miny warto było zostawić tu całą pensję.

Wrócili do mieszkania i w czasie, gdy Greta okupowała łazienkę, robiąc się na bóstwo, on przygotowywał lekką przekąskę. Po operze zamierzał zaprosić ją do restauracji.

Do opery lwowskiej nie mieli daleko, przeszli się więc pieszo. Tworzyli piękną parę. Greta założyła swój nowy strój i luźno spięła włosy. Jediną jej biżuterią była złota moneta, tradycyjnie postawiła też na bardzo delikatny makijaż. Tylko usta pociągnęła nieco intensywniejszym niż zwykle kolorem błyszczaka. Oleg dobrał letni garnitur do jej sukni i oto dumnie paradowali Prospektem Swobody, kierując się pod Teatr Opery i Baletu.

Greta nie była fanką opery, ale już samo miejsce, jego bogactwo i przepych, zrobiło na niej ogromne wrażenie i choćby dla tych wnętrz warto było tu przyjść. W antrakcie Oleg oprowadził ją po korytarzach, pokazując złote ozdoby i popiersie Salomei Kruszelnickiej.

Kiedy wyszli, było po dwudziestej pierwszej. Wieczór okazał się przyjemny, ulice oddawały ciepło nagromadzone za dnia. Latarnie gdzieś zaczynały już rozbłyskiwać, ale dzień nie zamierzał jeszcze ustępować nocy. W porównaniu do czasu polskiego słońce wschodziło tu później, za to dłużej wisiało nad horyzontem, dlatego lwowskie wieczory po ciepłych wrześnieowych dniach nastrojały romantycznie i sprzyjały spacerom.

Prospekt Swobody tętnił życiem. Turyści i miejscowa młodzież przechadzali się tam i z powrotem, emeryci przesiadywali na ławeczkach przy partii szachów, a uliczni artyści wciąż zabawiali ten gęsty tłum. Pobliskie restauracje i ogródki piwne pękały w szwach, a hałasująca ciżba nie zamierzała iść spać. Lwów był jednym wielkim tygłem, w którym obok siebie żyli Ukraińcy, Polacy, Rosjanie, Białorusini, Ormianie i w niewielkim już stopniu Żydzi. Miasto żyło!

W miejscu, gdzie Prospekt Swobody zamieniał się w wielki plac przed gmachem opery lwowskiej, grupa grajków dawała uliczny koncert. Słychać było skrzypce, akordeon, cymbały, flet poprzeczny, wiolonczelę i puzon. Gdy Oleg i Greta wyszli z opery, ich uszu dobiegły ostatnie nuty walca *Na wzgórzach Mandżurii*. Przechodzący obok ludzie nieśmiało wrzucali od czasu do czasu do futerału skrzypcowego grosze, kopiejki, centy – co kto miał w kieszeniach. Orkiestra szykowała się już do kolejnego występu. Spokojnie popłynęły pierwsze akordy jednego z najpiękniejszych walców świata. Raz dwa trzy, raz dwa trzy, raz dwa trzy... Smyki przesuwwały się po skrzypcach i wiolonczeli, akordeonowy miech rozciągał się rytmicznie wraz z puzonem, a cymbały pięknie akcentowały takt, raz dwa trzy, raz dwa trzy...

Słynny Drugi walc Dymitra Szostakowicza brzmiał całą swą pełnią i cudownością. Greta przystanęła zaszuchana. Oleg patrzył na nią z czułością i wzięwszy ją za rękę, skłonił się i pocałował czubki jej palców.

– Pani pozwoli... – Spojrzał jej w oczy i delikatnie poprowadził bliżej orkiestry.

Była tak zaskoczona jego propozycją, że nie wiedziała, co odpowiedzieć, tym bardziej że nie była najlepszą tancerką. Ale on już wziął jej prawą dłoń w swą lewą i uniósłszy je do góry, ustawił stopy do pierwszego kroku. Widząc przerażenie w jej oczach, szepnął jej do ucha:

– Nic się nie bój, poprowadzę cię. Wsłuchaj się w muzykę.

Rozpoczął od lekkiego ugięcia kolan, jakby szykował się do skoku, i ruszył pewnym krokiem do przodu. Greta o ułamek sekundy się spóźniła i musiał na nią naprzeć, by ruszyła do tyłu. Oleg tańczył fantastycznie i przy tym świetnie trzymał Gretę, która, niepewna swych kroków, co chwilę myliłaby rytm, ale do tego nie dopuścił. Po chwili wirowali pod gmachem opery w takt walca, zdawało się, że płyną nad placem i opadają nań, by znów odpłynąć. Suknia z lekkiej żorżety świetnie poddawała się ruchom i sprawiała wrażenie, jakby ją uszyto do tego właśnie walca. Greta instynktownie odchyliła głowę i plecy do tyłu, przymknęła oczy, a na jej twarzy odmalował się wyraz szczęścia i niepohamowanej radości. Walec wciąż rozbrzmiewał, przyspieszał i zwalniał, instrumenty grały to wszystkie razem, to znów same skrzypce szarpane palcami muzyka figlarnie wygrywały zaczepne nuty, by za chwilę oddać prym puzonowi, a ten znów dzielił się tym walcem ze wszystkimi instrumentami.

Tańczyli na tle zachodzącego słońca. Ludzie rozstąpili się, ustępując im miejsca, a oni płynęli i płynęli. W ostatnich taktach walca Oleg objął Gretę mocno w pasie i podsunął rękę pod jej kolana, porwał ją jak najlżejsze piórko i wirował z nią owiniętą wokół swojej szyi, a godety jej sukni powiewały zmysłowo. Na koniec delikatnie postawił ją na ziemi i wykonali ostatnie kroki walca z ugiętych kolan, po czym pochwycił ją w ramiona i całował długo i namiętnie wśród gromkich braw gapiów.

– Dziękuję. – Wpatrywał się w nią z uwielbieniem.

– Jesteś cudowny – odpowiedziała. – Nie wiedziałam, że tak dobrze tańczysz. To dziś takie niemodne.

– Ja cały jestem niemodny – zauważył ze śmiechem.

– I taki mi się podobasz.

– Kolacja? – spytał.

– Kolacja!

## Rozdział 21

Dni rozpoczęte ucieczką, a zakończone tak cudownie walcem na lwowskim placu były najpiękniejszymi w życiu Grety. Wszystko, co przeżyła w pierwszej połowie września, zdawało się pasmem nieustającego szczęścia, którego nie zakłócało nic ani nikt.

Powrót do rzeczywistości okazał się trudny i dość bolesny. Nadal jechali na dwa samochody, więc osobno byli od samego Lwowa i choć widzieli się nawzajem w lusterkach, co chwilę dzwonili do siebie z jakąś uwagą, żartem czy zwyczajną zaczepką – był to rodzaj dialogu, na jaki pozwalały okoliczności. Zatrzymywali się także po drodze, by coś zjeść i wypić kawę, ale prawdziwym powodem była raczej chęć ponownego dotknięcia, przytulenia i pocałunku. Wciąż byli siebie głodni i nienasycony, a widmo powrotu na Polesie martwiło ich, bo był to powrót dwojga zupełnie już innych ludzi. Jednak o tym na razie milczeli, jakby w obawie, by nie popsuć tych ostatnich chwil razem, kiedy to nie muszą się przed nikim ukrywać ani niczego udawać. Po przekroczeniu granicy pożegnali się czule, podziękowali sobie za wspólnie przeżyte chwile i rozjechali się. Oleg wrócił do Ordów, pilnować swoich robotników, a Greta uciekła przed świdrującym wzrokiem Michała i pojechała wprost do Warszawy. Tam zamierzała wziąć się za bary ze swym losem i zacząć od szukania pracy.

Ludzie donieśli Michałowi o powrocie pana na Zaciszu. Ksiądz odczekał więc cierpliwie dzień i drugi w nadziei, że Oleg zaszczydzi go kurtuazyjną wizytą w Burzanach z choćby najdrobniejszym słowem podziękowania za darowany krucyfiks. Ten jednak ani się nie pojawił, ani w ogóle nigdy nie powziął takiego zamiaru.

Trzeciego dnia wybrał się więc Michał do Ordów i zastał Olega w parku, gdy obchodził swe włości, planując dokończyć wreszcie prace nad ogrodzeniem.

– Szczęść Boże! – zawołał Michał na przywitanie.

Oleg odwrócił się do gościa.

– A ten tu czego, psia mać? – mruknął do siebie z niezadowoleniem. Głośno zaś odpowiedział: – Dzień dobry.

– Widzę, że roboty pięknie idą naprzód – zagaił Michał. – Byłem z wizytą kilka dni temu, ale nie zastałem pana.

– Rzeczywiście. Byłem w Bieszczadach – celowo przyznał się do tego, by sprawdzić reakcję księdza.

Michał badawczo przyjrzał się Olegowi, jakby chciał pojąć jego zamiary. Nie ufał mu i nie przepadał za nim. Teraz, w jednej chwili zrozumiał, że radość z wyjazdu Grety była być może przedwczesna. Cieszył się, że opuściła Burzany, bo zauważył, że zbyt mocno interesuje się Olegiem. Przyszło mu teraz do głowy, że może cały ten czas spędzili razem, i aż przeszły go ciarki. Świdrował Olega wzrokiem i widział jego zadowolenie. Zupełnie jakby obaj prowadzili jakąś grę o wysoką stawkę i właśnie szala przechylać się zaczęła na stronę Olega. Mimo to Michał postanowił za wszelką cenę nie dać się sprowokować. Spokój ponad wszystko. Stało się dla niego jasne, że ta męska antypatia jest obustronna, z tą jednak różnicą, że Oleg wyglądał na takiego, który gotów jest iść na wojnę, a Michał, mimo wszystko, próbował jednak metod pokojowych.

– Jak się panu podoba krucyfiks? – taktownie zmienił temat. – Będzie się ładnie prezentował na ścianie?

– Dziękuję księdzu za fatygę – odparł oschle Oleg – ale nie trzeba było. Nie zamierzam go nigdzie eksponować. Właściwie to proszę ze mną do domu, zwrócę go księdzu.

– Nie rozumiem – odrzekł zdziwiony Michał. – Nie przyjmie pan krzyża?

– Nie zbieram dewocjonaliów.

– Wielkie nieba! – Michał był bardzo zaniepokojony. – Jak to tak, kompletnie sam, bez Boga? To tak można?

– Ano, można – Oleg trochę złagodniał, słysząc zatroskanie w głosie księdza. – Ująłbym to

tak: nie wchodzimy sobie w paradę. On robi swoje, a ja swoje.

– Grzeszy pan okrutnie! – Michał się zatrwożył i już wiedział, że na tym gruncie dużo jest pracy do wykonania, ale przy jednym spotkaniu się tego nie załatwi. Potrzeba było wiele czasu i cierpliwości do tego upartusa.

– Grzeszę, mówi ksiądz? A niby dlaczego, skoro nikomu krzywdy nie wyrządziłem?

– Ale o duszę własną pan nie dba, a to krzywda wobec siebie.

– Proszę mi wybaczyć – Oleg tracił już cierpliwość – ale w kwestiach wiary i duszy raczej się nie dogadamy.

Rozmowa była skończona. Michał wiedział, że dziś już nic tu po nim i że jedynie cierpliwością i mozolną pracą może kiedyś uda się tego ateistę przekonać do Boga. Ale na to przyjdzie jeszcze czas, dziś nie pora ku temu. Ścisnął w dłoni krucyfiks i z poczuciem przegranej walki zamierzał wrócić do siebie, ale po chwili przystanął i zapytał ściszym głosem:

– Czy... czy widział się pan ostatnio z Gretą?

– Owszem. – Oleg dumnie wypiął pierś. – Spotkał się w Ustrzykach – mówił tonem wskazującym na to, że za jego słowami kryje się coś szczególnego.

– Słuchaj... Zostaw Gretę w spokoju, nie mieszaj jej w głowie... – Michał mówił cicho, głosem, w którym była prośba, ale i bezradność.

– Pozwoli ksiądz, że Greta sama o tym zdecyduje.

– Ona ma męża, poukładane życie – ksiądz był spokojny jak nigdy, choć była to raczej poza niż faktyczny stan ducha. – Nie psuj tego.

Te słowa nieprzyjemnie ukłuły Olega. Zupełnie nie przejmował się mężem Grety, ale uświadomił sobie, że ona kogoś ma, kogoś do kochania, do opieki i w ogóle na dobre i złe. A on nikogo takiego nie miał i to właśnie było dość bolesne, a zarazem zupełnie nowe w jego dotychczasowej filozofii życia, która skupiała się dotąd jedynie na przyjemnościach. Oto nagle zaczynało do niego docierać, że całkiem chętnie kimś by się zaopiekował, podzielił swoją radością, może pokochał... I chyba nawet już wiedział kogo...

– Czy ksiądz jeszcze czegoś ode mnie potrzebuje? – starał się być uprzejmy, ale postanowił dać do zrozumienia, że wizyta nieco się przeciągnęła.

– Nie, nic tu po mnie. Z Bogiem.

Michał wyglądał na złamanego. Zawsze rozkrzyczany i stawiający na swoim, tym razem poniósł porażkę. Tym dotkliwszą, że dotyczyła najdroższej mu osoby, którą chciał za wszelką cenę chronić, ale brakło mu oręża. Odwrócił się, pokonany, z krzyżem w dłoni.

Olegowi na ten widok zrobiło się przykro. Co prawda nie darzył księdza nadmierną sympatią, ale też i nie miał nic przeciwko niemu. Może mieli mały konflikt interesów, jasne było, że w sprawie Grety raczej się nie dogadają, ale poza tym Michał był mu zupełnie obojętny.

– Proszę księdza... – odezwał się na koniec – ja nie chcę niczego złego...

Michał przystanął, odwrócił się i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Może i mówisz prawdę, ale czy to, co jest dobre dla ciebie, będzie dobre i dla Grety?

Zostaw ją...

Zacisnął pięść na krzyżu i miał ochotę krzyknąć albo rzucić się na niego z tą pięścią.

Wiedział już jednak, że to może odnieść skutek odwrotny do zamierzonego, bo butny Oleg, jeśli tylko zechce zrobić mu na złość i pokazać, czyje jest na wierzchu, mógłby dla własnych celów zagrać na uczuciach Grety. Tu należy być bardzo ostrożnym.

– Ale o czym my właściwie mówimy? – Oleg był na granicy wytrzymałości. – Grety nawet tutaj nie ma, a jak przyjedzie, zrobi, co zechce. Ja jej do niczego nie zmuszam!

Ksiądz westchnął tylko i poszedł ku drzwiom.

– Z Bogiem – powtórzył po cichu.

– Ja naprawdę nie mam złych zamiarów...

Michał był już przy niwie i być może nawet go nie słyszał. Oleg poczuł się tu nagle niechciany i miał wrażenie, że ksiądz go nienawidzi, co uważał za krzywdzące, bo przecież nie przybył tu w złych zamiarach. Owszem, jeszcze w kwietniu jedynym jego celem było uwiedzenie Grety, może i było to niechlubne, ale dziś coraz bardziej dojrzywał do decyzji, że zamieszka tu,

wrośnie w ten krajobraz, i co najważniejsze, że w tym jego nowym życiu chyba znajdzie się miejsce także dla Greta.

Zupełnie nie mógł przestać o niej myśleć. Często łapał się na tym, że wspomina zapach jej ciała, jej kształty, odtwarzał w pamięci sceny z łóżka, spod prysznic, z nagiej skały... Ta dziewczyna niebezpiecznie długo zaprzętała mu myśli. A odkąd Michał niechętnie uświadomił mu, że ktoś ją kocha i dba o nią, to nagle zapragnął, by tym kimś był właśnie on. Pragnienie to było bardzo niepokojące, bo burzyło dotychczasowy ład w jego życiu.

Greta także była coraz bardziej niespokojna. Wciąż myślała o Olegu, żyła wspomnieniem romansu, który sama już nie wiedziała, skończył się czy też trwa, ale jej główny problem polegał na tym, że sama nie była pewna, czego chce. Z jednej strony nie narzekała na swoje życie małżeńskie. Z drugiej jednak, kiedy doświadczyła tylu cudownych doznań w ramionach Olega, zaczynała się zastanawiać nad zasadnością trwania u boku Grzegorza. Tym bardziej że coraz mocniej traciła do niego zaufanie, bo anonimy wciąż przychodziły, a ona narażała się na śmieszność, dopytując męża o to, czy ją zdradza. Zresztą pytania te już dawno niczego nowego nie wносиły w ich życie, bo on stale zaprzeczał, a ona i tak miała wątpliwości, czy mówi prawdę, narastał więc między nimi mur nieporozumienia. Ich rozmowy coraz częściej kończyły się kłótnią, co nie wróżyło niczego dobrego.

Kiedy tylko zaczynała myśleć, że Grzegorz ma romans, natychmiast łapała się na tym, że sama lepsza wcale nie była. Ba, może nawet gorsza, bo co do tego, czy mąż ją zdradza, nie miała pewności, a że sama wdała się w romans, to już było niezaprzeczone. Pod koniec września postawiła sobie proste pytanie: czego ja właściwie chcę?

Rozpatrywała wszystkie za i przeciw, ale w żaden sposób nie mogła znaleźć odpowiedzi. Z jednej strony chciała spokoju, jaki do niedawna gwarantował jej mąż, a z drugiej pragnęła być uwielbiana w sposób, jaki pokazał jej Oleg. Niestety, żaden z nich w pełni nie zaspokajał jej potrzeb – jeden dawał to, czego nie zapewniał drugi. Dotychczasowe życie z Grzegorzem jej wystarczało, ale Oleg rozpałił w niej namiętność i uczucia, jakich wcześniej nie doświadczyła, więc zapragnęła tego nowego życia.

Chyba jednak źle zabrała się do całej sprawy. Powinna postawić sobie zupełnie inne pytanie: którego kocha? A gdy wreszcie nad tym pomyślała, przeraziła się, że coraz więcej ciepłych uczuć ma dla Olega niż dla męża. Przestraszyła się, bo to oznaczać mogło, że życie z Grzegorzem nie będzie już jej wystarczało, i obawiała się tęsknoty za kochankiem. A czy miała możliwość życia z Olegiem, tego teraz zupełnie nie wiedziała, nie była nawet pewna, że on by tego chciał. Ostatecznie nie doszła do niczego konkretnego i nadal miała mętlik w głowie i sercu.

Resztę września i tydzień października spędziła w Warszawie, próbując poukładać swoje życie na nowo. Szukała pracy, choć z mizernym skutkiem, wieczorami rozmawiała z Grzegorzem, ale przeważnie kończyło się to kłótnią, i od czasu do czasu spotykała się z Olegiem. Przyjeżdżał do niej, był jak zwykle czuły i kochający, ale pozostawiał ją w ciągłym niepokoju, bo z niczym się nie deklarował. A ona tak bardzo chciała usłyszeć, że w jego życiu jest dla niej miejsce. Czuła, że jest dla niego ważna, ale nie usłyszała jak dotąd „kocham cię”. Pieścił ją, tulił, całował i obsypywał komplementami, ale nigdy niczego nie obiecał. Niby dawał jakąś nadzieję, ale nie wprost, zawsze musiała się domyślać. A jeśli jej domysły były błędne? Bała się, że opacznie interpretuje jego zachowanie, i ten strach burzył jej, i tak mocno ostatnio zachwianą, równowagę.

Oleg niczego nie deklarował, bo także się obawiał. Jeszcze trochę walczył ze swoimi starokawalerskimi przyzwyczajeniami. Od dawna czuł co prawda, że Greta nie jest zwyczajną kobietą, jakie dotąd przewinęły się przez jego życie, ale jeszcze się do tego przed sobą samym nie przyznał. Wciąż udawał, że wytrawny łowca, za którego się uważał, nadal poluje i doznaje uciech z tym związanych, podczas gdy dawno już sam był upolowany. Ale Greta nie miała pojęcia, że takich cudów z nim dokonała. No i tak sobie żyli, osobno, a jednak przecież razem, każde z nich zagubione w gąszczu własnych rozmyślań i uczuć, nie umiając wyczuć i rozgryźć tego drugiego z prostej przyczyny: bo nie zdobyli się na chwilę szczerzej rozmowy, która by wszystko wyjaśniła.

W przerwach pomiędzy spotkaniami z Olegiem Greta składała CV i listy motywacyjne gdzie popadnie, prawie na oślep. Śledziła ogłoszenia w gazetach i internecie oraz zasięgała języka

wśród bliższych i dalszych znajomych. Skutki były takie, że od czasu do czasu zapraszano ją na rozmowę kwalifikacyjną, która jednak najczęściej kończyła się uprzejmym „dziękujemy, zadzwonimy do pani” i późniejszym brakiem kontaktu.

W październiku zadzwonił do niej Oleg i podał jej adres, pod który miała się zgłosić, powołując się na niego. Była to jawna protekcja, którą Greta wcale się nie brzydziła. Cóż, takie czasy. Propozycja była kusząca i dawała perspektywę chwilowego choćby spokoju i stabilizacji.

Pracy przy sobie, we Lwowie, Oleg dla niej nie widział, ale pewne nadzieje wiązał z Jankiem i jego rozległymi znajomościami wśród polskich prawników i biznesmenów. I faktycznie, pomysł okazał się dobry. Jan powęszył trochę w Warszawie i ustalił, że pewne biuro detektywistyczne potrzebować będzie osoby do prowadzenia kancelarii, bo jedna z pracowniczek jest w ciąży i wybiera się na zwolnienie lekarskie. Oczywiście byłaby to jedynie praca tymczasowa, ale przynajmniej dająca czas na szukanie czegoś bardziej odpowiedniego.

Greta zdecydowała się przyjąć pomoc Olega i poszła pod wskazany adres po wcześniejszym umówieniu się. Czowała, że rozmowa jest tylko formalnością, a miejsce po prostu na nią czeka. Przedstawiono jej zakres obowiązków, wynagrodzenie i zapoznano z warunkami pracy. Na razie była ze wszystkiego zadowolona. Z zadaniami sobie poradzi – przecież odbierać telefony i parzyć kawę potrafi. Zarobki zaproponowano jej całkiem rozsądne, jedynie dwieście złotych niższe niż w jej banku, a obawiała się, że trudno będzie jej znaleźć coś lepiej płatnego. Etat miała od grudnia, ale pod koniec listopada zaczęła popołudniami przychodzić do biura, by odchodząca na zwolnienie pani Monika przekazała jej możliwie najwięcej niezbędnych informacji i wdrożyła do nowej pracy.

Wyglądało na to, że najgorsze ma już za sobą. Praca była dość przyjemna, choć może nie do końca zaspokajająca jej ambicje. Ale najważniejsze, że gwarantowała zarobki.

Romans z Olegiem stracił nieco na intensywności, bo Greta rozpoczęła już pracę i nie była w pełni dyspozycyjna, a i on wyjechał na dłużej do Lwowa. Poza tym im bliżej było do powrotu Grzegorza, tym bardziej Greta się denerwowała i nawet rozważała ostateczne zerwanie z Olegiem, choć wcale tego nie chciała.

Jesień już dawno przeszła w zimę i w Warszawie, teraz szarej i brudnej, na dobre zagościły śnieg i przesywający chłód. Zbliżały się święta i dzień powrotu Grzegorza. Dwudziestego trzeciego grudnia Greta stała w hali przylotów razem z rodzinami innych żołnierzy i obserwowała na ich twarzach zniecierpliwienie i radość, że już niebawem będą mogli uściskać swoich ojców, mężów, braci, narzeczonych. Udzielił się jej ten nastrój i czuła, jak serce coraz mocniej tłucze się w piersi. Kiedy samolot wreszcie wylądował, na lotnisku zrobiło się tłoczno. Ludzie zaczęli się przepychać, by jak najszybciej ujrzeć swoich bohaterów. Greta popłynęła wraz z tłumem. Po kilkunastu minutach do środka weszli pierwsi żołnierze. Rozpoczął się ruch innego rodzaju – ludzie biegli przez halę i na przemian śmiali się i płakali ze szczęścia. Gdzieś w środku żołnierskiej cizby szedł Grzegorz. Po chwili dostrzegł Gretę i przyspieszył kroku. Spotkali się w połowie drogi i uściskali serdecznie. Grzegorz przyłgął wargami do jej policzka, a potem do ust. Pocałowali się, a z Greta zaczął ulatywać towarzyszący jej od pewnego czasu strach.

– Nareszcie w domu – szepnęła Grzegorz.

Załadowali bagaże do jeepa i ruszyli do siebie. Po drodze próbowali rozmawiać, ale po tych wielu kłótniach i zarzutach było to niezwykle trudne. Obserwowali się nawzajem, chcąc wyczuć swe zamiary.

W domu Grzegorz natychmiast zażyczył sobie jajecznicę na bekonie. Marzył o niej od dawna, ale kiedy Greta weszła do pokoju, by zawołać go na obiad, on spał już w ubraniu wyciągnięty na kanapie. Nie miała serca go budzić. Okryła go kocem i przyglądała mu się przez chwilę. Miała dla niego tyle ciepłych uczuć. Ale czy była wśród nich miłość, czy już tylko przywiązanie?

Wigilię spędzili tylko we dwoje, w Warszawie, mimo że mieli kilka zaproszeń. Trudno było to nazwać świętowaniem, ponieważ Grzegorz prawie cały czas przysypiał na kanapie, a Greta próbowała stworzyć namiastkę rodzinnej atmosfery, ale przy zaledwie dwóch osobach wydawało jej się to niezwykle trudne. Ponieważ obowiązywał tradycyjny post, w ciągu dnia ugotowała „barszcz”, którym co roku w wigilijny poranek raczył ją Michał. Do garnka zimnej wody wrzuciła

listek bobkowy i trzy ziarenka ziela angielskiego. Wodę posoliła i doprowadziła do wrzenia. „Barszcz” był prawie gotowy. Weisnęła jeszcze do niego trzy ząbki czosnku, ale już nie gotowała. Wymieszała i podała z postnymi ziemniakami. Tyle miało im wystarczyć aż do wigilijnej kolacji. W całym mieszkaniu pachniało czosnkiem i ziele. Zapach tej najprostszej postnej stawy prawdopodobnie jednocześnie rozchodził się po małym ursuskim mieszkanku i po większości poleskich domostw, bo był tam posiłkiem znanym od pokoleń i tak obowiązkowym w wigilijne przedpołudnie jak karp w wigilijny wieczór.

Dwunastu potraw na stole nie mieli, bo zwyczajnie nie było komu jeść. Greta usmażyła jedynie na szybko karpia, zrobiła barszcz czerwony z uszkami i usmażyła suszone grzyby. Tylko tyle.

Relacje między małżonkami były poprawne. Rozmawiali, choć może ognia w tym nie było, ale tłumaczyli to sobie długą rozłąką, no i tymi zarzutami o romans Grzegorza. Przy kolacji wigilijnej Greta próbowała skierować rozmowę na temat Afganistanu, z nadzieją, że twarzą w twarz wreszcie zyska pewność, czy Grzegorz mówił prawdę, zaprzeczając donosom. On nie unikał tematu misji, wciąż nią żył, jakby jeszcze z niej nie wrócił, i chętnie odpowiadał na pytania żony. Te odpowiedzi zaś niczego jej nie wyjaśniły, tylko znów doprowadziły do sprzeczki. Grzegorz w ogóle nie chciał rozmawiać o rzekomym romansie, więc Greta na własną rękę doszła do kilku wniosków. Po pierwsze, że mąż, nawet jeśli ma romans, to z pewnością nie zamierza się do niego przyznać. Po drugie, czuć było w jego głosie, że jest dumny i zadowolony ze swojego udziału w misji. No i po trzecie – najważniejsze – w jego psychice z pewnością nie powstał żaden wyłom świadczący o niesprostaniu trudom służby. Greta wielokrotnie słyszała w mediach o żołnierzach, którzy powracali z misji okaleczeni psychicznie. Grzegorzowi najwyraźniej ten rodzaj służby bardzo pasował. W nocy spał głęboko, a w dzień chętnie rozmawiał.

Święta miały dość spokojnie, bo nie wracali już do przykrego tematu, a pod koniec zaczęły się wręcz dłużyć. Zaraz potem Mareccy spakowali bagaże na kilka dni i wyjechali do swoich rodziców. Złożyli kurtuazyjne wizyty w rodzinnych domach, zabawiając tam jedynie tyle, by rodzice się nie obrazili, i na koniec wymknęli się do Burzan. Pogoda była fantastyczna. Lekki mróz ścisnął za nosy i szczypał w policzki, a z nieba powolutku spadały małe śnieżynki, okrywając ziemię cieniutką warstwą czyściutkiego puchu. Polesie wyglądało cudnie w tej dziewiczej bieli. Było kompletnym przeciwieństwem szarej i wysypanej solą Warszawy.

Michała na widok Rudej i Grzegorza aż coś ścisnęło w dołku. Jego radość zdawała się nie mieć końca. Wtórował mu w niej Wikary, ujadając i wywijając ogonem. Tutaj dopiero Greta na nowo odżyła. Złapała wiatr w żagle, miała ochotę namalować olejny pejzaż zimowy, z miejsca obeszła całą okolicę i głęboko wciągała czyste wiejskie powietrze. Usta same układały się jej w uśmiech. Wyglądała jak mała dziewczynka, która pod choinką znalazła wymarzony prezent.

W pierwszej wolnej chwili poszła nad Bug. Woda w rzece podniosła się dość wysoko, płynęła wartko, jedynie z samego brzegu pokrywał ją cienki lód. Od kilku dni nikt w to miejsce nie zaglądał, bo na śniegu nie było żadnych ludzkich śladów, jedynie tropy kuropatw, bażantów i saren.

Z zamyślenia wyrwał Gretę dźwięk SMS-a. Spojrzała na wyświetlacz i odczytała wiadomość od Daniła. Chyba ściągnęła go myślami, bo skąd miałby wiedzieć, że przyjechała do Burzan? Pytał, kiedy będzie u wuja, bo chciał się z nią spotkać na pogaduchy. Tak naprawdę to aż go skręcało, żeby komuś choć jednym zdaniem opowiedzieć o swoim szczęściu. Odpisała mu, żeby przyszedł wieczorem do dworu.

Michał był niezwykle rad, widząc Gretę i Grzegorza w dobrych stosunkach. Nie miał pojęcia o kłopotach, z którymi się od jakiegoś czasu borykali, bo zdecydowali wspólnym wysiłkiem odbudować swoje relacje i zawarli pakt o nieagresji, który wcielili w życie przed kilkoma dniami. Na początek mieli postanowienie po prostu się nie kłócić i na razie szło im nieźle.

Greta wpadła do dworu tak spragniona porządnego wiejskiego jedzenia, że niemal od razu wyżebrała u wuja fusier. Ta prosta potrawa przez niektórych nazywana była fuszerem, ale w Burzanach zawsze mówiło się fusier. Michał od razu zabrał się do obierania ziemniaków, posolił wodę i gotował je dłużej niż zazwyczaj. Kiedy je już odcedził, sypnął do nich garść pszennej mąki i ugniatał tłuczkiem do ziemniaków. Ten początkowo w nich ugrzązł, dopiero po dłuższej chwili



zmagañ ziemniaki były na tyle wyrobione, że zaczynały odstawać od tłuczka. Greta już na talerzu polała je obficie swojskim roztopionym smalcem ze skwarkami i fusier był gotowy. Cała czwórka, bo Danił zaszedł do dworu na porę posiłku, zjadała ze smakiem to kleiste i niezwykle pożywne danie, zagryzając kiszonymi ogórkami.

Wieczorem w oknach dworu rozblęły światła. W salonie panowały gwar i radość. Siedzieli przy suto zastawionym stole i popijali z kryształowych kielichów dereniówkę i anyżówkę. Hałasowali, jakby było ich co najmniej dziesięcioro. Nawet Danił mówił więcej niż zazwyczaj. Opowieści dotyczyły życia w Burzanach i Ordach, z rzadka tylko Grzegorz wtrącał coś o Afganistanie.

Koło północy Michał zrejtował do swych pieleszy. Klepnął się lekko w udo i cmoknął, dając znak Wikaremu. Przy stole została młódź i wieczór zdawał się wcale przy nich nie starzeć. Dla większej wygody i swobody przenieśli się na kanapę i fotele, gdzie dalej spędzali czas wśród śmiechów i żartów.

Greta zdołała wyciągnąć z Daniła co nieco o jego romansie z Irminą. Był trochę zawstydzony, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że jest szczęśliwy jak nigdy dotąd. W ciągu ostatnich miesięcy zaznał tyle miłości, że aż nie mógł uwierzyć, iż mu się to wszystko przytrafiło. O ile romans Grety stracił nieco na intensywności, o tyle romans Daniła kwitł, wciąż pielęgnowany jak najwęższa roślina. Chłopak miał w oczach niesamowity błysk, gdy opowiadał o tej swojej kochance, a do tego błysku dochodził jeszcze piękny uśmiech, gdy rozwodził się na temat swoich biżuteryjnych projektów, które na Ukrainie cieszyły się ogromnym powodzeniem.

Mareccy z uwagą wysłuchali opowieści o wciąż powstających egzemplarzach polnej kolekcji. Poza jarzębinami Jurij wykonał już także rumianki, maki i chabry. Jedne były skromne i delikatne, inne z przepychem, wszystkie jednakowo miały cieszyć oko kobiet, których szyje i uszy będą zdobić, a tymczasem cieszyły ogromnie swego twórcę. Danił był naprawdę zadowolony, wszystko w jego życiu układało się lepiej, niż się spodziewał. To spotkanie dobrze zrobiło i jemu, i Mareckim. Oni chętnie oderwali się na chwilę od własnych spraw, a on, jak chyba nigdy, czuł potrzebę podzielenia się swą radością. Było to nowe doświadczenie w jego życiu, bo też i nieczęsto dotąd był zadowolony i szczęśliwy. Jego dobry nastrój udzielił się przede wszystkim Grecie, która od dawna już dopingowała jego miłości.

Długo jeszcze rozbrzmiewał w burzańskim dworku gwar, a ustał daleko po północy. Danił, spoglądając czasem w niebo, wracał niespiesznie do domu, rad, że tak miło spędził wieczór, a Greta przed snem rozmyślała jeszcze o jego opowieściach i cieszyła się, że wszystkie jego prace tak znakomicie się sprzedają. Oleg miał rację: im coś jest droższe, tym bardziej tego pożądamy.

Wyglądało na to, że cała ta – pozornie ryzykowna – produkcja miała szansę rozwinąć się w dochodowy biznes. Danił już teraz dostawał za swój wkład w ten interes tak duże wynagrodzenie, że nie bardzo mógł sobie to wszystko poukładać w głowie. Oleg płacił szczerze i za projekty biżuterii, i za drewnianą *Kamasutrę*, która również z miejsca znajdowała nabywców. A im częściej Danił widywał się z Irminą, tym więcej miał inspiracji.

To był dla niego bardzo dobry rok. Zresztą, nie tylko dla niego, ale także dla Irminy, Grzegorza, a przede wszystkim dla Grety i Olega. I, o dziwo, spośród nich wszystkich jedynie najgłupszy z nich potrafił przekuć te zmiany na lepszy los. No, i może jeszcze Irmina.

Na dwa dni przed sylwestrem Mareccy zrobili niewielkie zakupy w gminnym sklepie. Nie potrzebowali wiele, bo też i ich plany były skromne. Zamierzali spędzić imprezę przed telewizorem z lampką szampana.

Danił wciąż przebywał w Zaciszu. Prace budowlane już prawie dobiegły końca, a co zostało jeszcze do zrobienia, odłożono do wiosny. Jedyne roboty, jakie jeszcze wykonywano, polegały na dopracowywaniu detali. Danił precyzyjnie ozdabiał tralki dębowych schodów albo przecierał papierem ściernym dopiero co przywiezione przez kuriera, wynalezione gdzieś na aukcjach staroci kredensy, by je potem polakierować lub położyć nową warstwę bejcy. Kiedy nie zajmował się Zaciszem, strugał namiętnie kurewki lub szkicował biżuterię. Mógłby co prawda robić to u siebie w domu, ale tak przywykł już do tego miejsca, że niemal tu zamieszkał. W końcu od pół roku przebywał tu prawie bez przerwy. Poza tym, co wcale nie było oczywiste, bogaty, wykształcony,

inteligentny Ukrainiec bardzo wysoko sobie cenił znajomość z ubogim, niedouczoneym i niezbyt rozcigniętym Polakiem z Kresów. I wcale nie chodziło tu o znajomość tego rodzaju, że jeden chciał błyszczeć na skromnym tle drugiego. Oleg naprawdę szanował Daniła, na równi z Janem i Irminą, którym przecież bezgranicznie ufał. Gdyby się dokładnie przyjrzeć, można by zauważyć, że w ogóle Oleg cenił tych, których społeczeństwo wyrzuciło poza margines. Oprócz Daniła szanował także pijaczka Nawrockiego, a nawet starą Helenę, której zaczynał przyznawać rację, że może bardziej niż rozumu powinien posłuchać serca.

Od powrotu z Bieszczadów targały nim różne stany emocjonalne. Najpierw przez kilka dni delektował się i chełpił świadomością, że Greta wreszcie mu uległa, że zdobył w końcu to, co sobie założył. Potem próbował trochę odpocząć w samotności, bo w Bieszczadach żył jak młody żonkoś, a to było coś, od czego zawsze stronił. Następnie, jak sępy, zaczęły go dopadać tęskne myśli i wspomnienia chwil spędzonych z Gretą, aż w końcu zdecydował się kontynuować ten romans, bo dawał mu wiele radości i satysfakcji, z których nie miał ochoty rezygnować. Potem jednak zbliżał się czas powrotu Grzegorza i Oleg obmyślił sobie, że może jest to dobra pora na powrót do dawnego stanu. Greta w żaden sposób go nie ograniczała ani się nią nie znudził, ale wciąż nie mógł pojąć, że może z nią tak po prostu być. Miał na to ochotę, jednak wieloletnie życie w pojedynkę także mu jeszcze pachniało. Nie potrafił się zdecydować i sam już nie wiedział, czego tak naprawdę chce. Zupełnie to samo zresztą działo się przecież z Gretą. Żeby przestać w kółko rozmyślać, rzucił się w wir różnych robót: kręcił się w obejściu, kupował jak szalony meble i inne sprzęty, wydawał polecenia. Ale to pozwalało o niej zapomnieć jedynie na krótko. Wieczorami zdawało mu się, że słyszy jej śmiech, czuje jej zapach i wszędzie dostrzegał rude pukle. Dzwonił wtedy do niej i spotykał się z nią w jej domu. Uspokajał się, łapał wewnętrzną równowagę, był szczęśliwy, ale jakoś nie docierało do niego, że to jej zasługa i że to ona daje mu ten spokój. W końcu uciekł. Listopad spędził we Lwowie, dopilnowując wreszcie porządnie wszystkich spraw. Odciążył trochę zabieganego Jana, ale i tak nieustannie myślał o Grecie. Pomógł jej znaleźć pracę, ale nadal nie mógł się od niej uwolnić. Pod koniec grudnia zjechał znów do Ordów i zamierzał pomieszkać tu nieco dłużej. Zaprosił na sylwestra Daniła z Irminą i Jana. Trudno to było nazwać imprezą, ale przynajmniej miał spędzić wieczór wśród przyjaciół. Nawet nie śmiał pomyśleć, by zaprosić Gretę. Wiedział, że misja Grzegorza kończyła się w grudniu, sądził więc, że sylwestra Ruda spędzi z mężem, być może hucznie, na jakimś stołecznym balu. Ale los i tym razem mu sprzyjał.

Od Daniła dowiedział się, że Greta jest u Michała. Nie odważył się jednak tam z nią spotkać, choć na tę wieść serce aż podskoczyło mu do gardła. Zobaczył ją na zakupach w sklepie. Wyglądała zjawiskowo. We włosach lśniły jej jeszcze topniejące śnieżynki, jak zwykle ledwo podkreśliła oczy tuszem i przeciągnęła błyszczącym po ustach. Miała na sobie krótką pikowaną kurteczkę wcinaną w pasie, obcisłe dżinsy i wysokie brązowe kozaki na szpilkach. Obserwował ją przez chwilę niemal bez mrugnięcia powieką, żołądek skurczył mu się ze strachu, ale wreszcie zdecydował się do niej podejść.

– Witamy na Polesiu. – Stał za nią i mówił wprost do jej ucha.

Poczuła jego oddech na karku i gwałtownie się odwróciła. Patrzyli sobie w oczy, które błyszczały tysiącem iskier. W tej jednej chwili miała w głowie wszystkie najpiękniejsze wspomnienia z Bieszczadów oraz upojne warszawskie noce. I nieważne było, że ostatnio uciekł i prawie się nie odzywał. W sekundzie wróciło do niej wszystko to, co w ciągu minionego miesiąca starała się wyrzucić z pamięci, i mocne postanowienie naprawienia relacji z mężem zaczęło nagle słabnąć.

Resztką świadomości dokonała obustronnej prezentacji swych mężczyzn. Grzegorz przyglądał się z boku nowemu znajomemu i, najwyraźniej, dobremu znajomemu swojej żony. Po krótkiej wymianie zwrotów grzecznościowych Oleg zerknął w koszyk z ich zakupami. Leżało tam pieczywo, wędliny i szampan.

– Szykujecie się na bal? – zagadnął.

– Żaden bal – odparł wesoło Grzegorz. – Posiedzimy u wuja i grzecznie doczekamy północy.

Kuć żelazo, póki gorące... To jedna z ważniejszych zasad w życiu Olega. Teraz też

zamierzał z niej skorzystać.

– W takim razie – zaproponował – może dacie się zaprosić na sylwestra do mnie? Będzie mi bardzo miło was gościć.

Greta już otwierała usta, żeby grzecznie odmówić, ale Grzegorz ją ubiegł:

– Dużo słyszałem o twoim Zaciszu. Greta mi opowiadała. Właściwie czemu mielibyśmy nie skorzystać z takiego zaproszenia, prawda, kochanie? – Objął żonę ramieniem i ostatnimi słowami narzucił jej odpowiedź.

– Prawda – przytaknęła, choć nie bardzo miała ochotę spędzić sylwestra z Olegiem.

Ścisłej biorąc, bardzo chciała spędzać z nim czas, ale jeszcze bardziej panicznie się tego bała. Oleg zauważył jej wahanie i żeby nagle się nie rozmyśliła, postanowił jasno dać do zrozumienia, że nie ma się czego obawiać:

– Świetnie. Będą Irmina, Jan i Danił. Czyli, razem z wami, będzie nas sześcioro. Liczę na was – dorzucił z serdecznym uśmiechem i dodał na odchodnym: – Będziemy w kontakcie.

Przez resztę dnia Greta była rozkojarzona i czuła potężną karuzelę w brzuchu. Kiedy nocą kochała się z Grzegorzem, przyłapała się na tym, że wyobraża sobie, iż zamiast niego jest z nią Oleg. Stała się aktywniejsza, z ochotą pieściła męża, cały czas imaginując sobie, że to jej kochanek.

Tymczasem nastał sylwester. Greta, której życie zaczęło się powoli stabilizować, była dziś tak rozdarta jak przed kilkoma miesiącami. Z jednej strony o niczym innym nie marzyła, jak tylko o tym, by spotkać się z Olegiem, spędzić w jego towarzystwie koniec roku lub choćby ukradkiem na niego popatrywać, jak zabawia swych gości. Z drugiej zaś panicznie się bała, że zostanie zdemaskowana, że Grzegorz od razu domyśli się relacji łączącej ją z przystojnym Ukraińcem. Cóż, na złodzieju czapka gore...

Przy tych wszystkich skrajnych emocjach, które nią targały, chodziła po domu na zmianę to radosna, to znów ponura jak chmura gradowa. Nikomu nawet słowem nie szeptnęła na temat planowanej wizyty w Zaciszu, bo zwyczajnie obawiała się, że jeśli wspomni o tym, że nie ma ochoty tam iść, to Michał z pewnością ją poprze i zacznie odradzać udział w imprezie. A jeśli ona nie wykaże entuzjazmu i wuj będzie namawiać ich do pozostania w Burzanach, to Grzegorz z pewnością skapituluje i nigdzie nie pójdą. I takiej perspektywy obawiała się jeszcze bardziej.

Michał faktycznie z wielkim niezadowoleniem przyjął decyzję o ich wyjściu do Olega. Na samą wzmiankę jego imienia dostawał drgawek z wściekłości, zaciskał w nerwach pięści i zdawało się, że jeszcze tylko moment, a zacznie się pienić ze złości. Alergicznie wręcz reagował na tego Ukraińca. Prawie tak samo jak Wikary.

Widać było wyraźnie, że ksiądz jest zazdrosny, ale nie miał na decyzje bratanicy żadnego wpływu. Jediną nadzieję pokładał w Grzegorz. Sądził, że skoro już wrócił z misji, to teraz odpowiednio zajmie się żoną i postara się o to, by za niczym nie tęskniła.

W sylwestrowe przedpołudnie Greta wyprawiła Grzegorza do sklepu po alkohol i coś do jedzenia, a sama rozpoczęła babskie przymierzanki przed lustrem. Przykładała do siebie na zmianę te kilka ciuchów, które wzięła z Warszawy, i była teraz bardzo niezadowolona, że nie ma się w co ubrać. Jedynym, co nadawało się na uroczysty wieczór, była skromna sukienka do kolan w kolorze akwamaryny i szafirowe klasyczne szpilki. Jej rude włosy pięknie komponowały się z odcieniami niebieskiego.

Sprawdziła pocztę w laptopie. Odkąd Grzegorz wrócił z misji, nie dostawała już żadnych anonimowych maili. Najwyraźniej afgański żartowniś znudził się swoimi dowcipami lub mroźne polskie powietrze otrzeźwiło mu umysł. W skrzynce znalazła list bez tytułu. Nadawcą był niestety ten od paszkwili. Greta zawahała się na moment, nie wiedząc, czy powinna przeczytać wiadomość, czy lepiej jej nie oglądać. Babska ciekawość jednak zwyciężyła i zajrzała do listu. Nie było w nim żadnych zdjęć, a jedyną treść stanowiły słowa: „Czy ten mąż nie za mocno przechodzony? Od kochanki znów do żony? Szczęśliwego Nowego Roku”.

Greta trzasnęła laptopem i z impetem wtargnęła do łazienki. Zamierzała wziąć prysznic, ale nagle naszła ją ochota na długą kąpiel. Potrzebowała побыć sam na sam ze swoimi myślami. Co z tym fantem począć? Ponowić pytanie? Przecież pytała już nieraz, a on konsekwentnie zaprzeczał. Ile razy można wałkować jeden temat i jak długo o to się kłócić? A jeśli zupełnie niechący wyjdzie

na jaw i jej romans? Dużo tego było jak na jej małą rudą główkę...

Kiedy Grzegorz wrócił ze sklepu, stała nago na środku łazienki i cała ociekała wodą. Lubiła ten moment tuż po wyjściu z wanny, gdy czuła spływające po ciele krople. Nie usłyszała przyjścia męża. Ten zatrzymał się w uchylonych drzwiach łazienki i przyglądał jej się w skupieniu. Wreszcie podszedł do niej, położył zmarzniętą dłoń na jej biodrze i odchylając ruce loki, pocałował ją w kark. Drgnęła pod jego zimnym dotykiem i obróciła się twarzą do niego.

– Już jesteś – nie wiadomo, stwierdziła czy spytała.

– Uhm... – mruknął. – I mam na ciebie ochotę.

– Nie teraz, Grześ. – Odsunęła się od niego, chwyciła duży ręcznik z wieszaka i okręciła go nad piersiami.

Nie dawał za wygraną. Rozchylił połę ręcznika i wsunął rękę między jej wilgotne jeszcze uda. Spojrzała mu hardo w oczy i nie spuszczać zeń wzroku, chwyciła go za nadgarstek, po czym przy użyciu całej swej kobiecej siły odepchnęła jego dłoń od siebie. Na samą myśl, że jeszcze być może przed kilkoma dniami ta sama dłoń wędrowała po zakamarkach ciała innej kobiety, zagotowała się ze złości. Zaciśnęła zęby i resztką silnej woli nie wygarnęła mu swych podejrzeń. Dziś nie było sensu. Spokojnie można z tym było poczekać do przyszłego roku. Nie pozwoli sobie zepsuć nastroju tuż przez sylwestrem.

– Nie mamy czasu – powiedziała, by uwiarygodnić odmowę.

– Czy w tamte progi spóźnionych nie wpuszczają? – spytał z sarkazmem.

– Nie marudź – ucięła, po czym jak najprędzej się ubrała i zeszła na dół, by zająć się przygotowaniem sałatki.

Do dużej szklanej salaterki wsypała całą puszkę słodziutkiej kukurydzy, sporo tartego żółtego sera i trzy garście marynowanego selera. Na drewnianej desce pokroiła w grubą kostkę siedem plasterków szynki konserwowej i jednym ruchem wsypała ją do pozostałych produktów. Sypnęła troszkę pieprzu i dołożyła cztery łyżki majonezu. Na koniec skropiła całość niewielką ilością maggi, po czym wszystko wymieszała i spróbowała. Degustacja wypadła niezłe, ale jeszcze wyjęła ze słoika garść selera i dorzuciła do reszty. Sałatka nabrała konkretnego smaku.

– No, pyszna – mruknęła z zadowoleniem.

## Rozdział 22

W Zaciszu przygotowania do zabawy sylwestrowej dobiegały końca. Cały dwór gotów był już na przyjęcie gości. Wszystkie pomieszczenia były kompleksowo wyremontowane i umeblowane, zewsząd czuć było zapach nowości. W oczy rzucał się luksus, jednak wnętrza urządzono niezwykle gustownie.

W kuchni królowała teraz Irmina ze swym wiernym blond giermkim, dbając o ostateczny kształt potraw. Oleg z Janem gawędzili spokojnie w salonie, czekając na przyjście Mareckich. Spokój Olega był jedynie pozą – wprost nie mógł się doczekać spotkania z Gretą. Właściwie wolałby spędzić ten wieczór jedynie z nią, bez Grzegorza i nawet bez swoich przyjaciół, ale było to niewykonalne, więc nie marudził, tylko czekał w napięciu.

Wreszcie rozległo się stukanie kołatki i Oleg zerwał się z sofy. Drzwi otwierał z silnie bijącym sercem. Jego oczom ukazał się widok dwojga elegancko ubranych ludzi, którzy stali przemarznięci w progu.

– Wpuścisz nas czy zaproszenie już nieaktualne? – Greta roześmiała się i wyciągnęła przed siebie dużą salaterkę z sałatką.

– Zapraszam. – Oleg dopiero na jej słowa ocknął się z zauroczenia, któremu uległ przed chwilą, i cofnął się o parę kroków, by wpuścić gości do środka.

Greta poruszała się wewnątrz dość swobodnie. Rozglądała się z zaciekawieniem, sprawdzając, co też się tu zmieniło od jej ostatniej wizyty. Grzegorz szedł niepewnie za nią i ukłuła go nieprzyjemna myśl, że jego żona chodzi po tym domu jak po swoim.

Po wstępnych powitaniach panie zniknęły w kuchni, a panowie skupili się wokół Grzegorza, który wpatrywał się w gryms kominka.

– Więc to są te kurewki – powiedział na widok rzeźb Daniła. – No, no... – dorzucił i zupełnie nie wiadomo było, co miał na myśli.

W kominku buzował ogień, z rzadka strzelając drwami i wyrzucając iskry w górę. W salonie było ciepło, przytulnie, z drewnianych pudeł kolumn sączyła się muzyka, światła były przygaszone. Niebawem wszyscy się tu zebrali i rozpoczęto wspólne oczekiwanie na Nowy Rok. Rozmowa, która z początku się nie kleiła, dość szybko nabrała tempa i wigoru, przechodząc w głośną paplaninę gęsto przerywaną śmiechem.

Greta, po pierwszym szoku i wariackich myślach na widok Olega, uspokoiła się niemal zupełnie. Grzegorz był czuły, miły i troszczył się, by niczego jej nie brakowało. Zabawiał ją rozmową i raz po raz prosił do tańca. Wobec Irminy także był grzeczny i w chwilach sposobności z nią tańczył, z tą jednak różnicą, że jedynie z uprzejmości. Jednak w porównaniu z Olegiem tancerzem był miernym. Jakiegokolwiek kroki były mu obce, kiwał się z nogi na nogę i kręcił w kółko. Obie panie bardzo to męczyło.

Oleg przez cały czas wodził wzrokiem za Gretą. Robił to niemal obsesyjnie. Prowadził konwersacje z każdym ze swych gości, dolewał alkoholu, dbał o pełny stół i dobrą atmosferę, ale pomiędzy tymi czynnościami bez ustanku spoglądał na Gretę. I tak, jak jej obraz był mu przyjemny, tak też widok Grzegorza u jej boku drażnił go i był bodźcem do tego, by znów o nią zawalczyć. W Olegu po raz kolejny odzywała się żyłka rywalizacji. Greta zajęta stawała się jeszcze większym wyzwaniem. Widok tego faceta uczonego jej boku drażnił go tak bardzo, że po paru godzinach tej sielanki był gotów zrobić nawet burdę i rozgonić całe towarzystwo, byle tylko dostać Gretę. Walczył z tą swoją słabością cały wieczór, ale czuł, że w każdej chwili może jej ulec.

Wszystko wskazywało na to, że zauroczenie Gretą wcale nie minęło, choć obojgu już się zdawać zaczęło, że ich romans się skończył. Kilka ostatnich tygodni spędzonych osobno było czasem osvajania się z myślą o rozstaniu. Greta ze smutkiem doszła do wniosku, że te piękne chwile w Bieszczadach i Lwowie nigdy już nie wrócą, choć pragnęła tego bardzo mocno. Oleg także sądził, że ta miłośćka przeminęła jak wszystkie jego wcześniejsze, co nawet byłoby zupełnie

oczywiste. I tylko jedna rzecz mu się w tym wszystkim nie zgadzała: skoro Greta była już przeszłością, to dlaczego bezustannie o niej myślał, dlaczego znów chciał ją przytulić i pocałować? Nigdy wcześniej nic takiego mu się nie przytrafiło. Koniec jego związków był zawsze definitywny i nie było do nich powrotu. Teraz czuł, że w tym przypadku jest inaczej, i sam już nie wiedział, czy go to cieszy, czy raczej przeraża.

W pewnej chwili Greta znikła z Daniłem gdzieś na górze. Poszli oglądać jego najnowsze dzieło – rzeźbioną balustradę schodów. Oleg z Irminą przenieśli się do kuchni, by przygotować kieliszki i szampana. W salonie zrobiło się pusto, na sofie został tylko Jan, bo Grzegorzowi zadzwonił telefon i poszedł gdzieś na drugi koniec dworu, by spokojnie odebrać rozmowę.

Chwilę później Jan zdjął marynarkę i poluzował ciasny krawat, bo poczuł, że jest mu trochę za ciepło. Wstał leniwie z sofy i powoli skierował się ku pokojowi, w którym zakwaterował go Oleg. Nie licząc salonu, było tu raczej ciemno, tylko gdzieś tam świecił jakiś daleki kinkiet w korytarzu na górze. Jan siedł w półmroku i już prawie był w swoim pokoju, gdy do jego uszu dobiegły strzępki rozmowy.

– No ja też, kotku... – Grzegorz mówił cicho i z czułością. – No pewnie... Ja ciebie też...

Jan poczuł się bardzo niezręcznie, ale na ucieczkę było już za późno, bo Grzegorz właśnie go dostrzegł. Zakończył szybko połączenie i zaczął się niezręcznie tłumaczyć:

– Noworoczne życzenia od znajomych... – Zamachał komórką jakby na dowód tego, co mówi.

– Tak... – Jan nie bardzo wiedział, co powinien na to odpowiedzieć. – A ja właśnie do szafy szedłem... – Też zamachał, tyle że marynarką.

Rozeszli się każdy w swoją stronę, obaj bardzo niezadowoleni. Grzegorz był rozszoszczony swoją nieostrożnością, a Jan wolałby nie słyszeć ani jednego słowa z tej rozmowy. Co prawda dotarło do niego niewiele, ale wystarczająco dużo, by powziąć pewne podejrzenia. No ale to przecież nie była jego sprawa, nic go to nie obchodziło.

Salon znów zaczął się zapęlniać ludźmi. Danił przyprowadził Irminę z kuchni, Oleg przyszedł w krok za nimi, przystanął przy wieży i spojrzał na Gretę stojącą jeszcze na górze. Jan rozsiadł się na sofie, a Grzegorz wydawał się bardziej spięty i ponury niż przed kilkoma minutami. Jego dobry nastrój prysł w jednej chwili, ustępując miejsca niezadowoleniu. Jedyne, o czym mógł teraz myśleć, to ile Jan usłyszał z jego rozmowy i czy cokolwiek z tego dotarło już do Grety. Kolejną myślą było: jak z tego wybrnąć z twarzą? W tej jednej chwili gorzko pożałował wszystkiego, co łączyło go z Anką. Nieświadomie zaczął układać modlitwę szantażysty: „Panie Boże, proszę, spraw, by moja żona o niczym się nie dowiedziała, a ja obiecuję, że już nigdy więcej tego nie zrobię!”.

Grzegorz był głupi jak większość ludzi. Sądził, że z Bogiem można się układać.

Gdy Jan rozmawiał z Grześkiem, Oleg zmienił muzykę. Rozejrzał się za Gretą i skinął na nią. Odebrała to jak rozkaz, ale bez zastanowienia zeszła wdzięcznie po schodach wprost w jego wyciągnięte ramiona. Skłonił się przed nią szarmancko i pocałował jej dłoń.

– Pani pozwoli... – szepnął.

Wciąż miała w pamięci te ekscytujące pięć minut we Lwowie, kiedy poprosił ją do tańca na placu przed teatrem. Fantastyczny walc powrócił we wspomnieniach i ogarnęły ją drżenie i rozkosz. Powoli zapominała, gdzie jest i z kim tu przyszła. Teraz była już w ramionach Olega, w tle płynęły pierwsze nuty chwytającej za serce rosyjskiej wersji pieśni z musicalu *Notre Dame de Paris*, *Ty zgubo moja*, a ona zupełnie nie wiedziała, jak się poruszyć. Oleg bezbłędnie wyczuł jej skrępowanie, uśmiechnął się czule i nachyliwszy się do jej ucha, powiedział cicho:

– Poprowadzę cię.

– Jak wtedy? – spytała i zarumieniła się na wspomnienie tych wszystkich grzesznych chwil.

– Jak wtedy – odpowiedział.

Z ufnością poddała się jego ramionom. Stali na środku salonu, tak blisko siebie, że mogli bez trudu dotknąć się ustami. Greta jednak nie odważyła się na to, a Oleg dozował sobie wszelkie emocje. Nerwowe uderzenia w klawisze fortepianu stawały się coraz silniejsze, smyczki im wtórowały i w końcu dołączył do nich przejmujący głębią i rozpaczą męski głos. Oleg prowadził

Grete pod ścianami, szybko, brutalnie, z ogromnym zacięciem. Jego kroki były precyzyjne, bezbłędne, a spojrzenie ciemnych oczu nieustannie utkwione w jej oczach. Ona w tym silnym uścisku czuła się fantastycznie. Poddała się muzyce i dość łatwo przyjęła rytm narzucony przez partnera. Coraz szybciej przetaczali się przez salon, nieznacznie tylko zwalniając co jakiś czas. Wówczas Oleg obejmował mocno Grete w pasie, delikatnie pochylał się nad nią i dyskretnie kradł jej pocałunki. Nie miała ani czasu, ani ochoty na jakąkolwiek opozycję. Kątem oka spoglądała jedynie, czy ich ktoś nie widzi.

W pierwszych taktach nie widział nikt, ale już po chwili patrzyli wszyscy. Ten taniec miał w sobie tyleż samo piękna co grozy. Wzbudzał w widzach zachwyt i niepokój. Między tancerzami iskrzyło, ciałami swymi snuli jakąś historię. Kręcili się jak w matni, jak bezbronny motyl uwikłany w pajęczą sieć. Może czuli dokładnie to, o czym śpiewał Marakulin:

We śnie i na jawie wyobrażam sobie  
Jak cię całuję, jak cię głaszczę,  
Ten delikatny łokieć, te białe kolana...

Żar... Tłący się w nich od kilku miesięcy żar wybuchnął na nowo wielkim płomieniem. Był to pożar trawiący do szczytu wszystko to, czym byli dotychczas. W tych kilku minutach tańca Greta gotowa była oddać całe swoje życie i pójść za Olegiem. On czuł podobnie, z tą różnicą, że zabrakłoby mu odwagi, by się do tego przyznać.

Muzyka cichła i spowalniała. Oleg wtulił twarz w rude włosy Grety i jeszcze nie wypuszczał jej z objęć. Stali pośrodku salonu w nieco zbyt poufałym uścisku, który przerwały rześiste brawa.

– Co za pasja... – szepnął Danił do Irminy.

Greta ocknęła się i jakby dopiero co przebudzona rozejrzała się wokół. Poczowała ogromne zawstydzenie na myśl, że być może się zdemaskowała ze swym romanssem. I nawet jej do głowy nie przyszło, że jej mąż przed chwilą myślał dokładnie tak samo. Spojrzała na Grzegorza, który stał osłupiały. Podeszła do niego niepewnie i uśmiechnęła się delikatnie.

– Pięknie wyglądałaś – przyznał szczerze, ale był ogromnie niezadowolony z tej zażyłości żony z Olegiem.

Nastąpiła chwila konsternacji. Włączona w wieży zmieniarza przerzuciła płytę i jedyne teraz dźwięki w pomieszczeniu dobiegały właśnie z głośników. Goście spoglądali na siebie w milczeniu. Jediną osobą, która nie miała pojęcia o romansie Grety, był jej mąż. Choć, prawdę mówiąc, odkąd zobaczył ten spektakularny walc, zaczął uważniej przyglądać się żonie i przystojnemu Ukraińcowi. Nie wiedział jednak, że przez to stał się wodą na jego młyn. Kiedy Oleg spostrzegł nadmierne i nieco zbyt nachalne zainteresowanie męża Grety swoją osobą, dość przekornie coraz częściej rozmawiał z dawną kochanką, wodził za nią oczyma, zerkając jednocześnie, czy aby na pewno widzi to Grzegorz, muskał dłonią jej sukienkę, kiedy się mijali w drzwiach i od czasu do czasu prosił ją do tańca. W efekcie Grzegorz nie odstępował żony ani na krok. Nadal był przy tym miły i uprzejmy, zabawiał towarzystwo rozmową, ale jednocześnie coraz częściej sięgał po alkohol.

A Oleg, jak złodziej, czekał tylko na kolejną okazję zbliżenia z Gretą, tym mocniej pociągającego, im bardziej na ludzkim widoku miałyby się ono dziać. Zmieniarza znów przerzuciła płytę. „Tak chciałbym poznać twoje myśli...” Oleg spojrzał w głąb salonu. „...Aż po rozsądku kres...” Greta sączyła drinka. „...Lecz takich marzeń, miła, ziścić nie umie nawet bies...”. Tuż obok niej warował jej mąż. Wszystko było z pozoru normalnie, tylko w Olegu narastało jakieś napięcie. Czuł, że jeszcze chwila i nie wytrzyma, podejdzie do niej i znów ją poprosi do tańca. Chciał jej dotykać, chciał czuć na swoim policzku jej ciepły oddech. Danił z Irminą kręcili się w kółko przyklejeni do siebie jak bliźnięta syjamskie. Jan bacznie obserwował napiętego do granic możliwości przyjaciela. Widok ten nie wróżył nic dobrego. Jeśli zaraz Oleg nie zajmie się czymś innym niż Greta, może dojść do ostrego spięcia na linii mąż–kochanek. Spróbował więc zainterweniować. Nalał w kieliszek wódki i podszedł z nim do Olega. Ten bezwiednie wziął trunek włożony mu w dłoń i zacisnął na szkle pięść aż do bólu. Ani na moment nie spuszczał wzroku z Grety. Podniósł kieliszek do ust i wypił do dna.

– Może byś się przewietrzył? – Jan rozpaczliwie szukał wyjścia z tego impasu.

– Daj mi spokój – burknął Oleg.

Wyciągnął pusty kieliszek w stronę Jana. Ten natychmiast nalał do pełna, mając nadzieję, że uda mu się jednak zająć umysł przyjaciela jakąkolwiek rozmową. Oleg jednym haustem wypił wódkę. Wcisnął kieliszek w dłoń Janka, a sam ruszył przed siebie. Szedł pośród ostatnich taktów piosenki, przystanął przy Mareckich i kiedy zmieniarzka znów wrzuciła kolejną płytę, poprosił Gretę do tanga. Jej bliskość i dotyk uspokoiły go nieco, za to Grzegorz stał się znacznie bardziej nerwowy.

– Niech was szlag! – zaklął Jan, widząc, że ma już przed sobą kolejnego kandydata do uspokajania.

Tuż przed północą Irmina przyniosła na srebrnej tacy sześć kryształowych wysokich kieliszków i wiaderko z lodem, z którego wystawała szyjka dom pérignon. Oleg wziął od niej wiaderko, postawił je na ławie i sięgnął po butelkę. Przechylił ją lekko szyjką do ściany i bardzo sprawnie odkorkował, przytrzymując korek, by nie wystrzelił w powietrze. Gaz przyjemnie huknął, zadymił i po szyjce potoczyła się biała piana. Oleg przytrzymał butelkę od spodu, umieszczając kciuk w zagłębieniu denka. Uważnie rozlewał szampana do kieliszków, napełniając je ledwie w połowie.

– Kochani, zapraszam. – Wziął w dłonie dwa kryształy i podał jeden Irminie, a drugi Grecie, lekko dotknawszy jej palców.

Wymienili gorące spojrzenia i Greta zarumieniła się jak pensjonarka. Następnie Oleg podał kieliszki mężczyznom, a sam sięgnął po ostatni. Stary dębowy zegar z wahadłem stojący w rogu salonu wskazywał za minutę północ. Oleg podniósł swój kieliszek do góry i odezwał się:

– Wypijmy za nowy rok. – Powiódł wzrokiem po swych gościach i zatrzymał go na Grecie. – Jak to było...? Za kobiety, które nas nie chciały... niech żałują.

– Za przystojnych mężczyzn... – odpowiedziała Greta –  
...może jeszcze przyjdą.

Zegar wybijał północ, a oni składali sobie życzenia, chodząc od jednego do drugiego i całując się w policzki. Gretę Oleg zostawił sobie na koniec. Podeszedł do niej zamaszystym krokiem, aż się nieco cofnęła, ale jemu właśnie chodziło o to, by odsunąć ją od gości. Stał tak, że pozostali widzieli tylko jego barczyste plecy, i nachylając się do Grety, szepnął:

– Chciałbym, żebyś życzyła sobie tego samego co ja. – Patrzył jej prosto w oczy, a jej wzdłuż pleców przeszły ciarki. – Pragnę cię, Ruda... – przyznał wreszcie i w mgnieniu oka pocałował ją, wciskając swój język między jej wargi.

Wszystko to trwało zaledwie chwilę, więc nie miała czasu na reakcję ani strach, że ktoś ich zobaczy. Zresztą nikt nie był nimi zaciekawiony. Irmina z Daniłem zajęli się sobą tak skutecznie, że wymknęli się do sypialni, Jan nie widział już potrzeby kontrolowania przyjaciela, a ten, który powinien być najbardziej zainteresowany – był coraz mocniej pijany. Alkohol tak uderzył Grzegorzowi do głowy, że wszystko zaczynało mu wirować przed oczyma.

Greta z bijącym sercem szybko poszła do kuchni. Chciała być zresztą gdziekolwiek, byle w bezpiecznej odległości od tego kusiciela, w którego szpony znów bezwolnie wpadła. Stała przy zlewku i dla zajęcia rąk sięgnęła po odstawione do mycia naczynia, które już nie zmieściły się w zmywarce. Odkręciła wodę i zaczęła szorować swój kieliszek, a potem widelec. Wyczuła na plecach ciepły oddech przesycony wonią alkoholu. W pierwszym odruchu nie wiedziała, czy to Grzegorz, czy może Oleg. Męskie dłonie oparły się o jej biodra, a na karku poczuła cmoknięcie. Grzegorz ledwo trzymał się na nogach, ale jego uścisk był silny i pewny. Zacisnęła pięść na mytym właśnie widelcu i stała bez ruchu. Grzegorz przesunął dłoń w dół po jej udzie i nie przestając całować jej karku i szyi, podciągnął wyżej rąbek jej sukienki. Odłożyła widelec i mokrą dłonią przytrzymała jego rękę, próbując obciągnąć ubranie.

W półmroku przylegającego do kuchni pokoju stał Oleg i przyglądał się całej tej sytuacji, gotów w każdej chwili zareagować.

– Grześ... – poprosiła Greta. – Nie teraz.

– Teraz. Jesteś moją żoną – bełkotał coraz bardziej natarczywy – a ja chcę mieć dziecko.



Chwytał ją jedną ręką za kark i przygiął jej głowę do swojej, a drugą dłoń wepchnął pod sukienkę. Sprawiał jej ból i zaczynała się go po prostu bać. Zaciśnęła pięści na blacie, próbując odepchnąć go kolanem, ale, choć się szamotała, on wciąż stosował siłę. Alkohol pozbawił go trzeźwości umysłu i sprawił, że zachowywał się jak cham.

– Zostaw mnie! – zawołała.

– O, jasnie pani ma focha?! – w pijanym widzie zaczynał ją obrażać. – Dość już się naczekałem! Zawsze było tak, jak ty tego chciałaś. Teraz ja podyktuję ci warunki! – Siłą odwrócił ją twarzą do siebie i ujrzał jej zaciśnięte usta i przerażone oczy. – Chcę mieć wreszcie dziecko, rozumiesz?!

– Ale ja nie chcę! – jej krzyk był błaganiem o pomoc.

Oleg już dłużej nie czekał. Wtargnął do kuchni i szarpnął Grzegorza za ramiona.

– Słyszałeś, co ta pani mówiła?! – wrzasnął mu nad uchem. – Masz ją zostawić w spokoju!

Grzegorz zamachnął się ręką i byłby trafił pięścią w Olega, ale tak się zachwiał, że ten ledwo go uchronił przed upadkiem. I właściwie było już po sprawie, bo Mareckiego tak ścięło, że wprost leciał z nóg. Oleg założył sobie jego rękę na szyję i poprowadził go do jednego z pokoi. Tam rzucił go na łóżko i nawet nie spojrzał, co się z nim dzieje. Wyszedł, trzaskając drzwiami, i wrócił do kuchni.

Greta stała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Nadal zaciskała mocno pięści na blacie, a po policzkach ściekały jej łzy. Oleg podszedł do niej i dotknął jej pobielających od uścisku kostek. Delikatnie rozprostowywał jej palce, próbując przy tym ją uspokoić.

– Już dobrze. – Poglaskał ją po włosach i otarł kciukiem łzy z jej policzka.

Miał ogromną ochotę ją przytulić i pocałować, ale zdawał sobie sprawę, że jest jeszcze przerażona i może potraktować to jak kolejną napaść fizyczną.

– Powinnaś odpocząć, chodź – zaproponował i wziął ją za rękę.

Poszła za nim potulna jak mała dziewczynka. Zaprowadził ją do najdalej położonego pokoju. Otworzył drzwi, zaświecił światło i wskazał jej łóżko.

– Prześpij się trochę. To był męczący wieczór. Możesz wziąć prysznic, w łazience jest szlafrok.

Pokój był z łazienką, bardzo komfortowy, urządzone jak reszta domu, cały w drogich drewnianych meblach. Wezłowiec do ściany stało przestronne łóżko. Greta rozejrzała się wokół, podeszła do łóżka i usiadła na nim. Oleg stał w drzwiach, bacznie ją obserwując.

– Nie mam siły na prysznic – stwierdziła. – Ale spać też mi się nie chce. Posiedzisz ze mną?

Tylko na to czekał. Zgasił światło, zamknął za sobą drzwi i podszedł do niej. Greta ułożyła się na łóżku w pozycji półsiedzącej, a on usiadł oparty o wezłowiec. Byli bardzo blisko siebie i gdyby okoliczności były nieco mniej dramatyczne, z pewnością spróbowaliby się do niej zbliżyć jeszcze bardziej.

– Gdzie on jest? – Greta przerwała milczenie dopiero po długiej chwili.

– Śpi – odparł Oleg.

– Daleko? – spytała z obawą.

– Nie martw się, jesteś bezpieczna.

– Nie, to nie to... – zaczęła się tłumaczyć. – Nie rozumiem, co mu się stało. Nigdy tak się nie zachowywał. Przepraszam...

– Ty? Za co?

– Pewnie słyszałeś, czego chciał?

– Mówisz o dziecku?

– A więc słyszałeś... – Grecie było wstyd, że jej małżeńskie problemy doszły do czyichś uszu.

– Nie chcesz mieć dziecka? – Oleg nie wiedział, czy wolno mu o to pytać, ale zaryzykował.

– Nie chcę – przyznała Greta. – W każdym razie jeszcze nie teraz.

– To kiedy? – spytał łagodnie.

– Nie wiem. Kiedyś... – Zamyśliła się. – Chyba nie mam w sobie instynktu

macierzyńskiego.

Oleg zmienił pozycję. Obsunął się niżej i położył, tak że jego twarz była teraz na tej samej wysokości co twarz Greta. Wyciągnął prawe ramię w poprzek łóżka, a ona machinalnie przysunęła się do niego i położyła głowę na jego piersi. Objął ją i pogłaskał.

Od pewnego czasu ramiona, w których Greta czuła się najbezpieczniej, nie były, niestety, ramionami męża. Odkąd kwestia posiadania dzieci coraz częściej stawiała się przyczyną małżeńskich nieporozumień i była przez Grzegorza podnoszona z coraz większą częstotliwością, Greta zaczęła czuć, że w jej życiu zaczynają się niedobre zmiany. Natomiast Oleg stawał się dla niej ucieleśnieniem stałego ładu, tak upragnionego po długim sztormie.

I teraz właśnie, po nieprzyjemnych chwilach zawieruchy, leżała spokojnie otulona tym jego bezpiecznym ramieniem. Nikt jej do niczego nie zmuszał, nie oczekiwał, że wbrew sobie zostanie matką już teraz. Oleg był tak subtelny i delikatny, mimo tej całej swej męskiej postury, że nawet nie próbował jej pocałować. A ona tak bardzo chciała, żeby to zrobił. To i nie tylko to...

Próbowała zrozumieć, dlaczego Grzegorzowi tak bardzo zależy na dziecku. Nie przeszło jej jednak przez myśl, że być może po prostu pragnie kochać jakąś małą istotkę, uczyć ją życia, pokazywać świat i być z niej dumnym. Patrzcie – chce mówić światu – to moja krew.

Pełna niespokojnych myśli wreszcie usnęła. Cały dwór sprawiał wrażenie uspiętego. Jedyne z pokoju na końcu korytarza dobiegało lekkie pochrapywanie Grzegorza. Poza tym panowała cisza. Danił z Irminą już dawno spali ciasno w siebie wtuleni, zakochani w sobie niezmiennie od czterech miesięcy. Jan także rozlokował się już w pokoju piętro niżej. Jediną osobą, która nie mogła spać, był Oleg. Wsłuchiwał się w równy oddech Greta i wciąż głąskał kciukiem jej ramię. Od czasu do czasu wtulał twarz w jej włosy i całował delikatnie w czubek głowy. Tego wieczoru na nowo ogarnęły go żądze, a piegowata twarz Rudej zdawała się przysłańać mu cały świat. Z całych sił starał się trzymać swe fantazje na wodzy, ale im bliżej ona była, tym bardziej stawało się to trudne. A była przecież tak blisko... Bliżej niż na wyciągnięcie ręki. Z myślami skupionymi wokół niej wreszcie usnął, snem niespokojnym i płytkim.

Można było odnieść wrażenie, że Zacisze stoi puste lub że jego mieszkańcy zamierzają przepaść cały Nowy Rok. Na zewnątrz był już całkiem niemłody dzień, kiedy we dworze skrzypnęły drzwi. Wyłonił się zza nich potwornie skacowany Grzegorz i na oślep powlókł się przez korytarz. Nie znając topografii domu, nacisnął przypadkową klamkę i otworzywszy drzwi, zobaczył Gretę śpiącą na ramieniu Olega. Oboje byli co prawda w ubraniach, ale widok i tak był dość jednoznaczny. Pijany jeszcze Grzegorz gotów był do wszczęcia burdy i już zdążył sobie wyobrazić nawet wielkość swoich rogów, ale zatoczył się na ścianę i obudził drzemiącego Olega. Ten zerwał się szybko z łóżka i dopadł do intruza.

– Co?! – Grzegorz napiął mięśnie brzucha, by wykrzyknąć jeszcze więcej, ale plany spełzły mu na niczym, bo się przy tym opluł.

Oleg obejrzał się za siebie, sprawdzając, czy ten krzyk nie obudził Greta, ale ona nadal spała. Szarpnął Grzegorza za rozchełstaną koszulę i wypchnął go na korytarz. Sprowadził awanturnika, który po drodze próbował się szarpać i krzyknąć, piętro niżej i wepchnął go do pustego pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi. Grzegorz bez czucia padł na kanapę, ale już po chwili podniósł się z wysiłkiem i próbował siedzieć prosto.

– Co jest, kurwa?! – wrzasnął bełkotliwie. – Cudzych żon ci się zachciewa?!

– Zamknij się – rozkazał Oleg – i licz ze słowami.

Fakt, że Oleg niczemu nie zaprzeczył, wzbudził w Grzegorzu przekonanie, że jego podejrzenia są słuszne. Poczul się urażony i gotów był bronić swego honoru – bo honoru żony już nie było warto – ale nie dał rady nawet wstać z kanapy.

Oleg nie zamierzał dyskutować z tak pijanym facetem. Wyglądało na to, że Grzegorz za moment znów zaśnie, więc postanowił zostawić go samego. W chwili, gdy położył dłoń na klamce, usłyszał jego głos.

– Dobra jest, nie?

Grzegorz stał na chwiejnych nogach i uśmiechał się wyjątkowo obleśnie.

Oleg zatrzymał się nagle i odwrócił do niego. Szczęki zaciskały mu się ze złości, a pięści

utkwione w kieszeniach spodni aż pobieły. Zrobił krok w kierunku Grzegorza.

– Możesz ją sobie zatrzymać! – łaskawie pozwolił Marecki. – Po co mi używany towar?

Oleg zrobił jeszcze jeden krok i wyjąwszy rękę z kieszeni, bez chwili namysłu walnął Grzegorza w twarz z taką siłą, że ten od razu zwałił się na kanapę. Złapał się szybko za nos, z którego popłynęła krew, i z niedowierzaniem patrzył na Olega. Mierzyli się chwilę wzrokiem. Oleg stał tuż nad nim bez słowa, prezentując swoje mięśnie. Po chwili wyszedł i udał się do Greta. Nadal spała, więc żeby jej nie zbudzić, zamknął się w łazience, usiadł na brzegu wielkiej wanny i zapalił papierosa.

Wczesnym popołudniem salon Zacisza wreszcie ożył po nocnych zabawach. Można by wysnuć wniosek, że najdłużej regenerowali siły wcale nie ci, którzy dużo pili, ale ci, co mieli przy sobie damy. Jan, jako jedyny tutaj bez jakiegokolwiek kobiety, wstał pierwszy, krzątał się i parzył mocną kawę. Niedługo potem zwabiony silnym aromatem pojawił się w kuchni Oleg.

– Kawy? – spytał Jan, odwróciwszy się na jego widok.

– To może ja zrobię... – Oleg przypomniał sobie o powinnościach gospodarza i bezskutecznie próbował przejąć czajnik.

– Stary, skąd wzięłeś w środku zimy takie wonne zioła? – Jan zalewał wrzątkiem drugą filiżankę. – Rewelacja, spałem jak na łące.

– To patent Greta.

Oleg przyswoił sobie zwyczaj panujący w Burzanach i u siebie także rozkładał pod poduszkami i po kątach suszone zioła.

– A właśnie – Jan podłapał temat. – Wiesz, byłem pewien, że już się nią znudziłeś. I tak poświęciłeś jej więcej uwagi niż innym dziewczynom. Znów chce ci się do tego wracać?

– Uhm... – mruknął Oleg, pociągając łyk kawy.

Właściwie Jan nie rozumiał, co Oleg miał na myśli. Może to, że faktycznie, jak na niego, to poświęcił Grecie już za dużo czasu, a może to, że zamierzał odnowić ten romans.

Na górze zaskrzybiały drzwi i po chwili dało się słyszeć kroki i stąpanie po schodach. Do kuchni weszła Greta, a tuż za nią stał skacowany Grzegorz z zaczerwienionym nosem. Oleg spojrzął na nich znad filiżanki. Nikt się nie odzywał, mężczyźni mierzyli się wzrokiem, a Greta milczała, bo nie miała pojęcia, jak się wytłumaczyć z tego, że zamiast przy mężu spędziła tę noc w towarzystwie Olega. Napięcie spróbował rozładować Jan.

– Zapraszam na kawę – powiedział i sięgnął po filiżanki.

– Dziękuję – odezwała się wreszcie Greta – ale nie będziemy nic pili. Późno się zrobiło, czas na nas. Dziękujemy za zaproszenie i za udany wieczór.

Jej słowa wprawdzie niedokładnie odzwierciedlały sytuację, ale mimo wszystko dla Greta był to bardzo udany sylwester. Grzegorz zapewne miał na ten temat odmienne zdanie, ale uparcie milczał. Niedługo potem Oleg odprowadził gości do auta, wymienił z Grzegorzem grzecznościowy uścisk dłoni, a Gretę na pożegnanie pocałował w policzek. Zrobił to z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że po prostu tego chciał, a po drugie po to, by wzbudzić w Grzegorzu zazdrość i wściekłość. No i mu się udało. Choć Marecki zdobył się na to, by opanować emocje i niczego po sobie nie pokazać, to jednak Oleg zasiał w nim kolejne już ziarno niepewności. Wyjeżdżając z Zacisza, miał mętlik w głowie i sam już nie wiedział, czy żona go zdradza i czy jeszcze cokolwiek do niej czuje. Do Burzan dojechali w bardzo zwarzonych humorach.

## Rozdział 23

Styczeń rozpoczął się typowo zimową pogodą. Dni były krótkie, szare, a z ciągnących się nisko nad ziemią chmur wciąż padał śnieg. Mareccy wrócili do Warszawy, do codziennych obowiązków i do normalnego życia. Jednak nad tym życiem też zawisły ołowiane chmury. Rankiem mijali się w kuchni, całe dnie spędzali w pracy, a wieczorami i nocami nic się między nimi nie działo. Początkowo oboje przejawiali wolę pojednania, ale prawie każda rozmowa kończyła się kłótnią i przrzucaniem odpowiedzialności za kryzys w małżeństwie.

Choć maile o domniemanej zdradzie Grzegorza przestały już przychodzić, to Greta i tak nie dawała wiary jego zapewnieniom i sądziła, że jednak coś było na rzeczy. Podobne myśli zżerały i Grzegorza. Nie było dnia, by nie przywoływał w pamięci obrazu żony tańczącej w objęciach Olega i śpiącej na jego ramieniu. Wciąż zastanawiał się, czy to tylko jej przyjaciel, czy już kochanek.

Wobec ciągłych nieporozumień oboje zaczęli zaniedbywać ten związek, coraz mniej ze sobą rozmawiali, żeby uniknąć awantur, jedno nie przejawiało ciekawości, co też dzieje się u tego drugiego, a w ich domu i sercach zagościł chłód. Grzegorz popołudniami gdzieś przepadał, na pytania żony, dokąd idzie, udzielał zdawkowych odpowiedzi, i sama już nie wiedziała, czy wybiera się na piwo, czy też może do kochanki, której rzekomo nie ma. Nie wiedziała, na czym stoi, i sytuacja ta coraz bardziej jej ciążyła.

W takiej mniej więcej atmosferze minął styczeń, a w lutym Grzegorz zaczął układać pewien plan. Zanim jednak przystąpił do jego realizacji, po raz ostatni postanowił spytać Gretę, czy nie zmieniła zdania na temat dziecka.

– Myślałam, że sobie to już wyjaśniliśmy – odpowiedziała spokojnie. – Na razie nie chcę mieć dzieci.

– A może chodzi o to, że to ze mną nie chcesz ich mieć? – spytał spokojnie, ale stanowczo.

– Może – Greta nie zamierzała wchodzić z nim w dyskusję, więc nic już nie dodała.

– Zresztą, nieważne – odpuścił i zmienił temat. – Chcę rozwodu.

Spojrzała na niego zaskoczona. Właściwie nie powinna się dziwić, ale głośne wypowiedzenie tych słów wytrąciło ją z równowagi.

– Jutro złożę pozew. – Oczekiwał z jej strony wybuchu gniewu, ale nic takiego nie nastąpiło.

Prawdę mówiąc, od tego momentu zaczęła być coraz bardziej spokojna. Owszem, czuła się niepewnie i była trochę przestraszona, ale przecież od jakiegoś już czasu rzeczy szły w tym właśnie kierunku. Miała świadomość, że swoje małżeństwo narazili na poważną próbę, i liczyła się z tym, że wszystkie te nieporozumienia mogą poskutkować rozwodem. Znaleźli się na takim rozdrożu, że oboje mieli szczerą chęć na rozejście się w różne strony. To, że Grzegorz zażądał rozwodu, wytrąciło Gretę z równowagi tylko na moment. Kiedy emocje nieco opadły, w duchu przyznała mu rację. Przynajmniej w tej kwestii byli zgodni. Sprawa zdawała się przesądzona i teraz należało przywyknąć do nowej sytuacji i ją zaakceptować. Od tej chwili to, czy Grzegorz ma kochankę, nie miało już większego znaczenia.

Choć zgodzili się co do rozwodu, to bynajmniej rozmowy na ten temat do spokojnych nie należały. Wciąż nawzajem obciążali się odpowiedzialnością za rozpad małżeństwa, byli skłonni chyba w nieskończoność skakać sobie do gardeł. Grzegorz w końcu kiedyś nie wytrzymał, podniósł się z kanapy, szybko włożył buty i chwycił kurtkę.

– Dokąd idziesz? – tylko o to zdążyła zapytać Greta, bo już był w progu.

– Do kochanki – burknął i trzasnął drzwiami.

Po chwili widziała go przez okno, jak wsiada do jeepa i dokądś odjeżdża. Wrócił bardzo późno, ale Greta jeszcze nie spała i gdy tylko usłyszała zgrzyt klucza w zamku, podeszła do drzwi i w momencie, kiedy wieszal kurtkę na wieszaku, odezwała się do niego:

– Myślę, że powinieneś się wyprowadzić.

Spojrzał na nią w osłupieniu, ale najwyraźniej nie zamierzał już się z nią kłócić, bo spokojnie odpowiedział:

– Jutro. – Ominął ją i poszedł pod prysznic, a następnie pościelił sobie na kanapie w salonie.

Nazajutrz rzeczywiście się wyprowadził. Zabrał ze sobą niewiele rzeczy, zupełnie jakby wybierał się na jakieś wczasy, a nie zmieniał adres zamieszkania. Dokąd się przeniósł, o to Greta nie pytała. Złożył też pozew.

I dopiero teraz w ursuskim mieszkaniu zapanowały cisza i prawdziwy spokój. Greta nie była zadowolona z tego, że stała się współwinna rozpadu swojego małżeństwa, ale też i nie rozpaczała z tego powodu. Ot, ogarnęły ją smutek i nostalgia, ale nie mogła tego nazwać tragedią. Z upływem dni zaczynała się przyzwyczajać do nowej sytuacji i, o dziwo, jednak nie żałowała rozstania. Najbardziej obawiała się reakcji Michała, dlatego też na razie postanowiła nic mu nie mówić. Unikała rozmów na temat Grzegorza i wizyt w Burzanach.

Pierwszą rozprawę wyznaczono na drugą połowę marca. W razie potrzeby Greta zamierzała wykorzystać jako dowód anonimowe maile. W czasie pomiędzy jedną a drugą rozprawą dostała kolejny anonim. Tym razem autor donosił o niesamowitych rewelacjach: „Z jedną się rozwodzi, z drugą dzieci płodzi”. Wieść ta, choć niedająca żadnej pewności na temat ojcostwa Grzegorza, zburzyła wąty jeszcze spokój Greta. Dziewczyna poczuła się dotknięta, że zostawił ją, bo będzie miał dziecko z inną, ale i to przetrwała, po czym znów zaczęła się uspokajać. Jedyną jej reakcją na otrzymaną wiadomość było wykrzyknięte w próżnię:

– Bydlak!

Przez trzy miesiące, które minęły od ostatniego spotkania z Olegiem, Greta była z nim w stałym, ale niezbyt częstym kontakcie telefonicznym. Od czasu do czasu dzwonili do siebie i miło gawędzili. Zawsze potem miała ochotę wsiąść w samochód, natychmiast pojechać do Zacisza i co najmniej przytulić się do niego. On zresztą miewał podobne pragnienia, ale kiedy zwierzyła mu się, że się rozwodzi, tak przestraszył się tej wiadomości, że na dłuższy czas wyjechał do Lwowa pod pretekstem interesów. Była to jednak zwykła ucieczka. Z doświadczenia wiedział, że wolna kobieta to natrętna kobieta. A takich bał się najbardziej. Przestraszył się myśli, że Greta mogłaby chcieć na przykład się do niego wprowadzić. Choć, po chwili zastanowienia, myśl ta wydała mu się jednak nie najgłupsza.

Kiedy już przetrwał wieść o rozwodzie i się z nią oswoił, wrócił ze Lwowa i zadzwonił do Greta.

– Myślałam, że o mnie zapomniłeś – zaśmiała się ciepło do słuchawki.

Nie próbował się nawet tłumaczyć, tylko szybko zaproponował spotkanie. A ona wcale się nie zastanawiała. Nie grzesząc ostrożnością – przecież Grzegorz miał wciąż prawo przyjść do swojego mieszkania – zaprosiła Olega do siebie.

Pojawił się w progu z butelką czerwonego wina w dłoni. Wydał się Grecie bardziej pociągający niż zwykle. Usunęła się na bok i wpuściła go do środka. Stał w przedpokoju i pocałował ją w policzek. Wionęło od niego zimowym chłodem i dobrą wodą kolońską.

– Jak miło cię widzieć – powiedział szczerze.

Wszedł za nią do kuchni i przyglądał się, jak wspina się na palce, by sięgnąć po kieliszki. Obserwował ją w milczeniu, nieświadomie zaciskając przy tym pięści. Jak zawsze w jej towarzystwie miał nieodpartą chęć podejść do niej od tyłu, szarpnąć ją niemal brutalnie za włosy spływające po karku i wessać się zachłannie w jej usta. Wciąż i niezmiennie pozostawał pod jej urokiem od blisko roku. Nie ulegało to wątpliwości, choć sam nie chciał się jeszcze do tego przyznać.

Zrobił krok w jej kierunku akurat w momencie, gdy ona wzięła już kieliszki i odwróciła się gwałtownie, by postawić je na stole. Zderzyli się ze sobą z taką siłą, że aż zadźwięczało szkło w jej dłoniach. Wyciągnął przed siebie ręce, gotów ją w każdej chwili przytrzymać, gdyby straciła równowagę, a ona po prostu wpadła w nie jak w koszyk i pozostała tak bez ruchu. Zamknął ją w swoim uścisku i oparł brodę na jej rudej głowie. Od dawna już byli na takim etapie znajomości,

że nie odczuwali skrepowania ani zażenowania, jedynie radość z tej bliskości dwojga targanych pożądaniem ciał. O skrupułach w przypadku Greta także nie było już mowy – zwłaszcza w zaistniałych okolicznościach, na chwilę przed rozwodem.

– Jesteś głodny? – spytała. – Masz ochotę na kolację?

– Mam ochotę tylko na ciebie. – Dotknął jej policzka.

Dopiero teraz sobie uświadomił, jak bardzo się za nią stęsknił. I od razu pomyślał, że właściwie nie ma pojęcia, jak wytrzymał bez niej prawie trzy miesiące. „Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę”. Odgarnął jej włosy za uszy i pogłaskał ją po głowie. „Jednakże, gdy cię długo nie oglądam, czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam”. Pochylił się do jej ust i pocałował ją, najpierw delikatnie, sprawdzając, czy mu nie ucieknie, a potem wręcz natarczywie. Ta dziewczyna była jego największym nałogiem.

– Otworzysz wino? – Greta zachowywała się, jakby nie wiedziała, co ma robić, i dla zyskania na czasie postanowiła przerwać tę błogą chwilę.

Przyszło jej to z trudem, ponieważ pragnęła dokładnie tego samego co Oleg. Ale o ile on nawykł do częstych kontaktów z kobietami, o tyle ona była zazwyczaj ostrożna, nie chcąc zostać zranioną. Wciąż miała w pamięci to, że Oleg próbował zachować dystans po powrocie z Bieszczadów. Nie miała mu co prawda tego za złe, bo w końcu niczego sobie nie obiecywali, ale po cichu zaczęła marzyć, że może coś jednak z tego będzie.

A teraz, kiedy na powrót znalazła się w jego ramionach, kiedy znów szybciej zabiło jej serce, wszystkie wątpliwości odeszły i zdrowy rozsądek został natychmiast uspijony. Ech, i po co nam tyle szkół i fakultetów, kiedy w obliczu naszych żądz często pozostajemy głupcami?

Oleg rozluźnił uścisk, odstał krok do tyłu i uśmiechając się przyjaźnie, sięgnął po butelkę. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu korkociągu, ale nigdzie go nie dostrzegł. Greta niemal natychmiast otworzyła szufladę i hałasując znajdującymi się tam przedmiotami, wyszukała korkociąg i podała go Olegowi na wyciągniętej dłoni. W każdym goście, spojrzeniu, niedopowiedzeniu był element silnego napięcia seksualnego i w mieszkaniu zdawało się iskrzyć. Można by pomyśleć, że powietrze w pokoju przesyci się zaraz ozonem.

Usiedli na kanapie z lampkami wina w dłoniach i spróbowali porozmawiać, bo tematów co prawda wiele się nagromadziło od czasu ich ostatniego spotkania, ale w głowie mieli tylko jedno: kochać się tu i teraz. Udało im się jednak zamienić kilka słów. O Danile z Irminą, Lwowie, biżuterii, drewnianych kurewkach, Zaciszu, nawet trochę o Michale i w końcu o rozwodzie.

Najprzyjemniej życie toczyło się chyba Daniłowi. W ostatnich miesiącach zmieniło się u niego dosłownie wszystko. I to na lepsze. Jego talent okazał się na tyle duży, że wciąż z powodzeniem rzeźbił i szkicował projekty biżuterii. Wszystko, co tylko stworzył czy firmował swoim nazwiskiem, sprzedawało się na pniu. Oleg uregulował z nim wreszcie współpracę wszelkimi niezbędnymi umowami, tak że Danił był ubezpieczony, pobierał nieregularnie wprawdzie, ale za to wysokie wynagrodzenie i przestał pracować w szarej strefie. Poza tym jego miłość do Irminy kwitła i nic nie zapowiadało jej załamania. Ani on, ani Irmina nie mieli żadnych oporów, by ze sobą być, i pewnie właśnie dlatego czuli się szczęśliwsi od Olega i Greta. Poddali się po prostu swoim żądom i pragnieniom i na razie niezwykle sobie ten wybór chwalili.

– Bardzo się cieszę, że Danił jest szczęśliwy. – Greta z wyraźnym zadowoleniem słuchała opowieści Olega. – To świetny gość, należy mu się coś dobrego od życia, tylko...

– Tak, tak, wiem – wszedł jej w słowo. – Jest wrażliwy i trzeba na niego uważać. – Troska Greta o przyjaciela szczerze go bawiła. – To już duży chłopiec, poradzi sobie.

– Ale jego tak łatwo jest skrzywdzić i okłamać – Greta wciąż jeszcze się obawiała, że Danił wcześniej czy później zostanie oszukany.

– Posłuchaj – Oleg zniecierpliwiał się, bo nie miał ochoty nieustannie jej zapewniać, że wszystko będzie dobrze – Danił jest nieco zbyt infantylny, ale nie jest głupkiem. A Irmina nie jest potworem. Na pewno jest teraz zadowolona z tego, że ją ktoś pokochał i że może się kimś zaopiekować. Ja też nie jestem żadnym barbarzyńcą i dopóki opłaca mi się z nim pracować i w niego inwestować, na pewno źle na tym nie wyjdzie. A jak już mi się znudzi jego *Kamasutra* i polna biżuteria, to się uczciwie rozstaniemy. Krótka piłka – Oleg był coraz bardziej stanowczy. –

Jak długo jeszcze będziesz mi przypominać, jaki to on jest biedny i nieporadny?! Czasem mam wrażenie, że to ludzie zrobili z niego wariata na własne potrzeby, żeby udawać, że się o niego troszczą.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Oleg czuł, że się zagalopował, ale nie mógł już dłużej wytrzymać. A Greta przyglądała mu się z coraz mocniej bijącym sercem. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że właśnie takiego lubi go najbardziej. Ona też dopiero teraz uświadamiała sobie, że to, co ją w nim tak pociąga, to ta siła charakteru, który nie ugina się przed niczym i nikim. Upór, stanowczość i bezkompromisowość przechodzące czasem w brutalność – oto, co tak ją w nim fascynowało. Do tej pory nie przyznawała się przed samą sobą, ale podniecało ją w nim nawet to, kiedy zbyt mocno ścisnął jej ramię albo nachalnie rozchyłał jej uda.

– Przepraszam – Oleg rzadko używał tego słowa – ale szlag mnie trafia, kiedy widzę, jak się o niego troszczysz! Chciałbym, żebyś to mną się tak zainteresowała.

– Ty jesteś zazdrosny... – powiedziała z wielkim niedowierzaniem, że odkryła właśnie tak prostą prawdę.

– Jestem... – przyznał wbrew sobie. – Nie rozumiem tego, ale od prawie roku jesteś ciągle obecna w moim życiu. Nie przywykłem do tego, nie potrafię o tobie zapomnieć.

To, co jej powiedział, było zaledwie wierzchołkiem góry jego uczuć. Ogarnęła go złość na samego siebie, że tak się przed nią odsłonił. Oleg Hawryło nigdy przed nikim nie spowiadał się ze swych emocji. I było wielce prawdopodobne, że nikomu dotąd nie powiedział, że go kocha. Na pewno od niego nie usłyszała tego nigdy jego matka i chyba żadna kobieta, która mu się oddała. Grety też co prawda nie zaszczycił dotąd takim wyznaniem, ale był już tego bliski. Gdyby przed chwilą pozwolił sobie powiedzieć o wszystkim, co czuje, musiałby przyznać, że Greta jest dla niego kimś bardzo ważnym. Kimś, kto go hipnotyzuje i nad nim panuje, chociaż on bardzo próbuje się przed tym bronić. Czy jest to miłość, czy tylko wyjątkowo silne pożądanie? Skąd niby ma to wiedzieć ktoś, kto nigdy dotąd nie kochał i drwił z prawdziwych uczuć? O, ironio! Wykształcony, bystry i inteligentny facet, który poznał cały świat i setki kobiet, siedział teraz bezradny jak dziecko, zdradzony przez swój rozum, pokonany przez własne serce. Budziła się w nim świadomość tego, że znajduje się pod absolutnym władaniem Grety, ale za nic nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. A do tej pory nie było chyba na świecie rzeczy, której Oleg pojąć by nie umiał. I oto tkwił właśnie przed największą zagadką swego życia. Patrzący na niego wielkie szmaragdowe oczy, które śmiały się do niego spod burzy rudych pukli. Człowiek zgłębił niezwykle tajniki nauki, a wciąż gubi się w zakamarkach własnej duszy. To jak to z nim w końcu jest: jest wielki i potężny niczym bóg czy też próżny i malutki jak pył?

Greta przysunęła się do Olega i czekała na jego krok. W lot pojął jej zamiary i zagarnął dłonią jej kark, przyciągając ją do siebie. Ani przez moment nie pomyślał, że może sprawiać jej ból. Wczepił swoje palce w jej szyję i plecy, po czym zachłannie przylgnął do jej ust. Nie próbowała nawet z nim walczyć, poddała się wszystkiemu, co czynił z jej ciałem. Całował ją namiętnie i mocno. Silnymi wargami rozwarł jej usta, szukając jej języka. Grecie zaszumiało w głowie, chwilami traciła oddech, a z głębi ciała wyrwał się tłumiony jęk rozkoszy.

– „Któż zatem jesteś?” – wyszeptała, nie rozumiejąc zupełnie tak samo jak on, co się dzieje z jej ciałem i umysłem.

– „Cząstka siły mała, co złego pragnąc zawsze dobro działa” – odpowiedział, spoglądając jej głęboko w oczy, a ona nie miała bladego pojęcia, jak bezbłędnie trafiła z tym cytatem.

– I do tego znawca literatury – była tak zdziwiona, że przestała odpowiadać na pocałunki.

– Zaskoczona? – Oleg się roześmiał.

– Bardzo – odpowiedziała szczerze. – Gdzieżeś ty się uchowal? Przystojny, wolny, inteligentny... Czyżbyś był do tej pory niewidzialny, czy co?

– Prawie – znów się śmiał. – Czekałem na ciebie przez całe życie.

Zignorowała jego słowa, bo za bardzo trąciły romantyzmem, którego nie lubiła. To, co powiedział, było kompletnie wbrew jego zasadom – on także nigdy nie bawił się w cikliwe gadanie, ale w tej chwili wyznał jej szczerą prawdę.

– Gdybym miała taki wielki dom jak ty – Greta zmieniła temat – tobym sobie urządziła

piękną bibliotekę. Księgi stałyby na wszystkich ścianach, od podłogi aż po sufit – rozmarzyła się. – Na środku postawiłabym ogromny skórzany fotel, a przy nim niewielki stolik. Chybabym stamtąd nie wychodziła.

– Chętnie posiedziałbym tam z tobą.

Chwilowo czar namiętności prysł, ale za to nawiązała się pomiędzy nimi rzeczowa rozmowa. Wrócili do picia wina, a Oleg zaczął opowiadać o Zaciszu. Dwór już w całości został odnowiony, teraz pozostawało jedynie porządnie zająć się obejściem. W całej okolicy było jeszcze mnóstwo do zrobienia – Oleg zamierzał przywrócić świetność ogrodu, sadu i parku. Dotychczas stare drzewa owocowe posadzone były na przemian z tymi ozdobnymi, tak że nie wiadomo było, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna sad, i czy to już jest park czy jeszcze nie. Plan Olega zakładał pozostawienie wszystkich zdrowych drzew owocowych i dosadzenie wielu nowych. Marzył mu się ogromny park na miarę wielkich arystokratycznych rodów oraz ogród warzywny i kwiatowy. I koniecznie całe łąny ziół, z którymi nierozzerwalnie kojarzył Gretę. Od chwili, gdy włożyła mu pod poduszkę pęk kwiecica, już sobie nie wyobrażał domu bez ich zapachu.

Czas już był najwyższy, by zacząć kupować sadzonki i nasiona drzew, krzewów, kwiatów i warzyw. Olegowi marzyły się wszelkie płody rolne, jakie tylko poleska ziemia jest w stanie z siebie wydać. Chciał spędzać całe dni otoczony przyrodą i cieszyć oko widokiem swoich ziem. Dość już miał wielkiego świata i coraz bardziej przekonywał się, że odnalazł szczęście na polskich kresach. Czuł się cudownie, powoli wrastając w tamtejszy krajobraz. Piłsudski miał rację, mówiąc, że Polska jest jak obwarzanek – to, co najlepsze, leży na jej skraju. W środku jest tylko dziura.

Ambitny plan zdawał się wyśmienity, ale Oleg szybko uświadomił sobie, że ma spore niedociągnięcia. Otóż posiadać własny sad, park i ogród to jedno, a uprawiać je to zupełnie co innego. Wszelkie prace rolne w wykonaniu Olega odpadały. Nie miał na nie ani czasu, ani ochoty. Nie zamierzał zresztą rezygnować ze swych dotychczasowych zajęć. Wciąż prowadził biznes z Janem i Irminą, od czasu do czasu udawał się na ekspedycje w poszukiwaniu cennych kruszców, pilnował interesów jubilerskich i, na dokładkę, zajmował się sprzedażą dzieł Daniła. Zajęć starczało mu więc aż nadto, w Zaciszu planował po prostu odpoczywać. Musiał wobec tego jeszcze raz przemyśleć plan posiadania warzywniaka i sadu. Z żadnego z nich ani myślał rezygnować, ale trzeba było to wszystko porządnie przeanalizować. Bo że jakieś wyjście z tej sytuacji istniało, w to nie wątpił. Z doświadczenia wiedział, że tam, gdzie głowa ludzka nie ma już pomysłów, z powodzeniem radzą sobie pieniądze. A że tych miał nie wiedzieć ile, problem zdawał się rozwiązany. Pozostało tylko wyszukać odpowiednie ręce do obrotu tej gotówki. I tu z pomocą przyszła Greta.

– Sad, park i ogród warzywny? – powtórzyła jego słowa, myśląc jednocześnie intensywnie, kto mógłby mu w tym pomóc.

– Tak – potwierdził. – I jeszcze mnóstwo kwiatów, całe zagony ziół i może staw rybny.

– No nie wiem... Na wsi każda kobieta potrafi zająć się ogródkiem, ale na taką skalę to raczej nie. Młodzież pucieką do miast, wieś pustoszeje, pozostały jedynie stare kobiety. Mają wiedzę, ale sił już nie.

– A ja bym chciał, żeby dopilnowały wszystkich roślin i jeszcze przetwory z nich robiły. Marzy mi się ogromna spiżarnia, aż po sufit wypchana słojami ogórków, śliwek w occie, marynowanego czosnku. Dobrze zapłacę...

– Tu nie chodzi o pieniądze. – Greta postukała go w czoło. – Nie wszystko da się kupić.

– Z doświadczenia wiem, że jednak bardzo wiele jest na sprzedaż – powiedział z przekonaniem.

– Wycenić, sprzedać czy też kupić możesz swoje kamienie, ale spróbuj kupić ludzką wdzięczność, lojalność, że o miłości nie wspomnę. Widać, że lepszy z ciebie biznesmen niż psycholog.

Oleg poważnie zastanowił się nad jej słowami, ale niezupełnie się z nimi zgadzał. Widział w życiu wielu wiernych i wdzięcznych właśnie za sprawą pieniędzy. Takich, którzy kochali jak na zawołanie pod wpływem waluty, także niestety spotykał. Przemilczał to jednak i zauważył w myślach, że może oto znalazł kolejny powód do zamieszkania w swym dworze: może na tych



Kresach wartości takie jak wierność, wdzięczność czy miłość rzeczywiście są bezcenne... Czy jeszcze są takie miejsca i tacy ludzie? Chętnie się o tym przekona.

Greta zasugerowała Olegowi, by w sprawie sadu i ogrodu skontaktował się z kimś, kto na co dzień przebywa wśród miejscowych. Poradziła mu kontakt z Michałem, ale Oleg tylko się skrzywił i odmówił. Zastanawiali się nad zaproponowaniem objęcia stanowiska ogrodnika w Zaciszu żonie Nawrockiego, ale porzucili tę myśl ze względu na jej pijaństwo. Pojawiła się także opcja zatrudnienia żony Macieja, ale tej Oleg nie znał. Po namyśle dotarło jednak do niego, że w ogóle mało zna tamtejszych ludzi i wybór ma raczej niewielki.

– Nie wiem – Greta była już bliska rezygnacji – no to może Helena. Zna się na ziołach, robi świetne nalewki i likiery, no i oporządza własny ogródek, to pewnie potrafi zrobić kompot i ukusić kapusty.

Na tę myśl Oleg też się skrzywił, ale nie dlatego, żeby mu osoba Heleny nie odpowiadała, tylko że przeczuwał, iż mu odmówi. Ledwie się znali, ale w tej kobiecie było coś, co odzierało go ze wszystkich jemu tylko znanych tajemnic. Miał wrażenie, że wystarczy jej raz na niego spojrzeć, by wszystko o nim wiedzieć. Nie miał nic do ukrycia, więc się jej nie obawiał. Było w niej coś ze znachorki i wiedźmy, trochę go śmieszyła jej ciemnota, ale też i podziwiał w niej ten niezwykły instynkt, jakiś szósty zmysł, którym go bezbłędnie prześwieblała. A że lubił wyzwania, postanowił podjąć próbę i zwerbować ją do pomocy. Zamierzał zaproponować jej opiekę nad swoim warzywniakiem, sadem i ziołami w zamian za solidne uposażenie. Poza tym mogłaby całkowicie zrezygnować z uprawy warzyw w swoim ogrodzie, bo do jej dyspozycji byłoby wszystko, co wyhoduje u niego. Helena mogłaby na jego gazie, w jego kuchni przygotowywać najrozmaitsze przetwory, sporą część zabierając sobie do domu. Był gotów nawet jej to wszystko na miejsce transportować. Myśl ta wydała mu się całkiem sensowna i zaraz po powrocie do Ordów zamierzał wcielić ją w życie.

Butelka była już pusta. Greta wstała z kanapy, wzięła kieliszki i poszła do kuchni. Szum odkręconej wody wyrwał Olega z zamyślenia. Spojrzał na puste miejsce obok siebie i bez wahania poszedł za nią. Ona być może słyszała jego kroki, ale nie zareagowała. Stał tuż za nią i wsunął dłonie w kieszenie jej ołówkowej spódnicy. Szybkim ruchem przycisnął jej biodra do swoich, aż poczuła jego krocze. Przechylił głowę do jej ucha i zaczął ssać jego płatek, a potem obsypał pocałunkami kark i szyję. Był już tak niecierpliwy, że odciągnął ją od zlewu i nie przestając jej całować, popchnął ją delikatnie, ale stanowczo w kierunku kuchennego blatu. Zgarnął dłonią leżący tam korkociąg i korek od wina, po czym szybkim ruchem podsadził Gretę, jakby była piórkiem w jego dłoniach. Miał teraz jej twarz tuż przed sobą. Cały czas ją całował, dłońmi wczepiając się w jej uda. Siedziała grzecznie jak mała bezwolna dziewczynka, kolana trzymając jedno przy drugim. Wystarczył ułamek sekundy, by Oleg wdarł się między nie i rozchylił je władczo, unosząc lekki materiał spódnicy. Wyczuł pod palcami koronkę jej pończoch i już nie był w stanie dłużej nad sobą panować. Zdarł z niej bluzkę i gorączkowo szukał suwaka spódnicy. Greta również nie traciła czasu, rozbierając go równie szybko i gwałtownie jak on ją. Wziął ją na kuchennym blacie ostro i mocno, bez zbędnych słów, czyli dokładnie tak, jak lubiła najbardziej.

Tego wieczoru i nocy kochali się dziko i namiętnie jeszcze kilka razy.

## Rozdział 24

Następne tygodnie Greta spędziła w Warszawie, pracując i przygotowując się do sprawy rozwodowej, a Oleg we Lwowie i w Zaciszu. Spotykali się jedynie na krótko w Warszawie w weekendy i wciąż byli sobą nienasyчени. Poza tymi chwilami we dwoje wiodli życie osobno, każde zajęte czym innym.

Greta już bez żalu żegnała się ze statusem mężatki. Grzegorz zresztą także nie rozpacział z powodu rozstania. Odkąd się wyprowadził, prawie się nie widywali. Raz tylko przyjechał bez zapowiedzi, by zabrać resztę swoich rzeczy, i wystarczyła tylko chwila, a prawie rzucili się sobie do gardeł. Jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, żadna ze stron nie zamierzała przyznać się do winy, choć oboje doskonale wiedzieli, że są współwinni. Od słowa do słowa jedno drugiemu wytknęło zdradę, licytowali się, które z nich zdradziło pierwsze, i jeszcze chwila, a gotowi byli wydrapać sobie oczy.

Aż dziw brał, że rok temu ich małżeństwo wydawało się trwałe i byli ze sobą naprawdę szczęśliwi. To, co teraz spędzało Grecie sen z powiek, dotyczyło spraw czysto materialnych. Przerzała ją bowiem perspektywa podziału ich i tak niewielkiego majątku. Jedyne, co posiadali, to małe warszawskie mieszkanko na kredyt i stary samochód. Żyli na ogół bez oszczędności, więc Greta mogła liczyć tylko na swoją pensję. Była ona wprawdzie całkiem solidna, ale w tej sytuacji i tak nie dawała jej poczucia bezpieczeństwa.

Chwilowo była bez samochodu, bo jeepa zabrał Grzegorz. Za moment miała także pozostać bez dachu nad głową i tym martwiła się najbardziej. Kolejną jej troską stał się Michał. Od dość dawna u niego nie była, ale kontakt telefoniczny mieli stale. Powiedziała mu wreszcie o rozwodzie, a biedak nie mógł się z tym pogodzić. Oszczędziła mu oczywiście szczegółów całego rozejścia, zasugerowała jedynie, że Grzegorz ma inną kobietę, a o swoim romansie nie zdążyła nawet wspomnieć, bo Michał wszedł jej w słowo i niemal natychmiast całą winą za rozpad jej małżeństwa obarczył Olega.

– Ruda, bój się Boga! – wołał do słuchawki w rozpacz. – Opamiętaj się, dziewczyno! Przecież mu przysięgałaś!

– On mnie też – próbowała się bronić, ale do Michała nie docierały żadne argumenty.

– To wszystko przez tego bezbożnika! – zżymał się ksiądz. – Gdyby tu nie przyjechał i cię nie opętał, wszystko byłoby dobrze!

Atak na Olega rozżłościł Gretę, ale wszelkimi siłami starała się pozostać grzeczna.

Wiedziała, ile to wszystko Michała kosztuje, i tym bardziej chciała mu oszczędzić przykrości.

– Co twoim zdaniem powinnam teraz zrobić? – Tym razem nie bardzo zależało jej na radach Michała, ale postanowiła w ten sposób odwołać się do jego rozsądku. – Co byś zrobił na moim miejscu?

Michał zastanowił się przez chwilę. Najchętniej powiedziałby jej: nie romansowałbym, nie zdradzałbym męża, nie rozwodziłbym się, ale doskonale rozumiał, że sprawy zaszły na tyle daleko, że taką radę to teraz tylko o dupę potłuc. Co wobec tego powinien jej zasugerować? Że ma wrócić do męża? Przecież z tego, co mówiła, ten mąż już wcale jej nie chciał... Może rok temu dałoby się jakoś zaradzić temu rozwodowi, ale dziś już nawet Michał zaczynał rozumieć, że z tej mąki chleba nie będzie. Uświadomiwszy to sobie, skurczył się jakby pod ciężarem tej okrutnej prawdy.

– Ruda, coś ty narobiła? – jęknął.

Zapadło długie milczenie. Wreszcie Greta spróbowała się wytłumaczyć:

– Misiu, jak ty nic nie rozumiesz... Ten rozwód nie jest tragedią, nikogo nie krzywdzi, z nikogo nie robi sieroty – wyjaśniła mu jak dziecku, ale on zdawał się nie rozumieć jej słów. – Ja tylko chcę być szczęśliwa.

– A przysięga? – ksiądz nie dawał za wygraną, choć wiedział już, że nie wpłynie na decyzję ukochanej bratanicy.

– Przykro mi... Już za późno.

– Co on w sobie takiego ma, że cię tak opętał? – spróbował wpłynąć na Gretę jeszcze z tej strony.

A ona uśmiechnęła się nieświadomie na samo wspomnienie Olega i dobrze, że Michał nie mógł tego zobaczyć, bo jeszcze bardziej by się zatroskał.

– Daje mi radość – powiedziała po chwili namysłu. – I bezpieczeństwo. Tak, czuję się przy nim bezpieczna – stwierdziła z całym przekonaniem.

– To dzisiaj! – zawołał Michał. – A co będzie jutro, jak już się tobą znudzi?

– A skąd wiesz, że Grzegorz by się mną nigdy nie znudził? – jej argumenty były coraz słabsze i zaczynały przeradzać się w gdybanie. – A może to właśnie Oleg da mi spokojną starość i szczęście u schyłku życia? Dlaczego ty go tak nienawidzisz?

– Aj tam! – zawołał ksiądz i nic więcej nie powiedział.

Trudna i smutna rozmowa dobiegła końca.

Przedwiośnie nie przyniosło pięknej pogody, jedynie śnieżyce ustąpiły i mrozy zelzały. Poza tym było szaro, brudno i wciąż zimno. Oleg siedział w Zaciszu i zatrudniał architekta zieleni, ogrodnika i znów, po zimowej przerwie, Nawrockiego. Projekty sadu, parku i ogrodu były już zatwierdzone, lada dzień miały ruszyć prace polowe. Jeszcze tylko Helena stawiała opór i na wieść, że miałyby prowadzić Olegowi gospodarstwo, spluwała z pogardą pod nogi.

Oleg dostrzegł ją któregoś dnia przez okno, jak skracała sobie drogę przez jego włości, i wyszedł z nią porozmawiać. Stała przed nim wyprostowana i jakby gotowa do ataku, a on spokojnie złożył jej swoją propozycję. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, splunęła i nie chciała nawet dalej słuchać.

– Za mało proponuję? – nie dawał za wygraną. – Dobrze, dam więcej. Na pewno się dogadamy.

– Niedoczekanie twoje, żebyś ja tu pracować miała. – Wzięła w garść swe długie spódnice i zabrała się do odwrotu.

– No to jeszcze zobaczymy – mruknął Oleg pod nosem i aż zatarł dłonie z radości.

Helena mocno zaintrygowana wracała do domu. Od dawna przeczuwała, że przez Olega zmieni się całe życie księżowskiej synowicy. Zgadywała to jakimś sobie tylko znanym sposobem, może szóstym zmysłem, a że od lat cenila i szanowała Michała, toteż całym sercem trzymała jego stronę, choć tu przecież nikt z nikim na wojnę nie szedł. Był to pewien rodzaj solidarności z rodziną księdza. Właściwie do samego Olega nic nie miała, nie znała go przecież, ale doskonale wyczuwała tę wyższość, z którą tu do nich przyjechał, i odruchowo postanowiła trzymać się od niego z daleka. Nie wiedziała tylko, że od czasu ich spotkania w burzową noc Oleg złagodniał i nieco spokorniał. Choć buty w nim jeszcze pozostało sporo, to jednak nie było to już to samo, co przed rokiem.

Trzy dni później znów przechadzała się po jego lasach w poszukiwaniu korzonków do swych mikstur. Drzewa pozostawały jeszcze nagie, bezlistne, więc spacer po lesie były nieuciązliwe, a widoczność dobra. Jedyną niewygodę stanowiło błoto powstałe z rozmarzającej ziemi przemieszanej z zeszlorocznymi opadłymi liśćmi. I na takiej właśnie brei Helena pośliznęła się tak niefortunnie, że upadając, skręciła kostkę. Zrobiło jej się słabo i chyba nawet zemdląła, bo miała pewną lukę w pamięci. Ocknęła się ubłocona, z przesywającym ciałem bólem. Rozejrzała się dookoła, próbując znaleźć wyjście z opresji. Dni były jeszcze krótkie, a niebo zaciągnięte szarymi chmurami przyspieszało tylko zapadanie zmierzchu. Wiedziała, że raczej nie uda jej się samodzielnie dotrzeć do któregoś z gospodarstw, a istniało ryzyko, że mieszkańcy wsi nieprędko zaczną szukać samotnej kobiety. Mogą upłynąć długie godziny albo nawet i dni, zanim ktokolwiek się zorientuje, że nigdzie jej nie ma. W obliczu kończącego się dnia Helena zebrała wszystkie swe siły i z ogromnym trudem dźwignęła się na nogi. Znów poczuła ogarniającą ją słabość i ból rozdierający kostkę lewej nogi, ale była silna i nie zamierzała zbyt łatwo się poddawać.

– Tanio skóry nie sprzedam – mruknęła i stojąc na prawej nodze, oparła się o drzewo i ułamała suchą gałąź, którą zamierzała się wspomagać w znojmym marszu do domu.

Już po kilkunastu krokach zrozumiała, że o własnych siłach na miejsce jednak nie dotrze. Uznała, że musi przynajmniej wyjść z lasu, a potem może kto się trafi po drodze. Aby do ludzi, tam

pomogą. Wyjście na skraj lasu zdrowemu człowiekowi zajęłoby kilkadziesiąt minut. Helena po kwadransie męczącego marszu zrozumiała, że obrała zły kierunek i że w tym tempie nie dotrze na miejsce przed świtem. Do tego noga coraz bardziej puchła i bolała. Przystanąła więc na chwilę, oparłszy się o drzewo, i próbowała zebrać myśli. Najrozsądniej było kierować się na najbliższe zabudowania, czyli, niestety, Zacisze. Znów splunęła pod nogi na samą myśl o właścicielu dworu, ale co było robić? W obliczu zagrożenia nie mogła grymasić. Westchnęła ciężko i powlekła się przed siebie, kuśtykając.

Oleg tymczasem spokojnie dokładał drewno do kominka, jednocześnie rozmawiając przez telefon z Janem. Rozmowa była długa, częściowo tylko biznesowa, bo w większości składała się z męskich ploteczek. Na dworze zmierzchało, zerwał się silny zimny wiatr od północy. Pogoda była taka, że nawet psa żal by wyrzucać za drzwi. Oleg niespiesznie zrobił sobie kolację, otworzył piwo i zasiadł przed telewizorem, którego używał niezwykle rzadko.

Po dwudziestej drugiej u drzwi odezwała się kołatka. Zdziwiony, że ma gościa o tak późnej porze, podniósł się z kanapy i poszedł otworzyć. Helena resztką sił opierała się o ścianę. Zmierzyli się wzrokiem, po czym Oleg chwycił ją pod ramię i przejąwszy na siebie cały ciężar jej ciała, wprowadził do salonu. Była brudna, przemoczona, przemarznięta i u kresu wytrzymałości. Nie miała nawet siły, by otworzyć usta i wyjaśnić, co się stało. Oleg udzielał jej pomocy bez zbędnych pytań, prawie w milczeniu. Przyniósł z łazienki pudło z lekami i zaaplikował jej solidną dawkę ibuprofenu. Po kilkunastu minutach odkręcił prysznic i pomógł jej zdjąć ciężki od błota płaszcz, sweter, jedną bluzkę i buty, po czym ustawił w brodziku mały stołeczek i zostawił ją w łazience samą. W zasięgu jej ręki na wieszaku wisiały przygotowane ręczniki i szlafrok.

– Spróbuj przynajmniej z grubsza się opłukać – powiedział. – W razie czego jestem za ścianą.

Tabletki zaczęły działać, Helena znieczuliła się tak skutecznie, że mogła powoli, siedząc na stołeczku, obmyć się z grubej warstwy błota. Czuła się tak zmęczona, że było jej już właściwie wszystko jedno. Przestała się gryźć tym, że korzysta z uprzejmości Olega. Kiedy tylko zazgrzytała klamka łazienkowych drzwi, Oleg natychmiast do niej przypadł i pomógł jej dojść do kanapy. Ułożył jej poduszki pod plecami i pod opuchniętą stopą, nastawił czajnik i zapalił gaz pod jakimś garnkiem. Wykonywał kilka czynności naraz, był delikatny i precyzyjny w każdym ruchu. Obejrzał i obmacał dwukrotnie grubszą niż zwyczajnie nogę. Było to prawdopodobnie silne skręcenie kostki, a opuchlizna pojawić się musiała na skutek naderwania więzadeł. Obrzęknięty staw nasmarował delikatnie żelem z apteczki, lekko okręcił bandażem, żeby nie zabrudzić kanapy, i poprawił poduszki. Na dźwięk gwizdzącego czajnika pobiegł do kuchni i już po chwili wniósł na tacy parujący kubek herbaty z koniakiem i talerz gorącej zupy.

– Dziękuję – odezwała się wreszcie Helena, gdy już zjadła i popijała herbatkę z prądem.

Oleg doskonale wiedział, jak wiele trudu kosztowało ją, by przyjść po pomoc właśnie do niego, i zdawał sobie sprawę, jak trudno było jej podziękować za opiekę.

– Jutro trzeba będzie prześwietlić tę nogę – powiedział. – Dziś już więcej nie mogę zrobić.

– Tyle wystarczy – odpowiedziała. – To i tak dużo.

Następnego dnia zamierzał zawieźć ją do lekarza, ale odmówiła. Poprosiła jedynie o odwiezienie do domu, ale tego z kolei on nie chciał uczynić.

– Nie przeszkadzasz mi tu – powiedział. – Możesz tu być tak długo, jak będzie trzeba. Potrzebujesz jeszcze opieki.

Helena próbowała protestować, najchętniej uciekłaby od niego w tej chwili, ale nie chciała być niegrzeczna i niewdzięczna. Obrzęk nogi się zmniejszał, ale skręcenie było tak poważne, że na razie stawianie na lewej stopie w ogóle nie wchodziło w grę. Mimo to powrót do domu byłby jak najbardziej możliwy. Z pewnością ktoś z sąsiadów pomógłby jej w codziennych czynnościach i wcale nie musiała zalegać w Zaciszu. Ale Olegowi właśnie na tym zależało – bo w jaki inny sposób mógłby ją urobić i nakłonić do współpracy?

Rekonwalescencja w dworze wcale nie okazała się taka straszna, jak Helena sądziła. Za dnia przewijało się tam wiele twarzy – Nawrocki, Danił, architekci, ogrodnik. Ten mały tłum pozwalał jej zapomnieć o niechęci do Olega, a i czas się nie dłużył i zdrowienie szło jakby szybciej.

Drugiego dnia Oleg wysłał Daniła do jej domu po ubrania na zmianę i wyglądało na to, że Helena trochę sobie powypoczywa w Zaciszu. Z początku leżała beczynn timer, ale szybko ją to znudziło i małymi kroczkami zaczęła poruszać się najpierw po salonie, potem po kuchni, a po tygodniu stanęła w progu i zaglądała ludziom przez ramię, przeszkadzając w robotach. Mając dużo wolnego czasu, bacznie obserwowała Olega i jego dom. Jego kontakty z robotnikami były jak najbardziej poprawne, nie wyzyskiwał ludzi, dobrze im płacił, a Nawrocki gotów był chwalić go bez przerwy. Danił zresztą też niczego złego już o nim nie miał do powiedzenia. Wszystko wskazywało na to, że Oleg jest z tej samej gliny co ona sama i każdy mieszkaniec Burzan. Chyba nieco na wyrost wyobrażała sobie, że ten wielki pan, co to ją jak burą sukę przegnał przed paroma miesiącami, żyje w jakiś inny sposób niż ona – jada co innego, sypia Bóg jeden wie na ilu koldrach, a może i służbę w domu trzyma, która się przed nim kłania co rusz i podnóżki za nim nosi. Tak to mniej więcej, sporo na wyrost, sobie wykoncypowała obraz bogatego Ukraińca, a tu tymczasem i jego dom także był zupełnie zwykły, choć obrzydliwie luksusowy. Urządzony z ogromnym przepychem, ale poza tym bez tych dziwactw, co to jej się tak roiły w głowie. No, może z wyjątkiem tych kurew na kominku. I ściany były jakieś takie nagie, bez jednego nawet krzyża. A sam Oleg? Też całkiem w porządku. Pracowity, lubiący i trzymający w domu porządek, może egoistyczny... ale kto to mógł wiedzieć na pewno? Trochę palił, trochę pił. Nie za dużo, nie na umór, ot, zwyczajnie, jak to Słowianin.

Wieczorami, kiedy już robotnicy szli do domów, zostawali we dworze sami i przeważnie milczeli, z rzadka tylko prowadząc rozmowy. Helena zwykle stawiała pasjanse, a on przynosił piwo lub wódkę i przepijali do siebie w milczeniu.

W drugim tygodniu wspólnego mieszkania Helena krzątała się już po domu, wycierała kurze i gotowała obiadki. Robiła to z nudów i beczynności, tłumacząc, że jest to sposób odwdzięczenia się Olegowi za jego troskliwą opiekę. Niespecjalnie oponował przed tym rodzajem wdzięczności, bo Helena zdjęła mu z barków trud sprzątania i gotowania, co go bardzo cieszyło.

Pod koniec drugiego tygodnia tej rezydentury Helena gotowa była zgodzić się już nawet na prowadzenie Olegowi warzywniaka, ale duma nie pozwalała jej się do tego przyznać.

Tymczasem zima zupełnie odpuściła, dni stawały się coraz cieplejsze, ziemia wchłaniała w siebie całe pokłady śniegu zalegającego przy szosach i płotach. Z każdym dniem na dworze robiło się coraz przyjemniej i można już było rozpocząć prace wokół dworu. Nawrocki ze swoimi ludźmi wmurowywał słupki ogrodzeniowe wokół całej posesji i zaczęli obkładać je kamieniem elewacyjnym. Prace znów ruszyły pełną parą.

Danił dostał kolejne zadanie do wykonania – Olegowi zamarzyły się piękne kute wrota przed kasztanową aleją i chłopak miał zaprojektować ich wzór. Chodził w zadumie przez dwa dni wśród kasztanów i zużył całkiem sporo papieru, aż w końcu wyrysował fantastyczne olbrzymie skrzydło bramy bogato zdobione kasztanowymi liśćmi i owocami. Niektóre z nich były jeszcze w kolczastych skorupkach, inne już pokazywały swe pękate brzuszki w rozłupanej łupince. Całość wskazywała na niezwykłą wyobraźnię autora. Oleg bez żadnych poprawek zaakceptował projekt i od razu wsiadł z Daniłem do auta, po czym pojechali do kowala. W okolicy nietrudno było o dobrego rzemieślnika, bo kowalstwo artystyczne od pewnego czasu przeżywało renesans. Kowal artysta na widok projektu zamarł w bezruchu, a gdy się ocknął, podrapał się w zatroskaniu w głowę. Zważył bowiem w swe umiejętności, ale przekalkulowawszy skalę przedsięwzięcia i wizję zarobku, postanowił podjąć się tego zadania. Wszyscy byli ciekawi efektu, choć towarzyszyły im przy tym zgoła różne uczucia: Oleg puchł z dumy na samo wyobrażenie tej bramy, Danił nie dowierzał, że znów przyczynił się do powstania czegoś pięknego, a kowal po prostu odczuwał strach.

W trzecim dniu żmudnej, koronkowej wręcz roboty wreszcie można było dostrzec pierwsze kształty bram. Były zupełnie w porządku, a z każdym kolejnym dniem wyglądały coraz lepiej. Oleg wyglądał na zadowolonego i postanowił poszerzyć współpracę z kowalem. Spod ołówka Daniła wychodziły tymczasem kolejne cudeńka: ławki parkowe, drewniane, ale na kutych łapach, grill murowany na kształt pieca chlebowego ze zdobionymi żelaznymi drzwiczkami, dwie drewniane kolumny z okuciami, na których rozpięty miał być hamak, smukłe lampy ogrodowe na wygiętych

cienkich nogach, oświetlające parkowe aleje. Olegowi niezwykle przypadło do gustu wszelkiego rodzaju łączenie stolarstwa z kowalstwem artystycznym.

Helena nie potrzebowała już niczyjej opieki, noga całkowicie się już zagoiła, więc wróciła wreszcie do siebie. Nie chcąc jednak wyjść na niewdzięczną, zachodziła dość często do Zacisza pod pretekstem ugotowania robotnikom obiadu. Przy okazji kurze przetarła, przejechała mopem podłogę, spojrziała ogrodnikowi przez ramię, jak ten kopał grządki. Mimo to do opieki nad ogrodem wciąż się nie deklarowała.

W Warszawie tymczasem Greta była już po pierwszej rozprawie. Zanosilo się na to, że wszystko może się zakończyć już na następnym posiedzeniu, czyli za tydzień. Ani Grzegorz, ani ona nie mieli złudzeń: czasu się nie cofnie, nie było co płakać nad rozlanym mlekiem. Dzieci nie mieli, majątek prawie żaden, ochoty na pojednanie brak, więc nie było sensu ratować tego wraku zwanego małżeństwem. Każde spotkanie było teraz dla nich nieprzyjemnym obowiązkiem.

Pozostało jeszcze tylko ustalić, w jaki sposób podzielą się mieszkaniem i samochodem. Greta chciałaby pozostać w mieszkaniu, ale na razie nie stać jej było na spłatę Grzegorza. On z kolei potrzebował pieniędzy i nie zamierzał dobrowolnie rezygnować z nadarzającej się okazji złapania jakiegokolwiek gotówki. W sierpniu miało przyjść na świat jego dziecko, więc ani mu się śniło podarować mieszkanie Grecie. Podział i tak niewielkiego majątku ustalili w bardzo napiętej atmosferze. Ostatecznie postanowili, że mieszkanie sprzedadzą i podzielą się pieniędzmi. Było to wyjście dobre dla Grzegorza, bo przeprowadził się do Anki, ale dla Grety niespecjalnie. Musiała liczyć się z tym, że czeka ją przeprowadzka do wynajmowanej kawalerki i nieprędko stać ją będzie na kupno własnego kąta. Co do samochodu, był on na tyle stary, że właściwie nie widziała sensu, by się o niego targować. Uznali dość zgodnie, że zostanie u Grzegorza, z tym że na najbliższy weekend pożyczycy go Grecie, by mogła pojechać do Burzan. A właściwie do Ordów.

W piątek po pracy Greta wsiadła więc do jepea i przed wieczorem była w Burzanach. Bardziej ciągnęło ją co prawda do Zacisza, ale przyjemności zostawiła sobie na później. Cały piątkowy wieczór poświęciła Michałowi, który nadal nie mógł przetrwać, że tak jej się życie pogmatwało. Można było odnieść wrażenie, że w całym tym rozwodzie to właśnie on stracił najwięcej. W każdym razie tak właśnie się zachowywał. Zdaniem Grety rozpaczal niewspółmiernie do zaistniałych okoliczności. W jego mniemaniu całą odpowiedzialność za rozpad małżeństwa Mareckich ponosił Oleg. Im dłużej nad tym się zastanawiał, tym bardziej go nienawdził.

Greta przenocowała u Michała, a w sobotę z samego rana opuściła dwór, zabierając ze sobą Wikarego. Jechała tu z trzema rodzajami tęsknoty: za Michałem, Bugiem i Olegiem. Gdyby ją spytano, która jest najsilniejsza, kolejność byłaby zdecydowanie inna. Stała w rozmarzeniu przy zakolu rzeki, tam gdzie przed rokiem na świeżej wiosennej trawie po raz pierwszy spotkała się z Olegiem. I tak jak rzeka zakręca w tym miejscu, tak i jej życie znalazło się na zakręcie. Wody Bugu przetaczały się spokojnie i leniwie pośród szarzyzny nagich drzew. Dopiero gdzieś niedaleko nieśmiało zielenić się zaczynały pąki na łozinach. Jeszcze z dwa tygodnie i miejsce to znów nabierze swych najpiękniejszych barw – soczystej, wiosennej młodości. Można już było szykować sztalugi i farby. Tylko patrzeć, jak wszystko tu ożyje.

W południe zajechała do Zacisza. Oleg czekał na nią od wczoraj w nadziei, że nie będzie nocować u Michała. Był trochę zawiedziony jej decyzją, ale za żadne skarby nie zamierzał przyznawać się do tego, że tęsknił za nią jak głupi. Wyszedł jej na spotkanie przed dwór i pomógł wysiąść z auta. Wokół kręcili się robotnicy, więc ich przywitanie było po prostu kurtuazyjne. Ale gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, dopadli do siebie jak wygłodniałe zwierzęta. Ich namiętność nie osłabła w ciągu minionego roku ani trochę. Z każdym spotkaniem pragnęli się z tą samą siłą i kochali się z jednakowym ogniem, który rozpałał ich nieustannie.

Po ostrym jak zwykle seksie znaleźli wreszcie czas na zwykłą rozmowę.

– Jak rozwód? – spytał od niechcienia Oleg.

– Niech to się już wreszcie skończy – odparła. – Mam nadzieję, że za tydzień będę znów

Gretą Burzańską.

– Może potrzebujesz prawnika? Jan na pewno kogoś poleci.

– Nie ma potrzeby. Grzegorz jest co prawda w wojowniczym nastroju, ale dam sobie radę –

pominęła fakt, że i jej nie udaje się zachować spokoju.

– A co z mieszkaniem?

– Sprzedajemy – odparła. – No i muszę szybko znaleźć jakieś lokum.

Zdawała sobie sprawę, że zaciąganie kredytu na kupno nowego mieszkania jest dla osoby samotnej, z umową o pracę na czas określony, rzeczą bardzo ryzykowną, jeśli nie niemożliwą. Oleg jednym pstryknięciem palców mógł wybawić Gretę z opresji. Wyjść z tej sytuacji znalazłoby się pewnie kilka, choćby zaproponowanie jej przeprowadzki do Ordów. Z jego możliwościami finansowymi mógł także zaoferować jej pomoc przy usamodzielnieniu się. Wszystkie jednak tego typu propozycje nie wchodziły w grę – z kilku powodów. Po pierwsze, Oleg panicznie bał się zamieszkania z kobietą. W jego mniemaniu taka decyzja oznaczała zabijanie namiętności. Poza tym nie było co się oszukiwać – nie zamierzał zmieniać swoich dotychczasowych przyzwyczajęń. Po drugie, choć kupno mieszkania dla Greta byłoby dla niego żadnym obciążeniem, to zbyt mocno obciążałoby jej dumę i prezentu takiego po prostu by nie przyjęła. Ale istniało jeszcze inne wyjście. Gdy tylko Oleg usłyszał o sprzedaży mieszkania, od razu podjął decyzję, że ma już kolejną robotę dla Jana.

Kiedy Greta brała prysznic, zatelefonował do przyjaciela i polecił mu dowiedzieć się o warunki kupna. Plan był prosty: odkupić mieszkanie od Mareckich tak, by nie skojarzyli tej transakcji bezpośrednio z osobą Olega. Nowym właścicielem mógł być na przykład Jan, Grecie wytłumaczyłby, że potrzebował mieszkania w Warszawie ze względu na częste przyjazdy służbowe, a że chwilowo nie zamierzał tam mieszkać, to ona mogłaby tam zostać, jak długo by zechciała. W tego rodzaju kombinacjach obaj byli znakomici, tak więc plan, po nieznacznym dopracowaniu, wydawał się idealny.

Weekend mijał szybko. W niedzielę, po sumie, do Zacisza wstąpiła Helena. Ot, tak po prostu, bez powodu, może wciąż z wdzięczności za opiekę w chorobie. Oleg był wobec niej uprzejmy, a i jej zelzały wcześniejsza zawziętość i niechęć. Greta przejęła obowiązki gospodyni, zajęła się herbatą i ciastem. Z przyjemnością obserwowała, jak Oleg z Heleną prowadzi niby zwykłą rozmowę, ale dogryzają sobie na każdym kroku. W każdym wypowiedzianym zdaniu pobrzmiwały kpina i ironia, ale raczej w myśl zasady „kto się czubi, ten się lubi”, niż ze zwykłej złośliwości.

Od czasu do czasu Helena zerknęła jakoś tak dziwnie na Gretę. Poza tym wszystko było zupełnie normalnie. Korzystając z okazji, Greta postanowiła urobić kobietę tak, by ta zgodziła się jednak zająć warzywnikiem Olega. Podchodziła ją, chwaliła, słodziła, aż w końcu Helena przystała na propozycję, by od czasu do czasu przysłała i za odpłatnością wypieliliła chwasty czy podała przepis na konfitury. Obie strony były zadowolone z tej ugody. Oleg chciał, by Helena wykonywała u niego znacznie więcej prac, ale by jej nie przestraszyć, na razie nic o tym nie wspominał. Z czasem na pewno uda się ją tutaj przeflancować. Helena z kolei gotowa była robić dużo więcej na tych pańskich włościach, ale jakoś wstyd jej się było do tego przyznać.

Staruszka wstała od stołu i zaczęła się zbierać do wyjścia. Na górze zadzwonił telefon. Oleg poszedł na piętro, a ona została sama z Gretą. Spojrzała przez ramię, czy gospodarz już zniknął, i popatrzyła na Gretę z powagą.

– Nie wsiadaj z dzieckiem do samochodu – ostrzegła ją i już wychodziła na dwór.

Greta zdziwiła się, słysząc tę radę, ale przecucia i zdolności Heleny znane były od lat w całej okolicy.

– Bez obaw – uśmiechnęła się. – Nie znam żadnych dzieci.

– Nie lekceważ tej rady – Helena pożegnała się szybko i wyszła.

Oleg zszedł z góry, trzymając w ręku komórkę. Wyglądał na nieco zakłopotanego i zdziwionego.

– Coś się stało? – spytała Greta troskliwie, widząc jego minę.

– Słyszałaś dzwoniący telefon?

– No pewnie – odparła. – Wszyscy słyszeliśmy.

– No właśnie... – Oleg był zdezorientowany. – A aparat nie odnotował żadnego połączenia.

Nikt do mnie nie dzwonił.

- Może nie ma zasięgu? – Greta szukała rozsądnego wyjaśnienia.
- Ale skoro telefon dzwonił, to powinien się wyświetlić numer...
- Może ten aparat się psuje? – dziewczyna wciąż próbowała myśleć logicznie.
- Może... – Oleg nie był co do tego przekonany, przyjął jednak taką wersję.



## Rozdział 25

Zbliżający się rozwód stał się wybawieniem zarówno dla Greta, jak i dla Grzegorza, bo był nadzieją na powrót do spokoju i względnej normalności. Przy podziale majątku osiągnęli chyba uczciwy kompromis, bo żadne z nich nie było do końca zadowolone, a gdy obie strony czują niedosyt, wtedy można przyjąć, że porozumienie osiągnięto sprawiedliwie.

Na początku kwietnia Greta znów była wolną kobietą. Rozwód uzyskała, zgodnie z przypuszczeniami, na drugiej rozprawie. Teraz wystarczyło tylko sprzedać mieszkanie i już nie będzie łączyło jej z Grześkiem. Umówili się, że dopóki nie znajdzie się kupiec, Greta tam zostanie, a wyprowadzi się dopiero po dokonaniu transakcji. Miała więc jeszcze trochę czasu, bo przecież trudno jest sprzedać mieszkanie tak od ręki.

Jan tymczasem dyskretnie załatwiał formalności. Niebawem miał zostać właścicielem zupełnie niepotrzebnego mu dwupokojowego mieszkania w Ursusie.

W połowie kwietnia Greta zrobiła sobie tydzień wolnego. Wykorzystała dobry humor szefa i łącznie z Wielkanocą miała w sumie siedem dni leniuchowania na Polesiu. Z powodu braku samochodu zdana była na łaskę komunikacji publicznej lub na Olega. Ten w ciągu trzech godzin zawitał do stolicy, by zabrać ją do siebie, a przy okazji zrobił jeszcze pokaźne zakupy.

Stanowili bardzo dziwną i trudną do zdefiniowania parę. Śmiało można było powiedzieć, że do siebie pasują – rozumieli się bowiem doskonale, wciąż odczuwali wzajemną fascynację i oboje mieli za sobą rozliczne doświadczenia życiowe. Mijał rok od ich pierwszego spotkania, przeżyli ze sobą wiele pięknych chwil, Greta czuła się przy Olegu bezpieczna, on także był wielce zadowolony z ich zażyłości. A mimo to wciąż nie padły między nimi żadne wyznania i deklaracje.

Potrafili dokonywać w życiu różnych trudnych wyborów, nie obce im były wyzwania... Radzili sobie w twardym życiu, a bali się dwóch prostych słów: Kocham cię.

Oboje mieli na to dość pokrętne wytłumaczenia. Oleg całe swoje życie pozostawał niczym wolny od obowiązków rozkulaczony koń. W tej sytuacji nie wyobrażał sobie świadomego zakładania sobie wędzidła. Zawsze twierdził, że nic tak nie ogranicza mężczyzny jak kobieta. Greta z kolei może i chciałaby pochodzić przez dalsze swe życie przy dyszlu w parze z Olegiem, ale chyba spaliłaby się ze wstydu, gdyby miała mu o tym sama powiedzieć.

Wczesnowiosenna pogoda okazała się niezwykle łaskawa. Dni były jeszcze dość chłodne, ale za to bardzo słoneczne, świat dookoła zielenił się coraz intensywniej z każdą godziną, a wiatr niósł ze sobą zapach budzącego się zewsząd życia. Greta dzieliła swój czas pomiędzy Michała, Olega i sztalugi. Najwięcej uwagi poświęcała oczywiście kochankowi, ku wielkiej rozpaczy księdza. Tworzenie również pochłaniało sporo jej czasu. Poza Bugiem, który mogłaby malować nieustannie, od lat z tą samą pasją, dostrzegła kolejny temat do swych pejzaży. Zacisze zostało doprowadzone fachową ręką do takiego stanu, że patrzenie na nie było czystą przyjemnością. Rozstawiła farby i płótno tuż przed zamkniętą bramą główną, zza której wylaniała się kasztanowa aleja, a na jej końcu pięknie odrestaurowany dwór. Wszystko to razem tworzyło widok wręcz magiczny, każdy element tej posiadłości dopracowany był w najdrobniejszym szczególe, od bram wjazdowych począwszy, na dachu krytym gontową dachówką skończywszy. Gdzieś pomiędzy kasztanami a dworem widać było pochyloną wierzbę z bobrowym żerem. Ci, którzy twierdzą, że wieś niczym nie zachwyca i nic nie oferuje, niech przyjadą na Kresy, a długo pozostaną pod ich wrażeniem.

Najwierniej jak tylko umiała, Greta starała się oddać klimat Zacisza. Mozoliła się strasznie, a jej robotę wstrzymywał dodatkowo Oleg, bo wyjrząwszy przez okno, nie mógł wprost przestać o niej myśleć. Jej smukła postać odziana w ciasne dzinsy i zwykły podkoszulek tak bardzo rozpalila jego zmysły, że wyszedł do niej i objąwszy ją mocno w pasie, już jej nie wypuścił ze swych ramion.

Cały ten kwietniowy tydzień był czasem gorących spotkań dwojga spragnionych siebie ciał i pierwszego w tym roku grillowania w doborowym towarzystwie. Ze Lwowa zjechała Irmina

i Danił nie odstępował jej na krok. Jan dojechał z Hiszpanii, a wieczorami przychodziła, niby przypadkiem, Helena. Zaczęło się obłąkanie i cieszyło się świetnością lepszą może nawet od tej, której zaznawało ponad sto lat temu, gdy zjeżdżali się doń na polowania przedstawiciele najznamienitszych rodów.

Tydzień minął jak z bicza strzelił. Z gości wyjechała jedynie Greta. No takie były skutki pracy dla kogoś. Kto pracował na swoim, ten mógł dozować sobie obowiązki wedle własnego życzenia.

Zaczęło wciążyć tętno życiem – rankami odsypiano tu zarwane noce, a nocami hulano po odrestaurowanym parku i ogrodzie. Jednej z takich nocy przydybała Olega w altanie Helena. Upewniła się najpierw, czy ich ktoś nie słyszy, i przystąpiła do działania. Oboje już mieli nieźle w czubie. Żadne z nich nie wylewało za kołnierz, a mocna głowa Heleny ją samą napawała dumą, a Olega zdziwieniem.

– Ty jesteś bezbożnik i cwaniak kuty na cztery kopyta – odezwała się trzeźwo – ale nic to. Już mi wszystko jedno.

Oleg niecierpliwie wiercił się na ławie. Temat wywołany przez Helenę zdecydowanie go mierzył, dlatego próbował wymigać się od rozmowy. Zbierał się już do odejścia, ale go mocno przytrzymała za rękaw i usadziła z powrotem na ławie.

– Posłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia – orzekła stanowczo. – Może ty i nie jesteś taki najgorszy... Cicho! – krzyknęła, gdy próbował wejść jej w słowo. – Dajesz ludziom pracę, nie wyzyskujesz, świat się od twojego przyjazdu jakoś nie zawalił... to może i to przetrwamy.

Oleg siedział już spokojnie, nie protestował, tylko z zaciekawieniem słuchał jej pijackich wywodów. Mówiła sensownie i składnie, ale aż dziw brał, że wierzyła w to, co mówi. Połał im jeszcze po kieliszku. Podniósł swój i przepił do niej, ona zrobiła to samo i zagryzła kiszonym ogórkiem.

– Dobra – kontynuowała. – Nie jest tu z tobą tak źle. Chcesz, to zostań. Najwyżej naszego Michała szlag trafi – zachichotała. – Ale ocknij się wreszcie, pierdoło, i zrób coś z tą dziewczyną! – Walnęła pięścią w ławę.

Oleg uniósł w zdziwieniu brwi. Spodziewał się raczej połajanki na tematy religijne, a tu taka niespodzianka.

– Nie gap się tak – Helena zauważyła jego zdumienie. – Co ona ci winna, że się nią tak okrutnie bawisz?!

– A co ci do tego?! – Oleg potrafił stracić cierpliwość niezwykle szybko.

– Przez ciebie był ten rozwód! Przez ciebie została sama! – Splunęła pod nogi.

– Hamuj się, durna babo! – warknęła ostrzegawczo.

– O nie! Powiem ci wszystko, co o tobie myślę! – Znów wychyliła wódkę do dna i z brzękiem odstawiła kieliszek. – Wielki pan, co już wszystkiego w życiu popróbował! I z nudów wstąpił na prowincję. Chcesz, to siedź tu, ile dusza zapagnie! Ale od niej wara! Dość już! Zabawiłeś się, znasz już smak tego grzechu, to teraz ją zostaw w spokoju! Pozwól jej zacząć żyć od nowa!

Oleg słuchał w milczeniu, ale coraz bardziej się niecierpliwił. Wreszcie przechylił się przez ławę i przytrzymał nadgarstki Heleny z całej siły, aż jęknęła z bólu.

– A czy ja ją, do cholery, trzymam?! – wrzasnęła ze złością. – Niczego jej nigdy nie obiecywałem – dodał jakby na swoje usprawiedliwienie.

Helena wyszarpnęła się z jego uścisku i podniosła ciężką od alkoholu głowę. Swoimi starymi przenikliwymi oczyma wpatrzyła się w jego oczy. Z jej piersi wyrwało się westchnienie ogromnej bezsilności.

– Jaki ty jesteś głupi... Kiedyś ją zabijesz... – Helena na jedną chwilę jakby wytrzeźwiała, a mówiąc te słowa, ukryła twarz w dłoniach.

Oleg zapalił papierosa, by się nieco uspokoić. Ręce mu drżały, oczy lśniły dziwnym blaskiem, a oddech miał płytki i krótki. Spojrzał na nią i wycedził:

– Wynoś się!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Helena podniosła się z trudem i słabo

trzymając się na nogach, ruszyła do domu. Do jej uszu doleciał jeszcze tylko pogardliwy okrzyk Olega:

– Wiedzma!

Został sam. Chłód nocy zdawał się wcale mu nie przeszkadzać. Siedział przy stole, polewał sobie w kieliszek i pił sam ze sobą. Po półgodzinie dźwignął się niezdarnie i bardzo chwiejnym krokiem poszedł w kierunku dworu. Z hałasem dotarł do sypialni, zrzucił z siebie ubranie i padł na wielkie łóżko. Leżąc na wznak, nie mógł opanować nasilających się zawrotów głowy, więc podciągnął się na rękach i oparł o wezglowie. Przesiedział tak kilka minut, a powieki ciążyły mu coraz bardziej. Choć miał trudności z pozbieraniem myśli, bo bez przerwy się rwały, to jednak świadom był, że każda z nich dotyczy Grety. Helena trafiła w jego czuły punkt. Ta ruda zagnieżdżyła się w jego życiu zupełnie niespodziewanie i całkowicie bez jego pozwolenia. Na taki porządek rzeczy Oleg nigdy zgody nie wyrażał.

Spał do późnego ranka snem głębokim i niczym nieprzerywanym. Za to dzień był dla niego trudny i męczący. Wstał z ogromnym bólem głowy i wielkim pragnieniem. Nocna rozmowa z Heleną wcale nie zmieniła niczego w postrzeganiu Grety.

Od roku niezmiennie była ważną kobietą w jego życiu, ale nic nie wskazywało na to, by zamierzał w jakikolwiek sposób zacieśnić tę relację. Czas płynął swym rytmem, oni także żyli dość rytmicznie, to znaczy od weekendu do weekendu. Wtedy to, w piątkowe popołudnia po pracy, Oleg wsiadał w hummera i spędzali dwa lub trzy dni w Warszawie albo zabierał ją do Zacisza. Grecie zdecydowanie bardziej odpowiadał klimat poleskiego dworu niż stołeczny hałas, ale w Ordach dopadały ją wyrzuty sumienia, że zaniedbuje Michała.

Książdz zdawał się wreszcie godzić z zaistniałą sytuacją, choć od prawie roku nic nie szło po jego myśli. Okres buntu i niegodzenia się na zaistniały stan rzeczy zmienił się z czasem w niemą akceptację.

Uczciwie spoglądając na całą tę sprawę, należałoby jednak przyznać, że nie tylko złe rzeczy dokonały się na Polesiu. Może nawet nie było wśród nich ani jednej złej... Bo czy ktokolwiek miał jeszcze pretensje z powodu rozwodu? Grzegorz niecierpliwie oczekiwał narodzin potomka, a Greta odnajdowała krótkie chwile szczęścia w ramionach Olega. Żadne z tych trojga nie narzekało na swój los. A co z pracą Grety? Czy to koniec świata, że ją straciła? Nie, przełknęła jedynie gorzką pigułkę upokorzenia i podniosła się z tego być może nawet silniejsza, a na pewno bogatsza o doświadczenia. A Nawrocki? Przecież teraz jak panisko mógł się wozić w swojej tacze i jak pił, to za swoje, już od nikogo nie pożyczał. A co z Daniłem? Jemu też diabli wzięli? Wprost przeciwnie, jemu diabli chyba dali. Być może on na tym wszystkim najwięcej zyskał. Trafiła mu się miłość, odkryto jego talenty. Czegóż chcieć więcej? Czy zatem Oleg był potworem, który sieje spustoszenie tam, gdzie się pojawi?

Oj, małe bywają ludzkie umysły i serca, ślepe na prawdę i na miłość. Nie ma znaczenia, w jakich ilościach dozujecie się ludziom szczęście, radość, błogosławieństwa i pomyślność. Czy dostają je szczyptami, czy garściami, z rzadka tylko nieliczni potrafią je docenić. A po świecie błąka się tyle dobra... Wystarczy otworzyć ramiona i brać...

Pod koniec kwietnia Oleg pojechał do Warszawy, by pomóc Grecie w kupnie samochodu. Wprawdzie nie stać jej było na żadne porządne auto, ale już za trzy czy cztery pensje mogła sobie pozwolić na kilkuletnie niewielkie autko terenowe. Oleg bardzo chętnie zrobiłby jej prezent i kupił coś naprawdę porządnego lub chociaż pożyczył jej brakującą kwotę, ale uparła się, że za samochód musi zapłacić sama. Po kilku dniach męczącego przeglądania ogłoszeń w prasie i internecie oraz rajdzie po większości komisów w mieście zdecydowała się wreszcie na małego srebrnego suzuki jimny. Było to dziewięcioletnie auto, które przy hummerze wyglądało może skromnie, ale sprawiało wrażenie dopieszczanego i pielęgnowanego przez poprzedniego właściciela.

Greta postawiła na własne auto, bo ceniła sobie swobodę przemieszczania się i nie lubiła być uzależniona od komunikacji miejskiej. Dodatkowym plusem była możliwość robienia za jednym zamachem dużych zakupów bez potrzeby targania ich autobusem przez pół miasta. No i kolejny argument za posiadaniem auta brzmiał: niezależność przy wyjazdach poza miasto. A tych ostatnio miała sporo.

Zaraz potem pojechali na dwa auta do Ordów. Suzuki było niewielkie, ale wygodne i lekkie w prowadzeniu. Dokładając do tego napęd na cztery koła, nie sposób było go nie polubić.

Zbliżał się długi weekend majowy i aż się prosiło gdzieś wyjechać, tym bardziej że zapowiadała się wymienita pogoda i Greta chciała przetestować nowe auto. Spędziła jeden dzień w Zaciszu. W zachwycie obeszła całą posiadłość Olega, która opleciona świeżą zielenią upajała wręcz wszystkie zmysły. Dwór był już zupełnie wyremontowany, zaznaczał się na tle zieleni drzew i błękitu nieba kremową fasadą. Na przyjezdnych spoglądały jasnobrązowe okna obramowane dla ozdoby płytką elewacyjną w kolorze cynamonu. Pod kolor tej płytki dobrano barwę dachówek i komina. Całość dumnie podpierały pękate drewniane kolumny, co kilkadziesiąt centymetrów spinane dla ozdoby żelaznymi obręczami. Po nich zaczynał się nieśmiało pięć bluszcz. Stare kasztany wzdłuż alei zwieszały swe rozwinięte już w pełni liście, soczyste, zdrowe w tym roku, bo ogrodnicy zwalczyli szrotówka. Spomiędzy liści prześwitywały zielone jeszcze kiście kwiatostanów, które już za tydzień lub dwa wybuchnąć miały bielą kwiatów. Całą aleję wysypano drobnym białym żwirem – wyraźnie wskazywał on drogę do dworu. Małe źródółko przy pochyłej wierzbie wciąż było domem dla bobra, który zaznaczał swe terytorium, tnąc coraz to nowe gałęzie. Świeżą trawę dopiero co strzyżono pierwszy raz w tym roku i wszędzie unosił się jej piękny zapach. Z tyłu, za dworem, wyłaniały się uporządkowane i na nowo obsadzone roślinnością ogród, sad i park. Tu także wyznaczono żwirem alejki i poustawiano przy nich ławki. Nieco dalej, na dwóch balach, wisiał rozpięty hamak. Na tej ogromnej przestrzeni posadzono już wiele krzewów róż parkowych, bżów, jaśminów, piwonii oraz magnolii. Oleg miał w planach dalsze upiększanie swojej posiadłości. To, co ogrodnicy zdążyli posadzić w tym roku, rozwijało już liście i pąki. Brzeg ogrodu obsadzonego nasturcjami sąsiedował z okazałych rozmiarów ogrodem ziołowym.

W Zaciszu niemal bez przerwy rezydowała Helena, z którą Oleg wciąż co prawda darł koty lub co najmniej się przekomarzał, ale taka widać była ich uroda: co mieli do siebie, to sobie z miejsca wygarniali i po chwili już wszystko grało – aż do kolejnego spięcia. Oleg rozkazał Helenie zasiać w ogrodzie ziołowym chyba wszystkie rodzaje ziół, jakie zna. Rosły tu mięta pieprzowa i kędzierzawa, lubczyk, nagietek, lawenda, rozmaryn, macierzanka, bazylija, len, rumianek, melisa, szalwia, wiesiołek, miłek wiosenny, mak, wrotycz i dzięgiel. Całość tych ziem, którymi Oleg troskliwie się zajął, okolona była pięknym ogrodzeniem z wysoką podmurówką i słupkami, pomiędzy którymi rozpięte były przęśla wykute według projektu Daniła.

– Czy mnie kiedyś będzie stać choć na ćwierć tego, co tutaj widzę? – Grecie to pytanie wyrwało się nie wiedząc kiedy i było odzwierciedleniem jej prawdziwego stanu ducha.

Oleg nic się na to nie odezwał, wziął ją jedynie za rękę i pociągnął w stronę dworu. Z jego wnętrzami Greta zdążyła się już dobrze zaznajomić, nie spodziewała się więc żadnych niespodzianek. Ogromna posiadłość liczyła kilkaset metrów kwadratowych powierzchni i urządzona została z zachowaniem dziewiętnastowiecznych mód. Greta знаła ją doskonale, ale stanęła teraz jak wryta w otwartych dwuskrzydłowych drzwiach. Miała przed sobą ogromny pokój z kominkiem, który jeszcze przed kilkoma tygodniami był jednym z pokoi gościnnych, a teraz wszystkie jego ściany zasłonięte były wysokimi regałami bibliotecznymi z litego dębu. Do każdego zamontowano drabinki sięgające sufitu. Większość półek pozostawała jeszcze pusta, ale na części dumnie prezentowały się oprawione w skórę woluminy. Niedaleko okna postawiono ciężkie, dębowe biurko, a na nim eleganckie bibeloty: nożyk do papieru, wieczne pióro wyglądające jak antyk, masywny przycisk do papieru i srebrną tacę z dwoma przezroczystymi niemal filiżankami z porcelany i imbrykiem, z którego uchodziła para. Krzesło za biurkiem stanowiło komplet wraz z kanapą ustawioną koło regałów. Meble tapicerowane były prawdziwą skórą w kolorze zielonym, a ich drewniane elementy komponowały się z kolorem regałów. Obok kanapy stał niewielki okrągły stolik, a przy nim na ciemnych klepkach drewnianej podłogi położono gruby dywan w kolorze é cru. Przy drugim końcu kanapy w zasięgu ręki ustawiono spory barek w kształcie globusa. Na białym suficie, od drzwi w kierunku okien, biegly równolegle do siebie cztery ciemnobrązowe belki z ciosanego jakby niedbale drewna. Greta wydała z siebie jęk zachwyty.

– Jak w moich marzeniach... – westchnęła.

Oleg podał jej filiżankę karmelowej herbaty i wskazał ręką kanapę. Zapadła się w niej

z chęcią i od razu podciągnęła kolana pod brodę, stawiając stopy na kanapie. Przymknęła oczy i z lubością popijała herbatę.

– Nie wyjdę stąd za żadne skarby świata – zagroziła po chwili z uśmiechem.

– Szkoda – Oleg założył jej włosy za ucho i delikatnie ją pogłaskał – bo ja właśnie chciałem zaproponować ci wycieczkę, ale w takim razie będę musiał pojechać sam. – Przesunął dłoń niżej i dotknął złotej monety zawieszanej na jej szyi, którą nosiła niemal zawsze.

– A dokąd? – zainteresowała się.

– A na przykład do Werchobuża.

– Gdzie to jest? – Greta nigdy wcześniej nie słyszała o takim miejscu.

– Proponuję ci weekendowy wypad wzdłuż Bugu aż do jego źródeł.

Greta spojrzała na Olega po raz kolejny dziś zdziwiona.

– Ale to znaczy, że musielibyśmy pojechać na Ukrainę?

– Tak, aż za Lwów – potwierdził. – Pojechalibyśmy twoim autem, żeby je sprawdzić.

Kodeń, Włodawa, Uhrusk, Horodło, a potem Włodzimierz Wołyński. Jeśli zechcesz, wstąpimy do Lwowa, a jak nie, to od razu do Werchobuża. Co ty na to?

Grecie oczy same się śmiały do tego pomysłu. Miała naturę włóczęgi, a dodatkowo jeśli miał być przy niej Oleg, to w mig była gotowa się zgodzić, choćby wyjazd okazał się najbardziej nietrafionym pomysłem w jej życiu. Zawahała się, ale Oleg widząc jej niezdecydowanie, dorzucił, jak mu się zdawało, solidny argument:

– Spójrz na te nagie ściany dookoła. – Wskazał głową cały dom. – Mam ochotę zawiesić na nich twoje olejne pejzaże i proponuję ci pracę w plenerze.

I to już zupełnie ją przekonało. Oleg wiedział, jak ją podejść, odwołał się do jej pasji. Aż jej się chciało zakrzyknąć z radości, że po drodze będzie mogła malować te wody, które za czas jakiś, za kilkadziesiąt, za kilkaset kilometrów przepływać będą przez Burzany. A ona je uchwyci najpiękniej, jak tylko potrafi, i dowiezie z powrotem do Polski, na Polesie, do domu. Szkoda tylko, że nie do swojego...

Tak więc postanowione. Mieli wyruszyć bez jakiegokolwiek przygotowania już jutro, wcześniej zarysowując tylko ogólny plan, a zakupy zrobić po drodze. Namiot i śpiwory Oleg miał jeszcze z wyjazdu w Bieszczady. Po sztalugi i farby musieli wstąpić po drodze do Michała.

## Rozdział 26

Wyruszyli z samego rana. Za kierownicą usiadła Greta i dopóki jechali wzdłuż Bugu po stronie polskiej, oswajała się ze swym nowym blaszanym przyjacielem. Ze względu na wydłużony weekend natężenie ruchu na wąskich gminnych asfaltówkach było niewielkie, ludzie nie spieszyli się do pracy i jechało im się całkiem przyjemnie. Czas biegł szybko, na rozmowach lub przy delikatnych dźwiękach Nohavicy albo Federacji, które płynęły z dobrego sprzętu nagłaśniającego. Bug widzieli tylko przez część trasy, w niektórych momentach zjeżdżali w polne drogi, by wrócić do wód, rozsiąść się na trawie, czule pieścić, a nawet kochać się nad wodą. Dzień mijał przyjemnie, przed wieczorem zatrzymali się nad Bugiem, tuż przed Horodłem. Słońce o tej porze dawało takie światło, jakie Greta lubiła najbardziej. O żadnej innej godzinie kolory nie były tak ciepłe i intensywne. Oleg zajął się koszem piknikowym, a ona rozstawiła sztalugi. Pora obiadu już dawno minęła, a do kolacji mieli jeszcze trochę czasu. Trzymając w ręku paletę i pędzel, Greta pogryzała raz po raz kanapkę i popijała herbatą z termosu. Może by i coś namalowała, gdyby Oleg potrafił trzymać ręce przy sobie. Kiedy jednak tak jej się przyglądał, jak stoi zapatrzona w wodę i namyśla się nad każdym pociągnięciem pędzla, postanowił wstać z koca i zbliżywszy się do niej cichutko, wsunął dłonie pod jej koszulkę. Przesuwał palcami po jej plecach i brzuchu, rozpraszając ją całkowicie. Odwróciła się do niego gotowa mu ulec. Od razu też zrezygnowała z malowania. Była to robota zbyt czasochłonna, a ona miała do dyspozycji zaledwie cztery dni. Potem musiała wracać do pracy. Jeśli chciała zobaczyć te źródła Bugu, musiała zrezygnować z malowania po drodze.

– Nie pozwalasz mi pracować – uśmiechnęła się i przyłgnęła do Olega, po czym pocałowała go długo i zapamiętale.

Mruknął tylko i nic nie odpowiedział. Za to zajął się nią tak namiętnie, że miała ochotę krzyczeć z rozkoszy.

Wieczór spędzili, spacerując po cichutkim Horodle, przystając na chwilę przy wapiennych lwach na rynku, a na noc zatrzymali się w wynajętym pokoiku na poddaszu jednego z domków agroturystycznych. Następnego dnia rozpoczęli zbożową kawą i świeżym chlebem pieczonym w domowym piecu u goszczącej ich gospodyni. Do chleba podała kawałek koziego sera własnej roboty, a także rzodkiewkę i szczypiorek oraz miseczkę miodu z rodzinnej pasieki. Po śniadaniu obkupili się frykasami i nowalijkami, zapakowali pełen ich kosz do auta i ruszyli w dalszą trasę. Auto prowadził teraz Oleg. Zatrzymali się na stacji benzynowej, zatankowali do pełna i przy kasie Oleg wziął jeszcze rolkę folii aluminiowej. Granicę przekraczali w Zosinie i tuż po ósmej mknęli już bezdrożami Ukrainy. Greta z jednakową chciwością przyglądała się tak okolicznym pejzażom, jak i Olegowi. Na powrót poczuła się przy nim bezpieczna i nawet odrobinę kochana. Chciałoby się rzec: chwilo trwaj.

Tuż po południu wjechali w dolinę łagodnych grzbietów pasma Woroniaków w rejonie złoczowskim. Gdzieś tu bierze swój początek rzeka, nad którą prawie pół tysiąca kilometrów na północny zachód Greta spędziła tyle pięknych chwil. Rzeka, którą tak bardzo kochała tam, na Polesiu, tutaj rodziła się do życia.

– Byłeś już tutaj? – spytała.

– Nie – odparł.

Uchylił szybę i zagadnął o coś niezrozumiale chłopca idącego poboczem.

– Dziękuję – odezwał się na zakończenie tej krótkiej rozmowy i ruszył dalej.

– O co chodzi? – spytała Greta, słabo rozumiejąc język sąsiadów.

– Pytałem o drogę – odparł. – Jesteśmy już prawie na miejscu.

Faktycznie, po kilku minutach zatrzymał auto przy drodze, skąd doskonale widać było wybijające z ziemi wody Bugu. Wysiedli z samochodu i podeszli do kamiennego murku otoczonego wysokimi kwiatami. W środku wybijała rzeka. Na murku bieleły się figury świętych i aniołów. Niektórym z nich przewieszono przez ramiona girlandy kwiatów, a całość tworzyła

widok charakterystyczny dla wiejskiego kultu świętych. Panował tu przesyt nieznośny dla oka estety, ale musieli przyznać, że miało to swój urok. Woda, wypływając spod murku, wlewała się do długiej na sto metrów rynny zbudowanej z polnego kamienia. Ozdobiona ona była mostkiem i wodospadem, który szumiał, przyjemnie piętząc i spieniając wody rzeki. Tam, gdzie woda uchodziła do tego kamiennego rowu, ustawiono ołtarzyk, na którym wyryto po ukraińsku słowa Ewangelii świętego Mateusza: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”. Widok ten trącił kiczem, ale także robił wrażenie. Czegoż innego spodziewać się należało po ludzkie skromnym i bogobojnym, jaki zamieszkiwał te biedne wsie ukraińskie? Toż to samo i na Polesiu miało miejsce, gdzie co krok kapliczki ustawiano, ozdabiając je na siłę sztucznymi kwiatami. A w Burzanach to jeszcze tego więcej było, bo liczne rzeźby Chrystusów dłuta Daniła wisiały także na okolicznych drzewach.

Greta podeszła do murku i powoli obchodziła go dookoła, sunąc po nim dłonią. Oleg szedł tuż za nią, ale nie wydawał się tak zainteresowany jak ona. Przyglądał się raczej jej niż całemu temu kolorowemu kramowi. Kiedy obeszła murek i przyjrzała się każdej figurze ustawionej w wierzchołkach tego czworoboku, zeszła na drewnianą kładkę, która spoczywała prawie na dnie kamiennej rynny, tuż nad poziomem płyciutkiego i wąskiego Bugu. Oleg przystanął obok niej, a stare drewno kładki wygięło się odrobinę. Mocno objął ją w pasie, kładąc brodę na jej obojczyku.

– Inaczej to sobie wyobrażałam – szepnęła Greta.

– Rozczarowana?

– Nie – zaprzeczyła żywo. – Myślałam po prostu, że gdzieś na środku łąki, może pośród łóz, wybija małe źródelko tak zarośnięte trawą, że ledwie widoczne. Ale to też jest urokliwe. – Wyciągnęła rękę i zatoczyła koło aż po horyzont.

Usiedli na ustawionych przy rynnicy ławkach i odpoczywali, wystawiając twarze do słońca.

Potem wsiedli do samochodu i odjechali poza wieś, by znaleźć jakąś zaciszną dzicz, rozbić tam namiot, mieć dużo swobody i niezauważenie rozpalić małe ognisko, przy którym można byłoby się ogrzać, kochać i upiec kiełbaski i chleb. Oleg niespodziewanie zatrzymał auto przy jakiejś chłopskiej zagrodzie.

– Zaraz wracam, nie ruszaj się stąd! – rzucił, wyskakując z samochodu i zostawiając zaskoczoną Gretę.

Po chwili szedł z powrotem z reklamówką ziemniaków, warkoczem czosnku, osełką masła i mlekiem w szklanej butelce.

– Będziemy mieli dziś dobrą kolację! – zawołał zadowolony i dumny, jakby wracał z polowania.

Rozbili namiot gdzieś na skraju lasu. Oleg poszedł po drewno na ognisko, a Grecie kazał naobierać dużo ziemniaków. Kiedy ogień już buzował i dawał przyjemne ciepło, Oleg na połówki obranych ziemniaków kładł kawałeczki czosnku i zawijał je szczelnie w folię aluminiową, po czym odkładał na bok, czekając, aż ogień przestanie płonąć i powstanie żar.

– Kocham te wojaże z tobą – Greta uśmiechnęła się do Olega poprzez strzelające w górę jęzory ognia, w który sączył się tłuszcz z nabitej na kij kiełbasy.

Po pierwszym słowie, które Oleg usłyszał, natychmiast zupełnie zeszytywniał, a przełykany właśnie kęs chleba utkwiał mu w gardle. Przeraził się, że tak właśnie się zaczynają wyznania zakochanych kobiet. Niewielu rzeczy bał się w życiu, a jedną z nich były właśnie zakochane kobiety. Po takich można się było spodziewać wszystkiego. Zakochana kobieta jest nieobliczalna i groźniejsza od największego nawet wroga, bo z wrogiem można negocjować, a z kobietą nigdy. Kobiety kierują się w swym życiu jakąś nikomu niepojętą logiką, a tam, gdzie tej logiki brak, jest tylko chaos i królują emocje. Emocje były kolejną rzeczą, której Oleg się bał, bo pod ich wpływem przestawał nad sobą panować i nie dowierzał samemu sobie. Już dawno wyrzekł się jakichkolwiek emocji i przyrzekł sobie, że się im nie podda. Jak dotąd wychodziło mu to całkiem nieźle, tylko niekiedy sobie folgował w pobliżu Greta. Stanowiła ona swego rodzaju zakłócacz, który niczym wiązka laserowego światła przerywa obwód zamknięty. Forsowała ten mur, za którym Oleg upchnął wszystkie swoje emocje i porywy serca.

Gdy dotarł do niego sens jej słów, uspokoił się nieco, pociągnął łyk zimnego piwa z butelki

i spojrzął na nią zachłannie. Blask ognia pogłębił jeszcze kolor jej włosów, a w szmaragdowych oczach błyszczały radosne refleksy. W tym świetle nawet piegi miała jakby wyraźniejsze i taka właśnie podobała mu się najbardziej.

Kiedy ogień mocno przygasł, Oleg rozsunał żar i włożył w powstały lej ziemniaki w folii, po czym wziął kijek i zręcznie zasypał je popiołem. Po trzech kwadransach zajadali się pięknie przypieczonymi na brązowo ziemniakami, które mocno pachniały czosnkiem. Posypywali je solą i kładli na nie odrobinę masła, które od razu rozpływało się od ich ciepła. Całość popijali zimnym mlekiem.

Chłód wczesnomajowych nocy mieszał się z żarem ich ciał, co sprzyjało kolejnym wybuchom namiętności. Oddając się miłości fizycznej, spędzili trzy dni swego wydłużonego weekendu. O miłości emocjonalnej, tej płynącej gorącą falą wprost z dna serc, nikt tu nie mówił i nic nie wskazywało na to, że wreszcie zaczną. Oleg nie zamierzał, a Greta się bała. Tak więc uparcie milczeli oboje na temat im najbliższy.

W drodze powrotnej wstąpili do Lwowa. Greta na nowo zakochała się w tym mieście wielu kultur, zabytków i polskiej historii. Lwowski ruch uliczny przerażał ją z tą samą siłą co podczas poprzedniej wizyty, z tą jednak różnicą, że bezgranicznie ufała w zdolności Olega jako kierowcy. Tym razem odpuścili sobie pospieszne zwiedzanie miasta, zatrzymali się jedynie przed pracownią jubilerską, w której Jurij mozolił się akurat nad realizacją kolejnego projektu Daniła. Artystę natchnęła budząca się do życia wiosna – obserwował w Ordach pełne kwiatów gałęzie jabłoni i postanowił utrwalić je na papierze. Nieregularne kształty delikatnych gałązek z ledwie zarysowanymi listkami, obsypane całym mnóstwem nieszlifowanych maleńkich kwarców różowych, więc się miały niebawem na szyi jakiejś zamożnej Ukrainki.

Jurij wyjął z szafy pancernejszego manekin, kobiece popiersie, na którym pobłyskiwał wykonany wcześniej ten sam projekt, tylko w wersji ze złota. Teraz zaś trudził się nad naszyjnikiem ze srebra. Złota gałąź jabłoni rozpoczynała się poniżej lewego ucha i biegła w dół, jakby chciała zajrzeć pomiędzy kobiece piersi, ale zawstydzona zaczynała się nagle wznosić ku górze i kończyła się tuż nad prawą pierś. Asymetrie były znakiem rozpoznawczym Daniła. Ze złota wykonano cały szereg ręcznie robionych listków i pąków, w które potem wkładano przebite złotą szpilą kwarcie. Kamienie były małe, nieregularne i nieszlifowane, do tego pochodziły z różnych miejsc świata, przez co posiadały różną intensywność barw i dzięki temu naszyjnik prezentował się przepysznie. Jurij był dumny ze swej pracy, a teraz, widząc błysk w oku Olega i słuchając zachwytów Grety, z dumą przeżył pierś. Do kompletu wykonał maleńkie kolczyki na sztyftach i bardzo delikatny złoty pierścionek, który w miejsce tradycyjnej obrączki miał fikuśnie zakręconą gałązkę. W wersji ze srebra powstać miał dokładnie taki sam komplet, choć ze względu na to, że była to ręczna robota, różnice były nieuniknione. Ale to tylko dodawało biżuterii unikalności i czyniło ją pożądaną wśród żon i kochanek wpływowych biznesmenów z Ukrainy i nie tylko.

Kwiaty jabłoni były zdecydowanie bardziej subtelne i dużo bardziej skromne od pierwszej jarzębiny. I jedno, i drugie miały swój czar i tak jak na pniu sprzedawała się jarzębina, tak też z pewnością sprzeda się jabłoń. Greta była pochłonięta oglądaniem tych wszystkich cudów i nawet nie zauważyła, kiedy Oleg nakazał Jurijowi dyskretnie zapakować złoty naszyjnik pełen różowych kwarców. Na półkach i małych sztalugach wystawione były figurki *Kamasutry* wykonane przez Daniła. Strugał je wciąż, niemal bez przerwy, bo zainteresowanie nimi nie słabło mimo wysokich cen. Wieczorem Olega i Gretę czekała niespodzianka. Kolację suto zakrapianą winem i pełną pieśczęt przerwał im dzwonek do drzwi. Jako że Oleg nie zwykł przyjmować tu gości, zmrużył ze złością oczy i niechętnie poszedł sprawdzić kto to. Spojrzał przez wizjer i od razu się rozchmurzył. W progu stali Irmina z Daniłem.

– Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył! – zawołała Irmina, gdy ich wpuścił do środka. – Pamiętaj, że obiecałeś tu komuś wyjazd na Ukrainę?

To prawda, już ponad pół roku minęło, odkąd Oleg zamierzał zabrać Daniła do Lwowa w nadziei, że tu jeszcze bardziej rozwinie się jego talent. Ale właśnie wtedy, gdy gotów był go tu przywieźć, wyjechał za Gretą w Bieszczady, a potem jakoś się nie składało.

– Od kiedy tu jesteście? – Greta skierowała pytanie bardziej do Daniła niż Irminy.



– Trzeci dzień – odparła, widząc, że kochanek nie kwapi się z odpowiedzią.  
– No i jak ci się tu podoba? – Oleg zwrócił się bezpośrednio do Daniła.  
– Piękne miasto... – westchnął zachwycony.  
– Prawda? – Gretę bardzo ucieszyło, że Danił podziela jej fascynację.  
– Stary, od trzech dni nic tylko zwiedzam Lwów – zaśmiała się Irmina, zwracając się do Olega.  
– Znudziło mi się już dawno, a on jest nie do zdarcia. – Poklepała Daniła po plecach.  
– A byłeś w pracowni? – zaciekał się Oleg.  
– Noo... – odpowiedział przeciągle Danił i nie wiadomo było, czy to ze zdziwienia, czy z radości.

Wieczór i noc upłynęły pod znakiem beztrioskiej balangi, wino i wódka lały się strumieniami, a catering z hotelu George dowożono im dwukrotnie. Przed północą, kiedy byli wstawieni, a jeszcze nie zalani, Oleg zadzwonił po dwie taksówki i zafundował swoim gościom nocną wycieczkę po Lwowie. Pod kamienicę zajechały dwie rozklekotane czarne wołgi. Jeździli po całej starówce, zatrzymując się od czasu do czasu w co ciekawszych miejscach. Miasto zdawało się nigdy nie zasypiać. Ulicami przetaczały się grupy hałaśliwej młodzieży tudzież hordy turystów i liczne zakochane pary. Lwów tętnił życiem i lśnił tysiącami ulicznych lamp, migotał chybotliwie w światłach przejeżdżających aut i nęcił neonami markowych butików. Ukochane miasto Polaków – do żadnego innego chyba miejsca na świecie nie mamy takiego sentymentu i tęsknoty z powodu jego utraty. Stojąc w rzeźsiccie oświetlonych uliczkach, trudno nie mieć wrażenia, że latarnie są gazowe, a my przenieśliśmy się w przeszłość.

Na jednej z takich ulic, w ciasnym zaułku, stojąc na dziewiętnastowiecznym bruku, Oleg mocno przytulił Gretę, a potem ujął jej twarz w dłonie. Nigdy wcześniej nie był tak bliski wyznania miłości, jak tutaj, na tej lwowskiej uliczce. Pohamował się w ostatniej chwili i ostatecznie zdecydował się na niezwykle namiętny pocałunek, którym wyraził to, co czuje, bez słów.

Swą nocną podróż zakończyli przed pięknie oświetlonym budynkiem dworca kolejowego.

– Żeby w pełni poczuć atmosferę Ukrainy, trzeba koniecznie przejechać się pociągiem – odezwał się Oleg. – I kiedyś was zaproszę w taką podróż.

– A cóż w niej jest takiego innego niż w Polsce? – spytała zaciekawiona Greta.

– Najlepszym miejscem na nocleg, czystą toaletę i poranną kawę są na Ukrainie pociągi – odpowiedziała za Olega Irmina. – Tam ci dadzą świeżo wypraną pościel, dobrą herbatę lub kawę, a toalety są naprawdę zadbane. Nie w każdym hotelu jest tak jak w pociągach.

– Wkręcasz mnie – Greta nie dała się nabrać.

– To prawda – zarzekał się Oleg. – Kiedyś ci pokażę.

– Niemożliwe – wciąż nie dowierzała. – Jest dokładnie odwrotnie niż w Polsce?

– Tak – zaśmiał się Oleg. – Bo widzisz, to dziwny kraj. Nie można się zgodzić, że jest zacofany. Spójrz... – Wskazał na bruk, po którym stąpali. – Polacy na potęgę zalewali asfaltem wszystkie kocie łby, a od paru lat jest znów moda na bruk. No i brukujecie swoje starówki i deptaki. A my niczego nie musimy zmieniać. – Mrugnął do Grety. – Lwów nie ulega modom i zwyczajom. Lwów po prostu niektóre z mód przeczekuje, ot co!

Noc zakończyli przy Kopernika, w mieszkaniu Olega. Dotleniwszy się na mieście, wrócili do domu głodni i zaczęli jeść ni to kolację, ni śniadanie.

Przed południem się rozstali. Danił z Irminą nie zamierzali jeszcze wyjeżdżać, ale Greta musiała wracać do pracy. Późnym popołudniem dotarli wraz z Olegiem do Ordów. Tam go zostawiła, a sama pojechała do Warszawy. I znów zaczęło się to ich dziwne życie na odległość.

## Rozdział 27

Maj wystrzelił bujną zielenią. Greta spędzała całe dni w biurze swojego detektywa, a popołudniami tkwiła w korkach, próbując jak najszybciej wrócić do domu. W tym czasie wystawiała nos do słońca grzejącego przez szyby auta i można było odnieść wrażenie, że stara się kolekcjonować coraz to nowe piegi. Pokonując dwa razy dziennie tę samą nudną trasę do pracy i z powrotem, miała mnóstwo czasu na rozmyślanie. W początkach maja niemal bez przerwy sięgała pamięcią do niedawnej podróży na Ukrainę, wciąż na nowo przywracała w pamięci obraz Olega i mimowolnie się wtedy uśmiechała. Nieświadomie przy tym sięgała dłonią do zawieszanej na szyi monety, głaskała ją, a na jej twarzy malowało się rozrzewnienie. Chyba tak właśnie wygląda zakochana kobieta...

Wraz z upływem dni obrazy w pamięci Greta zaczęły się zmieniać. Coraz częściej, stojąc na światłach, obracała nerwowo na palcu srebrny pierścień z kryształem, a jej czoło przecinała wtedy pionowa zmarszczka. Nadal na długo potrafiła się zamyślać, jak to zakochana kobieta, ale coraz częściej wśród tych myśli pobrzmiwała jedna całkiem ponura: romans z Olegiem przysparza jej więcej żalu niż radości.

Pod koniec miesiąca dojrzała do tego, by zrobić rzetelny rachunek sumienia i wgląd w samą siebie. Sprawy miały się tak, że dała się ponieść namiętnościom, jakimś mrzonkom chyba, i od dawna już nie miała wpływu na swoje serce, które chciało tylko i wyłącznie Olega. Mówiąc krótko: zakochała się. I nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby on odwzajemniał te uczucia i choćby od czasu do czasu zechciał jej o nich powiedzieć. Ale Oleg uparcie milczał i mimo że podtrzymywał ten romans, często dzwonił i nadal widywali się w weekendy, to jednak absolutnie nic nie wskazywało na to, by choć po części odwzajemniał jej miłość. Wiedziała, że ma do niej słabość, ale zaczynała wreszcie dostrzegać, że nie ma jej do zaoferowania niczego stałego. Docierała do niej powoli i boleśnie smutna prawda, że będzie szczęśliwa tylko do momentu, aż Oleg się nią znudzi. Poczula nagle, że całe swoje życie, nie wiadomo kiedy, złożyła u niego w depozycie. Jakkolwiek nie czuła się przez niego wykorzystana, to jednak przeraziła ją świadomość, jak niebezpiecznie się od niego emocjonalnie uzależniła.

I właśnie wówczas nastąpił pewien przełom w jej życiu. Doszła do wniosku, że wokół są inni mężczyźni i że być może czas już najwyższy spróbować ułożyć sobie życie bez Olega. Na początek odmówiła spotkania się z nim pod pretekstem, że jest zapracowana. Zbyt nie nalegał, a ona powoli przekonywała się, że chyba znajdzie w sobie siłę na to, by skutecznie się z niego wyleczyć.

Późną wiosną zaczęła nabierać cech pracoholiczki. Wychodziła z domu wczesnym rankiem, wracała niemal nocą, cały czas przesiadując w pracy. Wszystko po to, by mieć jak najmniej czasu na rozmyślanie. Z rzadka spotykała się z przyjaciółkami i niekiedy tylko odbierała telefony od Olega, po których długo nie mogła złapać wewnętrznej równowagi. Z całych sił, z kobiecym uporem trwała w postanowieniu zakończenia tego związku, którego bardzo pragnęła, ale czuła, że jest toksyczny. Z dala od Olega wcale nie czuła się lepiej. W całym tym planie nie wzięła pod uwagę jednego prostego faktu: mianowicie, że to wszystko, co nadaje życiu smak, można łatwo oszukać, ale jedna rzecz nigdy okłamać się nie da. Każdy zmysł można przytłumić i ołgać, ale serce zawsze uparcie wybija swój własny rytm, którego nie sposób zagłuszyć.

W połowie czerwca była już prawie zdecydowana, by stanąć twarzą w twarz z Olegiem i powiedzieć mu o swojej decyzji, o tym, że od teraz jedyne, co może mu zaoferować, to przyjaźń. Choć tak naprawdę sama nie wierzyła, że coś takiego jest możliwe. W każdym razie dojrzewiała coraz bardziej do tego, by przestać być jego kochanką. Ale łatwo powiedzieć, a trudno zrobić...

Tymczasem w Ordach życie biegło spokojnie. Zacisze zdawało się już osiągnąć apogeum piękna, wiosna przysłała tu bujna, zielona i pachnąca. Danił z Irminą przy boku zalegał w parku ze swoimi dłutami i skrzypkami, Helena także zaglądała tu coraz częściej, a między tym wszystkim

krzątał się Oleg.

Po powrocie z Werchobuża posiedział kilka dni w swoim dworze, prowadząc telefoniczne rozmowy z Gretą. Proponował jej kolejne spotkanie, ale jakoś się nie składało, Greta była zajęta, więc, niczego nie przeczuwając, wyjechał w interesach do Lwowa. Kiedy wrócił po dwóch tygodniach, ona wciąż nie znajdowała dla niego czasu, a on pozornie zupełnie się tym nie przejmował. Jednak kto go uważnie obserwował, ten widział, że z każdą jej odmową stawał się coraz bardziej rozdrażniony i niespokojny. W końcu z silnie podrażnionym przez Gretę ego, bo wszystko wskazywało na to, że dała mu kosza, nie mogąc sobie znaleźć nigdzie miejsca, znów postanowił udać się do Lwowa.

Pewnego ciepłego czerwcowego wieczoru do Zacisza przydreptała mocno zaniepokojona czymś Helena. Chciała pilnie widzieć się z Olegiem, ale we dworze był jedynie Danił. Pocmokała niezadowolona, postękała i pomruczała, po czym wzięła chłopaka na spytki. Z jego lakonicznych wypowiedzi wynikało, że Oleg jest we Lwowie i nie wiadomo, kiedy wróci. Naciskany zadzwonił do niego i dowiedział się, że w Ordach pojawi się raczej nieprędko. Helena próbowała coś tam krzyknąć do słuchawki i ponaglać Olega do powrotu, ale ten zażądał jasnej odpowiedzi, dlaczego niby miałby wracać.

– Jeżeli nie chcesz mieć życia ludzkiego na sumieniu, wracaj tu natychmiast! – Helena krzyczała z całych sił, ale Olega wcale to nie przekonało.

Przywykł już do wszystkich jej dziwactw, do jej snów i prorocत्व, ale nie wierzył w żadne z nich i nie zamierzał na gwałt wracać do Ordów. Tym bardziej że nie czuł się niczemu winien. Dlatego też zupełnie zignorował jej krzyki i nawoływania.

W noc świętojańską Helena po raz kolejny przyczłapała do Zacisza. Oleg wciąż jeszcze nie wrócił ze Lwowa i wieść ta wprawiła ją w szloch z bezsilności. Opadła zrozpaczona na kanapę w salonie i zapowiedziała Daniłowi, że nie ruszy się stąd, dopóki Oleg nie wróci. Raz po raz niespokojnie przechadzała się od okna do okna i nerwowo wyłamywała palce.

– Boże, zechciej zaczekać – szeptała co chwilę i znów podrywała się do okna.

Swoim zachowaniem wyprowadzała z równowagi nawet spokojnego zwykle Daniła. Nic nie rozumiał ani z jej słów, ani z tego jej dreptania po salonie. Po prawdzie Helena sama nie do końca wiedziała, co takiego przeczuwa od jakiegoś już czasu. Jedyne, czego była pewna, to że coś niedobrego się niebawem stanie.

Jakimś dziwnym zrzędzeniem losu czy też ściągnięty myślami Heleny Oleg w końcu jednak wrócił do Zacisza. Przyjechał jeszcze tego samego dnia, gdy ona postanowiła się stąd nie ruszać.

Było już dobrze po południu, kiedy zaparkował przed dworem i marzył jedynie o tym, by po przyjemnej kąpieli usiąść wygodnie w fotelu i odpocząć.

– Boże, nareszcie! – Helena dopadła go niemal w progu. – Gdzieżeś ty był tak długo?! – Wczepiła się palcami w jego koszulę, po czym zaczęła okładać go pięściami, jednocześnie płacząc.

– Jakie miłe przywitanie – sarknął i przytrzymał mocno jej nadgarstki. – Nie za dużo sobie pozwalasz?

– Ty cholerny egoisto, ty bucu! – nakręcała się coraz bardziej.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – Oleg nie zamierzał dać się sprowokować. – Chciałbym sobie odpocząć troszeczkę, a ty mi przeszkadzasz.

Stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Helena była mocno zdeterminowana, roztrzęsiona i nie zamierzała się teraz poddawać.

– Jedź do niej natychmiast! – krzyczała z całych sił. – Rusz się, na co czekasz?!

– Co? – Oleg niczego nie rozumiał.

– Nie czujesz niczego?! – jej krzyk złagodniał. – Naprawdę nie czujesz?

– Czego nie czuję?

– Pospiesz się! Może jeszcze zdążysz – krzyk przechodził w błaganie.

– W co ty ze mną grasz?! – Oleg przesunął ją i rozsiadł się na kanapie. – Nie mam ochoty słuchać twoich krzyków!

– Coś się dzieje z Gretą! – to był jej ostatni argument.

– A co niby ma się z nią dzieć? – nie wykazywał zbyt wielkiego zainteresowania, choć

serce mu drgnęło, a żołądek podszedł do gardła.

– Nie wiem, ale to coś złego! Znajdź ją! – Helena była rozdygotana, nie mogła opanować nerwów i znów zamachnęła się na Olega.

– Hola, hola! – wrzasnął rozeźlony. – Łapy przy sobie albo się stąd wynoś!

– Ani mi się śni! Rusz dupę i ją ratuj!

– Przed czym? – Oleg miał już dość całej tej sytuacji.

– Nie wiem – jęknęła Helena bezradnie. – Dlaczego mi nie wierzysz?

Na te słowa Oleg wreszcie się zastanowił. W co niby miałby wierzyć? Spojrzał na nią uważnie i dostrzegł przerażoną kobietę, która miota się bezsilnie i naprawdę wierzy, że dzieje się coś złego. W przyływie litości złagodniał i wysilił się na grzeczność, by ją wysłuchać.

– Uspokój się – powiedział cicho, ale stanowczo. – Greta ma kłopoty?

– Tak – Helena odzyskała trochę równowagi i mówiła już spokojniej. – Ale ty możesz jej pomóc. Tylko ty.

– A gdzie ona jest? – Sam sobie się dziwił, że dał się wciągnąć w tę dziecinadę. – Jest chora, ktoś ją napadł, potrzebuje pieniędzy?

– Nie wiem, chyba nie – Helena nie mogła sprecyzować swych przeczuć. – Już dawno ci mówiłam, że ją zabijasz.

– Hamuj się trochę – znów wezbrała w nim złość. – Czego ty ode mnie chcesz?! Najpierw mam ją ratować, a teraz mnie o coś oskarżasz.

– Proszę cię, jedź do niej – błagała.

Oleg wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Wyglądało na to, że kobieta jest przekonana, że naprawdę dzieje się coś złego i że tylko on może temu zapobiec. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, a ona niecierpliwiła się coraz bardziej.

Oleg podniósł się ciężko z kanapy i nie spuszczać wzroku z Heleny, powiedział z naciskiem:

– Niech ci będzie, pojedę do Warszawy. Ale jeśli u Grety wszystko jest w porządku, to nie rękę za siebie. To jakiś ponury żart...

– Dzięki ci, Boże! – Helena wzniosła wzrok ku niebu i złożyła ręce jak do modlitwy. – Opiekuj się nią.

Chwilę później Oleg znów siedział w hummerze i jechał w kierunku stolicy. Na dworze zapadał już zmrok, mimo że był to najdłuższy dzień w roku. Oleg czuł duże zmęczenie i napięcie wszystkich mięśni. Najchętniej wyciągnąłby się teraz przed telewizorem i nie myślał o niczym konkretnym, ale Helena zafundowała mu sporą dawkę wrażeń. Jadąc pustą szosą, miał dużo czasu na rozmyślanie. Wraz z przybywającymi na liczniku kilometrami rosła jego obawa. Z pewnością nie miał ani odrobiny z tych przeczuć, którymi uraczyła go Helena, ale przekonywała go tak skutecznie, że teraz nie potrafił już myśleć o niczym innym. Wyobrażał sobie, że Greta naprawdę może być w tarapatkach, a zaraz potem śmiał się z samego siebie, że dał się tak naiwnie wkręcić.

Po pięknym i ciepłym piątkowym dniu nastąpiła równie piękna, ciepła i bezchmurna noc. Blask księżyca rozlewał się po lasach i szosach Polesia. Noc była niemal widna.

Przez pierwszą część drogi z głośników sączyły się ciche dźwięki muzyki, ale w miarę upływu czasu, gdy w Olegu narastało napięcie, wyłączył odtwarzacz, który coraz bardziej go drażnił. Zapalił nerwowo papierosa i uchylił szybę. Do wnętrza wbił się szum asfaltu spod szerokich kół i pęd ciepłego powietrza, który przyjemnie smagał policzki.

Podróż tę z powodzeniem można było nazwać kilkufazową. W pierwszym jej etapie Oleg mimo wszystko dość chętnie jechał do Warszawy, bo cieszyła go myśl spotkania z Gretą. Zaraz potem przyszedł moment buńczucznej stawiania oporu, który objawił się gwałtownym hamowaniem i zamiarem powrotu, bo urażona męska duma, z którą w ciągu kilku ostatnich tygodni nieustannie igrano, teraz wzięła górę nad wszelkimi pragnieniami. Ostatecznie jednak Oleg wciąż jechał przed siebie i coraz bardziej się cieszył na wizytę u Grety. Ciągłe nie wierzył, że grozi jej niebezpieczeństwo, i zaczynał uświadamiać sobie, że Helena prawdopodobnie zakpiła sobie z niego i postanowiła, niczym swatka, popchnąć ich ku sobie. Kiedy uznał, że zapewne tak właśnie było, zaklął, ale rozbawiony postanowił kontynuować podróż. Ostatnim jej etapem był przyływ

potężnego zwątpienia i sącący się nie wiadomo z jakich zakamarków duszy strumień obawy i strachu. Najpierw Oleg przestraszył się, że znów zostanie odepchnięty, i tym razem będzie bolało go podwójnie, bo usłyszy to prosto w twarz. Taki afront był dla niego nie do pomyślenia. Z drugiej strony niepodobna wyobrazić sobie, by Greta była w stanie mu się oprzeć. Jednak, cokolwiek by mówić, było im ze sobą dobrze i Oleg nie widział powodu do definitywnego zrywania kontaktów. Nie pomyślał nawet, że Greta po prostu zbliżyła się w swym życiu do pewnej granicy wytrzymałości, za którą znajdować się może już tylko całkowite zerwanie albo wprost przeciwnie – związek do końca życia. Półśrodki przestały już jej wystarczać. Jemu natomiast odpowiadały całkowicie. I tym właśnie się od siebie różnili.

Obawa przed ostatecznym zerwaniem przeistoczyła się w jakiś irracjonalny strach, którego podłoża Oleg nie był w stanie zidentyfikować. Zrodził się prawdopodobnie w jego umyśle, podsycany brzękami wciąż w uszach niezrozumiałymi proroctwami Heleny, rozlewał się niepokojem i drżeniem, a na końcu zagnieździł się gdzieś tuż pod sercem i tam powodował nieprzyjemny ucisk. Dalsza jazda stawała się powoli torturą i męką, którą chciał jak najszybciej zakończyć. Prawie przez całą drogę był na szosie sam, jedynie z rzadka oślepiały go reflektory jadących z przeciwka aut. W tej samotności miał zbyt dużo czasu na rozmyślanie i podsycanie strachu. Teraz już naprawdę bał się o Gretę. Nie potrafił już racjonalnie wytłumaczyć sobie, że prawdopodobnie siedzi ona w zaciszu własnego mieszkania, nieświadoma tego wszystkiego, co wieszczyla przed paroma godzinami Helena. Samotność i noc potrafią wynaturzyć każde uczucie i być może są nawet w stanie powalić najtwardszego faceta.

Oleg nerwowo przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu papierosa. Nie znalazłszy, sięgnął do schowka. Namacał spore pudełko, które ze złością wyrzucił na przednie siedzenie, i wciąż szukał papierosów. Żadnego jednak nie znalazł. Trzymając kierownicę lewą dłonią, prawą sięgnął po leżące na siedzeniu obok czarne aksamitne płaskie pudełko. Zwolnił nieco, ale się nie zatrzymał i wziął pudełko w dłonie. Otworzył je na kierownicy i z jego wnętrza wydobył się migot złotego naszyjnika z różowymi kwarcami. Przez prawie dwa miesiące naszyjnik przejeździł w schowku. Widok złotego cudenka przywołał wspomnienia wspólnych chwil. Oleg kazał sobie zapakować tę biżuterię z myślą o Grecie, ale jakoś się nie złożyło i nie obdarował jej tym prezentem. Może to i lepiej, przynajmniej będzie coś na dziś.

Tuż przed północą, mniej więcej w połowie drogi do Warszawy, Oleg zdążył już przeciwyczyć chyba wszystkie możliwe scenariusze spotkania. Wciąż był dziwnie niespokojny, ale uważając się za rozsądnego faceta, próbował nie dopuszczać do siebie żadnych głupich myśli. Im bardziej oddalał się od Ordów, tym mocniej złościł się na Helenę, jej panikę i na samego siebie, że tak łatwo się jej poddał. W całej tej absurdalnej sytuacji zaczynał dostrzegać jeden pozytywny szczegół: już niedługo zobaczy Gretę. Niechętnie przyznawał sam przed sobą, że myśl o tym spotkaniu napawa go radością.

Gdzieś przy granicy województw mazowieckiego i lubelskiego kiepska asfaltówka przecinała wstęgą sporych rozmiarów las. Gęste drzewa przysłaniały rozgwieżdżone niebo i tylko co chwilę między ich konarami przezierała jasna tarcza księżyca. Droga była prosta i pusta, wchodziła w zakręt dopiero za kilkaset metrów. Daleko po lewej stronie szosy, pośród gęstych drzew, zamigotały jakieś punkciki odbijające się w reflektorach hummera. Oleg niespecjalnie się im przyglądał, ujął jedynie nieco gazu i wolniej przejeżdżał przez las. Po kilku sekundach małe latarenki znów zamigotały gdzieś między drzewami, ale coraz bliżej szosy. Oleg zwolnił prawie do zera i powoli przemierzał drogę. Spomiędzy drzew, z lewej strony, na asfalt majestatycznym krokiem weszło jakieś spore zwierzę, a tuż za nim kolejne. Przechodziły przez jezdnię powoli, bez pośpiechu, co chwilę przystając – dwa łosie, których oczy świeciły w świetle reflektorów. Nie stanowiły dla Olega żadnego niebezpieczeństwa, bo były kilkaset metrów od niego, a on jechał powoli i dostrzegł je w porę. Zwierzęta miały najwyraźniej zamiar przejść przez jezdnię i umknąć w mrokach lasu po jej prawej stronie.

W tym momencie zza zakrętu zamigotały światła jadącego z naprzeciwka samochodu. Auto jechało z większą prędkością niż hummer i wchodząc w zakręt, kierowca mógł nie zdążyć w porę dostrzec łosi. Jeśli te dwie pokraki nie zamierzały się pospieszyć lub wziąć odwrot, mogło dojść do

tragedii. Oleg instynktownie położył dłoń na klaksonie i narobił potwornego hałasu, mając nadzieję, że losie się przestraszą i w pośpiechu uciekną. One jednak tylko spojrzały w jego stronę i jakby mu na złość przystanąły. Auto jadące z przeciwka wyszło właśnie z zakrętu i pędziło wprost na zwierzęta. Jego kierowca musiał zauważyć niebezpieczeństwo, bo zaczął gwałtownie hamować i chcąc uniknąć zderzenia, skręcił nagle w prawo, kierując się wprost do rowu lub, jeszcze gorzej, na drzewa. Wszystko to trwało zaledwie sekundy, hałas klaksonu i pisk hamulców drugiego auta ostatecznie spłoszyły zwierzęta, które w popłochu rozbiegły się na boki. Całą scenę zakończył potężny grzmot roztrzaskiwanego na drzewie auta. Po łośiach nie został nawet ślad, a żołądek podszedł Olegowi do gardła. Niepewną stopą nacisnął pedał gazu i te kilkaset metrów dzielące go od rozbitego pojazdu przejechał sam nie wiedział kiedy. Zatrzymał się gwałtownie na poboczu i wybiegł na zewnątrz. Był spięty i przerażony. Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić i w jaki sposób udzielić pomocy. Jedyne, co mógł, to działać instynktownie. Podbiegł do wraku, od którego buchało gorąco i smród palonej gumy. Karoseria od strony pasażera była całkowicie roztrzaskana i wbita w okorowane teraz drzewo. Jeśli ktoś tam siedział, to mała była szansa, by przeżył. Na ułamek sekundy Oleg zawahał się, zanim podbiegł do samochodu od strony kierowcy. Był po prostu przestraszony na myśl, co tam zobaczy. Kiedy był już tuż obok, dostrzegł wiszące na tylnych drzwiach zapasowe koło włożone w blaszany pokrowiec z dużym napisem suzuki. Serce po raz kolejny podeszło mu do gardła i niemal stracił oddech. Przesunął się nieco w prawo i tam położył dłoń na małych wypukłych literach składających się na wyraz: „jimny”. Teraz stał już na kompletnie zwiotczonych nogach, a łzy same cisnęły mu się do oczu. Rozbite auto, oglądane w księżycowym świetle, było jasne, najprawdopodobniej srebrne.

– Nie! – wyrwało się Olegowi z głębi piersi i pędem dopadł drzwi kierowcy.

Szyby były roztrzaskane, drzewo wbiło się do środka, a wystrzelone poduszki ociekały krwią. Za kierownicą, nienaturalnie odchyłona w stronę zagłówka, siedziała młoda kobieta. Jej kręcone włosy oplatały całą twarz posklejanymi od krwi strąkami. Oleg szarpnął za klamkę i otworzył drzwi. Nie miał już żadnych wątpliwości, że kobietą tą jest Greta. Drżącymi dłońmi odgarnął włosy z jej policzków i poczuł ciepło krwi, która strużkami spływała po twarzy i szyi. W panice rozejrzał się wokół, jakby szukając pomocy. Pospiesznie kalkulował, czy powinien ją wyciągnąć z wraku, czy raczej niczego nie dotykać. Tak roztrzęsiony, przerażony i błądzący nie był jeszcze chyba nigdy. Rozedrganą dłonią wyciągnął telefon i bardzo nieudolnie wybrał numer alarmowy. Krzycząc do dyspozytorki, wezwał pomoc, opisując miejsce wypadku najdokładniej, jak tylko potrafił. Teraz nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać. Ale ten bezduszny czas włókł się niemiłosiernie. Oleg był cały umazany krwią, spocony i rozdygotany. Przestał już panować nad łzami. Najdelikatniej, jak umiał, wyciągnął Gretę z auta i ułożył na trawie, cały czas tuląc ją do siebie czule i szlochając jak dziecko. Oddychała, ale nie miał pojęcia, w jakim jest stanie. Przelewała się bezwładnie przez jego dłonie i tylko raz, na krótką chwilę, odzyskała przytomność. Otworzyła wtedy oczy i z grymasem bólu na twarzy próbowała zaczerpnąć powietrza i coś powiedzieć, ale wyszło z tego raczej tylko niezrozumiałe rżenie.

– Ciii... – Oleg głąskał ją delikatnie po włosach, próbując uspokoić i ją, i siebie. – Nic nie mów, zaraz przyjedzie pomoc.

– To koniec... – wyszeptała.

Słowa te były niewyraźne, ale w uszach Olega zadźwięczały złowroźnie. Przeraził się ich i rozsłochał jeszcze bardziej.

– Wszystko będzie dobrze – próbował ją zapewniać, choć sam takiej pewności wcale nie miał – zobaczysz... kochanie...

Greta drgnęła delikatnie, ale nie wiadomo, czy to na dźwięk tego jednego słowa, którego dotychczas nigdy od niego nie usłyszała, czy też z bólu, który przyszył jej ciało.

– Z nami koniec... – wyrzuciła z siebie ledwo dosłyszalnie i znów straciła przytomność, opadając w jego ramiona.

Kłęczał na trawie, trzymając ją zemdloną w objęciach, i powoli docierał do niego sens jej słów.

– Nie – wyszeptał do siebie – to nie może być koniec, nie może. Słyszysz? Nie teraz! Nie

zabieraj mi jej!

Jego szept przechodził w rozdzierający krzyk i nie były to słowa skierowane do Grety, ale do tej wszechobecnej i potężnej siły, która kieruje całym ludzkim życiem wedle własnego uznania, a w którą Oleg dotychczas nie wierzył. Doznał teraz z całą mocą wszystkich tych uczuć, które Greta знаła już od dawna. Docierała do niego wreszcie ta prosta prawda, że i on się w końcu zakochał. Nie jak sztubak i podłotek, ale prawdziwie i dojrzałe jak mężczyzna w sile wieku. W jednej chwili przeleciało mu przed oczyma całe jego życie, wszystkie kawalerskie wybryki, i poczuł, że najważniejszą osobą, jaką w życiu spotkał, jest Greta, a najlepszym, co go dotąd spotkało, jej miłość. Patrzył teraz czule na to bezwładne ciało niemal pozbawione tchu i gotów był choćby z samym diabłem się targować o jej życie.

– Nie oddam ci jej! – wrzeszczał w czeluści lasu, a może i samych piekieł.

Nastąpiła długa chwila ciszy, po której Oleg szepnął z poczuciem upokorzenia nie wiadomo do kogo, do tych sił piekielnych czy też do Boga, w którego istnienie powątpiewał:

– Nie możesz mi jej zabrać, kocham ją...

Wyznanie takie nigdy dotąd nie przeszło przez jego gardło i choć prawdą było, co powiedział, to jednak przyszło mu to z dużym trudem i bardzo niechętnie przyznawał się do swych uczuć.

Leżące na trawie ciało Grety zadrżało w jakichś konwulsjach. Oleg zacieśnił objęcia, jakby chcąc zatrzymać ją po stronie życia. W kolejnym przypiływie paniki zdał sobie sprawę, że jeśli pomoc szybko nie nadejdzie, może ją stracić. Na tę myśl zawył jak dzikie zwierzę otoczone kordonem polujących i skurczył się w sobie, a jego łzy spadały na rude loki.

Czując ogromną bezsilność i nie wiedząc, co mógłby jeszcze zrobić, by jej pomóc, krzyknął z całych sił:

– Kocham ją!

Odpowiedziało mu tylko echo.

W oddali słyhać było rozdzierający i coraz głośniejszy ryk syreny karetki pogotowia. Po chwili z ambulansu wybiegli lekarze. Brutalnie szarpnęli Olegiem, odepchnęli go na bok i przystąpili do ratowania Grety. Stoczył tej nocy najcięższą walkę swego życia: walkę z samym sobą. Wyszedł z niej pobity, mały i bezsilny wobec ogromu miłości, która rozpalala go tak samo jak Gretę, z tą jednak różnicą, że ona poddała się jej fali, a on próbował brnąć pod prąd.

Karetką na sygnale zawiozła Gretę do najbliższego szpitala, a Oleg, wciąż pełen strachu i innych emocji, popędził za nią swoim hummerem. Kilkanaście minut później Greta była już pod opieką na oddziale ratunkowym. Oleg nie dowierzał umiejętnościom powiatowych lekarzy, ale w tej chwili nie było czasu na transport do lepszego szpitala. Liczyła się każda minuta. Podczas gdy ją zabrano na badania, on pozostał bezradny na środku szpitalnego korytarza, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknęli lekarze wraz z Gretą.

– Kim pan jest dla pacjentki? – spytała drobnitka pielęgniarka, podając mu plastikowy kubek z kawą z automatu.

Ocknął się z zamyślenia, spojrzał na nią nieprzytomnie, wziął kubek i bez zająknięcia skłamał:

– To moja żona.

Był świadomy, że gdyby się przyznał, że jest dla Grety obcym mężczyzną, z pewnością nikt nie zechciałby udzielić mu informacji o jej stanie.

Pielęgniarka zachowywała się rutynowo: grzecznie poprosiła, by usiadł, uspokoił się i nie martwił, zapewniając przy tym, że żona jest pod doskonałą opieką. Usiadł więc posłusznie pod ścianą, ale nie mógł spokojnie czekać. Nosiło go i miał ochotę wszystkich rozszarpać za brak informacji. Postanowił jednak nie urządzać żadnych scen.

Nad ranem lekarz dyżurny podszedł do Olega i przystanął kilka kroków przed nim. Ten natychmiast zerwał się z krzesła i pytająco wpatrywał się w mężczyznę w białym kitlu.

– Co z nią? – nie wytrzymał.

– Wyjdzie z tego – lekarz powiedział spokojnie. – Pańska żona jest silną młodą kobietą. Jest mocno poobijana, ale nie ma żadnych złamań ani obrażeń wewnętrznych. Odzyskała

przytomność, ale jest na lekach przeciwbólowych i teraz śpi.

Oleg odetchnął z wyraźną ulgą. Wyglądało na to, że Greta miała kupę szczęścia.

– Kiedy ją wypuscicie? – spytał niecierpliwie.

– Spokojnie – uśmiechnął się lekarz. – Żonie praktycznie nic nie jest, ale taki wypadek dla dziecka może być niezwykle niebezpieczny. – Oleg zbladł na słowa lekarza, otworzył szeroko oczy i znów ugięły się pod nim kolana. – Na razie nie ma powodów do obaw, ale ciąża może być zagrożona. Uderzenie było z pewnością silne, więc groźba poronienia jest niestety realna.

Oleg osunął się na krzesło i opuścił głowę wprost w rozczapierzone palce swych dłoni. Rozpaczliwie próbował złapać oddech, a w głowie coraz bardziej mu się kręciło i tłukły się przeróżne myśli.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał z troską lekarz.

– Tak – odpowiedział po chwili. – Dziękuję.

Do porannego obchodu wypił ze cztery kawy i nie przestawał intensywnie myśleć. Wieść o ciąży wytrąciła go z równowagi, ale nawet przez chwilę nie pomyślał, że to wcale nie musi być jego dziecko. Po pierwszym szoku zaczął się zastanawiać, co będzie dalej, i gdy po obchodzie lekarz pozwolił mu na chwilę zajrzeć do śpiącej Grety, w jego głowie zaczynał się układać pewien całkiem przyjemny scenariusz, który jeszcze przed kilkoma miesiącami nawet by mu nie przeszedł przez myśl.

Wszedł do sali, w której leżała tylko Greta podłączona do kroplówki i monitora. Była mocno posiniaczona, miała rozbity łuk brwiowy, ale jej oddech był już równy i głęboki, nie rwał się i nie gubił jak przed kilkoma godzinami. Oleg usiadł na okrągłym taborecie i dotknął jej małej dłoni. Była rozcięta i trochę opuchnięta, ale przyjemnie ciepła i aksamitna w dotyku. Wpatrywał się w nią i głaskał jej rude włosy rozsypane na seledynowej pościeli. Po dłuższej chwili otworzyła ciężkie powieki i spojrzała na niego świadomie, ale jakby z daleka. Jej tęczęwki przybrały kolor głębokiego szmaragdu.

– Oleg... – szepnęła z niedowierzaniem.

Nie przestawał głaskać jej włosów, od czasu do czasu przesuwając też dłonią po jej policzkach.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytał.

– Właśnie do ciebie jechałam – odezwała się z trudem.

– Już dobrze – uspokoił ją. – Wszystko już wiem.

– I godzisz się na to? – spytała niepewnie.

– No pewnie – odpowiedział. – I wiesz co? Zaczynam się cieszyć. – Pochylił się i pocałował ją czule w czoło.

Spojrzała na niego z wyrazem bólu i rezygnacji. Choć jechała się z nim rozstać, to jednak nie sądziła, że będzie mówił o tym tak lekko i z radością. Skrycie wierzyła, że była dla niego przez ostatni rok kimś więcej niż tylko kochanką, ale widać bardzo się pomyliła. Westchnęła ciężko i odwróciła od niego głowę, próbując ukryć spływające po policzkach łzy bólu i rozczarowania.

– Co ci jest... kochanie? – Oleg spojrzał na nią zatroskany. – Boli cię coś? Wezwać lekarza?

Słabo ogarniała wydarzenia sprzed kilku godzin. Chyba coś jej wyszło na drogę, ale pamiętała, że zdążyła powiedzieć Olegowi, z czym do niego jechała. Pamiętała to, bo gdy wreszcie wyznała mu, że to już koniec, poczuła jakąś dziwną ulgę, zupełnie jakby kamień spadł jej z obolałego serca. A może zrobiło jej się tak lekko, bo właśnie mdlała i nic już nie czuła? Sama już nie była pewna... A co go tak cieszyło? Rozstanie? I tak wprost jej o tym mówił? Czemu był taki okrutny i ją dręczył? A ona przecież darzyła go tak wielką miłością... Takie właśnie myśli przetaczały się przez obolałą głowę Grety i nie chciały się jakoś złożyć w sensowną całość. Do sali wszedł lekarz i Oleg natychmiast wstał, oczekując na nowe informacje.

– Jak się pani czuje? – spytał doktor.

– Chyba będę żyła – siliła się na żart, ale szło jej to z ogromnym trudem, bo miała ochotę zapaść się pod ziemię i już nigdy stamtąd nie wyjść.

– O, to z pewnością – uśmiechnął się lekarz. – Za kilka dni panią stąd wypuscimy. Wygląda



na to, że z dzieckiem też wszystko w porządku. Miała pani naprawdę wiele szczęścia. To się mogło skończyć dużo gorzej.

– Z jakim dzieckiem? – Greta spytała po dłuższej chwili. – Przecież jechałam sama. Kogoś potrąciłam?!

Zaszumiało jej w głowie, serce podskoczyło ze strachu, a przez myśl przemknęły niedawne słowa Heleny, by nie wsiadała z dzieckiem do samochodu.

– Mówię o ciąży – wyjaśnił lekarz. – Nie wiedziała pani?

Grecie zrobiło się słabo. Dobrze, że leżała w łóżku, bo gdyby stała, pewnie by zemdląca. Spoglądała to na Olega, który uśmiechał się szeroko, to na lekarza, który stał z boku nieco zdziwiony.

– To jakiś ósmy tydzień – wyjaśnił lekarz. – Musi pani zacząć o siebie dbać.

Z piersi Grety wyrwał się cichy jęk. Przymknęła oczy i spod powiek wypłynęła jej nowa porcja łez. I nie były to wcale łzy radości. Rozbiegane myśli z trudem nadążały za słowami lekarza, ale też kilka faktów znalazło nagle uzasadnienie. Czyżby ostatnio nasilające się rozdrażnienie nie było spowodowane postanowieniem rozstania z Olegiem, ale objawem ciąży? A zmęczenie i senność, które ją dopadały, to nie skutek przepracowania? A większa niż zwykle wrażliwość na zapachy to nie dlatego, że wokół cała przyroda kusi aromatami?

Nagła wiadomość o macierzyństwie wprost paraliżowała Gretę. Gdy już oswoiła się z myślą o rozstaniu z Olegiem, wszystko znów zaczynało się komplikować. I jak to teraz odkręcić?

Oleg zaczynał rozumieć, że Greta nie wiedziała, że jest w ciąży. Ale za to przestawał rozumieć, z jakimi wieściami do niego jechała, choć w tej chwili w to nie wnikał.

– Chciałbym mieć syna – odezwał się, gdy lekarz wyszedł już z sali. – A ty?

Greta spojrzała na niego z niedowierzaniem. Czy on z niej kpił? Czy to możliwe, że on naprawdę chce mieć dziecko?

– Ale córkę też będę kochał i rozpieszczęcał – dodał szybko, myśląc, że ją czymś uraził. – I ciebie będę kochał... – rzucił cicho i delikatnie pocałował ją w obolałe wargi. – Ale właściwie dlaczego jechałaś do mnie w nocy? Co mi chciałaś powiedzieć?

– Już nieważne – odpowiedziała po chwili namysłu i położyła dłoń na jego dłoni spoczywającej na jej brzuchu.

<sup>1</sup> Nic mnie to nie obchodzi! Mam to gdzieś! (ang.)

<sup>2</sup> I co z tego?! Masz to zrobić, zrozumiałeś? (ang.)

<sup>3</sup> Dobra robota (ang.).



BLACK PUBLISHING  
Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Redakcja: [redakcja@blackpublishing.pl](mailto:redakcja@blackpublishing.pl)  
Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice  
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75  
[sekretariat@blackpublishing.pl](mailto:sekretariat@blackpublishing.pl)  
Promocja i marketing: [katarzyna@blackpublishing.pl](mailto:katarzyna@blackpublishing.pl)  
Dział sprzedaży: [sprzedaz@blackpublishing.pl](mailto:sprzedaz@blackpublishing.pl)  
Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, [ebooki@blackpublishing.pl](mailto:ebooki@blackpublishing.pl)

Skład: D2D.PL  
ul. Morsztynowska 4/7, 31029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52  
email: [info@d2d.pl](mailto:info@d2d.pl)

Wołowiec 2014  
Wydanie I

